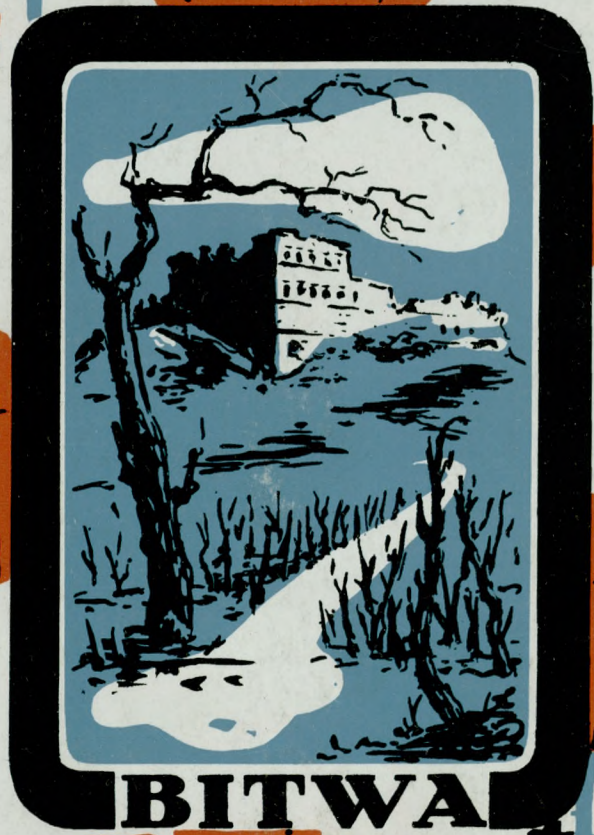


R  
CZ

**MELCHIOR  
WAŃKOWICZ**



**BITWA**

**Monte  
Cassino**

SZOMAŃSKI W. J. NOWICKI P.



Jeśli Samosierra została w polskiej historii, to pamiętać należy, że to zadanie, które podjął Kozietulski, w bitwie o Monte Cassino stanęło przed setkami dowódców.

Jeśli szabla dziadka Napoleonidy była cenną spuścizną, to *tym samym będzie fotografia, dokumentująca uczestnictwo w tej historycznej bitwie.*

\*

„Na placu boju — pisze J. Bielatowicz o pisarzach tej wojny — pozostał tylko Melchior Wańkowicz... Jednakże Wańkowicz przypomina biegacza, który na bieżni walczy nie z przeciwnikami, a z czasem, z rekordem. Ogląda się tylko na swój stoper w dłoni”.

Ten wyścig autora datuje się od samego początku jego krótkiej twórczości, bo właściwie autor począł pisać na pięć lat przed wojną. Pisze więc o sąsiedzie na Wschodzie („Opierzona rewolucja”), o sąsiedzie na Zachodzie („Smętek”), o naszym dwudziestoletnim dorobku (pięćsetstronicowa „Sztafeta”, która ukazała się tuż przed wojną), o naszych ziemiach wschodnich (dwutomowe dzieło, które wojna zastała w drukarni).

W czasie wojny jako Jerzy Łużyc daje obszerną książkę o wrześniu, drukuje z trzytomowego dzieła o żydostwie fragment w postaci książki o początkach syjonizmu („De Profundis”), wydaje jedno z opowiadań zamierzonej książki o Rosji pt. „Dzieje Rodziny Korzeniewskich” (tłumaczone na kilka języków), wreszcie z prasy drukarskiej zmuszony jest usunąć książkę na tematy socjologiczne pt. „Linia podziału”.

Istotnie — *wyścig z problemami: rosyjskim, niemieckim, żydowskim, mniejszości słowiańskich, rozwoju eko-*





Reprint z wydania Rzym-Mediolan 1945  
wykonały Prasowe Zakłady Graficzne  
RSW „Prasa-Książka-Ruch”  
w Ciechanowie, ul. Sienkiewicza 51  
Zam. 103088, U-60

© Copyright by Anna Erdman, Ewa Erdman-Lazarewicz  
— następcy prawni Melchiora Wańkowicza

ISBN 83-11-07651-0

ISBN 83-11-07652-9

Wydawnictwo Ministerstwa Obrony Narodowej  
Warszawa 1989. Wydanie I

Nakład: 5000 w oprawie płóciennej  
+ 35 000 w oprawie kartonowej  
Ark. wyd. 30, ark. druk. 28, 33



# **BITWA O MONTE CASSINO**

W POLSCE - KRAJNY  
Z PRZYKŁADU - MONTE CASSINO  
BITWA O MONT CASSINO





# W HOŁDZIE - KRAJOWI Z DEDYKACJĄ - UCZESTNIKOM Z MYŚLĄ, O TYCH - PO NAS...

WYDZIAŁ PEDAGOGICZNY UNIWERSYTETU WARSZAWSKIEGO  
KATEDRA PEDAGOGIKI  
WYDZIAŁ PEDAGOGICZNY UNIWERSYTETU WARSZAWSKIEGO  
KATEDRA PEDAGOGIKI  
WYDZIAŁ PEDAGOGICZNY UNIWERSYTETU WARSZAWSKIEGO  
KATEDRA PEDAGOGIKI

WYDZIAŁ PEDAGOGICZNY UNIWERSYTETU WARSZAWSKIEGO  
KATEDRA PEDAGOGIKI  
WYDZIAŁ PEDAGOGICZNY UNIWERSYTETU WARSZAWSKIEGO  
KATEDRA PEDAGOGIKI

WYDZIAŁ PEDAGOGICZNY UNIWERSYTETU WARSZAWSKIEGO  
KATEDRA PEDAGOGIKI

WYDZIAŁ PEDAGOGICZNY UNIWERSYTETU WARSZAWSKIEGO  
KATEDRA PEDAGOGIKI

WYDZIAŁ PEDAGOGICZNY UNIWERSYTETU WARSZAWSKIEGO  
KATEDRA PEDAGOGIKI

WYDZIAŁ PEDAGOGICZNY UNIWERSYTETU WARSZAWSKIEGO  
KATEDRA PEDAGOGIKI

TOM ZAWIERA 833 ILUSTRACJI, W TYM 424 FOTOGRAFJI, 12 ZDJĘĆ LOTNICZYCH, 32 SZKICE TERENOWE I SYTUACYJNE, MAPY I WYKRESY, 241 PORTRETÓW UCZESTNIKÓW, 1 BARWNY SZKIC TERENOWY, 1 BARWNY SZKIC SYTUACYJNY I 122 RYSUNKI

FOTOGRAFIE: BIENIASZ • A CHRUŚCIEL • W. DOMAŃSKI • S. GLIWA • W. GRYKSZTAS • Z. HAAR • W. CHOMA • W. HRYNIEWICZ • K. HRYNKIEWICZ • Z. JASZCZ • I. JAWOROWSKI • K. KLESZCZYŃSKI • F. MALINIAK • M. NIKON • W. OSTROWSKI • T. REMEZ • M. RÓŻAŃSKI • T. K. SOWICKI • T. SZUMAŃSKI • M. WAŃKOWICZ

REFERAT FOTOGRAFICZNY ODDZIAŁU KULTURY I PRASY DRUGIEGO POLSKIEGO KORPUSU • BRITISH ARMY FILM UNIT PHOTO THRU PWB-OWI • U. S. ARMY PICTORIAL SERVICE PHOTO THRU PWB-OWI • U. S. ARMY-SIGNAL CORPS PHOTO • OFFICIAL WAR OFFICE PHOTOGRAPH • ASSOCIATED PRESS PHOTO • REFERAT KULTURY I PRASY 3. DSK. • REFERAT KULTURY I PRASY 5. KDP. • REFERAT KULTURY I PRASY 2. W. D. PANC. • SEKCJA INTERPRETACJI ZDJĘĆ LOTN.

PRACE LABORATORYJNE: REFERAT FOT. ODDZIAŁU KULTURY I PRASY 2. POLSKIEGO KORPUSU

FOTOMONTAŻE TYTUŁOWE (9) – Z. I. L. HAAR

RYSUNKI: (G) S. GLIWA • (H) L. HAAR (W.T.) T. WAŚ • (S.W.) S. WESTWALEWICZ

OKŁADKA: W. SZOMAŃSKI I R. NOWICKI

OPRACOWANIE  
GRAFICZNE  
S. G L I W A

2 BARWNE SZKICE Z ORYGINAŁU PŁK. DYPL. PIĄTKOWSKIEGO - WYKONANO W 12 KOMPANII GEOGRAFICZNEJ

SKŁAD: „POLYGLOTTA C. di M.” – RZYM  
WKŁĘSŁODRUK: „RIZZOLI” – MEDIOLAN



**MELCHIOR WAŃKOWICZ**

**B I T W A  
MONTE CASSINO**

**TOM I**

**WYDAWNICTWO ODDZ. KULTURY I PRASY  
DRUGIEGO POLSKIEGO KORPUSU  
R Z Y M                      1945                      MEDIOLAN**

---

W. H. C. ...



... ..  
... ..  
... ..

... ..  
... ..  
... ..  
... ..  
... ..  
... ..

... ..  
... ..  
... ..

... ..  
... ..

... ..  
... ..  
... ..





**WCHODZĄC NA RING  
POZDRAWIAMY POPRZEDNIKÓW**





P R Z E D   B I T W A



**P**IERWSI ten Klasztor szturmowali Amerykanie. 2 stycznia 5. armia amerykańska otrzymuje rozkaz: „Przeprowadzić jak najmocniejsze uderzenie (*as strong a thrust as possible*) na Cassino i Frosinone na krótko przed lądowaniem, aby stworzyć wyłom we froncie niemieckim, przez który nastąpi połączenie z operacją morską”.

Potem poszły te uderzenia amerykańskie, tak krwawe, że ich nie zaznała jeszcze 5. armia.

Pojechałem przede wszystkim do nich, aby zapoznać się z ich działaniami.



## (1) W AMERYKAŃSKIEJ KWATERZE PRASOWEJ



Sztab 5. armii — to miasto. Brunatne świetne czworokątne namioty amerykańskie o podnoszonych skrzydłach stoją w piniowym lasku. Powietrze przesycone jest ozonem. Po drózkach leśnych jeżdżą beczkowszy skrapiające pylną drogę.

6000 ludzi tu się mieści, dyskretnie rozsnutych po nieskończonych zagajach. Telefony obsługujące sztab 5. armii mogłyby obsłużyć dwudziestotysięczne miasto. Kable do nich użyte mogłyby połączyć Nowy York z Los Angeles i powrócić aż do Chicago, czyli wielokrotnie przemierzyć Polskę.

Jest tu 25 restauracyj i kawiarni, porządku pilnuje 200 zandarmów, ta przenośna miejscina zużywa 25.000 galonów wody dziennie. Ma wszystko — nawet bank, który robi dzienny obrót miliona dolarów.

To wszystko przenosi się co kilka tygodni na nowe m. p. i nikt nie wie, kiedy zginął ten konglomerat namiotów i gdzie się za chwilę wynurzy.

W sztabie armii jest "lege artis" hotel dla gwiazd i generałów, ale ja jadę do kwatery prasowej. Przyjęcie — minimum przywilności i maximum uczynności.

— Ma pan łóżko?

— Tak.

— Srodek lokomocji?

— Tak.

— Nad czym pan chce pracować?

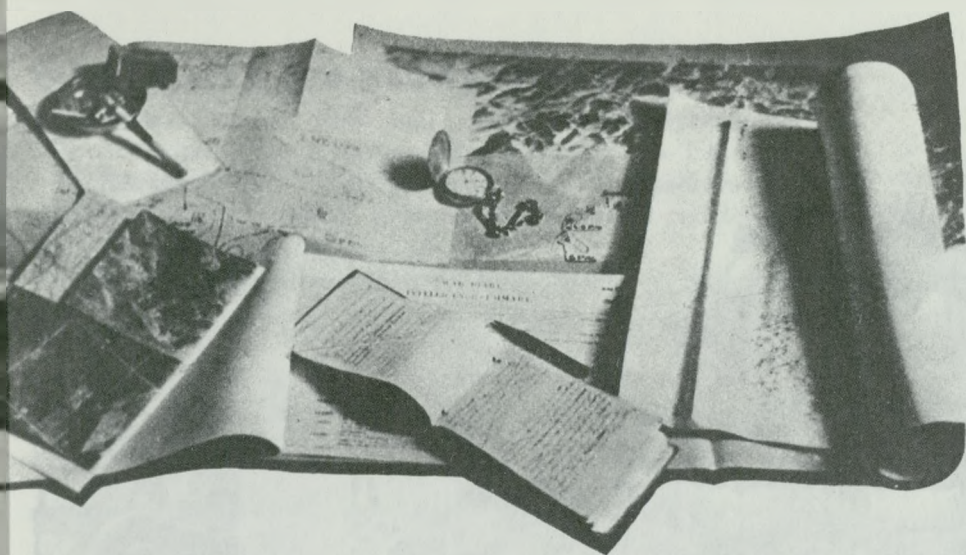
— Wpierw zapoznać się ogólnie z bitwą 5. armii o Monte Cassino, a następnie pomówić z uczestnikami.

— Czy zechce pan o 14. pojechać do szefa sekcji historycznej? *Well*. Niech pan tymczasem roztasuje się w namiocie.

Szef sekcji historycznej, pułkownik, urzęduje o 10 mil. Bez słowa wręcza ogromne dossier. Zaglądam: sprawozdania dywizyj, pułków, batalionów, przy każdym szkice sytuacyjne i zdjęcia lotnicze prostopadłe i skośne.

— Naturalnie!... — niech pan to zabierze do siebie.

Po obiedzie, za który płacę, ale podczas którego piję sok pomidorowy z tostami i zjadam wspaniałego indyka, idę do namiotu korespondentów. Długi stół jest dobrze oświetlony elektrycznym światłem, wzdłuż niego terkocze szereg maszynek. Jeśli dodać do tego bez ustanku gadające radio i to, że każdy z



korespondentów coś gwizdże albo śpiewa — to otrzymuje się coś w rodzaju jednostajnego szumu, który nie przeszkadza pracować.

Na tablicy coraz pokazują się jakieś informacje. Np. Colonel Whittimore, *the moral officer of Fifth Army* podaje:

„Może to będzie pp. korespondentów interesować: kiedy przyjeżdżał gen. Sosnkowski, nikt w całej kwaterze 5. armii nie znał polskiego hymnu. Wówczas „Wac” Mary Kozierowską (Hudson, Pensylwania) połączono telefonicznie z polskim oficerem łącznikowym, który jej hymn odśpiewał, a *warrant officer* Wilmont Trumbull 15 Franconia street Worcester, Massachusetts niezwłocznie transkrybował”.

Czasem nagle wszystkie maszynki stają: przez chwilę słucha się czegoś ważnego z głośnika. Czasem ci wszyscy ludzie zajęci swoją robotą wybuchają śmiechem: radio powiedziało jakiś dowcip. Oryginalna synchronizacja radia z pracą — nie przeszkadza, a równocześnie nastawiona jest na nie jakaś pomocnicza komórka mózgu.





## (2) 36. DYWIZJA ZAŁAMUJE SIĘ NAD RAPIDO



Ze sterty akt — poczęły się wyłaniać dzieje naszych poprzedników.

Ofensywa sprzymierzonych miała na celu opanowanie Rzymu. Plan tej ofensywy polegał na desancie morskim pod Anzio, połączonym z natarciem czołowym po obu stronach rzeki Liri.





Najprzód ruszyła 36. dywizja amerykańska. Ruszyła na wprost na Klasztor. Pułk 141. zaatakował 20 stycznia odcinek Trocchio — La Pietà — St. Angelo in Tedice.

Krajobraz był — mówiąc po polsku — listopadowaty. Przed pułkiem leżały nawilgłe pola, poryte rowami, podzielone płotami.

Przyszli z kraju robotów, od kultu maszyny. Skierowali na







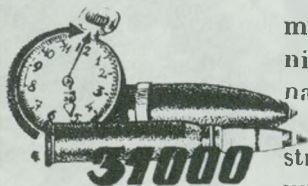
pozycje niemieckie 30 minutową nawałę, wystrzelili 31.000 pocisków.

Po czym ruszyli, już zmierzchem, bo o godzinie 19,00. Ciemniejący porośły krzewami brzeg rzeki Rapido, którą mieli forsować, przestał być widoczny. Brnęli błotnistą łąką, wylatując na niemieckich minach, broniących tego brzegu.

Batalion 1. zwinął się pod ogniem. Jedna jego kompania zbłądziła i bezradnie tłukła się jak ryba o lód pod koncentracją artyleryjską, drugą źle poprowadził przewodnik saperów i wwiódł w pole minowe. Jedynie resztki trzeciej kompanii osiągnęły punkt przeprawy w nakazanym czasie i zaległy pod ogniem, bo okazało się, że postawienie mostu o nośności ośmiu ton udaremnił ogień artyleryjski.

Batalion 2. dzwigał aż cztery kładki. Ale jedną utracił na minach, drugą zniszczył ogień artyleryjski, trzecia beznadziejnie zagrzęzła w błocie i tylko czwartą przerzucono już o 4. nad ranem.

Łodzie gumowe przewracał bystry prąd tej górskiej rzeki, stromy brzeg utrudniał manipulowanie. Łodzie definitywnie zawiodły.



Ostatecznie tą jedną kładką przepchnęły się dwie kompanie. 3. batalion w ogóle nie doszedł do rzeki.

I wówczas, a jest to godzina 5 minut 15, gen. Wilbur, zastępca dowódcy dywizji, kazał wojskom będącym z tej strony rzeki wycofać się, a dwom kompaniom będącym z tamtej strony — okopać się. Gorzka rada!...

Cały dzień następny artyleria niemiecka przecina wszelką łączność z tymi kompaniami. Oślania się je namiętnie dymnymi pociskami, co znowuż uniemożliwia zwalczanie wroga. Dowódca 131. dywizjonu artylerii polowej, dającego bezpośrednie wsparcie 141. pułkowi, melduje z rozpaczą: „Obserwatorzy nasi nic przez ten dym nie widzą; strzelcy wyborowi nieprzyjaciela pod jego osłoną podkradają się tuż pod nasze linie i wystrzeliwują żołnierzy; nie możemy dać żadnej artyleryjskiej osłony”.

Równocześnie z pułkiem 141. bardziej na południe usiłował przeprawić się pułk 143. Rzeka na jego odcinku, leżącym bardziej w dół biegu, była rozlewniejsza i prąd mniej bystry.

O godzinie 20 trzeci pluton kompanii „C” pod komendą ppor. Nunex pierwszy przeprawił się przez rzekę. Gumowe łodzie zdążyły przewieźć jeszcze pluton następny, po czym zostały zniszczone ogniem artylerii.

„O g. 22 m. 55 — brzmi meldunek dowódcy 143. pułku — udałem się osobiście nad rzekę w towarzystwie brygadiera Kendalla i kpt. Steffena. Zastaliśmy mjra Frasiora, dowódcę baonu 1., który starał się zgromadzić środki transportowe. Ale







saperów nie było. Stworzyliśmy grupę nosicieli i udawaliśmy się z nią na miejsce, skąd należało brać łodzie, zastaliśmy oficera i 28 saperów zaszytych po dziurach. Zgrupowano 5 łodzi, przeprowadzono 1. baon. Dostał on taki ogień, że jego dowódca prosił o pozwolenie wycofania się. Generał dowodzący odmówił, ale nim odmowa nadeszła, baon się wycofał.”

I w tym pułku 3. baon w ogóle nie przekroczył rzeki.

Pod wieczór 21 stycznia, kiedy cały dzień minął na osłanianiu dymem niewielkich plutonów okopanych na przeciwnym brzegu, wieczorem oba pułki lansują nowe natarcie. Znowu łodzie się przewracają, kładki są niszczone, pomimo to pułk 141. posunął się ku rzece 600 jardów i zaległ w ogniu. Chłopcy amerykańscy nie od razu nauczyli się walczyć, ale umieją umierać.

Baon 3. 143 p. p. już o 18,30. przekroczył pod osłoną dymną rzekę. Poszedł w przód. Wpadł na odrutowane pozycje pod ogniem krzyżowym cekaemów, strzelających niskim wachlarzem, tak, że biegnący byli rażeni w stopy, a czołgający się w pośladki.

Baon 1. przeciskał się dwoma kompaniami. Jest już g. 23 m. 17 — kompanii trzeciej jeszcze nie ma.

*Tak Niemcy widzieli dolinę Rapido. Półciski zburzyły miasto.*





Baon 2. o 23,40. dochodzi do rzeki, przewodnicy saperów nie umieją mu wskazać kładki, kpt. Volheim ją napytuje, baon przechodzi przez nią dwiema kompaniami.

Teraz zaczyna się piekło na tamtym brzegu. Niemcy zajmują linie tuż — w grę wchodzi granaty ręczne. Poczyna bić nieznaną Amerykanom broń — nebelwerfery. Są to moździerze pierwotnie przeznaczone do zadymiania, które następnie domyślono się zastosować do rzucania pocisków kruszących.

Jest to sześć sprzężonych luf, w których pociski odpalane są równocześnie elektrycznością ze schronu. Pociski te są ogromnego kalibru — 150 m/m, a nawet 240 m/m. Pierwsi domyślili się używać tego rodzaju broni Rosjanie, których „Maria Iwanowna” pod Sewastopolem napełniała Niemców przerażeniem. Salwy pocisków wyją i niesamowicie, rzekłbyś, chichoczą. Pociski mają mały rozprysk, ale potężny podmuch. Należy dodać, że Niemcy strzelali trzema bateriami po trzy nebelwerfery naraz.

Miażdżone i dziesiątkowane, wycofują się resztki 2. i 3. baonu zaraz po północy na lewy brzeg.

Dowódca 1. baonu, mjr Frasiór, melduje o g. 01,35, że jest ranny, ale że wciąż trwa, choć trzecia kompania jego baonu definitywnie nie doszła.

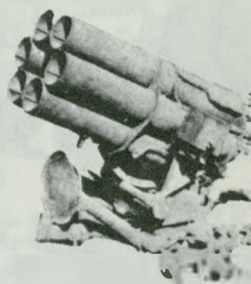
Mjr Meath, posłany dla objęcia dowództwa nad baonem i złuzowania mjra Frasióra, pospiesza na miejsce wraz z kpt. Westbrookiem, ale ogień jest tak silny, że udaje im się dobrać do baonu o g. 05,00. Był już wybity, a pozostałe niedobitki pierzeły za rzekę.

A więc i to drugie natarcie świtaniem dnia 22 stycznia zostaje załamane.

Niemcy, rozszachowani, tegoż dnia popołudniu robią silne przeciwuderzenie. Zostaje ono odparte, ale resztek na tamtym brzegu uratować się nie daje.

Pod wieczór okazuje się, że jest rannych lub zabitych 1002 podoficerów i żołnierzy, 48 oficerów, a wśród nich obaj dowódcy 2. i 3. baonu i obaj ich zastępcy.

Okazało się, że nie można włamać się w dolinę rzeki Liri i iść nią do Rzymu — dopóki flankuje masyw Monte Cassino.



*Pociski lejami nawodniły dolinę*



### (3) SUKCESY FRANCUZÓW I 34. DYWIZJI AMERYKAŃSKIEJ

Nie rozumiejąc w pierwszym natarciu tej prawdy, próbowano Klasztor obejść i z prawej strony.

Toteż, niezwłocznie po 36. dywizji amerykańskiej, uderzyła, tam gdzie teraz stoi nasza Karpacka dywizja — 34. dywizja amerykańska.

Ale nim do opowiadania o tym natarciu przejdziemy, za-  
notujmy, że równocześnie z 36. dywizją, na północ od niej,  
lewym skrzydłem zawadzając o obecne stanowiska naszej Kre-  
sowej dywizji, poszło natarcie francuskie.

Oderwijmy się na chwilę od amerykańskich aktów, aby  
wtrącić, co mi na innym miejscu opowiadali Francuzi.

Teren, w którym nacierali Francuzi, był przesiąknięty  
Niemcami. Wszystkie punkty obserwacyjne, wszystkie jary  
moździerzowe były w ich rękach. Niemcy ujęli go w systemat  
bunkrów, schronów wypoczynkowych, osłoniętych miejsc, któ-  
rymi przebiegały rezerwy, siecią doskonale osłoniętych ko-  
munikacyj.

Francuzi musieli w pełnej widoczności pod ogniem scho-  
dzić do wąwozów o stromych zboczach, aby następnie, znowuż  
pod ogniem, drapać się na wyniosłości po 700, 800, 900 metrów.

Tych wyczynów sportowych musieli dokonywać, dźwigając  
większość materiału na własnych barkach, bo nie wszystkie  
jednostki miały przydzielone muły.

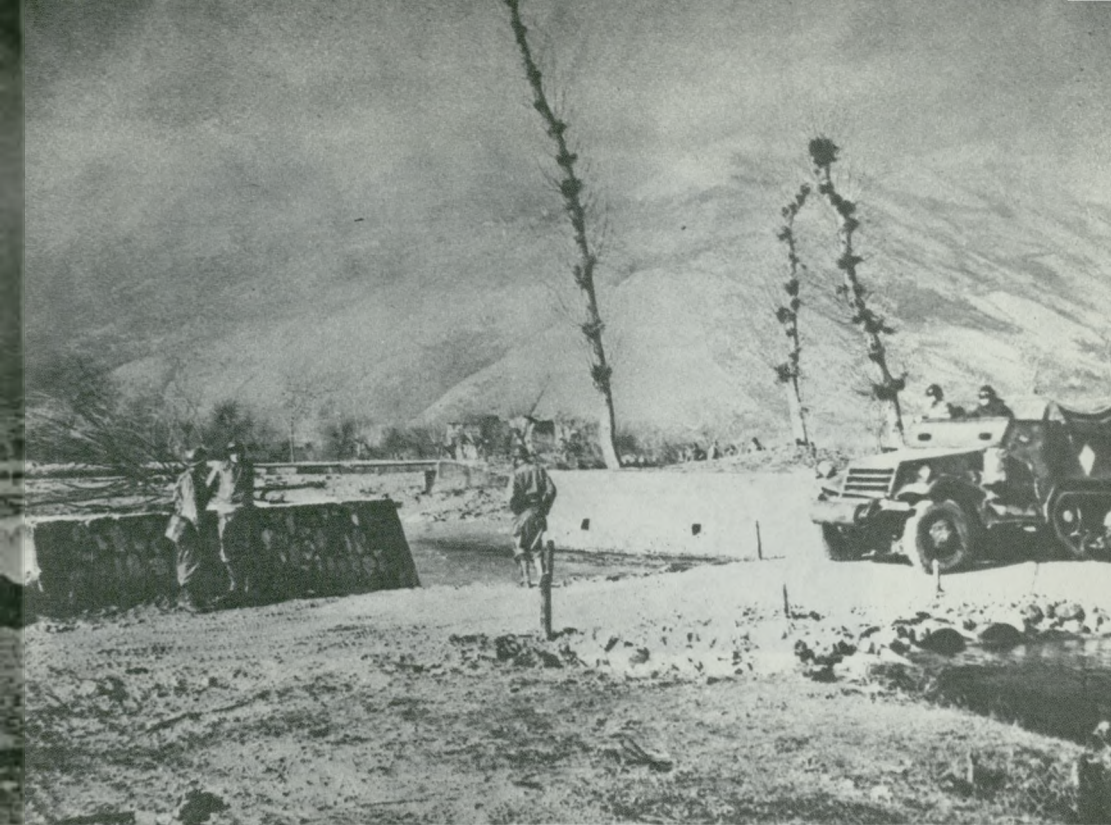
4. pułk strzelców tunizyjskich pod dowództwem pułkow-  
nika Roux otworzył atak. Pułk wie, że idzie na całopalenie.

Manewr jest prosty — za prosty: z całym sprzętem i z racją  
żywności na 3 dni na plecach, bez koców, bez płaszczy, należy  
nocą podejść do podnóża Belvedere, przebrnąć lodowatą  
wodę Rapido (jest styczeń), miejscami sięgającą piersi,  
po czym o brzasku, z sercem w gardle, zaatakować...

Trzeba dwa kilometry biec do bunkrów, nim się je zarzuci  
granatami.

Należy zejść z 500 na 200 metrów, znów wdrapać się na  
470, zejść na 60, wspiąć się na 700, znów zejść na 500 i wreszcie  
opanować górę, której szczyt wznosi się na 862 metry.





*Francuzi na rzece Rapido*

Atak rozpoczął się 25 stycznia. Dzięki samopoświęceniu 9. kompanii, która uderzyła na bagnety, otworzyło się przejście dla dwu batalionów. Ale z kompanii powróciło dwóch podoficerów Francuzów, jeden podoficer — krajowiec i piętnastu szeregowych.

W nocy była ulewa. Switem zaczęło się od nowa.

Poszli daleko w chaszczę bunkrowe, a wtedy tylne zajęte bunkry odcięły pułk ogniem. Strzelcy tunizyjscy poczuli się jak zwierzę w śmiertelnej obieży, które wpada w szat. Schwyłali na ramiona ciało poległego porucznika Boukkas i szli z nim, jak ze sztandarem, na bunkry.

Nic nie pomogło — noc z 26 na 27 stycznia znalazła ich w śmiertelnym potrzasku: bez wody, bez żywności, niemal bez amunicji i bez nadziei, że ją doniosą.

Na osaczonych szedł ogień z wszystkich stron: o 300 metrów z przodu, o 300 metrów z tyłu, z broni małokalibrowej, moździerzy, dział, nebelwerferów. Dwa dni bez wody, pięć dni



bez jedzenia, trzydzieści ataków na bagnety, dowódca pułku zabity, ranni dwaj dowódcy batalionów, zabitych 11 kapitanów, wszyscy co do jednego dowódcy kompanij zabici lub ranni, na ogólną liczbę 40 oficerów — zabitych 23, zabitych 162 podoficerów i 1300 szeregowych.

Walki innych oddziałów odznaczają się zaciętością, przynoszącą chlubę najlepszym dawnym tradycjom francuskim.

Powtórzę jeden wypadek z wielkiej liczby, które mi opowiadano:

Kapitan Tixier, oficer, który się świetnie odznaczył w kampanii francuskiej. Trzydzieści jeden lat. Troje dzieci. Ranny 29 stycznia, odmówił udania się na tyły.

*Goumi zaczęli na Arabach...*



*Żołnierz gen. de Gaulle'a*





30 stycznia pocisk zerwał mu czoło (tak: „*éclat d'obus lui fait sauter le front*” — pytałem lekarzy, mówili, że to możliwe), pozbawił obu oczu i nosa. Dostarczyli go z tą straszliwą raną na punkt opatrunkowy. Nie był zaszokowany, rozmawiał przytomnie. Rozumiał, że stał się ślepcem, ale nie zgadzał się, by go ewakuowano poza kolejną. Ewakuowany wreszcie z czterema strzelcami do Neapolu, zdarł w drodze szlify, aby niczym się nie różnić od szeregowych i w ewidencji szpitalnej podał się za własnego ordynansa. Zmarł po 12 dniach.

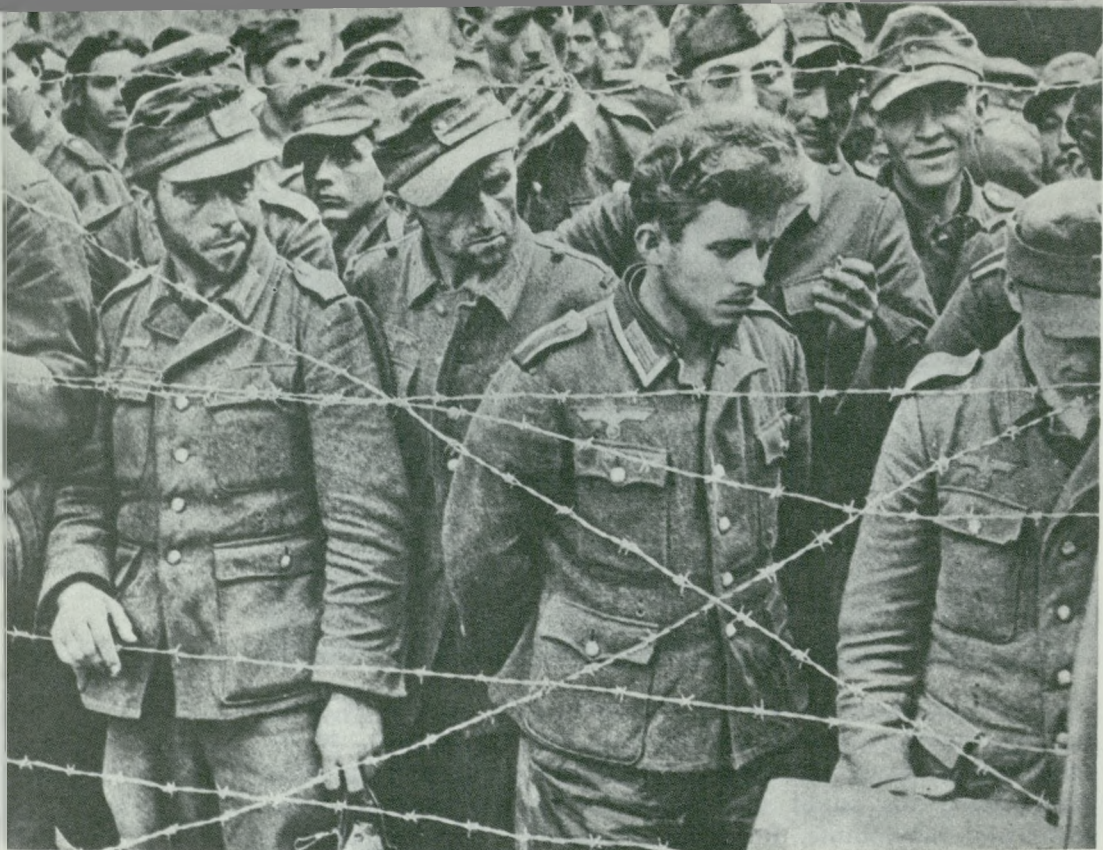
Francuzi przeważnie zostali zepchnięci, ale z ich natarcia zostało w rękach aliantów Castellone.

„...ale moździerz okazał się skuteczniejszy”



Strzelec tunizyjski





A poza tym, poza licznymi Niemcami, których zabili, 1200 jeńców dostało się w ich ręce.

Do tego częściowego sukcesu francuskiego na lewym skrzydle ich natarcia przyczyniło się — natarcie 34. dywizji amerykańskiej, która nacierała w środku między Francuzami i 36. dywizją amerykańską, której dzieje właśnie skończyłem wertować.

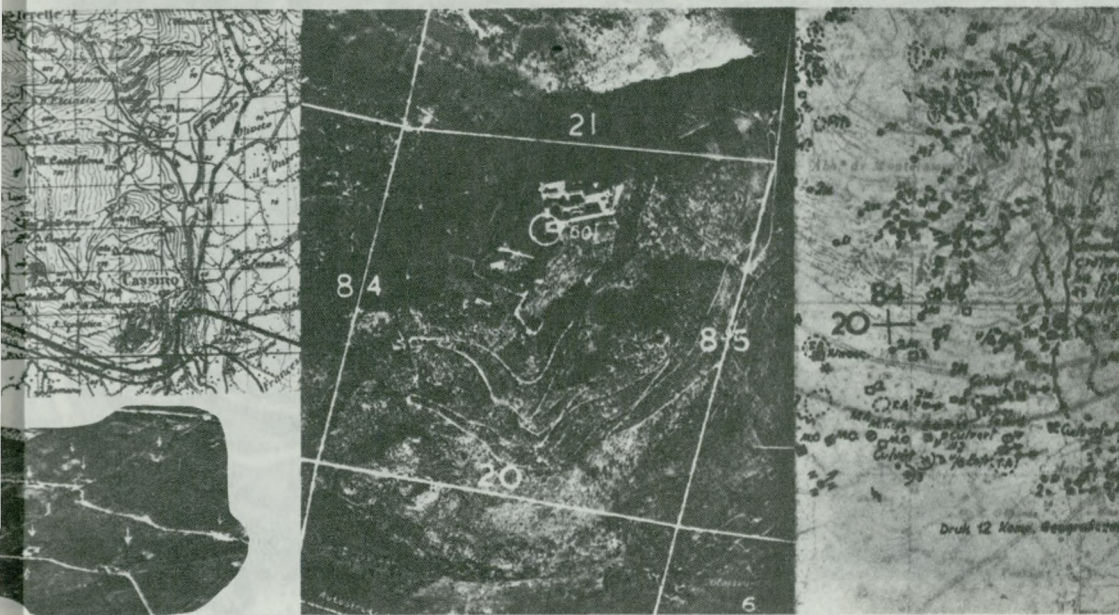
Jest już późno, kiedy dochodzę do końca tej pierwszej fazy. Krótka się ona opowiada, ale długo studiuje — z raportów poszczególnych oddziałów, ze zdjęć błotnistych pól, pokrytych szklistymi lejami, wypełnionymi wodą, pól, podzielonych płotami, rowami, z planów ogni artyleryjskich, z rozszyfrowanych i zinterpretowanych zdjęć lotniczych przeniesionych na mapy tysiącem konwencjonalnych znaków.

Podniosłem głowę. Krzykliwa gromada korespondencka się przeredziła. Wziąłem do ręki drugi plik sprawozdań. To-34. dywizja... To — pewno my tam...



*Goumi używają do walki wręcz sztyletów zw. „Koumia”*





— Nie ma pan mapy odcinka tego terenu? — spytałem obok siedzącego korespondenta, którego palce metodą amerykańską, jak robaczki roily się po maszynie, nie odrywając się od klawiatury.

— *Of course* — zażuł gumę zdwojonym tempem. Przechylił się z krzesłem do ściany z rozdzielnikiem; ugiął zaskony namiotowej:

— *Hallo, boys — number seventeenth and eighteenth.*

Po chwili z przyległego namiotu obsługującego kwaterę prasową przyniósł podoficer żądane wycinki.

Zainteresowany sąsiad zajrzał co też rozglądam.

— Bo widzi pan. tłumaczyłem — my tam jesteśmy... I może...

— *I see* — pokręcił głową. — Jimmy — zawołał do innego — ty tam byłeś — chodź no, coś powiedz.

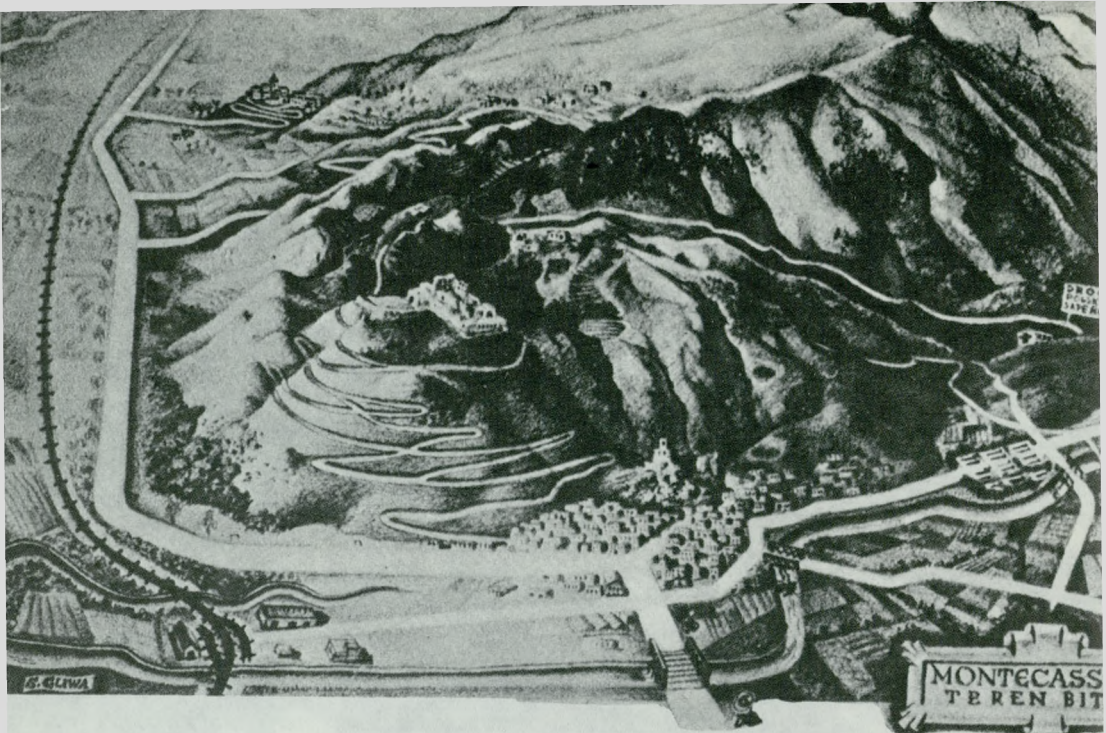
Mały czarny Jimmy, zapewne jakiejś *spanish extraction* przełożył się przez stół.

— Tu staliśmy — tknął palcem w dół od pokratkowanego prostokąta. Ten prostokąt — to Villa — wielkie baraki jenieckie jeszcze z tamtej wojny. W nich byli Niemcy.

Przerzuciłem wzrok na wiszącą na ścianie wielką mapę fi-







zyczną Włoch. Zobaczyłem wypiętrzony masyw górski, wąską dolinę Liri na zachodzie, nad którą dominował masyw Klasztoru. Tędy — odwieczna droga do Rzymu i innej nie

Ale bystry jak skra Jimmy, zamiatając po rozłożonym na stole odcinku mapy kruczą czupryną, mówił namiętnie:

— W Villi byli *Jerries*, a my tu... o, widzi pan? — tu, 34. dywizja. O — 2.000 jardów od rzeki *Rapido*. Zła rzeka! — wstrząsnął się — dostępy błotniste, prąd bystry, szerokość — 80 stóp, głębokość 12 stóp — nad nią i nad Villą i nad całym naszymi 2,000 jardów zaraz bezpośrednio wisi Klasztor *Monte Cassino*, mający wgląd w każdą menażkę, a na północo-wschód — amfiteatr najeżony bronią, każdy jego taras wyższy i strzelający przez drugi — *Maiola*, *Castellone*, *Cairc* — 400 metrów wzniesienia na każde 1000 metrów.

Łypnął okiem na zegarek — zbliżała się pora, kiedy oszalały z pędu motocyklista z szybą celuloidową przed sobą, w hełmie chroniącym przy upadku, pomknął z *red bag'em* — workiem czerwonym dla przesyłek extra. Jimmy machnął ręką:

— Co będę panu mówił; chłopcy z 34. dywizji są niedaleko, bo dywizja stoi w odwodzie.

I zapętał szybkimi robaczkami palców po klawiaturze.

## (4) 133. PUŁK WDZIERA SIĘ DO M I A S T A C A S S I N O

Nazajutrz z dodanym *conducting officer* jechałem do 34. dywizji.

— Do 133., czy do 135. pułku? — pyta Amerykanin.

— Najpierw do 133. — mówię. Ten pułk bezpośrednio nacierał na Klasztor. 135. — uderzał bardziej na prawo, teraz tam stoi 3. Karpacka, tam pewno... my...

Oficerowie 133. mieszkają w jakimś pałacyku. Adonisy i Wenery ustawione na załomkach schodów noszą na głowach bełmy.

Oficerowie przeważnie porozjeżdżali się na urlopy.

— Walki o Monte Cassino? — *Oh, yes* — mówicie z kapitanem Longiem.

Kpt. Long dobrze się nazywa. Jest to duży blondas, wylegujący się pod moskitierą. W pokoju ciasno, stoi osiem łóżek polowych, ale nikogo nie ma. Kiedy kpt. Long podnosi się, widzę na jego piersi *Infantryman-badge* — karabin na



długiej niebiesko emaliowanej bagietce, którą otacza srebrny wieniec. Taką odznakę ma prawo nosić każdy, kto był w linii. I za tę odznakę wdzięczna ciocia-Ameryka dopłaca każdemu szeregowemu do i tak sutego żołdu jeszcze 10 dolarów miesięcznie.

Kpt. Long dowodził w akcji na Monte Cassino kompanią, którą przejął po poległym nad Voltorno dowódcy. Szedł z nią na prawym skrzydle ataku 133. pułku. Szli owe dwa tysiące jardów, o których mówił Jimmy, wodą, sięgającą





wyżej kostek. Myny, rozłożone mniej więcej co dwie stopy, wybuchały pod wodą. *Very funny!* Stracił 14 ludzi nim doszedł do rzeki. Przebrnęli rzekę dźwigając drabiny, bo przeciwległy brzeg był z pieca na łeb. Zmieścił się jeden tylko pluton, drugi przeszedł dalej, trzeci oddał sąsiedniej kompanii.

O wschodzie słońca osiągnął tymi dwoma plutonami i dwoma cekaemami wzgórze 175.

Obliczył straty: od rzeki na szczyt wzgórza ubyło mu dalszych 11.

Teraz już schodzili do pierwszych domów miasta Cassino, leżącego u stóp góry klasztornej. Będą ściany — dadzą jakiś schron. Wszystko lepsze, niż wodna przestrzeń, wybuchająca eksplozjami, wszystko lepsze, niż nagi szczyt zmiatany pociskami.

Nie wiedzieli, co znaczy walczyć w walącym się mieście!

Zajęli jakąś kaplicę i duży dom. Ledwo ustawili cekaem na dachu, ledwo powstał on w przestrzeń pierwszy bilet wizy-







towy, zwałił się na nich ogień armat i czołgów. Armat nad głową, czołgów tuż, rzekłbyś, chlusnął kto wiadrem na psa, który przyległ pod ławą. Sciana domu padła, tynk oślepił. Pluton na lewo sąsiedniej kompanii w domu obok legł pod gruzami — dziesięciu zabitych, dziesięciu rannych. Gdzie tam ratować! Trzech padło przy ratowaniu, niektórych rannych powyciągano dopiero po trzech dniach.

Pluton na prawo innej kompanii doszczętnie zniszczony. Kompania Longa odłonięta, a przecież to w tych zwaliskach walka niemal wręcz, przecież mogą ich zająć. Long posyła jedenastu na ubezpieczenie — więcej nie może, bo ze stanu 150 ludzi, z którymi ruszył, ma już tylko 80.

Na tych jedenastu poszedł wypadek 75 Niemców i zmiotł ich. Kompania Longa przeciwuderza. Za późno, bo nie odbiła ani jednego kolegi. Ale znaleźli dobry szampan niemiecki — *very good indeed*.

— Mieliście czas pić ten szampan?

Kpt. Long wyrzeszcza na mnie oczy dużego dziecka.

— Dobry szampan jest zawsze czas pić — mówi z głęboką powagą.

Po szampanie jednak było tak samo gorąco jak przed szampanem. Dwa razy rozbito domki mieszczące dowództwo kompanii. Kiedy trzeci raz rozwalono ją wraz z pocztą, sądzili, że już nie żyją. Wstają z gruzów biali jak młynarze — wszyscy cali, wszyscy — bez jednego zadraśnięcia.



Tak odgryzają się trzy dni. Sierż. Hopkins, byczy chłop, dosyła im co dzień pierwszorzędne żarcie, a więcej jeszcze, niż o żarcie dba o dosyłanie poczty. Dziwnie jest odbierać listy od girlsów spokojnie zjadających *pinapple-pie* na drugiej półkuli tutaj — na krawędzi śmierci. Ta druga półkula panuje w ich snach, kiedy skuleni pod ścianą, z karabinem w dłoni, wpadają w drzemkę. Drzemiącego kpt. Longa trąca w kolano zdyszany sierż. Joe. Dobry Hopkins przysłał mu list, a w liście wiadomość, że przyszła dla niego *rotation*, kolejka w turnusie na urlopowy wyjazd do Stanów.

— Okey — otwiera jedno senne oko dowódca — ale tymczasem wracaj chłopie do rowu.

Na trzeci dzień sierż. Hopkins przysłał por. Morrisowi — tort, nadesłany z ojczyzny! Tort był patentowany, kolegom miało oko zbieleć, kiedy go wezmą na język. Ledwo wraził por. Morris scyzoryk w ten niesłychany tort, Niemcy zrobili wypad i wyrzucili ich z domu. Wpadłszy do przyległej rudery i odsapnąwszy, wybuchli śmiechem i poczęli nabijać się z Morrisa, jak to *Jerries* teraz skuteczniają tort, od matki ze stanu Wisconsin.

Wściekł się Morris, odbił nienaruszony tort.

Na czwarty dzień, dzień ostatni przed zlurowaniem, przysła z pomocą kompania złożona z Japończyków — obywateli amerykańskich z Hawajów. Małe diabły walczyli jak szatani





w tych dniach. Oficer z ośmiu Japończykami pozwolił atakowi niemieckiemu ich minąć i znalazłszy się na tyłach nieprzyjaciela otworzył nań ogień. Teraz z całej kompanii zostało 3 oficerów i 22 szeregowych i natychmiast poszli w bój.

— Kapitanie — pytam kpt. Longa — my, Polacy, mamy z Niemcami zapiekłe porachunki. Jaki bodziec pcha amerykańskich żołnierzy?

To samo pytanie zadałem przedwczoraj szefowi sekcji historycznej. Siwowłosy pułkownik, oficer zawodowy jeszcze sprzed wojny, odpowiedział:

— *Sense of duty* (Poczucie obowiązku).

Kpt. Long pomyślał chwilę:

— Widzi pan, najpierw to może był sport i ambicja. Ale potem... — oczy kapitana poszły gdzieś w przestrzeń, w przeszłość — w ostatnim jeszcze dniu posłałem czterech żołnierzy po rannego; wyszli z wielką flagą Czerwonego Krzyża, niemiecki czołg, który stał w odległości 400 jardów, zmiotł ich wszystkich z cekaemów, żaden nie został żywy. I wówczas, w ten ostatni dzień, chcieli wszyscy zostać, nie iść na luzowanie, mścić się.

Kompania Longa zesła ze stratami mniejszymi. Ze stanu 7 oficerów i 150 żołnierzy pozostało w niej 3 oficerów i 64 żołnierzy. W obu sąsiednich kompaniach zostało po 40 ludzi.



Żaden z tych czterech żołnierzy nie został żywy.



## (5) KOŚCI 135. PUŁKU ZOSTAŁY N A W Z G Ó R Z U 5 9 3

W baonie drugim 135. pułku piechoty 34. dywizji znajdują oficerów w półkoszulkach słoczonych w ciemnym wnętrzu. Paruje z nich zmęczenie, wycofani zostali dopiero przedwczoraj.

— Chce pan dowiedzieć się o naszym udziale w walce? *Very well* — ozywiają się nagle, widząc na mapie miejsce, w którym wskazują stanowiska Karpackiej dywizji — nasz batalion stał tam właśnie. Wie pan co? — zawołamy panu paru naszych żołnierzy

Ale na razie nie ma na to czasu, bo proszą na obiad. Siedzę po prawicy zastępcy dowódcy baonu (dowódca na urlopie) i znowu jem indyka i piję sok pomidorowy. Major, błyskając złotym liściem dębowym na kołnierzu (gdyby liść był srebrny, byłby podpułkownikiem; Kanadyjczycy mają jako godło liść klonowy — nam zapewne z całej flory zostanie liść figowy) — informuje o przebiegu walk swego batalionu, w którym nie był wówczas, ale które zna na pamięć.

Kiedy 133., z którego właśnie przyjeżdżam, nacierał na Monte Cassino, na wprost Villa, ich 2. baon otrzymał rozkaz okrążenia Klasztoru bardziej na prawo od 133. i uderzenia od północy.

Batalion pod dowództwem ppłka Kessnera ruszył 1 lutego o g. 02,30 w nocy i maszerował 5 mil. Rzekę R a p i d o, odchylając się od pozycyj niemieckich w swym górnym biegu, przeszli cichcem bez trudności, po czym kpt. Lance i sierż. Singlestead wyforowali się, w pokryciu mgły, do góry we wznoszący się teren i przecięli telefoniczne druty niemieckie. Po czym niezwłocznie poszedł do natarcia, przy czym Niemcy próżno zerwaną łącznością wzywali o wsparcie artyleryjskie. Dowódca niemieckiego baonu wraz z 56 ludźmi wpadł w ręce amerykańskie.

Potem już nie szło tak łatwo — czujność nieprzyjaciela była zbudzona. Kiedy szli GłowąWęża ku sławnemu 593, na którym tyle trupów ich i ich następców zległo, począł ich



szarpać ogień. Dowódca baonu ppłk Kessner czuł się fizycznie niezdolny do prowadzenia natarcia i zamieniono go przez mjr Landaua.

593 zdobyli. Jest to szczyt, nad którym górują ognie szczytów sąsiednich. Szczyt ten pokrywają resztki starego fortu, mury, głązy, załomy, w których łatwo się kryć, z których trudno się wycofywać. Na tym szczycie siedzieli osiem dni, ponosząc beznadziejne straty od niewidzialnego wroga, odpierając dokuczliwe ataki ze wzgórza 569, będącego niejako przedłużeniem wzgórza 593 na północ ku Klasztorowi. Cały stan baonu zaangażowany był w walce, prowizję i amunicję donosili kucharze i kierowcy. Strawy ciepłej nie wzięli w usta przez cały czas. Narznęli atakujących Niemców — 150 ich trupów leżało na przedpolu jednej tylko amerykańskiej kompanii. Ale nie mogli się utrzymać w systemie ognia panujących wzgórz. Wycofali się, baon stracił w zabitych, rannych i zaginionych 7 oficerów i 197 podoficerów i żołnierzy.

Po obiedzie przeszedłem do pokoju, gdzie już zgromadzono kilku uczestników tych walk.

Por. Booth, dowódca plutonu w kompanii F., która pierwsza weszła na Głowę Węża, opowiada, że pluton czołowy miał dwu rannych i wziął ich na nosze. W tym momencie zaatakowali

*Obserwator amerykański  
na wzg. 593*





Niemcy i wzięli do niewoli obu rannych wraz z ośmiu noszowymi. Pluton rzucił się, odbił tych swoich i wzięł 10 Niemców do niewoli. Z kolei Niemcy, uderzywszy, odbili swoich i wzięli do niewoli 8 innych Amerykanów.

Sierż. Hudson opowiada jak rozgrzał się im mózdzierz do tego stopnia, że strzelać było trudno. A tu szło przeciwuderzenie niemieckie za przeciwuderzeniem.

Sierż. Muro, cekaemiarz, opowiada, że miał tylko 30 jardów widoczności i co się wynurzyli Niemcy na te 30 jardów, to prał, aż w niebie grzmiało; jednego Niemca położył na 10 metrów od cekaemu; gdy przeciwuderzenie odpłynęło, wyczołgał się i przywłókł rannego.

Sierż. Aittanieni, łącznościowiec, opowiada, jak został ranny przy naprawianiu przewodu, który wciąż się rwał.

Sierż. Spellman, więty do niewoli z drużyną — uciekł, choć ranny.

Sierż. Swenson objął pluton, złożony już tylko z pięciu ludzi, po czym został ranny.

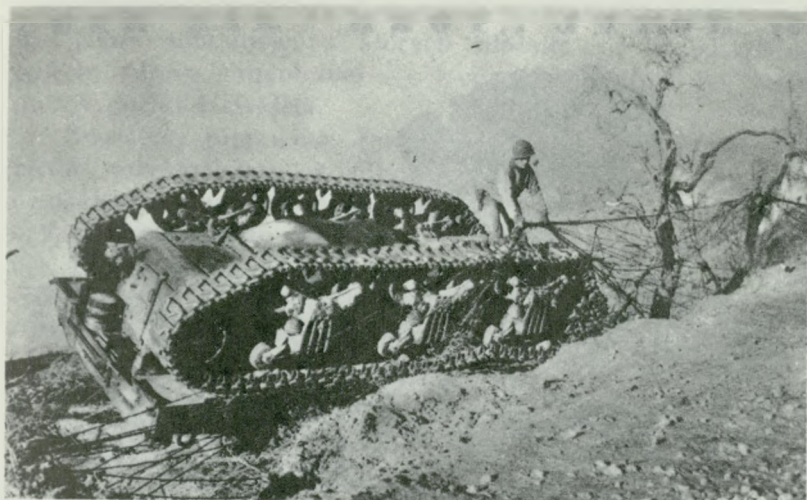
Szereg. Kytleka walił z automatycznego karabinu bez podstawki, z ramienia, byle prędzej.

Sierż. Knutson opowiada, jak biegiem nosili amunicję, jak

*Sierż. Hudsonowi rozgrzał się mózdzierz*







Sierż. Aittanieni za chwilę zostanie ranny przy naprawianiu przewodu

strzel. Gajewskiemu ciurkiem krew się z nosa łała, przecież biegął w dół i w górę, czerwony jak szatan.

Skupili się koło mnie, odważają ciężkie słowa, kładą je na wagę prawdy, podaje się ciężka waga ku dołowi. Milczy dowódca kompanii Lt. Brown — został ranny przy samym początku ataku i nie widział, co działo się dalej.

Brown — z pochodzenia Anglik, także por. Booth; Hudson — Norweg; Muro — Hiszpan; Spellman — Niemiec; Aittanieni — Fin; Swenson — Szwed; Gajewski i Kytleka — Polacy; w propagandzie znowuż opiekowali się mną oficerowie Żydzi.

Wielki *melting pot* — wspólny garnczek zeszmelcowujący rasy.

Wielkim kitem jest wolność; jeszcze większym — wspólnie przelana krew. Z krwawego wzgórze 593 ci, którzy na nim byli, zesli więcej Amerykanami, niż na nie weszli. I dźwięczniej i potężniej brzmieć będzie Star Spangled Banner wojsk wracających z krwawych pobojuwisk świata do swego bezpiecznego kraju. Szczęśliwi.



## (6) HOTEL „YORK” SIĘ BAWI



W hotelu „York” w Campobasso dym gęstym zwałem stoi w sali natłoczonej przez oficerów wszelkiej broni.

Hotel „York” dożył swego sędziwego żywota jako *Albergo Grande* i został „Yorkiem” z mianowania zwycięzców na równi z pryncypalnym placem obok, który nazywa się „*Picadilly Circus*”.

Rozparli się zwycięzcy w zadymionej sali, wyciągając daleko przed siebie podkute buty, spodnie opięte w pochodowe spinacze. Battle-dressy parują rosą wsiątkłą po oliwkowych gajach, pruszą kurzem, zebrany z tych nieskończonych numerów szos.

Pod tymi numerami nie rozeznasz dźwięcznych, pełnych tysiącletniej treści nazw *Via Cassilina*, *Via Appia*, *Via Aurelia*.

W hotelu *York* stara służba o profilach markizów nie serwuje już gościom filigranowych *spaghetti*, któreby ci posiekali nożami, opiekanych w cieście *polpo di mare*, któreby pałaszowano w dobrej wierze jako kurczę po wiedeńsku, aromatycznych *ravioli*, pieczonych na miniaturowych rożenkach *uccelletti*. Zmęczeni markizi roznoszą co dzień to samo — kiełbaski konserwowe przyrządzone pół na pół z mąką z soji, boczek z puszek, z którego ulotnił się wszelki świński zapach i nieśmiertelny *corned beef*, zuty we wszelkich formach.

Walcząca ludzkość pięć lat już nie je a zuje — zuje smęt-





nie jakieś substancje, z których ulotniło się najodleglejsze pojęcie strawy organicznej — zwierzęcia, rośliny — został numer puszki i etykieta.

Zwycięzcy piją wino. Dużo wina. Nie jest to złociste *Orvietto*, przejeżdżające w olbrzymich beczkach na różowych dwukołowych wozach malowanych w maski i girlandy przed najfantastyczniejszym mozaikowym frontonem swojej katedry; nie jest to cierpkie, czerwone jak krew, *chianti*, z których *chianti* z *Val D'Oro* jest najlepsze, ale dopiero ci, ulewający zatykającą amforę oliwę, oberżysta szepnie, z którego to *Val D'Oro*, bo są cztery.

Zwycięzcy nie piją różowego falerna, który tak mię krzywdził (i tak mi pomagał) w latach młodych.

Markizowie kursują po sali z naręczami butli po jakieś ułamki centów butla. Nie ma w nich nawet *petits vins*, jakie lekko i bezfrasobliwie się ciągnie po jakichś *Hotels de Negotiants* przy szosach Francji. Jest to ciężki chłopski kwas na winnej jagodzie. Wymiana dóbr między wyzwolicielami i wyzwołonymi - na stopniu najniższym.

Cała sala ryczy „Lili Marlen”, pieśń którą przyniósł do Libii korpus Romm! :

*Vor der Kaserne, vor dem grossen Tor.*

*Stand eine Laterne und steht sie noch davor.*

Grupa Polaków w kącie sali wydziera się, aby przekrzyczeć Anglików:

*Tam się spotkamy, gdy minie zły sen,*

*Ja i dziewczyna z włosami jak len.*

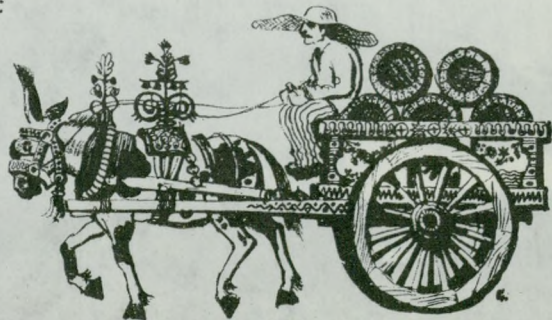
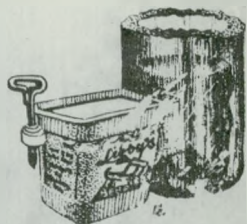
Anglicy podejmują „*competition*”:

*With you, Lili Marlen!*

Czy ja tylko i mój sąsiad jesteśmy trzeźwi?

Sąsiad — to kapitan hinduski. Oczy łani w oliwkowej cerze i drobny wąs nad drapieżną wargą. Stało się, że poczęliśmy mówić i nie pozostałem. Mówiłem — z uczestnikiem tych bojów sprzed miesiąca.

Sąsiad przysunął się do samego mego ucha i wołał — przez ten nie ludzki gwar i harmider:



## (7) DRUGIE WIELKIE NATARCIE — K L A S Z T O R Z B U R Z O N Y



— Nocą z 11 na 12 lutego 7. hinduska brygada piechoty zajęła rejon koncentracji na dolnych wschodnich zboczach Castellone („Gdzie teraz 15. pułk ułanów poznańskich” — przemknęło mi przez myśl).

Cztery brygady piechoty skoncentrowano pod miastem Cassino, a piątą nieco na północ.

O godzinie 12 ciężki walec artylerii poszedł przed nowozelandzkim baonem. O 13. zajęli dawne pozycje amerykańskie (westchnąłem do tortu por. Morrisa). Ale cóż — nocą Niemcy napływają...

*Walec artylerii widać na lewo. To zdjęcie pokazuje cały 4 kilometrowy odcinek polski od M. Cassino do M. Cairo (pokrytego w czasie drugiego natarcia śniegiem)*







W tym miejscu pieśń się skończyła i ostatnie zdanie Hindusa huknęło po sali.

— Nic bestiom nie można było zrobić — zagrzmiał biesiadnik przez stół — napływali jak robactwo, nasi szli dołami domów w jedną, a oni szli dachami w drugą stronę.

Mówiący, był to kapitan artylerii angielskiej z wąsami jak wiechcie. Potem mi wyjaśnił, że odbył tamtą wojnę, że tę rozpoczął jako sierżant i tak się w linii dorobił.

— Byłem obserwatorem artyleryjskim na początku *mad mile* („Szalonej mili” — będącej stale pod ostrzałem) — zna ją pan?

— Jakże ją mam znać, kiedy tuż nad nią i teraz Niemcy siedzą — wrzuszam ramionami.

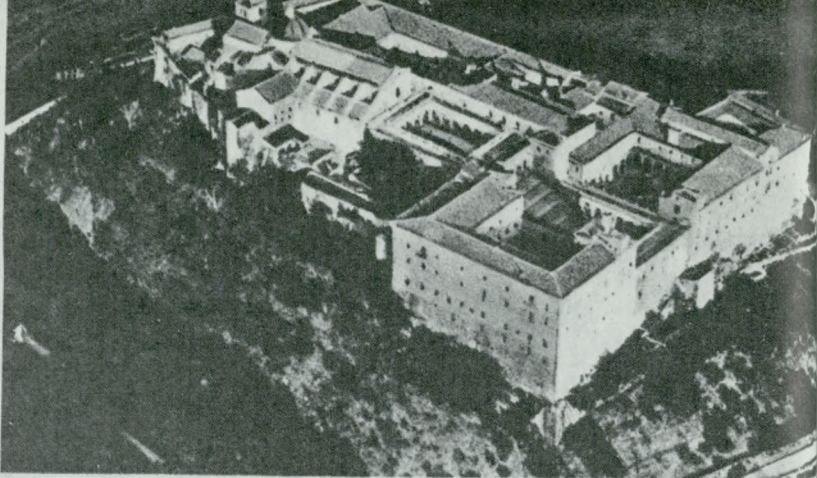
— Racja. A widzi pan — byliśmy znacznie dalej, ale cóż, nie miał kto obsadzać domów. Wystarczyłby do tego *Home Guard*, zwykły *Home Guard* — dodał z całym uczuciem pogardy dla cywilów udających wojsko.

— W nocy z 14 na 15 — ciągnął Hindus — wycofano się z miasta spod tego złowieszczego Klasztoru, który tak dotkliwie kąsał i postanowiono go unieszkodliwić.

*Taki wgląd mieli Niemcy na mad mile i dolinę rz. Rapido*



Klasztor — jeszcze nie  
zbuzony!...



Jak dojrzała decyzja, która spowodowała tyle protestów, której echo odbiło się w interpelacji w parlamencie angielskim? \*)

Niemcy, obsadziwszy okolice Monte Cassino do Klasztoru nie weszli, deklarując go jako terytorium neutralne — państwa papieskiego.

Ale niebawem poczęły się kwasy. Pod pozorem ustrzeżenia bogatej biblioteki klasztornej od skutków wojny, wywieźli ją w niewiadomym kierunku... Kiedy wykryto, że bibliotekę ukryli w Spoleto, zrobili "dobrą minę do złej gry", oświadczając, że w głowie im nie powstało przywłaszczanie biblioteki, którą wywieźli bez zgody, bez wiedzy władz kościelnych i trzymali w miejscu niewiadomym.

Odgrywając się — postanowili zrobić widowisko propagandowe jak to Niemcy ratują skarby ducha, jak je przywracają prawym właścicielom. Biblioteka miała zostać przewieziona do dóbr papieskich Castel St. Angelo i wręczona z pompą i pod obiektywami kinooperatorów OO. Benedyktynom. Prymas Fidelis otrzymał zaproszenie odegrania głównej roli w tym *Schauspiel* jako przyjmujący bibliotekę powracającą na łono zakonu.

Równocześnie jednak nie mogli Niemcy powstrzymać się od robienia złej krwi: ojca Idefonsa Rea, opata klasztoru w Cava, zamknęli w jakimś składziku i trzymali przez dziesięć dni pod zarzutem przechowywania angielskich spadochroniarzy.

\*) *Przypisek po bitwie*: Szczegóły, które tu podaję, otrzymałem od OO. Benedyktynów już po zajęciu Rzymu i zdążyłem włączyć do tekstu napisanego przedtem.



Ojciec Fidelis, prymas Benedyktynów, w cywili Freiherr (baron) von Stotzingen \*) — zachorował dyplomatycznie i udziału w widowisku nie wziął.

Kiedy pod Klasztor posunęły się wojska alianckie, przed furtą klasztorną stanęło auto z oficerami niemieckimi.

Opat Gregorio Diamare powitał gości, pomny na rozdział LIII reguły św. Benedykta:

*Zaczem wszelakich gości, gdy przychodzą albo odchodzą, uniżywszy głowę, albo też upadłszy całkiem na ziemię, przyjmować mają „jako samego Chrystusa Pana, który się też w nich przyjmuje” (Mat. 18, 5).*

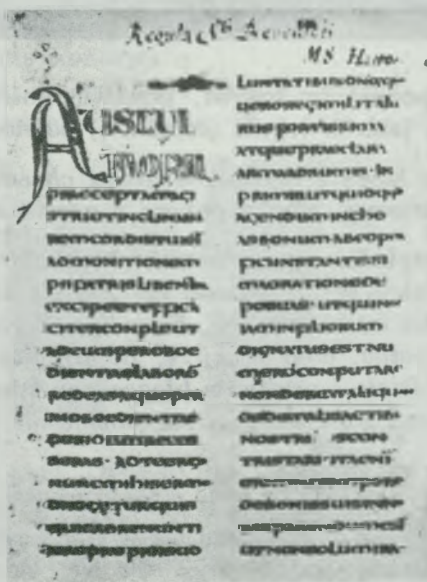
Goście wyłuszczyli, że, szanując neutralność Klasztoru, wojska niemieckie znajdować się będą poza strefą 300 metrów.

Acz służbie Bożej oddany, opat westchnął ciężko: jużci rozumiał, że 300 metrów...

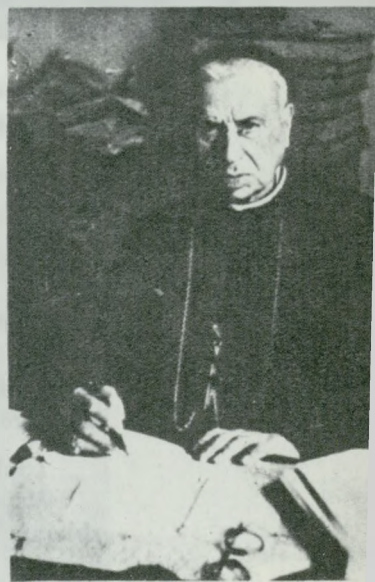
\*) Przepisek po bitwie: Prymas Fidelis był w 1891, r. w nowicjacie w Beuron, mając jako przełożonego R. P. Benedykta Radziwiłła.



Opat Benedyktynów o. Fidelis von Stotzingen



Reprodukcja uncyotu reguły św. Benedykta z VIII w.



Opat klasztoru Monte Cassino o. Gregorio Diamare

+ Fidelis de Stotzingen

Abbas Primas O.S.B.

Autograf Prymasa oo. Benedyktynów udzielony autorowi



Dziedziniec ze studnią — dzieło Brömanfe

Ale poddał się losowi, uczciwie gości ku furcie przeprowadzając, jako że reguła (*capit XX*) powiada :

*Jeżeli kiedy z ludźmi możnymi chcemy co rozmawiać, nie śmiemy inaczej, jeno z pokorą i uczciwością.*

Przemykali się spłoszeni braciszkwowie napotykanii po drodze. Jako, że „z gośćmi nie ma się żadnym sposobem kto łączyć albo też rozmawiać, komuby nie rozkazano, ale jeśli się z nimi spotka, albo je ujrzy, pozdrowiwszy je pokornie jako się powiedziało i prosić o błogostawieństwo, niech mijają, mówiąc, że mu się z gościem rozmawiać nie godzi.

I tak się ustaliło.

Mając na sobie ciężący kamień owych trzystu metrów, zbierali się Ojcowie i Braciszkwowie na siedem modłów dziennie — na Laudę, Prymę, Tercyę, Sextę, Nonę, Nieszpór i Kompletę, aby się stało jako mówi Prorok: „Siedemkroć przez dzień oddawałem Ci chwałę” (Psl. 118, 164).



I o północy, kiedy na Colle D'Onofrio warty wy-  
patrywały oczy, zmieniały się w słuch, a trzaśnięcie suchej  
gałązki wywoływało przewlekłe kanonady, zbierali się Ojco-  
wie i Bracia na północną jutrznię, aby się wypełniło jako Pro-  
rok powiedział: „O północy wstawałem wychwalać Ciebie”  
(Psal. 118,62).

Rozpoczynali od wiersza X: *Deus in adiutorium meum in-  
tende*, po czym trzy razy mówili *Domine labia mea aperies,  
& os meum annuntiabit laudem tuam*. Potem zaraz przydawali  
Psalm III: *Domine quid multiplicati sunt etc.* i *Gloria & C.*  
Następnie śpiewali Psalm 94 z Antyfoną, potem hymn św. Am-  
brożego, zatem sześć Psalmów z Antyfoną, które skończywszy,  
opat benedykcję dawał. Tedy siadali w ławach i Bracia na  
przemiań na pulpicie z księgi trzy Lekcyje czytali, między któ-  
rymi lekcyjami trzy Responsoryja śpiewano, po czym Kantor po-  
czynął Glorię, a wszyscy z ław powstawali dla „uczciwości i  
dla uszanowania Trójcy Świętej”.

A po tych trzech Lekcyjach drugie sześć Psalmów z Alle-  
luja było śpiewanych. Po których Psalmach Lekcyja z Aposto-  
ła była czytana i wiersz z modlitwą i Litanją, albo Kyrie elej-  
son i tako się Jutrznia kończyła.

Z dnia na dzień Braciszkwie głośniej musieli wywodzić  
swe pienia, aby się zagłębić w Panu. Bo z dnia na dzień coraz





blżej przysuwali się Niemcy, z dnia na dzień coraz to szczyptał magiczny krąg trzystu metrów, zakreślony dookoła Klasztoru, magiczny krąg, za który nie miała prawa wejść się Nieczysta Siła.

Wreszcie ustaliło się, że nocami podjeżdżali czołgami pod same mury Klasztoru i strzelali spod ich ochrony.

Wówczas...



— We wtorek 15 lutego od rana 255 bombowców rzuciło na Klasztor 351 ton. Nie żałowali rozrzutu, zabili 24 żołnierzy





naszej 4. hinduskiej brygady. Ale widzieliśmy jak sciany olbrzymiego kompleksu klasztornego wałę się jak domki z kart.

Spełniło się, co nakazywał zakonnikom 477 punkt Reguły:

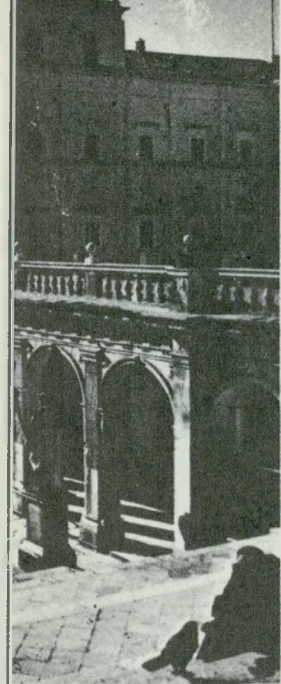
*„Śmierć zawsze obecną mieć przed oczyma”.*

Liczne rzesze ludności cywilnej zebrały się w Klasztorze. Zucili się do ucieczki, zostawiając pod gruzami stos trupów (jak mi mówili zakonnicy).

Zgrzybiały osiemdziesięcioletni brat *Carlomano* nie miał rady schodzić z innymi i powlókł się do ruin z powrotem.







W ruinach też został kruk. Zwykle każdy klasztor benedyktyński hoduje kruka na pamiątkę tego kruka, który św. Benedyktowi miał przynosić żywność do pieczary w Subiaco.

Fra Carlomano sześciał gdzieś w zimnie i głodzie. Krukowi działa się lepiej wśród tylu trupów; widziano go przez szereg dni jak polatywał nad Klasztorem — jedyny kruk na pobojowisku bitwy o Monte Cassino.

Ale opat Gregorio Diamare trwał, aż Papież wysłał auto i wyciągnięto go spod ruin.

Potem, gdyśmy zdobyli Monte Cassino, czytałem w publikacji, którą wziąłem niemieckiemu jeńcowi: *„Es ging ein Schrei der Empörung durch die ganze Welt”*. — (Światem wstrząsnął dreszcz oburzenia).

— Ale cóż — kontynuował Hindus — równocześnie spadł silny deszcz; wypełnione wodą leje udaremniły posuwanie się czołgów; operacja z miasta na górę stanęła, za to poszło natarcie boczne.

Nastawiłem uszu. Bo to zapewne — nam sądzonym szlakiem.





## (8) ROYAL SUSSEX ZAŚCIELA TRUPEM 593

— Wieczorem 15 lutego — poszedł *Royal Sussex* na wzgórze 593. Nieprzyjaciel był tak blisko, że wyszli bez rozpoznania (nam też nie pozwalają na patrolowanie — pomyślałem). Nie oceniono terenu. Czołowa kompania uwięzła na rozpadlinie nierozeznanej na mapie.

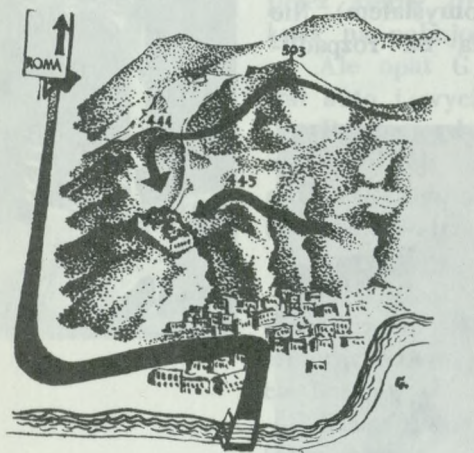


Nazajutrz — uderzyli już całym batalionem. Obeszli rozpadlinę, uderzyli na wzgórze. Pan wie od Amerykanów, jak ich tam zdziesiątkowali Niemcy. A przecie wówczas to nie była główna ich pozycja obronna, wówczas główną pozycją obronną była przeprawa przez *Rapid* o. W tym natarciu były już najeżone bunkry powiązane siecią ogni. (I są — pomyślałem sobie — bo przecie Niemcy siedzą na 593, a nasz 3. Baon Karpackiej leży przed ich pozycjami i warczy).

— Wyczerpali granaty i odpłynęli, zostawiając 12 oficerów i 130 szeregowych.

I wówczas złuzowaliśmy ich my — *Rajputana Rifles*.

## (9) HINDUSI SKŁADAJĄ KRWAWY OFIARY NIENASYCONEMU 593



*Religia zabrania Sikhom obcinać włosy*

Uderzyliśmy o północy z 17 na 18 lutego. Żołnierz dał się, kiedy oficerowie padali. O 4. nad ranem batalion zajął 593, mając tylko dwu oficerów. Mimo to poszli jeszcze dalej, zajęli 444 — już byli tuż pod Klasztorem — czekali na uderzenie Gurków z lewa, od 445.

Gurkowie! Świetny żołnierz, sławiony przez wszystkich angielskich pisarzy. Nieulekli i zacięci. Weterani bojów w terenach górskich Afganistanu, Syrii, Abisynii i Tunisu. Pułki, w których oficerowie angielscy ubiegali się o zaszczyt służenia.

Poszły ich dwie kompanie na Klasztor, trafiły na zbity gąszcz ciernistych krzaków, w których uplątali się i zostali wybici — do nogi.





## (10) MAORISI KŁADĄ SIĘ JAK ŁAN ZBOŻA

Z lewa jeszcze od Gurków idący batalion Maorisów miał zająć obronę Klasztoru doliną Liri.


Szli śniadzi prześlicznie zbudowani leccy chłopcy — jedyna rasa kolorowa zaadoptowana i równouprawniona z rasą anglosaską. Otrzymałem kiedyś list od jakiegoś mego słuchacza nowozelandzkiego, który, po nałykaniu się problematów linii Curzona i mniejszości — opisał mi w specjalnej epistołe stan prawny Maorisów. Epistoła była pełna wycień, jakie uprawnienia w kupnie ziemi, w myślistwie i rybołówstwie ma Maoryjczyk, a jakich nie mają biali Nowozelandczycy. List kończył się dosyć nieoczekiwanie: „Ale on na to wszystko zastępuje (p. m. Maoris), bo jest on *good fellow*”

Teraz szli ci *good fellows* kraju o najwyższym życiowym standardzie na świecie — strzelać do Niemców, których nie widzieli nigdy. Mokrada wstrzymały ich tanki — batalion położył się jak łan.






## (11) TRZECIE GENERALNE UDERZENIE I G E N E R A L N A R Z E Ż



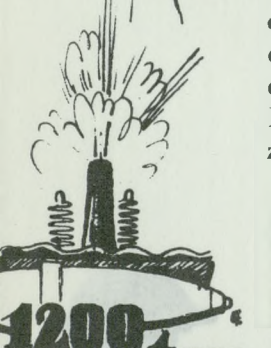
100  
szt.

Dowództwo operacją postanawia czekać, aż miną roztopy, ażeby można było uderzyć i z doliny Liri. W czasie tego czterotygodniowego natarcia straty na odcinku i w liniach zaopatrywania wynosiły przeciętnie po 60 dziennie (dzisiaj właśnie dowiadywałem się o nasze straty; obliczają je przeciętnie na 30 dziennie).



Po czterech tygodniach, 15 marca, rozpoczęto najkrwawsze i ostatnie, trzecie natarcie na Klasztor (pierwsze było amerykańskie). Wzięły w nim udział: 2. dywizja nowozelandzka w składzie dwóch brygad piechoty i jednej brygady pancерnej, 4. hinduska, również złożona z trzech brygad i sławna 78. angielska dywizja piechoty, również trzybrygadowa.


To trzecie z rzędu uderzenie nie tylko potraktowano wiele poważniej, rzucając dziewięć brygad. Postanowiono skoncentrować na nieprzyjacielu niebywały ogień. 196 dział miało zwalczać artylerię nieprzyjaciela, 294 dział miało przygnieść jego stanowiska obronne, 88 dział miało dać ruchomą zasłonę idącą do szturmie piechocie.



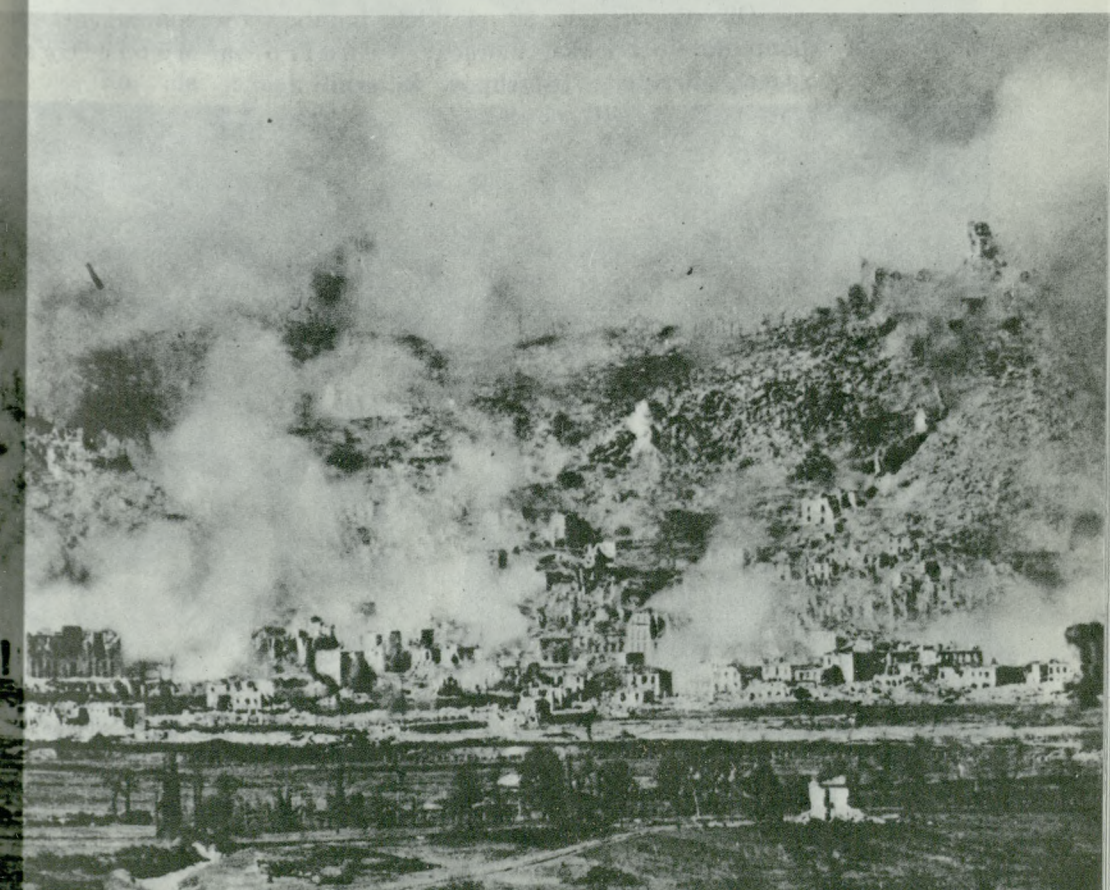
1200 ton

Przypuszczano, że po trzy i pół godzinnym bombardowaniu nie trudno będzie zająć miasteczko, na którym ongiś stało C a s s i n o. W ciągu tych trzech i pół godzin rzucono na Klasztor 1200 ton amunicji. Ponadto 514 bombowców zruciło na Klasztor i otaczające pozycje 1100 bomb. Bombardujący Amerykanie, którzy w poprzednim natarciu zabili 24 Hindusów, teraz również nie żałowali sobie...

— Co tam 24 Hindusów — zaklął szpetnie artylerzysta —











*D-ca V armii amer.  
gen. Clark*

*D-ca VIII armii  
gen. Leese*

od nas telefonują do sztabu 8. armii, skarżąc się na tych wesołych chłopaków amerykańskich. A dowódca tej armii, gen. Leese, odpowiada: „Przecie ja sam w chwili obecnej ze schronu z wami mówię”.

Zirytowani Anglicy dowcipkowali, że wreszcie ujawniła się „tajna broń Hitlera”.

Okazało się, że 30 ciężkich bombowców amerykańskich pomyliło się z lekka, biorąc... Venafro za Monte Cassino. Rezultat: 18 trupów 8. armii.







— No, ale jednak batalion spadochroniarzy w mieście wytlukli. Poszedł 1. batalion 5. hinduskiej brygady — ciemność była absolutna, żołnierz co krok to ześlizgiwał się w ogromne leje-sadzawki pełne wody. I czy pan uwierzy — Hindus wlepił we mnie swoje przepaściste oczy — Niemcy już byli w zwaliskach miasta przed nami. Znając doskonale teren — z góry klasztornej, ze skrytek nie do wydłubania, przesiąkli natychmiast z powrotem. Panie, cóż to była za rzeź niesamowita, w ciemnościach, po omacku, bezsensowna, wszyscy oficerowie w kompaniach polegli. Przednia kompania oderwała się w przód i zginęła (potem okazało się, że — ciemność za ciemność, deszcz za deszcz, ślizg za ślizg — przesiąknęli na Wzgórze Kata — garb góry klasztornej nie niższy od szczytu, na którym stoi Klasztor i przedzielony od niego tylko płytkim siodółkiem — i trzymali się na nim bez wiedzy dowództwa). Dwie tylne kompanie wpadły pod ogień

Ziębnięci Hindusi usiłują grzać ręce przy słabym ogniu





własnej artylerii i zostały wyrąbane — bo ja wiem już przez kogo.

Ulewa przyszła taka, że nawet zalała zaciekłość. Walka znikła.

Następny dzień (16 marca) wstaje cały w potokach deszczu. Jego strugi zniszczyły wiele radiostacyj, telefony zerwane, nieprzyjacielscy strzelcy wyborowi utrudniają łącznościowcom naprawy.

Sapiąc i zgrzytając, charkocząc niesamowicie buksującymi w mazi gąsienicami, starają się czołgi posunąć naprzód. Manewrują między lejami i sadzawkami jak słońce między rozstawionymi butelkami. Przedziera się ich jednak sześć, potem trzy, poskramiają strzelców wyborowych. Nowozelandczycy próbują szturmować Niemców w zwaliskach. Stojący na





skrzyżowaniu ulic hotel „Continental”, czy raczej gruzy „Continentalu” wieje ogniem na wszystkie strony. Pod wieczór, jest już godzina 22, udaje się uchwycić zakręt serpentyny, wiodącej na wzgórze klasztorne. Zorientowano się, że na Wzgórzu Kata są „jacyś nasi”. Zrozumiano, że to 4. kompania, którą miano za zniszczoną. 1/9 Gurków zdobył to wzgórze właśnie w ostatniej chwili, by ich uratować. Żołnierze 1/6 Rajputana, straciwszy wszystkich oficerów, rozbiegli się po budynkach. Niemcy odbierają serpentynę. Ci na Wzgórzu Kata zostają odcięci.


Opowiadający przerzuca gorączkowo notes:

— Tak, to 17 marca nam się zdaje, że jednak zdobędziemy Klasztor. Po przygotowaniu artyleryjskim o godzinie 06,15 czołgi i baon 24. podsuwają się ku wzgórzom zamkowemu. Okazało się, że Niemcy znowu napętlili w ciągu nocy. Gurkowie walczą swoimi „kukri” (kindżałami). Popołudniu poczyna się zadymianie. Pod jego osłoną 26. baon o godzinie 18 zajmuje stację kolejową; garby terenowe, które przed miesiącem powstrzymały baon Maorisów, są w naszych rękach



„Kukri”





A więc — trzymamy większą część miasta i Wzgórze Kata, stanowiące podstawę wyjściową dla ataku na Klasztor.

18 marzec pokazał, że nasze nadzieje nie są tak łatwe do zrealizowania. Niemcy są zasiedzeni, jak — wie pan — jest taki insekt w Indiach... Co, jak pan mówi? Na psie? Nie, nie, ja to wiem, to widać... A ten indyjski — nie widać go wcale. Nocą nasi saperzy wystąpili z całą forsą — cóż, rozczyścili 200 jardów. Czy na długo? To było tak, jakby kto szmatą odgarniał ciecz, a ona przesączała się ciągle. Czołgi też poszły i rozwalily jeszcze pięć domów. Ale jakie to ma znaczenie, czy dom jest rozwalony czy nie; z ruin strzelać jeszcze lepiej. Zamek, który zajęliśmy? Zamek miał tylko jedną wyjściową bramę, na którą Niemcy mieli wstrzelany zaryglowany karabin. Kiedy oddziały miały iść do szturm — żołnierze musieli wyskakiwać pojedynczo.

19 marca 1/ *Essex* poszedł do szturm i został tak zmasakrowany, że musiano go zastąpić. Pół batalionu doszło do Wzgórza Kata i tam stopniało do jednego plutonu...





Anglik-artyleryzista tchnął na mnie winem, pochylając czerwoną jak niedopieczony roastbeef twarz:

— Byłem na punkcie obserwacyjnym na skrzyżowaniu przed cmentarzem. Słyszę nagle w głośniku, mówi dowódca: „Jesteśmy w sile plutonu. Idzie natarcie. Wydaje mi się, że tym razem nie uda się go nam odeprzeć.”

— A potem nic?

— Potem już była cisza.

— 6. nowozelandzka brygada — ciągnął Hindus — szła z czołgami. Dwanaście czołgów stracono, jeden wyleciał na minie i zatarasował inną drogę — proszę wierzyć, że nie było tam objazdów do wyboru. Ale Nowozelandczycy — znów doszli do „Continentalu” i zapadli. W gruzach „Continentalu” dwa czołgi niemieckie, zakopane po wieżycy w gruzach, brzęsty się w paroksyzmach ognia.

W nocy z 19 na 20 III. już nie osiągnęliśmy nic. Przeprowadzając luzowanie pod ogniem, ponosimy straty. Do miasteczka znowu wczołgują się niemieckie uzupełnienia. Udarzają wszelką pracę saperów.

„... Nie było tam objazdów do wyboru ”





20 marca podrywa się do natarcia kompania RWK. Zdobywa pośredni przedmiot natarcia, tzw. „żółty domek”, okopując się natrafia na miny, połączone wzajemnie z całym polem minowym. Wybuchło całe pole — co pozostało z kompanii, co mogło się czołgać, to się cofało do zamku; ale po reorganizacji nie mogli wyjść z niego, zamknięci cekaemami.

21 marca Niemcy rzucają do walki ostatnie swoje odwody. Siły obu stron są na wykończeniu. Wieczorem tego dnia nacieramy na nich trzema baonami, naturalnie pod gęstą zastoną dymną. Natarcie utknęło. Przed kilku jeszcze dniami Niemcy zrobiliby natychmiast przeciwuderzenie, poznaliśmy już ich metody. Ale byli widać zbyt wyczerpani. Więc my, choć księżyc był w ostatniej kwadrze, atakowaliśmy ponownie. Ale — wzruszył ramionami — pożałuj Boże takie natarcie. To już byli ludzie wykrwieni i bez sił.

22 marca trwa przepieranie się, atakowanie. Niemcy używają saperów spadochroniarskich jako piechotę atakującą, bo już nie mają czym walczyć. Ale my też.

2. nowozelandzka dywizja piechoty w ciągu ostatniego tygodnia użyła wszystkich sześciu batalionów. Straciła 55 oficerów i 665 szeregowych.



4. hinduska dywizja piechoty — straciła 3.000 ludzi i nie miała już również żadnych odwodów.

4. hinduska po raz pierwszy w ciągu swego istnienia nie osiągnęła celu ataku (*It hadn't got what it had gone for*).

5. hinduska brygada piechoty trwała w akcji bez przerwy 8 dni.

8. hinduska brygada piechoty od 6 tygodni siedząc na 593, co dzień płaciła systematyczne straszliwe żniwo strat.

25 marca nocą pod osłoną działania dywersyjnego wycofano 1/9 Gurków, siedzący na Wzgórzu Kata, żywiony przez zrzućcie żywności ze spadochronów (8 oficerów, 177 szeregowych).



Punjab

*Reszta Gurków wycofuje się spod Klasztoru*



Wycofano 202. kompanię Nowozelandczyków z 24. baonu (3 oficerów, 42 szeregowych). Schodziła 1/4 *Essex* w stanie 2 oficerów, 32 szeregowych, 4/6 *Rajputana* — ani jeden oficer i 40 szeregowych. Nikłe resztki pełnego nadziei wojska, które przed czterdziestu dniami zmasowano pod klasztorną górą.

26 marca korpus nowozelandzki, do którego były przydzielone hinduskie wojska, rozwiązano. XIII korpus objął jego stanowiska. A na prawym jego skrzydle stoicie wy. No pewno... Trzeba dojść do Rzymu, a innej drogi nie ma.

*Good luck!...*

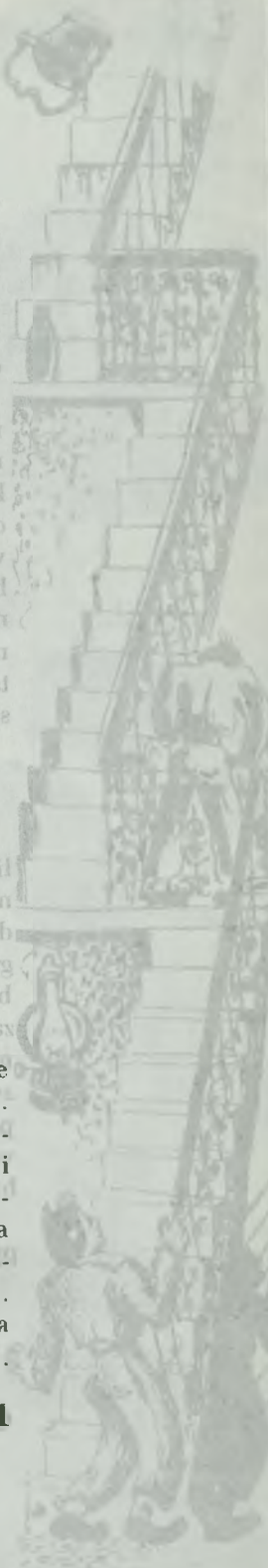


...nikłe resztki pełnego nadziei wojska...




(12) **ARZA IPIERZKA A LATINEJ RWOWEJ VLUXZ ZE SXTI...**

koronka (zety wesel) bylo publiczności, z twarz zaważan-  
 wanej rozkładki w której palily sie latarnie ocean — podobny  
 mielko...  
 nosze...  
 tuje...  
 uam...  
 czta...  
 tem...  
 naje...  
 kwas...  
 cy ma...  
 w nie...  
 battle...  
 niepo...  
 nych...  
 larius...  
 sponie...  
 Aoe...  
 Noe...  
 lity sie...  
 ne wia...  
 drugi...  
 godno...  
 budzie...  
 xasial...  
 na Sika...



Ocknąłem się z tego opowiadania, przypomniałem gdzie  
 jestem. Długi stół obok zajęli mocno już zalani Kanadyjczycy.  
 W kącie przy pianinie czwórka śpiewaków włoskich — dwie ko-  
 biety i dwóch mężczyzn, nie wiedziała co robić. Na sali  
 brzmiał jeden przeciągły ryk. Jedwabisty tenor Włocha prze-  
 bijał się przez zachrypły wrzask, jak tęcza, która pada na  
 śmietnisko. Pokorni markizowie nanosili zwycięzcom z Quebe-  
 cu i z Halifaxu coraz nowe naręczka kwasu z winnej jagody.  
 Teraz wstała ta młodsza. Widać było, że boi się, że zmusza  
 się wielkim wysiłkiem do śpiewu. Położyła rzęsy na oczach.



Starsza śpiewaczka w tandetnej różowej bluzce ze sztuczną koronką (żeby weselej było publiczności), z twarzą zaawansowanej gruźliczki, w której paliły się latarnie oczu — położyła miękko rękę na ramieniu dziewczyny. Młoda śpiewaczka podniosła rzęsy i spojrzała po sali. Lękliwie. Odskakując od parujących twarzy. Uwiesiła się na życzliwym zachęcającym uśmiechu. I trzymając się tego uśmiechu jak wątej nici, zaczęła śpiewać — „*Ave Maria*” Gounoda.

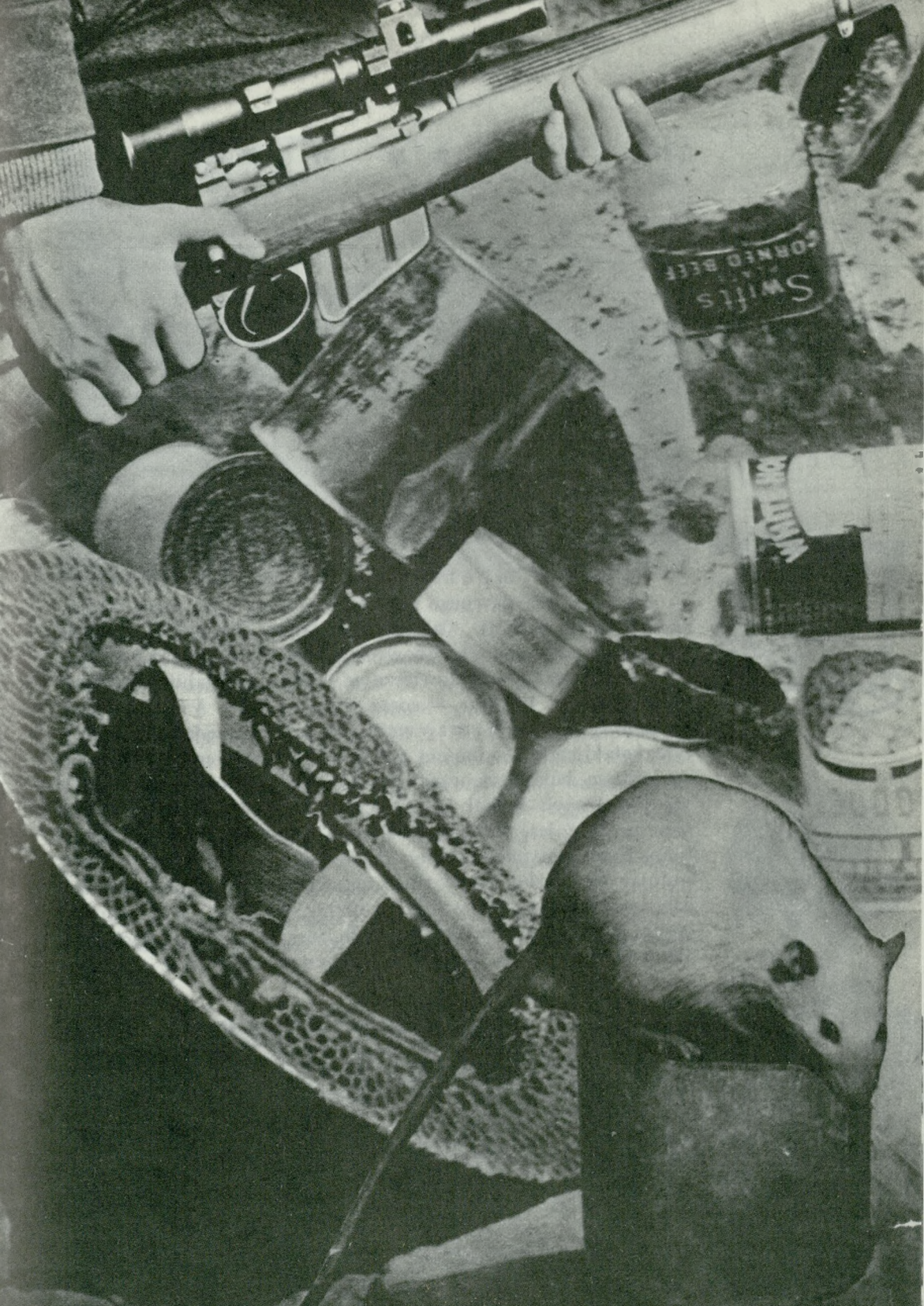
Gaśta pijana wrzawa, jak zgiełk bitewny tam pod Klasztorem. Sykano na przeszkadzających. Wybijał się, rósł, ton najczystszy, rzucany pełną, dziewczęcą pierśią. Znikły gdzieś kwaśne wyziewy — powiew przeczysty szedł przez salę. Służący markizowie pod ścianą rozprostowali karki i trwali — w niemym uniesieniu. Rozkazodawcy — zwarli się w ścianę battle-dressów, pochylili łby i tkwili, spętani, przed zjawiskiem niepojętym. Z oparów zgiełku, trupów gnijących w wypełnionych wodą lejach, ze strzałów dobijających bezbronnych sanitariuszy — podnosił się przeczysty ton. Podnosił się z gruzów sponiewierany Klasztor, rósł, biały, w niebo...

*Ave Maria!*...

Nocą długo nie mogłem spać. Dwie grupy pijaków rozdzieliły się na współzawodniczące teamy. Jeden wkopywał blaszane wiadro po klatce schodowej z parteru na trzecie piętro, a drugi skopywał. Stary Albergo Grande podniesiony do godności Hotelu York trząsał się w posadach. Zasypiałem i budziłem się znowu, myślałem o chłopcach naszych już zasiadłych pod 593, już trzymających stanowiska na Żbiku, majaczyły mi ich młode wierne oczy i znowu zasypiałem i zdawało mi się, że ktoś gra *Ave Maria*, budziłem się ponownie budzony grzmotem blachy, znowu zasypiałem i widziało mi się błoto, deszcz i krew i śmiertelne maski zabitych.

Rzuciłem rano hotel „York”. Pojechałem do tych, którzy przygotowywali — czwarte natarcie.





A P O Z Y C J A C H





„Żegnaj, Campobasso.” „Do widzenia, Venafrol” — ostatni porcie dawnego świata. Z Taranto przez Mottolę, przez Bari, przez zrujnowaną Foggie, stojącą w huku czarnych bombowców, przez Campobasso, przykucnięte pod średniowiecznym zamkiem, nabite sklepami Naffi, Imkami, Iwkami — coraz wyżej w góry Abruzzów, w zielony kraj Primavera, dziwnie urządzający się w tym kataklizmie płodnością pól, lekkim kwitnieniem drzewek, spokojnym ładem zagonów, na których rytmicznie kiwają się rzędy czarnych kobiet z motykami. Co tam, że kilometrami wzdłuż dróg leżą kanciaste skrzynie amunicji, co tam, że po białych serpentynach kwitną czerwone czapki żandarmów, regulujących nieskończony ruch toczących się jak paciorki wozów; co tam, że po wysokim niebie perliście, jak kropelki wody biegnące po szklanym dachu oranżerii płyną leciutkie, bezwarkliwe z tej odległości srebrzyste myśliwce — kiedy





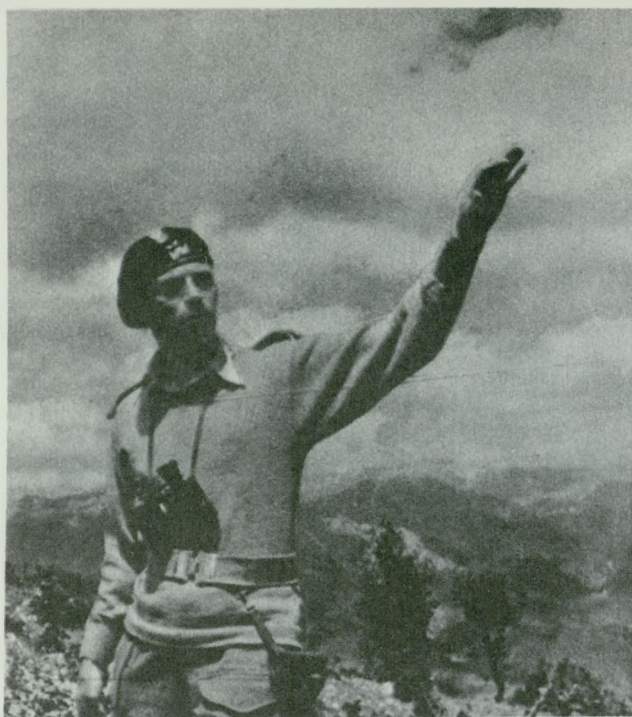


*Acquafondata*

miasteczka stoją po zboczach jak stały przed wiekami — niestęchanie proporcjonalne, doskonale wbudowane w tę ziemię, kiedy dzieci o czarnych oczach, umorusane i z poobtłukiwanymi nosami jak amorki w zapleśniałych romańskich kościołkach — świergoczą głosami pełnymi wiosny, kiedy kobiety w obszernych spódnicach z bagażami zapomnianymi na głowie ugwarzają po krętych uliczkach. Młotki szewców, bednarzy, kowali, pracujących po zasmolonych warsztacikach zdają się pukać jednostajny ulubiony wyraz tego ludu *pazienza... pazienza... pazienza...* I człowiek zapomina, nie wie co jest rzeczywistością, gdzie jest ta główna sprawa, dla której go rzuciło między góry włoskie.

Jestem już we Włoszech dziesięć dni, które poświęciłem na zapoznanie się z ogólną sytuacją i z walkami poprzedni-





ków. Zameldowałem się zaraz po przyjeździe dowódcy Korpusu. Generał Anders wyprowadził mnie z tzw. „Karawanu” — wozu mieszkalnego — pod górkę; ukazał mi panoramę Monte Cassino z postrzępionymi resztkami Klasztoru i

czarny wiszący nad nim masyw Monte Cairo. Łańcuchy gór, rzucone w kilka rzędów fioletowiały i zmierzchały jak dekoracje teatralne. Odjechałem z poczuciem zjawiskowości, teatralności, nieuchwytności tego co się dzieje.

Teraz z Campobasso popłynąłem cierpliwym strumyczkiem wdrażającym się w tę wojnę. W Venafro zano-cowałem w starym pałacu Ciporellich — patrycjuszy miejscowych; pałac był poprzebijany ciężkimi pociskami; idąc kamiennymi posadzkami pustych komnat strzec się należało wyrw przebitych na dolne piętra, ściany boczne z nagła otwierały widok na zielone zbocza kamienistej góry, którą miejscowy piekarz boleśnie nazywa „góramateracową” jako, że mu na nią Niemcy wszystkie jego materace na swoje pozycje zewlekli; góra jest przyjemna, ale lepiej po niej nie chodzić — miny...

Pałac Ciporellich ma na frontonie tablicę *in memoria del fausto avvenimento*, kiedy do Venafro wkroczył ze swą armią Zjednoczyciel Włoch, Król Wiktor Emanuel.

Pałac Ciporellich patrzy wybitymi dziurami na tych barbari i tych barberini, co z kolei depczą jego wzgórze — ścieżkami hord bizantyjskich, westgockich, longobardzkich, śladami żołdaków hohenstaufenowskich, Gwelfów





i Gibellinów, żołnierzy napoleońskich, polskiego legionu rzymskiego, który pod Kniaziem ciągnął tymi krainami. W brudnej jak sumienie gestapowca kloace pan plutonowy zawiesił sakramentalne „papieru nie rzucać do muszli klozetowej”, ale nie napisał — gdzie. Po dokładniejszych Francuzach, którzy tu przedtem kwaterowali, został napis na ścianie: „*jetez par la fenetre*”. Przez okno — na te jaspisookie dziewczyny, poruszające się z takim wdziękiem, na kraj zdobyty. *Vae victis!*

W katedrze miejscowej (każda tutaj dziura ma katedrę i biskupa) biskup w stallach pięknie rzeźbionych rzuca leniwe słowa wersetów, na które odpowiadają z przeciwległej stali zmurszałe kanoniki. Od góry biją promienie przez otwory postrzelanej kopuły. Czasem pobożnie złożone ręce kanoników drgną — to huk ogromny wstrząsa ścianami katedry. Może to Nowozelandczycy na stoku, przy którym tuli się katedra, wysadzają własne niewybuchy, pozostałe z ich ofensywy; ale może to pada pocisk armatni. *Forse che si, forse che no!* Kanoniki się na tym nie znają. *Pazienza... pazienza...*

I oto od Venafro ruszyłem wczoraj — w wojnę. Zaraz pod Pozzillia trąd płam pokrywa szosę — to zasypane leje po pociskach. Feretry samotnych ścian po zbombardowanych domach rozpinają się po zboczach, dzwon ocalały na wieżyczce rozsypanego kościółka milczy.

Jeszcze resztką wygody — jadę wozem osobowym, ale w Acquafondata trzeba będzie ten wóz zmienić na łązik.



## (14) K O L U M N A „ D I A B Ł Ó W ”



A w Acquafronta nieoczekiwanie trafiam na szykującą się sensację — przedstawienie czołówki. Ostatni to już skraj świata, na którym ma prawo stanąć kobieca noga. Przed rubieżą tego męskiego i marsowego świata stanął wóz naszych histrionów z najcenniejszym ładunkiem — kobiecym. Jak to się to uśmiechnie, rączką, nóżką mignie, to już żyć weselej. A ci cynicy z czołówki meldują się jako pluton rozbijania min — koleżanek...

Zanim rozpocznie się rewia — w ciężarówce służącej za kwaterę krążą kubki białego i czerwonego, równie kwaśnego wina. Por. Osuch, kierujący ruchem od linii frontowej aż po Venafro, opowiada:

— Słyszał pan już o wąwozie Inferno? Stromy, ciasny toteż tam zładował się kto w Boga wierzy: i G. P. O. (główny punkt opatrunkowy) i transporty wyruszające na noc i Rep (warsztat reperacyjny) i składy Nowozelandczyków i składy nasze. Stoję ja wczoraj u wylotu — jak ci rzepnie na-



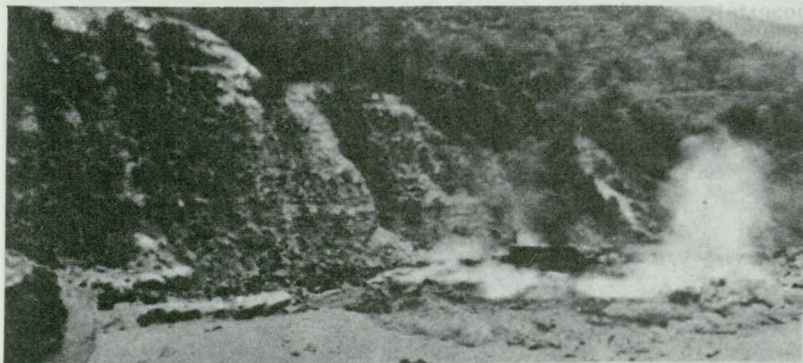
Por. Osuch





„załadował się tam, kto w Boga wierzy...”  
(na zboczach charakterystyczne schrony-z worków)

gle pocisk w skład amunicji nowozelandzkiej... fajerwerk jak jasna cholera! Wąska gardziel wydaje się jak piec, w którym buzuje się ogień. A tu nadjeżdża sześć łazików z ciągnikami z wodą i z prowiantem: „Panie poruczniku — my musimyjechać, chłopaki na pierwszej linii czekają” — „Jak przejedziecie, ciemna maso<sup>3</sup>” A tu kuferki wyskakują na kilkadziesiąt metrów w górę, w powietrzu pękają. „My musimy, panie poruczniku...”



Zapalają się resztki magazynu nowozelandzkiego





„... gaz do deski ...”



Myślę, kombinuję... Jak którego rozwali, to oficera ruchu za łeb i do Taranto... (sąd wojskowy). Podchodzę ile mogę — patrzę w ogień — tunel jakby przez ten ogień ciemnieje. „A no, to chłopcy, kapelusz (hełm) przekrzywić na prawą stronę (bo od prawej więcej eksplozji), gaz do deski i — chodu!... Kto na pierwszego?” „Ja” — mówi kierowca Mucha. „A my, panie poruczniku, będziemy za frajerów?” Ale już Mucha nacisnął akcelerator i wpadł w dym. Za nim jeden po drugim — czarne diabły, bo chłopaki z transportówki wymalowały sobie na łazikach czarne diabły na czerwonym tle, aż się ksiądz kapelan gorszył i interweniował. „Jaki patron, proszę księdza, zechce na wariata dyrdać po skrętach pod obstrzałem?” Ksiądz nie bardzo mógł znaleźć patrona i tak już diabeł pozostał.







„Diabły” polecieci, nadjeżdża dwóch motocyklistów. Wiozą pocztę i oni, znowuż, „muszą”. Każdy jest ważniak, bez każdego jednego wojnę przegramy i każdy „musi”.

— Naprujecie oponę na odłamek, zlecicie i usmażycie się jak pluskwy (to w łagrze pluskwy na rozpalony piecyk rzucali). A może i tamci nie przejechali i zawałają drogę.

Ale pojechali.

Kiedy poczęło się wypalać i mniej pukać, por. Osuch zbliżył się i skonstatował, że go nie wyślą do T a r a n t o . „Diabły” przelecieli. Po gruzach już szukają chłopaki, czego nie posiali. Prawda, że taskali skrzynie z amunicją z ognia, póki było niebezpieczeństwo, ale teraz polują na czekoladę i rum. Nadarzył się amator czekolady i frunął do nieba z tabliczką w ręku. Droga czekolada!





## (15) MELODEKLAMACJA: JEDEN FORTEPIAN, JEDNE SKRZYPCE, DWIE BATERIE

Niewiadomska

Przedstawienie czołówki jest udane jak nigdy. Wczoraj, gdy już grała inna czołówka, dwa pociski niemieckie padły o kilkadziesiąt metrów, w angielskiej baterii zabiło jednego i drugiego ranito. Właśnie śpiewał Aston aksamitnym barytonem i ani nie drgnął.

Ci z dzisiejszej czołówki oznajmiają, że, dowiedziawszy się o przygodach kolegów, zapragnęli też... I istotnie grają przy akompaniamencie dział, tym razem własnych. Dwie baterie z dwu stron błyskają i huczą tak, że podmuch uderza o publiczność. Zaczęli już przy wierszu deklamowanym przez Niewiadomską o Maćku, co prał za Polskę. Jaki tam wiersz — nie wiem, bo go słuchałem w specjalnych warunkach: kiedy huknął pierwszy strzał armatni z ciężkiego działa, aktorka podniosła głos i tak, przez grzmoty wojny dźwięczał śpiżowy kobiecy głos wzywający do obrony ojczystej ziemi. Siedzący przy mnie dowódca drugiego rzutu, gospodarz tu tego terenu, mjr Chodźko, zdawało mi się, że coś spędził z oka. Powiadają, że irytował się za strzelanie w godzinach pozabiurowych, ale nie ma czego żałować: akompaniament był pierwszorzędny. „Charakterystyczna” Helcia, którą pan kapitan statku zapewniał, że uszanowałby ją nawet gdyby był z nią na bezludnej wyspie, dygała przy każdym grzmocie, mówiąc „dziękuję” i wywołując salwy śmiechu.

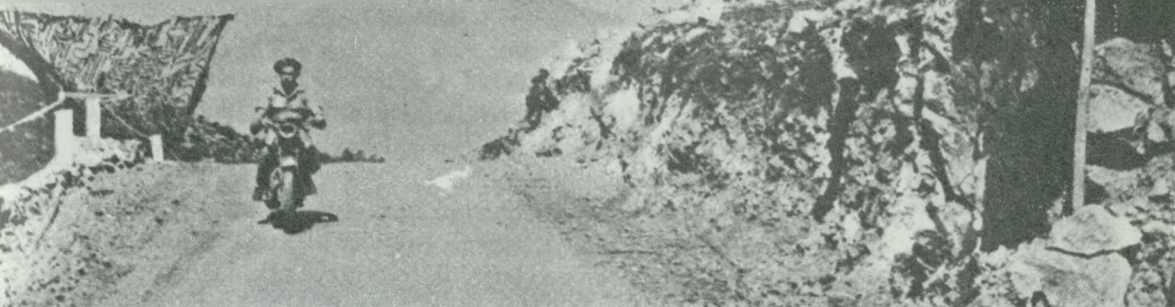
Pierwszy komik mówi, że tu we Włoszech wszystko jest *niente* (chleba — *niente* — nie ma, jajek też *niente*).

„Ochotniczka Helenka”  
wywołuje salwy śmiechu





„...Polyfemus — Cairo  
przez szkła obserwatora  
usiłuje przebić sieci (na  
lewo) ostanijące  
drogę... „



Chłopaki z transportówki są też, stanowczo, „stuk-niente”. Już się śmieli, a tu już się ładują i ja z nimi — już w dalszą, już często ostrzeliwaną drogę.

U wylotu za skałą gromadzi się kolumna, ruch jest jednokierunkowy. Czekamy, aż przejdzie kolumna w tę stronę. Kolumny jadą o 150 metrów wóz od wozu.

Wreszcie — wyjazd. Wypadamy na drogę krytą siatką. Lecą jak diabły. Po bokach kopce rychłej ziemi — to groby płytko przysypanych mułów, postrzelonych tutaj. Przed najniebezpieczniejszym odcinkiem tablica z napisem: „Nie bądź głupi, nie daj się zabić”. Nie jesteśmy głupi i lecimy po wirażach z szybkością 60 mil. Trzymam się oburącz siedzenia, bo nie chcę wylecieć i „być głupi”. Po bokach ogromne sieci kamuflażowe, rozpięte na wysoko przeciągniętych drutach wyglądają jak makabryczna i niesamowita dekoracja tego wojennego teatrum. Tam na siniejącym Cairo siedzą Niemcy z dwudziestokrotnie zbliżającymi lunetami i usiłują przebić wzrokiem sieci zastaniające zakręt.

Po przeciwległej stronie kotliny przylepiony dom piętrowy, murowany. Tam — dowództwo Kresowej dywizji „Żubrów”, tam „spokój, pewność i zaufanie” jak w P. K. O. Szofer po wirażach bierze tak wściekłe tempo, przelatując wyrwy i skręty wąskiej spirali, że nie mogę uchwycić jego techniki.

Podwalamy się pod dom. Uff!... Niemcy byli nieuczynni i nic nie zaprodukowali. Ale ci kierowcy... Uff!...

Dowództwo Kresowej



## (16) W WĄWOZIE INFERNO

A w domu — a fotelik, a kwiatusek, a dwa grzeczne szyćchy Grodna i Wilna, wynalezione u antykwariusza w Kairze. A pieczeń, że proszę siadać, serwowana na stole pokrytym obrusem w „generalskim kasynie”.

Przy stole jest kilka osób. Dowódca dywizji gen. Nikodem Sulik. Jego zastępca płk Klemens Rudnicki. Szef sztabu ppłk Maleszewski. Dowódca artylerii dywizyjnej płk Orski. Dowódca saperów dywizyjnych ppłk Hempel. Mjr Jedziniak — kwatermistrz dywizji.

Pojadając, „panowie starsi” ugwarzają po gospodarsku. Tu „zmacali”, tam „zmacali”. To trzeba przenieść, tamto przesunąć.

Amunicji artyleryjskiej bezwzględnie już trzymać w wąwozie Inferno nie można. Może by rozesać skład, rozrzucając po stanowiskach artylerii? Ależ po bateriach już zeskładowano po 900 pocisków na działo; ileż to roboty po akcji będzie ze zwożeniem ze stanowisk amunicji niezucytej! — No, może jeszcze po 100 pocisków na działo przyrzucić... Lepiej to, niż ryzykować, że wszystko wyskoczy.

Przyglądam im się uważnie, tak jak w kinie człowiek stara się zapamiętać prezentowane role. Aktor uśmiecha się, mówi parę słów, znika. Na ekranie ukazuje się następny. A widzę, że niebawem rozpocznie się obraz i że wszystkich tych ludzi zobaczy w akcji i w wirze zdarzeń.

Gen. Sulik — wiechcie wąsów.

Płk Rudnicki — grzeczny i opanowany.

Ppłk Maleszewski — miekkie ruchy, w oczach przelatują uśmiechy.

Płk Orski — sucha twarz, skoncentrowane oczy.

Ppłk Hempel — nieduży, zebrany w sobie, coś z foremana, coś z trapera.

Mjr Jedziniak — wysoki, szczupły, z energiczną twarzą, którą przecina czarna przepaska: mjr Jedziniak stracił oko w kampanii wrześniowej.

Przy dalszej akcji zapewne będą wyraziście te sylwetki.



Gen. Sulik



Płk Rudnicki



Płk Maleszewski



Płk Orski



Ppłk Hempel



Mjr Jedziniak



Jest i gość, płk Wiśniowski, szef sztabu Korpusu. Był szefem sztabu gen. Sosnkowskiego we wrześniu. Do końca... Do 21 września... Do samych Brzuchowic, do samego Lwowa, do tej chwili, kiedy już tylko w kilku poszli przez pola, którymi szła armia rosyjska.

Przy drugim daniu przychodzi adiutant z meldunkiem, że pociski zapaliły nasz skład amunicji, ale ugaszono.

Przy deserze przynosi wiadomość, że pociski padły na G.P.O. (główny punkt opatrunkowy) w wąwozie Inferno,



*Płk Wiśniowski*



*Dr Graber*



*Dr Napora*



*Ks. Huczyński*



*Dr Mozes*



*Dr Pancer*

że zostali zabici lekarze chirurdzy Graber i Napora, że zabity kapelan ks. Huczyński, że ranni lekarze Mozes, Mazanowski i Pancer, że zabity jeszcze jeden sanitariusz, a ponadto dwunastu rannych.

Na miejsce jedzie kwatermistrz dywizji, mjr Jedziniak.

Wawóz Inferno zaczyna się tuż, pod domem, w którym się mieści dowództwo. U wlotu (wykuli tę drogę w łożysku strumienia przed nami Francuzi, poprowadziwszy wodę w innym kierunku) nasz łązik zatrzymuje się, czekając na znak żandarma, którego przez telefon uwiadamiają, gdy wjeź-







dża transport w gardziel po przeciwnej stronie. Nad gardzielą jednoosobowe namiociki saperów lepią się po zboczach jak gniazda jaskółek. Przed każdym gniazdem-namiotem zabezpieczenie z worków. Saperzy są w każdej chwili w pogotowiu. Życiodajna droga, wiodąca na pozycje, musi być w ciągłej sprawności. Gdy się zepsuje wóz, wyjeżdża dźwig. Kiedy nie ma czasu, wóz spychają w przepaść.

Droga jest wyłożona siatką metalową. Po boku wszędzie złożone materiały budowlane, stoją, wtulone we wręby skalne, posterunki naprawcze z narzędziami i w hełmach.



„... Gdy się wóz zepsuje...”

„Zrzucony? — no to brać co można!...”



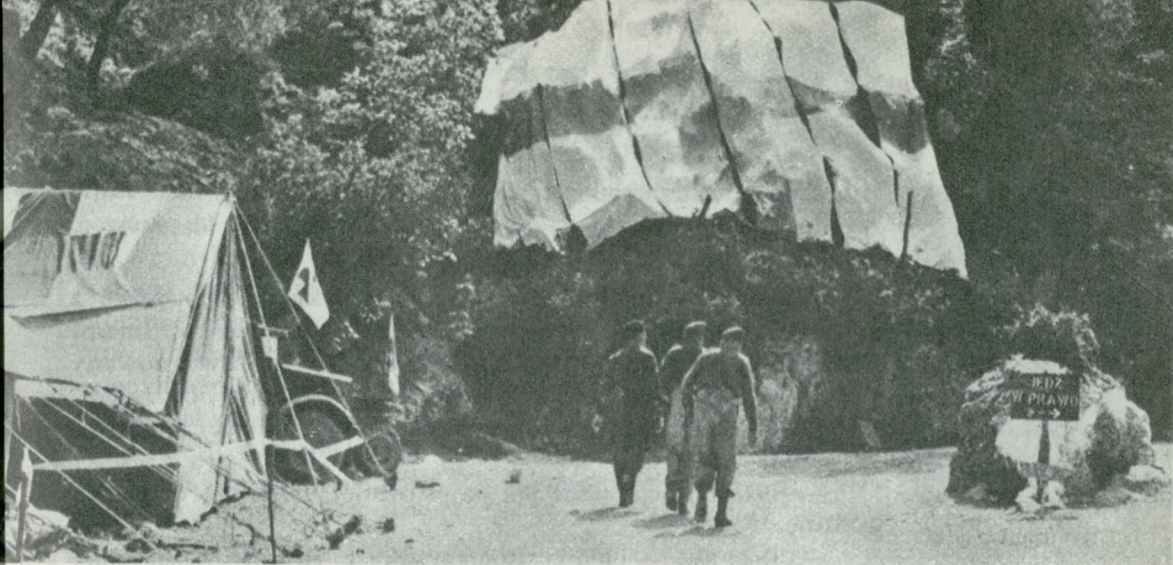
*Poprzez Inferno-Track,  
przez chrzęst stalowej siatki  
Ludzie, muły i stal,  
mięśnie, motor i ropa  
Pękliwy szrapnela jęk,  
grochot strzałów armatnich  
Na drodze — srebrny pył  
i brzęk upartych łopat.*

Artur Międzyrzecki \*)

Przejeżdżają właśnie sanitarki, wiozące rannych. Sygnał. Ruszamy. Tam już właśnie przestrzeń, którą ostrzeliwują. Podniebny szczyt Cairo pochyla się nad wąwozem i penetruje jego zakątki.

\*) Poeta-żołnierz, biorący udział w bitwie o Monte Cassino.





Robi się nijako; ma się wrażenie, że jakiś straszliwy Polyfemus, który widzi wszystko, roześmieje się urągliwym śmiechem i rąbnie w naszego łazika. Wczoraj rąbnął ten skład nowozelandzki, dziś nasz szpital i nasz skład amunicyjny. Kurtuazyjny kwatermistrz pyta, czy chcę dalej jechać, dając tym do zrozumienia, że uważa prasę za formację tyłową.

Meldują się dwaj lekarze w hełmach. Jeden z nich dr Rymkiewicz (potomek gen. Rymkiewicza, dowódcy legionu lombardzkiego, który poległ w 1798 we Włoszech) \*, ma cały mundur uwalany krwią. Podchodzimy do szpitala. Na wyniosłej skale, zwróconej wprost do niemieckiego obstrzału — rozpostarta ogromna płachta z czerwonym krzyżem, to w nią przede wszystkim trafiły dwa pociski; dobry cel...

Przez splecione sznury namiotów idziemy do kostnicy. Ksiądz Huczyński, przeor Karmelitów Trzewickowych nad Dniestrem, i dr Graber, prezes „Makabi”, leżą przy sobie ze spokojnymi twarzami; ktoś im zamknął oczy. Trzecie ciało — jakiegoś porucznika artylerii; widzę tylko straszliwie poszarpane buty — widać wyleciał na minie. Dr Napora, wysłany w agonii na szpitalny punkt tyłowy — zmarł w sanitarce. Kwatermistrz, z pierwszego pokolenia chłop, przykłęka i modli się chwilę. Nie te tam stawanie na baczność, tram-ta-ta i salutowanie. Raczej — Anioł Pański i „za dusze wszystkich zmarłych” — jak tam — w Polsce rolnej i spokojnej.



Dr Rymkiewicz

\*) *Przypisek po bitwie*: Dr Rymkiewicz, idąc w ślady pradziada poległ w kampanii adriatyckiej.

*Na miejscu zbombardowanego namiotu G. P. O.*







Dr Mazanowski

Kwaternistrz podnosi się z kłęczek i patrzy na mnie swoim jednym okiem: „chodźmy”

Pogromiony szpital zbiera się do ewakuacji. Co robić z czterema pacjentami, którym przed 4 *respective* 6 dniami otwarto jamę brzuszną? Taki chory nie może być ewakuowany przed upływem 10 dni. Ale trudno trzymać ich pod obstrzałem.

Lekarz por. Mazanowski woła kierowcę sanitarki kpr. Romańczuka:

— Będziesz ich wiozł jak najostrożniej; najwyżej 5 mil na godzinę.

— Tak jest — mówi Romańczuk; z twarzy, zeszcpanej ognipiórem, jaśnieją oczy dobrocią i uwagą \*).

Zaś dr Mazanowski, sam ranny w rękę i nogę, idzie za zakręt do sanitarek ładować pozostałych rannych.

Siadamy na łazika i jedziemy do składu artyleryjskiego, wzdłuż mulników, szykujących się do drogi. Jeszcze nie zwinęli gumowego koryta, jeszcze stoi gumowy basen na wodę. Muły też są obsługiwane nowocześnie i portatywnie, a każdemu bydlęciu trzeba dotransportować dziesięć galonów wody dziennie.

\*) *Przypisek po bitwie*: rozkaz wypełnił sumiennie — nie przyspieszył jazdy ani trochę — na trudnych skrętach *Inferno* pozbiierał odłamki szrapneli na chłodnicę i dach sanitarki — lecz dowiózł rannych w dobrym stanie do 5 C.C.S. w Venafro. Był to pierwszy wypadek takiego transportu. Wszyscy czterej wyzdrowieli.





Mulnicy są z Cypru. Byłem na tej wyspie, kiedy ich werbowano do służby „dobrze płatnej i pomocniczej”. Jechali jak na majówkę. Teraz stoją ze stęzającymi twarzami, w których zastygło przerażenie.

Spod czarnej okopconej skały odrywa się jakaś postać i idzie machając nieobkorowanym kijem. Postać mówi grzmiącym głosem i „okazuje się być” artyleryjskim ppłk Wirthem.

Pocisk wyrznął w skałę u góry, obsunął się rozżarzonymi odłamkami na spiętrzone skrzynie z amunicją. Papierowe opakowanie poczęło się palić i niebawem buchnął ogień, który objął stos najbliższych dwudziestu skrzyń. Pułkownik wypadł do pożaru, za nim jeden z plutonowych.

— Ciągnę skrzynię — huczy czarna postać — cholera, nieprzyjemnie się zrobiło, zobaczyłem, że wyciągnąłem granaty.

Jakiś żołnierz przynosi pocisk wydobyty ze spalonej skrzynki. Pocisk jest bez zapalnika, który się spalił.

Jak zwykle po niebezpieczeństwie (bagatel! — 1200 ton pocisków na kupie...) następuje odprężenie i wspominki. Śmieją się, wspominając, jak każdy ratował jak mógł. Ktoś złapał skrzynkę z benzyną i szorował — gasić. W czas mu ją odebrali.

— Ja już to mam drugi raz — huczy pułkownik — nie, już mam dosyć tej służby za fajermana.

*„...bagatel! — 1200 ton pocisków na kupie...”*



*Pplk Wirth*







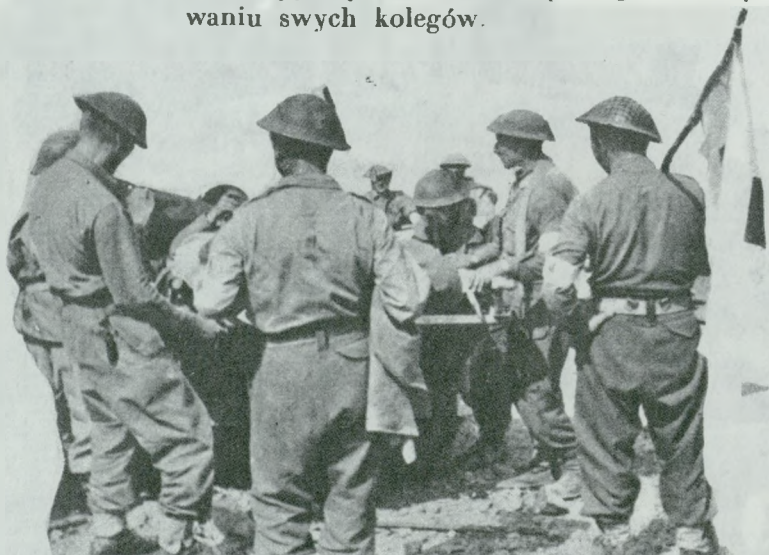
Zmierzch się zgęszcza. Spod ścian poczynają się odlepiać sylwety mułów. 19,45. odmarsz. Wszystko musi być jak w zegarku, bo chodzi o życie. Znany jest na tej codziennej drodze każdy ostrzeliwany zakręt, każdy ostrzeliwany mostek.

Ciągną nieskończone ilości mułów. Pięćset ich idzie w kolumnie. Niosą żywność, wodę, naboje — wszystko — każdy muł (w tej kolumnie są muły lżejszego typu) dźwiga po 160 funtów, te w dalszą drogę idące po 120 funtów. Prowadzi nasz oficer, na każdą grupę mułów nasz żołnierz.

Dozorujący por. Wroński umawia się ze mną, że wezmę udział w wyprawie którego dnia.

Wracamy. Na szczęście jest księżyc. W gardzieli Inferno wozy mijają się jak duchy. Czekając przy przepuście, przy którym dyżurują karetki Czerwonego Krzyża słyszę, jak sanitariusze rozprawiają o ratowaniu dzisiejszych ofiar. 36 pocisków razem padło w dniu dzisiejszym w dolinę. Opatrywali rannych, zaciągając ich pod łóżka namiotów i chroniąc się od rozprysków.

Wybuch rzucił o skałę sanitariuszem Kolendą z chwilą, kiedy zbliżał się do chorego z morfiną; Kolendo złamał dwa zębra, ale po chwili zjawił się... ze strzykawką w ręku (pod ziemią ją chyba znalazł w tym ogniu) i asystował przy opatrywaniu swych kolegów.





## (17) TRZEJ MUSZKIETEROWIE

Na noc umieścili mnie z trzema kapitanami. Dom, w którym mieszkamy, jest to piętrowy murowany budynek farmera. Naturalnie gospodarzy tu nie ma — jak w ogóle ani jednego cywilnego człowieka w szerokim promieniu.

W domu są wejścia wprost z zewnątrz do poszczególnych pokoi. Zresztą musiały tu być na parterze nie izby mieszkalne, tylko składy; ściany naszej komnaty są kute w gruzowatej i chropowatej skale; to ciemne wnętrze przypomina katakumby, czy schron; schronem zresztą jest cały dom, przyczepiony do zbocza; pod nami wije się biała droga; biegnie na nas wprost z *A c q u a f o n d a t a* — to nią właśnie przejeżdżałem wzdłuż napisów „nie daj się zabić”; skręca pod nami i biegnie w dół do pięciokilometrowej doliny „Inferno” — to stamtąd właśnie wróciłem.

Zapoznając się z moimi sąsiadami:

Kpt. Zebrowski — walczył we wrześniu w grupie Szalewicza, która poszła z Chelma na uderzenie w drugiej już fazie kampanii, brał udział w bitwie pod Łaszczowem, w której tyłu Niemców padło. Był ranny.

Z niewoli bolszewickiej — uciekł.

We Francji — walczył w dywizji grenadierów.

Z niewoli niemieckiej w Kolm — uciekł.

Z powtórnej niewoli niemieckiej w Bezaçon (bo go Szwajcarzy wydali z powrotem posterunkom niemieckim) — uciekł.

Od tego czasu miał paszporty na osiemnastolatka i na czterdziestolatka, wizy hiszpańską, portugalską, a nawet na wyjazd do Szanghaju.

Aż wylądował w Wyższej Szkole Wojennej w Anglii.

Kpt. Pawlak — walczył też na „szykownym” odcinku kampanii wrześniowej: w armii gen. Kleeberga.

Z oflagu — uciekł. Złapany. Bity. Zesłany do karnego oflagu B.

Z karnego oflagu B. — uciekł.

Pod Gazalą — brał udział w znanym natarciu carrierów.



Kpt. Zebrowski



Kpt. Pawlak



Kpt. Lisek



Kpt. Lisek — bez prawej ręki, urwanej przez granat — walczył we wrześniu.

Z niewoli — uciekł.

Walczył w dywizji grenadierów.

Komplet dopełnia goniec Jaworski. Pracując w Kanadzie, zbił grubszy grosz, kupił osadę na kresach, ma żonę z dziećmi w Afryce i regularnie im odsyła comiesięczny żołd.

— Oni mnie wyganiają, jak chcą rozmawiać, ale ja i tak wiem, że „TEN” już zaraz... — zwierzył mi się.

Na świecie chyba nie ma drugiej armii o takim składzie. Postanawiam sobie, notując wypadki, których będę świadkiem, zapisywać *priora* uczestników.

Kiedy tak sobie gawędzimy, pocisk armatni rozrywa się w dole.

— O, już znowu poczynają obkładać drogę — mówi ktoś sennym głosem.

Droga ta przez „Inferno” — to jedyna nitka, którą wlewa się wojsko i zaopatrzenie na front; gdy się ściemniło, ruszyły po niej nieprzerwanym potokiem transporty.

Następny pocisk już pada bliżej. Pociski poczynają padać w odstępach minutowych — i coraz bliżej. Żebyż to raz bliżej, raz dalej — ta systematyczność zbliżania się rozrywów nie wróży nic dobrego.

Kiedy wreszcie pocisk tak huknął, że wtoczyło zawieszony przy wejściu pled, myślę, że następny wyrznie już w nas bezpośrednio. Myślę z pretensją do moich szlafkamratów, że przecie tuż obok jest schron, a oni...

Ze zdumieniem konstatuje, że z łóżka kpt. Żebrowskiego poczyną się rozlegać chrapanie. A potem — z innych... No co mam robić? Frajer nie jestem, nie będę zaraz w pierwszy dzień się sypał, że się boje.

A może te wojaki już tak się wyćwiczyły — zaraz zasypiać. jak tylko jest niebezpieczeństwo? Że to lżejsza śmierć?

Co mam robić -- śpię i ja.





## (18) „DRÔLE DE GUERRE”

Nazajutrz będzie się pełen gorzkich wyrzutów. Trzej kapitanowie poglądną na mnie okiem niewinnych baranków:

— Przecież to S-P i strzela zza góry.

— No, chyba, że S-P — powiadam. Mam się może przyznać, że nie wiem, co to jest S-P. W życiu swoim tyle S-P nie widzieli, ile ja ich widziałem; zielone S-P, czerwone S-P, podwójne S-P...

Przed domem spotykam porucznika łączności, który wraca z terenu.

— Noc była prześliczna — opowiada — siedziałem na Cavendish Road, przerobionej ze ścieżki mułowej; jedyna to droga, którą wspinają się nasze oddziały na pozycje i do rejonów wyczekiwania. Było nieco po trzeciej; słowiki darty się jak oszalałe; pod górę wdrapywał się 13. baon, pomęczeni żołnierze przysiedli; nagle pocisk wyrznął w sam środek drogi; patrzę — jęczą wszędzie; poczęliśmy zbierać... Dwóch już nie żyło, a rannych było trzynastu żołnierzy i trzech oficerów; jeden miał połamane obie ręce i obie nogi — prosił, aby go dobić.

— I co pan myśli — po chwili ciągnął porucznik — te bestie słowiki nie zatrzymały się chyba ani na chwilę; kiedy wyprostowałem się, żeby złapać nieco tchu — grała już znowu cała ich kapela.

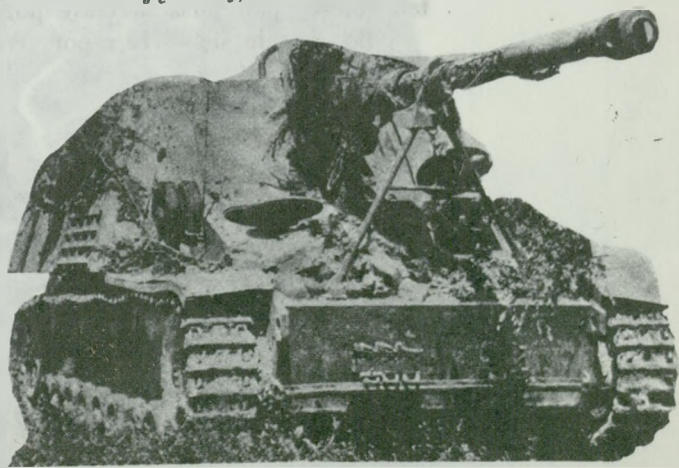
— Panie poruczniku — korzystam z tego, że żaden z kapitanów nie podsłuchuje — czy was też ostrzeliwano z S-P?

— *Self-propelled*? Działa na gąsienicach? Nie, ale słyszałem, że panów tu zdrowo łoili?

— Uhm...

— To cholera, te S-P. Nasza artyleria nie może się do nich wstrzelać, bo mają z góry przygotowanych i pomierzonych kilka pozycji; oddają z jednej kilkanaście strzałów, przenoszą się błyskawicznie na drugą i znowu dają serię; temu domowi

S.P. — działo samobieżne



nic nie mogą zrobić, bo jest za skłonem, a oni strzelają od tamtego kierunku, zza góry i nie mogą wzięść takiego ostrego kąta; ale drogę haratają nam szpetnie...

Zza góry... a ja myślałem, że strzelają na wprost! Nie mogę wzięść takiego ostrego kąta...

*O parricides! O vulpes astuta!*... To dlategoście spali tak jak barankowie, kiedy ja trząłem piżamą.

Z tymi wojakami nigdy nie wiadomo, czy nie kpią; na ćwiczeniach w Kirkuku szedłem z piechotą w natarciu; leży piechota, leży dowódca kompanii, a ja stoję — i tak nie ustrzelą, bo ćwiczenia, a czołgać się — za gorąco; nagle — bzyk, bzyk koło ucha...

— Niech pan się nic nie obawia — mówi dowódca kompanii — cekaemy są zaryglowane na pułap 2 metry.

Myślę sobie — mądry pułap dwa metry. Ale co będzie, jak stanę na kretowisku? To i pułap się skończył... Kpi sobie ten kapitan.

A tu — aj!... w obcas podchorążaka trafiło. Ot tobie i pułap!... Dopieroż radiują — wydłużyć ogień, wydłużyć ogień!...

Okropnie trzeba ostrożnie z tym wojskowym bractwem. Ot, jakiś inny porucznik idzie.

— Dzień dobry, redaktorze — powiada — ależ redaktor ma szczęście: wczoraj w *Inferno* zapraszał pana wzięść udział w wycieczce mułowej i potem nocować u niego porucznik Wroński. Otóż nocą Wroński wrócił, rozebrał się, zasnął, a potem przebudził się i wyszedł z namiotu na chwilę. Wtedy akurat pocisk rąbnął w namiot, zabił gońca por. Wrońskiego, zniszczył rzeczy; równocześnie inne pociski rozbiły koło namiotu 6 łazików i zabiły 16 mułów.

— Kiedy Kara Mustafa... — powiadam — postanawiając się nie dać więcej nabierać — i w ogóle S-P... zbyt ostry kąt padania... na zaryglowany pułap...

Porucznik patrzy na mnie ze zdumieniem: z jakiej racji ten starszy pan puszcza takie pożartuszki?

Bo okazało się — że z por. Wrońskim istotnie tak wszystko było.

*Drôle de guerre!*





## (19) 14. BATALION NA STANOWISKACH

Teraz, będąc między nimi, dowiaduje się jakie to trzy tygodnie trwają w tej niepozornej pozycyjnej wojnie, o której tak mało się znajduje w gazetach, a jednak tak wiele — w szpitalach.

Pozycje między wzgórzem klasztornym a masywem Monte Cairo trzymaliśmy częścią sił Korpusu.

Północna część tego odcinka — wzgórze Castellone — miała pozycje dalej położone od nieprzyjaciela i obsadzające ją pułki kawaleryjskie karpacki i 15. poznański miały stosunkowo lepszą służbę.

Natomiast na wzgórzu 706 i na stokach wzgórza oraz na dalej pod Klasztor biegnących wzgórzach i wyniosłościach pozycje obu stron zbliżały się, zwłaszcza ku Klasztorowi, na rzut granatu ręcznego. Przeciwnicy tam warowali przeciwko sobie na terenie niedawnego nieuprzątniętego pobojoowiska.

Tam, na ten wąski dwukilometrowy odcinek — między 1. brygadą gwardii 4. dywizji angielskiej, zajmującej część miasta Cassino pod stokami klasztorного wzgórza a między 15. pułk ułanów, dziedziczący po Francuzach pozycje na Castellone, wepchnięto i ukryto nasze niemal trzy bataliony i 96 moździerzy. Niemcy stawali na głowie, aby zidentyfikować, kto jest przed nimi, aranżowali ciągłe prowokacje. W tym ciężkim trwaniu Korpus zaczął zapisywać pierwsze karty bitwy o Monte Cassino.

20 kwietnia mjr Ziobrowski, dowódca 14. baonu pojechał na rozpoznanie odcinka, który jego baon ma zająć. Odcin-



Mjr Ziobrowski





nek trzymają Irlandczycy — bladzi, wymęczeni, nieogoleni, w nieoczyszczonych butach, mający wygląd spłoszony.

A przecież jest to sławna ze swych walk 78. dywizja, poprzedniczka Karpackiej nad Sangro, dywizja, która przeżyła kampanię libijską i brała udział w desancie na Sycylię.

Snać to tu trwanie wypompuje żołnierza...

O godzinie 5 nad ranem ruszył na rozpoznanie wzgórze 706. Mgła rozproszyła się — wylał z niej straszliwy masyw *Cairo* i pochylił się jak *Guliwer* nad *liliputem*. Nie da się zaprzeczyć, że pierwsze wrażenie, jakie się wówczas odnosi jest — jak najprędzej się ulatniać.

Z mgły wylał i grzbiet, który batalion miał zająć. Z rzadka porośnięty, skalisty, niegościnnie.

Z mgły wyszły płyciutkie stanowiska-dołki, zajmowane przez Irlandczyków (cięcie drzewa na budowę schronów ściągających ogień), zarysowała się łatwość podejścia, cienkość linii własnych stanowisk.

Jakaś beznadzieja była w tym wszystkim; wracający ze służby żołnierze rzucali na kupę broń i ekwipunek przed legowiskami. Ogień nękający chodził po tych strupach ziemi, między którymi gniły trupy poprzednich natarć.

23 kwietnia batalion 14. ruszył na luzowanie. Żołnierze przysli pieszo z *Acquafondata* do *Inferno*, weszli w pięciokilometrowy wąwóz — pęknięcie między kilkaset — metrowymi ścianami. Idzie się przez ten wąwóz jak na tamtą stronę ziemi — mogłyby nad nimi być wyryte dantejskie *Lasciate ogni speranza*.

Przenocowali w dołkach u wylotu wąwozu na dolinę *Rapido*. Już tu nieprzyjacieliem złożył im pierwsze wizytowe karty wojny — ogień nękający.

Przeczekali dzień — ruszyli w dolinę gęsiego szykiem p-lot, pięć kroków żołnierz od żołnierza, odstęp drużyna od drużyny.

Jakież to wróg — pytają siebie, jeśli już tu takie ostrożności? Czerwone nitki biegają z góry w dół, z dołu do góry; mówią im, że tam, gdzie tak te nitki biegają — to *Klasztor na górze Monte Cassino*.





A oni — zwykli podorywki pachnącej pod lasonkiem i rowu zaciągniętego rzęsą, w którym grają żaby.

Weszli na Cavendish — ścieżkę mułą, która stać się miała Drogą Polskich Saperów. Grały kapele turkuci-podjadków. Niektórych potłukty rozrzucał pociski kamienie. Pięli się coraz wyżej w górę — leciały na nich lampiony świetlików. Nieraz się woła na takiego świetlika „kto idzie?“, przypuszczając, że to posuwa się człowiek z lampką elektryczną.

Kiedy podeszli pod pozycje — powitało ich inne światło: w świetle rakiet stanęły na chwilę bliskie nieruchome drzewa i jar.

Irlandczycy, spakowani już — szybko zdawali służbę. Pilno im było przed świtaniem przebyć dolinę Rapido. O godzinie 3 odcinek był ostatecznie przejęty.

Z rana — poczęli się zagnieżdżać. Kręcili głowami po gospodarsku na te dołki po Irlandczykach. Wojaki to te Irlandczycy może i są, ale po pustyni wojowali, a tu — leśna sprawa. Ludzie z Hajnówki i ludzie z puszczy Rudnickiej i Hłuboczkiej i Baksztańskiej i Nalibockiej i Wiszniewskiej, drwale z nadleśnictw wołyńskich, flisacy z Niemna — zesłi nieco w dół — ciąć drzewo na stropy. Robotę trzeba było robić cicho.

Wlekli narąbane paliki, a kopacze z fortyfikacyj wschodnich, z melioracji zakisłych łąk, z tych tam kopań dołów na kartofle, jazów, smolarni — robili co najgłębszy wkop. Na strop szły belki — im grubsza, tym lepsza. Na belki szła jedna przynajmniej warstwa worków z piaskiem i ziemią, na nich przynajmniej dwie warstwy kamieni. Na wierzchu obowiązkowo duże kamienie jako warstwa detonująca. Przed wejściem — ścianka załamana. Budują najchętniej na trzech — tak różniej: dwu czuwa, a jeden śpi.

Porządnie. Po gospodarsku.



Czytałem list:

„Ojcze! Teraz jestem, gdzie huczy, świszczy, gdzie dudni ziemia. Gdzie króluje śmierć. Ale ja mam ją gdzieś. Co mi z niej. Mam schron gdzie jej nawet czubek kosa nie dostanie. Co innego całą kosą w sam czubek — wówczas krucho. Nie ma rady. Tak musi być. To wojna.”.

Zaczęły się — długie dni. Zwolna, kiedy nazwyczaj się wzrok, kiedy narządzał się słuch — ziemia głucha i niema ożywiać się poczyniała groźnym życiem. Przed frontem, niewidoczny, przesuwał się co dzień obserwator moździerzny niemieckich, wypukując ze szmajsera wykryte miejsca. „Czubek kosa” świstał codziennie nad przemyślnie uzdajanyymi schronami. 30 kwietnia pocisk wpadł pod łóżko kpt. Janusza —



zmarł kpt. Janusz — a pocisk nie wybuchł — zadomowił się pod łóżkiem jak pies.

Pół martwych, wobec różnostronnych ogni, właściwie nie było. Wszędzie i na każdym miejscu można było w każdej chwili dostać „całą kosą”. Zaraz następnej nocy po zajęciu pozycji trzasnęła nawała w placówkę 14. haonu, złożoną z dwunastu ludzi. Czterech zostało zabitych, pięciu ciężko rannych. Właśnie padał deszcz. Ponuro ich znosili koledzy po oślizgłych skałach. Nie ma nic cięższego dla żołnierza, jak dać się zabijać biernie.

Jedyną obroną, jaką rozporządza batalion w tej wojnie na niewidzianego, to moździerz własne batalionu. Są to co prawda jeszcze trójczyny — trzycalowe lekkie moździerze — ciężkie „czwórki” (moździerze 4,2 cala) zbierano dla nas do-





piero na gwałt po Tunisach, Egipcach i diabli wiedzą gdzie i dostarczyć miano dopiero przed natarciem. Z niemieckiej strony dokuczały moździerz ciężkie — na te nic poradzić batalion nie mógł, ale użerał się z nieprzyjacielskimi lekkimi, stojącymi na zasięg naszych.

Dowódca plutonu moździerzy, por. Fajbusiak, natychmiast po zaciągnięciu stanowiska przystrzelał sobie i przekontrolował dziewięć celi przekazanych przez Irlandczyków (do dnia natarcia wykrył jeszcze dalszych dziewięć).

Prosi pewnego dnia sąsiada, obserwatora artyleryjskiego, aby mu pomógł rozbić wykryte gniazdo moździerzy niemieckich. Obserwator zbył dosyć wyniośle żądania „żydowskiej artylerii”. (Istotnie, bardzo zabawnie strzela się z moździerza: stoi rura krótka i pękata, która ma taką pretensję być lufą, jak osioł koniem; z tej rury jest nakaz, dajmy na to, oddawać strzał co piętnaście minut — bo przecież w dni walki pozycyjnej prowadzi się tylko ogień nękający; leży więc sobie drab rozwalony z gazetą albo z papierosem, co piętnaście minut, ziewając, podchodzi do rury i wrzuca przez nią od góry — jak za króla Ćwieczka — pocisk; pocisk uderza się w dole o sterzcący sztyft i wylatuje z powrotem. I to jest *di gance postrojkie* „żydowskiej artylerii”).

Po chwili tenże obserwator dzwoni do tegoż por. Fajbusiaka: „Panie, te moździerze poczynają mnie obkładać”. Niepamiętliwy por. Fajbusiak dał serię i „Najświętsza Panienska pomogła”, jak sugerował czynności kanonierskie w „żydowskiej artylerii” najwyższym szarżom niebieskim jeden ze strzelców: wysunięty obserwator doniósł, że jeden szwab się rozłożył, a kilku kulga się rannych. Kpt. Janicki, który w tym dniu od rozbitych moździerzy postradał strzelca, telefonuje do por. Fajbusiaka: „Dziękuję ci, żeś mi skwitował mego chłopaka”.

Nocą z 7 na 8 maja — kiedy już nabrzmiewały zdarzenia i strony szykowały się gorączkowo do rozprawy — postłyszeli nasi w jarze pod 706, w nomanslandzie, jakieś ostrożne przyciszone roboty ziemne. Poszła salwa z moździerzy, roboty zmilknęły, natomiast z jaru poczęły dochodzić jęki.

Rzecz prosta, że w tych warunkach wszelcy „goście” byli karą Bożą. Goście się wynosili, a Niemcy na miejsca, w któ-



Por. Fajbusiak



Kpt. Janicki



rych był ujawniony ruch pukali a pukali, (aczkolwiek raz sprawdziło się, że „Gość w dom, Bóg w dom”). Po odejściu jakiejś wyższej szarży, która specjalnie dużo się pętała, zirytowani Niemcy tak kropnęli, że pocisk — odgrzebał skład różnych smakołyków pozostawionych po poprzednikach). Zaczynam rozumieć, czemu mnie nigdzie nie puszczono, czemu kilka dni czasu straciłem nawet nim się dostałem do dowództwa dywizji, jako do najwyższego cymesu. Ale też poczynam rozumieć, że jak się nie pchać, to wszędzie zawsze nie można, a jak się pchać, to pies kulawy nie zapyta — jakim prawem. Tylko, że zmańdrzałem na jeden dzień przed natarciem i już wojny pozycyjnej wiele nie zobaczę.

Chłopaki w tej wojnie pozycyjnej też zwolna poczynają rozumieć, że „kuzden żołnierz nie umiera”. Uprawiają sport — czołgania się na przedpolu w poszukiwaniu puszek konserwowych pozostawionych przez poprzedników. Przyciągają z wielką dumą jakieś niebywałości: a to orzeszki w konserwie, a to ciastka. Największym powodzeniem cieszy się — marchewka w konserwie: robi się dziurkę, wypija się sok spragnionymi ustami i puszkę z marchewką się wyrzuca.

Bo wody nie ma, bo wody jest wciąż brak. I to co skąpo dowożą, dowożą nieraz w zardzewiałych bańkach. Z niej, czy z wiecznie konserwowej strawy, czy z odoru trupiego — żołnierze wymiotują.

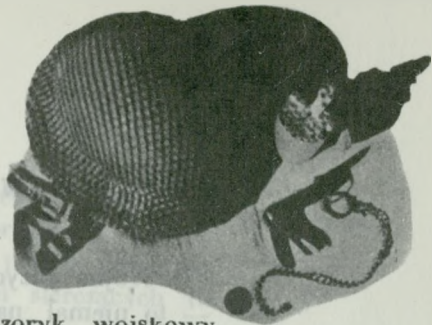
— Czegoś się uwziął rzygać? — zadają dosyć retoryczne pytanie takiemu, który właśnie zwraca czerwoną zardzewiałą wodę, jakiej się napił z puszki.

— O-o-o-ch!... — usprawiedliwia się Wileńczuk — wojna znudziwszy się.

Jeśli się trafi czasem ofiara dostana z 7. dywizji jako uzupełnienie, to jest rozmaitość w szarym dniu.

Jeden z takich „dziadków”, ujrawszy, że strzelają — za Boga nie „rezykował” iść do kompanii. Któryś ze spryciarzy wytłumaczył mu, że hełm hełmowi nie równy, bo „jak jaka seria uda się w hartowaniu”. Po czym mu na próbę pożyczył własnego hełmu i przy każdym wybuchu choćby najdalszym rzucił mu w hełm kamyczkiem. Sitwesi zaś za każdym razem wieszowali „trafionemu” niestychanej wyjątkowej wytrzymałości hełmu. Jako dopłata za wymianę poszedł cały jeden





„kasztan” (złoty funt), „Churchill” (scyzoryk wojskowy bardzo pękaty, bardzo uniwersalny i bardzo trudno otwierający się) i pięćdziesiąt fasowanych papierosów w cynkowej puszcze. Co to wszystko warte wobec ceny życia!

Inny „dziadek”, przysypany pociskiem, kiedy go wygrzebano, powiedział pobożnie, wskazując na krzyżyk jerozolimski na piersi — „to on mnie uratował”.

Zbudowani nabożni słuchacze a koledzy usadowili go na kamieniach; po pewnym czasie spostrzegli, że uratowany myje się (!!), przebiera się w czystą bieliznę i poczyną śpiewać.

To mycie się zwłaszcza upewniło, że dostał hysia i odesłano go w dół.

Inna taka ofiara chwaliła się, że przypikowawszy pod ogniem trafił na drut nieprzyjacielski i przeciął go ku chwale ojczyzny.

Słuchający „drucik” skoczył na równe nogi:

— Toś ty, s... synu ten kabel przeciął!...

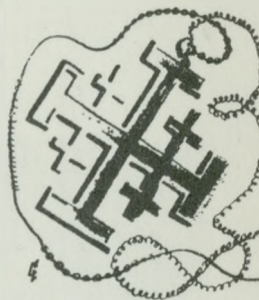
Tak sobie trwał batalion czternasty między żartami i śmiercią. Wypatrywał białego obłoku w dolinie: dolinę zadymiają, muły idą, woda będzie.

Czasem się muły rozbiegały pod ogniem. Źle było postradać własnego muła, ale przyjemnie było schwytać cudzego, objuczonego bańkami z wodą.

Jeden muł-widmo, nie wiadomo nasz, czy niemiecki, błakał się, niepojony, między pozycjami i żył dwa tygodnie, nosząc wodę na sobie. Czasem zaszeleściły krzaki — mignęła sylwetka i znikła. Zasadzano się na niego na próżno.

Tak trwał batalion czternasty, swoją harówką dając możliwość kolegom z innych batalionów wypocząć i przeciwżyć do natarcia.\*)

\*) *Przypisek po bitwie:* Trwał — tracąc do dnia natarcia w wojnie pozycyjnej 16 zabitych i 46 rannych, trwał i potem, kiedy pierwsze natarcie załamało się i odpłynęło, trwał i potem, kiedy drugie natarcie poszło — tracąc 45 zabitych, 163 rannych, kilkudziesięciu chorych odesłanych do szpitali — trwał na tym odcinku pełne 26 dni.



## (20) WOJNA POZYCYJNA KARPACKIEJ

Wojna pozycyjna Karpackiej była jeszcze cięższa. Jej teren — to niemal nagie skały. Niemcy, likwidując natarcie poprzedników, wybrali najdogodniejszy dla siebie teren: nie chcąc, aby im nieprzyjaciel zaglądał w Albanetę, obsadzili sam szczyt wzgórz 593 i 569. Wzgórze klasztorne stało jako przedłużenie obronne po prawej ręce niemieckiej, 575, Widmo, St. Angelo itd. — po lewej.

Niemcy — obsadzili szczyt 593 i nie schodzili dalej. Zostały tam więc prowizoryczne stanowiska naszych poprzedników, w warunkach najmniej pomyślnych, bo w terenie obranym przez wroga, w którym on dominował nad naszymi pozycjami, patrząc z góry nam w menażki. Chodziło jednak o każdą piędź wobec spodziewanego lada chwila ponowienia ataku na Niemców. Uważano te pozycje za prowizorium — a prowizorium trwało.

Zajmować te pozycje po Irlandczykach poczęła Karpacka w końcu kwietnia. Dowiedziawszy się o luzowaniu, Niemcy otworzyli ogień z czego tylko Bóg dał. Na odcinku zajmowanym przez kompanie naszego baonu Irlandczycy, schodząc z pozycji, stracili siedmiu ludzi, dając tym groźne memento. Dziewięciu ich noszowym, niosącym czterech rannych, patrol niemiecki pokazał grzecznie drogę — w stronę niemiecką.

Żołnierzom udało się wśliznąć o zmroku — bez strat.

Równocześnie inne oddziały Karpackiej zajmowały sąsiednie odcinki — cichutko, w gumowych pantoflach. Pierwsze, co ich witało, to zaduch trupi.

12. pułk ułanów podolskich wszedł na odcinek bezpośrednio przed zlurowaniem 2. baonu.

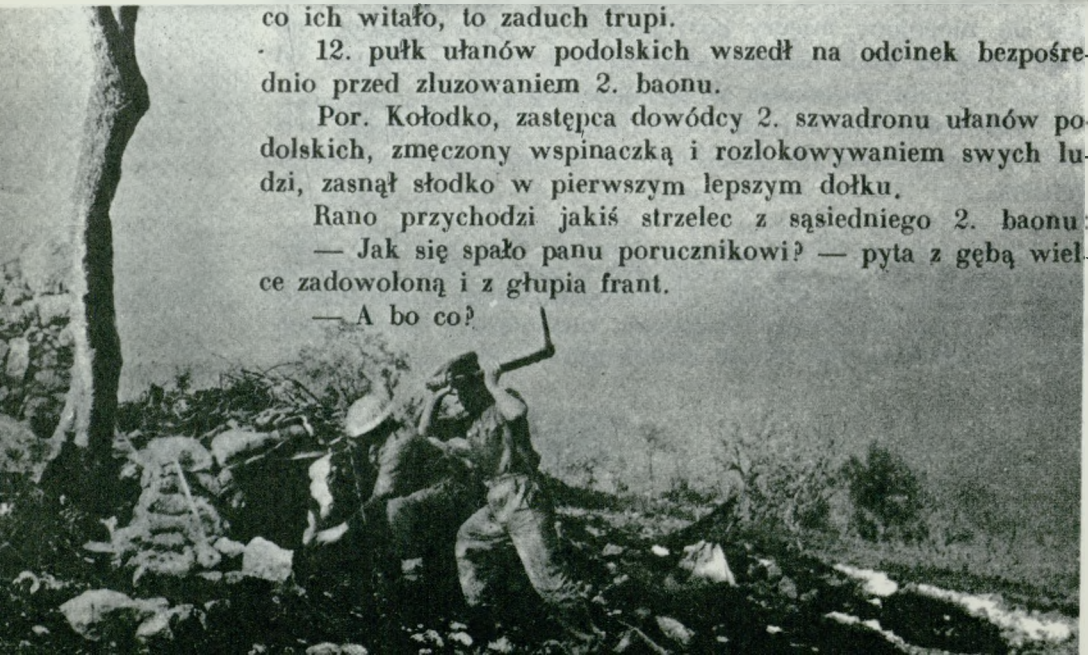
Por. Kołodko, zastępca dowódcy 2. szwadronu ułanów podolskich, zmęczony wspinaczką i rozłokowywaniem swych ludzi, zasnął słodko w pierwszym lepszym dołku.

Rano przychodzi jakiś strzelec z sąsiedniego 2. baonu:

— Jak się spało panu porucznikowi? — pyta z gębą wielce zadowoloną i z głupia frant.

— A bo co?

Na Maioli





— Bo ja, panie poruczniku, też tu chciałem wybrać miejsce, ale tu faktycznie — trupek leży, panie poruczniku.

Zmachany oficer przespał się na trupie, płytko przysypałym szutrem, nie spostrzegając w ciemności sterczących tu i tam kończyn.

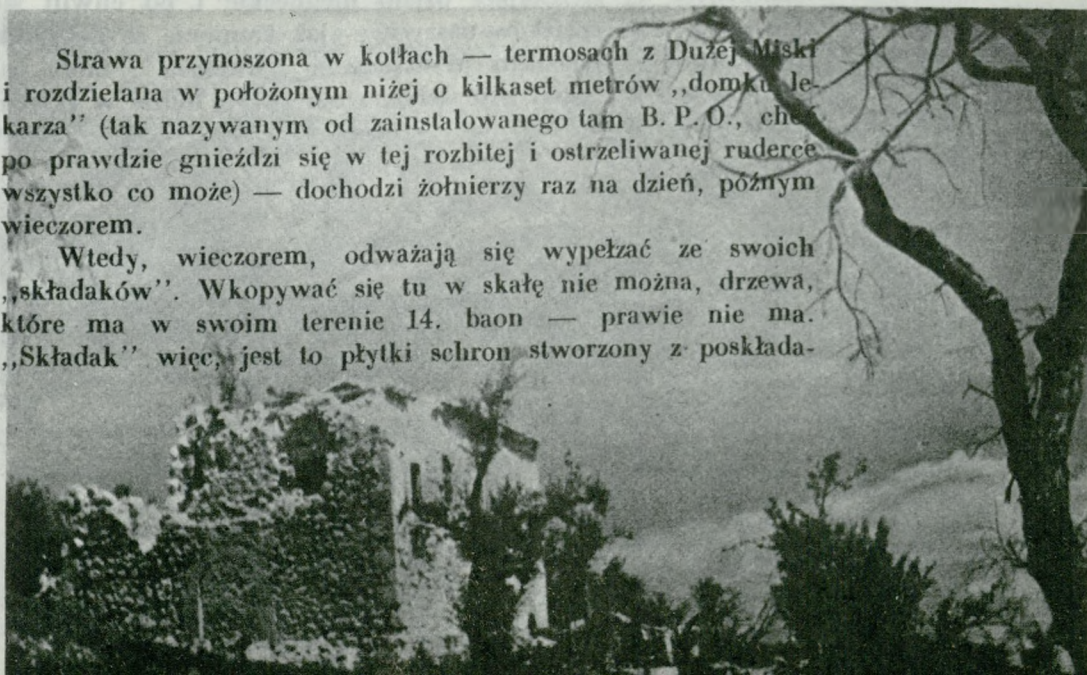
Zaczęły się długie dni niesamowitej egzystencji. Ogień nieprzyjacielski sieka ich ścieżki zaopatrywania, linie łączności, wszystkie dowództwa. Warunki żywienia bitwy są nad wyraz ciężkie. Raz po raz są straty w mułach



*Domek doktora*

Strawa przynoszona w kotłach — termosach z Dużej Miski i rozdzielana w położonym niżej o kilkaset metrów „domku lekarza” (tak nazywanym od zainstalowanego tam B. P. O., choć po prawdzie gnieździ się w tej rozbitej i ostrzeliwanej ruderce wszystko co może) — dochodzi żołnierzy raz na dzień, późnym wieczorem.

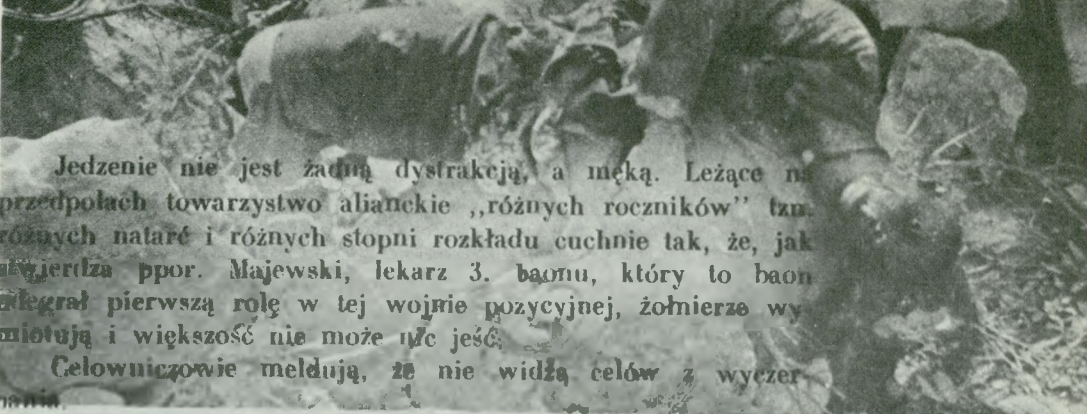
Wtedy, wieczorem, odważają się wypełzać ze swoich „składaków”. Wkopywać się tu w skałę nie można, drzewa, które ma w swoim terenie 14. baon — prawie nie ma. „Składak” więc, jest to płytki schron stworzony z poskłada-











Jedzenie nie jest żadną dystrakcją, a męką. Leżące na przedpolach towarzystwo alianckie „różnych roczników” tam, różnych natur i różnych stopni rozkładu cuchnie tak, że, jak powiedział ppor. Majewski, lekarz 3. baonu, który to baon odegrał pierwszą rolę w tej wojnie pozycyjnej, żołnierze wymiotują i większość nie może już jeść.

Celowniczo meldują, że nie widzą celów z wyczerpania.

Piliby, ale z wodą jest bardzo źle. Nie sposób jest mułami nawet dostateczną jej ilość.

Pod „domkiem doktora” są dwie studnie, ale Niemcy wszak tu rezydowali, Niemcy wszak wiedzą wszystko i w studnie są wstrzelani \*).

Jeszcze trudniej brać wodę ze studni za stanowiskami ułanów. Do iluż tam ludzi przyleciała śmierć na brzęk łańcucha, ileż baniek, wypuszczonych z omdlałych rąk, spoczęło na zawsze na dnie!

A mimo to — szli po wodę. Zwykle po czterech z dwudziesto-litrowymi bańkami. Zupełnie pełną bańkę owijają kocem, przypinają do noszaka i pną się z powrotem ku pozycjom.

W „domku doktora” rządzi dowódca 3. baonu, ppłk Sokol — mały, pękaty, mówiący chrypliwym szeptem (na skutek choroby gardła), pełen temperamentu — postać kolorowa i popularna wśród wiary tobruckiej.

— Wieszczu — chrypi — najgorsza to ta krowa.

— Jaka krowa?

— No ta, pod pułapem. Niemiaszki ją tam powiesiły, by obdrzeć ze skóry; właśnie skończyli procedurę, gdy musieli nawiewać.

Zeschnięty trup krowi patroluje wszystkim kolejnym lokatorom domku.

Od „domku doktora” rozchodzą się drogi do warujących oddziałów. Wprost na 593 prowadzi ścieżka alejką poćcinanych pociskami drzew — do bramki, która zapewne stanowiła wejście do ogrodu otaczającego domek.

Za bramką wielkie masy puszek po konserwach (wszak

\*) Przepisek po bitwie: Ppłk Sokol, rezydujący w domku w czasie natarcia, mówił mi, że mając studnię tuż, musiał cierpieć brak wody.



Ppłk Sokol

Studnia





kiedyś była tu spokojna pozycja niemiecka). Gdy noga po puszkach zachrząści — strzela z obu stron Klasztor i Albaneta.

Dalej — murek — resztką czegoś nierozpoznawalnego, kiedyś tu wzniesionego. Pod murkiem gniazdo skalne miało sobie ppor. Płachciński, dowódca zalegającego tu 2. plutonu 2. kompanii 3. baonu, nieogolony od 18 dni.

Leży tu kilkanaście trupów alianckich i biegają ogromne wypasione szczury. Schron podporucznika jest kryty gałęziami, na których dla cienia umieszczono puste bańki po wodzie i nieco szutru. Schron wymoszczony jest kilku przegniłymi kocami, pozostałymi po Amerykanach. Nogi można wyciągnąć tylko siedząc. Jedno dobre — jest już tak blisko Niemców, że ich artyleria nie odważa się tu strzelać. Natomiast przez dzień cały biją moździerze, moździerzki piechoty i garłacze. Niemcy tu strzelają też z tzw. „piesków włoskich”

Dość nogą trącić puszkę, która się potoczy — i już idzie ogień.

A dalej — jeszcze są ludzie 3. baonu: — 1. kompania ppor. Jagiełły \*), 2. kompania por. Szlampa \*).

Kompania Szlampa — jest najdalej wysunięta pod szczył 593. W rozmowach potocznych mówi się: „być na Szlampie”. Coś jak fort V a u ).

\*) *Przypisek po bitwie:* Obaj amputowani. Ppor. Jagiełło zmarł po drugiej amputacji. Oto jak się przedstawiał stan dowodzenia batalionem po zbilansowaniu tych 21 dni: (z. — zabity; r. — ranny)



Ppor. Jagiełło



Na przedpolu kompanii Szlampa rośnie suchy cienki dąbek o średnicy 10 cm. Tam co noc wpełza nasza placówka do skłonego składała, obserwując Niemców przez prześwity w kamieniach.

Strzelcy wyborowi obu stron nie bardzo mogą strzelać — jeśli kto po stronie niemieckiej ma się ruszyć, to ubezpieczają go niemieccy strzelcy wyborowi; nasz strzelec, który się pokusi zapolować na ruszającą się zwierzynę — dostaje kulą w łeb; tak zginął nasz strzelec wyborowy Pastor; my względem Niemców stosujemy tę samą taktykę.

- 1 komp. dowódca ppor. Jagiełło r., zastępca ppor. Szemraj r.  
 Dowódca 1 plut. sierż. Sopiak r.  
 „ 2 „ ppor. Szwejkowski r.  
 „ 3 „ „ Samołyk r.
- 2 komp. dowódca por. Szlampa r.  
 zastępca ppor. Chachulski z.  
 Dowódca 1 plut. ppor. Cegłowski r.  
 „ 2 „ „ Płachciński r.  
 „ 3 „ „ Konopacki r.
- 3 komp. dowódca por. Ościk  
 zastępca ppor. Hankiewicz r.  
 Dowódca 1 plut ppor. Sobolewski r. (z. w kampanii adriatyckiej)  
 „ 2 „ ppor. Kusiak (r. w kampanii adriatyckiej).  
 „ 3 „ ppor. Gwóźdź
- 4 komp. dowódca kpt. Radwański r. (wzięty do niewoli w kampanii adriatyckiej)  
 zastępca ppor. Król  
 Dowódca 1 plut. ppor. Koczyrkiewicz r. (ranny po raz drugi w Apeninach).  
 „ 2 „ ppor. Niedziółka r.  
 „ 3 „ plut. pchor. Wiśniewski r.

Straty pozycyjne 3. baonu wyniosły 29 zabitych, 183 rannych i 40, którzy tak rozchorowali się, że trzeba ich było odesłać do szpitala.

W tym świetle zgoła makabrycznie wyglądał w „Dzienniku Polskim” Londyńskim następujący wywias:

Donosząc o „Wielkich zdarzeniach” pod Monte Cassino, które „przyszły niespodzianie” (!? — proszę zwrócić uwagę na rozdział p.t. „Gracje rozstawiają figury” p. m.), pismo pisze:

„Jeszcze w ich przededniu Polacy we Włoszech, mówiąc szczerze — nudzili się niesamowicie, usiłując wytoczyć wojnę... muchom i strzelając na wiatr”



Ppor. Szemraj



Ppor. Niedziółka



Ppor. Król



Strz. Ciesinski

2. baon był na pozycji tylko do 8 maja. Zluzowany przez 12. pułk ułanów i 4. kompanię 6. baonu, straciwszy 7 zabitych i 11 rannych, weźmie teraz udział w pojutrzejszym natarciu.

Dowódca 2. kompanii, por. Pańczyszyn, siedzi zgarbiony w składaku; składak pokryty jest noszami, zaciągniętymi kocem. Pocisk wali w składak — słychać jęki, pełno kurzu.

— Jooj... żebym jeszcze żonę zobaczył — jęczy pisarz kapral Jazurek; ma oderwaną nogę.

Goniec Ciesiński, raz już ranny — zostaje ranny po raz drugi ośmioma odłamkami.

A Pańczyszyn? — pokazuje mi kubek emaliowany, cały w kroście dołków; koc — pocięto w drobny mak; on sam — wyszedł bez draśnięcia.

Ciężko było nad wyraz bytować w tym biernym zagrożeniu. Usiłowali je ignorować — pchor. Kazuro zainicjował grę w karty — nagle osunął się na ziemię; zaskoczeni partnerzy skonstatowali śmierć na miejscu od kuli ze szmajsera — nieoczekiwanego kibica.

Kpr. pchor. Pietronik wydawał żywność; usłyszawszy szum pocisku, zdążył dać nura do składaka; jeden z biorących żywność został zabity, trzech rannych, a Pietronik tylko po nogach dostał.

Jak długo tak mogą mordować? Pańczyszyn dzwoni: „Co mi, do cholery, trupiarnię robicie? Bijcie po nich!”

Ale to nie tak łatwo. Nasza artyleria nie chce zdradzać stanowisk, a jeden ujawniony strzelający pułk nie wystarczy. Moździerzom zaś trudno nastarczyć amunicji; co noc do dwunastu lekkich moździerzy (ciężkich wciąż jeszcze nie ma), ustawionych koło m. p. dowódcy baonu ciągnie pochód noszowych; każdy wspina się z sześcioma nabojami do „trójki” i robi dwukrotny kurs w ciągu nocy.

W tych warunkach nerwy ludzkie napięte były do nieśkończoności.

Pewnego razu dwu żołnierzy — kpr. Janda i strzel. Legan \*) siedzieli w wysuniętym schronie na placówce.

Placówka taka, wysunięta tak bardzo pod nieprzyjacielskie

\*) *Dopisek po bitwie:* Legan w dalszej akcji poległ, a Janda został ciężko ranny.



pozycje, że można było słyszeć gdy kto kichnął u Niemców — w razie jakiegokolwiek wypadu niemieckiego mogła być zdmuchnięta, nim zdąży się opamiętać. Wszak przeciwnik mógł ją wziąć jednym skokiem.

Nic dziwnego, że słuch i wzrok wyostrzał się niepomieranie.

W danym razie wzrok nie mógł się przydać wiele; była godzina 22 — pora przedświeżycowa i na przedpolu było czarno, choć oko wykol.

W tej czarności nieprzeniknionej zwidział się Leganowi jakiś ruch... Coś tam w tej ciemności żyje — może jeden człowiek, a może sunie mur ludzi.

Legan przylgnął ciałem do kolegi i tchnął mu w ucho:  
— Słyszysz?

Ale Janda nie słyszał. nic.

— Stój — kto idzie? — świszczącym szeptem pytał Legan.

Po czym, nie doczekawszy odpowiedzi — puścił serię z elkaemu.

Natychmiast jak na komendę plunęło kilkanaście szpandałów \*) na całą kompanię.

Skoczył dowódca kompanii por. Pańczyszyn — nie wie o co chodzi. Telefonuje do sąsiada z lewa, do sąsiada z prawa, a u sąsiadów już też grzmą wszystkie elkaemy, a na sąsiadów pluja wszystkie szpandały.

— Ani chybi — idzie generalne natarcie niemieckie.

— „Karpaty”, dajcie „Karpaty”! — woła w słuchawkę Pańczyszyn.

„Karpaty” — to umówiony znak, ogień zaporowy.

\*) Ten przypisek jest dla purystów, którzy uznają tylko słowa i pisownię, w jakiej się urodzili, nie licząc się, że kiedy te słowa wchodziły w krwioobieg języka — również były uważane za gwarę.

Żołnierz sobie upraszcza całkiem słusznie słowa cudzoziemskie, które, stając się słowami codziennego użytku, spolszczają się i adoptują. Nie widząc powodu, dla którego zaakceptowawszy słowa: lanca, tornister, kask, hełm, mam na każdej stronie skręcać sobie głębe, mówiąc „span-dau'ani”, kiedy żołnierz znacznie logiczniej mówi „szpandałami”. Dlatego będę używał pisowni: szpandał, szmajser, tomigan, szerman, elkaem, komandos, jak pisałbym „fasprony”, zamiast „Faust-patronen”, gdyby żołnierz miał z nimi do czynienia częściej i począł sobie tak skracać. Słowa „Klasztor” i „Droga Polskich Saperów” piszę z dużych liter, traktując je jako nazwy własne.



Kpr. Janda



99

Szpandał



Pchor. Bąk

Data nasza artyleria „Karpaty”, odpowiedziała artyleria niemiecka.

3. pluton 4. kompanii 1. baonu tak był przekonany, że idzie natarcie, że w ciągu 10 minut wyrzuci 200 granatów. Kpr. pchor. Bąk zerwał się do rzucenia granatem; miał już odbezpieczony granat, gdy został trafiony; runął, zaciskając kurczowo rękę na odbezpieczonym granacie. Tak jego trupa potem znaleźli — z odbezpieczonym granatem w dłoni, która zaciskała zwolnioną sprężynę.

W tymże plutonie był wówczas ciężko ranny ppor. Pśnik.

Strzelanina, która przeniosła się aż na sąsiednią Kresową, trwała półtora godziny, aż wreszcie obie artylerie dopytały się, zniarkowały, że nikt nie naciera i zamilkły.

Łącznościowcy wylegli, znów nawiązali pozrywane druty. Poczęły biec po drutach pytania kto zaczął i o co, dobrali się do Jandy i Legana, a właściwie tylko do Jandy — bo Legan znikł. Janda meldował, że chłopak strzelał do ostatniego magazynku, a potem zerwał się i pobiegł w przód, wyrывая się na próżno szarpiącemu się z nim Jandzie. Pewno zginął w tym paroksyzmie szoku, bo już o sto metrów przed naszymi pozycjami kładła cała nasza artyleria ogień zaporowy.

Badania skrupulatne, co by to mogło być, stwierdziły, że o żadnym natarciu niemieckim mowy nie było. Zapewne Niemcy przygotowywali nowe stanowiska i wysłali patrol ubezpieczający.

A może, po prostu, biegł gruby najedzony szczur i zawadził o bańkę? — pytali ostateczni sceptycy.

Ale szczura nie ubezpieczałyby szpandały, które plunęły natychmiast...

Tak czy owak — niewyraźnie się zrobiło wojakom. I jak tu usprawiedliwić wyrzucone 200 granatów? Do kogo?...

Drużynowi wstydzą się podać stan granatów dowódcy plutonu, ppor. Bernaś wstydzi się podać stan granatów dowódcy kompanii.

— Takie syny — powiada — to ja za wasz mężny fajer będą kapitanowi Lenardowi w oczy świecić!?

— Panie poruczniku — powiadają — niech pan porucznik wykaże tylko część.







*Ostrzenie granatów*

— To nie uzupełnią mi ile potrzebuję do pełnego stanu. Patrzą w bok, skonfundowani okrutnie. Jeden mruknął: — Sie zrobi...

— Sie zrobi, panie poruczniku — podchwytną skwapliwie inni; zmiarkowali co tamten jeden kombinuje; poweseleli.

Się zrobi, to się zrobi.. Ppor. Bernaś ślini ołówek i pisze: „Rozchodowano sto granatów”.

Pomyślał. Zmiął kartkę. I napisał: „Rozchodowano 80 granatów”.

A brakujące 120 uzupełnili chłopaki, czołgając się nocami między linią polską a niemiecką i zbierając porzucone po Amerykanach granaty.

7 maja pękł czort wypuszczany z Klasztoru. Najwyraźniej słyszeli eksplozję w samym środku działalności nebelwerfera, grzechotka najwyraźniej urwała się u diablego ogona i przestała dokuczać aż do samego natarcia.

W istocie rzeczy jednak sprawiły to szermiany angielskie.

Klasztor nie miał p-panców, więc szermiany zajeżdżały sobie dosyć bezkarnie co dzień i oddawały serię do jego murów przez lukę między wzgórzami.

Pod tymi murami był jakiś stary tunel, w którym „mieszkał” — nebelwerfer. Zwykle wysuwał się przed wieczorem z tunelu, spluwał trzy salwy z sześciu rur i, oddawszy osiemnaście pocisków, chował się.

Zauważywszy ujście tunelu, siedem angielskich szermianów zajechało nocą przed lukę, wyrzycowało się, zakamuflo-



wało i czekało, jak myśliwy czeka w zasiadce na dzika, kiedy wieczorem wynurza się z lasu na polanę i żeruje.

Kiedy ukazał się nebelwerfer — plunęło w niego siedem dział. Nastąpiła eksplozja, wybuch — smok góry klasztornej został zabity i już nie dokuczał więcej.

Tegoż dnia w schroniku 12. pułku ułanów znalazło się aż dziewięciu oficerów — z meldunkami, zapotrzebowaniami i td.

Przypomnieli — że to właśnie święto pułkowe — święto pułku ufundowanego jeszcze w XVIII wieku prywatnym sump-tem, który odrodził się w 1918, o którym ułańska „żurawiejka” głosiła, że „po majątki na Podole pułk dwunasty rusza w pole”

Znalazła się butelczyna whisky — westchnęli na te marne czasy, w których — w święto pułkowe — dziewięciu chłopca nacelowuje się na jedną butelczynę, uścisnęli sobie ręce — w poczuciu, że już w takiej dużej gromadzie nie spotkają się przed bitwą. A po bitwie — czy zejda sie ci sami?

Nazajutrz, ósmego maja wieczorem, Niemcy na wzgórzu klasztornym urządzili sobie popijawę. O tej godzinie strony pobierały żywność i ustalił się zwyczajowy rozejm. Krzyki i pisk jakiejś kobiety docierały do nas

— NAAFI pewno dostali — dowcipkowali nasi żołnierze (w przydziałach NAAFI czasem fasowano nieco alkoholu).

Po czym rozżółcili się: oni tu leżą w pchłach w swoich półgrobach jak psy, a te szwabki może nawet sobie kanapki zażerają i koło płci chodzą?

Poczęli strzelać. Artyleria się przyłączyła. Pijane wrzaski zmiłkły (\*).



\*) Przypisek po bitwie: Trupa spadochroniarki sam po bitwie widziałem na pobojowisku na skłonie 575. A kiedy byłem w Rzymie, oo. Benedyktyni opowiadali mi to, co słyszeli od ludności miejscowej: że Niemcy, popiwszy się, przebrali się w ornaty. Że kiedy poszła nasza nawata, uciekali do schronów, że jednego w drodze dosięgnął pocisk i tak leżał — rozrzucając ręce i nogi w złości ornaty i w kałuży krwi.





## (21) W E S O Ł Y , , M E L S Y T ’ ’

A był to ósmy maj, dzień św. Stanisława. W wysuniętym rzucie kwatermistrzostwa Karpackiej też odchodziły imienniny. Płci nie było, bo tego od Acqua fondaty poczynając, gdzie kończyła się ostatnia kantyniarka, nie poświęciłbyś ani na lekarstwo, ale co do whisky nie można powiedzieć — ta nie pokrzywdziła.

Dni teraz idą gorące, naprężone. Ludzie mówią nawet dając buty do oczyszczenia pocztowemu językiem rozkazów operacyjnych i „melsytów” (meldunków sytuacyjnych). Uczestnicy popijawy, podśmiewując się nad sobą i swoim dniem codziennym, ułożyli dziś, nazajutrz po tych nieoczekiwanych imienninach sprawozdanie, które nie zmieniając ani przecinka odkładam dla materiałów o książce. Aby ją napisać, czytam i czytać będę stopy takich oto „zadań”, „zamiarów”, „rozpoznań”, „wykonań”, „przebiegów” i td., a czytelnik myśli sobie potem bardzo łatwo: siadł i napisał.

Niechże za to sobie przeczyta in extenso rozkaz operacyjny i melsyt najłatwiejszy, bo imienninowy. Ale w pełni ocenią tę pijacką muzę tylko wojskowi.

„Q” AIM POST 3 CARP INF DIV.  
WYS. RZUT KWATERMISTRZOSTWA 3 DSK  
L. dz. 1/Alkohol/1944

ŚCIŚLE OSOBISTE  
8 maja 1944  
godz 1200.

L.....

ZYCZENIA IMIENINOWE Nr. I cz. II  
Mapy: stosownie do uznania.

- I. Położenie własne: prawie tragiczne. /G 913216/
- II. Położenie solenizantów:  
nieco lepsze, lecz godne pożałowania.



III. Zadanie :  
spełnić miły obowiązek względem kolegów.

IV. Zamiar :  
wysłać życzenia imieninowe najszybszym dostępnym środkiem łączności SŁUŻBOWEJ.

V. Wykonanie: 1 FAZA :

- a. Usiąść do maszyny o godz. X i napisać niniejsze pismo. Godzina X podana będzie do wiadomości zainteresowanych ustnie.
- b. Reszta, poza pisarzem, wziąć pióra wieczne do ręki i być w pogotowiu alarmowym do podpisywania.
- c. W braku piór wiecznych zezwalam, w drodze wyjątku, na użycie ołówków służbowych. Spisany przy akcie podpisywania grafit przypisze Szef Int. 3 DSK do zwrotu. Przypisane do zwrotu sumy potrącić przy najbliższej wypłacie uposażenia i zaprzychodować na „Konto Alkoholowe”.
- d. Po zakończeniu podpisywania rozesać pismo wg rozdzielnika.
- e. Przewidywany czas ukończenia Fazy 1 godz. X+25 minut.

2 FAZA :

- a. Godz. Y zebrać się we własnym rejonie i rozpocząć obrzęd „zalewania robaka” na intencję solenizantów. Godz. Y podana zostanie do wiadomości zainteresowanych ustnie.
- b. Godz. Y+360 minut — początek roznoszenia po schronach biesiadników przez trzeźwą część towarzystwa. Zgłoszenia ochotnicze na noszowych składać bezpośrednio w Kwatermistrzostwie Dyw. /Wys. Rzut/.
- c. Godz. Y+720 minut — początek „Katzenjammeru”.

VI. Łączność :

Przez cały czas trwania fazy 2 obowiązuje bezwzględna łączność duchowa z solenizantami.

WYS. RZUT KWAT. 3 DSK  
/w osobach :/





**OTRZYMUJA :**

Wg. rozdzielnika „STANISŁAW”

.....  
godz podpisu.....

.....  
godz podpisu.....

WYS. RZUT KWAT. 3 DSK.

MELSYT — 8. V. 44 Godz. 2400.

**WYKONANIE ZADANIA :**

1. — Już w przeddzień dnia "X" solenizanci byli nę-  
kani przez gości. W dniu "X" zaszła konieczność  
zorganizowania RR. Posterunek RR na przejściu  
przez rzekę wykonał swe zadanie — nie dopuścić na-  
raz do naszego rejonu więcej niż 3 gości.

2. — W godzinach popołudniowych nawiązał z nami  
osobistą łączność sąsiad Dca Świerków. Przybycie  
Jego dodało nam DUCHA. Po zapoznaniu się z tere-  
nem oraz zrobieniu zdjęć terenu i sytuacji — roz-  
poczęła się akcja.

3. — **PRZEBIEG WYDARZEŃ.**

Siły własne podzielono na dwie części.

Część I. w składzie Szef SWEM, Z—ca Szefa  
Służby Zdrowia, Szef Mat. przy bezpośrednim wspar-  
ciu załogi kasyna B oraz sąsiadów i aliantów roz-  
poczęła o godz. 18.00 intensywne działania, które  
bez przerwy trwały około 1 godz. Zniszczono 4  
(cztery) NPLA Whisky, dużą ilość zakąsek i kotletów  
wieprzowych.

Godz. 19.00. Sąsiad stwierdził, że jest już niepo-  
trzebna jego pomoc, pozostawił oficera łącznikowego  
(JAXA), a sam udał się do SWOICH.

4. — Część druga Kwatermistrzowsko-Materiałowa pod do-  
wództwem chor. Brzeżańskiego przygotowywała się  
do uderzenia na bok i tyły zdezorientowanego npla.  
Przygotowania ukończono godz. 19.15.

Godz. 19.30 początek natarcia drugiej części przy  
współdziale wolontariuszy.

Godz. 20.00 szturm przy użyciu środka dodającego





Ppor. Jaxa-Dębicki

animuszu t.j. pieśni, jak Karpacka, Legionowe i t.p. Godz. 22.00 — zwycięstwo — zniszczono 4 (cztery) npla /Dry/, niestwierdzoną ilość wina i kanapek. Strudzone zwycięskie wojska spoczęły na laurach — tylko niespokojne typy udały się na patrole rozpoznawcze.

Godz. 23.00 patrol rozpoznawczy stwierdził w rejonie St. Zdrowia obecność npla. Wypad — uderzenie i zniszczenie. Straty npla jak wyżej.

Straty własne — jeden zagazowany (JAXA).

— jeden zakaceni jamerowany przez całą 9. V. /SWEM/

Zamiar na przyszłość — Niszczyć NPLA, gdzie się da i jak się da.

**BRAKI W WYKONANIU:** Spodziewane posiłki z Wys. Rzutu Kwat. — nie nadeszły — a szkoda!

(Trzy podpisy nieczytelne)

Teraz muszę zdradzić, co się stało z tym „Jaxą” sygnalizowanym jako zagazowany.

Por. Jaxa Dębicki, adiutant dowódcy Karpackiej (ten, który towarzyszył płk Jastrzębskiemu w tragicznym dniu jego śmierci) jest łysy, młody, puciołowaty i uśmiechnięty. Kocha się śmiać i ma oczy pełne ciekawości do ludzi.

Co taki robi, kiedy się zagazuje? Wylazł chwycić powietrza, a tu jadą bantamy na swoją karkołomną wyprawę zaopatrzeniową. Wgramolił się na bantama i jedzie... Jako, że „sztabowcy winni trzymać łączność z linią”.

Dojechali na Drogę Polskich Saperów — jeszcze go rozebrało więcej męstwo i alkohol. Popchnął się pod górę i na linii 14. baonu, w samym środku bastionów Kresowej, rozpoznano z niemałym zdumieniem... adiutanta Karpackiej.

Jaxa tłumaczył gęsto, że jest przysłany celem zbadania miejsca styku obu dywizji. Dano więc przewodnika, który go zaprowadził do lewoskrzydłowej kompanii. Tam popchał się jeszcze z patrolem i kamień od wybuchu rozbił mu kolano.

Zdegustowany taką wojną polazł na dół — obmyślając ulepszenia jakie należałoby wprowadzić w kartografii. Są przecie poprawki uwzględniające krzywiznę ziemi... A tu sam on,



Jaxa, stwierdził, że mapa podaje w obie strony jednakową odległość z wysuniętego rzutu kwatermistrzostwa Karpackiej do 14. Kresowej, a on wyraźnie widzi, że z 14. jest bez porównania dłużej. Należałoby każdy sektor opracowywać w dwu wariantach: na jednym u góry byłby duży napis: „W te!...” Na drugim zaś napis: „W efte!”

Ale, że Jaxa długo się martwić nie lubi, przeto wczesnym rankiem ppor. Wołkowiński w kwatermistrzostwie, rozbudzony z ciężkiego poimieninowego snu, ujrzał nad sobą promienną jego fizjonomię, wychylającą się z olbrzymiej naręczy kwiatów, które bezstroski Jaxa zbierał... po polach minowych w dwudziestokilometrowej drodze *per pedes* z pola chwaty.



Ppor. Wołkowiński



## (22) PATROLOWANIE PRZEDPOLA

Tegoż dnia przybyli na odcinek czternastego baonu inni goście: czterech oficerów 15. baonu, który ma nacierać przez linie czternastego. Byli to: por. Lassota (dowódca ekipy) ppor. Muttermilch, ppor. Bartoszak, ppor. Zastona.\*)



Mieli oni za zadanie — rozpoznać teren przedpola, którym pójdzie natarcie, rozeznaczyć ewentualne pola minowe, przeszkody drutowe i określić — jakie siły potrzebne są do ich rozbijania.

Przenocowali w przydzielonej im „kwaterze” — kupka kamieni na wzgórzu 706 i koc rozpięty na patykach nad głową.

Nazajutrz, skoro ściemniało, ruszyli — każdy z innego punktu rozciągniętej linii obsadzonej przez kompanie 14. baonu. Mieli na nogach pantofle gumowe, swetry khaki, spodnie maskownicze, rękawiczki, siatki na twarzy.

Każdy z nich musiał posuwać się nadzwyczaj mozolnie, przeważnie na kolanach. Najprzód robił igłą saperską do wykrywania min (pręt stalowy ostro zakończony, długości metra)

---

\*) *Przypisek po bitwie:* Podporucznicy Muttermilch i Bartoszak polegli. Por. Lassota i ppor. Zastona zostali ciężko ranni.



ruch wahadłowy leciutki w powietrzu przed sobą, mający na celu wykryć przeciągnięte druciki do „potykaczy” — lekkich min przeciwludzkich, urywających jednak bez trudu nogę (na takiej zginął płk Jastrzębski). Potem, kiedy okazywało się, że najbliższy krok nie napotka drucika, tkali raz przy razie zaostrzoną szpilkę na dwie stopy w ziemię — badając, czy aby nie założono min przysypanych pulchną próchnicą górzystego terenu.

Zaszli — daleko. Trudno wierzyć nocnym relacjom — sam opowiadający trudno może zdawać sobie sprawę, gdzie mianowicie się znajdował w tych pokrętnych terenach. W każdym razie ppor. Zastona z towarzyszącym mu ppor. Królem \*) z 14. baonu, doszli aż pod domek, leżący w dyslokacji niemieckiej na Widmie. Por. Lassota minął pięć raketowych pułapek (drut zawadzony nogą przez idący patrol wyzwala raketę, która oświetla okolice pełnym światłem). Pułapki jednak, zdaje się, były założone przez nas samych. Opowiadał mi, że osiągnął jakąś krawędź, że, odpoczywając, widział muły niemieckie podprowadzane kolejno parami, widział żołnierzy wybiegających ze schronów i rozładowujących je pośpiesznie.

Kiedy wrócili — mówią, że każdy z nich wykrecił z kilo potu ze swetera.

Por. Lassota zameldował płk Machnowskiemu, zastępcy dowódcy Wileńskiej brygady, że żadnych przeszkód sztucznych ani min nie napotkano, że siły własne ich batalionu wystarczą. \*\*)

Na skutek czego następnego dnia oficer 15. baonu, por. Meksuła, wprowadził na linie 14. baonu czterdziestu żołnierzy do patroli ścieżkowych i saperów — nakłuwaczy.

\*) *Przypisek po bitwie*: ranny w drugim natarciu 18. V. 44.

\*\*) *Przypisek po bitwie*: Zdanie, że zbyt wiele liczyliśmy się z mianami niemieckimi jest o tyle niesłuszne, że jednak przedpola były zaminiowane obficie. Badanie terenu opóźniało jednak posuwanie się i skutkowało straty od ognia może większe, niż straty z ewentualnie nierozbrojonych min.



Por. Lassota



Ppor. Zastona



Por. Meksuła



## (23) BAON 17. WYPOCZYWA

Batalion wsiąkł w poprzeczną dolinkę, idącą w bok od początków doliny Inferno. Sapiąc, windują się kamienistą drożyną wąwozu. Na wstępie widzę namioty G. P. O., który



już zdążył wywiać po wczorajszym krwawym chrzcie. Zaafelowany dr Rymkiewicz w hełmie i z kijem w ręku uwija się po gospodarstwie.

Czy tu lepiej? Lepiej, bo bezpieczniej. Ale bateria stoi tuż — chorych trudno będzie wyprowadzać z szoku. A Niemiec zasmakował sobie i kontynuuje wczorajszą zabawę: grzmi w miejsce, na którym stał wczoraj szpital.

Nieco wyżej napotykam namiot artylerzystów — zadomowiony, obłożony workami — nie to, co tuż poczynające się trójkąty płacht namiotowych, rozciągniętych między ścianą skalną a ziemią. Tam przycupnął wycofany do odwodu 17. baon.

17. baon spotkała wojna niegościnnie. Jeszcze w drodze na pozycje miał 15 rannych.

Dowódca, mjr Baczkowski leży na łóżku wciśniętym pod trójkątny namiot. Adiutant por. Paliświat w szortach i mięk-

110

*Namiociki są tak ciasne,  
że nogi właściciela mie-  
szkają „sub Jove”*





kich papuciach na gołych łydkach idzie do telefonu poprosić porucznika, który ma coś ciekawego do opowiedzenia. Te papucie i gołe łydki to jest manifestacja wypoczynku. dosyć problematycznego zresztą, bo niebożęta ciężko pracują przy maskowaniu się i wznoszeniu ubezpieczeń od odłamków.

Porucznik opowiada jak batalion wziął jeńca.

„Nam strzelać nie kazano...” — to ordonowskie opowiadanie powtarza się we wszystkich relacjach. Gęsto plądrujące po przedpolach nasze patrole, kiedy staliśmy nad Sangro, teraz trzymane są na uwięzi.

Otóż „batalionowi strzelać nie kazano”. Siedzieli cicho — i noc była cicha i księżyc w drugiej kwadrze. Między pozycjami niemieckimi, górującymi, a naszym stanowiskiem rozlegał się jar. W pewnej chwili obserwator artyleryjski zakomunikował, że w jarze jakby coś słabo brzęknęło. Uszy żołnierzy wbiły się w ciszę. Ale słyszeć było tylko charakterystyczne pohukiwanie turkucia. Dalekimi rozkotami nieba chodziły huki i błyski codziennego koncertu dział, który równa się dla żołnierza ciszy.

Minęło parę godzin. Najmniejszy szmer nie dolatywał z przedpola. Nagle na placówce, wysuniętej nieco przed linię, czterdziestolatek podoficer, czujny jak żóraw, trącił leżących przy nim: „Idą!” Porucznik wparł wzrok. Przedpole załamywało się i brzegiem sunął jakiś kształt. „Kot!” zdecydował porucznik. Gdy nagle kształt począł rosnąć, stał się hełmem, głową, szyją, korpusem wychylającego się Niemca. Za nim wyłoniło się jedenaście innych cieni. Szli gęsiego, skradając się, najwidoczniej nie mając pojęcia, że nieprzyjacielska linia tuż.

Placówka liczyła sześciu żołnierzy. Zwierz szedł na myśliwego; sytuacja była wspaniała. Byli już o 30 metrów, kiedy stoczyła się puszka konserwowa, trącona nogą jednego z zacząjonych. Cichy brzęk łomotnął w serca jak eksplozja. Niemcy natychmiast rozrzucili się, strzelili, stoczyli się za krawędź i wsiąkli w noc. Porucznik zdołał za nimi tylko postać serię z tomsona.

Aliści po pewnym czasie w okopie za placówką postłyszano, że ktoś jęczy w dole. Myśląc, że to ktoś z placówki, wysła-



no na przedpolu sanitariusza, który wrócił z wiadomością, że leży ranny Niemiec. Posłane nosze przyniosły tęgiego barczystego młodego chłopca. Kula tomigana, wszedłszy tyłem głowy, wyszła lewym okiem, mimo to, ujrawszy sanitariusza, chwycił za broń. ale zesłał Odesłany na noszach do baonu, dostał cztery transfuzje krwi, przyszedł do siebie, będzie żył... Czytałem jego zeznania. A więc — żołnierz jest świetnie karmiony, a więc kompanie liczą po 200 ludzi (podczas, kiedy wiemy, że hycle nie mają i po setce żołnierzy w kompanii), etc. etc.

Strzelec Kurt Wangen, odznaczony dwukrotnie Krzyżem Żelaznym, który skradał się pod nasze pozycje, owinąwszy grubo szmatami buty na gumowych podszwach, niosąc w ładownicach 180 ładunków do swego szmajsera — pomimo wybitego oka i upływu krwi, nie przestał być żołnierzem.

Skupiają się żołnierze. Opowiadają, jak 1. kompania na Castellone bytowała pozycyjnie porównano z 14. batalionem — jak robili stanowiska dla moździerzy, mijanki dla łążików, ścieżki dla pieszych. Pod ogniem. Jak dziennie odsyłano na punkt opatrunkowy poranionych odłamkami granatów.

Por. Wargocki \*) wybudował 4 schrony, w nocy zajęli je moździerzy, ran — schrony zniszczone i miazga z ludzi.

Strz. Tambor — sanitariusz:

— W jednym z naszych schronów wyciąga się ręka po

---

\*) Przypisek po bitwie: poległ w natarciu 17. baonu 17 maja.







manierkę na daszku — pocisk moździerzowy dosłownie ją odcina; ręka wisi na kawałku skóry.

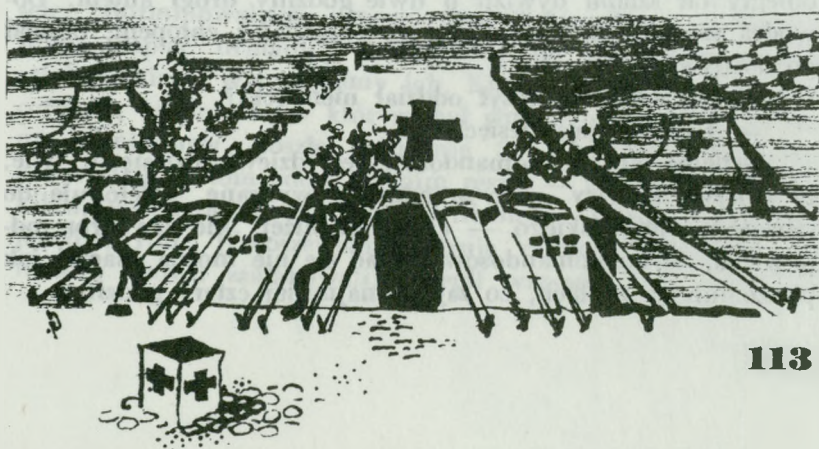
Por. Walter (z moździerzy):

— Nagle zapaliła się amunicja moździerzowa i małokalibrowa, zeszkładowana tu jeszcze z czasów amerykańskich. Pokontuzjowało ludzi — jeden z poruczników cztery dni nie pamiętał swego nazwiska. Dwa dni odsapywaliśmy się w schronie wypoczynkowym I. kompanii. Wróciwszy, zastaliśmy dwa moździerze rozbite; ustawiliśmy pozostałe sześć i po trzech godzinach już prowadziliśmy ogień.

Wracam „przepiórczym wąwozem”; ci żołnierze, wyglądający spod trójkątnych płacht przypominają mi przepiórki schowane w łanie zboża i wołające swoje „pit-pilit”. Górą coś warczy — wydaje mi się, że widzę na ogromnej wysokości posuwający się punkt — od paru dni samoloty niemieckie, niemal spędzone z nieba, poczynają się interesować naszym zakątkiem.

Samolot wisi nad „przepiórczym wąwozem”. Żołnierze z noworozbudowanego głównego punktu opatrunkowego, stojąc na zboczach nad swymi namiotami tną zielone gałęzie i rozrzucają wprost na dachy. Płachty z Czerwonym Krzyżem nie zabrali; pozostawiona na wczorajszym m. p. i rozkrzyżowana na skale w stronę niemieckich baterii na Monte Cairo, jest pruta w dalszym ciągu pociskami. Właśnie opowiada o tym szofer, który dowoził na dawny punkt obiad rozmontowującym resztki szpitala żołnierzom.

--- Lepiej urządzimy tu Wesole Świątki — żartują żołnierze, umajając namioty. Nie wierzą płachcie.





## (24) BO TAKI JUŻ JEST NASZ OBYCZAJ

Kiedy wracam do dywizji — już każdy właściwie wie — że natarcie jutro wieczorem. Dywizja dociąga się na ostatnie guziki. Moi kapitanowie uzdajali „fajny schron”, w którym będzie punkt dowodzenia. Na ścianie spiętrzonych worów przed wejściem do schronu umieścili napis: „Jaskinia zbójców” i trupa czaszkę ze skrzyżowanymi piszczelami. Przecho dzący gen. Sulik, zwany „tata-Ryś”, jako że dowodził jeszcze w Rosji formującymi się „Rysiami”, ma poczucie humoru — choćby jako założyciel i członek „Sitwy” — pisma literackiego „Rysków”, a teraz Kresowej dywizji. Kazał więc zawiesić ten napis u wejścia do naszego locum. W ten sposób kapitanowie zostali zbójcami, a ja jako najgrubszy — Ali Baba.

W „Jaskini Zbójców” widzę dwa zielone berety. Polscy komandosi! Dowódca — mjr Smrokowski i podporucznik — czarny jak cygan ś. p. Adam Bachleda.

Kiedy stali zimą w głębokich śniegach, zarzuceni na samotny posterunek w górach (a Korpus płynął dopiero do Włoch) — przyszło im przyjąć w imieniu Polaków pierwszy bojowy chrzest.

Pewnego razu od dowódcy dywizji angielskiej, która przesłaniała lekką frendzlą Apeniny, łącząc armię nad Adriatykiem z armią nad Morzem Śródziemnym — przyprowadził adiutant włoskiego chłopca. Chłopca tego wziął w liczbę trzech innych przewodników, oddział niemieckiej piechoty wysokogórskiej, zamierzający zaskoczyć Polaków. Uciekłszy bocznymi drogami, chłop osiągnął szwadron angielskiej kawalerii pancernej, odległy od sztabu dywizji o dwie godziny drogi autem. Dowódca szwadronu, nie mogąc się rozgadać z chłopem, odesłał go do dywizji.

— Ilu żołnierzy liczył oddział niemiecki?

— Dwustu pięćdziesięciu.

Generał wie, że komandosów jest dziewięćdziesięciu; wie, że alpejscy strzelcy — to są oddziały wybrane. Telefonuje do szwadronu angielskiego — ci są najbliżej. Ale szwadron odpowiada, że do komandosów dostać się nie można inaczej jak pieszo lub na mułach, co zajmie najmniej cztery godziny.





Z obliczenia czasu wypada, że Niemcy już musieli dojść. Anglik bezradnie patrzy na płk Rudnickiego, który był przy dywizji na stażu:

— Czy pan przypuszcza, że dadzą sobie rady?

— Przypuszczam, że dadzą...

Bo cóż ma powiedzieć? Wszyscy są bezsilni — artyleria jedynie otrzymuje polecenie obłóżyć ten odcinek.

Nad ranem szwadron angielski melduje:

— Są wieści od komandosów: Niemcy wycofali się, zostawiając na przedpolu dwudziestu zabitych — rannych pozabierali. Polacy? — Polacy mają jednego ciężko i dwu lekko rannych.

Komandos się śmieją:

— To od płk Rudnickiego pan wie? Był u nas zaraz po akcji; pieszo się wdrapał, a zjechał na mule, który wracał dowiózłszy prowiant.

— Dywizja kazała szwadronowi z naciskiem, ażeby za wozem płk Rudnickiego szedł do dywizji dla bezpieczeństwa ich wóz pancerny. Zdaje się — uśmiecham się — że to był areszt honorowy; diabli wiedzą co te tam Polaki mogą zmówić się wyczynić...

— Ale to nie była typowa akcja komandosów — mówi mjr Smrokowski.

— O, jak była akcja na przyczółek Anzio — mówi czarny „Adaś” Bachleda — tośmy poszli na tyły...

— Tak — przypomina mjr Smrokowski — to było 17, 18 i 19 stycznia, gdy XIII korpus forsował przejście przez dolne i środkowe Garigliano. Wówczas poszliśmy na tyły nieprzyjaciela na dwie doby. Kompania rozeszła się promieniście. Rozminowaliśmy most; powyłukiwaliśmy motocyklistów; tropiąc drutami — doszliśmy do punktu obserwacji artyleryjskiej i wygnietliśmy ich. Kiedy już mieliśmy się wycofywać, na domek, w którym był rtm. Wołoszewski z czterema żołnierzami, poszło uderzenie 30 Niemców. Wyskoczył pchor. Luks z tomsonem, za nim reszta — odparli atak, zabili kilku, wzięli do niewoli sześciu Niemców. Odesłali z Luksem jeńców, rtm. Wołoszewski opatruje rannego Klebera, a tu Niemcy znówu zaatakowali. Polegli wszyscy — z wyjątkiem



*Ppor. Bachleda*

*Rtm. Wołoszewski*





...najmłodszego Kotasa, który stał na warcie za ogrodzeniem. Poległ rtm. Wołoszewski, słynny jeździec, oficer sportowy całego commando, typ zagończyka i rycerza. I Kleber. I Kolas z Łodzi...

— Aleśmy im dali — mówi Bachleda — posłaliśmy do kontrataku, bractwo się rozżarło, doszło do walki na noże commandosowskie. 4 zabiliśmy, 14 porauliśmy, 4 wzięliśmy całych.

— A teraz jesteście z nami?

— Tak, będą w akcji w szeregach naszego Korpusu. Ich brygada commando złożona z przeróżnych narodowości, została wysłana na Bałkany. Ale uważano, że, blisko taty Stalina, Polaków będzie trzymać nieporęcznie. Więc są tutaj...

Bachleda właśnie opowiadał wiele o walce Górali z Niemcami, o tym, jak się tam tylko zaprzedał jeden Krzeptowski. O sypaniu przez szpicla-instruktora narciarskiego, trenującego naszych dygnitarzy przed wojną; o słynnym z okrucieństw Gestapo zakopiańskim, które w oczach jednej z góralek dusiło i zadusiło kilkomiesięczne jej dziecko, ale zeznań nie wydobły; o ucieczkach przez granicę by walczyć...

Gdyby przeciętny Amerykanin słyszał te opowiadania Adasia Bachledy, przy którym czarne oczy mistrza nart, a teraz komandosa żarzyły się nienawiścią, a potem dowiedział się, że tenże Adaś Bachleda nie może znaleźć się w walce z Niemcami u boku „sojuszników” — nie zrozumiałby polskiego paradoksu.

Może Niemcy by mu musieli ten paradoks tłumaczyć, jak mozolnie tłumaczyć się go starają polskiemu żołnierzowi przez



Z mapą ś. p. Klajber,  
oparty o niego  
ś. p. Kolas



gadzinową radiostację „Wanda”, przemawiającą w polskim języku, jak starają się mu tłumaczyć licznymi odezwaniami, które wciąż rozrzucają na dawnych pozycjach naszych nad Sa n g r o.

1. o d e z w a . Na jednej stronie sztandar sowiecki i podpis: „Zgodnie z życzeniem Anglików ma powiewać nad twoją ojczyzną”. Na drugiej stronie sztandar brytyjski i podpis: „Czy to jest sztandar polski? Anglikom i Amerykanom masz do zawdzięczenia, że stałeś się człowiekiem pozbawionym ojczyzny”.

2. o d e z w a . Szpony, ściskające ludzi, z których sphywa krew i podpis: „Krwawe hordy Stalina wkraczają do Polski. Twoja rodzina wzywa cię”. Na drugiej stronie wielkie zapytanie: „Kto strzelał w Katyniu?” Zacytowane stwierdzenia b. premiera Kozłowskiego, po czym wezwanie „walcząc pogrążasz rodzinę twoją w najwyższym niebezpieczeństwie. Gdy czerwone armie zaleją Polskę, nigdy nie ujrzysz swej rodziny. Przybądź do nas i do napotkanych posterunków niemieckich zawołaj „do domu””.

3. o d e z w a . Podaje godziny radiostacji „Wanda”, która „podaje im siostrzaną dłoń”. Na odwrocie porubrykowany formularz: imię, nazwisko, stopień, adres rodziny i miejsce na 30 słów. Tę kartkę należy dać delegatowi, który z hasłem „do domu!” przekroczy placówki niemieckie. „Wanda” zaś będzie ogłaszać napływające odpowiedzi rodzin.

4. o d e z w a . Spekuluje na uczuciach katolickich polskiego żołnierza, oburzając się na bombardowanie przez Anglików „siedziby Ojca Świętego”, podając na odwrocie fotografię sprawozdania gazety angielskiej z przemówieniem w parlamencie lorda Fitzalona: „Gdyby jakieś nieszczęście spotkało obecnie panującego w stolicy Apostolskiej, możemy mieć nowego papieża”.

I tak dalej... I tak dalej... I tak dalej... Kłamstwa i dużo prawdy. Jest wszak po lutowej mowie Churchilla, w której nagrodę za czteroletnią polską lojalność, za cztery lata po-święcenie, któremu nie sprosta żaden naród, premier angielski przyznał połowę naszej ojczyzny Rosji.

Tak zaczęła się galeria  
rozwalających Europę



Rys. James Fitton







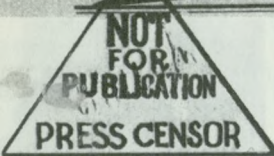
# DROGI I BITWY ŻOŁ NIERZA POLSKIEGO



ROK IV — Nr. 33 (174)

# Wiadomości Polskie

POLIYICZNE • KULTURNE • TYGODNIK • THE POLISH NEWS



Od czasu tej mowy lutowej stosa artykułów kłamliwych i bynajmniej nie „fair” powypisywała prasa angielska. Usta naszej prasy polskiej zamknięto. Każdej enuncjacji rosyjskiej dawano szerokie echo. Żołnierz, który przeszedł piekło rosyjskie i widział, że moc niemiecka się kończy, nie miał nawet prawa do zdrowej strawy duchowej, do tego, aby mu mówić prawdę. Teraz z tą prawdą o drugim rabusiu, potężnym, przychodził słabnący rabuś.

**STRONA ODWROTNA**

Wypisz i przekaż do **WANDY!**  
Pracownicy!  
Słowa te będą przesłane do ojczyzny!  
Jeden z was zbierze te karty i będzie posłać do ojczyzny.  
Podaj w kierunku poczty niemieckich, gdzie na hasło  
„DO DOMU” przepuszczą  
do żołnierzy niemieccy. Wiedzą oni o tym i czekają na was.

Nazwisko \_\_\_\_\_  
Imię \_\_\_\_\_  
Stopień \_\_\_\_\_  
Ostatni, znany ci adres twojej rodziny \_\_\_\_\_

W tym miejscu możesz w 30 słowach, co chcesz do żołnierzy niemieckich, podać swój przytych.  
**WANDA** wyśle do ci odpowiedź.

„Ciagnijmy razem! Raz, dwa!”

## Jeszcze Polska nie zginęła ...

„Ciagnijmy razem! Raz, dwa!”

„Ciagnijmy razem! Raz, dwa!”

Rozpoczęło się przeciąganie sprawy polskiej przez bolszewików z jednej i przez Anglików i Amerykanów z drugiej strony!

**Jeszcze Polska nie zginęła ...**

Słowa to są pewną. Wam do nas sprzymierzeńcy, aby wzbudzić w Was ochotę do walki. Jak to w rzeczywistości wygląda, przedstawia angielski obrazek.





dziecie  
do

**CASSINO!**



Krwawe norwy str  
wkraczają do Pol

Twoja Rodzina

wzywa Gi

am niezbędny-wracaj do dom



Niemiecki pocisk wype  
niony ulotkami



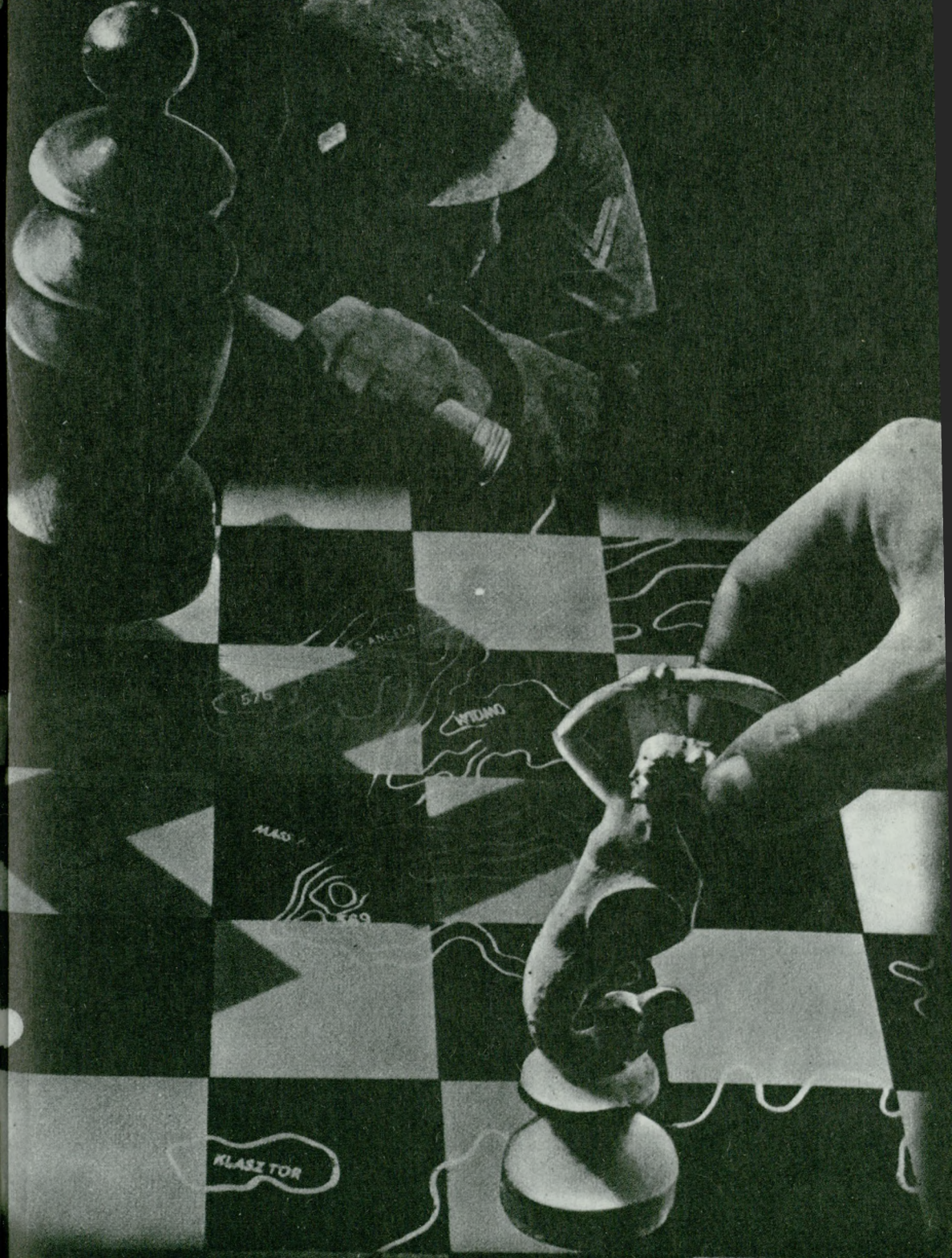




A jednak — przedziwny jest nasz żołnierz. Pochodzi przeważnie z Kresów, Niemców nie widział, w Rosji pił z czary ostatecznego poniżenia wszelkiej godności ludzkiej. Wie, że Niemcy i tak będą pokonane. Wie, że szafuje się jego krwią, a natomiast nie dotrzymuje się zobowiązań. A przecież grube palce z pogardą gniołą niemieckie odezwy, a przecież, z wyjątkiem dwóch Ukraińców, jednego Białorusina i jednego kryminalisty Polaka, nie znalazł się nikt, kto by poszedł „do domu”.

Ten żołnierz — będzie się bił, „bo taki jest jego obyczaj”, mówiąc słowami Żeromskiego.



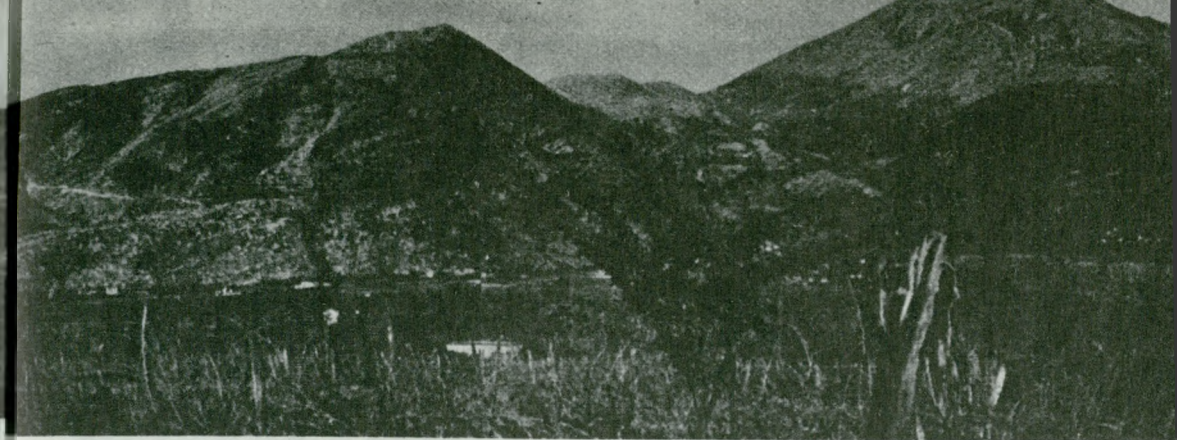


**GRACZE ROZSTAWIAJĄ FIGURY**









... do Cairo

Trzy tygodnie tam trwamy. Jest tak, jakby poprzednicy zajęli przyczółek, który my trzymamy. Przyczółek za rzeką Rapido, przez którą idą tylko dwa mosty. Przyczółek w dolinie tej rzeki, do której z zaplecza naszego wiodą jedynie nitki dwu ostrzeliwanych dróg.

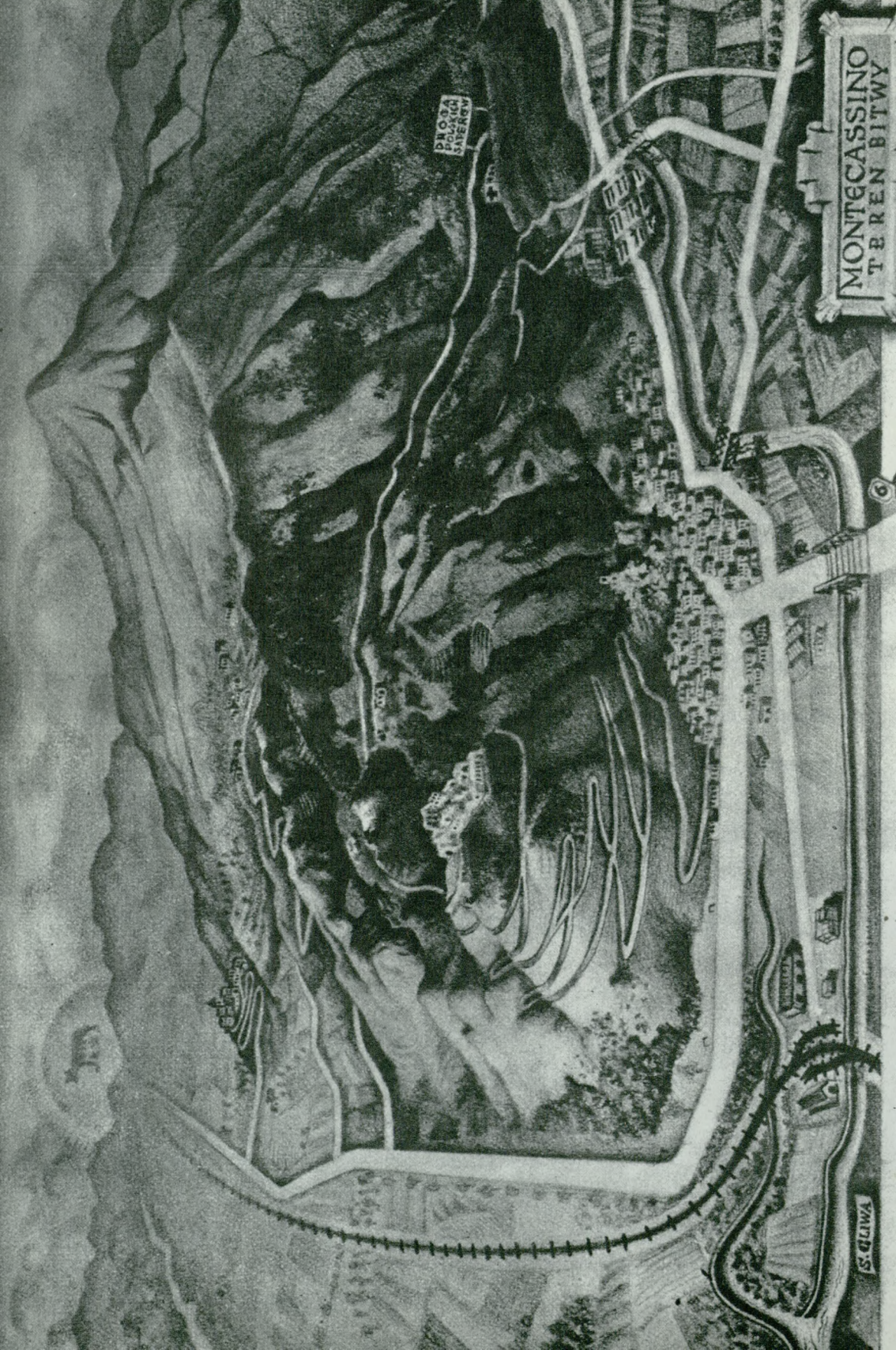
Operacja, którą rozpoczęliśmy, ma wszelkie cechy desantu. Rzeka Rapido za nami — jak kanał La Manche. Tak samo — odwrót utrudniony. Tak samo — szczypty teren akcji. Będący — poza naszym przyczółkiem — całkowicie w posiadaniu wroga. Tak samo — brak terenowego wywiadu. Tak samo — zaminowanie, z którym trzeba będzie borykać się w ostatniej chwili, już podczas szturmu. Tak samo — ogromnie mała przelotność zaopatrzenia. Tak samo — wszelkie poczynania pod bezpośrednią obserwacją nieprzyjaciela.

I tak samo — zwężony, zakreślony przez przyrodę *place d'armes*. Górski amfiteatr, wygięty w podkowę dwoma piętrami, a oprócz tego z pylonami stróżującymi ponad nim.

Z tej czarnej pętlicy na przyczółek przerzucamy ludzi, sprzęt i zaopatrzenie







PROBA  
SUCALIGH  
SINERGI

MONTECASSINO  
T. REN  
BITWY

6

S. GIUVA



M. Cairo

Terelle  
nie widoczne

Passo Corno  
M. Castellone

Tar

Tar

Tar

s. Lucia

s. Angelo

Widmo Głowa Młaza

Albaneta

Domek Doktora

Monte Cassino

d. Onofrio

Zamek

Cassino

Nr. 6

Gari

Stacja kolejowa

Rapido

Villa

Rapido

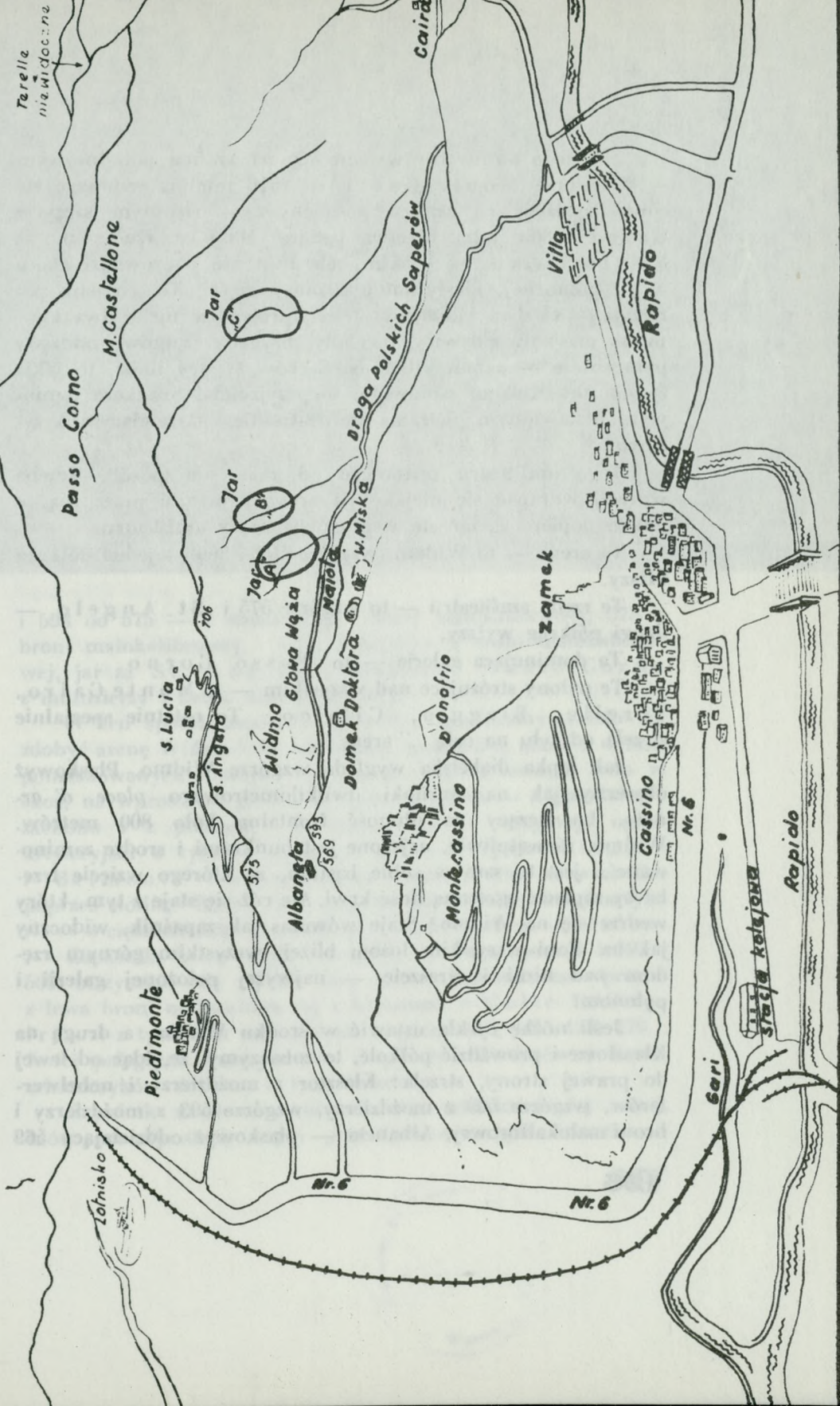
Broga Polskich Saperów

Cairo

Zobnisko

Nr. 6

Nr. 6



Łuk tego amfiteatru wspiera się na krańcu południowym — Klasztorze Monte Cassino (516 mtr) i, wznosząc się coraz bardziej, na krańcu północnym — stromym szczycie Cairo (1669 mtr). Cięciwa łącząca Monte Cassino z Monte Cairo — 4 klm, ale nikt nie poprowadzi ataku w jej północnej, niestychnie stromej części. To, co nam pozostaje — to dwa kilometry. Jeśli wprowadzić na te dwa kilometry masy dwu dywizyj piechoty, brygady czołgów i oddziały pomocnicze — razem kilka dziesiątków tysięcy ludzi, to jakież zer da się środkom ogniowym nieprzyjaciela! Środkom ogniowym, ustawionym piętrami amfiteatralnie i strzelającym krzyżowo?

Tego amfiteatru opanować od razu nie sposób. Trzeba wprzód wdrapać się niejako na arenę i przejść przez nią, a potem dopiero zacząć się wspinać na rzędy amfiteatru.

Ta arena — to Widmo, wzgórza 593 i 569 — jeden półkrąg niższy.

Te rzędy amfiteatru — to wzgórze 575 i St. Angelo — drugi półkrąg wyższy.

Ta dominująca galeria — to Passo Corno.

Te pylony stróżujące nad wszystkim — to Monte Cairo, Terelle, Biaggio, Cifalco. To ostatnie specjalnie strzela od tyłu na całą "arenę".

Jak łapka diabelska wygląda wzgórze Widmo. Płaskowyz obszerne jak na warunki dwukilometrowego *place d'arme*, bo liczący na długość frontalną około 800 metrów. Widmo, niewątpliwie, najeżone jest bunkrami i srodze zaminiowane... jest to sam w sobie bastion, za którego wzięcie trzeba by zapłacić ogromną ilość krwi. Ale cóż się staje z tym, który wdrze się na Widmo? Staje wówczas jak zapaśnik, widoczny jak na dłoni wszystkim łozom bliżej, wszystkim górnym rzędom nad nimi i wreszcie — najwyżej położonej galerii i pylonom.

Jeśli nóżkę cyrkla ustawić w środku Widma, a drugą na Klasztorze i prowadzić półkole, to zobaczymy, że, idąc od lewej do prawej strony, strzela: Klasztor z moździerzy i nebelwerferów, wzgórze 569 z moździerzy, wzgórze 593 z moździerzy i broni małokalibrowej, Albaneta — płaskowyz oddzielający 569







po prostu nie miejscem walki a rzezi, jak kiedy sztyo z łuków w słończonych na arenie zapaśników nie mających środka obrony.

Powtórzy się — klęska Persów, którzy, wylądowawszy, nie utrzymali się na przyczółku Maratonu, albo Krzywonosą którego wojska po przeprawie zatrzymały się i zostały wybite przez artylerię Wiśniowieckiego (jeśli wierzyć Sienkiewiczowi).

Więc atakować dalej ten amfiteatr, kiedy nawet lekko ubrany turysta z kijem w ręku wywiesi język, chcąc przejść jednym haustem przestrzeń od linii, które zajmujemy obecnie — na szczyt 575, czy St. Angelo? A jak to przejdzie obudzony amunicją i materiałem wybuchowym oraz wszelakim sprzętem piechur, pod ogniem, po zaminowanym terenie? I czy, jeśli się wdrapie nadludzkim wysiłkiem na drugie piętro, szczytami 575 i St. Angelo — nie będzie nad nim wisieć galeria — Passo Corno i cała reszta?

Piekielny teren, który 4. hinduska, mająca za sobą walki o słynny górzysty Keren w Abisynii, określa jako wielokrotnie trudniejszy.

A innej drogi do Rzymu nie ma — w tym miejscu buta włoskiego Apeniny są najwęższe. Dostyc szerokie jednak, by flankować z Klasztoru Monte Cassino wejście na dolinę Liri, prowadzącą do stolicy włoskiej. Toteż jest to klasyczny temat obrony, przerabiany w zadaniach włoskiej akademii sztabu generalnego.

Niemcy w tym terenie uwiązali o Monte Cairo dwie linie obronne. Jedną — tzw. linię Gustawa poprowadzili z Monte Cairo na Monte Cassino, drugą — linię Hitlera — poprowadzili z Monte Cairo przez Piedimonte, Ponte Corvo, St. Oliva.

Te linie mieli czas od ostatniego natarcia jeszcze bardziej umocnić. Nasze placówki stale słyszały nocami odgłosy robót.

Niemcy — wiedzą, co jest w stawce: droga do Włoch aż po linię Gotów. 28 marca gen. Dietmar mówił przez radio: "Walka o Monte Cassino i okoliczne wzgórza ma specjalne znaczenie z powodu niezwyklej strategicznej wagi tego obiektu". „Eight Army News” nazywa te pozycje „najsilniejszymi liniami obronnymi tej wojny.”

Boże, bądź nam miłościw!...



## (26) JUŻ ROZSTAWIAJĄ SIĘ: OD MARE TYRRENUM PO MONTE CASSINO

Trudności — jak widzimy — były znane i dowództwo alianckich sił zbrojnych na froncie włoskim przygotowywało czwarte kolejne natarcie z maksimum staranności.

Przeprowadzono wielką akcję mylącą. Kazano Niemcom spodziewać się, że po Anzio nastąpi desant w innym jakimś miejscu. Zgromadzono wielkie ilości środków desantowych w Neapolu; trzymano dywizje amerykańskie i korpus kanadyjski naceLOWANE na morze; przeprowadzono z nimi ćwiczenia desantowe z wielomównością rozkazów radiowych.

Wszystko to uwięziło dwie dywizje niemieckie, strzegące morza.

Zmylono czujność nieprzyjaciela i co do czasu natarcia. Rozkaz dzienny XIV niemieckiego korpusu przewidywał je na 24 maj. Co prawda, był to istotnie początkowo planowany termin aliantów. Londyn, ze względu na synchronizowanie w czasie z inwazją na Francję zażądał wcześniejszego terminu i trzeba było przesunąć w dół maja aż do 8, ze względu na księżyc. Potem, ze względów kwatermistrzowskich, termin przesunęło — na 11 maj.

Nie będziemy walczyć sami. Ruszy wszystko, poczynając od morza Tyrreńskiego, nasze znajome — 34. i 36. dywizje 5. armii amerykańskiej, — pojdą przy samym morzu, wąską dolinką. Masyw gór Arunzi, oddzielający tę dolinkę od doliny Liri, zaatakuje wypróbowany w walkach na naszym terenie francuski korpus ekspedycyjny gen. Juin w składzie 4 dywizyj francuskich. Trzon tych sił — to trzy dywizje, sformowane w Afryce Północnej, pozostałe w spadku po rządach Vichy. A poza tym — brygada Pacyfiku, złożona z Francuzów, mieszkających we władaniach oceanicznych Francji Legia Cudzoziemska, bijąca się z nami ramię przy ramieniu pod Narvikiem. Goums marokańscy, senegalskie oddziały Dalej od Francuzów ku nam, już doliną Liri aż po Klasztor Monte Cassino uderzać będzie XIII korpus brytyjski w składzie 8. hinduskiej dywizji, 4. dywizji angielskiej i z

### LEGENDA

- Linia frontu
  - Granica armii
  - Granica korpusu
  - A V. Korpus
  - B X. Korpus
  - C II. Korpus Polski
  - D I. Korpus Kanad.
  - E XIII. Korpus
  - F Franc. Korp. Eksped.
  - G H. Korpus Ameryk.
  - H W. Korpus (Anzio)
- Sarmia Armia

78., słynną z walk w Afryce 78 afrykańską dywizją w odwodzie. Skrajne prawe skrzydło tego korpusu, to 1. brygada gwardii, zakopana w ruinach miasta Monte Cassino, a już potem wianuszkami stoi nasz Korpus: w przestroni kolejno — 12. pułk ułanów podolskich, 3. baon, 14. baon, 15. pułk ułanów poznańskich, pułk karpaccich ułanów — ten już niejako w cieniu Monte Cairo, bo pod Passo Corno. Jesteśmy wysforowani niemal 3 kilometry przed linią XIII korpusu, który utknął na rzece Gari i będzie ją musiał forsować. Dalej od Monte Cairo — odcinek bierny 10. korpusu; co najwyżej stojąca na jego lewym a naszym prawym skrzydle artyleria nowozelandzka wesprze nas ogniem.

Dziś, 10 maja, to jest wszystko jasne. Dziś, 10 maja, każdy dowódca batalionu wie oficjalnie o tym, że jutro się uderza, a faktycznie wiedzą — wszyscy chyba żołnierze. Nie mówi się o tym, broń Boże, ale goniec obsługuje nas specjalnie pieczołowicie, kierowca podkreśla służbistość, żandarm na skrzyżowaniu udziela informacji ze specjalną gotowością, po ambulatoriach stał się cud — znikli chorzy, nikt nie melduje się z dolegliwościami w obawie, że mu każą opuścić oddział.

W wojsku wzbiera potężna fala sere, bo każdy czuje — że to... już.

Fala ta zaczęła się, jak rzeka od źródeł — od szczytów dowodzenia.





## (27) KORPUS WAŻY KONCEPCJE



Przed historyczną odprawą / od lewej:  
płk Wiśniowski, gen. Anders, gen. Leese /

Kiedy Korpus zajmował jeszcze wielką przestrzeń, pokrywającą jedną trzecią włoskiego frontu, stojąc wzdłuż górnego biegu Sangro od Capracotta aż po Acquafredda, dowódca 8. armii, gen. Leese, powiadomił dowódcę Korpusu w dniu 24 marca, w czasie wizyty w Vinchiatturo, że na konferencji, która odbyła się u dowódcy frontu w sprawie ofensywy wiosennej, zapadła decyzja powierzenia Korpusowi Polskiemu zdobycia masywu i Klasztoru Monte Cassino.

Po długiej ciszy gen. Leese rzucił pytanie „czy pan generał nie chce, to wówczas będę musiał znaleźć inny korpus, który to zadanie wykona. Zechce pan generał zastanowić się i po dziesięciu minutach dać mi odpowiedź”.

Gen. Anders udał się do oddzielnego pokoju wraz z szefem sztabu, płk Wiśniowskim, gdzie zrobił krótki obrachunek: Korpus tak i owaak jest na pozycjach, tak i owaak będzie się wykruszał. Będzie to się odbywać niepostrzeżenie przy ciągłym akompaniamencie zarzutów Moskwy, że faszystowskie wojsko polskie nie chce bić się z Niemcami. Cassino — nie schodziło z łamów prasy całego świata.

— Korpus to zadanie podejmie — odpowiedział \*).

Została powołana możliwie jak najszczuplejsza ekipa: dowódcy poszczególnych broni i zaprzysiężeni szefowie oddziałów. Ekipa podjęła zbieranie materiałów, dotyczących natarć poprzednich. Poczęto kompletować zdjęcia lotnicze.

\*) Przypisek po bitwie: B.B.C. 23. III. 44: „It is beyond doubt that the German have concentrated crack troops at Cassino for whom only the very-best allied troops can be a match”.



Odprawa dców Wielkich  
Jednostek / od lewej:  
plk Wiśniowski, gen.  
Anders, gen. Bohusz-  
Szyszko, gen. Duch, gen.  
Sulik, gen. Rakowski /

8 kwietnia ma miejsce odprawa z dowódcami dywizyj w izolowanym pokoju szefa oddziału operacyjnego Korpusu.

17 kwietnia Korpus przesuwa swoje miejsce postoju w rejon Cassina.

Zostaje ustawiony wielki stół plastyczny 1/2000, tzn., że każdy centymetr stołu odpowiada 20 m terenu.

Jakże tu rozwiązać zadanie, mając przed sobą ów amfiteatr tragiczny?

Dowódca Korpusu poleciał samolotem służącym do obserwacji artyleryjskiej nad teren przyszłej walki. Poczciwy nienzbrojony Piper — Cub wolno sunął nad urwiskami, najeżonymi w moździerze, zaglądał pod stanowiska artyleryjskie nieprzyjaciela, uzbrojone w pelotki. Zadymienie — wieczna aura tej tu wojny, skrywało wiele szczegółów. Ale dowódcy Korpusu nie szło o tropienie stanowisk. Rozmawiał — z ziemią. Wysoko nad dym wystrzelały wszystkie szczyty, które miały być stacjami męki jego żołnierzy. Widział: jeśli zacząć od dzioba tego masywu, od Klasztoru, to każde z tych wzgórz pozostaje samodzielną fortecą. Z tych wzgórz przyjdzie, na atakującego zguba, jak przyszła na naszych poprzedników. „Tylko manewr okrążający!” — powziął decyzję. Wówczas Klasztor, pozbawiony wsparcia ogniowego, musi się poddać.

Ta idea więc stała się założeniem uważnych rozpracowań.

Ciężko się było zdecydować wchodzić na sam środek areny — pod ogień całego amfiteatru. Dlatego i poprzednicy woleli kruszyć jeden jego róg — Klasztor.

Czy nie byłoby właściwe uderzyć od drugiego rogu, od północy? Nikt nie mógł, oczywiście, myśleć o forsowaniu sa-





Wielka mowa...





me go Monte Cairo, wyniosłego na 1660 metrów, które nazwałem pylonem, na którym nie było nawet stanowisk ogniowych, a tylko punkty obserwacyjne. Ale żeby uderzyć, przede wszystkim, na Passo Corno, którego skłony tak skutecznie będą flankowały nasz atak bronią małokalibrową? Wszak jeśli zdobędziemy Passo Corno, to odcinamy tuż u nasady północne ramię Wielkiej Galerii i w ten sposób doprowadzamy do izolacji odciętej części, a zwłaszcza jego zakończenia, które stanowi Monte Cassino.

Dermatograf \*) krąży pożądliwie po Passo Corno: oto tu zbiegają się obie niemieckie linie obronne — a więc, jednym zamachem — rozbije się ich spojenie.

A jednak odrzucono tę myśl. Poszerzyć wachlarza ataku nie mogliśmy — byliśmy na to za ubodzy przynajmniej o brygadę. Potraktować natarcie na Passo Corno jako samodzielne — to oderwalibyśmy się zbyt od XIII korpusu. Poza tym — Passo Corno było już o tyle daleko, że nie sięgałaby skutecznie donośność połówek, zwłaszcza Karpackiej, któreby nie mogły wesprzeć dostatecznie własnej piechoty. Przybliżyć zaś stanowisk naszych baterij nie można było, bo za sobą mieliśmy „desantową” dolinę rzeki Rapido, całkowicie poddaną niemieckiej obserwacji z Cifalco, zwanej przez korespondentów zagranicznych w czasie tamtych natarć — Doliną Śmierci. Każda bateria na tej dolinie byłaby niezwłocznie rozbita.

Były jeszcze głosy proponujące atak z północy na południe: 706 — St. Angelo — 575, co w pierwszej jego fazie oszczędziłoby nam ogni z Albanety i złagodziłoby ogień z 593. Ale za to atakujące oddziały otrzymałyby straszliwy magiel w tył — z Passo Corno.

Nie ma rady. Pójdziemy — w sam środek. Musimy zająć 593, 569 i Albanetę, musimy zająć Widmo i St. Angelo, przeciąć naszym ogniem drogę Nr 6, przełamać grzbiet linii Gustawa. I niezwłocznie podjąć drugą fazę — uderzając na Klasztor.

Pójdziemy — w sam środek amfiteatru — na arenę.  
Boże, bądź nam miłościw!...

\*) Tłusta kredka, służąca do nanoszenia znaków na celuloid rozpięty na mapie.



Dwie Korpus miał córki — dywizje Karpacką i Kresową. Jedni woleli Karpacką, inni Kresową. Ale Korpus — jak ojciec: jednako je edukował, jednako wyposażył, jednako cenił. Dwóch czekało krwawych zalotników — Widmo i 593. Które muż dać którą?

Generał Anders zawiązał supełek. Pierwszy ciągnął — gen. Duch. Wyciągnął supełek — będzie uderzał na 593, a potem na Klaszt...

Gen. Sula — będzie uderzał na Widmo, a potem na 575 i St. Angelo.

Pierwsza faza będzie cięższa dla Kresowej, druga — dla Karpackiej.

22 kwietnia podjęły dywizje luzowanie Anglików na odcinkach jak wskazał los.

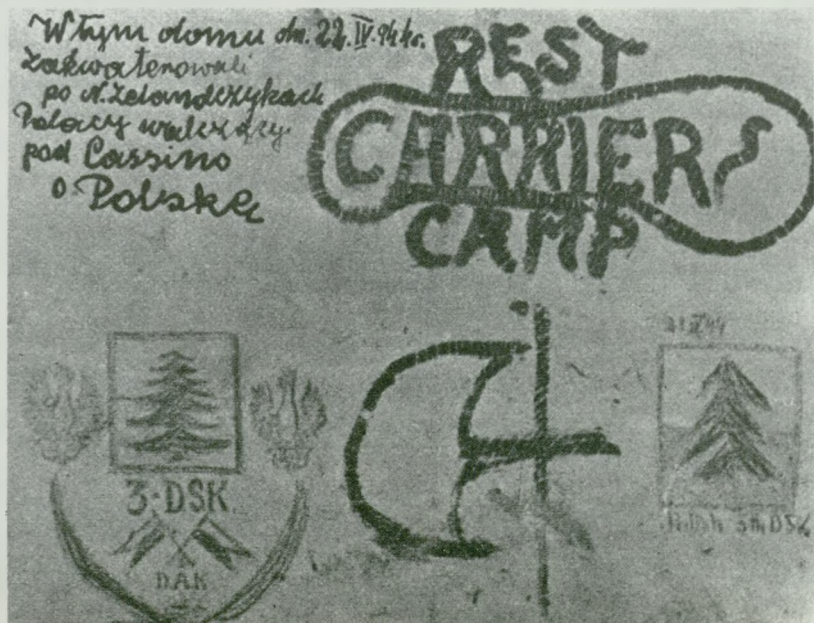
27 kwietnia Korpus przejął odpowiedzialność za obronność odcinka

Teraz przygotowania przenoszą się na teren dywizyj

Szef sztabu Kresowej, ppłk Maleszewski, jedzie jeszcze z nad Sangro w odwiedziny do swego kolegi ze Szkoły Wojskowej w Paryżu, płk Pardesa, szefa sztabu 3. dywizji algierskiej.

Dowództwo dywizji — stoi akurat w tym domku farmerskim, w którym obecnie jest dowództwo Kresowej i w którym snują te rozważania — w przeddzień jutrzejszej bitwy.

Każde wojsko ma swój styl. Francuskie lubi dobrze zjeść





*Popotte!* — kasyno — oto wielkie słowo. We wspomnieniach z wojny we Francji Habe, autor znanej książki *A thousand shall fall*, pisze jak ze zdumieniem cofający się żołnierze oglądali, kiedy już pułk zżył wszystkiego — reflektorów, cekaemów, moździerzy, kiedy żołnierze cofający się porzucali nawet karabiny, kiedy cały sprzęt samochodowy należało z braku benzyny porzucić — triumfalnie posuwającą się na jedynym zachowanym samochodzie — *popotte*.

Zdarzyło się, że jednego dnia byłem z angielskim oficerem łącznikowym w Damaszku na śniadaniu u pułkownika angielskiego i na obiedzie u francuskiego generała Collete. U Anglika jedliśmy *Irish stew* wytrząchnięty z puszki konserwowej i bardzo pomysłową potrawę — *corned beef* na zimno pokrajany w plasterki i obłożony piklami. Francuz dał świetne *hors d'oeuvre'y*; niestychaną jakąś wielką różową rybę; specjalność syryjską — rodzaj wielkiej kuropatwy, sprowadzanej z gór; *chablis* a potem burgund o anielskich temperaturach i archanielskim bukicie; a przy jakimś deserze z tartych kaszlanów — autentycznego szampana i przy kawie — „Napoleona”.

-- Z wami, Anglikami — powiadam, gdyśmy wracali z przyjęcia — pracować, walczyć, żyć i umierać (było to jeszcze przed mową Churchilla), ale w międzyczasie jeść obiady u Francuzów.

Armia francuska we Włoszech zostawiła 15.000 poległych, abyśmy, Polacy, mogli teraz trzymać na Castellone swoje pułki ułańskie. Armia francuska przeskoczyła smutny okres *debacle* 1940 roku, sięgnęła po najświetniejsze swoje tradycje.

A że między tymi tradycjami była również tradycja *popotte*, to wyszło tylko na korzyść polskiego gościa z nad Sangro.

Właśnie w dywizji była *M-me Mast*, żona rezydenta francuskiego w Tunisie i *popotte* szalała. Gości, którym prezentowały broń bajecznie kolorowe Muzułmany, stojące na warcie, witał szef kuchni w białej czapie wypiętrzonej, jak *Mont Blanc*. Na kasynie znak dywizji algierskiej i szyld:

*Hostellerie de trois Croissants.*

Francuzi uważają, że, jeśli tylko można, odprężyć się należy. Toteż adiutant przed rozpoczęciem obrządku jedzenia odczytał menu wierszem.

HOSTELLERIE  
de trois Croissants





Ale kiedy *Madame* poszła na punkt obserwacyjny i koledzy zostali sami, znikła *popotte*, wjechały na stół mapy.

Teraz mówił nie smakosz i *causeur*, ale żołnierz i szef sztabu słynnej 3. dywizji, która poprowadziła natarcie na prawym skrzydle amerykańskim na osi wschód — zachód na Castellone — Cairo — Terella, która opanowała Belvedere, Castellone i Maiola, wywalając się przez Rapido z pomiędzy zatrzymanych na lewo Amerykanów i na prawo — Marokańczyków.

— Te natarcia, których byliśmy świadkami, to szaleństwo — mówił Francuz. — Trudno pojąć, dlaczego błędy jednego natarcia powtarzano w drugim. Jest to dziedzictwo przekazanej po Amerykanach fałszywej koncepcji ich sztabów.

Pociągnął „Napoleona”:

— ...zwłaszcza teraz, kiedy Niemcy niewiarygodnie usztywnili swoje umocnienia.

Kiedy Polak za ciemna (bo za dnia Francuzi nie jeździli) wracał do siebie, ciągle mu wracały te słowa: „Szaleństwo... Zwłaszcza teraz...!”.

Kiedy przyjechał do Włoch gen. Sosnkowski (był w ogniu na Monte Croce), zwróciło uwagę wszystkich, że dowódca Korpusu nie cały czas poświęcać może asystowaniu Naczelnemu Wodzowi. Nad czymś pracował. Coś się kroiło.





*Gen. Anders studiuje sytuację 78. dyw. / od lewej bryg. Frith i, przy gen. Andersie, gen. Keighthley, dca 78. dyw. /*

Powoli stawało się jasnym, że nie uderzymy na Klasztor wprost, tylko na północ od niego. „Nie należy powtarzać wygwizdanej sztuki w tych samych kulisach” — mówili, nieliczni jeszcze, wtajemniczeni.

Generał Anders był świadom trudności, jakie go otaczają. Na odprawie 3. dywizji jeden z wyższych dowódców wyraził opinię, że Klasztor należy zdobyć w 24 godziny, albo nie zdobędzie się wcale. — Powoli, powoli — mitygował swoim spokojnym uśmiechem gen. Anders — jak trzeba będzie, to i trzy razy po 24 godziny. — A jak tego starczy to i siedem razy po dwadzieścia cztery.

Teraz ruszają wszyscy dowódcy na studia w terenie. Wyżsi dowódcy mają rozkaz zapoznać się z nim z samolotów. Wyjeżdżają na studia do poprzedników: do 78. dywizji, do 4. hinduskiej, do 3. francuskiej.





Odprawa przy stole  
plastycznym

20 kwietnia ukończono serię odpraw na szczeblu Wielkich Jednostek (obu dywizyj piechoty i brygady panc. p. m.) Teraz odprawy przeniosły się na szczeble brygadowe.

6 maja gen. Leese ma u siebie odprawę dla oficerów sztabowych Korpusu do dowódców batalionu włącznie.

W promieniu 150 metrów ocepiono teren linkami saperскими i obstawiono żandarmami. W środku magicznego kręgu zajaśniała mapa straszliwego terenu. Zadanie podane było bez obstępów. Dzień był jasny i bardzo cichy. Dowódca walk w Libii mówił, że ma zwyczaj przed bitwą podać bezpośrednio swój plan podkomendnym. Zdanie każde, tłumaczone natychmiast przez por. Lubomirskiego, padało ważne, proste i nad wytrzymałe ludzkie zrozumiałe.

Po odprawie — uprzejmy gest ręką, przed namiotem gen. Leesa stoją duże skrzynie. W skrzyniach fajki przeróżnych fasonów. Niechże polscy koledzy wybiorą po fajkę — na pamiątkę odprawy.

Wybrali, zapalili — kiedy ma być przymierze krwi — tę fajkę pokoju — zamknęli na rygle w duszach tę mowę lutową.

Bo bataliony — szkolone już dla walki wysokogórskiej jeszcze w Syrii — o ile nie są na liniach — znowuż ćwiczą na założeniach rzeczywistych, w terenie podobnym do terenu pod Monte Cassino. A trzy ułańskie pułki, 3. i 14. baon — trwają w przestonie.



## (29) WELLINGTON CZY MIEROSŁAWSKI

Jeśli przeciętnego Polaka spytać było przed wojną, jak wyobraża sobie wojsko — to zapewne jako defilującą kawalerię. Jeśli go spytać było po pięciu latach wojny — to może jako dzielnych żołnierzy, co siedzą w okopach i czekają tylko chwili, kiedy można będzie zrobić bohaterski wypad.

Nie założyłbym się, czy przeciętny Anglik nie wyobraża sobie wojny jako miliardy produkowanego materiału khaki i Gaurizankary konserw.

Całkiem inne podejście mamy do wojny: my — bohaterskie, oni — businnesowe; my — z pospolitego ruszenia, oni — z Kompanii Indyj Zachodnich, która fundowała prywatne wojsko — wszak szeregowiec i teraz nazywa się u Anglików *private*. U nas między wyrokiem sądowym za tchórzostwo a Krzyżem za Waleczność nie ma tak dużej przestrzeni. (Żołnierz, który był w ogniu, ma szanse otrzymania Krzyża; ten sam żołnierz, gdyby uciekł spod ognia, miałby sąd); u nich — między karą a nagrodą jest jeszcze bardzo szeroki i obszerne pas, który się, po prostu, nazywa — *duty* — obowiązek. Anglik bynajmniej nie jest szkolony w tym kierunku, żeby się po bohatersku wyróżniał — jest pokoleniami kształcony, aby miał silny charakter we wszystkim — a więc i w wypełnianiu obowiązku \*).

Ten i ów Polak lubi się przechwalać: „Anglicy nie lubią ryzykować!”. Naturalnie. Nie lubią. Zapewne nie zrobiliby Samosierry (choć i oni na swoim koncie mają Balakławę — „bohaterską” szarżę kawalerii, którą raczej nie lubią się chwalić). Ale jabym na miejscu Anglików zapytał Polaków, czy zrobiliby Dunkierkę?

Nie ma tu co chwalić jednych lub drugich. Każdy naród rósł tak, jak mu pozwalały dzieje. Gdybyśmy nie mieli nie-

\*) *Przypisek po bitwie*: Chirurg z angielskiej czołówki „głowej” (rany głowy) wyszedł z cierpliwości, widząc nowy transport pacjentów, małeńkie nieraz jak groch odpryski robią człowieka obłąkanym na całe życie. „Polacy to idioci! nie wkładają hełmów. Nigdy u Anglików w przybliżeniu nie miałem takiego procentu”.



rozsądnych i niekalkulowanych zrywów — nie istnielibyśmy. Dla nas długi sznur Starzyńskich w naszych dziejach nie jest lekkomyślnymi ryzykantami, ale bohaterami i świętymi narodowymi. Możemy pozazdrościć Anglikom, że ich nie potrzebują, możemy im pozazdrościć, że mogą sobie pozwolić na luksusy poddawania 75-tysięcznego Singapore, gdy my do ostatka bronimy jednym batalionem Helu, albo 25-tysięcznego Tobruku \*), (gdy u nas do końca stu kilkudziesięciu żołnierzy broni Westerplatte). Ale póki jesteśmy, będziemy jacy jesteśmy.

Szkoda tylko, że z tego właśnie nieuchronnie wypływa dużo fanfaronady, blagi i niepotrzebnego wypinania piersi tam, gdzie się ledwo na trójczynę spełniło obowiązek i okropnie megalomańskich opowiadań o tym, jak to rzeczy u nas jest lepiej, jak to Anglicy nas podziwiają etc.

A z tego wszystkiego, jako polska lekkomyślna synteza wojny:

*„Siadę na konika,  
Pokręcę wąsika,  
Dobędę pałasza:  
Wiwat Polska nasza!*



Ten wstęp jest po to, aby czytelnik podszedł do wcale prozaicznej według niego, a decydującej o zwycięstwie rzeczy, jaką jest — kwatermistrzostwo. Do tych milionów namiotów i koców, których nie opiewała piosenka o żołnierzu polskim „wędrującym borem lasem”, do tych miliardów konserw, z którymi się nie łączyło pojęć o bohaterach „przymierających z głodu czasem”.

Kiedy spotkali się żołnierze dwu armii — jednej, wodzącej się z tradycyj pospolitego ruszenia, powstańczych, legionowych, z uproszczonych hasła „kwatermistrzowskich” Mierosławskiego — „zdobędziemy kijami karabiny a karabi-

---

\*) Sensu wywodu nie zmienia, że Tobruk poddali Południowo-Afrykańczy. Nie chodzi o Anglików — chodzi o podkreślenie różnicy w mentalności wojennej między nami a ludami niezagrażonymi w swym istnieniu. Nie chodzi też o dyskwalifikowanie odwagi osobistej Anglików, którzy mają na swoim koncie niesłychane brawury komandosów, świetną postawę marynarzy, odwagę lotników i wytrzymałość wojsk lądowych. Chodzi o system, o ujęcie wojny.

nami armaty” — a drugiej wywodzącej się z tradycji najmu, żołdu i obustronnego kontraktu i wellingtonowskiej maksymy, że „armia maszeruje na brzuchu” — powstał szereg zabawnych incydentów.

Anglik klnie w żywy kamień, bo zabrakło chwilowo mleka skondensowanego do jego *nice cup of tea*. Zirytowany Polak zwraca mu uwagę, że to przecie wojna. „No właśnie” — wytrzeszcza Anglik oczy — „wojna, a więc powinno być wszystko, co się do niej należy; jeśli im brak mleka skondensowanego, to niech nie prowadzą wojny”.

Polak klnie w żywy kamień, bo przepalił dziurę w kocu. Zlatują się — służbowy, materiałowy, gospodarczy — spisują protokół, opisujący co i jak, uwierzytelniają podpisy, idą całą delegacją do angielskiego składu z przepalonym kocem, z protokołem i z tego nagotowanymi pyskami, nabierając w piersi powietrze przed tym szturmem na pozycję kocową.

Podoficer angielski, wyrozumiawszy, że chodzi o pled, wskazuje niebdale w kąt składu:

— Weźcie stamtąd.

Nasi wężą jakąś grandę. Jakto — weźcie? Bez „opeeru” i bez protokołu, bez meldowania i bez komisyj, bez wniosków i bez karty materiałowej?

Powoli Polakowi poczyna się podobać to wszystko i klnie polskie porządki. Czy zupełnie słusznie? Czy, jeśliby Bóg dał wrócić do siebie, nie wrócilibyśmy, biedaki z jednym z najniższych dochodów społecznych wśród narodów białej rasy, z budżetem wojskowym wyśrubowanym ponad wszelkie możliwości podatkowe, do prawowania się o każdy przepalony koc?





## (30) BOŻEK - KWATERMISTRZOSTWO

Tworząc na emigracji wojsko, przyjęliśmy organizację angielską i wraz z nią pokłoniliśmy się wszechmocnemu bożkowi kwatermistrzostwa.

Kwatermistrz Korpusu jest równoznaczny szefowi sztabu tego Korpusu. Jeśli powiada — operacja nie może się odbyć, bo nie zdążę podwieźć środków zaopatrzenia — to nie można po leguńsku przejść nad tym z jakimś dźwięcznym „naser mater”, tylko należy — operację przystosować do kwatermistrzowskich możliwości.

A do kwatermistrzostwa należy wszystko poza walką i wywiadem. Cała opieka nad żołnierzem — oświatowa i sanitarna i cała troska o materiał. Kwatermistrzostwo ma działy: materiałowy, zdrowia, zaopatrywania i transportu (benzyna, żywność, amunicja i tł.), warsztatowy, służby pieniężnej (zwaną tradycyjnie w naszym wojsku intendenturą).

Stoimy przed atakiem na ten piekielny amfiteatr. Doceniamy wagę zadania. I zanim jutro padną strzały i rozpocznie się bitwa krwawa, dziś kończymy bitwę bezkrwawą — przygotowania kwatermistrzowskiego do bitwy o Monte Cassino.

Już miesiąc temu, zanim jeszcze oddziały Korpusu obsadziły pozycje, poczęli szefowie służb gromadzić w terenie zapasy.

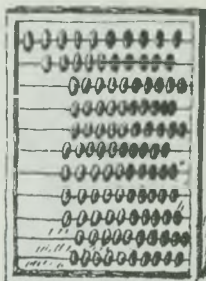
Nikt jeszcze na bardzo wysokich szczeblach Korpusu nie wiedział co się święci — kwatermistrze wiedzieli.

Dwunastego już kwietnia jedzie ekipa kwatermistrzowska Karpackiej do 78. dywizji. Ppłk Rolland, kwatermistrz, szef służby zdrowia ppłk Bereza i por. Lilien.

Jest piękny dzień. Cassino wyrasta jak na dłoni — jest nieco nieswojsko uganiać pod nim wielką czarną limuzyną.

W lasku pod nosem Klasztoru stoi kilka karawanów \*) kwatermistrzostwa angielskiego. Jest niepisana umowa z Niemcami: wy nie tłuczcie naszych karawanów, ani naszych dróg zaopatrzenia, to my nie będziemy tłukli waszych.

Wiadomo było, że kiedy zacznie się akcja, nie będzie się

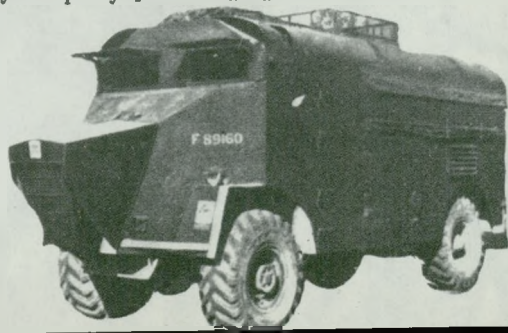


Ppłk Rolland



Ppłk dr Bereza

\*) Karawan — duży samochód, przystosowany do pracy i mieszkania.





Płk Łakiński

mogła trzymać umowa. Gdzie ulokować wobec tego kwatermistrzostwo Karpackiej? Naturalnie — jak najbliżej mułów i bantamów. Ale gdzie? Nie ma wiele miejsc do wyboru. Chcieli tam, gdzie stoi artyleria angielska — dowódca artylerii dywizyjnej, stary weteran, oficer artylerii niemieckiej z tamtej wojny, płk Łakiński ramionami wzruszył:

— Też pomysły! Przecie na miejsce tego jednego pułku wejdzie siedem. Działo przy dziale. 300 metrów nie znajdziecie, by nie uatknąć się na artylerię. Samych naszych własnych za krótkich strzałów wystarczy, by was wykończyć.

Chcieli, niebożęta, ulokować się koło Cervaro.

— Wynoście się stąd — mówi dowództwo dywizji — nie sterzcie nam pod nosem i tak nas tu za dużo.

Cóż mieli robić? Zdecydowali się ulokować na bitwę tam, gdzie stało kwatermistrzostwo angielskie — cztery kilometry przed dowództwem dywizji w stronę linii bojowej.

Zaczęło się „urzędowanie”.

Wielka tajemnica — mapy co dzień lakowane. Kiedy wchodzi który z podchorążych, oleaty Monte Cassino przesuwane są natychmiast na przyczółek Anzio. Ciekawski podchorąży nic nie rozumie — „hysia mają, czy co?”

Aż tu z tej tajemnicy — bomba i kompromitacja. Do ppłk Rollanda, kwatermistrza, przyjechała kierowniczka kantyn. Omawiać „udział kantyn w bitwie o Monte Cassino”.

— Że jak, proszę? — nie rozumie ppłk Rolland.

Kierowniczka wyjechała z pojęciem, że kwatermistrz Karpackiej, to ciemna masa, z którą nie warto gadać.

W nocy z 26 na 27 kwietnia kwatermistrzostwo lokuje się ostatecznie, zmieniając Anglików. Jakby na zapowiedź — z punktu dostają ogień. Anglicy dla kurażu wysączyli z nowoprzybyłymi dwulitrowy gąsior rumu i odjechali. Nowoprzybyli z punktu zbudowali schron, z którego byli bardzo dumni — niedługo.. W południe przyjechał dowódca saperów Karpackiej, ppłk Rakowski, obejrzał schron i orzekł, swoim zwyczajem, spokojnie i flegmatycznie:

— Od odłamków to on jest dobry; a od pocisków też, ale dla ks. Jońca (naczelnego kapelana Karpackiej), bo nie będzie miał kłopotu z zakopywaniem.



Ks. Joniec





*Stara studnia  
w Cervaro napęczniała  
tysiące baniek*

O kilometr w przód od kwatermistrzostwa Karpackiej, przedzielony jarem i artylerią mieścił się wielki skład — *San Michele Dump* — 400 na 200 metrów. Skład z benzyną i amunicją był wkopany, ale składy żywności i inne — nie

Po drugiej stronie drogi mieściły się dwie kompanie transportowe

Tuż w tyle znajdował się punkt przeładunkowy, w którym przeładowywano półciężarówki (na które z ciężarówek przeładowywano na etapie znajdującym się na tyłach) na łaziki i muły.

Jednym słowem kwatermistrz siedział sobie w samym środku swych włości.

Co dzień o 8 m. 30. miała miejsce odprawa. Mozolne rachowanie — jak wszystko pomieścić.

7 Karpacka ma cztery miejsca ograniczonego parkowania: na 20 wozów (carpark), na 15, na 12 i na 10.

Z tych kłopotliwych liczeń powstają tabele marszu:

G. 8 m. 20 jadą 3 łaziki i 1 10 CWT  
G. 8 m. 50 jadą 5 „ i 2 „  
itd.

Gdyby puszczono więcej wozów — zostałyby na drodze i przelotność byłaby zamknięta. Toteż do rozładowywania rzucali się wszyscy — kierowcy, oficerowie, przypadkowo obecni — kto w Boga wierzy.

Każdy tu ma swoje zmartwienie.

Kwatermistrz — stary wyga pustynny — wzdycha do czasów w pustyni Libijskiej, kiedy problem wody był o wiele łatwiejszy. Wydostał tysiąc baniek extra, ale to za mało.





*Mjr Duda*



*Ppor. Bułka*



*Plut. Kamieniecki*

Dowódca 3. szwadronu żandarmerii, mjr Duda i ppor. Bułka — dowódca regulacji ruchu pętli Cairo, wykalkulują kiedy puścić muły, a po nich drogą okólną bantamy, tak, aby te ostatnie obegnały muły i minęły most nim go muły zawałą.

Wieczorem — sphywają meldunki co i jak doszło. W schronie, który miał być tak wygodny dla księdza Jońca, w trzech kątach szaleją trzy telefony. W dni zwłaszcza składowania amunicji... Pptk Rolland próbował kiedyś znaczyć kreski: zakarbowawszy 78 interesanta i 135. rozmowę, machnął ręką i wyskoczył ze schronu odświeżyć głowę. W schronie został rozpięty między trzema telefonami dwojga fakultetów doktor onże plutonowy i szef kancelarii Kamieniecki, który zamiast meldować się „Wysunięty rzut kwatermistrzostwa 3 DSK — przy telefonie plutonowy Kamieniecki”, chrypiał po prostu we wszystkie trzy słuchawki naraz „Wysunięty Kamieniecki”.

— Jeśli będę miał dwanaście nocy — zdążę — obiecał pptk Rolland dowódcy dywizji.

Po oddziałach dąsano się, nie mogąc nastarczyć nosicieli. Ale zdążył — w jedenaście nocy.

Nie zapominajmy, że należało nie tylko gromadzić wszystko potrzebne do przyszłej bitwy, ale i dostarczać bieżące zaopatrzenie.

I nie zapominajmy, że teren zaopatrzenia leży na „przyczółku desantowym” połączonym jak przez La Manche — przez rzekę Rapido dwoma przez nią przerzuconymi mostami.





### (31) DIABELSKIE TRANSPORTY



Do tej pięciokilometrowej doliny, będącej pod obserwacją i stałym ostrzałem, wiodły dwie stale ostrzeliwane drogi. Ta, która obsługiwała Kresową dywizję, ostrzeliwana już od Acquafondata (tam gdzie wisały maskownicze sieci i napisy — „nie daj się zabić”), wbiegała przy miejscu postoju dowództwa Kresowej (tam, gdzie ją ostrzeliwały samobieżne działa S-P), do wąwozu „Inferno” (w którym rozgromiono skład artylerii nowozelandzkiej i nasz szpital).







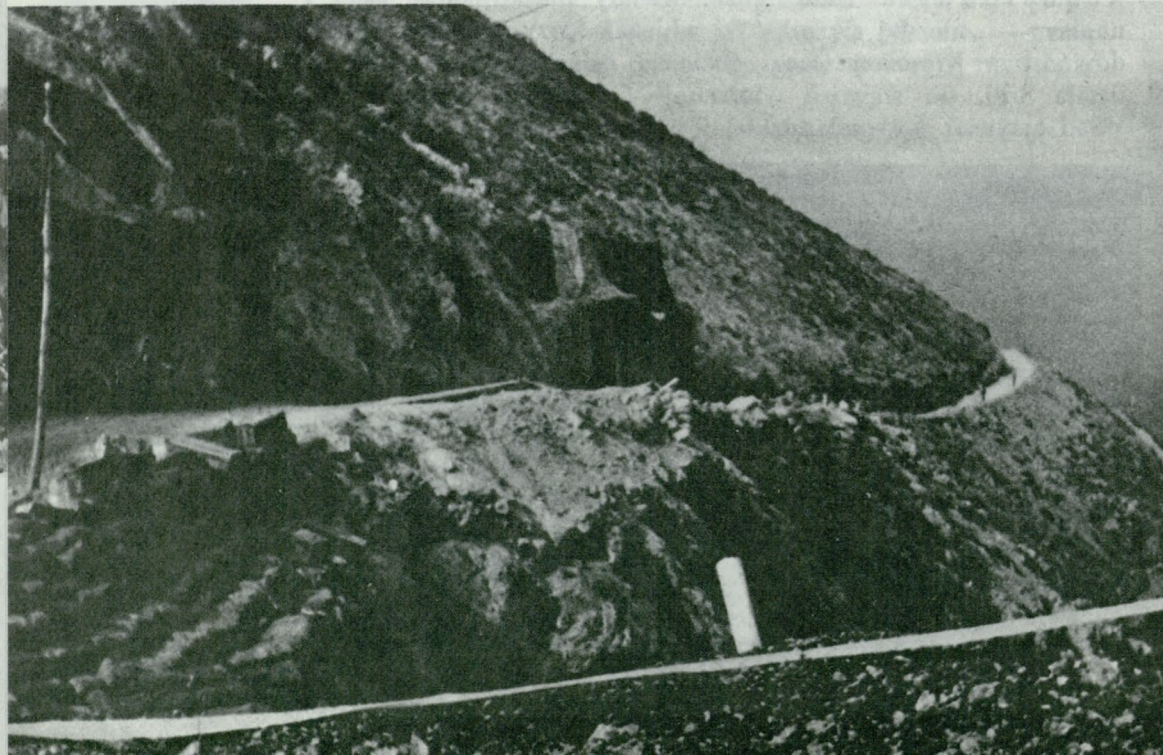
Obie dywizje mają po lekkiej kompanii transportowej. Kompania składa się z plutonu 33 bantamów z obsługą angielską, 33 — z obsługą polską i dwu plutonów po 33 „piętnastki” (15 CWT — w Kresowej — „dziesiątki”).

Angielscy kierowcy żyli się z naszymi doskonale; kiedy zaistniała kwestia wycofania jednego z ich plutonów, wywiązało się współubieganie się, który pluton ma zostać przy Polskim Korpusie.

Z wąwozu *Inferno* szoferzy naszych transportówek (owe właśnie „diabły” itd. — tyl 14) mkną przez ostrzelaną dolinę *Rapido*, aby, ujechawszy 5 kilometrów, skręcać ku pozycjom — w góry, po drodze będącej ongiś ścieżką mułową. Nasi poprzednicy jako tako ją rozszerzyli w jednokierunkową drogę górską i nazwali *Cavendish Road*; nasi saperzy wspólnym wysiłkiem jeszcze ją ulepszyli. Rozszerzenie jej o kilka cm kosztowało tygodnie pracy. Pracując w nieustannym ogniu nękającym, saperzy Korpusu i obu dywizyj ponieśli tak wielkie ofiary, że droga ta otrzymała nazwę *Drogi Saperów Polskich*.

Karpacka ma jeszcze inną drogę.

Po drogach tych nie dało się puszczać nawet lekkich ciężarówek. Tylko łazik (bantam vel *jeep*), lekki, o silnym motorze, o biegu terenowym i napędzie na wszystkie cztery koła — drapał się po tej drodze.







Mówi się, że obecną wojnę wygrają cztery wynalazki: most Bailey, transfuzja krwi, radiolokacja i... łązik. Żołnierz jest przywiązany do tego pocziwego wozu jak do żywej istoty.

Kwatermistrzostwo więc użyło łązików z przyczepkami. łązik z przyczepką ma nośność 700 klg. Można sobie wyobrazić jak astronomiczna cyfra łązikoobrotów musiała być zrobiona \*).

Nie wszędzie jednak doszedł i łązik. I tam go zastępował — wierny towarzysz żołnierza — muł, który jest względem konia tym, czym łązik wobec normalnego wozu.

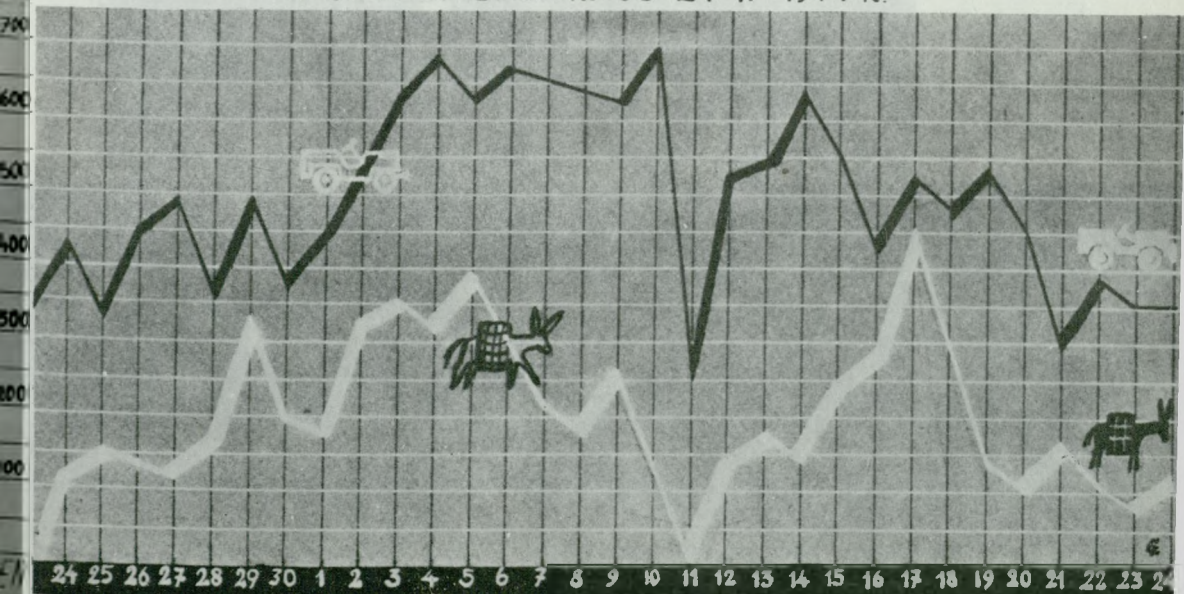
Muł ma stalowe, pewne nogi i jest do tego stopnia absolutnie niepłochliwy, tak nie reaguje na detonacje, że były supozycje, że to zwierzę jest pozbawione słuchu. Ponadto w Iraku przeszedł specjalny trening (rzucano pod niego petardy i tp.).

Muły są lekkie, dźwigające po 180 funtów i ciężkie, biorące po 300. O te ostatnie toczono walki. Karpacka ma trzy kompanie mułów, Kresowa — dwie. I tu i tam na czele młodzi majorowie Anglicy — pierwszorzędni żołnierze. Jedną z tych kompanii mulników cypryjskich była w bitwie pod Dunkierką i w Abisynii.

Wielka koncentracja tych zwierząt przy załadowaniu wytwarza co wieczór poważne niebezpieczeństwo. Toteż uspra-

\*) *Przypisek po bitwie:* Do eszelonu A dochodziły cięższe wozy i dopiero tam przeładowywano je na łąziki. Otóż samą amunicję przewiozło 16.000 wozów, 4.000 wozów dowiozły żywność i 4.000 — materiały pędne. Wozy te, robiąc zaledwie 75-kilometrowy szlak z baz zaopatrzenia, przejechały łącznie 56 razy naokoło świata. Na ileż łązików należało je tedy przeładować i ile łązików do tego dodać, przewożących wodę, którą brały na miejscu w eszelonie A?

## RUCH BANTAMÓW I MUŁÓW - WYS. REJ. UZUP. ZAOP. "GDAŃSK" W OKRESIE OD 23. IV. DO 24 V. 1944 R.



wnienie ładowania jest doprowadzone do maksimum; w laskach oliwnych zawczasu przygotowuje się rzędy ładunków w odstępach na muła; w pewnej chwili, gdy zmierzcha, wprowadzane są szeregi mułów — ludzie rozstawieni przy ładunkach w jednej chwili wrzucają je na grzbiety zwierząt i umocowują linewkami; załadowanie 50 mułów na baon zabiera 4-5 minut.



Oficerowie brytyjscy \*) twierdzą, że nikt tak szybko nie naładowuje mułów, jak nasi żołnierze, przeważnie wiejscy chłopcy.

Od 700 do 1200 tych zwierząt co noc ciągnęło najprzód drogami, by potem wsiąkać w ścieżki rozgałęziające się po górach i doprowadzające do stanowisk Karpackiej i Kresowej.

\*) *Przypisek po bitwie*: Gdy zaczęło się natarcie 11 maja, kazano im z mułami odejść na 40 kilometrów; byli okropnie zmartwieni, bo spodziewali się asystować przy *big show* (wielkim widowisku).

Po zdobyciu Klasztoru zwracali się do Polaków z prośbą o interweniowanie, aby zostali przy 2 Polskim Korpusie przy dalszych operacjach.





Z tej, jakże niedostatecznej, jak niebezpiecznej, drożni, korzystali jeszcze Nowozelandczycy, będący na naszym prawym skrzydle. I ich potrzeby były znacznie większe, niż przelotność dróg i nasze. Trwały długie, aczkolwiek nacechowane koleżeństwem i zrozumieniem, targi o przydział tzw. kredytów drogowych.

Skład przeładunkowy Karpackiej jest pod San Michele, zaś Kresowej u wylotu wąwozu Inferno — w rejonie dyzlokacji Kresowej.

— Bierz wylot wąwozu — szepnął do kwatermistrza Kresowej mjra Jedziniaka kwatermistrz Korpusu, płk Skowroński — będzie to tak, jakbyś panował nad ujściem rzeki.

Niebaczni Nowozelandczycy zgodzili się i istotnie ten wielki port przeładunkowy był w naszych rękach. (To tam, gdzie stał pogromiony namiot por. Wrońskiego, do którego byłem zapraszany na sen... wieczny). Nazwaliśmy to miejsce „Gdańsk” i tak już będzie figurować w mej książce, jeśli danym mi ją będzie napisać.

Na dolinie Rapido ustalono ruch jednokierunkowy. Przy tym natłoczeniu ruchu lada co mogło go zakorkować. Stworzono specjalny sztab regulacji ruchu (RR) pod dowództwem mjra Lewińskiego. Wypracowano centralne tabele przemarszów, ramowe tabele kolumn.

Każdy odcinek, na jakie podzielono drogę, ma swego oficera. Żandarmi na skrzyżowaniach są raczej zawiadowcami węzłowych stacyj. Muszą tkwić na punkcie stałe; w czasie nawał chowają się do schronów, w których mają telefony i przejeżdżając widzimy tylko ich głowy.



*Płk Skowroński*



*mjr Lewiński*







Francuzi jeździli tylko nocą, ale nam nocy, zwłaszcza kiedy poczęło się pierwsze natarcie — nie starczało!

Laziki puszczano w odstępach 150 metrowych, aby nie dawać łatwej pokusy obserwatorom nieprzyjacielskiej artylerii, obserwującym ten cyrk gołym okiem z łoży na Cifalco. Bantamy mknęły jak oszalałe, spuściwszy przednie szyby, aby błyskiem „nie zdradzać swej obecności”. Niemiec walił zwłaszcza w krzyżówki. Przechyliwszy hełm od strony spodziewanego rozprysku, leciały „diabły” ze swoim ładunkiem.

Gdy wóz zepsuł się na drodze jednokierunkowej — strącają go po prostu. Płytki rów pod Villa zapchany jest kilkunastu wozami poprzedników. Polskie poszanowanie sprzętu wzdryga się przed tym. Ratujemy się, gęsto rozstawiając dyżurne dźwigi. Ale rozumiałe, że w tym wyzyskaniu drogi do maksimum, kierowca nie ma prawa wstrzymać się na skutek ognia.

Całe to rządzenie się i kręcenie się i dzwonienie kluczami gospodarnej cioci-kwaternistrzostwa na przyczółku desantowym pod nosem artylerii niemieckiej — należy jakoś maskować. Więc, przede wszystkim, od rana po szerokiej dolinie Rapido poczynają dymić świece.







Puszczaliśmy naszych „diabłów”, gdy było trzeba i w dzień, opatrując ich błogostawieństwem i... dymem.

Porozstawiane obficie świece — grube na jakie 15 centymetrów pakiety z substancją wydzielającą gęsty dym — buchają kłębami idącymi pionowo w górę. 8 oficerów i 175 szeregowych obsługuje 70 punktów zadymiania w dolinie Rapido, na podnóżach Drogi Polskich Saperów, przy stanowiskach baterij, a przede wszystkim przy obu mostach, które należy za wszelką cenę ukryć przed zniszczeniem \*).

Przy początku zadymiania dolina, cała czerwona od maków, które pokrywają masywne pola niemieckich min, wygląda jak ziemia przeznaczona na krwawe dopełnienia, jak oratorium wznoszące się do Boga ofiarnymi stosami.

Potem dymy stają się coraz gęstsze, dolina wygląda jak micha nalana mlekiem, w którym nie widać nic.

Żandarm u wylotu daje znak — w mleko lecą „diabły” ze swoimi przyczepkami, Niemcy słyszą tylko jednostajny huk motorów, strzelają po omacku, a kiedy zbyt dokładnie zbombardują przystrzelaną krzyżówkę, z oratorium słychać soczyste „k... mać!”

*Przypisek po akcji: Przez cały czas zużyto 18.000 świec 25-kilowat. Razem — 400 ton. Przewiezienie tej ilości świec wymagałoby 540 koni. A przecie świeca dymna — to jeden z licznych detali. Daje to pracę naszego transportu.*

*Mosty należy za wszelką cenę ukryć przed zniszczeniem*



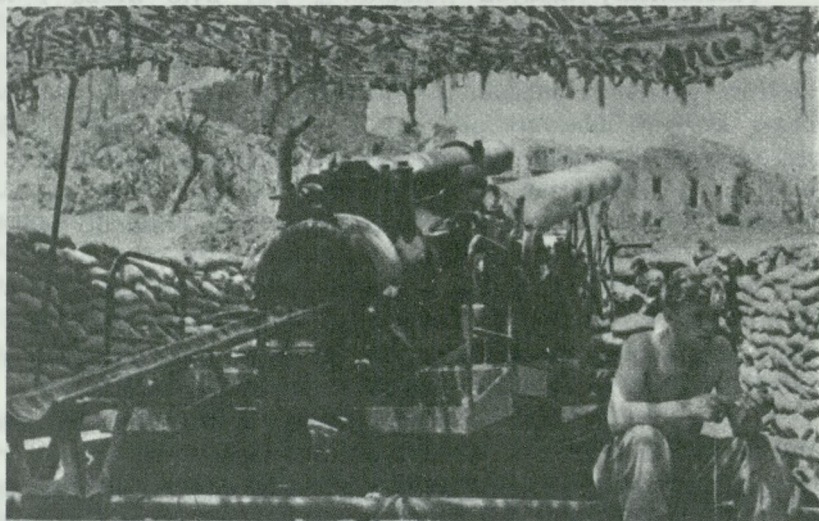
## (32) JAK NIE DOJRZYSZ ZWIERZA PRZED SKOKIEM (MASKOWANIE)

Ale przecież dym się rozwiewa, a nie mogą się rozwiać olbrzymie składy przygotowanego materiału. Bądź co bądź — należy się liczyć z Luftwaffe. W składzie głównym złożono ponad pół miliona amunicji artyleryjskiej i moździerzowej, 359.000 galonów benzyny, 339.000 porcji żywności itd.

Składy pomniejsze rozrzucone są wszędzie. Zdołano zamaskować je całkowicie na niewidzianą dotychczas skalę.

Np. bańkami z benzyną obkładano dookoła wysoko oliwki, pogrubiając przez to ich pnie. Baterij nie stawiano na po-

Zamaskowane działo



zycjach poprzedników, a obrane stanowiska maskowano pomysłowo darnią i sieciami maskowniczymi.

Drogi przestawiano sieciami. Przerywano zarysowaną ich linię wapnem, słomą po mułach, kamieniami, darnią, zużyтыми smarami; naśladowano i przedłużano istniejące plamy terenowe: a więc jakaś łączka biegła sobie swobodnie dalej przez drogę, albo przetaczało się przez nią rozsypisko kamieni wyschniętego strumienia.

Skryty motocykl





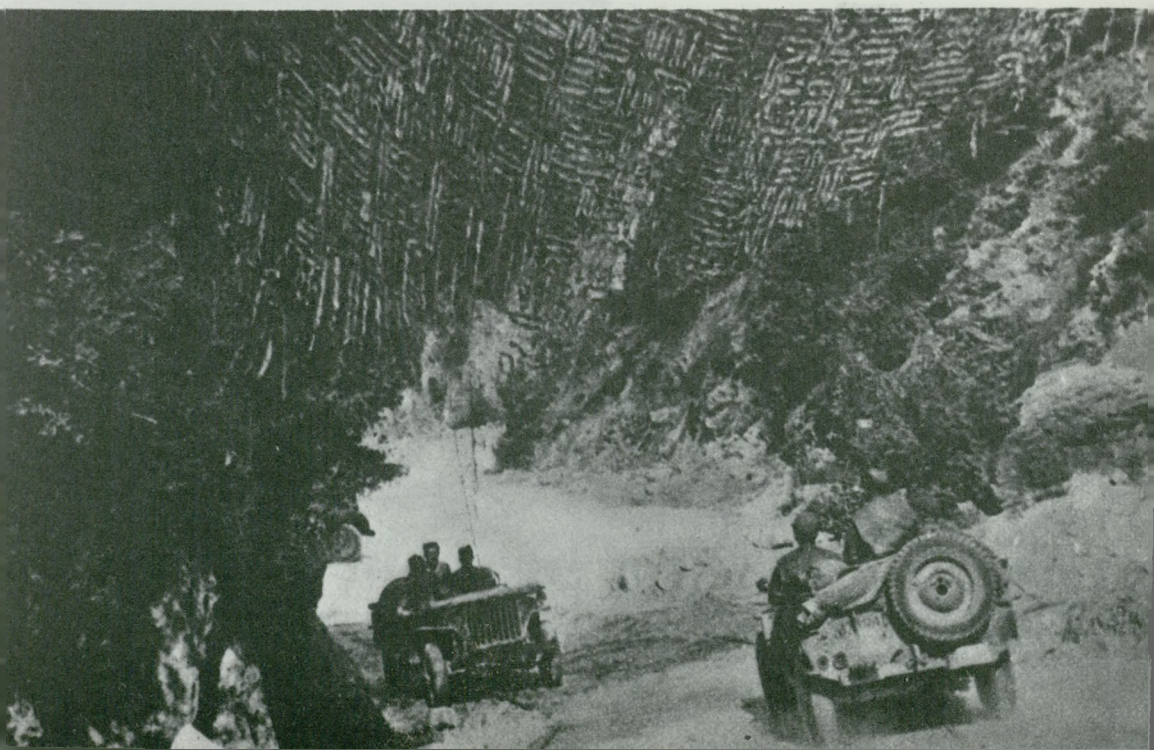


*Zamaskowane działo górnej grupy kątów*

Niektóre baterie maskowano w ten sposób, że stawiano je w terenie zajęтым przez poprzednika, pełnym wystrzelonych łusek. Nieprzyjaciel, rozszyfrowujący zdjęcia, z pogardą mijał te miejsca przesuwając dalej szkła stereoskopu: naturalnie, że to jest bez znaczenia to stare stanowisko, nie trzymaliby tak markowanej baterii. Tym bardziej, że działa na zaśmieconym stanowisku były skrzętnie ukryte.

Droga dojazdowa do dowództwa Karpackiej szła w dół, widać ją było z Klasztoru — zawieszono ją pionowymi zasłonami o ogólnej długości 1.500 metrów. Także zamaskowano drogę do Kresowej, półtorakilometrową trasę do wodopoju mułów 800 metrów drogi do ogniowych stanowisk 7 PAK

*Siatka nagle jak bielmem przestania lunetę obserwatora*





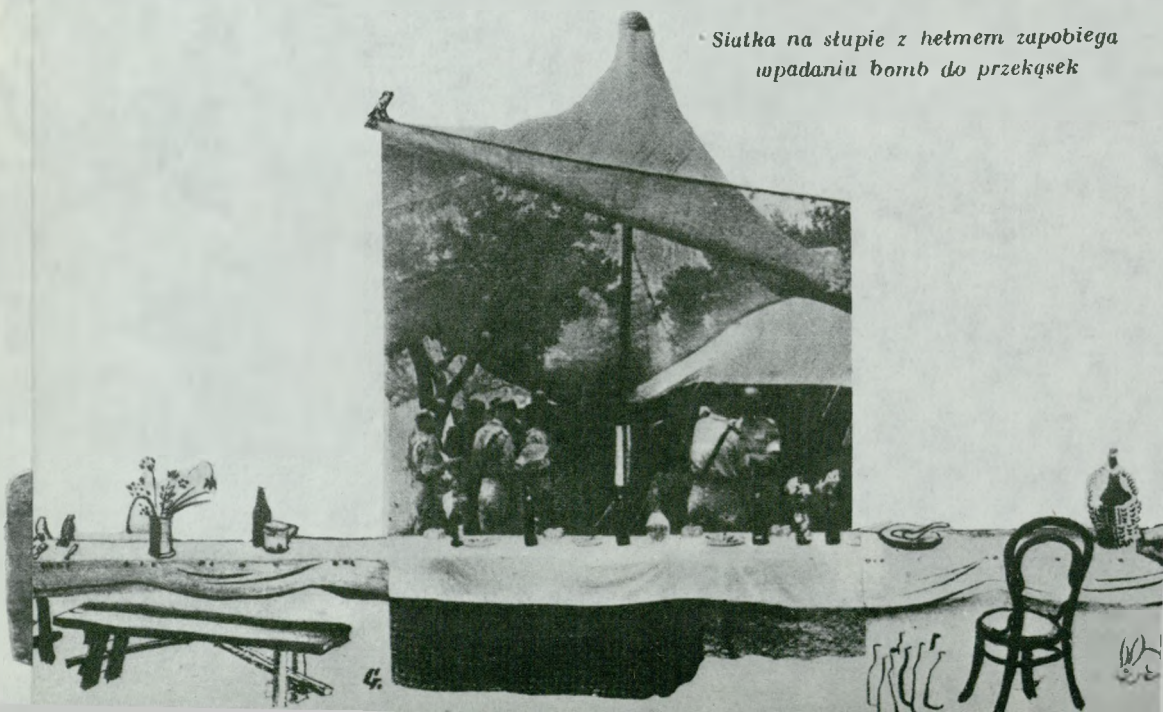


*Namioty - kameleony*

W samym dowództwie Karpackiej, kwaterującym w gajach oliwnych, polany w tych gajach otasmowano i wyłączono od ruchu. Obserwatorzy niemieccy, widząc stale, że nikt się nie przesuwa po polanach nie obkładali tych gajów ogniem.

Dwie kompanie robotników włoskich, 4.000 sieci maskowniczych, 5.800 gałonów farby itd. użyto do prac maskowniczych.

*Siatka na słupie z hełmem zapobiega  
wpadaniu bomb do przekąsek*





### (33) SAPERZY - TERMITY WOJNY

Stoją przestronne pułki i baony na pozycjach, prowadzą „małą wojnę” i płacą codzienną daninę krwi.

Dużą wojnę kończy przygotowywać kwatermistrzostwo.

I dużą wojnę — zaczęli już saperzy, zaczęli łącznościowcy.

Któż zmierzy krwawy trud saperski przed bitwą! Montują stanowiska artylerii, wciągając działa na pochyłość 45 stopni. Strzegą jak oka w głowie jedynek dwóch mostów na rzece Rapido. Wykrywają miny, posiłkując się jedynie bagnietem i kijem, bo wykrywacz nie reaguje na polach zasianych odłamkami żelaza. Dostarczyli milion (!) worków na piasek, aby ich koledzy na pozycjach mieli zastonę. Pobudowali drogi, przetorowali ścieżki dla bantamów i mułów, wytrasowali ścieżki ewakuacyjne dla odpływu rannych.

To wszystko — pod nękającym ogniem, wówczas, kiedy nawet żołnierz na pozycjach czołowych, mógł sporządzić sobie składak i przytulić się w nim. Saper — brał świecę dymną w kieszeń i ruszał, żywa torpeda, na robotę w ostrzeliwanym terenie.

Właśnie przyszedł dowódca saperów Kresowej, ppłk Hempel.







„Szpilowanie”

Pptk Hempel ma coś z leśnego człowieka, jakiś nieuchwytny styl, ni to robociarski, ni to techniczny, ni to myśliwski — nieraz spotykany u saperów. Przesuwa się cicho i lekko ze swoją laską zakończoną szpikulcem. Jest to „szpilka” dla rozbrajania min.

Przychodzi — z Drogi Polskich Saperów. Widział saperów pod dowództwem mjr Maculewicza i por. Jęczalika, reperujących drogę na wysokości 14. baonu, tuż pod nosem Niemców, saperów, padających między gwizdami pocisków i podnoszących się do roboty na nowo.

Widział jak por. Zapaśnik ze swymi ludźmi pośpiesznie wykańcza w skale schron — punkt obserwacyjny dowódcy 5. brygady. Saperzy pracują młotami, owiniętymi jutą i szmatami. Sierż. Kluś, trafiony przy eksplozji niemieckiego pocisku dużym kamieniem w pierś, zemdlął, ale przyszedłszy do siebie odmówił zejścia w dół.





Cztery pociski ciężkiej artylerii rąbnęły w Drogę Saperów; powstały cztery duże leje uniemożliwiające ruch. A tu przecie każda chwila zatrzymania dopływu łażików droga...

Cała kompania saperaska — kucharze, gońcy, ordynansi, pocztowi, kanceliści — kto w Boga wierzy — rzucili się do pomocy, stworzyli łańcuch, którym szły worki z piaskiem i kamieniami. Od godz. 21 do godz. 22, 30 zasypali wszystkie leje; ledwo zeszli z roboty, poszedł silny ogień po drodze, na szczęście moździerzowy, więc nie rozwalający drogi.

W dół od Drogi Saperów — jar, w którym zagnieździł się nasi moździerzowiec. Jar to piekielnie stromy, moździerz, wiadomo, zużywa całe fury amunicji, jak tu ją dostarczać?

Kombinowali saperzy, głowami kręcili — próbują rynnę przysposobić, którą by można było amunicję zsuwać — nic nie wychodzi. Niemcy tymczasem już się domacali, już w jar grzeją ze swoich moździerzy. Nie mają gdzie się schronić ci z moździerzy. Bo przecie moździerzowiec, to nie saper. Za cały sprzęt mieli — łopatki i kilofy. Wykucie tam w skale dołów na stanowiska plutonu moździerzy i to marnych dołów — bez dachów — wymaga dwu dni. Nie mają się gdzie schronić ci z moździerzy — już są ranni.

Wynaleźli tymczasem saperzy ścieżkę mułą, poprowadzili, przetorowali ją w serpentynę, po której będą mogły zjeżdżać łażiki z amunicją. W ciągu nocy ją wykończyli — mieli odejść



*Mjr Maculemicz*



*Por Jęczalik*



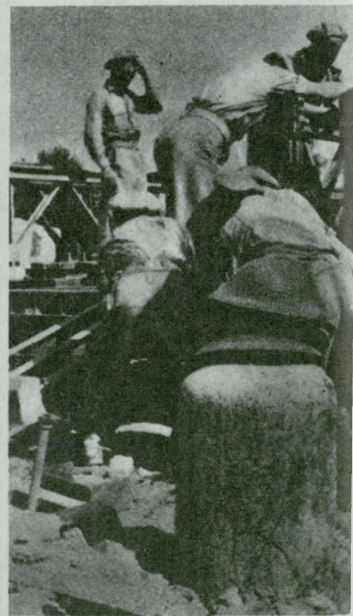
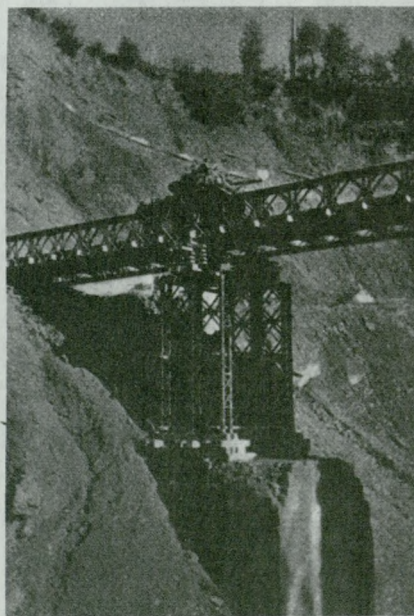




— popatrzyli na rannych i bez porozumiewania się poczęli coś majdrować. Patrzą moździerzowcy — a to schrony rosną, fajne schrony, kryte, z dachami.

Wychodzą, uznojeni, z jaru. Moździerzowcy za nimi wołają „Niech żyją saperzy!” Oczy chłopców błyszczą. Idzie taki czas, że jeden za drugiego w ogień wskoczy. Jest wielkie szczęście przeżywać te chwile. Szczęście — na całe ciężkie polskie życie.

Przy tych wszystkich (a któż wyliczy wszystkie dłubaniny saperskie) robotach, humor ich nie opuszcza, jak i wszystkich





żołnierzy w te jakieś cudowne dni, kiedy człowiek do człowieka się uśmiecha, kiedy człowiek dla człowieka jest bratem, kiedy raptem po ambulatoriach oddziałowych jak uciął przestali się meldować chorzy — w obawie, że a nuż ich odeślą do szpitala i przegapią — bitwę o Monte Cassino.

Wczoraj dowódca saperów Korpusu, płk Skąpski, nasłuchawszy się wtyskiwać żołnierzy na zbyt silnie chlorowaną wodę, spytał swoich saperów na stacji chlorowania, czemu tak mocno chlorują

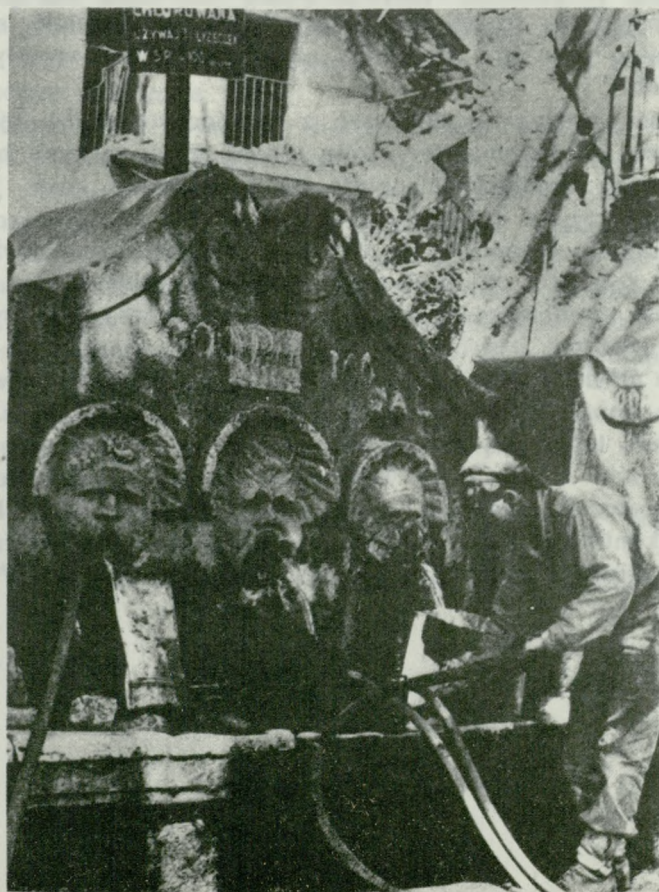
— Panie pułkowniku, nasze chłopaki nie mają prawa chlorować — więc hijem te bakterie. A po drugie, to chlor im doda więcej gazu

Ale gazu ani tamtym, ani saperom dodawać nie trzeba. Saper dywizyjny, wiadomo, jest narażony na najcięższe. A jeśli chodzi o saperów korpuśnych, to wielką część swych sił dali na saperów szturmowych, przydzielanych do oddziałów i jedną trzecią — do współpracy z czołgami.

Idzie bitwa, szumi w powietrzu bitwa. Wskazują mi ludzi, otrzymujących bitewne przydziały i uparcie wpatruję się w ich twarze: którego już z nich — nie zobaczę?



*Płk. Skąpski*



## (34) ŁĄCZNOŚĆ - UNERWIENIE KORPUSU

Prawdziwą bitwę zaczyna już łączność.

Pisząc książkę o kampanii wrześniowej, cóż mogłem pisać o kwatermistrzostwie, cóż mogłem napisać o łączności? Już po tej kampanii jej uczestnik dowodził mi poważnie, że właściwie najcelowsza łączność, to zwykła dwukółka, goniec i pies.

Pozwolę sobie zacytować ustęp z mojej "Sztafety":

"... Potem wraz z legionami wyruszył oddziałek telefonistów pod wodzą Żmigrodzkiego w sile dziesięciu ludzi. Niebożęła telefonisty miały Werndle jednostrzałowe bez rzemieni i ładownic. Portki więc im obciągały wyładowane po kieszeniach naboje, a z drutem też trudno się było pętać, mając ręce zajęte dźwiganiem przekłętego Werndla.

"Tę swoją drucinę jak relikwię przechowywano, miały bowiem ofermy druciarze wszystkiego trzy kilometry kabla. Rozpinali go po raz pierwszy we wsi Samsonowie. Ludność ciemna, zastrachana, przyglądała się z trwogą pudełku, z którego cosik gadało. Trzebaż, że zdarzyło się zaćmienie słońca. „Kobiety — pisze w swoich wspomnieniach płk Żmigrodzki — wybiegły na środek drogi, skupiły się w gromadę, siadły na piasku i, w głos zawodząc, pięćmi małynka okręcały dookoła siebie”.

Teraz, kiedy w rozmowach z dowódcami, widzę tę nieskończoną ilość elementów, które należy zgrać, różnych broni, które mają współdziałać, widzę, że to łączność spaja je w jeden precyzyjnie działający organizm.

Zgrać ten organizm, by przełamać amfiteatr — oto wielkie zadanie łączności. Rozbudowują połączenia telefoniczne, telegraficzne, radiotelegraficzne i radiotelefoniczne, sieć sygnalizacji świetlnej i sieć poczty meldunkowej gońcami — pod ogniem artylerii niemieckiej, która nęka najbardziej unerwione miejsca dobrze znanego sobie terenu.

Teren ten widzą zresztą jak na dłoni z wyniosłego bastionu Monte Cassino. Telefonista budujący linię nie potrafi obronić się wrażeniu, że oko wroga notuje pilnie każdą stację kontrolną, ba — każde nawet zawieszenie kabla na niskiej oliwce i potem przemyślnie kładzie w nocy ogień arty-





lerii i moździerzy na nerwach dowodzenia. W nocy, gdy tak trudno jest znaleźć i naprawić przerwę.

Cała ta ziemia, z której dopiero spłynęli Niemcy, jest przesiąknięta sabotażem. Ale nigdzie nie przejawia się on tak natychmiast, jak w łączności. Jeszcze kiedy wylądowałem w Taranto — tak daleko od frontu — skarżono mi się na ciągłe zrywanie połączeń telefonicznych; sabotażysta, po prostu wtykał szpileczkę w przewodnik, robił połączenie, po czym z obu stron dopiłowywał szpileczkę tak, że nie znać było, gdzie tkwi.

Tu, pod frontem, mamy ciągle grubsze kawały.

Idzie patrol telefoniczny, okresowo sprawdzający linie. Gdzieś między winnicami spotyka dwóch cywilów, zapewne z pobliskiego domku-ruiny. *Bon giorno!* O kilkadziesiąt kroków dalej patrol pochyła się nad podejrzanym połączeniem linii i w tej chwili seria z broni maszynowej idzie mu koło uszu. Ale gdzie tu szukać tych cywilów po winnicach!

Górami, tam, gdzie biegnie najżywotniejsza arteria telefoniczna, przechodzą... chyba pasterze, kłóżby bowiem włączył się po tych halach. Ale telefoniści już wiedzą co to znaczy, biegną zadyszani pod górę: do linii telefonicznej dołączony cienki, trudno widoczny, drucik, znajdujący się pod kamieniem. Już nie muszą zgadywać, wiedzą, że tam leży gruba i pozornie bezduszna mina.

Nieprzyjaciół „wisi” na naszych liniach, włącza się do nich udając naiwniaka, komunikuje, że „szyfr gdzieś nam się zadział” i prosi o podanie wiadomości tekstem jawnym, często dekonspiruje się i, po prostu, grozi, chcąc podkopać morale żołnierza. Parę dni temu koło St. Pietro telefonista, próbując, gdzie linia zerwana, szedł na przełaj, prowadząc ją w rękę: oto już jest blisko przerwy, bo przewód luźno zwisa. Szarpnął nim odruchowo i spowodował wybuch pułapki, założonej o 20 — 30 kroków przed nim.

Łącznościowcy Karpackiej słyszą pytanie:

— Która godzina?

Podali.

— Czy wam się nie znudziło wciąż naprawiać uszkodzeń — pyta głos — bo nam się nie znudzi rwać.

W pewnym miejscu purpurowej od maków i szurpatej od



min doliny Rapido stoi samotny domek za murkiem, w którego bramie wymalowano *al fresco* figury świętych. W domu mieszkały dwie wesołe dziewczynki, które nasi poprzednicy chętnie tolerowali. Były to w całej peryferii po tej stronie Rapido dwie jedyne cywilne istoty, którym widocznie pozwolono się ostać ze względu na użyteczność publiczną i przydatność dla celów wojennych.

Podejrzliwość polska spostrzegła, że na tym tak ostrzeliwanym przez tyle tygodni skrawku doliny ani jeden pocisk nie padł na wesoły domek. I niebawem obie donny z wielkim zawroźdzeniem musiały się wysiedlić.

Żołnierz, który tkwi w łączności i płaci już teraz potem i krwią za pomyślność nadciągającej bitwy, to jest nasz własny produkt, produkt wojska na wygnaniu. Kadra instruktorska wytworzyła się z dawnych oficerów i podoficerów, ale żołnierz był to przeważnie rolnik z Kresów, nie mający żadnego technicznego otrzaskania. Kadra — podejmując służbę na angielskim sprzęcie i na angielskich regulaminach, nie znała angielskiego. Przystanie 50 — 60 łącznościowców z Anglii i z brygady Karpackiej na około 5.000 ludzi było kroplą w morzu. A jednak zapał i żywiołowa wprost chęć uczenia się i szkolenia się zrobili swoje.

Celowali junacy. Widziałem w Mena u stóp Piramid tych 14 — 16 letnich chłopców, przechodzących siedmioletnie wyszkolenie ogólne w zakresie ostatnich klas szkoły powszechnej oraz podstawowe wyszkolenie łącznościowe. Stary majster demonstrował manipulację, palce jego robiły cuda;







otoczenie — szereg zadartych perkatek nosów — chłonęło tę naukę w upojeniu, z przejęciem — że już nic ważniejszego być nie może.

Kiedy postano ich pierwszą partię do wojska, do Quisil Ribat, co trzeci jąkał się, starając się stwierdzić basem, że ma już siedemnaście lat — co często było najwyczajniejszą lipą.

Wkrótce, porozdzielani między baony, stali się oczkiem w głowie każdego dowódcy, a słowo „junak” — najlepszą rekomendacją.

Teraz — to już wytrawni żołnierze, ci chłopcy, którzy w normalnej ojczyźnie kopaliby piłkę i marzyli o rowerze. Na zapyłonych drogach z oszalałych motocykli surowym błyskiem spod okapów hełmów migają ich oczy. Tydzień temu padł pierwszy żołnierz łączności w rozpoczynającej się bitwie o Cassino, — były junak Żak Anatol, prowadzący konwój mułów ze sprzętem łączności pierwszej brygady. Po nim padł b. junak Kłopotowski, sierota, garnący się do przełożonego jak do ojca. Kilku już odesłano do szpitali.



*Strz. Żak*

*Strz. Kłopotowski*





Pracę łączności trzeba było przerobić od nowa. Amerykanie, Anglicy, NZelandczycy i Hindusi kolejno rzucali swe linie dość beztrąsko na przydrożne oliwki lub nawet, po prostu, na ziemię, co utworzyło w sumie fantastyczne girlandy lub sieci pajęczne nikomu już na nic niepotrzebnych linii. Ludność miejscowa, wysiedlona tylko z bezpośrednio bliskiego rejonu a nawet własni (alianccy) kierownicy wycinali z tych linii dowolne odcinki kabla na swój własny domowy użytek. Wyznać się w tym było nie sposób. Serce polskiego żołnierza łączności, wychowanego w ubogiej Polsce w kulcie oszczędności i poszanowania sprzętu, zamierało po prostu ze zgrozy na widok takiego marnotrawstwa i nonsensu technicznego.

Należało wszystko budować od nowa; należało odsunąć się od ostrzeliwanych dróg.

Należało, przede wszystkim, zabezpieczyć linie poprzez „kanał La Manche”, linie między przedmościem a zapleczem. Po wielkich staraniach sprowadzono amerykańską maszynę do kopania rowów kablowych. Saperzy dociągnęli ją pod samą Karpaczką i z dużą emocją przystąpiono do prób. Stalowy stwór hałasuje za stu, lecz robi za jednego — 200, najwyżej 300 metrów wydoła w ciągu nocy. Zresztą takie hałaśliwe bydło Niemiec wnet przyuważy. Nie ma co — wrócili do ręcznej pracy.

„To nie trudno pokazać kierunek na mapie — mówił mi dca łączności Korpusu płk Zaleski — lecz gdy się spojrzęło na urwiska, progi i wyniosłe szczyty, kryjące swe czoła w chmurach i mgłach, gdy się pomyślało, ile min i pułapek zdradzieckich kryje się w żłobach, najdogodniejszych jeszcze do podejścia, to doprawdy odwagi zaczynało brakować. Ale korzyści, jakie dadzą linie przeciągnięte wbrew oczekiwaniom nieprzyjaciela, przeważały”.

Partie rozpoznawcze w ten dziki zaminowany teren poprowadził kpt. Komolibus. Po czym pociągnęły zespoły telefonistów. W tych stromiznach nie można było przewozić sprzętu. Ciągnęły się, siejąc potem, mrówki ludzkie przygniecione ogromnymi bębami kabla, schodzili od ścieżek, bo, wiadomo, im dalej od ścieżki, tym kabel bezpieczniejszy; a za ścieżką — miny; macali ostrożnie — kutym butem, szpilką saperską, wzrokiem podejrzliwym — każdy kamień; staczali



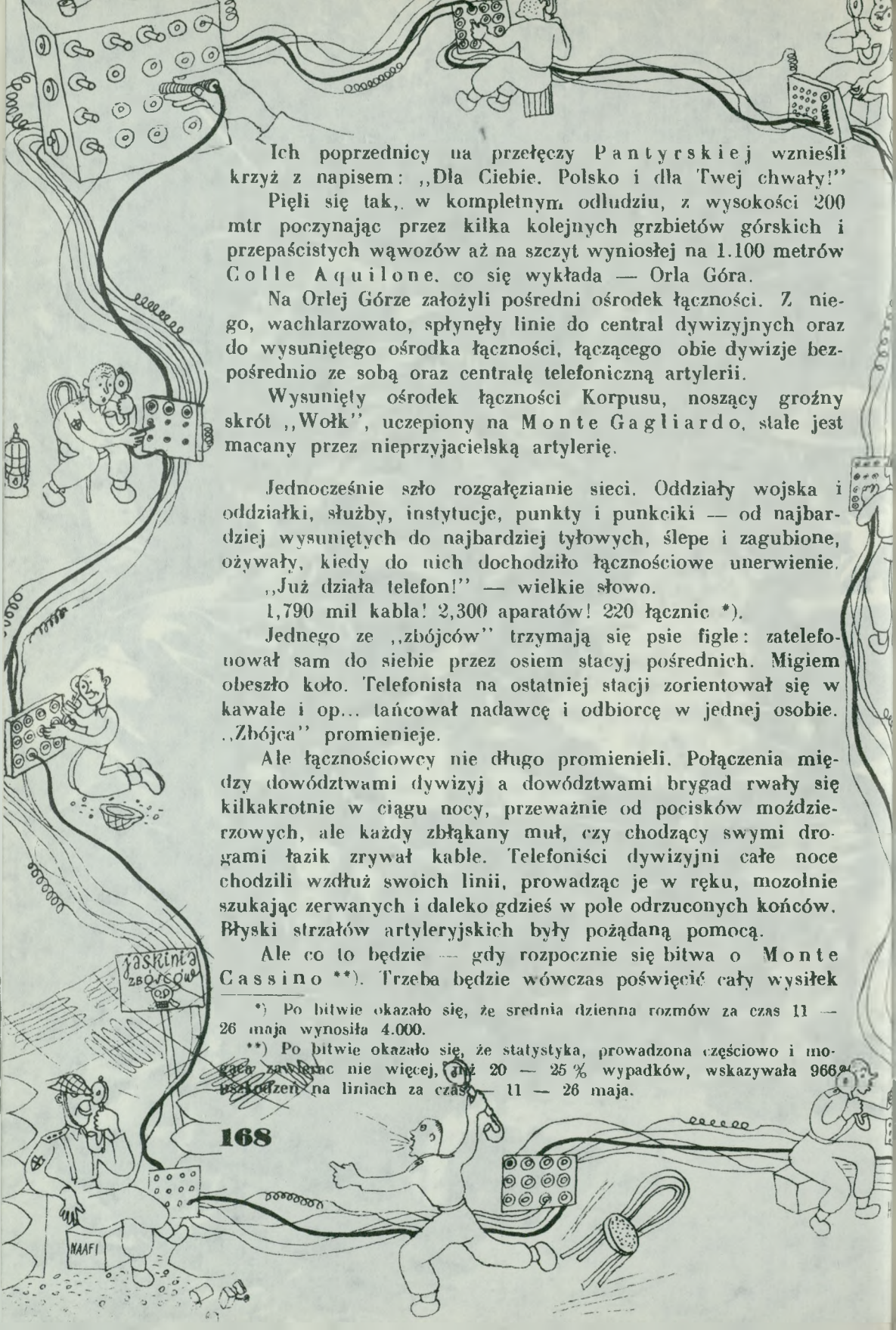
Płk Zaleski



się, wraz ze swymi belnami z osypisk; wytryskał z tej pracy,  
godnej niewolników, młody śmiech; nie tajga to, nie tundra,  
nie *lesozagłębka*, nie *priski* — tylko żołnierski trud.







Ich poprzednicy na przełęczy Pantyrskiej wzniesli krzyż z napisem: „Dla Ciebie. Polsko i dla Twojej chwaty!”

Pięli się tak, w kompletnym odludziu, z wysokości 200 mtr poczynając przez kilka kolejnych grzbietów górskich i przepaściwych wąwozów aż na szczyt wyniosłej na 1.100 metrów Colle Aquilone, co się wykłada — Orla Góra.

Na Orlej Górze założyli pośredni ośrodek łączności. Z niego, wachlarzowato, spłynęły linie do central dywizyjnych oraz do wysuniętego ośrodka łączności, łączącego obie dywizje bezpośrednio ze sobą oraz centralę telefoniczną artylerii.

Wysunięty ośrodek łączności Korpusu, noszący groźny skrót „Wołk”, uciepiony na Monte Gagliardo, stale jest macany przez nieprzyjacielską artylerię.

Jednocześnie szło rozgałęzianie sieci. Oddziały wojska i oddziały, służby, instytucje, punkty i punkciki — od najbardziej wysuniętych do najbardziej tyłowych, ślepe i zagubione, ożywały, kiedy do nich dochodziło łącznościowe unerwienie. „Już działa telefon!” — wielkie słowo.

1,790 mil kabla! 2,300 aparatów! 220 łącznic \*).

Jednego ze „zbójców” trzymają się psie figle: zatelefonował sam do siebie przez osiem stacyj pośrednich. Migiem obeszło koło. Telefonista na ostatniej stacyj zorientował się w kawale i op... tańcował nadawcę i odbiorcę w jednej osobie. „Zbójca” promienieje.

Ale łącznościowcy nie długo promienieli. Połączenia między dowództwami dywizyj a dowództwami brygad rwały się kilkakrotnie w ciągu nocy, przeważnie od pocisków moździerzowych, ale każdy zbłąkany muł, czy chodzący swymi drogami łazik zrywał kable. Telefoniści dywizyjni całe noce chodzili wzdłuż swoich linii, prowadząc je w rękę, mozolnie szukając zerwanych i daleko gdzieś w pole odrzuconych końców. Błyski strzałów artyleryjskich były pożądaną pomocą.

Ale co to będzie — gdy rozpocznie się bitwa o Monte Cassino \*\*). Trzeba będzie wówczas poświęcić cały wysiłek

\*) Po bitwie okazało się, że średnia dzienna rozmów za czas 11 — 26 maja wynosiła 4.000.

\*\*\*) Po bitwie okazało się, że statystyka, prowadzona częściowo i mogąca zawierać nie więcej, niż 20 — 25 % wypadków, wskazywała 966 uszkodzeń na liniach za czas 11 — 26 maja.



łączości w dół od brygad, należałoby mieć spokój z liniami na tyłach.

Wobec tego obie dywizje przystąpiły do zakopywania kabla.

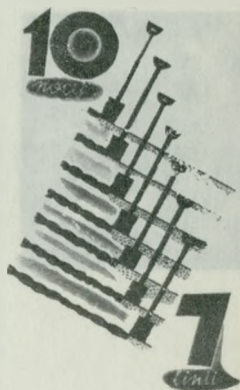
Karpacka — nie otrzymała po poprzednikach ani jednej zakopanej linii. Pomogli przeciwpancerniacy, którzy teraz są bezrobotni. Noc w noc 80 przeciwpancerniaków zakopywało siedem linii telefonicznych na sztych łopaty głęboko pod ziemię. Wydajność ich szybko wzrastała, chociaż nie było „normy” i kilku gatunków kotłów \*). Przeciwpancerniacy — stachanowcy poczeli od 400 mtr w ciągu nocy i doszli do tysiąca.

Kiedy linia biegła po litej skale, obkładano ją workami. Tak doszli do pół minowych nad Rapid o. Dziesięć nocy posuwali się na kolanach, kłując grunt bagnetami przed sobą. Pięciu rannych im tam wyleciało na minach. Jeszcze ostatniej nocy, dziesiątej, usunęli szesnaście min. Ale kiedy zaświtało, ostatecznie, odgięli karki: cała wiązka kabli była zakopana, cała wiązka kabli była przeprowadzona przez pole minowe.

Wielkie trudności dają odgałęzienia ostatnie: dowódcy baonów, obserwatorzy artyleryjscy, obserwatorzy moździerzowi. Skala, pokryta lekkim nalotem mchów, nie zezwalała na zakopywanie linii, workami ich obkładać nie było można. Tu już należało, bez żadnych cudów, kłaść linie po nocy gdzie Bóg dał, zdając się na własną intuicję, a raczej na szczęście. Ciągłe tu muszą pracować patrole uprawcze, składające się ze względu na brak ludzi zwykle z jednego telefonisty. Sam jeden, w ciemnej nocy, obsypywany okruchami kamieni, ogłuszany pobliskimi wybuchami, pracuje pod kontrolą własnego sumienia.

Radio — milczy. Gdyby radiostacje pracowały — nieprzyjaciel mógłby wykryć i określić ich położenie. A nadto, włączając się w sieć, mimo wszelkich kodów i ostrożności mógłby się czego dowiedzieć. Wystarczyło, by usłyszał język polski, a już wszelkie przemyślnie sposoby ukrycia obecności oddziałów polskich mogły pójść na marne. Zastosowano jedyne skuteczne choć radykalne lekarstwo: radiostacje (a jest tego

\*) W swej pracy niewolniczej w Rosji — otrzymywali jedzenie mniej lub więcej głodowe (a więc przydział do odpowiedniego kotła) w zależności od odrobionej pracy.





ponad 2,100 różnych typów, samych ładowni akumulatorów jest do 700) — zamknięto na cztery spusty.

Oddział radiotelegrafistek i szyfrantek w Venafro, bombardowanych raz po raz z powodu bliskości lotniska, kiedy im zaproponowano parę dni odpoczynku głębiej na tyłach, jako, że jest cisza radiowa — przyjął to jako kiepski żart. A co będzie, gdy ich nagle będzie trzeba? Kto tam baby przegada — zostały.

Radiostacje wyciągnięto z pięknych samochodów stacyjnych, wmontowano do schronów, maszty antenowe ukryto w laskach oliwnych i kazano nasłuchiwać w określonych terminach, ale, broń Boże, nie gadać.

Raz się zdarzyło, że przerwano ciszę radiową. Niemcy zrobili mocny wypad na południowe skrzydło odcinka polskiego. Pod odłankami pękły linie, jakby były ze szkła. Nie było rady trzeba było uciec się do radia. Dwóch oficerów więc, jeden z odcinka atakowanego i drugi w sztabie, rozpoczęli rozmowę... po angielsku. Jakoś im nie wychodziło, więc przeszli na niemiecki... Jeszcze gorzej! Próbują francuskiego, wreszcie — do diabła, nie ma czasu!! — walą po polsku.

Szczęście czuwało — Niemcy nie usłyszeli.

Za to gońcy śmigają po wszystkich drogach jak oszalali. Z mojej „jaskini zbójców” widzę raz po raz, jak wypada taki wirazem od *Acqua fondata*, by w jednej chwili zniknąć w wąwozie *Inferno*. W te dni przeciętnie goniec robi ponad 900 klm drogi dziennie \*). I żadnych wypadków!... Żadnych wypadków i u „diabłów” — transportowców, w łazikach, które się pozmiały w kozice skalne. Wszystko nagle w Korpusie wytrzeźwiało, wyzdrowiało i podciągnęło się. Bo bitwa — nadchodzi.

\*) Okazało się po bitwie, że za czas od 11 — 26 maja przewieziono listów rejestrowanych 26,710, nadano i otrzymano 7,631 telegramów. Ilość przesyłek zwykłych przez gońców nie na ewidencji.





Należy przyznać, że pod względem wojskowym mieliśmy całą życzliwość i całą pomoc aliantów, na jaką tylko było ich stać. Wytworzył się stosunek pasji sportowej. Wszak już trzy razy Klasztor oparł się atakom. Poza wszystkimi wielkimi słowami — *duty, operation, collaboration* — itd. był to stosunek do zapaśnika mającego wejść na ring i rozegrać *match* o światowym rozgłosie. Każdy takiemu chętnie muskuły pomasuje, albo powachluje ręcznikiem, albo poleci w drugi koniec miasta, byle przynieść takie akurat rękawice, jakie się pięściarzowi zamarzyły.

Nastali nam czekanów, służących do pogłębiania dołków indywidualnych, uskarżaliśmy się bowiem, że po poprzednikach pozostały zbyt małe dołki. W dążeniu do ukrycia jak najbardziej naszych ruchów przed okiem nieprzyjaciela — przystali nam 7,000 ubrań maskowniczych.

Teren jest górski, poprzecinany jarami i ostrymi graniami; trzeba będzie zdobywać krużganek po krużganku jak w Saragossie; dowództwo Korpusu przewiduje, że nic tu artyleria nie wskóra, że należy mieć moździerze, które mają stromy tor strzelania. Mieliśmy tylko moździerze trzycalowe (nie licząc dwucalówek idących do natarcia z piechotą). Wiadomo, że Niemcy mają ciężkie *moersery*. Zażądaliśmy 80 ciężkich moździerzy. Alianci je ściągali wszędzie skąd można: Gdzie tylko stał — w Algierze, w Tunisie jakiś ciężki moździerz (4,2 cala), niezwłocznie jechał do 2. Polskiego Korpusu. Ukwestowali 72. Dali nam obficie piatów — nowej broni do rozbijania czołgów.

Piat



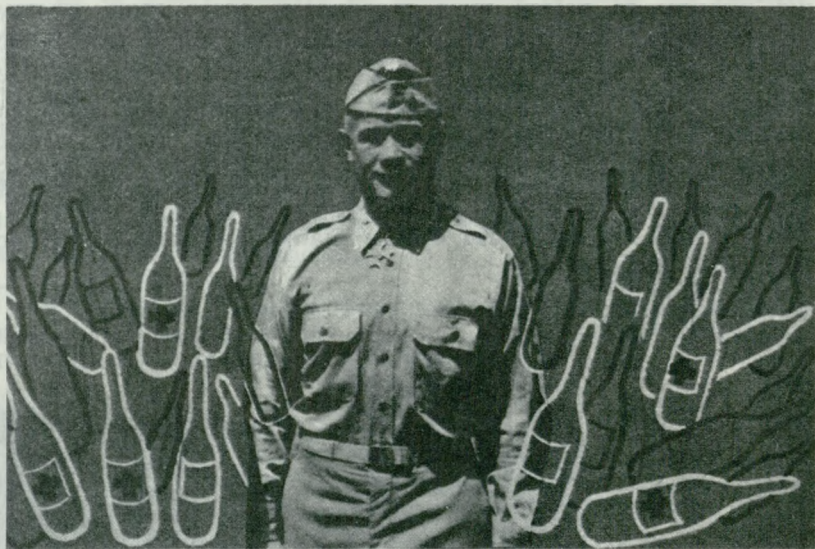
Miotacze płomieni mieli tylko Amerykanie. Dali wszystko co mieli — 18 sztuk. Była to nieoceniona broń do „czyszczenia” niemieckich schronów bojowych.

Najzabawniejsza rzecz zdarzyła się z ampułkami morfiny — tak niezbędnymi jako pierwszy zabieg uśmierzający ból.

Te ampułki zawierają zalutowaną dozę morfiny wraz z wysterylizowaną już strzykawką. Wystarczy, że byle kto, niewykwalifikowany sanitariusz, ułame czubek i może zrobić zastrzyk. Ampułki te przez Anglików były przewidywane tylko jako wyposażenie czołga.

Dowódca Korpusu prosił płk Szymańskiego, oficera łącznikowego armii amerykańskiej przy Korpusie, aby „wydobył” od Amerykanów 2,000 ampułek. Płk Szymański pomylił się o jedno zero i poprosił o 20,000 ampułek. Transport nadszedł niezwłocznie. Płk Szymański pamiętał, że prosił o jakąś okrągłą liczbę w dziesiątkach tysięcy, a tu jakoś cyfra wygląda inaczej. Idzie więc do gen. Andersa i mówi ze strapioną miną:

— Niestety, przysłali tylko 24,000. Czy mam reklamować?



Płk Szymański



## (36) WYWIAD I PRZECIWNICY

Kto stoi przed nami? Jak rozstawiony? Czym rozporządza?

Po wojnie sypną się rozmaite rewelacje o obustronnych wywiadach. Dziś — trzeba tylko po prostu kontentować się suchymi faktami, których, jakże niechętnie, udziela dwójka. Panowie ci, o których się powiada, że kiedy palą w piecu „tajne”, to na komin posyłają podoficera, aby dym łapał, z małą dozą przekonania przyjmują do wiadomości tłumaczenia, że już jestem jak przyaresztowany, że już mnie przed ręką stąd w świat nie wypuszczą itd.

Tym niemniej zaznajamiamą mnie z *Ordre de Bataille* nieprzyjaciela.

Pozycje przed nami obsadziła 1. niemiecka dywizja spadochronowa — oko w głowie armii niemieckiej. Składa się tylko z ochotników, przebranych co do wieku, stanu fizycznego, wyrobienia obywatelskiego, wykształcenia i stażu.

To ta dywizja spadła na Krecie na głowy Anglikom, to ona robiła zagony w stepy nadwołżańskie, to ona biła się pod Smoleńskiem, to ona broniła Sycylii, to ona tłowiła w rdzeniu zaciekłych walk pod Ortoną.

Dywizją dowodzi gen. Heydrich. Ma on tylko nasz odcinek na pieczy, który nadto jest obsadzony przez batalion 115. pułku grenadierów pancernych i samodzielny 4. batalion alpejski piechoty wysokogórskiej, obsadzający najwyższą część odcinka — stoki Monte Cairo.

Bataliony wysokogórskie są b. nasyczone bronią, samowystarczalne, mogące walczyć samodzielnymi grupami w dolinach poprzedzielanych grzbietami.

Spadochroniarze — to formacja specjalnie tresowana jak zwierzęta, sfanatyzowana do ostateczności, rzekłbym — zhaszyszowana. Buta i mistycyzm, okrucieństwo i rycerskość, brutalna żądza użycia i najsurowa, gdy trzeba, żołnierska asceza \*).

\*) *Przypisek po bitwie*: Wzięty do niewoli telefonista niemiecki powtarzał następującą podsłuchaną rozmowę gen. Heydricha z hrabiną Sissy v. Koenigsmark:



Są młodzi wiekiem, starzy doświadczeniem. Odwrotnie niż my.

Siłą ognia Niemcy rozporządzają mniejszą, ale doskonale uplasowaną. Rozporządzają 230 działami, a nadto na komunikacje nasze może strzelać 150 dział ciężkich (z Atiny). Nadto w Pignataro stoi pułk „nebelwerferów” — 40 potworów sprzężonych, sześciolufowych, rzucających „kufarki” 15 nawet 32 — centymetrowe.

No, a poza tym zatrzesienie moździerzy i broni lekkiej. To się ciągle zmienia.

I nad tym czuwa — rozpoznanie lotnicze.

— Drogi generale! — Jakże wyraźnie słychać — cieszy się hrabina, która telefonuje z Wiednia — kiedyż wreszcie... Kiedyż przyjedziesz?

— Jak przepędzę tych przeklętych Tomnich z Cassina.

— Ach, drogi generale! Mam nadzieję, że to niebawem nastąpi i że Opatrzność czuwać będzie nad wami!...

Hrabina Sissy jest wiedeńką, jest hrabiną i wierzy w Opatrzność. Hitlerowiec gen. Heydrich rok temu jeszcze chętnie by jej odpowiedział tak jak M-me de Sévigné swej córce: „Opatrzność jest po stronie liczniejszych batalionów”.

Inny jeniec opowiadał o scenie, której był świadkiem:

Gen. Heydrich towarzyszył mar. Kesselringowi, dowódcy frontu włoskiego, opuszczającemu po inspekcji Klasztor. Muł zaszedł drogę i auto obu satrapów musiało stanąć. Rozwścieczony gen. Heydrich kazał ukarać muła... trzydniową głodówką. Nie mam możliwości przekonania się, czy to zeznanie odpowiada prawdzie.



Spadochroniarz



Grenadier pancerny



Strzelec alpejski



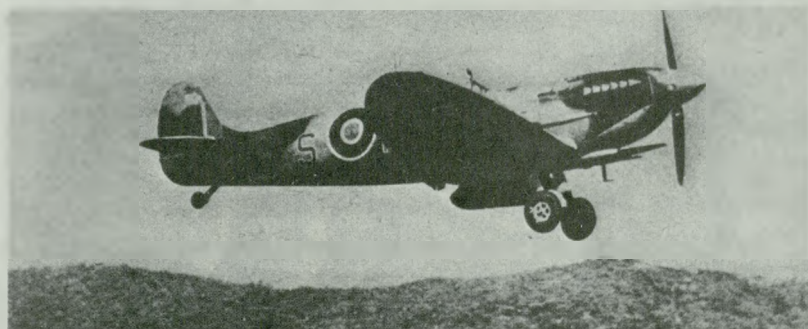
Ich wódz — marsz. Kesselring



## (37) ZAGLĄDAMY NIEMCOM DO GARNKA

Nad terenem stale, jak leniwe jastrzębie, wiszą samoloty obserwujące. Ta „krowa”, jak ją nazywają żołnierze, posuwa się ogromnie powoli, niemal stoi w miejscu. Biedna bezbronna krowa, umykająca natychmiast, skoro na horyzoncie ukaże się myśliwiec nieprzyjacielski. Ale tej krowy boją się baterie niemieckie; milkną, jakby wody do luf nabrały, gdy tylko cień „krowy” padnie na stoki, na których mają swe stanowiska; w przeciwnym bowiem wypadku mściwa „krowa” sprowadza na nie ulwę pocisków.

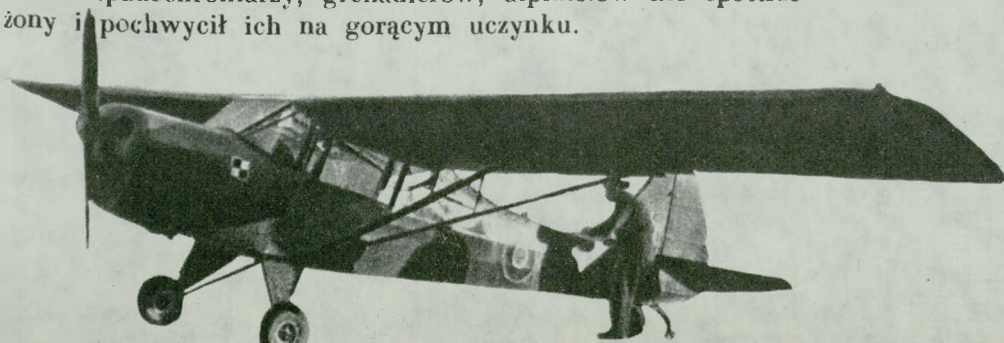
Ale inne ciche i niezbrojne niebezpieczeństwo czyha na Niemców z powietrza. To idące na wielkiej wysokości od 7.000 do 10.000 metrów aparaty robiące zdjęcia. Dźwigają potworne kamery, po metrze, a nawet po dwa metry długości. Spitfiry



dźwigają po dwa, Mosquity po cztery aparaty, a nadto każdy z nich — aparat do zdjęć skośnych. Klatka przez nie zdjęta pokrywa przeważnie dwa kilometry terenu. Zdjęcia są natychmiast powiększane.

Siedzę w sekcji interpretacji zdjęć lotniczych. Takie sekcje są przy Korpusie i przy każdej dywizji.

Na stół mi kładą stosy, stosy... Na razie nie rozróżniam nic — poza ogólnym wrażeniem, że te masywy górskie zbliżyły się ogromnie. Czuję bicie serca — jakbym tam wszedł w te obieże spadochroniarzy, grenadierów, alpinistów nie spostrzeżony i pochwycił ich na gorącym uczynku.









Uprzejmy oficer podsuwa na czterech metalowych nóżkach dwa szkła stereoskopowe. Natychmiast uwypukla się zdjęcie. Domy i drzewa stoją jak makietki. O! — część tego domu jest zawalona... Co to? Ach, to tak podziobana lejami łąka. A ten zerwany most jak wspiał się ostrą sylwetką w górę i jak rzuca ostry cień na wyschnięte łożysko. Ostro zatemperowany otówek wkrada się między te szkła i zdjęcia.



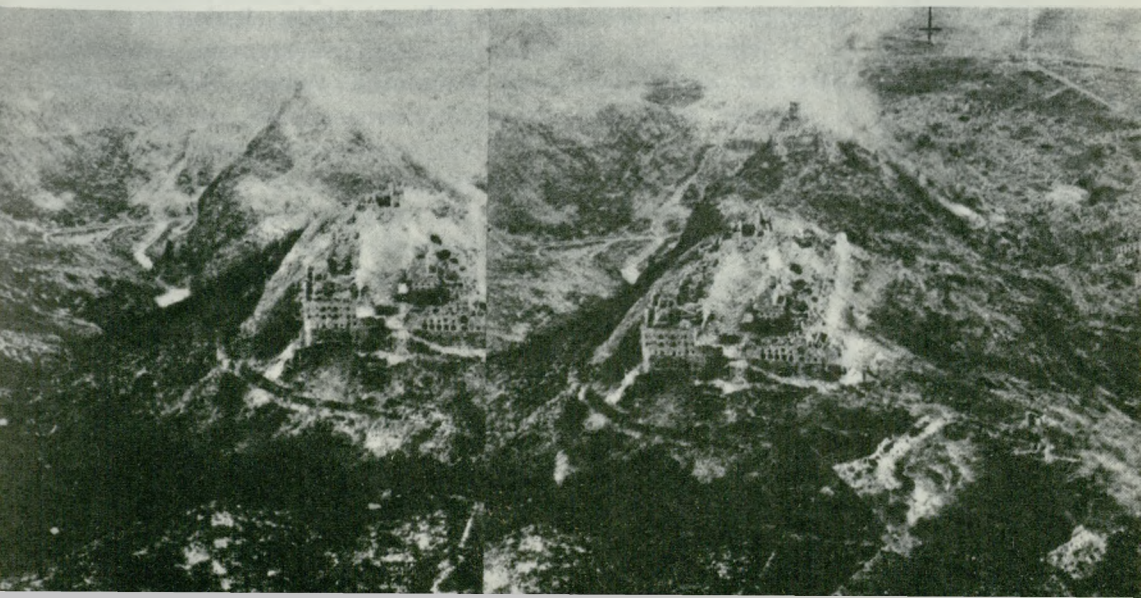
- Widzi pan?
- Ten czarny jakby okopek?
- To działo. A to pan widzi?
- Tę nitczkę z brzuszkiem?
- To ciężki karabin maszynowy.

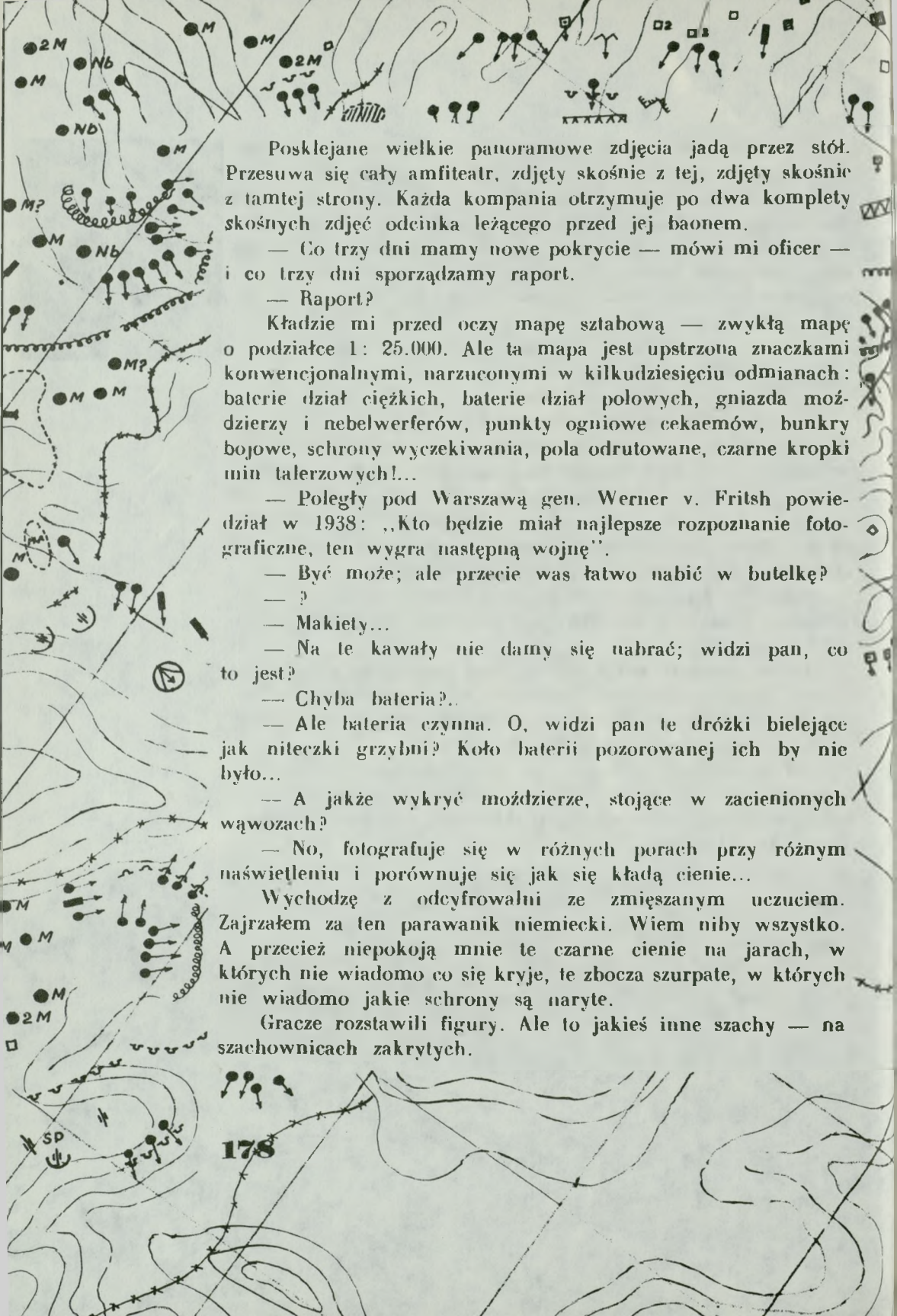
Znowu nie wiem, czy nie pokpiwają ze mnie. Ale przekonam się, że odcyfrowujący mają specjalną szkołę, specjalnie wyostrzony wzrok i umiejętność kojarzenia znaków terenowych w obrazy dające niemyślne syntezę. Nie ujdą ich uwagi żadne okopy, rowy, przeszkody z drutu — nie, co by mogło dać element dla ustalenia fortyfikacyj nieprzyjaciela.

Kabel telefoniczny, wiodący do jakiegoś domu, wróży dowództwo, ślady kół umożliwiają rozpoznanie stanowisk artylerii lub czołgów.

Lotnik koryguje swoje zdjęcia przez loty skośne — wówczas bierze z hoku profile terenu i zdjęcia te są bardziej plastyczne. Lotów skośnych dokonuje się z najniższego pułapu, przy wielkim niebezpieczeństwie dla samolotu.

Na ogromnych zdjęciach — jak żywy stoi Klasztor — kupa gruzów, ze szczątkiem ściany północnej, z obłymi zarysami podwórców, z trądem lejów, kikutami pościananych drzew. Tam... są... ludzie?...





Posklejane wielkie panoramowe zdjęcia jadą przez stół. Przesuwa się cały amfiteatr, zdjęty skośnie z tej, zdjęty skośnie z tamtej strony. Każda kompania otrzymuje po dwa komplety skośnych zdjęć odcinka leżącego przed jej baonem.

— Co trzy dni mamy nowe pokrycie — mówi mi oficer — i co trzy dni sporządzamy raport.

— Raport?

Kładzie mi przed oczy mapę sztabową — zwykłą mapę o podziałce 1: 25.000. Ale ta mapa jest upstrzona znaczkami konwencjonalnymi, narzuconymi w kilkudziesięciu odmianach: baterie dział ciężkich, baterie dział połowych, gniazda moździerzy i nebelwerferów, punkty ogniowe cekaemów, bunkry bojowe, schrony wyczekiwania, pola odrutowane, czarne kropki min talerzowych!...

— Poległy pod Warszawą gen. Werner v. Fritsh powiedział w 1938: „Kto będzie miał najlepsze rozpoznanie fotograficzne, ten wygra następną wojnę”.

— Być może; ale przecie was łatwo nabić w butelkę?

— ?

— Makiety...

— Na te kawały nie damy się uabrać; widzi pan, co to jest?

— Chyba bateria?..

— Ale bateria czynna. O, widzi pan te dróżki bielejące jak niteczki grzybni? Koło baterii pozorowanej ich by nie było...

— A jakże wykryć moździerze, stojące w zacienionych wąwozach?

— No, fotografuje się w różnych porach przy różnym naświetleniu i porównuje się jak się kładą cienie...

Wychodzę z odcyfrowalni ze zmieszonym uczuciem. Zajrzałem za ten parawanik niemiecki. Wiem niby wszystko. A przecież niepokoją mnie te czarne cienie na jarach, w których nie wiadomo co się kryje, te zbocza szurpate, w których nie wiadomo jakie schrony są naryte.

Gracze rozstawili figury. Ale to jakieś inne szachy — na szachownicach zakrytych.



## **(38) Z CIĘŻKICH P-PANCÓW-KOZICE SKALNE, Z LEKKICH - „ŻYDOWSKA ARTYLERIA”**

O zajrzeniu do garnka Niemcom zamarzyło się też — p-pancom.

Działka przeciwpancerne — cóż — stwór niezmiernie szanowany w pustyni Libijskiej; ale tu wszakci nie będą skakać po skałach. Zagnano bractwo do moździerzy (tych ciężkich, dostarczonych w ostatniej chwili) albo i zgoła na noszowych amunicji.

Kpt. Różański, patrząc na ciężkie p-pance, waży sobie coś w głowie, a waży.

Prawda, że jego pieszczołliwie zdrabniane „działko” p-pance, to kolos ważący dwie i pół tonny — o tonnę więcej, niż działko polowe (25 funtówka).

Ale w krwi p-pancowca leży ryzyko i podłżenie pod nos nieprzyjacielowi.

W tradycjach p-panców Karpackiej przechowuje się pamięć o S i d i - R e z e g h .

Kpt. Różański kręci głową. To nie do pomyślenia, żeby nagle — jego żołnierze odeszli od dział, reprezentujących taką siłę ognia i oddali się nagle karierze sanitariuszy i nosicieli amunicji.

Nad zadymianą doliną widnieją, szerniałe od wybuchów, ściany ruin klasztornych. Sciana północna wznosi się na dwa piętra, grotty, bunkry we wzgórzu klasztornym zioną ogniem, kpić zdają się z ataku, jakby je broniła Siła Nieczysta.

Łakomie pogląda na nie oko ciężkiego p-pancowca: gdybyż to podsunąć się do takiego, ot, czołga i dźnąć swymi siedemnaścifuntowymi pociskami, o szybkości początkowej 3.000 stóp, o strasznej sile przebicia. W Iraku robili próby: strzelali z odległości 1.200 metrów do żelbetonu grubego na półtora metra. Śladu po nim nie zostało.

— O takie syny! — wzdycha pożądliwie kpt. Różański, poglądając na wredną górę i rozpamiętywując iracki żelbeton.

Cyrkułuje do mjr Choroszewskiego, dowódcy 3. pułku p-panców, cyrkułuje od mjr Choroszewskiego do płk Peszka,



*Kpt. Różański*



*Mjr Choroszewski*

dowódcy 1. brygady, której sądzony jest atak na wzgórza otaczające Klasztor.

Uśmiecha się starym Karpatczykom impreza: wszak nasze chłopaki zasiadły się o kilkaset metrów od Klasztoru — ciężkie p-pance biją skutecznie i nad wyraz precyzyjnie na 3.000 metrów.

Tylko, że te chłopaki szkrabiają się nocami pod górkę, a p-panc to nie muł, kopytem macający ścieżkę, tylko bezwładna dwu i pół tonnowa masa.

Chodzą, przymierzają się, chodzą, przymierzają się...

A tożby się zaskoczyło szwabów nowym niespodziewanym elementem ognia!

Płk Peszek sugeruje chytrze:

— A gdyby tak się wciągnąć na 324?

29 kwietnia rozpoznaje teren mjr Choroszewski i kpt. Różański.

Wwindowali się na 324 — stanęli — w oczach aż czarno, serce bije. Bagatela — trzy kilometry skrętów pod górę: Najprzód — ścieżką mułą do cmentarzyka hinduskiego. A od



cmentarzyka — pod górkę przez głązy, bez ścieżki — jeszcze jakieś 800 metrów

Naturalnie — bezsensowne plany. Już muła ścieżka jest



węższa, niż rozpiętość podwozia ciężkiego p-panca. Poza tym sto innych przeszkód. Ale ta jedna przeszkoda wystarczy.

Zbyli marzeń i uspokoili się zupełnie. Wiaterek przyleciał z doliny — chłonał pot. Ciemno było zupełnie i cicho. Tylko zza nich z dołu dochodził cierpliwy chrobot wspinających się mułów. Była to pora codzienna niepisanego rozejmu — kiedy obydwie strony pobierały żywność.

Tętno obu p-pancowników uspokajało się i począł wychodzić zza Klasztoru księżyc; zaczerpnął kontur Klasztoru złą sylwetą; zagadała góra ogniem codziennym, niosącym śmierć, przyduszającym do ziemi...

— A gdyby wciągnąć na podwoziu z sześciofuntówki?

Poczęli schodzić, ogarnięci nową ideą... Musieli zwindowywać się z głazu na gład i za każdym takim gładem znowu im się pomysł wydawał mrzonką. Jak można myśleć o wprowadzaniu działa na węższym podwoziu, kiedy tu, te osiemset metrów od cmentarzyka i w bok od ścieżki i wózka dziecinnego by nie przepchał.

A kiedy schodzili już mułową ścieżką, mierzyli wysiłkiem mięśni 60-stopniowe spadki.

„W domu” już zastali młodzież szykującą się do Hannibalowych wyczynów przeprowadzenia stoni przez Alpy.

— Wózek dziecinny by nie przejechał? — powiadają — no to by go można przenieść.

Tak oto, świtaniem 30 kwietnia rozstrzygnięto w p-pancach problemat Kolumbowy — postawienia jajka sztorcem na stole.

I tegoż dnia nocą poszedł na rozpoznanie por. Ptasznik, dowódca 9. ciężkiej baterii.

Sądzę, że już na kredyt serce czytelnika wzbiera sympatią i jestem w prawdziwym kłopotcie, jak tu wybronić w dalszym ciągu mego bohatera.

Bo porucznik... proszę państwa... w cywilu... był emeszetowcem.

Pamiętam *sketch* w *Qui pro Quo*: facet przylewa się na ławce nad jeziorem do właśnie poznanego dziewczęcia; kiedy jest już w siódmym niebie, dowiaduje się, że dziewczę pracuje w kasie chorych — siup.. wrzucił ją do jeziora.

Cierpiętnicy wiz, zasiłków, zaświadczeń, paszportów, bram



Por. Ptasznik

zamkniętych, godzin urzędowych nie do utowienia, prasowanych portek, grassejowania, białych getrów i noszonych przy pogodzie *very fashionable* parasoli — dajcie kredyt temu emeszetowemu Szawłowi, którego przygoda wojenna przedziergnęła w pepancowego Pawła. Por. Ptasznik jest zwięzły jak działko p-panc i ma masywne czoło jak pocisk siedemnastofuntowy, a nad nim czuprynę gęstą jak wycior

No, bo posłuchajcie:

Pnie się por. Ptasznik na tę drugą noc i kombinuje; jużci, że dwie i pół tonny, to nie wózek dziecinny.

Wlazł na one 324, zagadał do niego zły Klasztor strzałami nebelwerfera. Gwiżdżą akustyczne figle przymocowane do ciężkich pocisków — przycupiło się wszystko w polskich okopach przed szaloną siłą miażdżącą, wyje i chichocze czort na Klasztorze, kręcąc uwiązaną do ogona kołatką — natrzęsa się z p-panców, którym kozicami być się zachciało.

Błysnęło ponownie z góry i błysnęło w głowie:

— A po cóż, u jasnej Anielki, turgać działo w całości?

Przefiltrowaliśmy się przez tyle krajów, że z każdego zebraliśmy po kwiatku do wonnego i, niestety, mocno powyyskubywanego bukieciku „turystów gen. Sikorskiego”.

— To już rozebrać działka nie można. nie? — zadaje sobie por. Ptasznik pytanie palestyńsku

Wraca do swoich. Sprawa dotacza się aż do chłopaków w baterii. Myślą, tchnąc ciężko, cierpliwym majsterskim pomysłem:

— Tarcza — to bajka — można odjąć.

— Wiele z tego będziesz miał — 200 kilo.

— Zawsze kaźden jeden szczegół mniej...

— Podwozie — tonna... Lufa?...

— 1200 kilo — przyłacza ważkim słowem ogniomistrz.

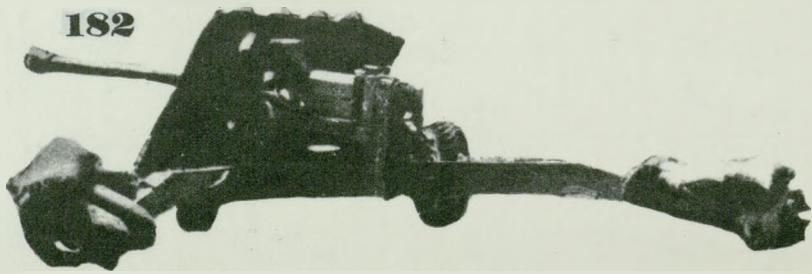
— A jakby obsadę odkręcić?

— Idźże, głupi!

Jeszcze nikt nigdy nie odkręcał obsady. To sprawa jakichś ciężkich warsztatów na tyłach. Dla artylerzysty — lufa i obsada to jedno.

Zasiadła im ta lufa z obsadą w głowie: bo to przecie obsada waży nie byle co — 400 kilo.

— To i co, że nikt nie odkręcał? A czy kto kiedy p-pance





pod górę wciągał? Będziemy próbowali działa wciągać, to możemy spróbować i obsadę wykręcić.

Odkręcili. Nawet ciężko nie poszło.

2 maja u podstawy wyjściowej zgromadziło się całe dowództwo i wybrana ekipa — 70 chłopca — po dziesięciu najbardziej krzepkich z każdej z ciężkich bateryj.

Podzielili się na trzy, zaopatrzone linami, partie, które stały: jedna na podstawie, druga zmiana w połowie drogi do cmentarzyka hinduskiego, trzecia zmiana, najsilniejsza, przy cmentarzyku hinduskim — tam, gdzie trzeba będzie pożegnać się z bantamami.

Dwa bantamy połączono linami. Na pierwszym bantamie położono zamek, na drugim obsadę zamka. Za drugim bantamem uczepiono podwozie sześciofuntówki i na nim złożono lufę. Podwozie właściwe siedemnastofuntówki i tarczę wciągnę się w drugiej turze. Bo przecie ścieżką idą muły z zaopatrzeniem dla dywizji. Tej nocy miało iść 400 mułów. Należy wyliczyć czas wciągania w pierwszej turze tak, aby osiągnąć cmentarzyk hinduski, nim muły dogonią. Należy po ich zejściu zdążyć z drugą turą tak, aby dociągnąć podwozie nim zrobi się światło.

A co zrobić, jeśli działko zatknie dróżkę na jakimś stromym zakręcie i nie da się przepchać? Przecie nikt tego wymierzyć nie zdoła \*).

Decyzja dywizji jest nieubłagana: nie będzie już można sprowadzać w dół z powrotem, bo muły się zatkną i zaopatrzenie dywizji nie dojdzie przed ranem. To jest niemożliwe. Jeśli nie będą mogli iść w przód, nie mają powrotu — działko mają nakazane zrzucić w przepaść.

Musieli doczekać księżycy, bo gdzież taki korowód za ciemna prowadzić. Zasiedli do kierownic najwytrawniejsi kierowcy — pchor. Wawrzyniak, rajdzista i kan. Pustuł (z umysłu nie pokazano im przedtem tej drogi, żeby nie stracili fajeru).

Kiedy już mieli ruszać, moździerze, zbudzone, jak zwykle, światłem księżycowym, pokropiły całe to przecięcie wstęgi, ale nikomu nie zrobiły nic.

\* Tak jak nikt nie zdołał zagwarantować, że szermany nie zawoźdzą Drogi Saperów i że nie trzeba będzie ich zrzucić.



Pchor. Wawrzyniak





*Spuszczanie pepanców  
po bitwie*

Zesiłowała się pierwsza partia, ciągnąca na linach łożek Wawrzyniaka...

... ruszył łożek Wawrzyniaka — wolno, wolniutko...

... wolno, wolniutko — naciągnęła się lina ku łożkowi Pustuła...

... ruszył łożek Pustuła — wolno, wolniutko...

... wolno, wolniutko — naprężyła się lina ku podwoziu sześciofuntówki z lufą...

... Przywarło się, pchając podwozie, dwu odważnych chłopaków hamulcowych — wspinaczka się zaczęła.

Kiedy łożki nie będą mogły wziąć skrętów i będą się musiały cofać i przysposabiać — powinni hamulcowi natychmiast hamować, by podwozie nie leciało w dół. Przy czym, naturalnie, zetrzeć ich może o ścianę.

Niedługo — pierwszy stromy zakręt — warczą w miejscu pracujące bantamy, natężają się karki ludzi, wyciągających niesamowity ciężar.

Nie może przejść!...

I na każdym zakręcie zziązani, ciągnący od podstawy ludzie, nadnoszą, nadrzucają bantamy i podwozia z lufą. Spieszą się, bo czas idzie, bo muły pójdą.

Co powie dywizja, jeśli będą musieli zrzucić działo?

I kiedy już słyszeli za sobą chrzęst setek kopyt — osiągnęli cementarzyk hinduski.



Zdjęli lufę, położyli z boku. Już się tu tak i tak bantamy nie przydadzą.

Spojrzeni po sobie — aż tu są wszyscy siedemdziesięciu. Tamte dolne partie widziały, że nie da rady i przyłączały się, ciągnąc dalej z partiami luzującymi. Ciągnęli linami długimi na dwadzieścia metrów. Kiedy były równiejsze odcinki drogi, kierowcy puszczali bantamy szybko, by nadrobić pędem przy braniu następnej stromizny. A zziązani ludzie z piersiami pracującymi jak miechy pomykali przed bantamami wąską ścieżką, by zaraz przy stromiznie, by zaraz przy zakręcie zaprzeć się w ciągnięcie, oblepić oba bantamy, podwozie; pchać, ciągnąć, wyszarpywać się z armatą pod górę w uniesieniu, w ekstazie głuchej, zamkniętej na wszystko.

Nic dziwnego, że zdziwili się, kiedy dopiero na cmentarzyku się ujrzeli — wszystkich siedemdziesięciu.

Schodzili, parując... Wyminęli muły, zeszl, podszadził się do podwozia siedemnastki (bo przecież z podwozia sześćofuntówki, na którym wciągnięto lufę, siedemnastka strzelać nie będzie).

Przy hamulcach uczeplił się pchor. Nienartowicz, chłop jak tur i maleńki, obsadzisty, zajadły jak szerszeń „Kubuś” (kan. Jakubowski).

Przy nadnoszeniu na ostrych skrętach — tonnę nadrzucać trzeba!

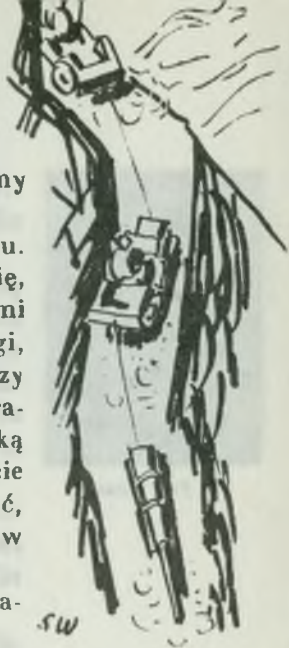
Jakaś piechota ich mija — patrzą z rewerencją: co za kolubryny tu nasi windują!...

Dopchnęli do cmentarzyka podwozie, czas znowu brać się do złożonej z boku lufy i do obsady.

Wepchnęli dragę przez dziurę obsady, tam, gdzie wielkie spirale śruby do zakręcania na lufę — podźwigali przez głazy na przelaj ciężar czterystokilowy.

A potem wlekli, ciągnęli, podszadzając dragami te osiemset metrów pod górę ośmioletkilowe cielsko lufy.

Kiedy wwindowali lufę i obsadę — ku świtaniu szło, należałoby roboty niechać. Ale korciło ich zostawić lufę zwartą z obsadą. Narychtowali — poczęli kręcić. Co za opowiadanie, że to robota ciężkich warsztatów — idzie jak po maśle. Aż po przekręceniu paru pierścieni — zacięło się. Chcą cofnąć z powrotem — nie poddaje się! Uczepliły się dragów co najtejsze chłopcy plus





Por Hess

„Kubuś” zajadły — nie idzie! Drzewo z drągów, na których niesiono obsadę, powłaziło w wyżłobienia mutry i zatartło się.

Na drugą noc wyciągnięto tarcze na stanowisko, wciągano podwozie. Ludzie działali więcej z rachunkiem. Dla wykręcenia obsady dostarczono z dołu szyny. Uczępiło się dziesięciu najsilniejszych, oczy im nabiegły krwią — zdawało się, że lufa rusza na milimetr, ale zdawało się tylko. Przepadł rachunek i kalkulacja — znowu wróciło uniesienie — aż zgięli szynę...

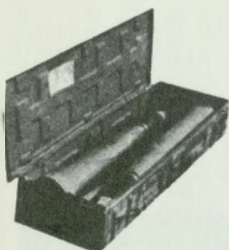
Na trzecią noc — zrezygnowawszy z wykręcenia lufy — wciągają jeszcze dwie lufy z niewykręconymi obsadami i jeszcze jedno podwozie do cmentarzyka. Znają każdy głąz, każdy zakręt, wypracowali zespoły i chwytły.

I na czwartą wreszcie noc — dociągnęli podwozie na stanowisko.

Klasztor w świetle księżycowym — stoi zaczarowany i groźny. Nie dojrzał ich. Przytulili działa do skał — nie założyli tarcz, bo te wielkie pancerze zbyt by się rzucały w oczy na szczycie. Działa pokryli płachtami ubłoconymi i zaschłymi. Oba działa leżą na wzgórzu 324 jak piaskowy wąż, nieodcinający się od skały i gotowy kasać. W dniu „D” — który idzie.

Ludzie też muszą powściąkać w teren, więc na piątą noc kopią sobie schrony na przeciwstoku. Wzgórze, na którym siedzą, jest obserwowane z Klasztoru, z Cairo, z Cifalco i ruch w dzień jest niemożliwy. Z boczków przycupił się pluton rozpoznawczy por. Hessa z 6. baonu.

Nocami noszą teraz amunicję — po pełnej jednostce ogniowej na działo — po 90 pocisków. Skrzynka z dwoma ładunkami waży 100 funtów. Z cmentarzyka noszą te pociski na plecach.



patrzy na sylwetkę  
zadymionej góry  
klasztornej



A kiedy już jest światło, ale Klasztor zadymiony, następuje ostatni akt — weryfikacja — zgranie osi lufy z przyrządami celowniczymi.

I już teraz — tylko czekają.

Tymczasem koledzy ciężkich p-pancerników, odkomenderowani w sześć baterij lekkich do moździerzy, przejęli te bezgwintowe rury z poczuciem despektu. Ktoś nazwał te moździerze „żydowską artylerią”, może przez analogię z nazywaniem gęsi żydowską świnią i kozy żydowską krową — i tak już ta nazwa została.

Niebawem jednak arystokraci p-pancowi spod Sidi-Regżeh zobaczyli nieocenione zalety moździerza w walce górskiej i nabrali do niego serca.

W jarze w dół na lewo od Drogi Polskich Saperów, o którym tylekroć wspominam, zagnieździło się pod dowództwem mjr Racięskiego 21 ciężkich moździerzy, 21 oficerów, 150 szeregowych.



Grupa ppancerców



Trudno mi wszystkich spamiętać — wiem, że byli kapitanowie Różański, Kania, Jandis, Pruski, poeta Kobrzyński \*) ten, którego poezje w tej książce cytuję, i wreszcie mój kuzyn pchor. Andrzej Wańkowicz \*\*).

9 września 1940 r. na statku „Warszawa” odchodzącym ciemną nocą z Mersyny, jakiś dryblas począł do mnie huczeć przez „stryju”.

— Andrzej! — ucieszyłem się.

Okazuje się, że przeszedł granicę węgierską, że Węgrzy czule ich przyjęli. Okrzykom „eljen” nie było końca, po czym . . . przerzucili ich z powrotem za granicę do bolszewików. Przeczekawszy w krzakach, poszli z powrotem ku Węgrom, zostali złapani przez tych samych Węgrów, którzy odszupasowali ich już bez okrzyków „eljen”. Pełznąć po raz trzeci — po raz trzeci odstawieni zostali na tę samą strażnicę.

— No i co? — pytam — nie ucieszyli się?

— Nie, stryju — huczy w ciemności z rozbijającą szczerością z dwumetrowej wysokości bas — po mordzie dali i znów odstawili do granicy.

Chłopak walczył w swoich p-pancach w Libii, by potem w Iraku dowiedzieć się, że ojca, byłego senatora i matkę Niemcy rozstrzelali, wyrzynając gości zebranych na weselu w sandomierskim, w Zbytniowie. Denuncjant Niemiec z całą rodziną zginął z rąk Armii Krajowej.

9 maja o g. 22 kpt. Różański, ppor. Krzyżtoporski i pchor. Drelich — wyprawili się na punkt obserwacyjny „żydowskiej

*Przypiski po bitwie:*

\*) Ranny 10 maja w głowę i ewakuowany do szpitala.

\*\*\*) Nagrodzony Krzyżem Walecznych po raz pierwszy za M. Cassino, po raz drugi za akcję adriatycką. Virt. Mil. Ranny nad rzeką Senio.



Ppor. Kobrzyński



artylerii” na przeciwstok tego właśnie 324, na którym tkwili w poczwazrzeni w ziemię ich koledzy przy działach skrytych pod pancierzami zaschłego błota na płachtach.

W tym miejscu na przeciwstoku był rozbity punkt obserwacyjny naszych poprzedników: butwiały krwawe koce i królowała tkwiąca w bucie noga ze strzaskaną kością.

Łącznościowiec, doprowadzający linie, ulitował się temu bytowananiu na krwawej palełni:

— Wybuduję umocnienia — powiedział.

O pół do trzeciej, zadowolony wielce, zameldował o ukończeniu dzieła. Obejrzeni to i zdębieli: na widoku Klasztoru wznosił się fajny mur z głazów, wielce foremnie wykończony i zdawał się filuternie powiadać:

— A kuku... a ja tu!...

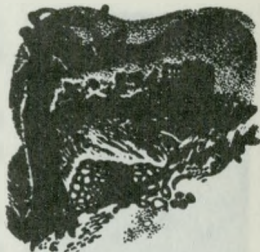
Klnąc na niedźwiedzią przysługę, z wielkim sapaniem i pośpieszaniem, by zdążyć przed świtem rozrzucali gorączkowo ten wyczyn budowlany o nader gustownej elewacji; tak, że kiedy wzeszło słonko, znowu ujrzało tenże sam but sterzcący kością w niebo na potrzaskanym przez pociski rozsypisku.

Spod buta jednak ukryty obserwator „żydowskiej artylerii” rozpoczął się przysrzeliwać. O 11,10. trzecim pociskiem umieścił się w murze klasztornym.

Klasztor nie był zwykły ciężkich moździerzy. Począł się trząść od huków — szukając gniazd moździerzowych i szukając obserwatora. Może tam coś z wyczynów architektonicznych łącznościowca zostało na powierzchni, a może tylko po prostu 324, na którym ciężcy p-pancowcy dosyć nachrobotali nocami — wydał się podejrzanym — dosyć, że popołudniu nebelwerfer rozwalił schron obserwatora, odziedziczony po poprzednikach i ściał drzewo.

Gdy rozwiął się dym, obserwator, który został nietknięty, zobaczył dwa trupy Włochów, którzy uciekali właśnie z Klasztoru w naszą stronę. Jeden z nich był przecięty w pół; jego pies wył przez dzień cały przy tym, co było jego panem.

Tak oto i p-pancowcy gotowali się do wojny. Kiedy przyjdzie „TEN” (dzień), zastanie ich przysrzelanych do 23 celów — cekaemów, zgrupowań moździerzy, wysuniętych punktów obserwacyjnych nieprzyjaciela.



### (39) OSTATNIA ODPRAWA W BRYGADZIE

Ciemnieje. Przez *Inferno*, cały dzień furkoczące motorami, poczyna iść piechota. To ci — na jutro...

Oddział przeznaczony na odcinek Kresowej odbywał marsz do frontu w dwóch nocach: w pierwszej dochodził marszem motorowym do *Inferno*, przez cały dzień siedział cicho przycupnięty pod zboczami, jucząc muły sprzętem ciężkim. Następnej nocy pieszo przekraczali *Rapido*, „desantując” na pole walki.

Pod wysoką ścianą siedzą cienie ludzkie. Tak kilka dni temu siedział tu 17. batalion i pocisk mu rąbnął 15 ludzi. Kto jesteście? To batalion 15. Gdzie oficerowie? Zaszli do namiotu oficera z transportówki.

Tss... sykają, kiedy się unosi płachtę. Bo w namiocie mży naftowa latarnia, a groźny cyklop — *Cairo*, zawieszony nad wąwozem, *Cairo* — morderca szpitala i tych z 17. BS. i ordynansa por. Wrońskiego, zabójca mułów, podpalacz składow — czuwa.

Czerwone wino ponalewane w szklauki w tym mdłym świetle nie prześwieca rubinowo, tylko czernieje jak skrzepła krew.

S. p. por. Jurkowski, wysłany przez baon o dzień wcześniej, aby rozpoznać nowe miejsce postoju w skalnej rozpadlinie, mówi wolno z namysłem:

— Jeśli nie ucieknę stamtąd, to będę bohaterem.

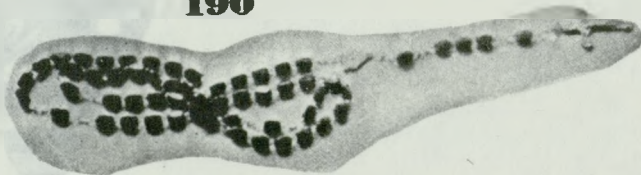
Por. Jurkowski — optymista. Por. Jurkowski, powtarzając swoje „bardzo doskonale”, kiedy stwierdzał coś przykrego. W rodzinie go nazywano — „bardzo doskonale”.

Trudno wyrozumieć, czy mówi przez niego trwoga, czy sprężona emocja, że stoi przed próbą, czy wizja bohaterstwa, czy przeczucie śmierci, czy, po prostu — zdaje kolegom relację z odniesionego wrażenia.

Gospodarz namiotu coś grzebie w kuferku.

— Masz — daje mu różaniec; moja dziewczyna dała mi w Polsce, kiedyś szedł na wojnę. Sądzę, że mogę ci dać, bo przecież...

I znowu nie wiadomo, co znaczy to „przecież”. Noc jest





pełna niedomówień. Dusze ludzkie pęcznieją jak ładowane akumulatory. Trwogą, czy bohaterstwem? Jutro z pierwszymi strzałami podniesie się kurtyna i zobaczymy.

Płachta namiotu się chybnęła — cienie wyszły. Sylwetki oderwały się od ściany. Żołnierz od żołnierza co kilka kroków — gęsiego poczęli sływać w dolinę.

Mjr Florkowski, szef sztabu Lwowskiej brygady, odznaczony za walki we Francji — też rusza. Teraz, za ciemna, dolina Rapido nie jest zadymiona i oliwki przydrożne migają kształtami nieokreślonymi. Od czasu do czasu huk trzaśnie, rzekłbyś, w łązik.

— To nasze baterie stoją po gajach — mówi major.

Artyleria niemiecka wali ze swej strony — na niewidzanego. Przypomina to zabawy podpitych oficerów kozackich z wojny rosyjsko-japońskiej, zwane „kukułką”. Każdy partner biegł kolejno wzdłuż ścian stodoły w ciemności i od czasu do czasu wołał „kuku”, a reszta dawała salwę z rewolwerów. Artyleria niemiecka, strzelając po 5 kilometrach kwadratowych tonącej w ciemności stodoły Rapido, ma jeden plus więcej; znają tu oni każdy kąt i są wstrzelani.

Pociski artyleryjskie rwą się od nas o jakie trzysta metrów w lewo; ruch jest jednokierunkowy i, zdaje się, obkładają tamtą stronę pętli drogowej. Bardzo gęsto kładą.

Żandarm na mijanym posterunku mówi głosem przyciszonym, jakby to coś pomogło

— Tam przed chwilą sześć położyli.

„Tam” jest właśnie na drodze do brygady. I właśnie w to miejsce są wstrzelani.

Ale łązik przejeżdża bez przeszkody. Niebezpieczne miejsce śmierdzi tylko rozkładającymi się — trzeba mieć nadzieję — mułami. Trzeba jak najprędzej przyasymilować powonienie do tego *Fleur de Cassino*.

Dróżką, która jest niby potokiem kamieni, wchodzi się w górę — do dowództwa brygady. Jest to jakiś dom postrzelany z jakimś tarasem na jakiejś górcie, w którym mieszkali jacyś ludzie. Wszystko tu już odtąd będzie nijakie, podobne jedno do drugiego, wszystko to będą — nie zasiedziane kąty, w których rodzili się, kochali i umierali ludzie — a współrzędne topograficzne wzgórze, znaki konwencjonalne. Droga, którą



Mjr Florkowski



Płk Nowina-Sawicki

jeździli ludzie do wiejskiego kościołka, okaże się nagle „drogą rokadową” (tzn. biegnącą równoległe do pozycji), a ścieżka, po której się wspinał młody człowiek, by narwać ukochanej kwiatów górskich — ścieżką mułową.

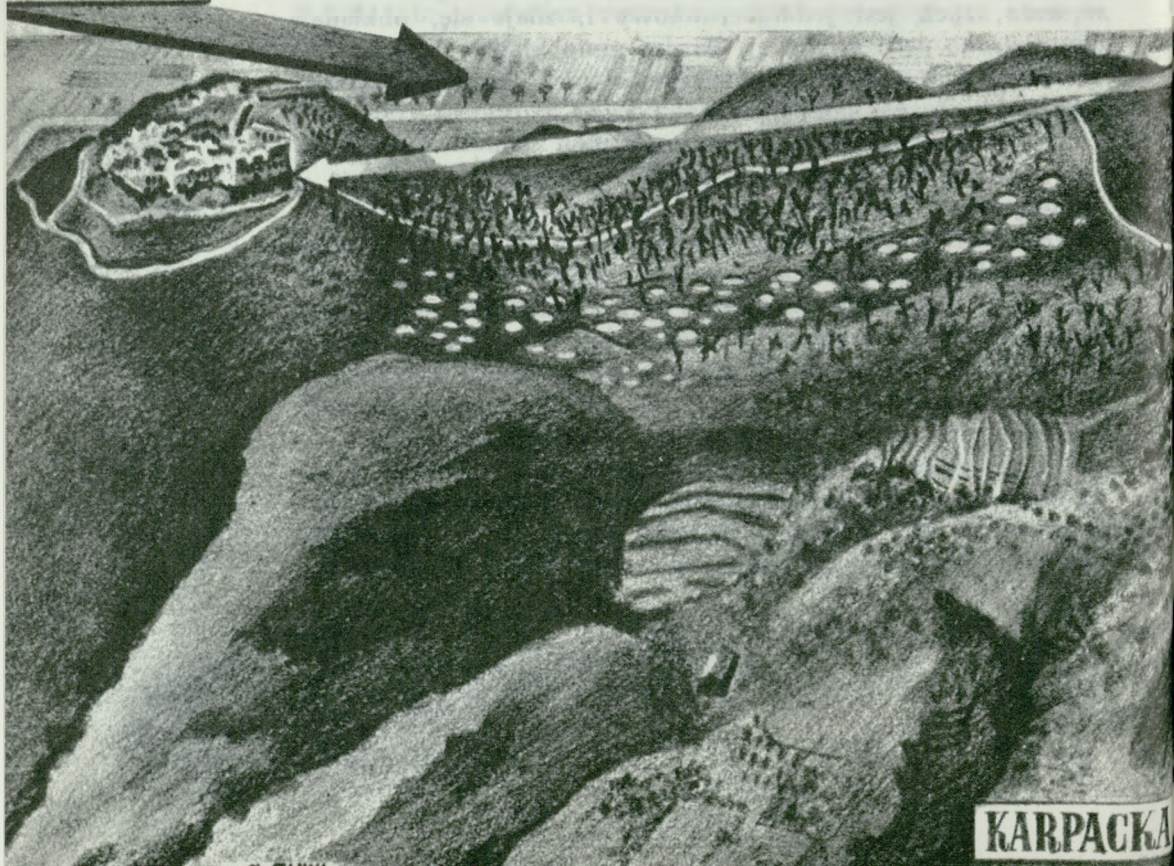
W mdło oświetlonej izbie, w kłębach dymu papierosowego — odprawa. Ostatnia. Przed jutrzejszym dniem.

Dowódca brygady, płk dypl. Nowina-Sawicki, siwy pan o rzymskim obliczu siedzi w tym swoistym *cenacolo* między dowódcami obu pułków ułańskich. Przed każdym — mapa upięta na desce, pokryta celofanem; celofan poznaczony różnokolorowymi kredkami. Siwy pan wykłada — jakby wykładał przed wojną u siebie — w Centrum Wyszkolenia w Rembertowie:

Oto — amfiteatr. Oto jego pierwsza linia obrony — będąca naszym pierwszym przedmiotem natarcia. Dwa w nim punkty pierwszego ataku: 593 — uderza nań 1. brygada Karpackiej i 575 — uderza (przez Widmo) wzmocniona 5. brygada Kresowej.

1. brygada Karpackiej rusza z Głowy Węża uderzeniem szerokim na 750 metrów, głębokim na 1,000 metrów.

XIII  
KORPUS  
BRYTYJSKI



KARPACKA



Brygada Wileńska ma szerokość pasa natarcia około 1,000 metrów, głębokość — 1,750 metrów.

1. brygada powinna opanować 593 zanim Wileńska zejdzie z Widma. W ten sposób uniknie się błędu poprzedników — którzy wskakiwali w ten kocioł nie zniszczywszy 593 i ginęli.

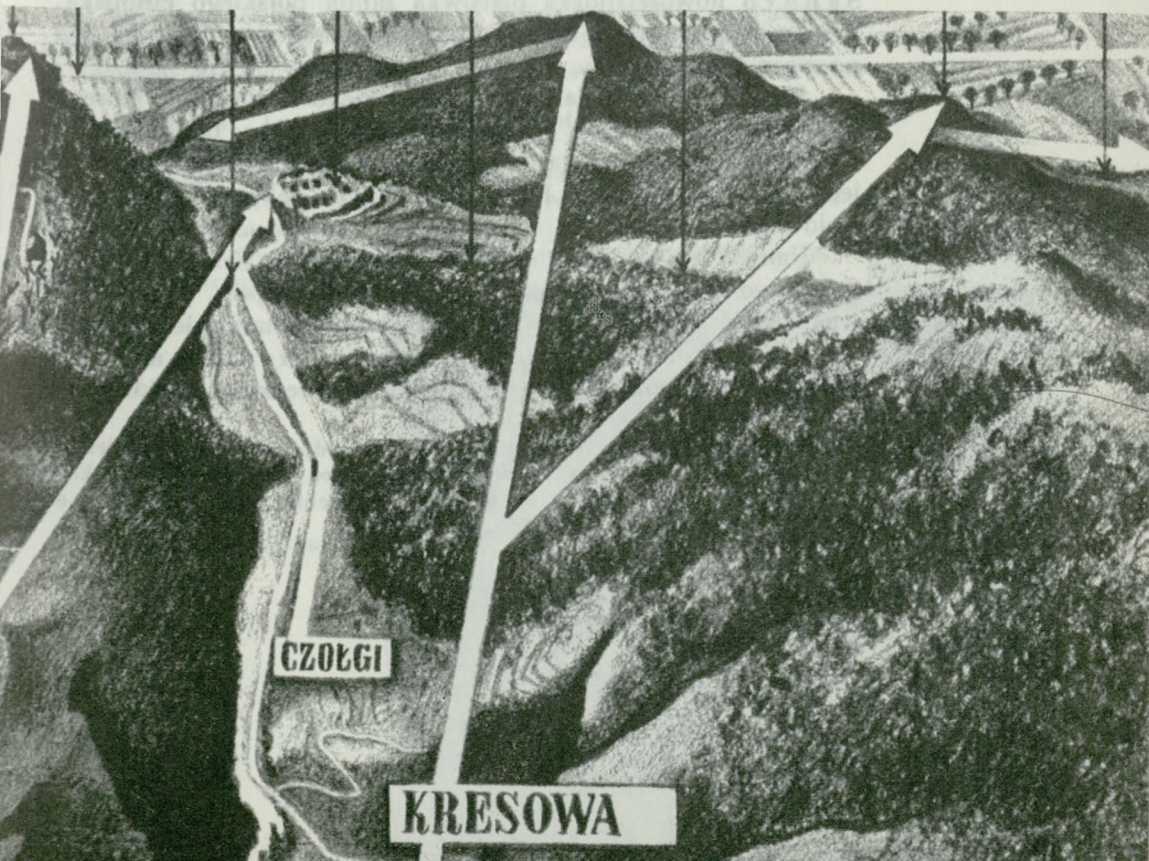
Natomiast na Klasztor, jako swój drugi przedmiot natarcia ruszy Karpacka świeżą brygadą dopiero wtedy, kiedy Kresowa umocni się już na swoim drugim przedmiocie natarcia — na St. Angelo, Winnicy, Balkonie.


Atak więc idzie na południową połowę odcinka zajmowanego przez Korpus, na połowę przylegającą do Klasztoru, nie rusza Passo Corno ani zboczy Cairo.

Zadaniem więc zgrupowania płk Nowiny Sawickiego będzie działania tamtych ubezpieczyć i osłonić przez utrzymanie obroną grzbietu Castellone oraz wiązanie źródeł ognia nieprzyjaciela na Passo Corno i grzbietu schodzącego z niego na południe.

Ubezpieczanie będzie czynne przez pozorowanie ataku \*).

\*) *Przypisek po akcji:* W czasie przygotowania artyleryjskiego, roz-





Równocześnie z wyruszeniem do natarcia 5. brygady, zostanie wysłanych osiem patroli demonstrujących natarcie.

Dermatograf dowódcy myszkować poczyna po szczegółach mapy; głowy się pochylają uważnie — rola zostaje rozpisywana na najdrobniejsze partie.

Na tarasie przed domem cienie uhelmionych ludzi — wartowników, kouwajentów, gościów, łączników. A pod tarasem w dole, a nad tarasem w górze — feeria!..

Mgły wiszą po dołach i taras wygląda jak dziób okrętu, prujący zaświatowe mistyczne morze. Na niebie wysoko zapalają się czerwone światła. To strzelają działa ustawione na wysokich szczytach. Światła zapalają się sobie, huk przychodził sobie. Świat jest jak bania nalana ciszą — po której biegają błyski i mruzcendo rozlega się jakiś ciągły szurkot.

W izbie obok, załoczonej łózkami polowymi, jest badany dezerterski niemiecki z 7. kompanii 200. pułku grenadierów. Pułk ten nie stoi bezpośrednio na froncie i dezerterski — Austriak-Hans Alter musiał iść długo górami. Minął niepostrzeżenie niemieckie, minął nasze placówki. Szczęście mu sprzyjało, bo taka placówka nieraz najprzód rąbnie, a już potem pyta. Nad Sangro nowozelandzka placówka zabiła polskiego chłopaka, przekradającego się z niemieckiego wojska do swoich. Już był po naszej stronie...

Dezerterski wszedł, z karabinem, do jakiegoś schronu, z którego dochodziły głosy. Nasze chłopaki, różące w karty, ochłonawszy, z triumfem go zafasowali i odesłali na tyły. Cenna to rzecz jeniec — przed samą bitwą, po długim okresie postu patrolowego.

Hans Alter ma gębę niedobłą o latających oczach. Obrzydził się, bo go raz po raz nabijano w butelkę z urlopem. Postanowił więc zrobić sobie urlop — do końca wojny. Starannie wyklada na stół wszystko co wie: że na skłonie Piedimonte, po którym przechodził stoi 6 rozbitych niemieckich moździerzów,

---

poczynającego nasz atak w 24 godziny po tej odprawie, nieprzyjacielska artyleria istotnie wykonała ogień zaporowy przed odcinkiem Lwowskiej brygady, co by wskazywało, że nieprzyjaciel oceniał wzgórze Corno jako przedmiot polskiego natarcia.



że o 6-7 kilometrów w tyle za Piedimonte stoi 15 dział 15-centymetrowych, że czołgi rozbite w poprzednich walkach Niemcy pozamieniali na pillboxy (stalowe schrony bojowe, z których prowadzi się ogień).

Odprawa tymczasem ma się ku końcowi: „no dobrze, a ten patrol?... A więc tu...”

Tak z wielkich koncepcyj światowego sztabu, synchronizowanych inwazyj, maskowanych operacyj i powiązanych działań — dnia tego, a raczej tej nocy z 10 na 11 maja, dotoczył się strumyk, już najdrobniejszy, do rozbitego domku między ruinami miasteczka *Caira*, a ścieżką mułową, która awansowała na Drogę Polskich Saperów i będzie figurowała w czytankach.

Teraz ten strumyk wsiąknie kropelkami — do szwadronów, do plutonów. Dowódcy wysuwają się cicho z odprawy i toną w ciemności. Idą pieszo do swoich oddziałów.

Mjr Kiedacz \* ma około dwu kilometrów, licząc terenowo, na *Castellone*, do swojego 15. pułku ułanów poznańskich.

Mjr Zakrzewski — około 800 metrów do swoich Karpatczyków.

\*) *Przypisek po bitwie*: Mianowany po bitwie pod Monte Cassino podpułkownikiem, poległ ś. p. Zbigniew Kiedacz 23 października 1944 r. Po kampanii wrześniowej odbytej aż do końca przy boku gen. Andersa, jako rotmistrz przyjeżdża do Rosji.

Przez Buzułuk, Iran, Irak, Palestynę, Egipt — dostaje się na szlak bitewny w ziemi włoskiej.

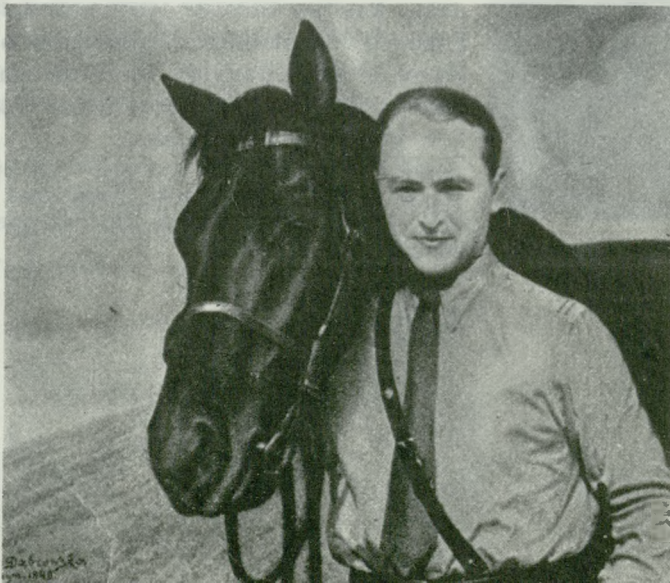
Ancona, Castel Emilio, Castel Fidardo, przeprawy Chienti, Musone, Esino, Cesano, Metauro, Foglia — oto szlaki odtworzonego na obczyźnie pułku ułanów poznańskich.

Wymagający dowódca, troskliwy przełożony, wzorowy kolega — zginął mając lat trzydzieści trzy.



Mjr Zakrzewski

Mjr Kiedacz



Rys. K. Dąbrowska

## (40) KARPACKI PUŁK CZUWA

Dowództwo pułku karpackiego, tak jak i dowództwo Lwowskiej brygady, mieści się w jakimś rozbitym murowańcu. Ludzie są powściągnięci w rozpadliny murowańca i w noc. Wartownik wita się ciepłym i znajomym głosem. Ależ tak, to pchor. Kawalec. Widziałem szczęśliwe przyjazdy urlopowe z Libii jego i brata do rodziców w Tel-Aviv. Brata wzięto do lotnictwa w Anglii, a tego drugiego nie chciano matce odbierać jako że dwóch synów razem do tej samej niebezpiecznej broni się nie bierze. Tamten pojechał do Anglii, pływał w morzu storpedowany po drodze. Ten, Zbigniew, został... w bezpiecznej, widać, broni \*).

Schodzimy nieco w dół, ku widmowym zwaliskom, które tak niedawno były miasteczkiem Cairra. Kamienista dróżka leży w ciszy i w poświacie księżycowej. Przez dolinę — grzbiet z pozycjami niemieckimi. Za dwie godziny będą szły tędy muły i grzbiet pocnie błyskać strzałami.

Ułańskie punkty obserwacyjne notowały w niektórych dniach od 500 do 1000 pocisków artylerii, moździerzy i nebelwerferów na rejon pułku.

Wchodzimy do murowańca. Na prawo — gołe dziewczynki powycinane z ilustracyj, uśmiechają się do nas ze ściany jako uparty protest przeciwko domom rozbitym, ziemi wypalonej, zrudziałej wodzie w lejach i rozkładającej się padlinie mułów. Na lewo — siedzi na stołku kapelan, ks. Malinowski i paruje z jakiejś wagabundy pod pozycje.

Ks. kapelan zawsze mruczy na mój widok jakieś nieuprzejme słowa, których znaczenia wolę się nie domyślać jako dobry katolik. Rzecz w tym, że w felietonie w „Wiadomościach Polskich” napisałem o nim jako o „dzielnym rotmistrzu ze skrętnie zachowanymi oznakami stanu kapłańskiego”. Biskup połowy Gawlina, przyjechawszy z Anglii, wyciągnął na odprawie pod podkreślany numer:

\*) *Przypisek po bitwie*: Poległ pod Loreto w dniu 2 lipca 1944 r. Widziałem z punktu obserwacyjnego, jak rozbito jego wóz pancerny.



Ks. Malinowski



— A pokażcie no mi tu tego ze skrzętnie zachowanymi oznakami stanu kapłańskiego.

Mam wracać — ale że wyprosiłem się od odsyłania mnie *scout-carem*, więc muszę czekać, aż mi narządzą łazika i sprowadzą „najlepszego w pułku kierowcę”. Nie wiem, czemu to koniecznie mam jechać z najlepszym, a nie z nieco gorszym, ale tak jest pięknie na zewnątrz domu, że chętnie korzystam z pretekstu, żeby poczekać.

Jest coś dojmującego w tej ciszy podczas huku armat. Jest, jakby ktoś ponad górami rozpiął klosz milczenia z czarnego lśniącego jedwabiu i te huki ślizgają się po jedwabiu, po peryferii. A tu — słyszeć tylko monotonne hukanie, przypominające nasze pójdzki — ptaki śmierci. Ale to podobno jakiś turkuć — podjadek — ni to owad ni to rak, przerażający infernalny stwór przebywający pod ziemią.

Pod dojazdem rysuje się kontur hełmu Zbyszka. Nagle uświadamiam sobie, że już jest parę godzin po północy, że już rozpoczął się 11 maj — dzień natarcia, że brzemienne godzina „H” — za jakie 20 godzin. Wstrząsam się — czy to od świeżości poranka, czy od tych żałobnych wołań, czy może przed drogą powrotną przez *Rapido*, czy może na widok nieruchomo tkwiącego hełmu Zbyszka.

Perła kierowców już jest.

— A czy jest benzyna w baku? — pytam.

Stuknął, puknął:

— Prawdę mówiąc — mało.

Wobec czego ruszyliśmy z kopyta, z pieca na dół, ku ostrzeliwanej krzyżówce. Jest zawalona wozem z amunicją, któremu kazano na krzyżówce czekać na przewodnika. Przewodnika jeszcze nie ma i krzyżówka jest zatkana (ta straszliwie niebezpieczna i pono stale ostrzeliwana).

Wreszcie decydujemy się na karkołomny objazd, aby, wjechawszy znów na drogę, stwierdzić, że o 40 metrów w dół jest mijanka, na której wóz amunicyjny mógł spokojnie czekać.

*Drôle de guerre!*

Teraz lecimy przez dolinę *Rapido* na złamanie karku.

— Czego tak lecimy? — wrzeszczę w ucho „perle” przez świszczący wiatr.

— Bo dolina jest ostrzeliwana...

Chyba z wiatrówek, bo jest cicho kompletnie. Myślę sobie w pokorności serca, że wolę bynajmniej nie na pewno być ostrzelany, jak całkiem na pewno wybić zęby. Ale milczę, bo mi powiedzą, że nie umiem „myśleć wojennymi kategoriami”, a ja strasznie bym chciał myśleć wojennymi kategoriami jako dobry korespondent. A nie macie państwo pojęcia — jak to trudno.

Wyręcza mnie — onaż benzyna. Stanęliśmy — akurat na tej przeklętej dolinie.

Dopieroż ja z pyskiem. A „perła” uspokajająco:

— To nic nie szkodzi — przecież nie strzelają.

Szkoda chłopaka na szofera. Powinien by redagować komunikaty wojenne. Zawsze tak obróci, że ma rację.

Dobrzy ludzie poratowali; w sam czas, bo artyleria niemiecka poczęła się rehabilitować; przy wjeździe do Inferna rąbło, że lepiej nie potrzeba. Za to w Inferno w najwyższym miejscu znówóz łazik „perle” nawalił. Jest godzina czwarta rano. Majdrujemy tam coś bezskutecznie przy wozie, a tu w sam czubek pionowej skały, która stanowi ścianę wąwozu — rzep!... Poszły skry jak z utysiąkrotnionego „zimnego światła”, które zapalamy na choinkach.

Rzep!... Rzep!... Rzep!... Rzep!... — cztery jeszcze pociski jeden po drugim wlepili w tę skałę.

Kiedy ruszyliśmy, zobaczyliśmy za zakrętem zabitego muła; leżał po środku drogi, mulnicy jeszcze nie zdecydowali się wypełznąć, a z nozdrzy sączyła mu się krew.

W dywizji na drugi dzień powiedziano mi, że o tej porze był nad Inferno samolot i że zapewne zrzucił „myszki” i że to głupstwo. Wszyscy się z tym zgadzają — z wyjątkiem muła.





## (41) W ARTYLERYJSKIEJ SPIŻARNI

Jeszcze w 1561 r. w książce o szachach kawalera Ruy de Segura wieże są nazywane artylerią, a ja, mówiąc o graczach rozstawiających figury, nic nie powiedziałem o artylerii.

Ale tak jest zawsze w pisaniu — im temat jest ważniejszy, tym się go bardziej odkłada.

Pierwszy raz spojrziałem na Klasztor, kiedy mi go pokazał gen. Anders z wyniesienia, ciągnącego się tuż za zamieszkiwanym przez niego wozem dowodzenia. Szedł wieczór, siniąły zręby Klasztoru i Monte Cairo. Miałem pełne uszy alianckich opowiadań o tych jarach i żlebach. Pomyślałem — że ten szturm to będzie coś jak zdobywanie miasta w wiekach średnich, kiedy oblegani leli smołę i wrzątek na szturmujących. Jąknąłem jakieś wątpliwości. Manipulując swoją nierozłączną cygarniczką, generał się uśmiechnął: „No, niech pan nie zapomina o artylerii, która potrafi przydusić; to potężna rzecz — nawała artyleryjska” — mówił raczej do siebie, niż do mnie, patrząc na siniejący teren przyszłej walki.

I tak mi zostało.

Mówili mi kwatermistrze — jak nawożą sprzęt wszelaki, mówili mi saperzy jak przygotowują teren, łącznościowcy, jak go unerwiają, maskownicy, jak go kryją, piechota potrzasała swymi elkaemami i tomsonami, jak ongiś musieli potrzasać spisami wojowniczy, którzy mieli piąć się na mury.





Patrząc w dniu wczorajszym na te poszarpane wąwozy, myślałem jednak już tylko o ogniach, które biją z niewidocznych dali, krusząc bastiony, o słowach dowódcy Korpusu.

I dzisiaj, w ten właśnie dzień „D”, dzień ostatni — poszedłem do punktu dowodzenia artylerią.

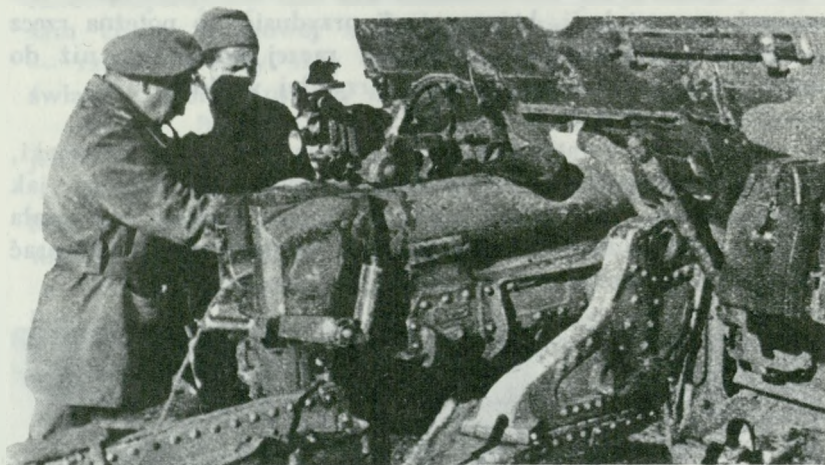
Bo przecież:

*C'est l'artillerie qui fait la guerre*

*C'est le fantassin qui meurt*

*C'est l'etat major qui fait la carriere.*

W artylerii więc, która rzekomo rozstrzyga bitwę, było już wszystko dopięte na ostatni guzik. Cele wstrzelane. Stanowiska powiązane (dosyć, żeby jedno działo wstrzelało się do celów i już jego danymi powiąże się cała ogromna sieć artyleryjskiego ognia). Większość naszych stanowisk — milczy nieujawniona.



Obie nasze dywizje mają po 3 pułki artyleryjskie, pułk po 24 działa. Korpus ma dwa takie pułki, a nadto dwa pułki ciężkich dział, każdy po 4 baterie (w baterii — cztery działa).

Prócz tego dowódca Korpusu otrzymał kilka pułków artylerii sojuszniczej — lekkiej, średniej i ciężkiej.





Nadto w chwilach decydujących będzie waliła cała artyleria sojusznicza, która będzie mogła sięgnąć.

Prócz tego będzie grało naszych ciężkich moździerzy 72 i lekkich — 84.

Przewiduje się, że działa ciężkie oddadzą 300 strzałów, lekkie do 500, a moździerze do 250. Będziemy świadkami ognia większego, niż pod El-Alamein i nie mniejszego, niż na linii Mareth. Krótko mówiąc — dziś wieczorem będziemy świadkiem nawały artyleryjskiej, której w dziejach nic dotąd nie przewyższyło.

Jak będzie skierowana ta lawina ognia?

Rozpocznie się dziś, o godzinie 23 (jest to ta, długo oczekiwana, godzina H w dniu D).

Pierwsze 40 minut — to będzie tłumienie artylerii nieprzyjaciela na jej pozycjach. Tu będzie główne pole do popisu dla ciężkiej i najcięższej artylerii sojuszniczej i dla naszych PAC-ów (pułków artylerii ciężkiej). Ale artyleria dywizyjna weźmie też w tym udział.

Następne 80 minut — ogień artylerii na bezpośrednie przedmioty natarcia. Jest to przygotowanie artyleryjskie, mające wykruszyć z bunkrów przeciwnika.

I wówczas — o godzinie 1 — ruszy atak.

Co znajdzie przed sobą, skoro na każdy z celów (ćmi mi się w oczach od tych napstrzonych na mapie punkcików) otrzyma minimum tysięcy pocisków artyleryjskich i moździerzowych? Skoro np. na takie St. Angelo uderzy w ciągu 5 minut — 60 ześrodkowań pułkowych?

Piechota musi posuwać się bardzo precyzyjnie według rozkładu godzinowego, musi o danej minucie zeskakiwać z

celu, musi posuwać się tuż za ogniem artyleryjskim, aby nie dać się odgiąć nieprzyjacielowi.

Z kompaniami będą szli obserwatorzy artyleryjscy wyposażeni w radiostacje i będą regulowali ogień.

Wychodzę z dowództwa artylerii, będąc miotany między szaleńczą nadzieją — że chyba wszystko ta artyleria zmiecie — a niepokojem, który nie może otrzymać odpowiedzi.

Przecie i Niemcy mają artylerię? Pono 230 dział, w czym ciężka artyleria dalekośniewsza, niż artyleria aliancka, a do tego moździerz większego kalibru i donioślejsze, niż nasze. A przecie to główna broń w górach, broń nie do wytuskania dla artylerii przeciwnika. A nebelwerfery?...

Przecie w poprzednich natarciach też poszło wielkie przygotowanie artyleryjskie i wytrzymali! Jakoś to robią...

Artylerzyści uważają za najdelikatniejszy i najdziwaczniejszy z punktu widzenia artyleryjskiego problem tak przygotowania, jak i wsparcia natarcia w nadchodzącej bitwie. Artyleria strzelać będzie w stosunku do linii piechoty z boku i piechocie „w nos”. Takich trudności z punktu widzenia wsparcia artyleryjskiego nie napotkało dotąd bodajże żadne natarcie w historii dotychczasowych wojen.

Czy nie cięży nad nami tradycja walk pustynnych, w których artyleria miała przodującą rolę, w których tak wiele polegało się na tzw. „młocie artyleryjskim”?

Stanowiska moździerzy w jarach trudno jest porozbijać artylerią, nie mającą stromego toru pocisków... Ale czy stanowiska artylerii niemieckiej będzie tak łatwo rozbić? Zdjęcia lotnicze? — ale przez ostatnie trzy dni Niemcy silnie zadymiali, nie można było fotografować... Mogli poprzenieśli stanowiska.

*Odprawa w dwie grupy artylerii / ptk Żąbkowski, gestykuluje kpt. Kulpiński, oparty na kolanie mjr Łagidze/*







Artyleria pomiarowa, która określa stanowiska baterij niemieckich przez wyliczanie kątów z obserwacji huku i światła? — a czemuż Niemcy nie mają trzymać od szeregu tygodni baterij zmontowanych i milczących, za które teren przystrelały i związały ogniowo inne, ujawnione, działa?

A co będzie, jeśli Niemcy skombinują, że bataliony zmasowały się w rejonach oczekiwania i sami uprzedzą swoją nawałą artyleryjską i zrobią masakrę?

Tyle razy przeklinane TJ wydaje mi się bożkiem, do którego się modlę. Zawisło od niego życie naszych żołnierzy. Schodzę ze wzgórką, w którym tkwił schron dowództwa artylerii, z uczuciem jakbym miał w kieszeni wielki skarb, który mi wszyscy zechcą odebrać. Gniotą mnie posiadane wiadomości nieznośnie — gniesć będą aż do godziny II, aż do 23 — kiedy wyłożymy karty...



## (42) SAMOLOTOWY „POSTÓJ DOROŻEK”

Wracać do dowództwa dywizji jest nieco „obojętnie” jak mówią na Kresach, bo dowództwo jest za drogą, w którą znowu wali artyleria. I znowu ustaje ruch i znowu pęczniają z obu stron przy posterunkach żandarmerii stłoczone kolumny. Jakiś motocykl puścili — nie wiem czym to sobie wyblagał. Wyrznął pocisk pobok, motocykl rzuciło w bok — pewno to nie pęd powietrza, a skręt kierownicy, bo wyrównał i zginął z oczu.

Po dolince, w której stoją namiociki łącznościowców, jakiś ich oficer ugania z kijem w rękę za chłopakami, którzy się rzucili zbierać odłamki. Przerzucając z ręki do ręki rozpalone odłamki, krzyczą „zaraz, panie poruczniku” i łypią okiem, czy nie da się znaleźć ciekawszego odłamka. Jeden chwali się podłużnym splintem, który się rozłupał w formie falistego krysa malajskiego. Zupełnie jak kiedy dziewczęta leją wosk. Następne pociski i zdecydowany ryk porucznika kończą te swoiste Andrzejki.

Winduję się na wzgórze, do którego jest przytulony budynek z dowództwem. Tu już bezpiecznie. Szef sztabu, ppłk Maleszewski — młoda twarz, łysa czaszka i ciekawe życia piwne oczy, z nieodłącznym kijem w rękę (wszyscy tu w tym terenie chodzimy z kijami) — obserwuje pole padania. Już naliczyliśmy trzydzieści trafień — ta seria kończyć się nie chce i trzymać przecięty cały ruch — na kilka godzin przed akcją! A co znaczy ta jedyna linia dostawy, poczuło się dotkliwie, gdy nastąpiło przecięcie na kilka godzin komunikacji przez *interno* przez wysadzenie składu amunicji nzelandzkiej.

Dwa pociski jeden za drugim wyrzucają kłęby burego dymu na przeciwnym zboczu.

— Tak daleko od drogi?

— Bo to są bomby z aeroplanu — tłumaczy ppłk Maleszewski.

A więc i tego nie zabrakło w tych harcach przed bitwą. Jeden z nielicznych kłusowników niemieckich. Leci tak wysoko, że go nie widać, słychać tylko huk motoru.

Odłamek



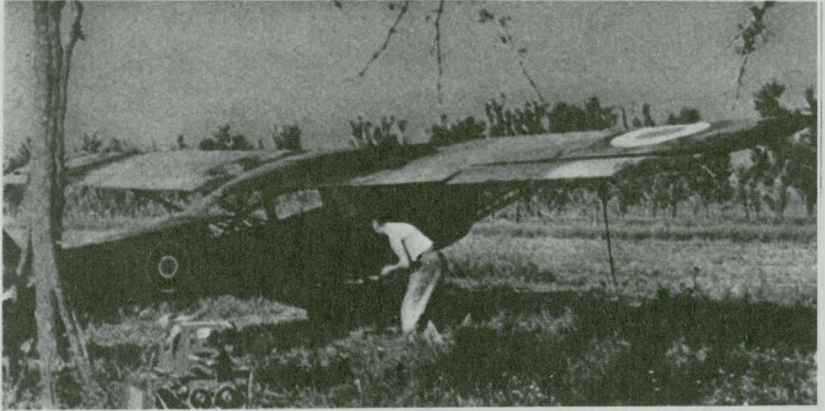


Alianckie lotnictwo dalekiego bombardowania jest czynne dzień w dzień, bombardując węzły komunikacyjne, wiadukty, transporty. Kiedy zasypiamy, słyszymy jak niebo drży nad nami jak harfa: to ciągną niezliczone eskadry. Kiedy budzimy się — wczesnymi rankami na niskim pułapie widać regularne srebrzyste klucze, ciągnące z powrotem z wyprawy. W dzień



— cicho. Tylko gdzieś na horyzoncie kołysz się flegmatyczna „krowa” obserwatora. Tylko czasem zaleci niemiecki kłusownik. Ale bardzo ukradkiem. Na naszych tyłach, które nie są żadnymi tyłami dla lotnictwa, urządzono *cab — runk*, postój dorożek — powietrznych. Te dryndy, oczekujące na niemieckiego klienta, to sześć dyżurnych myśliwców bombardujących, będących stale w powietrzu.

Natarcie odbędzie się nocą, więc bez lotnictwa, ale naza jutrz (może już na dobijanie wroga?) ma wystąpić godnie —



dwanaście czułek radiowych wsparcia lotniczego jest rozszanych w terenie.

— Lubię te liliowiejące w zmierzchu góry — powiada pptk Maleszewski, kiedy dym dwu wybuchów lotniczych jeszcze się nie rozszedł, a na drogę pod naszymi stopami leci ze świstem coraz to nowy pocisk.

— A zwłaszcza, wie pan, jest takie jedno miejsce koło Signal de Bugy nad jeziorem Genewskim... — wygłupiam się rozlewnie.

A czuję — obu nam w sercu odmierza minuty wieżowy zegar. Tik — tak... co chwila bliżej. Cóż ja, pętający się kibic. Ale on przecie będzie musiał ruszyć pionkami. Ma nakazane, dajmy na to, wyjście z gambitu. Ale któż może przewidzieć grę już zaraz po kilku przygotowawczych posunięciach?

— Chodźmy na kolację — mówi pułkownik.

**206**





## (43) PRZEWIDYWANIA I NASTROJE

Ale kolacji jeszcze nie ma. Czekaając w ubogim hallu, patrzę na sztych Wilna z XVII wieku, zakupiony u antykwariusza w Kairze i opatrzony obszernym drugostronnym komentarzem łacińskim o tym mieście. W XVII wieku — pisze się o obyczajach pogańskich za linią Curzona. Uświadomienie zachodu od tego czasu nie postąpiło zbyt wiele.

Po niedawnym ostrzeliwaniu drogi jest cicho — jak nigdy. Tak samo musi być cicho na linii. W ciągu jednej nocy nie sposób było wprowadzić trzech batalionów, więc 13. baon leży już 48 godzin bez ruchu. Włoczyliśmy tyle wojska, tyle moździerzy — i nic... Czy mamy sobie winszować, czy też artyleria niemiecka się czai?

Kawiarniane prognozyki liczą się z tym, że bitwa nas będzie kosztować 2,500 zabitych i 2,500 rannych.

Czy tylko kawiarniane?



Na jednej z odpraw w Karpackiej, kiedy dowódca artylerii, płk Łakiński wyraził opinię, że Klasztor musi być za wszelką cenę zdobyty w ciągu 24 godzin, gen. Anders odpowiedział ze zwykłym swoim spokojnym uśmiechem:

— Powoli, powoli... Być może, musimy być przygotowani na trzy razy po 24 godziny, a jak tego nie starczy, to i siedem razy po dwadzieścia cztery...

Miarodajnym dla przewidywań jest przygotowywanie się służby zdrowia. Na podstawie danych, zaczerpniętych zarówno ze sztabu Korpusu, jak z kalkulacji VIII armii wynika, że walka będzie trwała 10 dni i liczyć się należy z globalną cyfrą strat do ewakuacji 4000, z tego strat krwawych 2700.

24 kwietnia, w czasie obejmowania przez Korpus odcinka Monte Cassino, zastępca dowódcy Karpackiej, ś. p. płk dypl. Jastrzębski, wszedł na (górze) Monte Trocchio naprzeciwko Klasztoru, by z góry obejrzeć teren i wyleciał na minie. Posłano po nosze i czekano długie godziny, a krew upływała.

— Nie przejmować się, poruczniku — mówi ranny do adiutanta por. Jaxy Dębickiego — jesteśmy obaj kawalerzystami, powinniśmy umieć spotykać śmierć po kawalersku.

Ale umierający sam spotykał ją raczej po sztabowemu — podyktował adiutantowi meldunki. Potem dopiero rozporządzenia rodzinne; i wreszcie — kazał wyjąć z portmonetki owinięty w bibułkę złoty krzyżyk jerozolimski dla synka w kraju.

Z tym krzyżykiem przekazywał zapewne ostatnią myśl, tę

*za górą Monte Trocchio — kontur zadymionej góry klasztornej*





samą którą powiedział, przechodząc po kampanii wrześniowej \*) granicę węgierską:

— Chciałbym synowi mojemu dać jedno: śmierć ojca na polu bitwy.

Kiedy wreszcie przyszedli noszowi — a trzeba było dokonywać sztuk akrobatycznych spuszczać nosze z głazu na głaz — kiedy wreszcie znalazł się w karetce — a trzeba było jechać dwie godziny do szpitala w Venafro — słabł.

— Nie będę widział... postyszał szept por. Dębicki.

Pochylił się nad umierającym:

— Nie będę widział — mówiły bezszelestnie usta — straszliwych ofiar pod Cassino...

Jednak póki żył — myślę — nie mówił tego. Co jest w duszach ludzkich? Żołnierze — wolą nie rozmawiać o tym. Oczekiwany dzień natarcia nazywa się u nich — „TEN” dzień.

— Kiedy będzie TEN... — mówią.

Czekają go z determinacją, z zaciętością i z wiarą. Wczoraj widziałem list przytrzymany w cenzurze: „Jeśli popatrzycie na datę listu, a potem przeczytacie prasę, to zobaczycie, że my cuda wykazali...”. W listach z ostatnich dni — znikły codzienne troski, żale, utyskiwania, tak jak w ambulatoriach — chorzy. Rodziny w listach nie pisały: „Szanuj się!”, „Uważaj na siebie!...” Oto niektóre cytaty: „Nawet umierając, wypal

---

\*) *Przypisek po bitwie*: Płk Jastrzębski otrzymał pośmiertnie V. M. 4. klasy za kampanię wrześniową. W kampanii tej uczestniczył jako zastępca dowódcy brygady pomorskiej. Walczył jako zastępca do dnia jej istnienia aż został z jednym szwadronem i jedną baterią DAKU.

W dniu 18 września płk dypl. Zygmunt Bohusz-Szysko, dowódca 16. pomorskiej dywizji kawalerii walczył nad Bzurą.

Stojąc na przelocie drożyny leśnej, spostrzegł jeźdźca na wielkim koniu, za nim ułanów z lancami. Jeździec wparł konia blisko i nie zwracając uwagi na dystynkcje pułkownikowskie rzucił ostro:

— Pan — kto?

— Dowódca 16. dywizji pomorskiej.

— Co pan ma?

— Trzy pułki piechoty, 16. PAL, 7. PAC, dwa dywizjony 16. DAKU.

Płk Jastrzębski — on to był bowiem — przerzucił nogę przez siodło i zeskoczywszy z konia zameldował się w postawie służbowej.

Tego dnia — interweniował wszędzie, gdzie nasz opór słabł. Gdy piechota zachwiała się, widząc idące czołgi, poprowadził przez rzadki lasek natarcie kilkunastu ułanów w konnym szyku i powstrzymał piechotę.



Płk Jastrzębski

w niemieckie czoło!”, „Niech myśl o zemście nie opuści Cię tak długo, jak długo choć kropla krwi jest w Twych żyłach!”, „Wtedy Ci będę wierzyć, że jesteś godnym podchorążym”.

Niezdarne komunały? Ale te niezdarne komunały pisane były do najbliższych, których życie miało być sławką.

Listy żołnierzy pełne były patriotyzmu, wyrażanego często nieudolnymi słowami, listy były pełne namaszczenia i determinacji. A przecież był to czas, kiedy nikt temu żołnierzowi, przeważnie kresowemu, nie mógł dodać otuchy. Kiedy i żołnierz z innych ziem widział ponury frymark ojczyznę — jako jedyną zapłatę za krew, którą przeleje.

*Płyną wieści — czarne kruki kraczą...  
Rosną łuny na ziemi kresowej —  
Nasze serca ściśnięte rozpaczą  
Jednym rytmem uderzają — Lwowem.*

*Ciągną hordy wojenne drogami  
Czemu ręce ściskasz bezsilnie?)  
Nasze serca nabrzmiały łzami  
Nocą szepczą o jednym: o Wilnie.*

*Wszystko jedno, jaki los przypadnie  
W tej śmiertelnej wojnie szaleńców  
Nim ostatni romantyk nie padnie  
Będziem walczyć. Będziem bić się. Nic więcej.*

Jan Olechowski \*)



Pchor. Olechowski

Ale droga psychiczna dowódców jest trudniejsza. Oni są — odpowiedzialni za wygranie bitwy. Ich niepokój wyraża się w przedłożeniach, w żądaniach do dowództwa. Wszystko to w ostatecznej instancji biło w dowódcę Korpusu. „On ma spokój od artylerii, a moich kruszą...” „Przy natarciu, to ja osłaniam, a sam zbiorę wszystkie ognie, nawet takie, które należą się sąsiadowi...” „Brak w wyposażeniu...”.

Siedzi sobie dowódca Korpusu przed namiotem zę, swoją

\*) Poeta-żołnierz, biorący udział w bitwie o Monte Cassino.



nieodłączną cygarniczką, uśmiecha się. Na tym krzeselku przed namiotem gospodaruje nieśpieszący. Jak zmniejszyć straty, bo dzień w dzień wykrusza się do trzydziestu ludzi? Kiedy podprowadzić batalion? Jak zadymić?

A potem kończy się odprawa propozycją — zostania na obiedzie. A w czasie obiadu — nie mówi się o niczym poważnym. Podśmiewają się wzajemnie, bagatelizują nieporozumienia sąsiedzkie.

W ten sposób Korpus daje chwilę odprężenia i podtrzymania.

Dowódca Korpusu, jego zastępca, szef sztabu — przyjeżdżają ciągle na obiady do oddziałów. Ot jak wczoraj, kiedy na kolacji był szef sztabu Korpusu.

Kolacja, do której siadamy, jest widać według najlepszego wzoru obiadów korpusowych, bo nic się nie mówi o nadchodzącym natarciu.

Pptk Maleszewski, uczestnik słynnego przejazdu z injr Kijewskim Citroenem z Francji, przez Saharę — do wojsk polskich w Egipcie, opowiada mi jak omal, że nie zwichnął sobie kariery wojskowej zaraz u jej początku. W podchorążówce zdudziło mu się, postanowili z kolegą zerwać z tym radykalnie; poszli na Wisłę, zostawili mundury na brzegu i w cywilu dali drapak. W szkole odprawiono nabożeństwo żałobne, aż tu delikwenci zameldowali się ze skrucą po tygodniu. Otrzymali należyty „opeer” z obowiązkiem meldowania się przez miesiąc trzy razy dziennie w pełnym ekwipunku, w którym nie powinno być najmniejszego uchybienia, nie może brakować żadnego z 32 gwoździ na każdej z podeszew...

Flegmatyczny major angielski, będący łącznikiem przy dywizji, nagle poruszył się — jak na niego, zbyt żywo. Przerwaliśmy rozmowę, skierowując za jego wzrokiem oczy na okno.

Z okna był widok na ostrzeliwaną drogę, jaka biegła parowem, do którego sphywały pomniejsze wąwozy.

Zobaczyliśmy — grzbiet „krowy” zataczającej wolny łuk już wewnątrz ścian wąwozu i po chwili suchy trzask. Po chwili byłem przy samolocie. Wywlekano z niego pilota Anglika i obserwatora, por. Kijowskiego. Obaj byli zamroczeni. Polak nieco mętnie pytał, jak to się stało, (po prostu — „przydu-

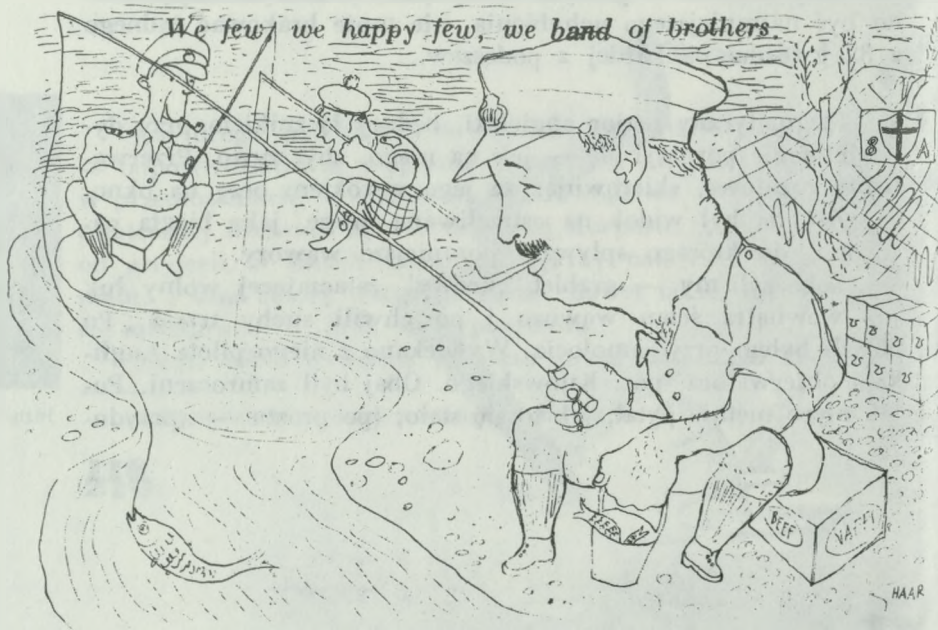
siło" ich w zamkniętych ścianach kotła i pilot nie mógł wyrwać maszyny w górę). W samolocie było dużo krwi — teraz wyciągano Anglika, który gorzej się poturbował. Dowiedziałem się, że się nazywa kpt. Wright w kilka dni później, kiedy przyjechałem na lotnisko, by polecieć „krową”. Spotkał mnie Wright nieco pokręcony, bo uciekł z połamanymi żebrami ze szpitala, ale już *okey*.

Kiedy wróciłem, sztab dywizji już po obiedzie przeszedł do hallu... Sciemniło się, zastonięto drzwi i okna i zapalono światło. Do chwili wyruszenia na punkt obserwacyjny pozostawało jeszcze dwie godziny. Żadnych meldunków, żadnych wiadomości nie przynosił nikt. Wszystko było zrobione, w terenie nie się nie działo.

Podobno absolwenci niemieckiej akademii wojskowej mu-



siali umieć grać w bridża. Uważano, że lepiej, jeśli sztab, rozpracowawszy operację, gra w bridża, oczekując aż wszystko dociągnie, niż żeby miał się wtrącać, denerwując siebie i innych. Gen. Leese dzisiaj z kilkoma oficerami sztabu VIII armii pojechał na ryby. W sztabie Korpusu z-ca szefa misji brytyjskiej czytał kolegom Polakom mowę Henryka V przed bitwą:





Obie strony wydały rozkazy przed bitwą.

Dowódca armii sojusznicych we Włoszech gen. Alexander, stwierdzając, że „złe czasy są już dziś poza nami, dzień jutrzejszy przyniesie nam zwycięstwo”, stwierdza, że „Zadaniem naszym jest zniszczyć niemiecką armię we Włoszech. Walka będzie ciężka i zażarta”.

Generał Leese, dowódca 8. armii, w skład której wchodzi nasz Korpus, w swoim rozkazie do armii, wita z radością jednostki, które po raz pierwszy walczyć będą w szeregach tej najświetniejszej armii alianckiej: „Zwracamy się specjalnie do Polskiego Korpusu, który walczy obecnie wspólnie z nami, dla odzyskania Ojczyzny”.

Dowódca 2. Korpusu Polskiego w rozkazie przed bitwą między innymi mówił: „Niech lew mieszka w waszym sercu... Żołnierze! — za bandycką napaść Niemców na Polskę, za rozbiór Polski wraz z bolszewikami, za tysiące zrujnowanych miast i wsi, za morderstwa, katowanie setek tysięcy naszych sióstr i braci, za miliony wywiezionych Polaków jako niewolników do Niemiec, za niedolę i nieszczęście Kraju, za nasze cierpienia i tułaczkę...”

„Nie udało się tej twierdzy zdobyć wielu naszym sprzymierzeńcom. Nas na to nie stać” — mówił w rozkazie dowódca Karpackiej.

„Tej godziny długo oczekiwaliśmy... Do broni!... I w łeb lub w serce pal”! — mówił w rozkazie dowódca Kresowej.

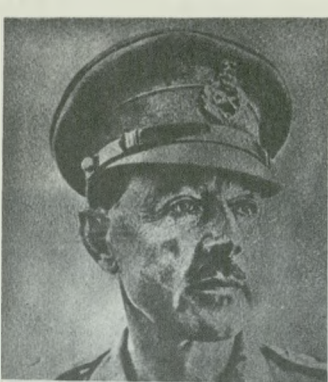
„Żołnierze armii francuskiej we Włoszech! — brzmiał rozkaz gen. Juin — wielka bitwa, której wynik może przybliżyć czas oswobodzenia naszej Ojczyzny — poczyna się dziś.

Walka ma być powszechna, nieustępliwa, przeprowadzona aż do ostatecznego wysiłku.”

Dowódca armii niemieckich we Włoszech, gen. Kesselring, w swoim rozkazie mówi: „Wchodźcie do decydującej bitwy. W waszym ręku spoczywa bezpieczeństwo wszystkich dywizyj, znajdujących się w południowych Włoszech.

Dowódca XIV korpusu niemieckiego, stojącego przed nami, uprzedza, że najważniejszą w całej operacji będzie obro-





Gen. Alexander, dca frontu śródziemnomorskiego

Gen. Leese, dca 8 armii

Gen. Anders, dca 2 Korpusu

Gen. Duch, dca 1 armii

na Cassina i uprzedza: „Musicie walczyć do ostatniego tchu”. Jest pocieszające, że zapowiada: „Od 24 maja godzina 24,00 czekajcie na alarm.” Widać wiedział o pierwotnym terminie natarcia, przyspieszonym następnie przez Londyn.

Ktoś cytuje przemówienie Mussoliniego, które słyszał przez radio:

„Za linią Garigliano stoją Anglicy, Amerykanie, Południowi Afrykańczycy, NZelandczycy, Francuzi, Polacy, Hindusi, Murzyni... Wszystko to są niższe rasy, nie mające pojęcia o starej kulturze, którą depcą”.

Ktoś przekreślił włącznik — jest to czas na audycję „Wandy”.

„Wanda” — to dwwersyjna stacja radiowa niemiecka w Rzymie, nadająca audycje w języku polskim. Od szeregu już tygodni bębni swoje audycje.

Te audycje mają w sobie coś tragicznego. Rozpoczynają je dźwięki I. Brygady. Bo zmarły Marszałek, to był wielki człowiek: nie dopuściłby do wojny z Niemcami. Szpicle Gestapo nie judzą na dowódców, nie prześmiewają się z naszego wysiłku. Oni tylko nam współczują, serdecznie współczują... Oni — wiedzą. Wiele wiedzą. O Katyniu. O rosyjskich konszachtach. O ustępliwości Polaków w Londynie. O oportunizmie Anglików.

Zmartwiła słucha żołnierz.

„Wanda” produkuje kpr. Borkowskiego z Karpackiej, złapanego przez nich na patrolu nad Sangro. Martwym głosem kapral mówi — że istotnie jedzie do Polski. Że każdy pojedzie. Potem za kilka dni znów mówi: był w Polsce, widział swoje kąty.

„Wanda” zachęca — przyjdźcie! Magiczne dwa słówka







Gen. Gólik, dca 5 K.D.P.



Gen. Rakowski, dca 2 Bryg. Panc.



Gen. Clark, dca 5 Armii Amerykańskiej



Gen. Juin, dca Franc. Korpusu

„do domu” otworzą wam linie niemieckie... „Wanda” wie, ile ci żołnierze wycierpieli w Rosji — „Wanda” współczuje \*).

A potem — nabrali przecie płyt w Polsce ile wlezie — najpiękniejsze oberki, kujawiaczki, prześpiewki...

Tę drugą Wandę — Wasilewską — trudno uchwycić na głośniki we Włoszech. Jeśli się chwyci — słyca transmisje z nabożeństw w dywizji Kościuszki (ranionego i więzionego przez Moskali), Dąbrowskiego (idącego z Napoleonem na Moskwę), Traugutta (powieszzonego przez Moskali), słycać wy-nurzenia Andrzeja Witosa o tym, że chłop w Polsce ma być zamożny (to znaczy „kułak”).

Ale ta Wanda niemiecka, pono absolwentka uniwersytetu polskiego, wdiera się ze swoim lukrowanym głosikiem w każdy zakątek.

Gen. Anders nakazał — nie przeszkadzać słycać. I co dzień w gajach oliwnych przed namiotami zalega tłum żołnie-ry. Słyca i zżyma się: kat pieje na cześć zadrzczonych. Cza-sem jakiś sprytny łącznościowiec włączy się i nagle z głośnika

\*) *Przypisek po bitwie*. Mówiłem z chłopcem wziętym do niewoli na 593, który uciekł w Rzymie z obozu jeńców i przechował się do czasu wejścia aliantów. Spisano najszczegółowiej relacje, jak się dostał do niewoli. Trzymano go w hotelu w wygodnych warunkach. Pewnego dnia zaprowadzono go przed mikrofon. „Kochani żołnierze 2. Polskiego Korpusu” — zapowiedziała swoim lukrecjowym głosem „Wanda” — teraz wam szeregowy taki to, kompanij takiej to, wzięty do niewoli na 593 w dniu 17 maja opowie jak to się stało” — po czyn wetknięto mu w ręce napisany maszynopis. Chłopak nie chciał czytać, ale nie mar-wiono się tym bardzo — będący w pogotowiu *Volksdeutsch* odczytał tekst za niego. A chłopaka z hotelu posłano do obierania kartofli, skąd zwiął.

Zdając osobiście relację dowódcy Korpusu, tak rzecz tłumaczył:

— Ten co mówił za mnie, mówił „mianowicie”. A ja takich słów nie używam.



w środku mizdrzeń się „Wandy” huknie: „Czekaj, stara k  
wo! — Będziesz wisieć!...”

Jest nie do wytrzymania teraz właśnie słuchać tej audyc  
Dusze ludzkie wzniosły się do największej ofiary. Ta audyc  
to jakby ktoś w szatach liturgicznych wkroczył w czasie p  
niesienia między tłum z pochylonymi głowami i kropił k  
pidłem nurzanym w cieczy kloacznej.

Zamykamy głośnik.

Jest cicho.

Artyleria nasza tylko markuje.

Artyleria niemiecka nie strzela wcale.

Po podłodze biegnie pająk — ktoś go zdeptał.

— *Soir espoir* — mówi ktoś cicho.

— Zapomniałem — uśmiecha się winowajca.

Wyczuwam, że wszyscy by woleli, żeby ten pajączek j  
nak żył.

— No, to pewno i czas — mówi gen. Sulik.

Bierzemy za kije.

Przez uchyloną płachtę — zwolna sztab dywizji wysu  
się w noc.

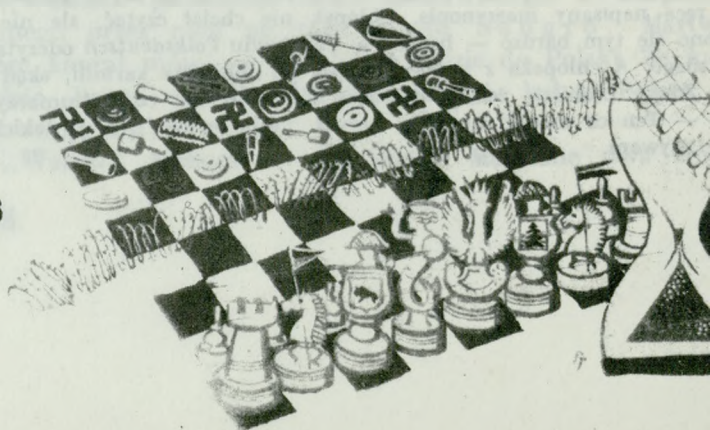
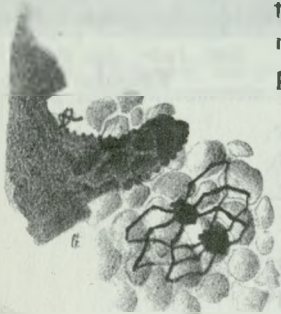
Ostatni — jeszcze raz przekręca włącznik (lampy były ,  
gazie”). A może coś — w ostatniej chwili...

„Wanda” kończy audycję:

„Kochani żołnierze, słuchajcie jutro o tej samej po  
naszej audycji, która będzie trwała półtorej godziny. Jest  
najdłuższa audycja polska na świecie. A teraz, kochani żoł  
rze, życzę wam wszystkim — dobrej nocy”.

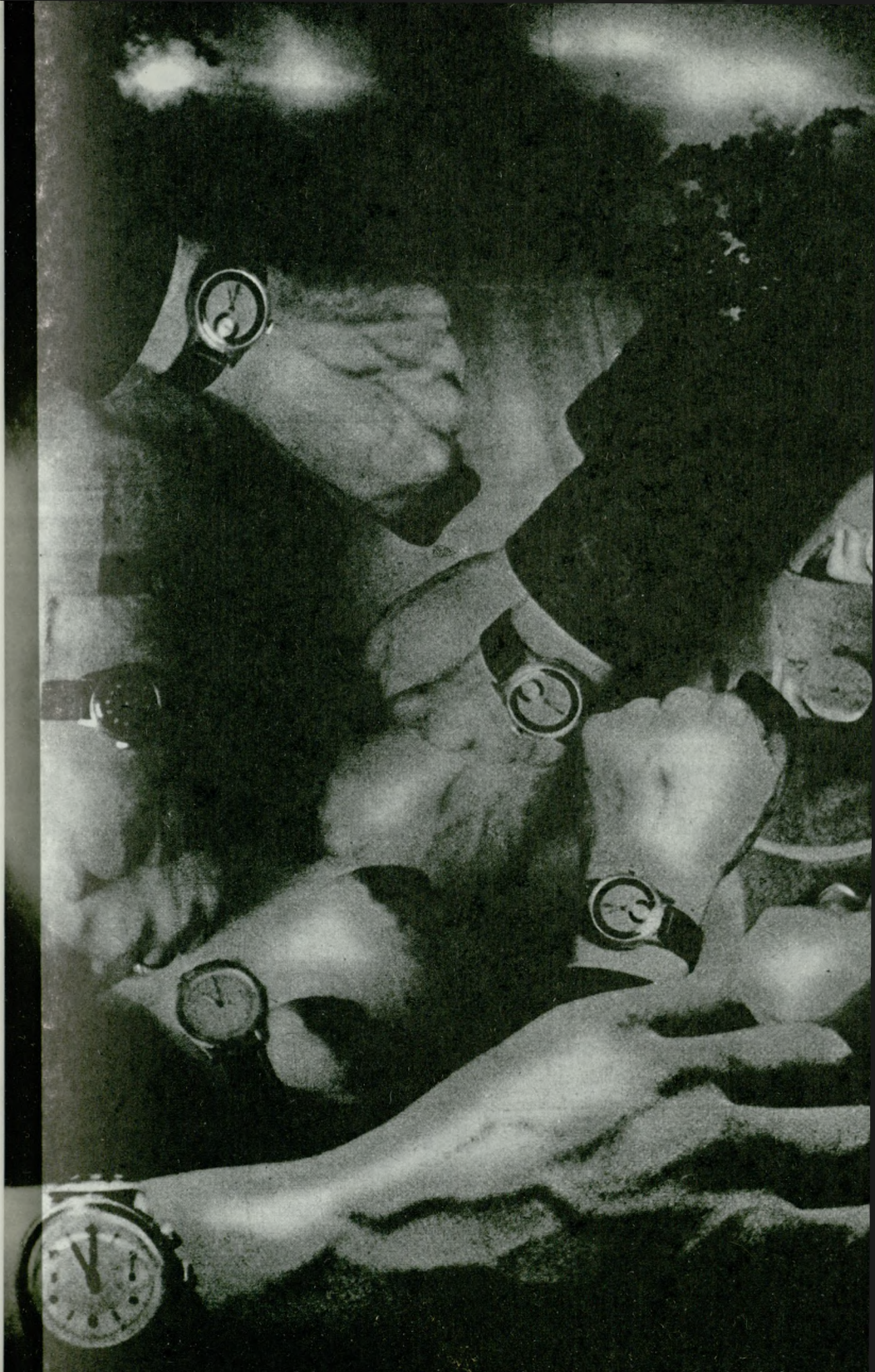
A więc może — istotnie — nie wiedzą?...

Za chwilę — zostanie zrobiony pierwszy ciąg.





i.  
a,  
l-  
o-  
l-  
a  
a  
ze  
o  
e-  
L



GODZINA ..H.. NADESZE



## (15) NA PUNKTACH OBSERWACYJNYCH DYWIZJI I KORPUSU

Noc jest zupełnie ciemna. Księżyc jako jedna ze służb ma wzejść przy końcu ogólnego przygotowania artyleryjskiego, na krótko przed startem piechoty. Jest tak ciemno, że nie widać idącego poprzednika, tak ciemno, że nie widać taśmy, złączającej ścieżkę na punkt obserwacyjny. A że ścieżka nieraz idzie nad stromizną, posuwamy się bardzo powoli, gęsiego, przy czym raz po raz przychodzą od czoła uprzedzenia: "Ostrożnie — na ziemi kabel... Uwaga! — drut idzie górą". Druty te porozpinali nasi łącznościowcy jak pająki, kiedy się idzie przez las i trzeba coraz zgarbiać pajęczynę z twarzy.

W pewnym miejscu taśma idzie po sieci maskowniczej ciężkiej baterii. Wewnątrz stanowiska słychać przyciszony głos udzielający instrukcyj. „Ognisty lud” jak długie i szerokie te góry czuwa teraz z oczami wlepionymi w zegarki.

Bateria stoi za skłonom. Idziemy, wciąż trzymając się ścieżki i dysząc ciężko, pod górę, przechodzimy szczyt, schodzimy kilkanaście metrów na przeciwstok.

Pod nami — dolina Rapido, dalej — amfiteatr, którego rantów uczepliły się wszmuglowane nocami bataliony.

Tu jest punkt obserwacyjny dowódcy dywizji, związany łącznością telefoniczną i radiową. Łączność jest w sąsiednim schronie. W schronach jest ciasno, więc roztasowujemy się na łączce.

Patrzę na fosforyzowane wskazówki, jak w sposób nieuniwniony przybliżają się do godziny „II”, tzn. do godziny 23.

Niemiecka artyleria mileczy. Mileczy w sposób niezwykły — o tej porze zwykła gromić łożyska na skrzyżowaniach i ścieżki, na które już wyruszyły objuczone muły.

Czy coś szykują?

Płk Orski, dowódca artylerii dywizyjnej, szepcze mi (nie wiem czemu, mówimy wszyscy szeptem; nikt nie pali papierosa):

— Kiedy uderzy godzina 23, poczuję, że mi mały kamyczek spada z serca.



Nerwy wszystkich są naprężone w oczekiwaniu, czy aby Niemcy nie uprzedzą nawały. Nasza artyleria na ten wypadek przygotowała ogień, ale stracilibyśmy szanse zaskoczenia.

— Kamyczek by spadł, ale tylko mały kamyczek... — dodaje płk Orski.

Myślę o słowach umierającego płk Jastrzębskiego.

Ale minuta za minutą wsiąka bezszelestnie w noc w absolutnej cichości. Niemal bowiem nie zauważamy — w tym napięciu, w tym oczekiwaniu — nękającego ognia naszej własnej artylerii, która „podtrzymuje pozory” i strzela jak zwykła zawsze o tej porze strzelać.

Tam, w dolinie Rapido, artylerzyści naszych dotąd nieujawniających się baterij już zwalili podpiłowane za dnia oliwki, przestaniające pole obstrzału.

Tam, w jarach górskich, już wychodzą pierwsze ściezkowe patrole trasować ścieżki, po których ruszą kompanie, kiedy przygotowanie artyleryjskie się skończy.

Na punkcie obserwacyjnym Karpackiej, na punkcie obserwacyjnym Korpusu teraz tak samo, jak po wszystkich punktach obserwacyjnych artylerii, po bateriach, po pułkach, batalionach, kompaniach i szwadronach — oczy ludzkie szukają w ciemności tarcz zegarków.

Punkt obserwacyjny Korpusu mieści się na cyplu skalnym. Jest to obramowana skałami łączka, mająca z tyłu stromą skałę wysokości 150 metrów.

To z tego punktu obserwowało dowództwo amerykańskie rzeź i klęskę swoich oddziałów na 593.

— Zrobiliśmy wszystko, co można było zrobić — mówi dowódca łączności Korpusu, płk Zaleski — gdybym miał jeszcze tydzień czasu, to nie wiem, co bym mógł dodać. Mimo to — niepokoję się. Nic nie potrafię poradzić na granaty niemieckie, które mogą mi porwać wszystkie połączenia telefoniczne. Nie poradzę również nic na to, jeśli na naszych częstotliwościach radiowych będą siedzieli jednocześnie i Niemcy.

Obrachunek sumienia robił płk Orski, robi płk Zaleski, robią w cichości ducha ci wszyscy, którzy przygotowywali bitwę. Gdzieś tam, u samego dołu tej maszyny, drużynowi po raz nie wiem który przeliczają środki ogniowe, rozdzielone



między ludźmi, powtarzają te same ostrzeżenia: o taśmie, o niezaleganiu, o niezatrzymywaniu się przy rannych, o niekupieniu się.

Co myśli ten, w którego rękę zbiegają się te nici?

Raz tylko — gen. Anders pochylił się, wspinając się na punkt, do swego zastępcy, gen. Bohusz — Szyszko.

— Słuchaj, przecie musi się udać!

— Przecie musi się udać!... — zaklinały tę noc tysiące serc.

Na pół godziny, dopiero na pół godziny przed atakiem, zerwana zostaje trwająca od dni całych cisza radiowa i rozpoczyna się zestrzanie sieci radiowych.



— Filip, Karol, Urszula — dobiega z różnych stron — Filip, Karol, Urszula, podajcie siłę sygnałów, słucham...

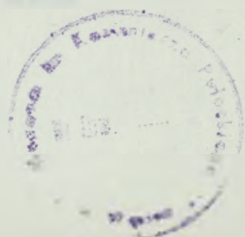
Ucho nastuchuje niecierpliwie głosu radiotelegrafisty: „słyszę was dobrze” i doczekać się nie może; przecież pomiędzy radiostacjami są góry o wysokości do tysiąca metrów, przecież radiotelegrafistom nie wolno było wypróbować doboru częstotliwości.

Ścichli radiotelegrafiści, zestroiwszy się wreszcie i znowu zapanowała cisza.



— Za minutę — szepnął ktoś, poprawiając się w siedzeniu.  
I nagle wielkim grzmiotem rzygnęła zza przeciwskłonu ciężka  
bateria. Ochłonawszy od pierwszego szoku, skonstatowaliśmy,  
że cała dolina, wszystkie góry naokoło niej wibrują nieustającym  
dźwiękiem.

„... wielkim grzmiotem...”





Artyleria 8. armii, artyleria armii 5. stanowiska od Acquafondaty do Morza Tyrreńskiego — zioną ogniem. W promieniu naszej obserwacji słuchowej gra tysiąc kilkaset dział. Nieznane prawa akustyczne przenoszą huki gdzieś aż spod gór Arunzi, tłumią zupełnie odgłosy najbliższych



baterij, stojących tuż za załomkiem terenu, tak że rozróżniamy je tylko po bezdźwięcznych blaskach. Jeśli są chochliki dźwięku, to dziwne korowody wyprawiają po tej załumionej górami obszernej dolinie, rwą pasma dźwięku, wskrzeszają je na nowo, konserwują dźwięk powstały długo, aż jego goniec — światło, dawno przebijie czarny jedwab zastony i zniknie; wówczas przynoszą w czarnych łapiętach dźwięk przed nasze nogi i dźwięk pęka jak kasztan. W górach — powstają jakieś hurgotania, szurgoty, przesuwania mebli, przeprowadzki, przelewanie się dźwięków, nadto wezbranych jak woda z kotliny w kotlinę, posuw dźwiękowy wąwozami i drobny werbel w niebie i głuchy szmer na ziemi i *staccata* dział ciężkich, przedzierających się jak dostojnicy przez plebs pohukiwań mózdzierzowych.

Ucho przywyka nader prędko do tej nieustającej wibracji dźwięku i już tylko oko nadążyć nie może dzikim sceneriom świetlnym.

Mówi się, że przeszedł czas kolorowych kirasjerów, lejbgwardzystów, pióropuszy, pancerzy poźlocistych, że tromtadracja wojny wsiąkła w okop, przywarła do niego zielonkawym mundurem.

Ależ przecie ci pirotechnicy, którzy fabrykowali amunicję, musieli być po trochu następcami epoki starożytności, palącej ogniami greckimi wrogie galery we wspaniałej feerii na falach opalizującego morza, ci histrioni wojny musieli się zapatrzeć w przodków średniowiecza, majstrujących niesamowite be-luardy, miotające grzywiaste ognie.

Ot, z lewa doliny podnosi się sznur pocisków przeciwlotniczych. Pelotki wskazują cele. Wysyłają w powietrze wielkie pomarańczowe kule, przesuwające się wolno i majestatycznie jedna za drugą, jak ryby głębinowe. Jest coś aż śmiesznego w tej bufonadzie flegmatycznych świateł, promenujących nad ziemią, złapaną w konwulsje.

Od strony Niemców — błysnęło krwawo:

Raz, dwa...

Raz, dwa, trzy...

Osiem, dziesięć, dwanaście, szesnaście — krwawych, złych, gniewnych rakiet.

Jakież kolory dobierali pirotechnicy — histrioni!...

Nie wiemy, co znaczą rakiety.

Pomarańczowe wolne lampiony idą coraz wyższymi łukami; przenoszą cele natarcia.

Flara wyrzelandona ze spadochronem z Klasztoru zawisła w czarności. Spada tak wolno, że sprawia wrażenie światła stojącego nieruchomo w powietrzu. Klasztor zapala drugą, nim pierwsza zgaśnie, jak zwykły robić człowiek, który się boi ciemności.

W miarę trwania kanonady narasta pułap dymu: dym ten stoi pod nami — dolina Rapido nalana jest po brzegi jak mlekiem; zdaje się, że ta wielka micha chwieje się lekko, że jej zawartość szuka ujścia, by spłynąć.

Z punktu obserwacyjnego dowództwa Korpusu rozlega się daleki wgląd w dolinę Liri i na góry Arunzi z tamtej strony doliny, którymi idą Francuzi.

Na górach tych wieniec rozprysków francuskich rozbłyskuje najprzód przed stokiern, potem na stoku, potem poza stokiern. Widać — posuwają się?

Jest 23 minut 40. Czas przeznaczony na zwalczanie stanowisk artylerii nieprzyjaciela minął. W rejonie Monte Cassino z jednej, w rejonie Biaggio z drugiej strony wysadziliśmy jakieś składy amunicji. Łuna od strony Biaggio stoi na pół nieba.

Widz wraca do rzeczywistości. To nie feeria — to

*Góra klasztorna  
mieni się wybuchami  
pocisków*





wydzieranie zwycięstwa. Niech wyskoczy temu niemieckiemu ścierwu cała amunicja! Niech nie mają czym strzelać! Niech cołgają się, koziółkują ze skłónów, uciekając w dzikim popłochu! Ogniu i huku! — patronuj piechurowi, czyść przed nim drogę, niech nietknięty idzie przez zapaści.

Bo wiemy — oto teraz niektóre wysunięte części trzeciego baonu, niektóre wysunięte plutony dwunastego pułku ułanów, wżarte tam, kędy tych przed nimi spotkała zguba, śmierć bezsilna — cofają się cicho ze skłónu, aby dać artylerii własnej obrobić bliskie cele.

Tam, gdzie siedmdziesiąt jardów od siebie tkwili — cofną się. Bij ogniu! Szarpeie rozpryski! Przeorz ziemię artylerio, stratujcie w krwawą miazgę plac móździejze — dla zwycięstwa!

Artyleria niemiecka przychodzi do głosu — wezwały ją te czerwone rakiety \*) . Móździejze ich, sfora czujna, orzą dolinę. Błyski po niej wyskakują od rozprysków. Gdzie błysk — tam chwyt zębami.

Godzina 1. Piechota rusza. Meldunek o wyruszeniu natarcia nadany z 15. baonu o godzinie 01.01, przeszedłszy stacje pośrednie brygady, dywizji, Korpusu, otrzymała 8. armia o 01.03. — w dwie minuty później.

Rozpoczyna się natarcie, które kod 8. armii nazwał „Honker” — krzyk dzikich gęsi, kiedy wracają do kraju.

Czy dając nazwę natarciu — nie myśleli Anglicy o żołnierzu, który spod Koła Podbiegunowego, z puszczyń Irackich, Syryjskich, Libijskich — idzie do Kraju?...

\*) *Przypisek po bitwie*: po pierwszym natarciu znaleziono przy zabitym oficerze niemieckim mapę ogni artyleryjskich, co pozwoliło odtworzyć system tych ogni w noc z 11 na 12 maja. Ognie niemieckie były dosyć skomplikowane, bo dwie ich grupy artyleryjskie — w Biaggio i w dolinie Liri trzeba dopiero zgrywać przez wszystkie pośrednie stopnie w zależności od tego, czy miały strzelać na korpus XIII w dolinie Liri, czy na naszą piechotę, czy na naszą tyły. Na skutek tego musiał upłynąć czas dłuższy, potrzebny dla uruchomienia pełnych ogni artylerii niemieckiej na nasz ośrodek, w czasie którego dołączała stopniowo coraz większa ilość nieprzyjacielskich baterij

## (46) NA PUNKCIE DOWODZENIA DYWIZJI

Z chwilą, kiedy rozpoczęło się natarcie, postanawiam pójść na punkt dowodzenia — w tym schronie przy dowództwie dywizji.

Wracam sam. Trzeba wprzód osiągnąć szczyt. Tuż nad nim idzie fala pocisków od baterii na przeciwskłonie, strzelających przez szczyt. W powietrzu nad głową słychać jakby rwący potok. Przypomina mi się, jak przechodziłem pod wodospadem Niagary między skałą a spadającą wodą. Jest nieprzyjemnie z każdym krokiem podnosić się wyżej, leżeć głową w ten potok stali rwącej nad ziemią.

Szczyt przebywam — na wszelki wypadek — przygarbiony i zastanawiam się, czy bardzo by się ze mnie śmieli fachmani, czy może przyznaliby rację. Pytałem potem i otrzymałem odpowiedź jak zwykle od fachmanów: jedni, że mogłem oberwać, a inni, że mógłbym przejechać przełęcz jak Hannibal — na słoniu.

Bóg z nimi, bo teraz począłem mieć inne zmartwienie: działa za przeciwskłonem poczęły na mnie strasznie błyskać i dmuchać. Idę wzdłuż taśmy i pamiętam, że muszę wleźć prosto na lufę strzelającego ciężkiego działa. Cieszę się, napo-





tykając dwie figury ludzkie. To major angielski, będący oficerem łącznikowym przy dywizji i szef sztabu, ppłk Maleszewski; wyszedł z punktu dowodzenia w dole, gdzie jest jego królestwo, popatrzeć na tę noc Walpurgii.

Idziemy w dół — na strzelające działa. Ostatnie kroki przed baterią i ostatnie jej salwy przebyłem, pochylając korpus wprzód, zatykając uszy i otwierając usta, żeby mi bębrenki nie potrzaskały...

W punkcie dowodzenia uwija się dwóch „zbójców” — kapitanowie Żebrowski i Pawlak. Mówią, że Karpacka też już ruszyła, że natarcie francuskie (Francuzi przyjęli inną taktykę — ruszyli równocześnie z nawałą, więc dwie godziny przed nami) idzie bez oporu, że 10. i 28. brygady angielskie przekroczyły rzekę, że straty mają małe, że mosty są w porządku \*).

Pokój dowodzenia jest mały. Na zewnątrz obłożony workami. Wchodzi się przez warstwę koców. Kilka aparatów radiowych i telefonicznych. Ma się wrażenie, że się leży gdzieś na dnie oceanu.

Na zewnątrz szaleje śmierć, zniszczenie, spiętrzenie maksymalnego wysiłku, wiry starć. Tu — przychodzą wiadomości blade, zmatowane, jakby przytłumione przez ten wojtek u wejścia, przez te worki z piaskiem.

Telefon ciurka sznureczek wiadomości:

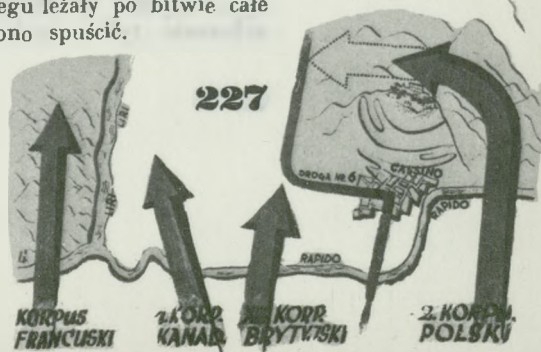
01,51. — „Paleta 2” — ośrodek łączności 4. PALU zniszczony.

01,52. — „Despota” przybył do rejonu (to 16. baon zajął już miejsca w jarze C — tyt. 72).

01,54. — Za 5 — 10 minut piechota musi być na Widmie.

02,00. — Francuzi wciąż posuwają się bez oporu? — rozmawia szef sztabu z dowódcą dywizji, który pozostaje na punkcie obserwacyjnym — dobra wiadomość!... Czy pan

\*) *Przypisek po bitwie.* W gruncie rzeczy XIII korpus miał na przeprawie ciężkie straty, położywszy kilka tysięcy ludzi. — Przez wąską w miejscu przeprawy na 15 metrów, głęboką i wartką rzekę Rapido przepłynęli wpław z linami pierwsi saperzy i ciągnąc się po tych linach począł cyrkulować łódzie — pod ogniem armatnim i małokalibrowym setki pokancerowanych łodzi niósł prąd w dół. Na brzegu leżały po bitwie całe zwalony podziurawionych łodzi, których nie zdążono spuścić.



generał ma jeszcze kawę? My tu ciągniemy herbatę — p. Wańkiewicz trzyma ogromny kubek...

Atmosfera beczynności, atmosfera dzwonu, z którego wypompowano powietrze przy ostrym poczuciu szalonego ciśnienia na zewnątrz jest tak ciężka, że wiadomość, że jakiś cywilny grubas trzyma kubek i siorbie herbatę jest ulgą i odprężeniem.

Kwatermistrz dywizji, mjr Jedziniak, ślania się po kąłach schronu jak senna mucha. Jego praca na razie skończona. Szef sztabu wyprawia go spać. Mjr Jedziniak chciałby wiedzieć, jak się atak przesila, ale rozumie, że tak się przesili czy owak, on, kwatermistrz, znowu jutro grać będzie dominującą rolę. I idzie spać.

A w zewnętrznym świecie coś się poczyna komplikować. Wiadomości są coraz przypadkowsze. Łączność baonów z brygadami się rwie. Łączność dywizji z brygadami się utrudnia.

2,05. — „Beton, beton... — wywołuje ppłk Maleszewski kodowym znakiem dowództwo 5. brygady. — Beton? Hallo Beton! Proszę bacę (baca — dowódca p. m.). Cholera! Wszystkie trzy baony nie mają łączności”!

Istotnie, łączność z baonami 1. rzutu zerwana; wiadomości przyjmuje się bądź od obserwatorów, bądź od artylerii i sąsiadów.

Na dobitkę któryś z kapitanów mówi do aparatu radiowego:

— My też, panie pułkowniku, leżymy z łącznością...

Ale znów coś skleili.

02,14. — Hallo — 3. ? Tu ster (według kodu: „szef”) 5.

...że Hannibal (p. m. 593) umarł?

...natarcie ruszyło na gardziel?

...

...ale Hannibal nie jest jeszcze pewien?...

...u nas ruszyło, ale łączność z baonami zerwana. Prawe skrzydło senatora (p. m. ppłk Kamińskiego, dowódcy 13. baonu) szarpnięte (tyt. 75).

Coś tam na zewnątrz się kotłuje, coś się staje, a tu w schronie tylko wskazówka zegara posuwa się nieuchronnie



naprzód; na stole przed każdym z nas świeci martwą białością — plan natarcia, rozkład tej nocy majowej.

02,21. — No, minutowy plan za 5 minut bierze w łeb — mówi ppłk Maleszewski.

Mówi to spokojnie, z uśmiechem. Jeśli plan bierze w łeb, to jest przykro, ale to nie znaczy, że w łeb bierze natarcie. Kiedy pociągi się spóźniają, nie oznacza to, żeby komunikacja była zawieszona.

02,23. — Meldują ze stacji pośredniej łączności w Villa, że nie mogą linii poprawić, bo cała droga obłożona ogniem: wyjdą jak tylko ogień się przesunie \*).

Meldunki poczynają się plątać.

02,26. — Baon 2. zajął 593. Zażądał ogni na 569 i rusza do natarcia.

02,40. — Prawe skrzydło 13. baonu wchodzi na Widmo.

02,47. — 569 zajęte! Odwołane... Potem znowu potwierdzone. I znowu odwołane...

02,59. — Gardziel zajęta... Potem znów ta wiadomość odwołana \*\*).

Na tych wiadomościach cierpi najbardziej artyleria. Skoro rozkład czasu się zepsuł, musi ona przystosowywać się do warunków istniejących; ma na to obserwatorów, posuwających się z natarciem. Ale coż zrobią obserwatorzy, kiedy ich stacje radiowe zostały porozbijane. Byli tacy wśród nich, którzy machnęli ręką na swoje obowiązki artyleryjskie, wzięli karabin w dłoń i poprowadzili natarcie w zastępstwie poległych oficerów piechoty.

Z punktu obserwacyjnego przyszedł gen. Sulik. On decyduje,

---

\*) Po bitwie sprawdzałem — jak to było. Telefoniści wypadali raz po raz, naprawiali. Mieli rannych. Kiedy ogień nieprzyjacielski się wzmógł do niesłychanego natężenia, znów linię przerwał, z dywizji przyszedł niecierpliwy rozkaz. Patrolowy wziął torbę z narzędziami: „Mam umrzeć, panie poruczniku!” i skierował się do drzwi. W pytaniu nie było protestu — było stwierdzenie faktu. Oficer zreflektował się, zatrzymał, powiadomił dywizję; po kilku minutach, istotnie naprawili linię.

\*\*) Dopiero wyjechawszy na teren walki zrozumiałem tę sprzeczność meldunków. Skoro kompania zajęła obiekt i poszła dalej, można go było uważać za zajęty. Skoro jednak odezwały się przyczajone z tyłu bunkry, które kompania minęła, teren okazywał się w dalszym ciągu trzymany przez nieprzyjaciela.

czy kłaść ogień czy przenosić. Nie chciałym być w jego skórze.

03,25. — potwierdzają meldunek z godziny 02,33, że Widmo istotnie zajęte...

— No, to według rozkładu — mówi gen. Sulik.

— Za piękne to, aby było prawdziwe — mówi ppłk Maleszewski.

Nic nie wiadomo... Kiedy wchodzący uchylają płachty, podmuch wpada na rozłożone rozkazy, plany ogni i zrzuca je ze stołu.

03,29. — 1. baon zatrzymany ogniem przy wejściu na Miskę.

No, a w ogóle — nic nie wiadomo...

Szef sztabu poczyna opowiadać jakąś anegdotę o proboszczu wiejskim. Anegdoty ze swego kąta nie słyszę, tylko słyszę, że powtarzają się jakieś słowa „rym-cym” i wszyscy się śmieją. Bardzo chciałym się śmiać i ja i zazdroścę; śmiałym się na pewno — wdzięczny za pęcherzyk z tlenem — w tym kloszu; śmiałym się na pewno.

03,36. — płk Orski od swojej łączności artyleryjskiej otrzymuje wiadomość, że Niemcy z Cassina uderzyli na 4. dywizję angielską; wszyscy oceniają tę wiadomość jako bluff i przestają się nią zajmować.

03,37. — Brygada 5. po raz nie wiem który potwierdza, że Widmo zajęte. Ppłk Kamiński widział sygnał swojej kompanii na lewej osi natarcia, potwierdzający zajęcie.

Znowu wiadomości zamglają się. O 03,45. gaśnie na dziesięć minut światło elektryczne. Siedzimy przy naftowych lampach. Łączność znowu nawala. „Dużo głupstw w życiu zrobiłem, ale jedno dobrze — że w łączności nie służę” — mruczy ppłk Maleszewski.

Wieści niejasne, oscylując w tę i w tamtą stronę, jednak mówią, że St. Angelo — nie zostało zdobyte, że Gardzieli — nie sforsowano, że... Widmo, właściwie, nie jest opanowane.

Ta ostatnia wiadomość przychodzi o 04,03. Wiadomość — o nieopanowaniu nawet pierwszego przedmiotu natarcia 5. dywizji. Ale Karpacka też tylko połowicznie opanowała pierwszy przedmiot swego pierwszego natarcia — Gardziel o czym zresztą nie było wiadomości.



Przez duszne powietrze schronu idą ciężkie słowa-narady. Trudno będzie posuwać się, jeśli St. Angelo nie będzie zajęte...

— Kamiński mógłby...

— Ale trzeba by za nim batalion postawić.

Anglik, kiwający się na zydelku, otwiera senne oko:

— *Hard fighting...*

Nagle ekscytacja spada — twarze są szare — wszyscy są zmęczeni.

— Pan generał poszedłby się przespać... — mówi ppłk Maleszewski.

— Pójdę jeszcze na punkt — mówi jakimś zmatowanym głosem gen. Sulik — nim dojdę, będzie widno.

Szef sztabu krząta się z dyspozycjami: żeby dobrze ukryć przed świtem „Despotę” (16. baon), żeby ppłk Raczkowski ze swoim 1. baonem zawinął ogon za Stoczkowskim (15. baon) i zrolował.

Wiem już co to znaczy.

— Już prawie na pewno trzeba będzie montować nowe natarcie — wchodzi w moją myśl ppłk Maleszewski.

Jest piąta rano.

Batalion 13. melduje gaz.

— Bujda! — irytuje się w telefon ppłk Maleszewski — ja tego nie będę puszczał dalej. Lotnictwo? — Cóż lotnictwo na tak bliskim dystansie? Nic bezpośrednio nie pomoże. Musicie Widmo zająć.

Gen. Sulik chwytą za telefon, połączony z 5. brygadą:

— Dajcie bacę! Panie pułkowniku, co tam z Kamińskim? Muszą iść naprzód! Położyć koncentrację moździerzy, gdzie idzie twardo i iść naprzód! Przecie jest silne wsparcie artylerii! Nakazać Stoczkowskiemu (15. baon) iść po stokach na pomoc Kamińskiemu! Przecie dzień się robi!

Staje się jasnym, że artyleria nie porozbijała stanowisk niemieckich, że piechota niemiecka przeczekwała nawałę \*).

\*) *Przypisek po bitwie*: Nie uległy zniszczeniu moździerze po jarach, których nie mogła zwalczyć płasko strzelająca artyleria. Nie mogły ulec zniszczeniu ciężkie 172 działa niemieckie, strzelające na 30 kilometrów, będące poza zasięgiem nawet ciężkiej artylerii alianckiej.

Moździerze ciężkie niemieckie miały większy kaliber i były donośniej-

Pptk Maleszewski próbuje coś zaradzić na niemiecką artylerię, telefonując do naszego prawego sąsiada — Nowozelandczyków:

— *That is to kill them?* (to znaczy — mamy ich pozabijać) — informują się z humorem Nowozelandczycy.

— *Yes, to kill them* — rewanzuje się uśmiechem szef sztabu dywizji — a może możecie ich ostrzeliwać z szermanów?

Ale w dalszym ciągu napływają doniesienia o stratach. Gen. Duch komunikuje, że 1. baon ma 70 % strat. 8. armia donosi, że liczy się z uderzeniem na prawe skrzydło Wileńskiej brygady. Nasze oba baony (13. i 15.) meldują 40 % strat. Z Drogi Polskich Saperów telefonują prosząc o pozwolenie zrzucenia czołgu (tyt. 83) do przepaści.

— Nie! — nie zgadza się gen. Sulik — nie pozwalam zrzucić.

Dowódca dywizji, mimo nawału tych niepomysłwych wieści, nie chce rezygnować. Rozmawia z dowódcą Korpusu — jest przecie nadzieja, że kiedy 1. baon sforsuje Gardziel, natarcie pójdzie. Ale 1. jest obkładany ogniem z 575. Dowódca Korpusu obiecuje położyć koncentrację ognia artyleryjskiego na 575.

Wówczas gen. Sulik telefonuje do ś. p. ptk Kurka, dowódcy Wileńskiej brygady:

— Straty muszą być mniejsze! Po prostu, żołnierze zalegają... W ciągu piętnastu minut omówić z dowódcami

---

sze. Ich „nebelwery” wywierały duży efekt psychiczny.

Piechota niemiecka przeczekwała nawałę w schronach nie-bojowych na przeciwstokach, mając w bojowych schronach tylko obserwatorów. Owe bojowe schrony, pobudowane z gładów, również nie obawiały się artylerii alianckiej (tzn. i polskiej), która nie rozporządzała pociskami z opóźnieniem; pocisk więc, uderzywszy w gład bunkra, eksplodował natychmiast na jego powierzchni, nie przynosząc szkody.

W czasie akcji również piechota niemiecka nie mogła mieć strat naszej artylerii ani w krótkim dobieganiu do stanowisk bojowych (zwłaszcza, że niemal nie strzelaliśmy pociskami rozpryskowymi), ani zwłaszcza potem, kiedy celowo wpuściła naszych żołnierzy między bunkry, które w ten sposób zaasekurowały się od naszego ognia.

Samolotów też z powodu bliskich dystansów jednych od drugich — nie można było użyć.



baonów, kiedy mogą ruszyć. Macie jeszcze 14. i 16. Wasz termin muszę podać gen. Duchowi, aby zsynchronizować.

Pptk Maleszewski jednak uważa, że trzeba dopiero zmontować nowe natarcie, co będzie kwestią kilku godzin. Należy zdjąć ogień z przedmiotów, zostawiając tylko nekający ogień po moździerzach i należy położyć ogień zaporowy \*).

Jest godzina 6 minut 45. Ktoś nastawia radio na Londyn.



Ludzie o spopielałych twarzach słyszą przy końcu komunikatu: „Na froncie włoskim — nic godnego uwagi”.

*\*) Przypisek po bitwie: I wówczas bataliony na Widmie otrzymują rozkaz skonsolidowania się dla natarcia, wyznaczonego na godzinę 15.*



## (47) NA GŁÓWNYM PUNKCIE OPATRUNKOWYM

Godzina 7. Odstonięto wejście do naszego schronu. Płk Orski mówi, że same tylko 3 pułki Kresowej wystrzeliły 25,000 pocisków, nie licząc moździerzy, że na działo wypada 365 wystrzelonych pocisków. Zda się, otworzony nasz schron — paruje tymi wystrzelonymi pociskami, napięciem całonocnym. Wychodzę na zewnątrz. Światło sący się przez mglisty dzień, nad nami ciągnie srebrzysty klucz „Liberatorów”, wracających z wyprawy nocnej na głębokie tyły. Bezpośredniego wsparcia, niestety, próżno wypatrują walczący żołnierze \*).

Naliczam 110 maszyn. Wolę patrzeć w niebo i liczyć cało powracające maszyny, niż patrzeć w dół, gdzie z doliny Interno ciągnie z G.P.O. sznur sanitarek. Nikt jeszcze po tej dolinie nie jechał tak wolno, jak te wozy nabrzmiące cierpieniem. Wszyscy tu się maskowali i przemykali — sanitarki jadą wolno, rozwiesiwszy wielkie flagi Czerwonego Krzyża, pokrywwszy się czerwonymi krzyżami, niemo świadcząc wobec drapieżnego szczytu Cairo, który pochylił się nad drogą — wczoraj szczytliwą, dziś — Drogą Bolesną i milezy.

G.P.O. — główny punkt opatrunkowy — jest pierwszym punktem, na którym dokonywuje się operacyj. Na B.P.O. — batalionowym punkcie opatrunkowym — najwyżej nałożą drogą warstwę waty na przesiąkający krwią opatrunek założony przez sanitariusza na miejscu oraz zastrzykną morfinę. Na W.P.O. — wysuniętym punkcie opatrunkowym, który jest

\*) Samoloty bezpośredniego wsparcia wylęciały w tym dniu 12 mają dopiero po rozsiaaniu się mgły, o godzinie 9.

Wsparcie bezpośrednie 2. Polskiego Korpusu wyraziło się w tym dniu w 216 lotach. Jeśli wziąć pod uwagę, że bezpośrednio wsparcie lotnicze dla reszty 8. armii wyraziło się cyfrą 202 lotów i dla 5. armii — 304 lotów, to zobaczymy, że dla Polaków, jako atakujących najtrudniejszy teren, oddano 43 % wsparcia całego walczącego frontu.

Coś kiedy ze względu na bliskość pozycji polskich i niemieckich nie można było rzucić ani niemieckiej piechoty ani nawet niemieckich moździerzy. Tylko 20 lotów było skierowanych przeciw moździerzom, tylko 12 na niemieckie przeciwciężce, a tylko 167 na zwalczanie niemieckiej artylerii i 24 — na klaskos.



więcej stacją załadunkową, niż szpitalem — najwyżej napoją rannego i, jeśli już koniecznie trzeba „obetną mu kozikiem kończyń, zwisającą na kawałku skóry”. Dopiero jeśli dobrnie do G. P. O. — podreperują go zasadniczo.

Dlatego G.P.O. — powinno być już na spokojnych tyłach. Ale szef służby zdrowia Korpusu, płk Dietrich wie, co znaczy szybka pomoc, wie, że akcja odbywa się w górach, skąd i tak znoszenie rannych jest opóźnione. Po naradzie więc z szefem służby zdrowia Kresowej, mjr dr Kaczanowskim, wypchnął G.P.O. pod zasięg artylerii przeciwnika, wykorzystał, po naradzie z artylerią, martwe pole obstrzału. Pomimo to ryzykuje stratę własnego personelu, gdyż to uratuje życie dużej ilości wykrwionych i zszokowanych rannych. I dlatego też tu zaraz umieścił czołówkę transfuzyjną.

Butelka „Bristol” z krwią konserwowaną. — to jeden z potężnych czynników w tej wojnie. Ktoś powiedział, że wojnę wygrywa pięć „B”:

Bayley — most przenośny.

Bull-dozer — pług niwelujący teren.

Bantham — wszędzie dochodzący środek transportowy.

Beef — wszędzieobecna, portatywna, uniwersalna żywność dla żołnierza.

Bristol-bottle — butelka z krwią skondensowaną.

Jest to jeden z cudów, do których domacuje się ludzkość z pomroki lat — aż nagle Myśl, utajona w mętnych próbach, wykwiła płomieniem.

Ta myśl błąkała się, kiedy Egipcjanie poili wykrwawionych żołnierzy krwią bydlęcą, tej myśli doławiali się, na próżno, uczniowie Hippokratesa, za tą myślą szedł francuski lekarz Denis, kiedy w 1666 r. wprowadził krew jagnięcą szesnastolatkiowi wykrwawionemu dwudziestu leczniczymi puszczaniem



*Płk Dietrich*



*Główny punkt  
opałunkowy*



krwi, tę myśl w 1819 r. rozwinęli Amerykanie, po raz pierwszy transfuzjonując krew ludzką, za myślą tą szły próby w wojnach 1866 i 1870, ale w wielkiej ilości nieudane i poniechane.

Myśl — idzie przez wieki jak kaganek, jak on — przygasa.

Rozjaśniły go w 1900 r. odkrycia wiedeńskiego uczonego Landsteinerja o właściwościach zlepnych surowicy krwi. Przy wlewaniu obcej krwi działo się coś niesamowitego: we własnej krwi zlepiały się i zbijały ciątka czerwone, zaczopowywały naczynia, co powodowało śmierć.

I wreszcie w 1910 r. — buchnęło światło. Warszawski uczoney, prof. Hirszfeld, ustalił cztery grupy krwi, ustalił, że dobierając odpowiednio grupę krwi dla transfuzji, można ją bezpiecznie wykonać, ratując chorego.

W tamtej wojnie światowej — już korpus ekspedycyjny amerykański poszedł po ścieżynie zanikłej w 1819 i w pełni stosował transfuzje.

Wojna domowa hiszpańska zrobiła wielki krok naprzód — magazynując krew konserwowaną w zatapianych ampułkach.

W laboratorium urządzonym z maksimum ostrożności antyseptycznej, w ambulatorium, którego ściany raz po raz są zlewane płynem aseptycznym, jeden jedyny pracownik, z maską na twarzy, w rękawiczkach, wlewa do „butelki Bristol” krew. Na dnie butelki już czeka roztwór cytronianu sodu, hamujący krzepnięcie i fizjologiczny roztwór glukozy — czynnik odżywczy dla krwinek.

Krew! — tajemniczy likwor odmładzający, krew — w której kąpać się i odmładzać kazała czarna magia, krew — na którą składano najmocniejsze przysięgi, krew — którą namaszczano domy mających ujść zagładzie, krew — która była najmiłszą ofiarą bogom, najsilniejszym kitem dziejów, łącznikiem rodów, przepaścią padającą między poważnionych, miarą pomsty i miarą odkupienia — jechała pogrupowana, ponumerowana, poracjonowana w butelkach „Bristol”.

Korpus Polski bijący się o Monte Cassino miał na każdym szczeblu sanitarnym od G.P.O. w górę oficera transfuzyjnego, Korpus miał dwie czołówki transfuzyjne, rozporządzające składnicami-chłodnicami. Krew w butelce jest dobra tylko przez 3 tygodnie. Co dzień przed punktami pobierającymi

Butelki „Bristol”





krw w dalekiej mglistej Anglii stoją kolejki dziewcząt bezinteresownie dających swą krew.

Co dzień z angielskiego *Blood-Bank* (składu krwi) we Włoszech przyjeżdżał do polskich czołówek transfuzyjnych łażik, z termosem zawierającym butelki „Bristol”.

Nieprzyjaciel niezwłocznie pokwitował decyzję — wysunięcia do przodu głównego punktu opatrunkowego — przed trzema dniami na tym posterunku G.P.O. polegli lekarze Graber, Napora, ks. Huczyński i sanitariusz, ranni byli lekarze Mozes, Mazanowski i Pancer — i kilkunastu sanitariuszy.

Nie dał się zachwiać płk Dietrich — odciągnął G.P.O. o parę stajni — tu w ten wążozik i kazał mu zostać. Przed akcją



Składnica krwi



— naczelny chirurg Korpusu — gen. Szarecki — sam przyjechał i stanął do pracy na tym najbardziej wysuniętym posterunku operacyjnym.

Znowu spotykam ś. p. dr Rymkiewicza \*), znowu krew na lekarzach; — mówi mi, że dr Szarecki, liczący siedemdziesiąt lat, stoi już całą noc przy stole operacyjnym (stał tak i cały dzień i całą noc następną).

Przy G.P.O., z powodu jego masakry, pracuje dodana czołówka operacyjna angielska \*\*).

\*) Poległ w operacji adriatyckiej.

\*\*\*) Oto urywek z angielskiego listu: „Teraz pracujemy z Polakami.



Gen. Szarecki

Na stole operacyjnym strzel. Kaca, twardy Ślązak z 15. baonu. Ręka poszarpana, kość strzaskana — leży na stole bez narkozy, pali papierosa w czasie operacji. Dr Szarecki operuje.

Wzdłuż noszy z ciężko rannymi, ustawionych pod ścianami namiotu idzie dr Skorczyński — kierownik czołówki transfuzyjnej.

Ma ściągnięte brwi — trzeba szybko i stanowczo administrować życiem ludzkim. Nie ma czasu na badanie ciśnienia, nawet na liczenie pulsu. Patrzy po twarzach. Po skroniach, na które zasuwają się siność. Po czołach, na których występuje pot. Słucha — w przechodzie — oddechu i ręka wykonywuje nieznaczny gest. Postępujący za nim sanitariusze chwytają wówczas za nosze i wynoszą na tamten brzeg Styksu — do namiotu transfuzyjnego.

Jest półmrok. Ciężko ranni są nieprzytomni. Nikt nie prosi o ratunek. Biały fartuch doktora przesuwają się bezszelestnie jak anioł śmierci.

Milczące jego sługi — przede wszystkim „doprowadzają rannego do porządku”. Rozcinają ubranie, czyszczą brud, podkładają suchy koc, by nie leżał w kałuży krwi, nakrywają kocami, wstawiają pod zwisające koce piecyk naftowy, rozgrzewają chorego, poją dziobkami gąsiorków, jeśli na to stan jego pozwala.

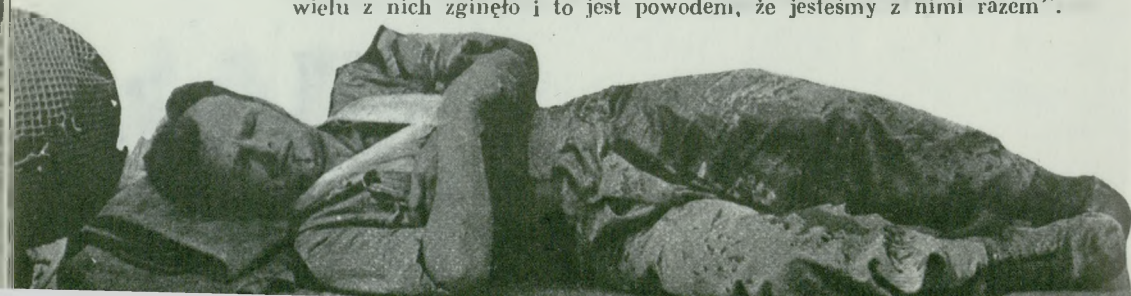
W namiocie transfuzyjnym — napięcie cichego misterium. W półcieniu dwanaście leżaków, na nich ludzie, w których z rezerwarów umieszczonych wysoko — wsącza się krew.

— Ile tego się wleje? — pytam szeptem, stając przy pierwszym leżaku.

— Półtora litra krwi i litr glukozy — odpowiadają również szeptem.

Ale to jest mała dawka. Ten ranny będzie leżał tylko 85 minut. Pierwszą butelkę „Bristol” (są to półlitrowe butelki) wleje mu się w ciągu 10 minut — bo organizm jest spragniony i chłonny. Drugą — w ciągu 30, trzecią w ciągu 45

Jest wielce zabawne czasem jak się usiłujemy porozumieć. Mimo tego są bardzo pomocni i nic nie jest dla nich trudnością. Wierz mi, że oni wkładają swe serce i duszę w swą pracę i są przejęci myślą o walce wspólnie z angielskimi chłopakami. Oni mieli dwie sekcje chirurgiczne, wielu z nich zginęło i to jest powodem, że jesteśmy z nimi razem”.





minut, by nie przeciążać serca. Są tacy, w których śący się krew do 12 godzin.

To stąd — ta ściągnięta brew doktora, gospodarującego dwunastu leżakami, czasem, który nie czeka i życiem.

Patrzę, jak ranni, leżący bezwładnie jak ścięte kłody, zwolna wracają do życia. Spragnione tlenu centralne zwoje nerwowe przestają się dusić — twarze zaróżwiają się. Ranny otwiera oczy — wzrok jego pada na butelkę, zwolna rozeznaje, że ta butelka ma jakiś związek z jego ciałem. Do zanemizowanego mózgu dopłynęła już krew.

— Panie doktorze, co to jest?

Anioł śmierci materializuje się nagle i mówi ciepłym ludzkim głosem:

— To — krew. Będziesz miał w sobie krew pięknej dziewczynki angielskiej.

Chory przymyka oczy. Szok zwolna mija. Jest mu sucho i ciepło i słyszy ludzki soczysty zwykły głos, który mówi rzeczy nieważne, nie zmuszające do wysiłku, płynące obok jak dobra woda, jak łaskawe powietrze.

To dopiero potem, na stole operacyjnym, będzie pytał o swój stan. Teraz — przymyka oczy i ostrożnie, pokornie, wytrwale dba o pierwszą sprawę — powrotu do istnienia.

Ciała tych ludzi długo i bezsilnie broczyły po samotnych żłobach. Dusze ich już szły w zaświaty. Spotkała je Wiedza i zawraca do ciała.

Cicho, długie kwadransy wsącza się krew.

Na boku trzech biedaków, o których nie wiadomo, czy Wiedza będzie miała czas podejść do nich wziąć za rękę i odprowadzić z powrotem do świata żywych. To — ci, którym pociski poprzerywały powłoki brzuszne, wywalając jelita. Zabieg otwarcia jamy brzusznej, przejrzenia i wycięcia poszarpanych jelit i zapakowania ich z powrotem do jamy brzusznej, wymaga do dwóch godzin czasu.

Dla chorych nie szczędzi się nic. Bywali ranni, którzy





otrzymywali penicilliny za grube tysiące dolarów.

Ale dwie godziny czasu chirurga w to krwawe żniwo nie ma w ogóle ceny. Nosze z biedakami odstawia się na bok, aby „czekali kolejki, aż się innych załatwi”. Jest to eufemizm. Bo wiadomo, że nie załatwi się ich nigdy. Głuchy grzmot armat mówi, że każda chwila na to pracuje, aby kolejka nie skończyła się nigdy.

Upart się stary chirurg, wyszparował czas, wziął na stół, pozaszywał brzuchy. wepchnął w życie tych, co już leżeli w grobie. Kiedy potem, zwiedzając szpitale, szedł przez wypełnione sale, wyciągały się do niego ręce — to go witali ci, uratowani.

Przed namiotami leżą czekający na ewakuację. Przeszedł już tędy mjr Chomiński z 4. PALU, ranny w rękę, z przebitym hełmem. To była pierwsza moja wiadomość po przyjeździe na punkt dowodzenia — że „Paleta 2 zniszczona”. Teraz poczną się sprawdzać żywymi znakami w ludziach, żywymi znakami w terenie bezcielesne meldunki nocne.

Przeszedł już przez ewakuację kpt. Kuźba z 10. saperów, ranny w twarz i ranni porucznicy Słuczanski, Kurau, Dziedzicki... Bezpłodny trud notować nazwiska — to nie wypadek samochodowy, nie wybuch prochowni, nie żadna katastrofa, która się zdarzyła i przeszła, to jest sprawa — która trwa.

Żołnierze lżej ranni, pokrwawieni, brudni, w mundurach porwanych przy czołganiu się, chciwie zaciągają się papierosami. Zabawne: biorąc papierosa, trzaskają obcasami z wojskowym fasonem — te obdartusy, którym oczy goreją.

Zaciągają się dymem z pełnym poczuciem zadośćuczynienia, że wracają w normalny świat. Mówią o poległych — już wiadomo o kpt. Swieściaku, o kpt. Janickim — ale prawdę trzymają jeszcze te góry, huczące kanonadą.

„Narzęliśmy szwabów!” — mówią żołnierze. Opowiadają o rozwalonych bunkrach. Nie podejrzewają — że atak się załamał. To są ci ranni — z najpierwszej fazy.

Zajeżdżają sanitarki. Nowy transport siada, by jechać drogą na *A c q u a f o n d a t a*, drogą, na której wiszą tabliczki „nie bądź głupi — nie daj się zabić”. Oni nie byli głupi — nie dali się zabić. A ta droga. dosyć straszną dla wjeżdżających,



Kpt. Kuźba



Kpt. Słuczanski



jest drogą najprzystulniejszą w świecie dla wyjeżdżających długim sznureczkiem ewakuacji sanitarnej: przeszli już B.P.O., W.P.O., G.P.O. — obecnie przejdą przez C.C.S. (tył. 100), przez punkt przeładunkowy w Bojano, przez szpital tranzytowy w Campobasso, przez punkt przeładunkowy do pociągów sanitarnych w Termoli — aż w dół buta włoskiego, do szpitali w okolicach Motoli.

Ci, gramolący się samodzielnie do sanitarek — wrócą przeważnie do oddziałów.

lunych niosą. Odrzucone twarze, trawione cierpieniem. Twarze szerniaste, z których wytrawiło się wszystko ziemskie. Czoła jaśniejące blaskiem. Chłopskie twarze o wydatnych kościach policzkowych, surowe, ekstatyczne.

Ci ludzie są przeważnie w szoku. Dobroczynny szok — naturalna morfina organizmu.

Wielu z nich znajdzie się na protezowaniu w Anglii. Wielu — na koloniach inwalidzkich w Południowej Afryce. Ale szok minie, prawda — zostanie.

Ruszył krwawy kondukt, wiewając ślepiom Cairu czerwonymi krzyżami flag.

Pod prąd kolumny przedzierał się łazik; to z odprawy wracał mjr Baczkowski — dowódca 17. baonu stacjonowanego w tym tu przepiórczym wąwozie — jedyne batalionu Kresowej dywizji, niezaangażowanego tej nocy.



Na stoku, na którym się mieści dowództwo dywizji w klatce ogrodzonej, którą przygotowano dla jeńców, coś się rusza. Tak, są już i jeńcy.

W małym namiocie właśnie odbywa się badanie. Zgięty pod ukośnym dachem małego namiotu, starając się w tej postawie stać na baczność, zeznaje jakiś starszy strzelec. Nasz oficer wywiadowczy bezskutecznie usiłuje od niego coś się dowiedzieć, wskazując mu mapę. „*Niemals die Karte in der Hand gehabt*” — zapewnia Niemiec. „Tuman!” — decyduje oficer. Istotnie, obdarty, nieogolony Niemiec nie wygląda zbyt „smart”. Ale zawsze — jest to starszy żołnierz, kolejarz, jak mówi, dopiero w marcu r. z. powołany do wojska. Wątpię, żeby się nie wyznawał na mapie.

— Następny!...

Chłopak, pilnujący jeńców z niekłamaną frajdą zagląda do klatki:

— *Gefreiter — komm hier!* Usiłował gadać kolejno po rosyjsku, po persku, po arabsku, po hebrajsku, po angielsku, po włosku — teraz szykuje się do gadania po niemiecku. „Ale potem, to już znowu tylko po polsku” — śmieje się.

Wywołany gefrejtter jest ledwo żywy ze strachu. Degeneracka, głupkowata twarz. Na ilustracjach niemieckich zawsze widzi się dobre twarze żołnierskie — propaganda dba o to. W rzeczywistości bywa inaczej. Co prawda — to żołnierze setnego górskiego pułku — Austrijacy, którzy rozklejają się łatwiej.

— Ach, więc nie wiedziałeś, że macie przed sobą Polaków? Ale teraz już rozumiałeś, w czym jesteś ręką?

Oczy jeńca zabiegały psio, trwożliwie, pół przymilnie i pół porozumiewawczo:

— *Ja...*

— Po czym zaraz dodaje:

— *Ich bin kein Deutscher; Ich bin Oesterreicher.*

— A czy to co innego?

...kolejarz nie wygląda  
zbyt „smart”...





Wydaje się jakby pies przymilnie kręcił ogonem:

— Naturalnie, że Niemcy to całkiem co innego, — mówi skwapliwie.

Wszyscy oni są okrutnie wystrachani. Obergefreiter Luft z Oberfranken ryzykuje pytanie wprost: „Czy zostanę rozstrzelany?” Wartownicy, wyrozumiawszy pytanie, śmieją się pyzatymi gębami i poklepują Niemców uspokajająco. Piastowski i rolny naród ci Polacy. Dobrze mi z nimi i smutno.

Podchodzę do klatki, z której głębi patrzą na mnie trwożne oczy. Jeden jest ciężiej ranny — gefreiter Holzer z Klagenfurt. Jest ranny w nogę i w rękę, rękaw ma cały we krwi. On jeden został żywy z całej ich drużyny.

Austriacy przynoszą pierwsze wieści o wielkich niemieckich stratach, o jakimś batalionie spadochroniarzy, który właśnie o godzinie 23, kiedy nawała się rozpoczęła, drapał się od St. Lucia po przeciwstoku St. Angelo luzować 100. górski pułk. Według jenieckich opowiadań nic z tych spadochroniarzy nie zostało.

Słońce świeci prostopadle. Przez oćmę zielonych wiosennych liści widać wycinek *I n f e r n o*, tam gdzie na nie wychodzi przepiórczy wąwóz. W jaśniejącym oku tej zielonej perspektywy widać czarne figurki posuwające się gęsiego; to ruszył siedemnasty batalion do rejonu wyczekiwania.



## (49) A WIĘC I POLSKIE NATARCIE-ODPARTE

W dywizji znajdują wzburzenie.

Umówmy się co do terminów: ci ludzie są cały czas równi. Podają meldunki doskonale obojętnym głosem. Wymienia się nazwiska poległych przyjaciół, które już poczynają przychodzić, takim głosem, jakby się komunikowało, że poległy pojechał do przyległej *Acqua Fondata*. Ale gdy się jest z nimi, trzeba się nastawić na najczulszy sejsmograf — łapie się wtedy wyraźnie burzę, która rozgrywała się w tych ludziach.

Przyczyna wzburzenia — to wiadomość podana przez jednego z kapitanów z uśmiechem, że Karpacka donosi o otrzymanym meldunku od baonu 1. siedzącego na Głowie Węza, że rzekomo „na Widmie Kresowa pokazuje plecy”.

A tu łączność z baonami zerwana — nie wiadomo nic. Drogą okólną, przez łączność artylerii przychodzi tylko wiadomość, że tych na Widmie gnębi ogień z *Corno*. Dywizja telefonuje do 15. pułku ułanów poznańskich trzymającego *Castellone* i najbliższego, z którym można się połączyć — aby wyprawił patrol na Widmo i meldował o sytuacji.

Ale jest jasne, że trzeba wejść jak najprędzej w najściślejszy kontakt z polem walki. Jedzie na nie — zastępca dowódcy dywizji, płk Rudnicki.

Znowu jedna z sylwetek pokazanych we wstępnym prologu generalskiego kasyna — wstępuje do akcji w pełnym blasku jupiterów.

Płk Klemens Rudnicki, którego bliscy nazywają „Klimek”, był ciężko ranny w czasie zeszłej wojny nad Isonzo. Dowodził szwadronem w czasie odsieczy Lwowa. Maszerował do morza z Hallerem. Uderzał w grupie Romera na Koziatyn. Ranny pod Zwiąblem. Pościg za Budiennym. *Virtuti* za 1920 r.

We wrześniu 1939 jako dowódca 9. pułku ułanów małopolskich bierze udział w ofensywie na tyły Łodzi, walczy w bitwie pod Kutnem, przechodzi z armią Kutrzeby do Warszawy, trzymając powierzony swemu pułkowi odcinek obrony.

Kiedy przychodzi rozkaz kapitulacji, spełnia smutny obo-



wiązek dowódcy — wpłynięcia na młodszych oficerów, którzy meldują mu się, że rozkazu nie spełniają, że zaszarżują na wkraczających Niemców. Ten zamiar szarży trzeba przełączyć na inny bieg. Robi to. Zostaje zastępcą gen. Karaszewicz-Tokarzewskiego, osiada dla roboty w Krakowie.

Wojskowy — nie ma konspiracyjnej rutyny. Pieniądzy organizacja też nie ma. Z wykluwającym się za granicą rządem też nie ma łączności.

Rośnym świtem ścieżkami Podhala szedł z Węgier człowiek, którego poczęła ścigać niemiecka straż graniczna.

Człowiek przypadł do opłotków — w ogrodzie pracowała chłopka. Rzucił przez płot owiniętą papierem, obwiązana szpagatem paczkę:

— Oddajcie, matko, księdzu!...

Pobiegł dalej, dopadły go kule za wsią; poległ.

Kobieta przemknęła się na plebanię. Zbudzony proboszcz oczom swoim nie wierzył, znalazłszy w paczce milion złotych. W owych czasach złoty miał pełny i jedyny kurs. Skarb — zupełnie legendarny dla ubogiej podhalańskiej chłopki, dla ubogiego podhalańskiego proboszcza.

— Mówicie — zastrzelili go?

— A juści, ale ciało powieźli.

Sytuacja była jasna.

Proboszcz poszedł poradzić się dziedziczki. Zdecydowali, że trzeba szukać adresatów. Dziedziczka pół miliona pozaszywała w kiecki, więcej rady nie dała i pojechała przepytować do Krakowa. Poszła do metropolity Sapięhy, który ją zekpał i wyprosił za drzwi. Pewno — pieniądze nie były bezpieczne.

Przez znajomą, która u Urszulanek miała siostrzenicę trafiła do jej koleżanki. A koleżanka tej koleżanki była w organizacji. I „Klimek” miał pół miliona, a zaraz potem drugie pół.

Tak oto w tej Polsce podbitej — dosyć było pieniądze na walkę wrzucić bez adresu za pierwszy płot pierwszej napotkanej Polce.

12,30. — Pojechał płk Rudnicki i znów nic nie wiadomo.

13,35. — Ppłk Maleszewski rozumie, że bataliony, które były na Widmie, są niezdolne do akcji. Telefonuje do 15. pułku



ułańców, każe zbudzić dowódcę mjr Kiedacza, wysuwa koncepcję zastąpienia 15. ułańskim piechoty. To samo dzwoni do mjr Zakrzewskiego, dowódcy karpackiego pułku ułańców. Obaj dowódcy sądzą, że cała noc zejdzie na przemontowanie. Robi się wątpliwe, czy natarcie nawet na jutro rano będzie gotowe.

13,45. — Gen. Sulik telefonuje do Wileńskiej brygady. Długo słucha smutnego raportu ś. p. płk Kurka. Prawdę mówią raporty Karpackiej! Nie ma na Widmie Wileńskiej brygady!...

I na kawaleryjskie pułki nie ma co liczyć, żeby załatały sytuację natychmiast...

Gen. Sulik mówi:

— Więc niech dowódcy biorą w garść. Jeśli gdzie zabity — musi być zamieniony. Jeśli kto zawiódł — musi być usunięty. Ma pan pułkownik dwanaście czołgów — to potęga. Należy trzymać pozycje dotychczasowe.

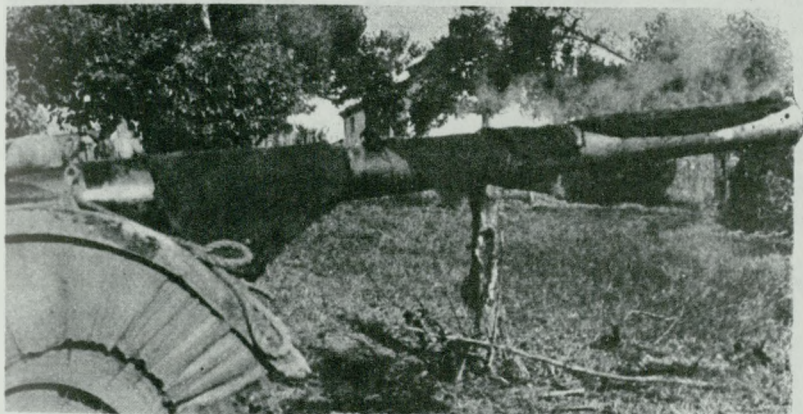
Gen. Sulik nie cierpi mówić autorytatywnym „drilłowatym” głosem. Więcej w nim ojca i gospodarza, niż „pistoleta”. Kiedy Rosjanie zaatakowali we wrześniu, martwił się po gospodarsku, zbierając swoje oddziały, obsadzające fortyfikacje wschodnie i — cóż ty zrobisz? — bił Moskali z początku za pewnym dobrym skutkiem. Potem, w kusej jesionce, przedzierał się — nie do rodziny, tylko w odwrotną stronę — po rozkazy do Warszawy. Otrzymałszy je, jechał prosto dalej, objął komendę nad tajną organizacją na Wileńszczyźnie — jako obywatel Ładyna, w tej kusej jesionce. Przed ćwierćwieczem na te same ziemie przyjechał organizować P. O. W. inny wyzuty z munduru oficer w marynarczynie z przykrótkimi rękawami; zwał się Lis-Kula.

Obywatel Ładyna, katowany w więzieniu moskiewskim w sposób zwierzęcy i okrutny, jak i dowódca Korpusu, jak i podkomendni, obywatel Ładyna, tworzący w stepach rosyjskich wojsko z widm ludzkich, stoi teraz przy telefonie, boleje i zda się, chce powiedzieć: „Kochany, trzeba trzymać pozycje — tak cóż ty zrobisz?”.

Słońce toczy się leniwo. Leniwo przesiakają złe wieści. Dowódca 1. brygady Karpackiej dywizji, płk Peszek, ranny; brygada — ściąga z Głowy Węża, po sześciu przeciwnatarciach



ustąpiła z 593. Niemcy zapalili skład z naszą amunicją moździerzową; — wyleciało w powietrze 3,500 sztuk — cały zapas kwatermistrza mjr Jedziniaka. Działa grają jak oszalałe.



*Aż parują mokre szmaty na rozpalonych lufach.*

Jeszcze nie zebrane elementy. Dzwoni płk Rudnicki, który z ramienia dowódcy dywizji objął na miejscu dowodzenie nad całością. Baony 13. 15. 18. wykrwawione tej nocy mają być ściągnięte do tego małego przepiórczego wąwozu, w którym mieści się G. P. O., w którym ledwo się mieścił 17. baon.

— Sądzę, że wszystkie trzy tam łatwo się zmieszczą — mówi smutnym głosem gen. Sulik.

W Korpus — uderza z niższych szczebli ciężki nastrój. Dowódca Korpusu w milczeniu przyjmuje meldunki. Wreszcie, kiedy mu meldują, że w jednym z baonów pozostało 15 żołnierzy, po raz pierwszy traci cierpliwość:

— Nieprawda! Ja w to nie wierzę...

Poczyna wydawać zarządzenia. Ale każda koncepcja — użycia odwodów, konsolidacji, osłonięcia odwrotu jednych oddziałów przez inne — jest uważana za niewykonalną.

Generał Anders nie podtrzymuje tych rozmów. Schodzi z punktu obserwacyjnego Korpusu do punktu dowodzenia — skupiony na stworzenie rzeczywistego obrazu sytuacji.

O godzinie 19 minut 30 rozlegają się dźwięki „Pierwszej Brygady”. Rozlega się lukrowany głos Wandy: „Kochani rodacy, zapowiadamy wam dziś miły i przyjemny wieczór”.

Istotnie — wieczór zapada nad pobojuwiskiem, na którym konają ci ranni, których nie zdążono ewakuować.







NATARCIENA 593



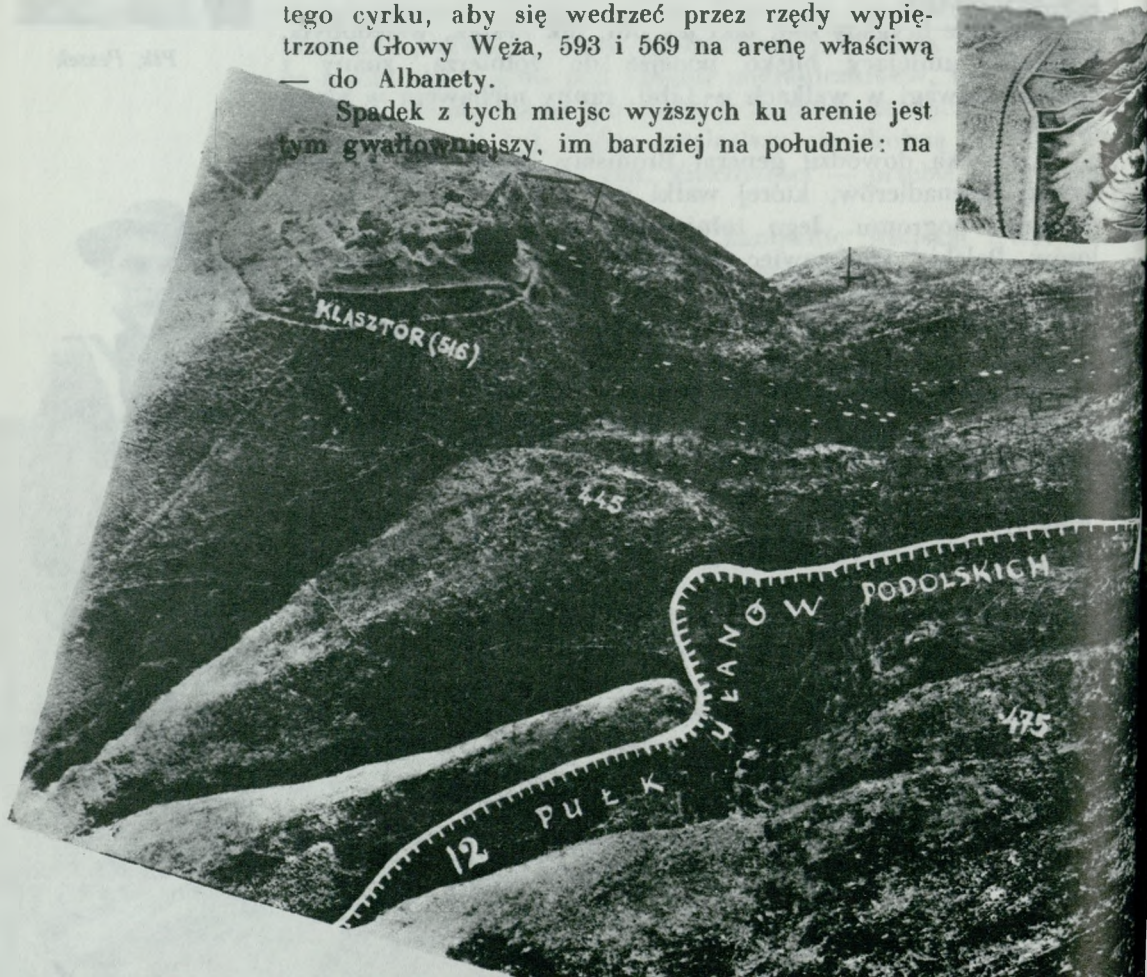
## (51) Z A D A N I E 2. B A O N U

Zadanie 2. batalionu — zdobyć wzgórze 593, następnie 569. Bratni 1. batalion ma zdobyć Albanetę. Kiedy zostaną stłumione ognie tych wzgórz — oba te baony zaryglują się na pozycjach — a przez nie przejdzie 2. brygada — na Klasztor.

Wzgórze 593 — to wysoki skalisty teren pokryty resztkami jakichś murów, głazami, paru rachitycznymi drzewkami, poza tym zupełnie nagi — teren strażowania 3. baonu (patrz tyt. 20). Wzgórze to jest niejako przedłużeniem Głowy Węża, jego zaś przedłużeniem dalszym na południe i ku Klasztorowi jest wzgórze 569.

Głowa Węża, 593 i 569 — to pierwsze, zewnętrzne rzędy amfiteatru. Nasz szturm z tej strony można porównać do przystawiania drabin od ulicy, od zewnętrznej ściany zamkniętego cyrku, aby się wdrzeć przez rzędy wypiętrzone Głowy Węża, 593 i 569 na arenę właściwą — do Albanety.

Spadek z tych miejsc wyższych ku arenie jest tym gwałtowniejszy, im bardziej na południe: na





Głowie Węża, przez którą rusza batalion 1. dosyć połogi, bardziej stromy przy zejściach z 593 i wreszcie kończący się trzydziestometrową pionową ścianą 569.

O dojściu na Głowę Węża — terenowo łatwiejszym, ale wymagającym większego przebiegu, będzie mowa w rozdziale p. t. „Pierwsza walka o gardziel”

Dojście do 593 nie jest zbyt trudne — prowadzi do niego od Małej Miski dosyć uciążliwa ścieżka do „domku doktora”, w którym rezyduje dowództwo nacierającego 2. baonu i batalionowy punkt opatrunkowy. Od „domku doktora” idzie się jakieś 70 metrów niemal poziomo biegnącą alejką, a raczej czymś, co było kiedyś alejką. Alejka kończy się bramką, za którą teren poczyna dosyć gwałtownie się wznosić na właściwe 593. Droga tam jest poprzecinana resztkami jakichś murów i drobne wychylenie od niej w prawo podaje idącego również pod ostrzał broni małokalibrowej z Albanety (z Klasztoru jest narażony na broń małokalibrową już od „domku doktora”).

Ze 150 metrów jeszcze za bramką było nasze panowanie pozycyjne. Tam strażowały kompanie 3. baonu: 1. ppor. Jagiełły i najdalej wysunięta pod sam szczyt 2. — por. Szlampa.



Niemcy — obsadzali tylko czubek 593, ważny dla nich jako zastona całej areny (Albanety, Gardzieli, Widma) i wznoszących się po przeciwległej stronie areny rzędów niższych (575, St. Angelo), którą mybyśmy mogli ostrzeliwać z broni małokalibrowej, gdyby por. Szlamp miał opanowane jeszcze te kilkadziesiąt metrów do szczytu. Również wówczas nasz obserwator skutecznie by obkładał ogniem artylerii jary możdierzowe.

Kiedy zaczęła się nasza nawała artyleryjska przez pierwsze 45 minut bijąca w cele dalsze, w artylerię nieprzyjacielską, by potem przenieść się na jego pozycje piechoty, kompanie Szlampy i Jagiełły zostały wycofane, artyleria nasza bowiem chciała się przejechać po szczycie, a od naszych stanowisk było zbyt blisko. Wycofane też zostały przedłużające linię pozycyjną w lewo 2. i 3. szwadrony 12. pułku ułanów i 4. kompania 2. baonu, stojąca na wprost Klasztoru.

Nie było obawy, że Niemcy zajmą opuszczone przez nas pozycje — myśl by ich nawet zająć nie mogła pod tym ogniem.

Była natomiast obawa, że, schowawszy się w grotach na przeciwsłonie, wyskoczą natychmiast, skoro ogień naszej artylerii ponownie przeniesie się na cele dalsze, dając pole posuwania się naszemu natarciu.

*Tak Niemcy widzieli ze wzgórza 593 „domek doktora” i alejkę, prowadzącą do ruin bramki*





## (52) HANNIBAL\*) UMARŁ! - 593 ZAJĘTE

O 01,18. nawała wywołała pożar na górze klasztornej.

O 01,30. ruszył ku 593 baon 2. inaugurując bitwę o Monte Cassino.

Rozkazy dowódców mówiły, że bijemy się nie o Cassino, że bijemy się — o Polskę. O całą Polskę. Po zajęciu 569 znakiem umownym na żądanie ognia zaporowego był „Lwów”, po zajęciu dalszych celów — „Wilno”. Tylko dla obrony własnej, kiedy należało położyć ogień zaporowe przed pozycję własną, mieli żądać Karpaczczy „Karpaty”.

Ruszył wąż trzech kompanii wąską ścieżką pod grzmotami własnej artylerii, jak pod bezpiecznym dachem.

Czołowa szła 1. kompania ś. p. por. Będkowskiego, weterana z Tobruku, nauczyciela szkoły powszechnej.

Za nią szła 3. kompania ś. p. por. Kicy, weterana z Tobruku, nauczyciela szkoły powszechnej.

Ostatnia szła 2. kompania por. Pańczyszyna, ciężko rannego niebawem, inżyniera-leśnika, który pod Gazalą ze swym plutonem wziął baon włoski do niewoli \*\*).

Przed „domkiem doktora” spotkali schodzących z pozycji żołnierzy 3. baonu. Żołnierze 3. baonu schodzili wycieńczeni trzytygodniową walką pozycyjną; ich koledzy, dążący w stronę opuszczonych przez nich pozycji, kruszonych teraz przez ogień artylerii — byli wypoczęci i świeży.

Klasztor świecił pożarem, po niebie przewalał się grzmot; nieogoleni, niemyci trzeciacy ustępowali z drogi pnącym się w górę, którym już grały piersi jak miechy. Za szybkie brali tempo, w obawie, że nie nadążą tuż za własną artylerią, że Niemcy wskoczą.

Na ścieżkę nie padł ani jeden pocisk. Pięli się równo sznurkiem — krótkie przedziały między drużyną i drużyną. Stojący w ciemności z boku czuły, że ten pochód tryska w górę, niby war krwi.

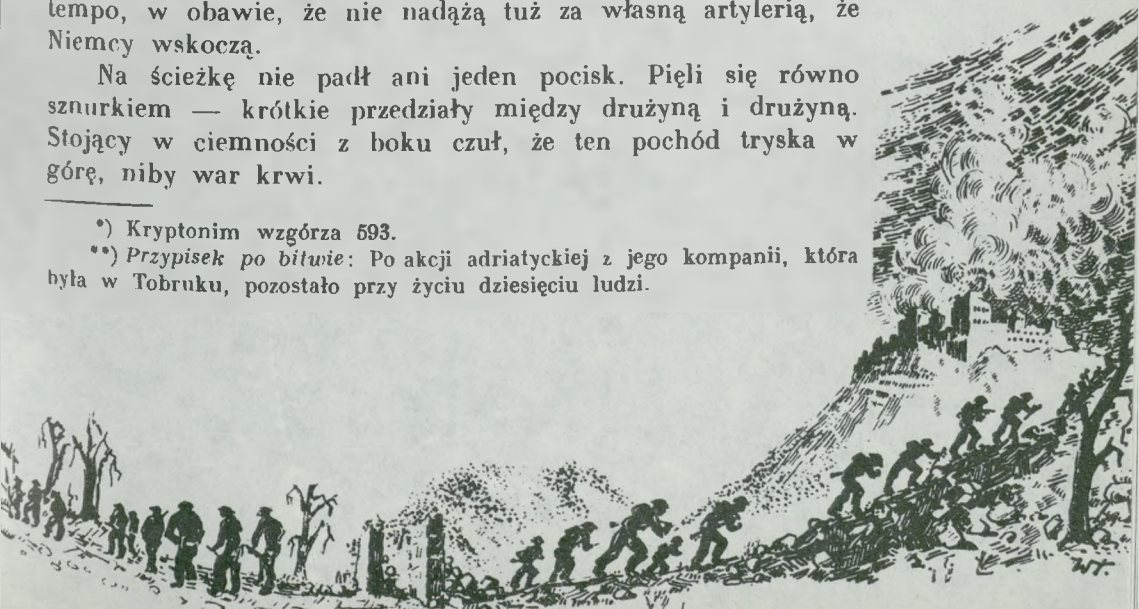
\*) Kryptonim wzgórze 593.

\*\*\*) Przepisek po bitwie: Po akcji adriatyckiej z jego kompanii, która była w Tobruku, pozostało przy życiu dziesięciu ludzi.

↑  
1  
POR. BĘDKOWSKI

↑  
3  
POR. KICA

↑  
2  
POR. PAŃCZYSZYN



„Domek doktora” minęli 20 minut wcześniej, niż przewidywał plan. 593 stanęło w ogniu rakiet. To pozostawieni Niemcy obserwatorzy dają znaki swoim w grotach na przeciwskłonie, że wzgórze już wolne od ognia polskiej artylerii. Na alejce z „domku doktora” wpadli w tempo szalone, miarkowane przez dowódców, dbałych, aby objuczone grupy ciężkiego wsparcia mogły nadążyć.

Za bramką dwa biegnące w przedzie plutony — ś. p. pchor. Woźniaka i ciężko rannego w tej bitwie ppor. Skwary (Krzyż Walecznych za Tobruk) „doganiają” ostatnie dwa nasze działa spóźniające się z przenoszeniem ognia. W czołowej drużynie pierwsi biegną drużynowy ś. p. Gancarz i celowniczy Wolf Kimelman, kuśnierz z Zagłębia („Virtuti Militari” za tę bitwę). Kimelman prócz nakazanych sześciu magazynków wsunął jeszcze trzy za pazuchę i dyszy ciężko.

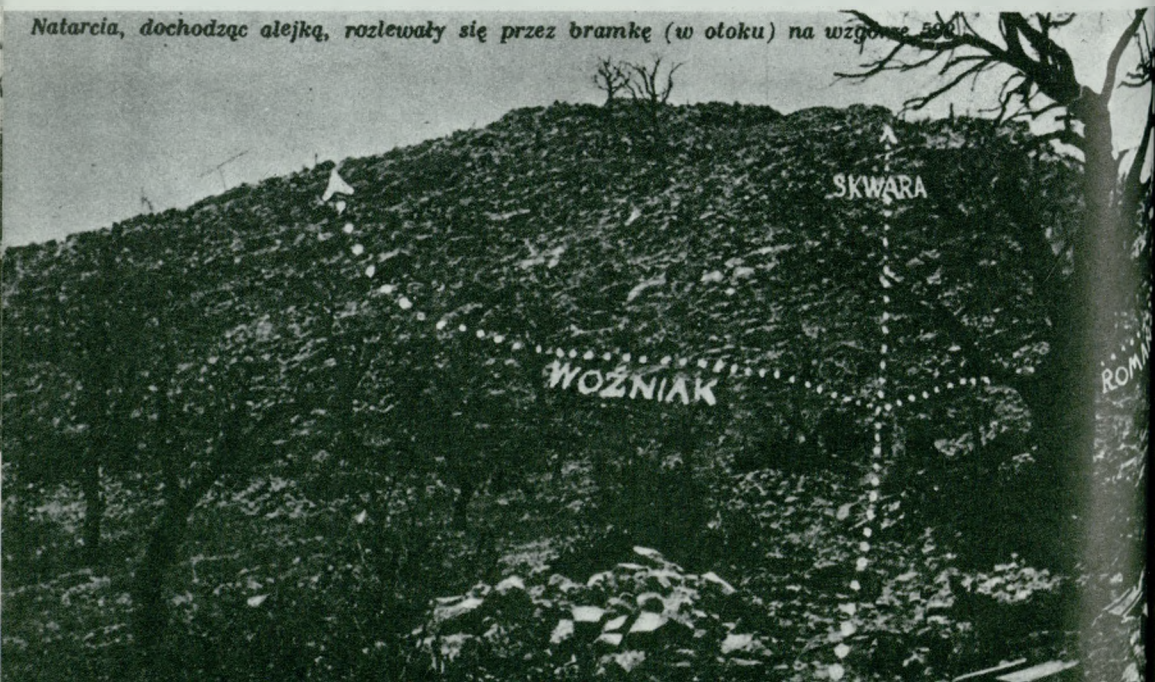
— Jeśli mnie zabiją, bierz komendę — krzyczy Gancarz do Kimelmana przez huk eksplozji.

Plutony wspięły się w miejscu jak koń przed przeszkodą, ale zaraz ruszyły — trzeba zdążyć nim przyjdzie zaporą niemiecka.

I istotnie — na 30 metrów przed szczytem przed biegnącym w przedzie swego plutonu ppor. Skwarą rozbłysła — bukieta ognia. To przyszedł już pierwszy pocisk niemiecki.

Pluton Woźniaka wziął na lewo, Skwary — grzbietem.

Natarcia, dochodząc alejkę, rozlewały się przez bramkę (w otoku) na wzgórze 593





20 metrów od szczytu Skwara słyszy wybuch granatu o trzy kroki za sobą i jęk — sądzi, że to pułapka z granatu. Ale to pewno już pierwszy granat z grotty w ścianie z tamtej strony urwiska.

Ten bukiet ognia i ten granat — to pierwsze jaskółki niemieckiego oporu, które uderzają o nacierający Korpus wręcz — w jego pierwszą linię.

Idzie w powietrzu wyjąca parabola pocisk następny.

*Na krawędzi 593*



Słychać krótki, pełen grozy krzyk-chryp Gancarza. Poległ.

Rozpoczęło się...

— Naprzód! — woła ppor. Skwara. Ale gdzie naprzód, kiedy już dobili do szczytu 593 i stoją nad skrajem urwiska. Zdążyli: Niemcy nie dali rady obsadzić z powrotem





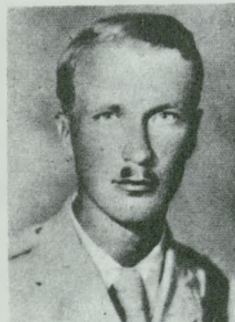
*Tych tu dopadła seria  
Skwary*

bojowych schronów na 593 i tylko wzięto do niewoli dziesięciu obserwatorów. Za to z dołu urwiska lecą granaty, dalej równina Albanety, która poczyna strzelać.

Drużyna prawoskrzydłowa zbiega kamienistą ścieżką w prawo — w dół do grot przeciwskłonu wykurzać Niemców.

Ppor. Skwara z dwoma pozostałymi drużynami widzi z góry biegnącego w dole Niemca, rzuca w niego granatem — Niemiec pada. Drugi! I tego powalił bakelitowym granatem. Biegnie trzeci i widząc pogromcę towarzyszy, składa się do ppor. Skwary ze szmajsera. Skwara przekreca błyskawicznie na rzemieniu tomsona — idzie seria — i ten Niemiec pada.

— Niemcy w prawo, w dole, rzucać granaty! — woła rozgrzany walką, zmieniając niepotrzebnie jeszcze półpełny magazynek. I w tej chwili widzi przyklejoną do ściany postać stojącego Niemca. Skwara przykłada tomson, żeby nie chybić, ukośnie do prostopadłej skały i wypuszcza w Niemca całą serię — do końca. W tej chwili ukazują się — hełmy angielskie. To już nasi zbiegli z góry, obeszli, dopadają Niemców.



*Ppor. Skwara*



## (53) WALKA 3. KOMPANII ZA SKŁONEM 593

A to była już nie tylko drużyna ppor. Skwary, ale cały pluton pierwszy trzeciej kompanii pod dowództwem ppor. Romańskiego (Krzyż Walecznych za Tobruk).

Pluton Romańskiego idący jako czołowy 3. kompanii tuż za plutonami komp. Woźniaka i Skwary, już trafił na ogień zaporowy niemiecki, ale przesadził go szybko. Idący za nim pluton 3. tejże kompanii zapłacił sowicie za przejście. Padli: dowódca plutonu, plut. Malinowski (Virtuti i Krzyż Walecznych za Tobruk), pchor. Tylawski, kpr. Szkubacz, strzel. Demidowicz; ranny również został zastępca dowódcy plutonu kpr. Kwiatkowski i wielu strzelców.

To oni, teraz, skrwawieni, przyszli z pomocą prawoskrzydłowej drużynie ppor. Skwary, która na mgnienie oka przed nimi zbiegła, to hełmy tej pomieszanej grupy zobaczył stojący na skale jak Anioł Zemsty i rozkładający jednego Niemca po drugim ppor. Skwara.

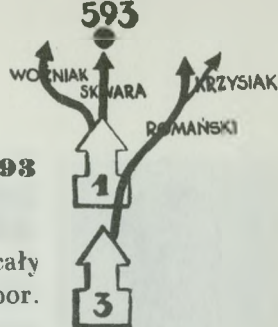
Pięknie szli ci skrwawieni żołnierze ppor. Romańskiego. Dwie drużyny rozwinęły się o sto metrów w prawo od szczytu — już ku Albanecie — najbardziej wysunięta drużyna kpr. Krzysiaka. Za nimi — idzie ciężka grupa wsparcia: wleką miotacz ognia pchor. Tereszczuka, piąt, moździerz piechoty.

Grupa wsparcia przyzostaje, nadążyć nie może, ci mniej obciążeni prą do przodu, wpadają na Niemców, którzy właśnie wyłazili ze schronów, przechowujących ich w czasie nawały, by wbiec na bojowe posterunki na 593.

Biegącemu w przodzie kpr. Żurawskiemu, sklepikarzowi z podletniskowej miejscowości Cisna pod Leskiem, wyskakują spod nóg niemal jak zające z bruzdy dwaj Niemcy. Żurawski rozdziela między nich dwa strzały, biegnie dalej.

— Nie wchodzić do groty! — woła kolega. Bo w grocie błysło światło i ukazało galon dystynkcji niemieckiej. Grota strzela z karabinu piechoty i rzuca dwa granaty. S. p. strzel. Giwończuk rewanżuje się grocie, rzucając w nią też dwa granaty.

Defilując wzdłuż strzelających grot, wpadają na koncertinę — zwoje kolczastego drutu luźno rzucone. Słychać jęk strzel.



kpr. Kwiatkowski



Kpr. Krzysiak



Strz. Giwończuk



Strz. Dąbkowski

Dąbkowskiego, który zbiegł z armii niemieckiej; to wybuchła pułapka umieszczona w koncertynie. Szpandał spod grot rani pchor. Libermana. Szpandał zarzucony granatami milknie. I z przeciwległej strony, gdzie posuwa się drużyna Krzysiaka, idzie ogień; zwalczając go drużyna plut. Adamusa niszczy gniazdo niemieckiego cekaemu, wybijając czterech ludzi jego obsługi.

Drużyna Krzysiaka straciła dwóch na pułapkach, a teraz traci trzech. Został Krzysiak i celowniczy. Okopawszy się — trwają całą noc; o pewnej godzinie słyszą na prawo z Głowy Węża — polskie głosy! To 1. baon ciągnie. Ale wiemy, co stało się z plutonem ppor. Sroczyńskiego — (tyt. 86). Krzysiak pomocy nie dostał. Do dnia samego pilnował ich jakiś skurwiel podciągający się ze szpandałem łożyskiem do ich składaka. Ustrzelić go trudno, bo kiedy się podczołgają — rzuca granatami, a oni granaty wyekspensowali w fazie początkowej na walkę z grotami. O 9. kapral zostaje ranny w czoło, a celowniczy w głowę — ranny przedtem trzykrotnie — nie mówił o tym i trwał; i dopiero wówczas ta resztką drużyny się wycofała.

Prażony z grot, które ugryźć trudno — woła pluton Romańskiego na ciężką grupę wsparcia, ale ciężka grupa





wsparcia upłątana w koncertynie i wybita przez ogień artylerii i strzelców wyborowych. Jej dowódcy, raz już rannemu plut. Grabarczykowi, eksploduje na hełmie pocisk garłacza \*). Jej ogniomiotacz, pchor. Tereszczuk, pada z potrzaskaną nogą \*\*).

Wtedy — pluton Romańskiego idzie dalej. Niech podążający za nimi 2. pluton 3. kompanii czyści te grotty.

A drugi pluton prowadził ś. p. ppor. Siemek \*\*\*). (Krzyż Walecznych za Tobruk).

Tymczasem — miał żyć jeszcze parę godzin. Pluton jego istotnie powyczyszczał z Niemców grotty i odesłał 17 jeńców w dół; siedzieli tam jeszcze w znaczny czas potem przy workach schronu dowódcy baonu z rękami na szyjach.



Plut. Grabarczyk



\*) *Przypisek po bitwie*: Grabarczyk przez dwa tygodnie nie mógł odzyskać mowy i w kilka miesięcy potem jeszcze zacinął się.

\*\*) O Tereszczuku, który pozostał na pobojowisku i 7 dni był nie opatrzony i nie napojony i jeszcze trzykrotnie ranny — patrz „Zabijany na raty” — (tyt. 87).

\*\*) *Przypisek po bitwie*: Nabazgrał właśnie ołówkiem z pozycji korespondencję do „Parady”: „Uwaga! Spodziewane jest natarcie nieprzyjaciela — wiadomość z baonu. Co nam jutro przyniesie?” Dołączył zdjęcie grupy, na którym oznaczył siebie czarnym krzyżykiem. Korespondencja i zdjęcie doszły w znaczny czas po bitwie i po jego śmierci. Po śmierci druha harcmistrza Siemka.



Sanitariusz Kiwak

Radiotelegrafista  
Kubicki

Czołowy patrol sanitarny — dowódca kpr. Jeżewski, strzelcy sanitariusze Kiwak i Brzeziński — mają pełne ręce roboty.

Zaczęła się od samej bramki, gdzie jednym pociskiem rąbnęło czterech. Oni tylko mają opatrywać i iść dalej — inne patrole będą znosić.

Skoro tak — to idą z natarciem. Rozbiegają się po polu bitwy. Rzekłbyś — prawo fizyczne: gdzie padnie pocisk, robi się pustka wibrująca jękiem, która wsysa drobinki sanitariuszy.

Idźmy za Brzezińskim.

Kiedy opatruje udo radioty Kubickiego, pocisk ich rozrzuca; Kubicki odnosi trzy nowe rany, Brzeziński ma tylko wargi rozcięte kamieniami

W koło petno jęku. Zszokowani ludzie kiwają się z bólu, siedząc na otwartych miejscach, gdzie ich czeka śmierć nie chybna. Brzeziński podbiega, wstrząsa, targa za ramiona — „Człowieku, idź w dół”. Podprowadza. Za świeża nawet ciężko ranny często może iść. Żeby tylko nie było złamanych nóg!

Wybuch pocisku nim rzuca — robi się słodko, ciepło. przyjemnie — stracił przytomność. Kiedy się ocknął sam nie widzi! Dotyka oczu — zalane krwią. Sciera krew i przez nią widzi — księżyc!... Nie stracił wzroku!

Pole jęczy i woła. Widzi zasypisko, które zwałił pocisk. Z zasypiska sterczy hełm. Brzeziński maca szyję — ciepła. Od wała głązy z piersi i słyszy cichy jęk: „To ja — Radkiewicz”

Zdjęcie w czasie akcji: pod bramką w chwili i po wybuchu pocisku; widać dobitego rannego i obunionych sanitariuszy — jeden z nich w bramce oparł się o nosze





Opatruje Kachnowicza, poszarpanego na minie. „Bardzo dużo było przy nim roboty” — zwierzał mi się. Kachnowicz trząsał się, więc zdjął własną bluzę i okrył go.

Brzeziński już znowu jest z najdalszymi w przedzie. Opatrzył wielu — i tego Dąbkowskiego z armii niemieckiej i tego zanie-miałego Grabarczyka rażonego w łeśm. Luni się kryją — on na chwilę głowy nie schował. Widzi, że nie może tylko opa-trywać, jak instrukcja głosi, bo tu każdego rannego dobijają. Ciągnie do takiej grotty, która jest już przez nas oczyszczona, rannego kpr. Barkowskiego. A tu już pluton Siemka i tu już pozostawionych pięciu rannych jeńców, których nie sposób było w tył odstawić i z nimi — sanitariusz niemiecki. Brzeziński się cieszy — samemu trudno mu nieść ciężko rannych. Wzięli nosze — przynieśli rannego Niemca — drobny blondy-nek. Poszli z noszami po Tereszczuka — 70 metrów w przód — pod ogień. Niosą Tereszczuka — ogniomiocza, ppor. Siemek stoi przed grotą — ze zdumieniem obserwuje sanitariusza nie-mieckiego, kroczącego od strony niemieckiej.

W sąsiedniej, zajętej jeszcze przez Niemców grotcie słychać jęki.

— Oni nie mają opatrunków — zabiorę tego rannego — mówi sanitariusz niemiecki.

Brzeziński, rolnik spod Jaworowa, absolwent szkoły rol-nicznej w Gródku Jagiellońskim, coś tam po niemiecku potrafi:

— Nie uciekniesz? pyta — bo widzisz ten nasz cekaem on cię, bracie, dogoni...

— *Wort ist Wort* — mówi Niemiec; poszedł i wrócił z rannym.

I kiedy Brzeziński znowu biegnie do rannego, znowu rzuca go pocisk o skałę. Czuje nieznośne pieczenie pod ramieniem.



ciągnie rannego i składa na ścieżce za skłonem. Wracając natyka się na pełznącego na czworakach pchor. Szterna, posiekanego kilkunastu odłamkami.

Mijając często w swoich kursach nieszczęsnego poszarpanca Kachnowicza, trzęsącego się pod pożyczoną bluzą i jego przeciąga za skłon. Wypędza niemal siłą Dąbkowskiego, kiedy ten, po raz drugi ranny, chce zostać. Kiedy owija oddartym kocem nogę rannego sapersa — idą koło nich kule strzelca wyborowego. Brzeziński kończy pośpieszenie robotę, zastaniając rannego torbą ze znakiem Czerwonego Krzyża i ramieniem, na którym widnieje opaska z takimże znakiem; kula strzelca wyborowego robi mu kryzę na i tak już napuchniętym oku, które zapucha jeszcze więcej, definitywnie odmawiając oglądania księżycy.

Jego dowódca kpr. Jeżewski każe mu iść w dół. Brzeziński odmawia. Ppor. Siemek, który wówczas żył jeszcze, mówi:

— To ci daję rozkaz zejść jako goniec. Masz zameldować w batalionie: „trzymamy się, brak amunicji”.

Brzeziński bierze pod pachę od strony widzącego oka ciężko rannego i obaj, zataczając się — schodzą \*).

\*) *Przypisek po bitwie:* W szpitalu mu wyjęli mały odłamek z białkówki, większy z ręki, największy — z boku. Inne same powypływały z ropą. Kiedy go miano wysłać dalej na tyły, schował się za sanitarkę i przemyślnie — zwiął do swojej kompanii, która już wróciła z walki; „całego kramu znalazłem osiemnastu ludzi wraz z kucharzami” — powiada.

Brzeziński naliczył, że opatrzył 37 rannych. Żaden ranny nie został dobity — tych, co nie mogli iść, przeciągał za skarpy. Większość — galwanizował siłą swojej woli. Taki ranny byle doszedł do bramki i padł — już był podniesiony przez sanitariuszy, którzy co doszli do bramki, to już mieli nowego i nigdy przez to nie szli dalej.

Kompania Brzezińskiego jednogłośnie zrezygnowała z jednego Virtuli na rzecz swego sanitariusza.

I Brzeziński chodzi dekorowany odznaką polską i niemiecką. Ta ostatnia — to krycha nad okiem, które jednak widzi nie tylko księżyc, ale i kolegów, wyratowanych od śmierci.



strz. Brzeziński





## (55) PIERWSZA KOMPANIA NA SIODLE MIĘDZY 593 I 569

Tymczasem na 593 ppor. Skwara — nie ma co robić. Widać, że na prawo w dole wzgórza dociągnęły na jego wysokość plutony 3. kompanii, że na lewo usadowił się bratni pluton pchor. Woźniaka.

Pluton ppor. Skwary pomieszał się: nie ma już jego zastępcy, nie ma dwu dowódców drużyn, nie ma piata i nie ma radioty...

Nie rozporządzając środkiem łączności, Skwara i Woźniak czekają na swego dowódcę kompanii. Dowódca, por. Będkowski, szedł ze swoim poczem tuż za ich plutonami, a za nim dopiero posuwał się pluton ppor. Pilcha.

Nagle — zjawia się ś. p. ppor. Pilch. Nie widział dowódcy!...

Dowódcy plutonów spojrzeli po sobie. Nie czas było na namysł. Rozkaz był wyraźny: po opanowaniu 593 i dociągnięciu pozostałych — uderzać na 569.

Woźniak nakłada opatrunek na rozcięte rozpryskiem usta Pilcha. Skwara obejmuje komendę.

A może i na 569 nie zdążyli wejść Niemcy, związani walką u podnóża?

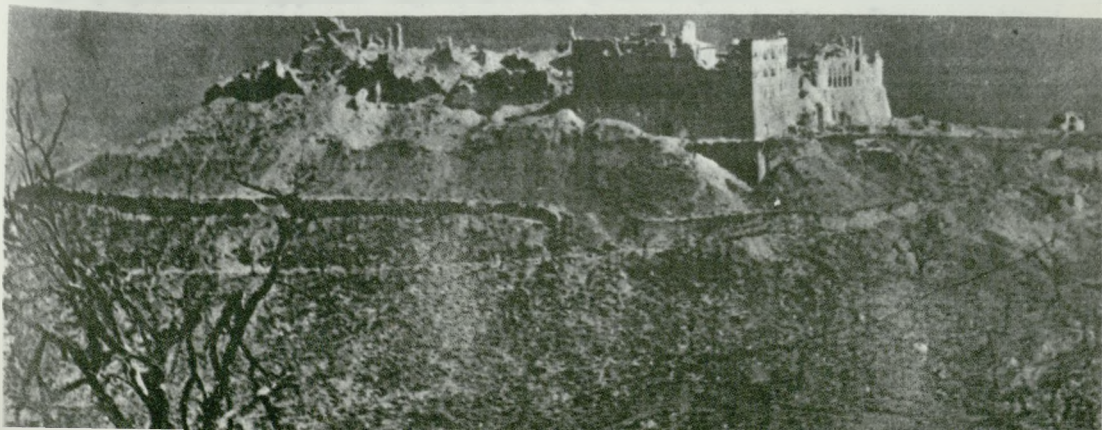
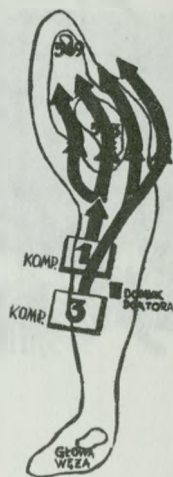
I o godzinie drugiej po północy rozpala się walka — o 569.

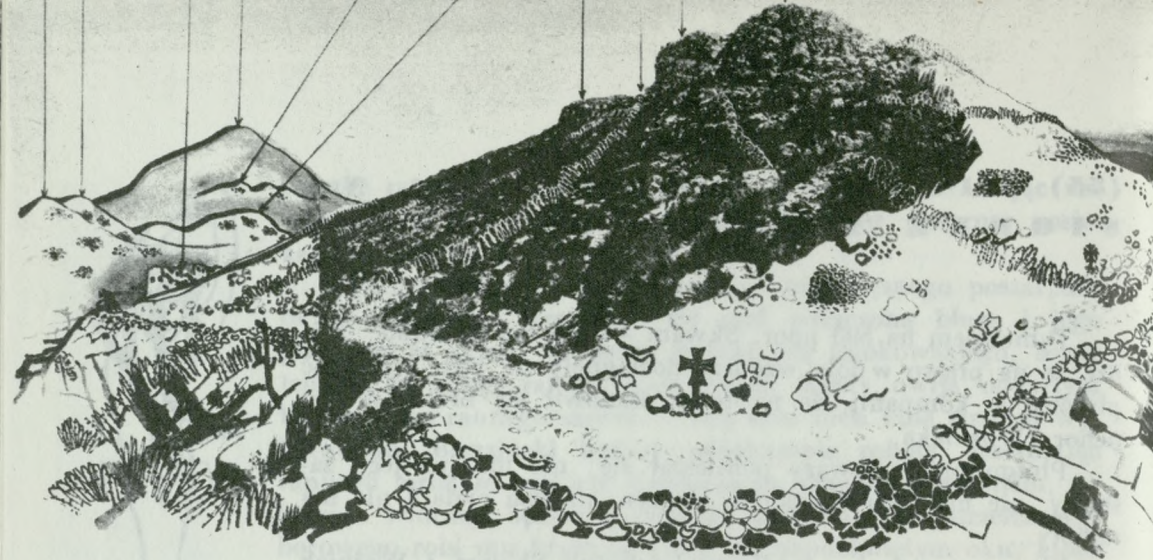
Pod ten czas dowódca brygady, płk Peszek, nie mając, na skutek porozbijanej łączności, meldunków, obawiając się, że akcja przestaje przebiegać według planu godzinowego, wysłała w teren mjr. Rawicza-Rojka, starego towarzysza z walk libijskich, ażeby osobiście skonsolidował zdobyty teren.

Jest na to najwyższy czas, bo z dowodzeniem poczyna być źle.

Nadzieje, że Niemcy nie zdążą obsadzić 569 zawiodły.

*Ze szczytu 593 widac klasztor jak na dłoni.*





Skwara i Pilch ze swymi plutonami wpakowali się w silny ogień, kiedy tylko poczęli schodzić z 593 na siodło, dzielące ten szczyt od 569. Było jasne, że nie da się ich dwoma przetrzebionymi plutonami forsować silnie ufortyfikowanego wzgórza, na którym potem znaleźliśmy pozycyjne miotacze płomieni.

Skwara więc, chcąc za wszelką cenę mieć łączność ze swoim dowódcą, zdaje dowodzenie na Pilcha, który ma trwać obronie i idzie w tył.

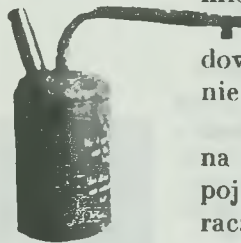
Czytelnik sobie musi jasno wyobrazić, że rzecz odbywa się na bardzo małej przestrzeni. Nie należy operować mglistymi pojęciami o karabinach strzelających na tysiące metrów, tylko raczej przypomnieć własne boje z chłopakami wiejskimi na kasztany i wówczas łatwiej się zrozumie walkę na 593 i w ogóle większość fragmentów walk zarówno na terenie jednej, jak drugiej dywizji.

Toteż i ppor. Skwara „idąc w tył”, natyka się niezwłocznie na por. Kicę, dowódcę 3. kompanii. Kica posuwał się za 1. kompanią, ale i on nic nie wie, co się stało z jej dowódcą. Mjr Rojek, który właśnie dociera, nic również nie wie.

— Będkowski! — idą krzyki po linii.

Zdesperowany Skwara biega, szukając radiostacji przy jakimś zabitym; wówczas radiem by nawiązał łączność ze swym dowódcą...

Ale wszystkie radiostacje już rozbite... Trzydziestkaósemka, noszona z przodu, została rozcięta na pół — a radiota wyszedł



Miotacz płomieni



cały. Osiemnastkę, noszoną z tyłu, rozdmuchało literalnie, a jej radiota został tylko lekko draśnięty.

Ale oto sierż. Golonka, szef kompanii Będkowskiego, który szedł w jego poczcie. Ale i Golonka nic nie wie... Kiedy ich złapała nawała w bramce, biegł za swym dowódcą, tymczasem okazało się, że w ciemności wziął cudze plecy za plecy Będkowskiego.

Na szczęście przy Golonce ciągnie swoją osiemnastkę młody chłopak spod Zbaraża, strzel. Zieliński. Biec, padać i znów się podnosić w tym terenie ze sterzącą anteną było niepodobieństwem i dlatego w wielu oddziałach polecono radiotom towarzyszyć natarciu z wiszącymi antenami, rezygnując z lepszego odbioru. Zieliński myślał, że antenę uchroni i stracił sześć górnych prętów, zostało mu tylko dwa. Ma pręty zapasowe. Ppor. Skwara w tym świszczącym od pocisków powietrzu wyprostowuje się na całą wysokość, wyciągając na półtora metra antenę.

— Pan porucznik Skwara, to chodził wyprostowany jak na jakiej zabawie — opowiadał mi Zieliński.

Uszczęśliwiony radiota poczyna swoje monotonne zestrzajanie, a Skwara wskakuje do dziury, w której urzędował chwilowo mjr Rojek, meldując, że te dwa przetrzebione plutony trzymają się na skraju 593, ale że nie zdolne są do natarcia.

Rojek wysyła więc gońca do 2. kompanii por. Pańczyszyna, która jeszcze nie weszła do walki.

Goniec poszedł. Zieliński melduje, że zestroił. I wówczas — mjr Rojek wysyła meldunek, że Hannibal (593) „umarł”, że nacierają na Hoggard (569).

Coś tam w tym meldunku musiało brzmieć zbyt optymistycznie, bo w dowództwach wyżej zrozumiano, że 569 jest zajęte. Wieść poleciała do Kresowej, zesła z niej do bitwy w dół i serca żołnierzy walczących na Głowie Węża i na Widmie ożywiły się nadzieją.

Zresztą w tę noc zamętu i niepewności Karpacka również była informowana, że Widmo opanowane i radowała się, że jeden bok amfiteatru przestaje strzelać do jej żołnierzy.

Kto przeczyta przebieg tych walk w terenie i zrozumie jego zawziętość, noc, brak należytej łączności i zatajone bunkry, ten zrozumie i te meldunki.



Sierż. Golonka



Dopiero po bitwie ustalono, że por. Będkowski padł jeden z pierwszych



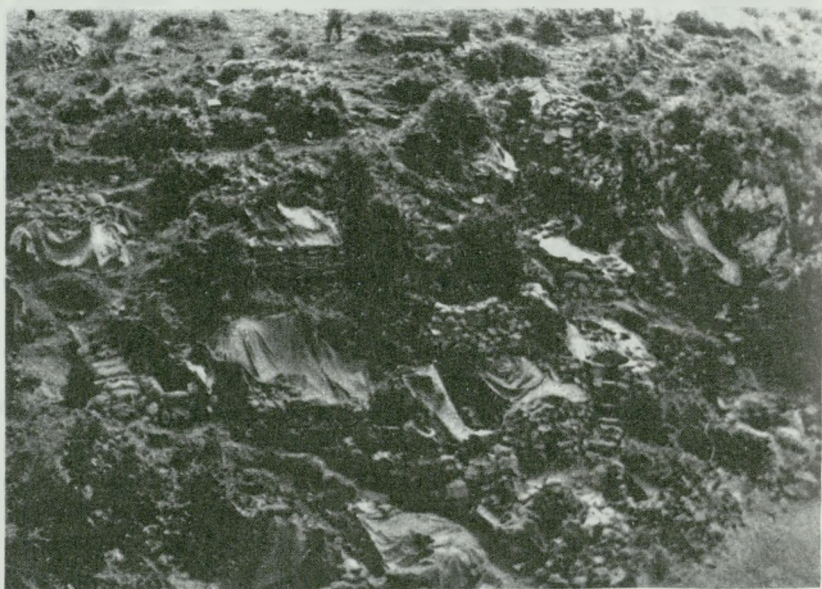
Por. Scazighino

## (56) ŚMIERĆ POR. SCAZIGHINO

Goniec wysłany przez mjr Rojka do kompanii Pańczyszyna mija szwadrony 12. pułku ułanów, wracającego na dawną swoją pozycję, którą opuścił, aby dać pole własnej artylerii.



Por. Maciejewski



Por. Kołodko

Ułani zalegli i czekają „aż się uciszy”.

— Wystaw głowę, popatrz, czy już można iść? — pyta por. Maciejewski por. Kołodki.

Por. Kołodko wychyla się, a tu rąbnął pocisk.

Niefortunny obserwator wciągnął głowę jak żółw i powiada flegmatycznie:

— Zdaje się, że nie można...

Po chwili por. Kołodko:

— Wystaw głowę...

Pocisk...

— Zdaje się, że nie... — ma z kolei niepewność por. Maciejewski.

I tak „Chodziła czapla po desce...”.



Por. Smiechowski



W innym miejscu leży ze swoim zastępcą, ppor. Sniechowskim, dowódca plutonu, por. Jan Scazighino. Odłamek granatu przerywa mu tętnicę. Podskoczył wachm. Fęski z opatrunkiem; zatamował krew, obandażował, pobiegł w tym piekielnym ogniu po nosze i, uszedłszy kilka kroków zaledwie, padł zabity.

Czas się dłuży — nosze nie przychodzą. Scazighino poczyną gorączkować:

— Wiesz — mówi do Sniechowskiego — ja rozumiem... że one — daleko... A przecież... zdaje mi się... że matka i żona tu...

Matka — była w Teheranie. Żona, pani Krysia — w Stanach Zjednoczonych, gdzie zmarły był konsulem. Byłem u nich w ich cichym domku pod New Yorkiem na dwa miesiące przed wojną i zapoznałem się z kilkomiesięczną córeczką Małgorzatką. To dla niej piszę o tatusiu, jak i dla wszystkich innych dzieci poległych, które powieszają na ścianie pod fotografią ojca jego odznaczenie bojowe, albo jego dystynkcje z bitwy o Monte Cassino, tak jak wisały po naszych domach szable Napoleonidów.

Przeszedł jeszcze długi, długi czas i nagły huk ogłuszył obu oficerów. Zrąbany pociskiem konar spadł na nich.

— Czy to gałąź mnie uderzyła? — pytał słabnącym głosem Scazighino — a widząc, że ppor. Sniechowski został ranny, zrobił ruch próbujący mu pomóc.

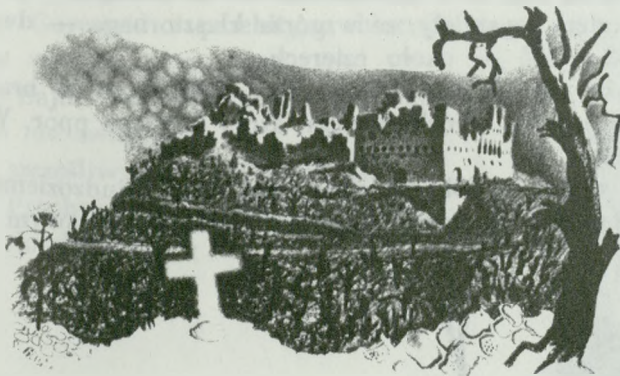
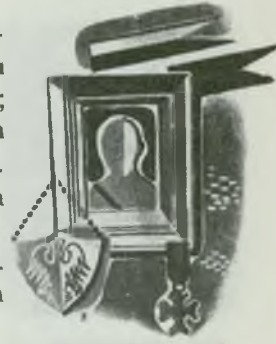
— Nic ci nie mogę pomóc — szepnął i dostał drgawek. Bo to nie gałęzią został uderzony, tylko pociskiem w płuca.

Objął kolegę za szyję:

— Janek, niech mnie... pluton...

Ranny Sniechowski pochylił się nad umierającym:

— ... pochowa ... — wionął na niego ostatni szept.



## (57) DRUGA KOMPANIA DOCIĄGA



Por. Pańczyszyn

Minął goniec leżących ułanów, przyniósł por. Pańczyszynowi, dowódcy kompanii 2., rozkaz:

„Zagęścić 593 od strony 569, zdobywać 569”

Poszła kompania, jak inne, ścieżką ku bramce, jedyną ścieżką, którą mogły dopływać nasze posiłki, ścieżką, na którą był nastawiony bezustanny niemiecki ogień.

Przed bramką jeszcze pada ciężko ranny ppor. Wołowicz, urzędnik bankowy ze Złoczowa (Krzyż Walecznych za Tobruk).



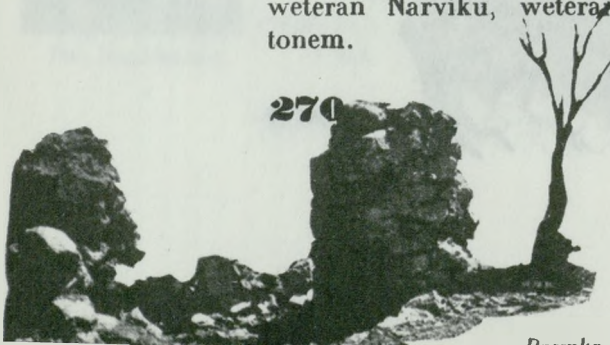
Dolny lewy róg — szczyt „bramki”. Prawy róg — pierwszy składak

Za bramką bije broń małokalibrowa. Ze strzelnic w oknach Klasztoru cztery szpadały, ze wzgórza klasztornego — dwa, ze wzgórz 452 i 565 — około czterech...

— Hulaj pan w przód! — krzyczy, wskazując za bramkę, Pańczyszyn do sierż. Próchniewicza, który objął po ppor. Wołowiczu pluton.

Stary wyga — żołnierz długoletni Legii Cudzoziemskiej, weteran Narviku, weteran Tobruku, wybiega ze swym plutonem.

270





Zaraz za bramką pada strzel. Main i dwunastu rannych. Dopiero przebiegłszy te 70 metrów wolnej przestrzeni do murku u podnóża 593 Próchniewicz ogląda się.

Dobiegają kolejno — Łuhowy, Iwaniec, Barkman, Szałajko, Markowski... Jeszcze kilku... Ani jednego drużynowego!

Stłoczyły się dwa pozostałe plutony kompanii przed bramką — nikomu nie rychło zanurzać się w śmierć.

Pańczyszyn — wysoki, chudy, czarny, nerwowy leśny człowiek, stojąc przy bramce, płazuje wzdrygających się żołnierzy kijem hokejowym. Im szybciej przebiegną, tym mniejsze będą mieli straty. Wypchnąwszy pluton ppor. Potockiego, sam biegnie.

— Ilu ludzi panu zostało? — dopada Próchniewiczza.

— To, co tu siedzi, wskazuje na najbliższe głązy zrezygowany sierżant.

— Pańska rzecz naprzód się pchać — warknął Pańczyszyn.

I sam — biegnie.

Pocisk pada, jednego zabija, dwóch rani, rani Próchniewiczza w prawą rękę, w której gruchocze tomsona. Próchniewicz biedoli się z jedną rękę zdrową — nie może sobie rozwiązać opatrunku. Opatruje go ś. p. kpr. Miłosny. Próchniewicz jest bez broni, zostały mu tylko dwa granaty. Ale dziesięć (!) magazynków trzyma — przydadzą się tym, co mają zdrowe tomsony.

Nadbiega trzech strzelców — znaleźli szpandał i trzy skrzynki z amunicją do niego. Ogniomiotacz Gurewski z przebitym zbiornikiem, z którego wycieka płyn, prosi:

— Dajcie mnie — co ja z tym smrodem... już nie nie zwojuje.

I, szczęśliwy, chwytą szpandał.

A Próchniewicz — biegnie naprzód — dołączyć do dowódcy.



Sierż. Próchniewicz

Zdobyty szpandał





Strz. Łuhowy



strz. Iwaniec



strz. Bartman



Ppor. Potocki

Tego dowódcę pragnie też jak najprędzej ujrzeć wraz z jego żołnierzami i mjr Rojek. Sytuacja ciężka. Ogień niemiecki wzbiera. Należy czekać przeciwuderzenia — a tu nie ma sił. Rojek radiował do batalionu, że ma 70 % „Gawłów” (lekarz batalionu ma na nazwisko Gawęł — w ten sposób mjr Rojek zakryptonimował rannych) i „Kapelanów” (zabitych) i nie może doczekać się wezwanej kompanii, nie wiedząc o jej krwawej kąpieli. Posyła Skwarę.

Skwara, uszedłszy parę kroków, widzi nadchodzącego Pańczyszyna (wciąż musimy nie zapominać o małej przestrzeni, na której rozgrywa się walka). W momencie, kiedy woła, wskazując mu jamę majora, pocisk pada między nich — Skwara widzi padającego Pańczyszyna.

Skwara melduje o tym Rojkowi. Rojek go posyła z rozkazem, aby Wołowicz objął kompanię. Skwara zaraz za jamą Rojka natyka się na Potockiego, który mówi, że i Wołowicz jest ciężko ranny.

Ppor. Potocki, poznańczyk (Krzyż Walecznych za Tobruk) obejmuje dowództwo...

Nagle rozmawiający oficerowie urywają... zjawia się uśmiercony Pańczyszyn we własnej osobie z nieodłącznym kijem hokejowym.

Kiedy pocisk eksplodował, powaliło go i twarz zalała krew. Ocierając ją ostrożnie, skonstatował, że nie jest ranny. Krew była — cudza. Między niego i Skwarę wszedł w ostatniej chwili żołnierz i to jego rozwalił pocisk, oblewając krwią Pańczyszyna.

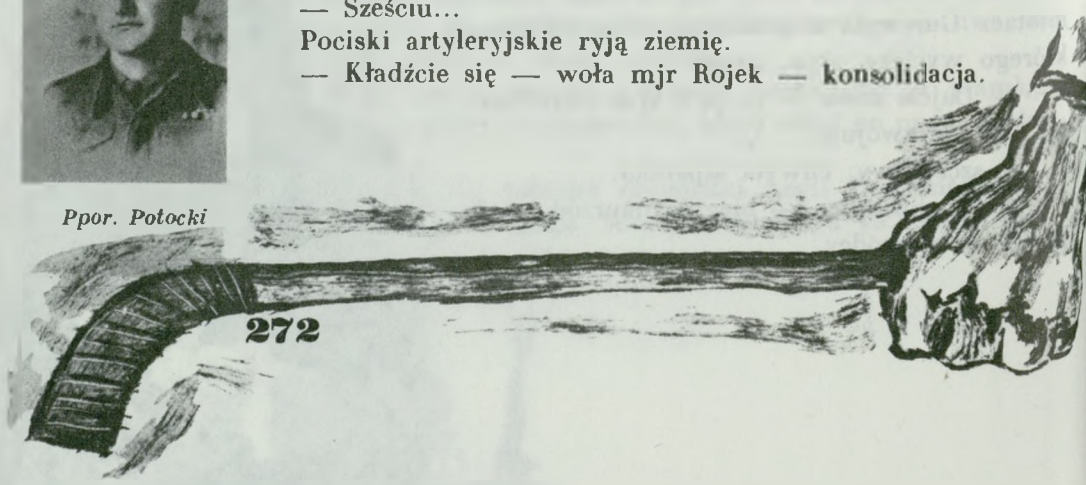
Zjawia się wreszcie i Próchniewicz, szluszując do swego dowódcy.

— Ilu ludzi? — pyta Pańczyszyn, wyciągając zębami z palca igłę rozprysku.

— Sześciu...

Pociski artyleryjskie ryją ziemię.

— Kładźcie się — woła mjr Rojek — konsolidacja.





## (58) C I Ę Ź K I E P - P A N C E

Obsługa tych dwóch ciężkich p-panców wwindowanych na 324 (tyt. 38) zrzuciła z dział w czasie nawały błotne pokrywy, założyła tarcze, ustawiła działa na stanowiskach i czekała na księżyc. Jednak nawet kiedy księżyc wzeszedł, stał zadymiony Klasztor w gęstej i nieprzeniknionej powłoce.

Tymczasem dołem ścieżką mułową coraz gęściej poczęli spływać ranni. tymczasem wciąż na 569 grały szpadały niemieckie.

Wreszcie o trzeciej w nocy — wówczas właśnie, kiedy mjr Rojek wołał „konsolidacja” — księżyc zaszedł Klasztor z tamtej strony i dał go na cel.

Cele jakie takie mieli przygotowane z czasów przed natarciem: punkty na wzgórzu, gdzie suponowano zatajone cekaemy i wielką bramę żelazną, która według legendy żołnierskiej, jaka już zdążyła narosnąć, miała od czasu do czasu otwierać się z wielkim zgrzytem zardzewiałych zawiasów, ukazując nebelwerfer, który oddawał swoją szatańską serię, po czym brama się zawierała.

Działo plut. Staszkiwicza wali w prawe cele.

Widać jak świetlne buły siedemnastofuntowe ładują się w czarną ścianę Klasztoru.

Ulżyć tym biedakom — piechocie!...

Oddają dwadzieścia strzałów i czekają.

Klasztor milknie i przez 45 minut nie idzie z niego ani jeden strzał na naszą piechotę. Nie chcą zdradzać stanowisk.

Artyleria niemiecka poczyna macać p-pance. Pociski jej padają już całkiem blisko. P-pance przyczajają się i też milkną.



Plut. Staszkiwicz



## (59) P R Z E C I W U D E R Z E N I A



Mjr Rojek nakazywał konsolidację, aby się przygotować do natarcia. Tymczasem bezpośrednio potem, o 03,26. podłuch radiowy przyniósł wiadomość: „1 BS drzwi zamknięte, „Wilki” zatrzymane”.

To znaczy, że 1. baon nie może sforsować Gardzieli i zająć Albanety i że 15. baon nie może zejść z Widma i zająć 575.

Kiedy te przedmioty są czynne, nikt nie może się kusić o nacieranie na 569.

Więc kiedy na siodełku między 593 i 569 siedzą rogalkiem plutony Woźniaka i Pilcha, kiedy w dole na prawo ubezpiecza od Albanety pluton Romańskiego, a w grotach tuż za 593 odgryza się pluton Siemka (bo teraz z kolei Niemcy chcą z tych grot wykurzyć Polaków) — 2. kompania, będąca przy mjr Rojku, tworzy elipsowatego jeża z ogniami na wszystkie strony.

Por. Pańczyszyn, doszedłszy Rojka i „moszcząc się” na obranym miejscu, po kolana wpada w maź jakiegoś rozłożonego trupa z dawnego natarcia. Strzel. Dębski znalazł coś odpowiedniego, woła w zachwycie do kolegów — „ależ mam fajne stanowisko!” i w tejże chwili zostaje na miejscu zabity pociskiem. Skąd mógł wiedzieć, że tu ze wszystkich stron czyha śmierć...

Bo kiedy nie są zajęte tamte obiekty, to nie tylko nie można nacierać na 569. Nie można wówczas utrzymać się na 593. Świadczą o tym kości tu poległych poprzedników.





Ogień bije z tyłu. To nasza ciężka artyleria, pragnąc ostrzeliwać Albanetę, daje za krótkie. Zaczyna się sądny dzień. Z lewej bije Klasztor, na wprost moździerz niemieckie, z prawej Albaneta, a z tyłu własne armaty \*). Kpr. Oleszkowicz ciężko ranny krzyczy cały czas i napięte nerwy trudno znoszą z wycie.

Obserwator artylerii por. Stankiewicz przywarł do radioty Zielińskiego, cały, zda się, chciałby wcielić się w eter:

„Pomarańcze — azymut 80, pomarańcze — azymut 80, pomarańcze — azymut 80”.

„Pomarańcze” — to znaczy „ogień własnej artylerii na własnych oddziałach”.

Tymczasem koło pół do czwartej żołnierze Pilcha i Woźniaka widzą ruch na przedpolu w lewo i napominają się wzajemnie, żeby nie strzelać, bo to zapewne 2. kompania obeszła dołem 593 i naciera. Tymczasem rzekoma kompania częstuje ich ogniem. Żołnierze strzelają na błyski. Pilch żąda „Karpát” (położenie ognia zaporowego) O ogniach „Lwów” lub „Wilno” nie ma już mowy — należy się bronić. Mjr Rojek domaga się przez radio, aby artyleria biła niemieckie przeciwuderzenie na rozprysk. (Jak na ironię równocześnie 1. baon prosi brygadę o pomoc „Józefa”, czyli 2. baonu).

Słychać okrzyki *schnell!* Już widać nacierających Niemców o 30 metrów. Elkaem Kimelmana drży w strzałach jak opętaniec. Kimelman — przebity hełm, rysa na głowie — wywalił 6 magazynków. Niemcy padają. Chwilowa cisza, w której nagle słychać spokojny głos Woźniaka:

— Aniołki! Niech nikt nie wysuwa głowy, bo jaśnieje.

Teraz pójdzie szereg ponawianych przeciwuderzeń niemieckich, przygotowywanych i wspieranych maksymalną potęgą ognia.

04.19. Pilch donosi, że kończy się amunicja.

04.30. otrzymują wiadomość, że jeden pluton 4. kompanii 3. baonu niesie amunicję. Ale czy dojdą? Sanitariusze dojść nie mogą. Poszło 9 — zawrócili z drogi, znosząc trzech rannych

\*) *Przypisek po bitwie:* Nasza artyleria informuje, że i w tym wypadku był to ogień dział niemieckich z Atina — Belmonte.



Strz. Kimelman



Pchor. Woźniak



spośród siebie. Poszło sześciu — wróciło czterech, niosąc pozostałych dwóch.

Dowództwo stara się pomóc. 4. kompania 3. baonu otrzymuje rozkaz wejścia na stare pozycje.

P-pance ponownie podejmują kanonadę. Niezwłocznie artyleria niemiecka kieruje na nie ogień. Pocisk pada między rozwarcie ogonów jednego z dział. Obsługa kontuzjowana, kanonier Siemieniuk, Białorusin, zostaje ciężko ranny.

— Już po mnie, panie poruczniku — mówi Siemieniuk do por. Ptasznika. Małom wojował. Panie poruczniku, czy nasi pobijają?

A sam — już sinieje.

Znieśli go w dół. Tymi ośmiuset metrami skalistego stoku, na który wciągał lufę. Tą mulą ścieżką od cmentarzyka hinduskiego. Znieśli go do jaru. „Ramzes” kpt. Różański, uniesiony odruchem, odpiął swój Krzyż Walecznych, otrzymany w Libii w czasach, kiedy Siemieniuk zapewne „radośnie głosił” za przyłączeniem do „wyzwolicielei” i przypiął na pierśiach „prawosławnego” (i w dosłownym znaczeniu).

A tam na górze por. Ptasznik już komenderował „ognia”. I w Klasztorze utkwili nowych dwadzieścia pocisków.





Zle jest jednak z 2. baonem. Broni się resztką sił, plutonami o stanach wybitych do ostatniego kresu. Tylko zgony kolegów zaopatrują żywych w amunicję, bo donieść jej nie sposób.

Doszedł... chłopak ciągnący kabel szturmowy. Włókł go z dołu, tylekroć uniknął śmierci, mówili mu w dole, że wszystko zależy od łączności, doprowadził kabel — a tu aparat rozbity.

Chłopak buczy:

— Panie poruczniku-u-u, co ja teraz będę robił?

— Bierz karabin — odburkuje por. Pańczyszyn. Tego nie brak — w rękach poległych.

Por. Pańczyszyn do godziny 5 siedzi z Rojkiem, po czym, wysłany przez tegoż, idzie pilnować prawego skrzydła. O godzinie 7 ma już tylko 27 ludzi z całej kompanii. Oglądając się za ludźmi, widzi ramię z Czerwonym Krzyżem, wychylające się z jakiegoś schronu. Płazuje sanitariusza nieodstępnym kijem hokejowym, włazi skontrolować schron, znajduje skład niemieckich granatów i amunicji.

Z tego schronu jest doskonały wgląd na Albanetę. Tam w dole 593, zwrócony ku Albanecie, odgryza się w grotach Siemek. Pańczyszyn wychodzi ze schronu, stąpając jak baletnica przez sieć drutów, przeciągniętych do odbezpieczonych granatów. Przechyla się ku dołowi, krzyczy:

— Siemek!... Trzymam na lewo od ciebie.

O godzinie ósmej ponownie radiują obrońcy 593, że "Żaby skaczą". To znaczy, że wyszło przeciwuderzenie niemieckie — już czwarte z rzędu.

O godzinie ósmej minut czterdzieści — piąte uderzenie.

O godzinie ósmej kompania 2. pozbawiona jest dowódcy. Wyrwany głaz trzasnął por. Pańczyszyna w głowę, hełm wgiął się, siła wybuchu wywaliła bębni (wymacałem na jego głowie, gdy się wygoił, grzebień kostny).

Ocknął się, kiedy go sanitariusz zlewał wodą. Chce powiedzieć, żeby mu nie lał wody za koszulę i nie może: skurcz ścisnął szczęki.

Schodzi w dół i co parę kroków pada — błędnik uszkodzony. W mioty szarpia wnętrzności. Spotkany przy „domku doktora” płk Peszek pyta go o sytuację.

— Nie, nie jestem ranny — odpowiada ni w pięć ni w dziewięć por. Pańczyszyn.

Nie mogą się dogadać, bo por. Pańczyszyn — nie słyszy.

11,20. — uderzenie na środkowy szwadron 12. pułku. I ci żądają „Karpatów”.

Ci na przełęczy 569 bronią się jeszcze. Pchor. Woźniakowi granat obciął czaszkę. „Zostało nas 6” — opowiada kpr. Żurawski, który zastąpił ранnego amunicyjnego przy elkaemie. Wówczas poczeli się cofać, ostatni dowódca, ppor. Pilch na końcu, osłaniając swoich żołnierzy. Strzelec wyborowy dokucza — ppor. Pilch chwytą za tomigan i odwraca się, by strzelić — słychać jedno ciche bzyknięcie — ppor. Pilch pada z czołem przebitym. Jego ludzie są już na 593, na jego kra-wędzi nad grotami. W każdy tu załomek ktoś się wtulił — nie





ma gdzie się skryć. Poszedł pocisk, rzucił się do jakiejś wklęłości kpr. Żurawski, mieszkaniec krzyczy, że go przydusił. Skatulał się, nagrzuje rękami szuter — widzi — leży spalone nagie ciało całkiem pozbawione munduru — tomigan obok odrzucony.

Poleciał szuter na tę nędzę — ruszył się porażony wojną. Kość, naga kość — sterczy mu z policzka.

— Janek... to ty? — chrypi.

— Franek!... — poznał zastępcę ppor. Skwary, plut. Kwaśnika.

Żurawski wlewa mu kawę. Tam, gdzie była ręka prawa, sterczą kości jak w ułamym konarze drzewina. Nagi brzuch pocięty w krwawe festony.

Podczołgał się ranny w nogę sanitariusz Wroński, cały usmolony.

— Ma z tyłu dziurę w okolicy nerek — mówi — żyć nie będzie.

Podłożył kpr. Żurawski worki, które zabrali na piach, pod głowę umierającego. Zyskał z ciała jego jaką taką osłonę.

Z dołu lecą, kreśląc zygzaki w powietrzu, trzonkowe granaty Niemców. Niemcy już są w grotach!

Żurawski bierze tomigan Kwaśnika i strzela w dół.

Sierż. Próchniewicz też cofnął się na 593. Wcisnął się w





Plut. Listwan

jakąś jamkę — wielki szczur pobiegł mu po plecach, przeciągnął ogonem po szyi — jakby chciał ucałować.

— Te trzonki (od granatów p.m.) — opowiada — w prawo, lewo jakby je rzucał magik popisujący się na jarmarku. "Taki taniec!" — mówię do nieboszczyka sierż. Krzyżaka. Oglądam się — ilu jeszcze mam ludzi. Staje... „Kto tu leży?"

— Bartman.

— Ile masz magazynków?

— Trzy. Ale Stasio Szałyga tam leży.

— To podskocz po niego, do jasnej Anielki!

W innym miejscu — leży trzech w kupie. Próchniewicz kijem ich rozgania; został tylko celowniczy Skrzyński.

Ogień znów się wzmacza. Stary wyga z Legii kieruje swój wielki nos w tę stronę:

— No dobrze, już, dobrze... — mówi tonem osobistej obrazy — już nie będę wysuwał głowy (ale te obietnice widać nie zadowolili czorta wojny; popołudniu Próchniewicz został ranny).

Cięzko ranny plut. Listwan prosi, aby go dobić. Czołga się do niego sanitariusz Górski, stawia Listwana na nogi, aby go wwalić sobie na plecy. Ranny, nie wiadomo czemu, podnosi obie zgięte ręce na wysokość głowy, jak wzięty do niewoli żołnierz, albo raczej jak dziecko, któremu matka chce przewlec koszulkę.

Stoi tak — kandelabr tragiczny, na grani wzgórza, na tle nieba mosiężnego od blasku, chwiejąc się jak obdarty ze skóry „koń na wzgórzu" Małaczewskiego.

Sanitariusz Górski podsadza się pod niego jak chłop pod korzec żyta, wwala sobie na plecy i miarkując głazy nogą, poczyna znosić.

Strzelcy wyborowi wroga salutują ten pochód milczeniem.

Ale reszta zdobywców 593 tępiona jest zaciekle.

— Zobacz co w prawo? — mówi do por. Kicy mjr Rojek.

Kica — ostatni z dowódców kompanii — podnosi się i zabijają go w jednej chwili trzykrotnie: szpadał. granat i móżdziej.

Ranny zostaje ppor. Potocki. Sierż. Gołonka obejmuje dowództwo 1. kompanii, tzn. dwunastu ludzi, którzy pozostali po sześciu natarciach.



Sanit. Górski



Por. Kica

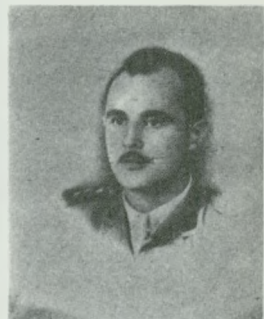




ury poległych pocięte pociskami; na grzbiecie — concertina; w omgle — sylweta góry klasztornej

Smierć chodzi — szeroko... dowódca brygady, płk Peszek, nie mogący usiedzieć w dowództwie, i przebywający w "domku doktora", przekazał ppłk Sokolowi, (dowódcy 3. baonu, ponownie obejmującego pozycje), dowództwo nad całością, tzn. i nad resztkami 2. baonu i wraca — kiedy kula przebija mu nogę. Dowództwo brygady obejmuje jego zastępcą, ppłk dypl. Matecki.

Ginie mjr Rojek — nikt nie wie jak. Po sześciu dniach widziałem na pobojowisku ludzi, szukających jego ciała długo i bezskutecznie; potem wreszcie zwłoki poległego d-cy zostały znalezione.



Mjr Rawicz-Rojek

## (60) OSTATNI WALCZĄCY PLUTON



Ppor. Romański



Strz. Marciupilewicz

Ppor. Romański, odsadziwszy się przeciwskłonem 593 w przód i pozostawiwszy grotę do czyszczenia plutonowi ppor Siemka, otrzymał drogą radiową o 01,55. rozkaz — okopać się frontem na Albanetę i ubezpieczać prawe skrzydło ataku mjr Rojka.

Silny to był pluton na początku, liczący z grupą wsparcia 35 ludzi. Udało mu się przemknąć przez alejkę i bramkę, stracił nieco ludzi od ognia z grot, od pułapek — zwłaszcza poniósłszy straty w swej grupie ciężkiego wsparcia, ale i teraz, bądź co bądź, liczył 25 ludzi — siła w tych walkach, gdzie najmniejsza jednostka rozporządzała dużą siłą ognia, gdzie przeciwuderzenia niemieckie nie przenosiły plutonu a nieraz wychodziły w sile drużyny — nie mała.

15 ludzi miał z nich ze sobą na wysuniętym stanowisku ppor. Romański i 10 w grupie wsparcia w tyle.

Porobili sobie jakie takie składaki, motając głowami, gdy nadto natarczywie bzykały kule — ale na ogół jakoś to szło; przeciwuderzenia niemieckie szły na lewo — na pierwszą kompanię (plutony Pilcha i Woźniaka).

Dopiero po ósmej rano, kiedy trzecie i czwarte uderzenie niemieckie wyrzuciło Polaków z siodełka między 593 i 569 — odstonił się bok ppor. Romańskiego i piąte przeciwuderzenie z najbliższego dystansu czterdziestu metrów pokryło pluton ogniem.

Nasz żołnierz dosyć szybko połapał się w technice niemieckiego przeciwuderzenia. Szli trójkami: gdy jeden podnosi się dla rzucenia granatu, drugi go ubezpiecza ze szmajserem, a trzeci korzysta z chwili i robi skok do przodu, po czym on z kolei zabezpiecza.

Żołnierze więc nasi przede wszystkim czyhali na rzucających granaty, bo taki musi stanąć na chwilę i daje najlepszy cel.

Strzel. celowniczy Marciupilewicz \*), który już tak położył jednego miotacza, zbyt późno przeniósł lufę na drugiego: granat już został wyrzucony z niemieckiej ręki, kiedy mijała

\*) Został inwalidą w akcji adriatyckiej.



się z nim seria Marciupilewicza. Padł zabity Niemiec, osunął się ranny Marciupilewicz.

Rzeź obustronna jest bardzo gwałtowna. Uderzenie niemieckie załamuje się. Z piętnastu żołnierzy przedniej grupy Romańskiego jest siedmiu rannych i jeden zabity.

Ppor. Romański zarządza ewakuowanie rannych i cofanie się. Ranny Marciupilewicz natyka się na opatrzonego przez Brzezińskiego Grabarczyka, któremu odebrało mowę. Grabarczyk zesałbł — ranny Marciupilewicz znosi go na plecach. Ciężko rannych pchor. Paramosza i pchor. Libermana (ranny po raz drugi) zostawiają w grocie, a sami skokami przesuwiają się do tyłu.

Zwinny, czarniawy ppor. Romański, kiedym z nim przechodził plac tej walki, pokazuje technikę jaką się cofali. Odszkarżali pojedynczo, gdy reszta ubezpieczała, lub przepęzła. Bo żołnierz po odskoczeniu przez chwilę ubezpieczał kolegę kolejnego ogniem, a potem, kiedy na niego przychodził czas skoku, przepęzła na inne miejsce i stamtąd skakał. Nad tym miejscem bowiem, na którym zapadł pierwotnie — wisiła oczekująca muszka strzelca wyborowego.

Cofając się, spotykają — pierwszego z plutonu Siemka — dowódcę drużyny pchor. Sokołowskiego.

— Siemek kona — mówi Sokołowski.

— Kto jest na górze, na 593?

Nie wie.

Romański idzie zorientować się; w tych ciężkich chwilach najcięższe zadania podejmuje sam oficer. Spotyka na górze sierż. Golonkę, młodziutkiego maturzystę z Barbary, pchor. Genia Barglewicza i... ppor. Koczyrkiewicza z 3. baonu, który ze swoim plutonem poprzedza wracającą na 593 kompanię kpt. Radwańskiego \*).

— No, to nie jest tak źle — myśli sobie ppor. Romański. Obiecuje kolegom ubezpieczać ich z dołu i wraca do swoich.

Walka zmienia człowieka. Sniady ppor. Romański szczerzył jeszcze bardziej i schudł przez tę noc. Nałożył okulary przeciwsłoneczne — trudno go poznać.

\*) Kpt. Radwański, ranny w czasie kampanii adriatyckiej i pozostawiony, przechowywał się na tyłach niemieckich, jak informowała potem ludność, przez pięć dni, aż został wykryty i wzięty do niewoli.



Pchor. Barglewicz

Walka podnieca nerwy, łatwo stwarza miraż. Przecież o 17.05. obserwator artyleryjski, cofając się ze wzgórza 593, podaje, że idzie natarcie niemieckie z czołgami.

Toteż ujrzawszy ppor. Romańskiego, żołnierze poczynają się cieszyć, że Hindusi przychodzą z pomocą.

— Z bykaście spadli — mówi ppor. Romański, zdejmując okulary — nie ma żadnych Hindusów, ale za to trzeci baon wchodzi na 593.

... a tymczasem, kiedy to mówił, już jego informatorzy są poza walką; ledwo się skrył za załomkiem, został zabity Genio Barglewicz, a sierż. Golonka — ostatni dowódca tych dwunastu, którzy zostali z 2. kompanii — ranny.

Ppor. Romański nic o tym nie wie. Pełen wiary, liczy ilu ma ludzi. Z plutonów jego, ś. p. Malinowskiego, ś. p. por. Kicy ma do walki siedemnastu. Niezła liczba, jak na końcowe rozgrywki! Posyła o tym dumny meldunek do kpt. Radwańskiego przez kpr. Zatwarnickiego.

Kpr. Zatwarnicki wraca z rozkazem, który podała brygada:

Trwać!...

Pocziwe p-pance dają o 11,30. trzecią salwę 12 pocisków jednym działem, bo drugiego przyrząd celowniczy chwilowo uszkodził pocisk. O godzinie 13 — 22 pociski. Klasztor znowu milknie. O 15,35. po dłuższej obserwacji pułk 12. ułanów melduje, że „Klasztor został zniszczony”.

Gdy nagle — o 18,45. na szczycie 593 ukazują się Niemcy! \*).

Kiedy 575 i Albaneta strzelają, nikt nie może utrzymać się na 593; świadczą o tym kości poprzedników.

Z góry teraz na ludzi ppor. Romańskiego sypie się grad granatów. Niemcy wkładają granaty w licznie tu leżące puste

*\*) Przypisek po bitwie:* Po drugim natarciu znaleziono trupa dowódcy tego niemieckiego przeciwuderzenia i przy nim niewysłany list do matki: „Wzgórze to było ważne i kluczowe. W ciągu dn. 12.V.44 dwa oddziały szturmowe naszego pułku próbowały je odbierać. O g. 16.00 otrzymałem rozkaz zdobyć to wzgórze moim plutonem. O g. 19 zaatakowałem. Szliśmy do przodu jak szatany, ja na czele swojego plutonu, wdarliśmy się w stanowiska nieprzyjaciela — zdobyłem wzgórze w ciągu 35 minut.

Do widzenia Kochana Mamo — śię miłe pozdrowienia od Twego syna i spadochroniarza. Karol”.



puszki po konserwach, wypełniają puszki kamyczkami i amunicją i w ten sposób zwiększają rażenie pocisków.

Strzel. Wilusz dwa granaty zdążył schwytać i odrzucić, nim wybuchły, trzecim został ranny \*).

Żołnierze Romańskiego wycofują się na tzw. pozycję Szlampa — początek 593. Ranni kuszątkają jak mogą. Ciężko ranni Paramosz i Liberman też wypęczają z grotty, ale Libermana — po raz trzeci w tej walce — trafia pocisk i definitywnie dobija... Najdalej wysunięty pchor. Sokółowski ze swoją drużyną i dowódcą patrolu sanitarnego kpr. Jeżowskim, który nie chce opuścić swoich rannych — dostają się do niewoli.

Jest godzina 19 m. 30, kiedy ostatni żołnierze 2. batalionu pod dowództwem ostatniego oficera ppor. Romańskiego schodzą z krwawego 593.

Jest ich pięciu: plut. Adamus, kpr. Zatwarnicki, st. strzel. Szawara, strzel. Natkaniec i strzel. Litwak.

Niosą ze sobą ciężko rannych pchor. Paramosza i strzel. Wilusza.

Dowódca 2. batalionu, ppłk Brzóska, utracił siły i nie mając meldunków, już w południe uznał, że 593 utracone, choć posterunek dowodzenia znajdował się dosłownie o 375 metrów od wzgórza 593. Tymczasem ppor. Romański znajdował się tam do wieczora. Ta sama historia w tymże dniu powtarza się w Kresowej z mjr Gnatowskim, który otrzymuje ostrzał własnej artylerii, bo dowództwo jest przekonane, że nikogo na Widmie nie ma (tyt. 76).

Ppor. Romański zostawił przy bramce swoją piątkę, na stanowiskach kompanii trzeciego baonu i poszedł alejką do „domku doktora” meldować się swemu dowódcy baonu:

— Panie pułkowniku, melduję, że wycofałem się z pięciu ludźmi.

— Dobrze, synu — podnosi ppułkownik zszarzałą twarz, — zabierz chłopaków, odejdziecie w tył.

Ale kiedy za chwilę ppor. Romański wraca z oddziałem, już jego dowódcy nie ma: ciężki pocisk z nebelwerfera pada koło samego „domku doktora”, zabija żołnierza, rani trzech innych, sam zaś ppłk Brzóska zostaje kontuzjowany

\*) Przypisek po bitwie: Po raz drugi ranny w akcji adriatyckiej.



strz. Wilusz



pchor. Sokółowski



kpr. Jeżowski



Pptk Brzóska

przez swego oficera wywiadowczego por. Zgołę, który, rzucony podmuchem, uderza głową w brzuch swego dowódcę.

Na trzy kompanie 2. batalionu, wróciło 34 całych żołnierzy.

Kiedy odwiedziłem pptk Brzóske w jego schronie bojowym, jeszcze słabego po przytłoczeniu worami, powiedział mi z naciskiem :

— Niech pan pamięta — o batalionie byłoby niewłaściwie pisać, że został „rozbity”.

— A jakże mam to określić?

Pptk Brzóska utkwiał wzrok w worach schronu; przez wąski otwór był wylot na jasny dzień; w tym wylocie małe ciemne figurki ludzkie znosiły poległych; wyglądało to dalekie już, nierealne — jak cienie chińskie w dziecinnej zabawce.

Usta ppułkownika poruszyły się cicho :

— „Wybity”... \*).



*I znów po płaszczach znaczonej świerkiem, nakrywających ciała wybitego baonu, pobiegły — nowe kable...*

\*) Wśród biorących udział w bitwie o Monte Cassino dwunastu batalionów piechoty i trzech pułków kawalerii, 2. batalion stoi na drugim miejscu pod względem strat — zaraz po baonie osiemnastym.





A L K A O W I D M O



## (61) K R E S O W A D Y W I Z J A

Los przysądził uderzenie na Widmo dywizji Kresowej. Dowodzi Kresową gen. Nikodem Sulik — komendant Z. Z. w ziemi wileńskiej, więzień torturowany w katowniach N.K.W.D.

Z dna cierpienia wywodzą się i jego podkomendni. Patrząc wstecz na początki dywizji — nie widzi się pociągów umajonych zielenią, żegnanych przez kobiety, z pieśnią żołnierzy ciągnących na front.

Widzi się — fufajki łagierników, zwiotczałe płaszcze polskich jeńców, rdzawe plamy na łachmanach tych, co długie tygodnie jechali w żelaznych barzach na Morzu Północnym.

Tymi drogami się szło — do dywizji Kresowej.







*Takich masami  
ratowało wojsko*

Kiedy przysła — „amnestia” (słowo urągliwe, które zostanie w historii naszej jak „gwarancje swobód” Imperatorowej) — niemocni ludzie dźwigali się z prycz, umierający ruszali ku drzwiom i padali ze słowem „Polska” na ustach.

*Salutujemy Ciebie zmarzłymi palcami  
Ponad wszystko szczęśliwi  
i razem nieszczęśni,  
Ze Ty z martwych powstajesz,  
gdy my umieramy \*).*

Przyszedł taki dzień — 15 sierpnia 1941 r., kiedy pierwsze

\*) Zdzisław Broncel, poeta-łagiernik.



Rys. F. Topolski

szeregi nędzarzy — stanęły w szyku żołnierskim. Defiladę przyjął „jak za dawnych lat”, przedzielonych wiecznością cierpienia — dowódca, walczący we wrześniu jak i oni, więziony i torturowany jak i oni, kuszony — jak i oni — gen. Anders. Oczy mu błyszczały w wynędzniałej twarzy, kiedy mówił do tych szeregów cieni: „Czołem — ŻOŁNIERZE!”

Rys. L. Wiechecki

Słowo wieczne, słowo dziadów, słowo najśodsze w nieśczęściu — znów było z nimi.

Prężyli się na placu Griazowca i chcieliby po tysiąc razy jeszcze i jeszcze słyszeć to dumne słowo „żołnierze!” oni, jeńcy, oni — łagiernicy, oni — mierzwa niemocna pod wzrost obcej potęgi.





Ciągnęli — zewsząd. Ta siła żywotna naszego narodu, która żołnierzy Karpackiej przerzucała przez dziesiątki granic i prześladowań, czyniła cuda w stepach zawianych śniegiem, w tundrowych obieżach setki kilometrów od kolei, w stepach, w których, zdawałoby się, sam Bóg uciekł i wszelka nadzieja.

Kładli się gęstym trupem po drodze, a ci, którzy się do-  
wlekli, całowali otrzymany broń.

Ci, którzy osiągnęli cel — jeszcze gesto płacili ufug go-  
niącej śmierci: 3.800 umundurowanych żołnierzy zmarło w  
okresie marzec, kwiecień i maj 1942. Ogólna liczba za cały rok  
jest dwukrotnie większa.

Ci co pozostali — zmagali się straszliwie z tyfusem i z  
czerwonką i z malarią. Przeszli szlaki szumiące dramatem  
dziejów — szlak Tamerlana, szlak Aleksandra Macedońskiego.  
Pola malaryków zaległy pustynie Iraku. W tej drodze — z Iranu  
przez Irak i Syrię — posuwali się ku Palestynie drogą, którą  
przemierzeli przed tysiąc dziewięćset czterdziestu dwoma laty  
trzej magowie idący za gwiazdą.

Gwiazda, która ich prowadziła, stanęła nad Górą Cas-  
sino.

Prowadził ich — kość z ich kości, krew z ich krwi, męka  
z ich męki — Komendant Związku Walki Zbrojnej pod okupa-  
cją bolszewicką, delikwent rosyjskich katowni — generał Ni-  
kodem Sulik.



## (62) ROLE ROZDANE-ŚCIEŻKOWCY NAPRZÓD!



O godzinie 22,45 baon 15. wychodzi z rejonu wyczekiwania w jarze B do pozycji wyjściowej.

Baon 15. ma uderzyć na lewą część Widma, na którego prawą część (północną) startuje baon 13. ppłk Kamińskiego.

Kamiński ma bliżej i dlatego baon 15. rusza o 20 minut wcześniej. W ten sposób uderzą równocześnie.

Pierwsza pójdzie kompania 3. ś. p. por. Jurkowskiego. Kompania ma iść na lewym skrzydle natarcia Kresowej dywizji. Widmo tam dosyć ostro spada ku gardzieli. Gardziel — atakuje 1. baon Karpackiej dywizji pod dowództwem ppłk Raczkowskiego.

Na prawo od 3. kompanii por. Jurkowskiego pójdzie kompania 4. kpt. Bartosika, jedyne go z dowódców kompanii 15. baonu, który wyszedł cało z tej nocy.

Za kompanią por. Jurkowskiego ruszy 2. kompania kpt. Polkowskiego. Za kpt. Bartosikiem poprowadzi kpt. Swieściak swoją 1. kompanię.

Role rozdane — los podnosi kurtynę na bezksiężycowej scenie, w której słabo widnieją biegnące w przód do nieprzyjaciela otaśmowane ścieżki.





Jeszcze nie wyruszyli z jaru — gdy już ogień niemiecki przypadł pod wyjście, którego stromizny trudno mu było ugrzyć i czekał — w huku rozprysków, w ostrej miazdze połupanych i pryskających skał, w świcie stalowych splintów pękającego pocisku, ostrych jak brzytwa, tnących powietrze jak sierpem.

W ogień ten pierwsze poszły patrole ścieżkowe. Prowadzili je ciż sami oficerowie, którzy przed dwoma dniami spatrolowali przedpole (tyt. 22): por. Lassota i podporucznicy Muttermilch, Bartoszak i Zastona.

Wyciągnęły się cztery patrole, idą gęsiego po dziesięćco wytuczając cztery ścieżki.

Pierwszy — to czujność ziemi: saper nakłuwacz, nieustannie ruchem wahadłowym szpilki saperskiej badający, czy nie ma przeciągniętych drutów od pułapek, a potem szybkim podziobywaniem przeczający grunt. Te patrole na czole natarcia, to jakby owad-batalion badał delikatnymi różkami drogę przed sobą.

Drugi za nakłuwaczem, to pionier z wielkim białym bębniem taśmy. Wygląda z tym bębniem niechronnie, niezbrojnie i triumfalnie — jakby to na tym bębnie chciał werblować zwycięstwo — jeszcze i jeszcze i jeszcze otaśmowanego metra po którym pójda — bracia.

Trzeci — to czujność kierunku; podoficer z busolą. Żeby nieuchronnie i nieubłaganie wdrażali się drogą najprostszą pod wroga.

Czwarty — robot przypinający taśmę do ziemi, lub przyciskający ją kamieniami na głazach.

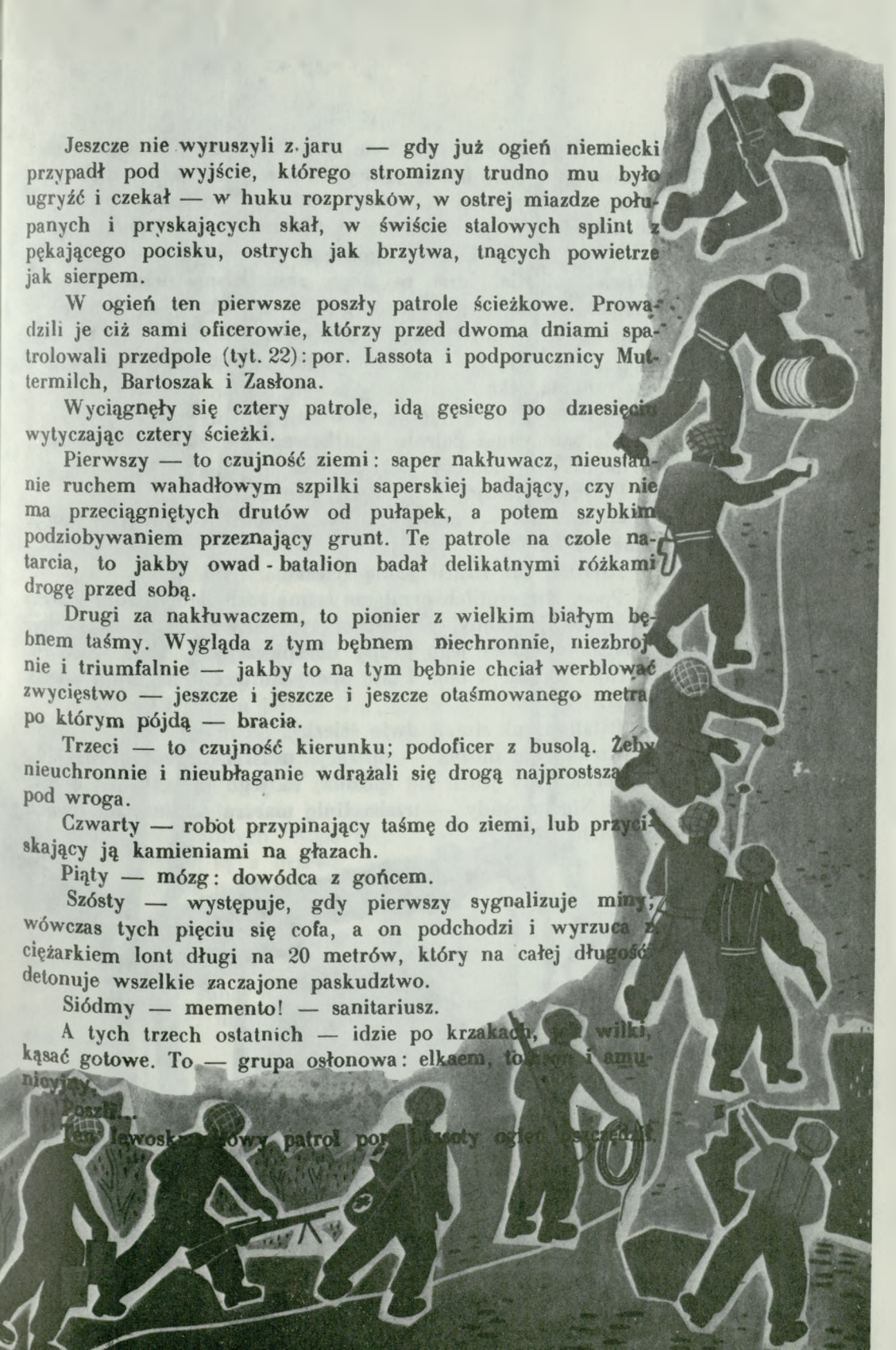
Piąty — mózg: dowódca z gońcem.

Szósty — występuje, gdy pierwszy sygnalizuje miny; wówczas tych pięciu się cofa, a on podchodzi i wyrzuca z ciężarkiem lont długi na 20 metrów, który na całej długości detonuje wszelkie zaczajone paskudztwo.

Siódmy — memento! — sanitariusz.

A tych trzech ostatnich — idzie po krzakach, wilki, kłosać gotowe. To — grupa osłonowa: elkaem, toster i amunicyjny.

Poszli...  
Ten lewoskowy patrol por...  
...ostrej ogień...  
...szczęśliwi.





przez metrów pięćdziesiąt. Tyle tylko tego triumfalnego werbla z rozwijającego się bębna taśmy... Na pięćdziesiątym metrze — rzekłbyś — porun padł w sam środek drapącego sznureczka ścieżkowca. To — ciężki pocisk 210 m/m. Gdy oprzytomnieli — por. Lassota, który z gońcem wspinał się w górę od miejsca trafienia, leżał ze stopą zmiażdżoną przez odłamek pierścienia wiodącego, jego goniec Kozakiewicz (który w kampanii wrzesniowej utracił cztery palce u ręki) — z urwaną nogą, przypinający — z rozwalonym bokiem idący z lontem — z ranioną ręką.

— Sanitariusz — jęczą ranni.

Ale sanitariusz patrolu ścieżkowego — strzel. Pasturczak, nie da nikomu pomocy: leży zabity.

Przybiegł sąsiad, ś. p. ppor. Bartoszak.

— Kolego — mówi ranny Lassota — przyłącz moja taśmę do swojej.

Batalion już stracił jedną ścieżkę.

Ppor. Muttermilch przyłącza taśmę rozbitego patrolu i zaraz potem zostaje ranny, a podchorąży, jego zastępca — zabity. Podbiega dowódca jego grupy ubezpieczający, sierż. Szmaro, opatruje, wynosi w bok. I tam ppor. Muttermilcha drugi pocisk dobija.

Batalion już stracił dwie ścieżki.

Czekać nie można — operacja musi iść według rozkładu z zegarka. Gdy jeden się spóźnia, to jego sąsiad zbierze całe ognie. Nie ma rady — trzeba linię marszu ścisnąć na dwóch ścieżkach.

Ppor. Muttermilch

Szkic St. Głowy z obozu  
sowieckiego





### (63) 3. KOMPANIA 15. BAONU GINIE

Dowódca 3. kompanii, por. Jurkowski, poprawił ekwipunek na sobie. To ten, który w dolinie Inferno zwierzał się po obejrzeniu terenu, że jeśli z niego nie ucieknie, to będzie bohaterem (tyt. 39). Wyszedł z kompanią na Drogę Polskich Saperów. Przypadł do niego ogień. Padł w potoku ludzi i sprzętu. Ciężko rannego podsunięto pod skałę. Tam go zmiążdży nasz czołg (tyt. 83).

Zastępca dowódcy, por. Lassota, już ranny na swoim patrolu ścieżkowym. Wobec tego dowódca 1. plutonu ppor. Gierlik \*) daje głos. Żeby wiedzieli w tej ciemności, że nic się nie zmieniło, że jest, kto dowodzi, że atak — idzie!...

Podmuchy pocisków biją w ścieżki — białe taśmy fruwiąją na drzewa, w bok, myślą kierunek. Oficerowie wstrzymują, badają którędy iść. Zegarki na rękach ciężą jak kamienie młyńskie, wskazówki posuwają się jak Przeznaczenie Człowieka, serca biją: „Iść byle jak!... nie spóźnić!...”

Do pozycji trzymającego linię 14. baonu (tyt. 19) są jeszcze „u siebie”, choć pod ogniem. Przechodzą zależyska 14., który błyska strzałami jakby spod ziemi.

Za linią 14. baonu jeszcze sto, stopięćdziesiąt metrów teren rozpoznany. Po czym poczyna się nieznane, ziemia przed akcją zabroniona naszym patrolom, aby snać Niemcy nie ujęli języka, nie wymiarkowali, że idzie na nich ich czas.

Druga kompania idzie już za trzecią. Pot leje się okrutny z żołnierzy objuczonych. Noga leci z ostrych skał na miny pudełkowe. Miny są z drzewa — wykrywacze patroli ścieżkowych reagujące na metal są bezsilne wobec tego draństwa. Noga chciałaby nie stąpać po ziemi, głowa nie sunąć powietrzem pełnym świstu, boki umknąć by chciały bijącym odłamkom — świetliki — wielkie jarzące świetliki właściwe nocom włoskim suną w ciemności — ale ciało ludzkie jest ciężkie, masywne, nalane krwią, która warzy się i podchodzi pod gardło.

\*) *Przypisek po bitwie*: ciężko ranny w nogę podczas natarcia na Montaro — Adriatyk — dnia 5.VII.1944. — obecnie inwalida, przebywa w Anglii.



Por. Jurkowski

Pełne i puste miny pudełkowe



295



Kpt. Polkowski



Por. Petryński

2. kompania — idzie tuż za 3. Zwarli łąpy na tomiganach — prą nieustępliwie ci żołnierze, których większość nigdy nie zaznała ognia — nikt nie zalega. Padają zabici i ranni. Kupią się przy dowódcy, by nagle prysnąć w strony. Dowódca, kpt. Polkowski leży ranny na ziemi.

Księżyc jeszcze nie wzeszedł. Ś. p. por. Petryński daje głos. Żeby wiedzieli w tej ciemności, że jest, kto dowodzi, że atak — idzie.

Czołowa trzecia, niedawno Jurkowskiego, teraz Gierlika, zesłała już od pozycji czternastego w dolinkę, która dzieli od Widma. W dolince bulgocze ogień zaporowy i odzywa się — po raz pierwszy — broń maszynowa. Tajemnicze bunkry, o których tyle krążyło wieści — tuż.

Saperzy mocniej zaciskają 3-metrowe tyki — będą je wrażać przez strzelnice bunkrów — tyka na końcu ma ładunek wybuchowy, a u rękojeści elektryczny wyzwalacz. Wysuwają się ci z piatami — które wracają masą metalu o straszliwej temperaturze stopią każdy pancerz stalowy, rozwalą każdy pillbox, każdy bunkier. Niemrawe trójki żołnierzy ciągnące ogniomiotacze, uginające się pod ciężarem sprzętu i zbiorników — podciągają skwapliwie po ostrych kamieniach, niebaczni już na miny, pracy w przód, by chlusnąć strugą ognia w dziury, po których zaszyło się robactwo niemieckie.

Saperzy, piatowcy, moździerzowcy, ogniomiotacze — a z nimi masa z lekkimi karabinami maszynowymi, z automatycznymi pistoletami Thompsona, ze zwykłymi karabinami piechoty — wchodzi w kotlinkę bulgoczącą ogniem zaporowym jak wchodzi człowiek, mający przebyć bród.

Kładą się pokotem, jak położyły się w czole idące kompanie sąsiednich batalionów. Pada, ciężko ranny, por. Sobolewski, przesyty szpandatem, popalony fosforowym pociskiem.

W kotlinie leżą tomigany o niewypróżnionych brzuchach, trupy skręcone, połamane tyki saperskie, białe bełny taśmy, które wstającemu słońcu ukazały się czerwono, czółgający się ranni, rezerwuary ogniomiotacze o wyonaczonym wapieniu, ciekące cieczą, która nie ma już się zmienić w promień. Nie ma już się zmienić w taran uderzający 3. kompanię. Kompania 3. nie istnieje. Kilkuastu jej rozbitków widać u nadejściącej kompanii 2.





## (64) 2. KOMPANIA BIERZE POMSTĘ

Bez wahania w bulgoczący bród wchodzi 2. kompania. Koledzy. Mściciele.

Pierwszy uderza pluton szturmowy por. Matulewicza \*).

Tuż za tym, w jednej linii właściwie, pluton st. sierż. Maciaka.

Za nimi o 40 metrów — pluton ppor. Wszelakiego.

Ciemno jest, ale drogę do bunkrów rozpoznają po ogniu. Za dnia, potem, zdumieją, nie widząc w terenie nic: do tego w ziemię wżarte, w głąz wrosłe są trzy... dwu... jedno — osobowe bunkry niemieckie.

Po ogniu je wyczuli. Saperzy już wybici, „materiału plastycznego”, którym mieli wysadzać bunkry — nie ma. Ruszają sami piechurzy, którzy nie mają ładunków wybuchowych. Podczas, gdy jedni ogniem bunkry trzymają, inni, czołgając się, prą na bunkry z czym kto ma.

Niemcy — zastosowali podstęp. Na każdym schronie ukazał się Niemiec, dawał serię ze szmajsera, obsypywał atakujących gradem „paluszków” (materiał plastyczny ze sponką) i uciekał. Bunkry — milczały; zatajone załogi miały przepuścić atak ku dalszym bunkrom i wziąć go we dwa ognie.

Podstęp się nie udał.

St. strz. Lipnicki, jedyny, który ma sprzęt specjalny, skierowany jest na największy bunkier. Chociaż ranny już, dopada go jednak z miotaczem ognia; usmażył w nim pięciu Niemców.

Celowniczy Gudanowski, ranny, dobiega do innego schronu, wciska lufę elkaemu w strzelnicę, miota się obłąkana strachem załoga, ziele na wszystkie strony elkaem — wybił!...

Strz. Zaleski pięciu granatami ręcznymi wytlukł trzeci schron.

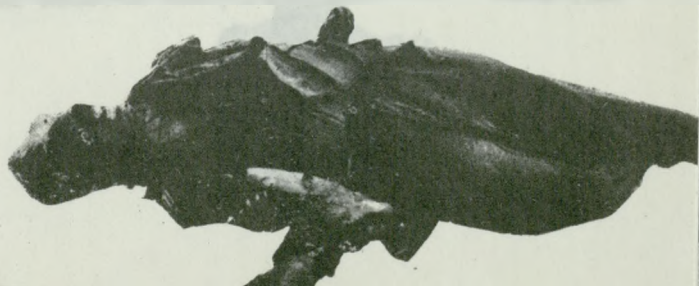
S. p. kpr. pchor. Ochęduszek — czwarty.

S. p. sierż. Bowska — szósty.

\*) Przypisek po bitwie: ciężko ranny w głowę podczas natarcia na Monte Calcinovi — Apeniny — dnia 18.X.1944. — Inwalida, przebywa w Anglii.



Strzelcy Lipnicki  
/ x / i Gudanowski  
ze zdobytym  
szpandalem





Wyłtkli wszystkie dziewięć bunkrów, które mieli przed sobą. Wzięli odwet za kompanię trzecią.

Wszystkie?... Ten, kto chodził po tej ziemi przeklętej i świętej, wie, że nic nie znaczy to słowo.

Por. Petryński podrywa swoją kompanię. Oczyszczywszy teren; chce iść dalej. Z martwej ciszy, w której na wieki zmiłkły załogi wybitych bunkrów, z dwu stron idzie ogień ze szpandałów; dwa bunkry po skrzydłach nie zostały zlikwidowane.

Pada por. Petryński, zabity serią szpandała.

Por. Miszkiel daje głos. Żeby wiedzieli w tej ciemności, że jest, kto dowodzi, że atak idzie. Zastępstwo jego bierze ppor. Wszelaki, pluton Wszelakiego obejmuje sierż. Buder.

Nowy dowódca ogarnia kompanię. Ma 50 % strat. Rozgrzani walką — chcą rwać dalej... Dojrzeli w paru godzinach boju. Zrozumieli, że zalegający — ginie. Ugryźli bunkry, rozwalili. Z następnymi jeszcze lepiej poczną.

Młody dowódca ma w koło siebie ich, czarne jeszcze niebo nad sobą, za sobą — w zamierzchłej jakiejś przeszłości spokojnej odprawy — rozkaz operacyjny.

Pamięta: azymut kierunku natarcia — 240°.



Sierż. Buder





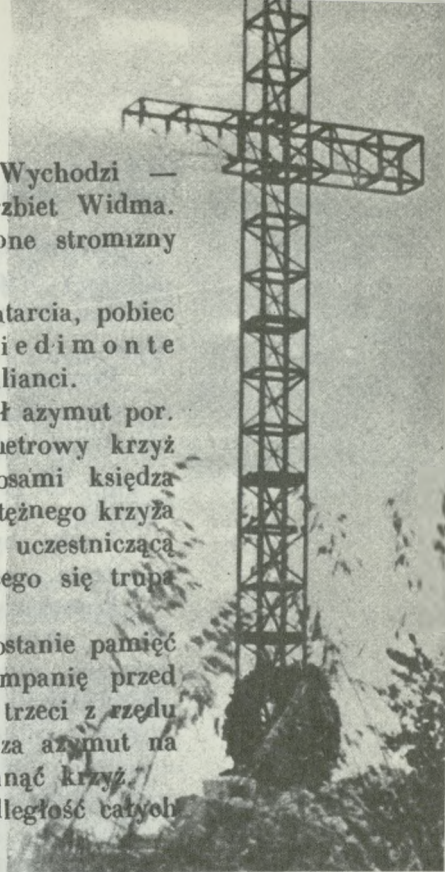
Por Miszkiel wyznacza ten kierunek. Wychodzi — nacierać na dalekie siodełko 575. Wejść na grzbiet Widma. Zejść w następną kotlinę. Sforsować nabunkrzone stromizny 575. Zdławić to gniazdo ognia.

Ach! — sięść na tym drugim przedmiocie natarcia, pobiec wzrokiem na równinę Liri, na zagórskie Piedimonte i St. Lucia, na drogę Nr 6, którą nadejdą alianci.

Tam, na tym szczycie 575, na który nastawiał azymut por. Miszkiel, w trzy tygodnie po tym stanął 12-metrowy krzyż Kresowej dywizji. Wiatr z doliny rzucał włosami księdza odprawiającego mszę, na żelaznym prześle potężnego krzyża wiał jedyny mak, przyniesiony przez jedyną uczestniczącą kobietę, z pobliza zanosił mdły fetor rozkładającego się trupa niemieckiej spadochroniarki.

Kwiat zettleje, trup zettleje, krzyż zostanie. Zostanie pamięć o młodym dowódcy, który, mając wybitą kompanię przed sobą, mając wybite pół kompanii własnej, jako trzeci z rzędu jej dowódca, na początku jeszcze drogi, wyznacza azymut na daleki szczyt, na którym pewnego dnia miał stanąć krzyż.

Ale do tego dnia było daleko... Daleko o odległość całych żyć ludzkich.



Por. Miszkiel

## (65) 4. KOMPANIA WŚRÓD BUNKRÓW

Dwadzieścia minut czekała 4. kompania kpt. Bartosika u podstawy Widma, aż ścichnie ogień zaporowy, bulgoczący w kotłince, który zmiotł trzecią, przez który wparła się w bunkry druga.

Przywarłszy w ściekach, wyłobionych w stoku, żołnierze są zarzucani lecącymi spod eksplozji z góry kamieniami i urwanymi gałęziami. W powietrzu stoi dym.

To dla 4. kompanii trasował ścieżkę poległy ppor. Muttermilch — dalej już ścieżki nie było.

Trzeba było rzucać się w nieznanie — w eksplodujące powietrze i w eksplodującą ziemię.

Kompania usiłuje trafić na trzecią ścieżkę — ppor. Zastony. Idą — pluton ppor. Czopa na lewo — przy nim ś. p. por. Sommer, zastępca dowódcy kompanii. Na prawo na równej wysokości pluton ppor. Stępniewskiego \*). Za tym plutonem pluton wsparcia sierż. Pesta i przy nim dowódca kompanii z pocztem. Silny ogień. Meldunek od czoła — patrol ścieżkowy ppor. Zastony rozbity, on sam ranny.

Batalion stracił trzecią ścieżkę.

— Naprzód! — woła por. Sommer; sam on chwytając za szpilkę do wykrywania min, plut. Poraszka zabiera bęben zabitemu pionierowi i ciągnie taśmę. Pocisk pada między nich, ciężko rani Poraszkę, szczęśliwie tylko przebija hełm w dwu miejscach Sommerowi.

\*) *Przypisek po bitwie*: ranny w natarciu na Monte Molla Forche — Apeniny — dnia 20.X.1944. — Powrócił do oddziału.



Kpt. Bartosik



Ppor. Czop



Por. Sommer



Ppor. Stępniewski



Sierż. Pesta



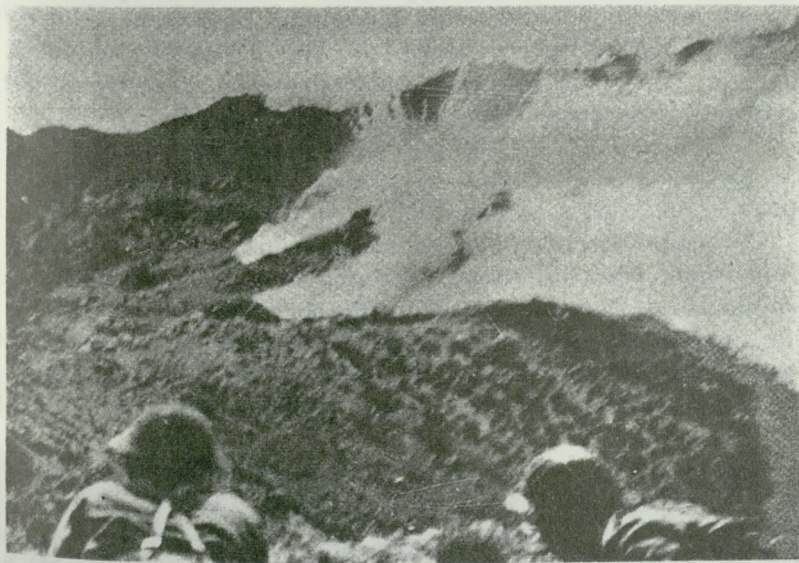
Ale już nadchodzi — zapasowy patrol ścieżkowy i dalej w gęstych krzakach toruje drogę.

Już doszli stoków Widma. Rysują się nagle — o kilkanaście kroków — sylwety bunkrów, tych bunkrów, o których tyle żołnierzom mówiono.

Chwila odpoczynku — przed stokiem. Tylko świsty tną gałęzie drzew. Nagle zagadał szpandał — spostrzegli!

Podrywa się por. Sommer, za nim plut. Mariański, za nimi — już pędzi cały pluton ppor. Czopa. Widać tylko ich cienie na horyzoncie wśród kurzu i dymu. Już są na górze, na wysokości bunkrów... Przywarli do skał... Granaty rzucają...

I gdy elkaemy i tomigany polskie strzelają co mocy, ostanając atak — skoczył por. Sommer na schron! Rzuca



granat fosforowy... Dym — blask... Tak! Wybił obsadę!...

Podciągają się plutony Stępniewskiego i Pesta. Już cała kompania walczy

Kpr. Popławski na odprawie przed wyruszeniem zapamiętał, że należy wziąć jeńca, aby wskazywał dalszą drogę przez pola minowe. Akurat nieprzyjaciel na chwilę skierował



Kpr. Żebrowski

ogień na północ, gdzie wiele huków robili idący do ataku „Rysie” (13. baon). Korzystając z tego skokiem czworakowym dobiega do bunkra, który był za wysokim kamiennym tarasem; szuka otworu; by wrzucić granat; przez szczelinę między kamieniami strzela do wnętrza — potem podczołguje się z drugiej strony — przez otwór widzi szwaba z elkaemem, rozplaszczonego. Krzyczy „halt” — dwie ręce podnoszą się przez otwór. Serce bije Popławskiemu — zdobył nakazywanego jeńca! Jedną ręką szybko wyrzuca mu z kieszeni amunicję i pędzi przed sobą do dowódcy, krzycząc znak rozpoznawczy „Wilk! Wilk!”..., bo go koledzy utłuką jeszcze w gorące przy tym Niemcu.

Z innego umocnienia strzela szmajser — biegnie pchor. Szałwiński i kpr. pchor. Żebrowski — Szałwiński poległ, Żebrowski załutkował Niemca, ratując życie dowódcy kompanii.

Zrobiło się zamieszanie w plutonach, bo grupki żołnierzy rwały się jedna przez drugą do likwidowania schronów; dopiero po pewnym czasie uporządkowano plutony i już systematycznie poczęto likwidować gniazda oporu.

Jest na Widmie domek — czy raczej domku ruiny, macany przez nasze zdjęcia samolotowe, identyfikowany, rozważany.

Przez przełęczkę, o kilkaset metrów, już za linią pozycyjną, zajmowaną przez czternasty batalion, stały drugie takie same ruiny — te znowuż podejrzone dla Niemców.

Niegdyś mieszkali może tu jacyś ludzie, w tej zaminowanej ziemi, którym gdały kury i pochrząkiwały świnki. Teraz w obu domkach działa się sprawy wojny.

Domek d-twa 14. baonu





Teraz kur nie było, tylko słowiki darty się całym nocami, niebaczne móżdziejowego ognia. Swinek nie było — co noc muły z naszej i niemieckiej strony pięły się z puszkami konserw, z bańkami wody, próbując każdy kamień ostrożną nogą.

W domku po naszej stronie siedział dowódca czternastego batalionu mjr Ziobrowski. Batalion, uczepony skrają naszych pozycji, tak jak zastygła bitwa z Francuzami, przywarowany pod bliskim wglądem nieprzyjaciela, niechętnie widział nałazących wizytatorów, którzy ściągali ogień. 5 maja „volltreffer” wyrznął w narożnik domku i zwałił kawał ściany.

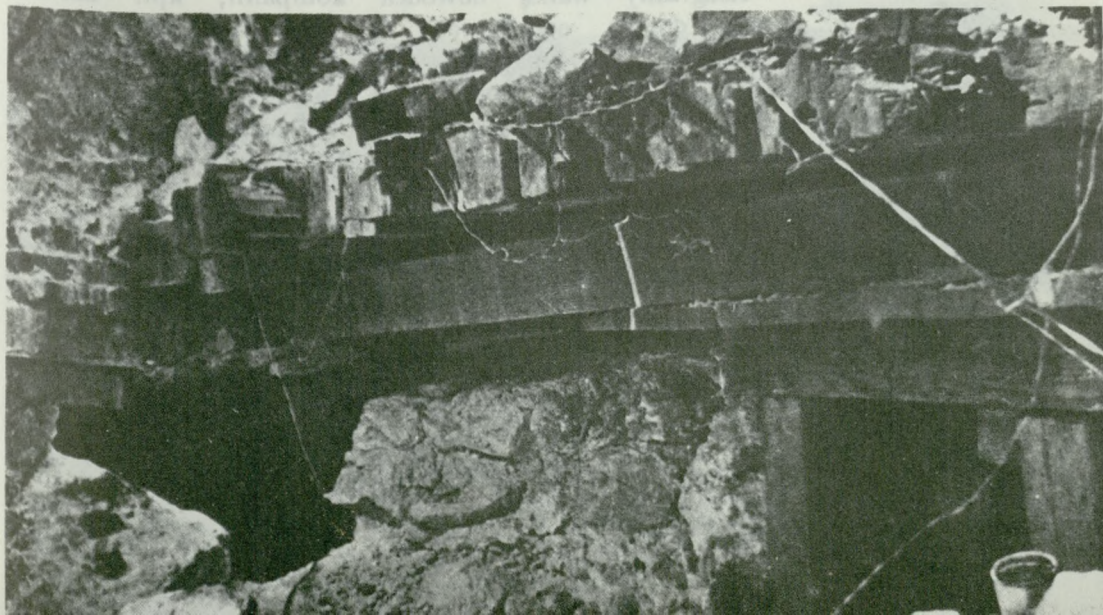
Baon żył w ciągłej czujności, by nieprzyjaciel nie natarł. Bo gdyby ich zepchnął — znak zapytania zawisłby nad całą przyszłą operacją.

W domku po stronie niemieckiej siedział za czasów natarcia francuskiego dowódca batalionu niemieckiego. Teraz, rozbity, nawiedzany był tylko przez placówki niemieckie, które starały się wziąć w nasze pozycje.

Dowódca 2. baonu 100. wysokogórskiego pułku, kpt. von Zwickenpflug umieścił się dalej w tyle.

„Na podstawie obserwacji wielkiego ruchu — pisał w rozkazie do batalionu z dnia 23 kwietnia kpt. Zwickenpflug — liczyć się należy z atakiem między opactwem i St. Angelo”.

Między opactwem Monte Cassino i St. Angelo stały jego właśnie pozycje na Widmie, budowane miesiącami przez włoskich niewolników, wzmacniane nieustannie od czasu francuskich, hinduskich i nowozelandzkich ataków.





Strz. Karpowicz



Strz. Łukawiecki



Sierż. Kmitowicz

Toteż kpt. Zwickenpflug mógł zakończyć swój rozkaz słowami pełnymi przekonania:

„Dobrze zbudowane stanowisko jest nie do przełamania”.

Przełamała jednak bunkry lewoskrzydłowa kompania Polkowskiego - Petryńskiego - Miszkiela, przełamał dla prawoskrzydłowej czwartej jeden bunkier por. Sommer, drugi bunkier Szałwiński z Żebrowskim, trzeci strz. Karpowicz, czwarty kpr. Popławski, piąty strz. Łukawiecki, który miotaczem płomieni spalił 12 Niemców.



Można jednak wyłamywać te skalne zęby!...

Rozgrzany walką dowódca kompanii, kpt. Bartosik poznaje domek, odcyfrowany ze zdjęć lotniczych. Domek pyrka strzałami szmajsera. „Zdobyc domek!” — krzyczy kapitan przez strzały, bieganinę i zamęt.

Postyszał rozkaz sierż. Kmitowicz; biegnie ku domkowi, otrzymuje serię z odległości 15 metrów. Pada, ale się podniósł. Nic mu nie jest. Skokami idzie na domek. Żołnierz z tamtej wojny — wie, że kto zalega, ten ginie.

Któryś z żołnierzy z rozbitej 3. kompanii, usiłując coś na własną rękę wyczynić, już się dobieiera do domku. „Idź z lewej!” — woła Kmitowicz.





*Domek na Widmie*

Okrażany przez strzelca i sierżanta budynek, to po walkach poprzedników — tylko wspomnienie czegoś, co było domem. Ściana od strony Kmitowicza zwalona, z któregoś z okien przeciwległej ściany idą kule.

Kmitowicz daje serię do jednego, do drugiego okna w tej ścianie. Przeciwnik milknie. Biegnie przez osypiska ku tej ścianie, rzuca przez okno granat. Huk i cisza. Wspina się do okna — wygląda; na przybudowanym do ściany bunkrze. rozrzuca ręce i nogi szeroko, leży upolowany Niemiec ze szmajserem; coś ruszyło się w bunkrze — Kmitowicz rzuca granat. Jęk. Obiega ścianę i wrzuca granat do środka. Coś się w bunkrze trzepocze, aż ustaje — słychać tylko charkot.

*Przybudowany bunkier w którym sierż. Kmitowicz wytłukł załogę*



Czas iść w przód (wszak lewy sąsiad, por. Miszkiel, dawno pomierzył azymut i pnie się w górę, by zejść w kotlinkę przed 575). Niech tę resztę bunkrów czyści idąca z tyłu kompania 1. kpt. Świeściaka.

Akurat i ogień niemiecki się zmniejsza, tylko od prawej flanki szyją uparcie jakieś szmajsery. Dlaczego? Przecie tam już był trzynasty batalion? Ale trzynastego nie widać, nie słychać (bo już w przód poszły kompanie Kolatora i Domańskiego, — tyt. 74). Szmajsery dokuczają.

„Sprawdzić, co tam strzela na prawo” — woła kpt. Bartosik do st. sierż. Pesta, nie spostrzegając, że Pest jest już ranny.

Pest biegnie z czterema żołnierzami. Niemcy strzelają zawzięcie. W atakującej piątce padają zabici strzelcy Petrek i Osetek. Ale nasi z tyłu ogniem wspierają — już tylko jeden szmajser pyrka... przestał i on. Dobiegają — widzą trzech zabitych szmajserowców. Ten środkowy, leżący nosem w ziemię, z twarzą pokrytą krwią, z rozrzuconymi rękami, pokryty płaszczem — coś za realistycznie wygląda. Gdzieby mieli czas koledzy pokrywać zmarłego płaszczem?

Ukłuty, dla pewności, bagnetem w pośladek, „trup” drgnął, na nogi się poderwał zdrowiutki Niemiec. To on strzelał.

„Za Osetka!...”

„Za Petryka!...”

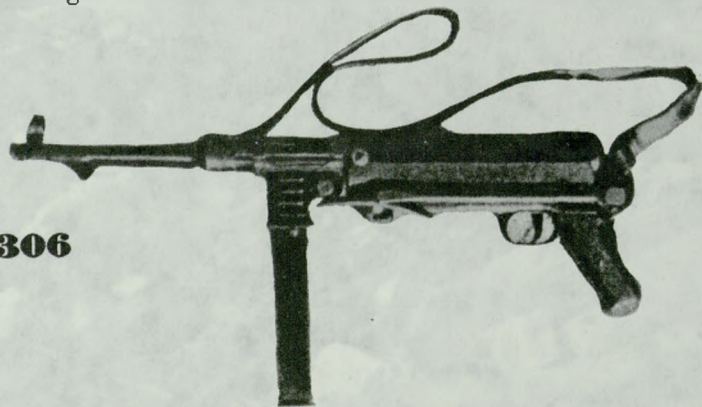
I cała kompania 4., pędząc przed sobą wziętego przez Popławskiego jeńca, który ma wskazywać miny — idzie przez szczyt — w „dolinę śmierci”.

Pierwsza — drużyna kierunkowa plut. Czyża, za nią w równej linii — kompanie Stępniewskiego i Pesta, za nimi — wykrwawiony pluton Czopa.

Kompania zorganizowana, uporządkowana, gotowa do dalszego działania.



Plut. Czyż



Szmajser



## (66) 1. KOMPANIA PODZIĘŁA LOS 3.

Idąca za 4. kompania pierwsza — istotnie zaczyna czyścić bunkry.

Pluton 2., ś. p. ppor. Jachimowicz, wyprawa w jednym kierunku elkaemem, wciśniętym przez strzelnicę, czterech Niemców, w drugim dwóch. Poszli dalej — znów z tyłu strzymują ogień. Ten strzelający bunkier był o pięć metrów od likwidowanego i milczał!

Zawracają — wygubiają czterech szwabów obsługi. I zaraz potem dwóch innych w innym bunkrze, który się odezwał.

A kiedy znów zamierzają iść w przód — odezwał się bunkier ten na prawo w tył, ocalały z pogromu dziewięciu bunkrów przez 2. kompanię, ten, który zabił por. Petryńskiego. Szarpia się ku niemu — na próżno; dwóch zabił, trzech raniał bunkier Pułjan, bunkier — Burdabut.

Wtedy od patrolu ścieżkowego, będącego gdzieś w przodzie, przychodzi meldunek: „Jesteśmy 100 mtr od szczytu, można ruszać do szturm”.

Z prawej strony na odcinku 13. baonu słychać krzyki „hurra!”

To kpt. Kolator czyści bunkry — (tyt. 74).

Nie ma czasu się zatrzymywać dłużej ppor. Jachimowicz; 2. kompania zdała na niego niedoczyszczone bunkry — robił co mógł, rozwalił przecie cztery. Niech i Burdabutem radzą sobie 3. i 1. plutony. Czas nagli, jest już 02,00. Kiedy świt złapie na tym przeklętym Widmie — wszyscy polegną. Czas nagli. Trzeba zdławić ogień na 575.

Plutony 1. i 3. słyszą na prawo zgiełk bitany 13. baonu, słyszą, że pluton 2. wdarł się na przedmiot natarcia. Dowódcy podrywają plutony, lecz po przebyciu 50 mtr zostają przytłoczeni ogniem artylerii i cekaemów. Ogień idzie z zaplecza, żołnierz nie rozumie, że to niemiecki. Trzykrotne usiłowania wyrwania się spod ognia nie dają rezultatu. Meldunki o przedłużeniu własnego ognia, przesyłane do tyłu, nie dochodzą. Obie radiostacje R. 38 zostają zniszczone, kompanijna R. 18 nie działa. Strzelane czerwone rakiety





Sierż. Kruszyński



Ppor. Strojnowski



Kpt. Świeściak

nie dają rezultatu. W 3. plutonie z 22 ludzi pozostało 13, w 1. plutonie padł ciężko ranny jego dowódca sierż. Kruszyński, a z 14 ludzi w plutonie pozostało pięciu.

O godzinie 3 m. 15 dowódca kompanii, kpt. Świeściak, który idzie z tymi plutonami, na próżno usiłuje poderwać żołnierzy. Po raz czwarty... Istotnie — podnieść się — to śmierć. I kpt. Świeściak pada ze zgruchotałą nogą. Zastępca jego, por. Gerwel, jest już w przodzie z atakiem 2. plutonu. Wobec tego dowódca 3. plutonu, ppor. Strojnowski, daje głos: żeby wiedzieli w tej ciemności, że jest kto dowodzi, że... pójdą!

Ale ranny kpt. Świeściak już czuje, że wnet stanie na ostatecznej i najwyższej odprawie. Wie, że już nic od tych plutonów wymagać nie można. I daje rozkaz odwrotu.

Powiadomiony przez rozbitków dowódca baonu, wysyła po kpt. Świeściaka czterech sanitariuszy. Dwóch sanitariuszy ginie, dwaj zostają ranni.

Potem, drugą nocą, usiłował go znieść plut. Wasilewski. Szukano go potem po pobojowisku — bezskutecznie. Pewno zaczął się w krzaki i zmarł. W spisach strat wpisano przy nazwisku dowódcy kompanii 1. — „zaginiony”.

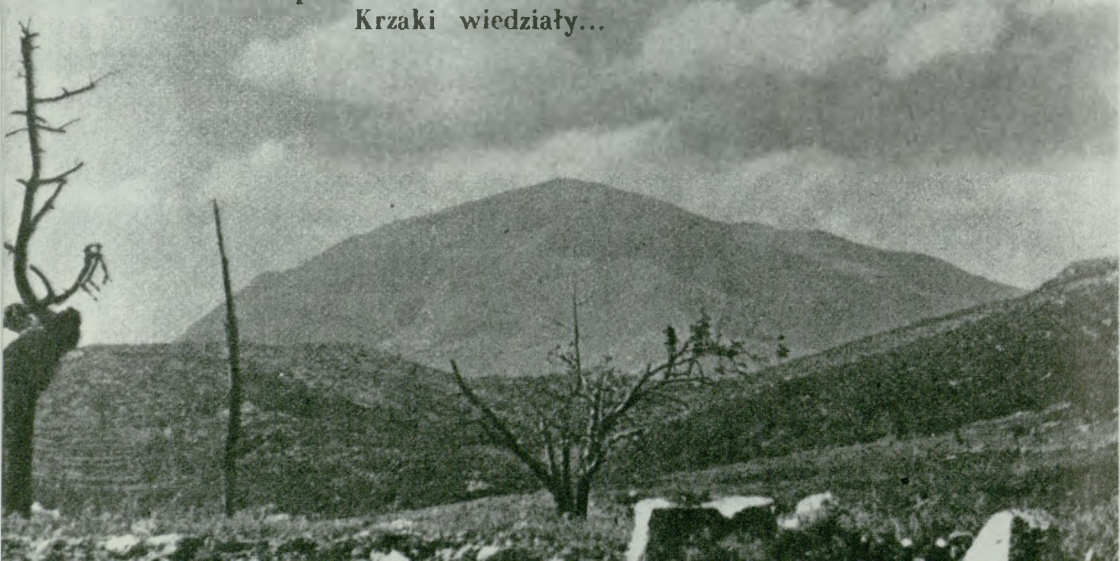
Krzaki wiedzą...

Jedyny tylko pluton z kompanii poległego kapitana, pluton 2. ppor. Jachimowicza, poszedł dalej, walczył. Zlikwidował trzy bunkry, zabił 14 Niemców, spłynął w dolinę między Widmem i St. Angelo.

Jeszcze o południu słyszano rozkazy Jachimowicza, jeszcze żył. Potem go wołał mjr Gnatowski, montując natarcie. Na próżno.

Krzaki wiedziały...

Dolina między  
Widmem i St. Angelo





Kiedy por. Miszkiel wyznaczył azymut, zejść wypadało jego kompanii na mocno zakrzaczoną dolinkę, która biegła do przedproza 575, tzn. do wzgórza 517.

Dotychczas, schodząc, skryci byli skłonem Widma. Teraz, w dolince, trzasnął ich zagrządzający ogień dział niemieckich z Belmonte i Attina, dział dalekosiężnych, bijących z gór poza doliną Rapido, ze stanowisk za stanowiskami polskiej artylerii, tak, że żołnierz, rażony od tyłu, sądził, że swoi biją po nim.

Dolinka, którą schodził por. Miszkiel, była zasiana pułapkami, a ze wzgórza 517 wyszło przeciwuderzenie niemieckie. Wychynęli z tuż dochodzących krzaków i rzucili się z okrzykiem Süss - talala!... \*)

Jest godzina w pół do czwartej nad ranem i jeszcze zupełnie ciemno. To „süss — talalowanie” brzmi jak chichot szatanów. Por. Miszkiel wie:

„Nie trzeba azymutów.

Dziś ogień jest busolą.

„Krew się na mokrej

ziemi brunatną maże plamą”.

CZERNY \*\*).

Zasiadły się idące w przodzie plutony sierżantów Maciaka i Budera. Rzucili granaty. Dobiegł pluton szturmowy por. Ma-

\*) Zapewne „Sieg-Heil!”

\*\*\*) Poeta — żołnierz „Kresowej”.





Ppor. Domiechowski

tulewicza. Dobięła drużyna cekaemów z dowódcą plutonu cekaemów ppor. Domiechowskim. Pluton przeczłgał się w kotlinie bulgoczącej przed Widmem pod krzyżowym torem świetlnych pocisków, przesunął się koło zięjącego ogniem Burdabuta — doszli, wszyscy trzydziestu czterech, aż w tę kotlinkę między Widmem i 575 — bez strat. Dźwiganie ciężkich, chłodzonych wodą karabinów maszynowych przystosowanych raczej do obrony, niż wypadu — zapierało dech w piersiach. Z browningami, chłodzonymi powietrzem, byłoby lżej; kto wie, czy na pierwszy wypad nie wystarczyłyby elkaemy. Brali też na plecy ciężkie skrzynki z nabojami — jeden z chłopaków włókł 750 sztuk. Teraz się przydało. Strz. Huszcza, ranny w rękę i kolano, nie słucha rozkazu wycofania się do posterunku opatrunkowego, bo — „muszę swego oprawcę zniszczyć”. Jeden cekaem Niemcy rozbili, trzech z obsługi poległo.

Ale padło też kilku Niemców, sześciu poddało się — przeciwdzierzenie załamało się.

Cóż, kiedy kompania por. Miszkiela nie ma amunicji. Jakże tu ją dostawić, kiedy za nimi całe Widmo — z niedoczyszczonymi bunkrami, z bunkrem — Burdabutem?

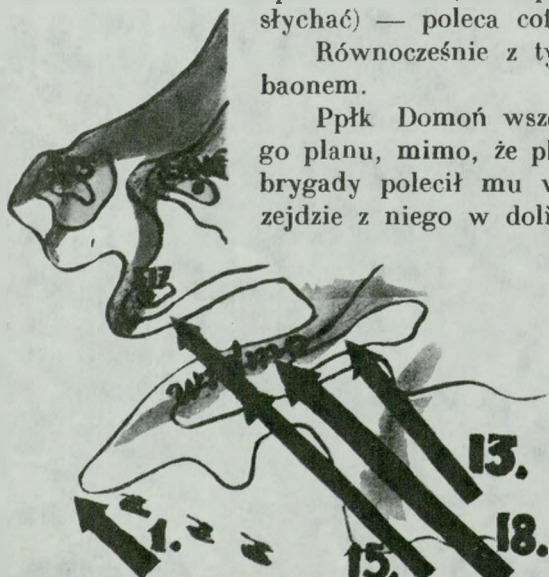
Okładają się kamieniami jak mogą i czekają. U podnóża 575 — najdalej wysunięta w tym ataku kompania dywizji Kresowej.

A cóż, tymczasem, dzieje się w dole za nimi?

Mjr Gnatowski, zastępca dowódcy batalionu, dowodzący lewą połową natarcia, a więc i tą wysuniętą kompanią por. Miszkiela, nie widząc przedłużenia ataku tej kompanii ani na lewo (gdzie baon Raczkowskiego i czołgi nie mogą przedrzeć się na Albanetę przez Gardziel...), ani na prawo (gdzie poległ kpt. Swieściak, a kpt. Bartosika i ppor. Jachimowicza nie słychać) — poleca cofać się dla konsolidacji na Widmo.

Równocześnie z tyłu za nim zachodzi niespodzianka z 18. baonem.

Ppłk Domoń wszedł na Widmo, trzymając się godzinowego planu, mimo, że plan ten wkrótce uległ zmianie i dowódca brygady polecił mu wejść na Widmo dopiero, gdy 15. baon zejdzie z niego w dolinę.







Dwóch siedemnastolatków — Władek Mackiewicz i Jurek Jasiński — siedzieli pod kamieniem w jarze „C” — w miejscu wyczekiwania batalionu 18. Już od południa wiedzieli, że dzisiaj pójdą do ataku. Dowódca ich kompanii 1. kpt. Kor-das dzień cały odprawia z dowódcami plutonów, z szefem kompanii tajemnicze rozmowy:

...szpilki do min, taśmy do wytyczania ścieżek, piaty, elkaemy, miotacze, granaty, materiał plastyczny, amunicja, woda. Maski? — trudno, jest rozkaz brać. Rury Bengalora? — no pewno, że obciążają, ale jak taka „żywa torpeda” dojdzie do concertiny, to ją wysadzi... Raketnice, kolory rakiet, kot-wiczki saperskie...

Władek i Jurek wszystko już mają przygotowane, popa-kowane. Władek to dodaje, to ujmuje do chlebaka parę uszpa-rowanych puszek konserw.

— Co się obławowujesz?

— Żołnierz musi zawsze wciąć sobie — odpowiada basem... ale łypie niepewnym okiem na kolegę. Wprawdzie on, Władek, uzyskał małą maturę w Barbarze, a Jurkowi nie dali jej uzyskać, jako że stuknęło brzemię siedemnastki i czas przyszedł do wojska, ale ten Jurek — zawsze wodził mię-dzy kolegami rej.

I skonfundowany Władek cichcem ujmuje chlebakowi puszkę z corned beefem.

Ich dowódca plutonu, ppor. Wariwoda, przychodzi poin-formować swój pluton o czekającym zadaniu. Tak, to dziś... o godzinie 23 rozpocznie się nasza nawała. Potem ruszy natarcie. No, szwaby już będą dostatecznie stłamszone. Nasz baon ruszy później, za 15. baonem. Kiedy oni zejną z górki w pogoni za Niemcami, to my się wdrapiemy i będziemy z góry grzać do zmiatających. No, chłopaki — śmieje się ppor. Wariwoda — jak który ustrzeli motocyklistę, to ja sam obiecuję, zleźć na dół i przytargać ten motocykl... dla niego. Będzie miał!...

Chłopcy odchodzą pod kamień i pochylają uhełmione głowy. Ciemno już się zrobiło — Niemcy prowadzą ogień nę-kający bardzo słaby, tak że nie przeszkadza myśleć. A ma o





Władek Mackiewicz  
z siostrą

czym myśleć Władek Mackiewicz! Ojciec jego, generał (w swoim czasie dowódca dywizji w Skierniewicach) poszedł na wojnę, już go od września nie widział. On, dwunastolatek zabłąkany na obczyźnie z siedemnastoletnią siostrą, poznał bezsilność nic nieznaczącego jestestwa ludzkiego, czolgającego się gdzieś u spodu jakichś potwornych spraw i stawań się. I wagę spraw prymitywnych, wibrujących dokoła utrzymania egzystencji.

Władek zerknął na siedzącego obok Jurka i nieznacznie zuów włożył do chlebaka puszkę corned beefu. Przecie porucznik wyraźnie powiedział, że będą siedzieć na górze i strzelać. Wiele tam gauiania nie będzie.

Zważył w rękę okrągłość grautu. To całkiem co innego, niż odwalanie normy — iść, walczyć, zabijać, przebijać się, być żołnierzem. Jak tatuś...

Chyba zdrzemnął... Poprzedniej nocy maszerowali z *Viticuso* przez dolinę *Inferno*, a kto by tam w tym jarze zasnął...

Nie pytałem go, czy mu się coś śniło. Ale nie zdziwiłbym się, że śniło mu się, jak wjeżdża na lśniącym motocyklu, który zdobył pod *Cassino*, na plac Marszałka Piłsudskiego. Na chodnikach tłum. Popychają się łokciami i każdy wie, że Władek jedzie nie na żadnym fasowanym, tylko na zdobyczonym... przecie dawniej tak wracali... i dlatego w „*Repie*” (warsztacie reperacyjnym) pięknie mu wygrawerowali na zbiorniku nazwę „*dzianet*”

Ocknął się, trącony przez Jurka.

— Słyszysz?

Jar, niebo nad nim, góry naokoło — drżały jedną potężną wibracją. Łuny, błyski, zarumienienia przeganiały się po niebie.

Trwało i trwało.

W pewnej chwili ktoś z oficerów powiedział:

— Teraz rusza piętnasty.

Szkoda gadać o motocyklu. Wszystko dostanie się temu 15. Martwił się, że ich baon ma za wysoki numer, w szkole też go zwykle późnej wrywali, bo miał nazwisko na „*M*” Jurek go wyśmiał, zawsze się ma za mądrzejszego.





Widać martwił się nie tylko Władek. Ppłk Domoń pochyłał raz po raz siwą czuprynę nad zegarkiem. Jeśli idzie o rozkład czasu — no to już pora ruszać. Jeśli o stan faktyczny — że tego baon jest przeznaczony do obsadzenia Widma, skoro z niego zejdzie baon 15. — no to pewno Stoczkowski jest już za górką.

Na każdym szczeblu istnieje jakiś motocykl i nie tylko Władek martwił się, że mu ten motocykl sprzątnie sprzed nosa 15...

Poszły więc patroli ścieżkowe, a za nimi batalion, ugrupowany już w związki taktyczne, z poczem dowódcy batalionu na czoie. Gdy tylko wysunęli się ze stromizn zbawczego jaru — zaczął się Cavendish — straszliwa Droga Saperów. Jak mrówka pod górę piął się Władek obładowany do najwyższego stopnia. Przy nim sapali czterdziestoletni wujcie. Kiedy minęli kuty w skale, obłożony worami schron dowództwa 5. brygady, wojna położyła im pod nogi dwa pierwsze bilety wizytowe — rannych dowódców patroli ścieżkowych pporuczników Łosakiewicza i Przybylskiego. Oba ich patroli zostały rozbite.

Gdzie się znajduje 15. baon, atakujący przed nimi?

Gdzie walczy 13., który miał iść na prawo od 15., gdzie atak Karpackiej, która miała posuwać się na lewo?

Nikt nie wie.

Dowódca baonu widzi, że sprawa trudniejsza jest, niż sądził. Nie można już jednak się cofać. Baon otrzymuje rozkaz iść na linię ubezpieczającą 14. baonu, który ją trzyma tak, jak trzymał w dni przed uderzeniem. Tam jest bezpieczniej.

Ale i na linii 14. baonu nie jest tak znowuż bezpiecznie.

Ppłk Domoń spotyka rannego dowódcę 2. kompanii tego baonu, kpt. Smereczyńskiego i widząc jego obandażowaną głowę żartuje:

— Myślałem, że rozjemca (rozjemcy na ćwiczeniach zwykli nosić białe opaski na głowie).

Obaj chłopaki też jeszcze zapewne nie rozumieją, co się święci. Trupy? Na to wojna... Jurkowi kazali nieść dodatkową



Ppłk. dypl. Domoń



Kpt. Smereczyński



Por. Stypińska



Ppor. Tyszkowski



Kpt. Wojniusz

amunicję do piąta, mieli ją nieść po kolei. Kiedy pochód przystaje, a przystaje często, ganiają po tej górze jak szczeniaki, pragnąc sobie wzajemnie wlepić ten ciężar.

Na podstawie wyjściowej do natarcia chwyciły ich móżdżerze niemieckie. Pada zabity dowódca plutonu łączności, por. Stypiński, ranni są oficer informacyjny por. Tyszkowski, obaj oficerowie łącznikowi artylerii, oficer łącznikowy móżdżerzy, adiutant baonu kpt. Wojniusz i ośmiu żołnierzy z baonowego plutonu łączności.

Nie jest łatwo znieść taki ogień nawet ludziom uformowanym i dojrzałym.

Jeden z szefów jednej z kompanii zaczął zagrzewać żołnierzy. Brano to z początku za dobrą monetę, ale kiedy zabrał się do tańczenia mazura i krakowiaka, musiano go odtransportować w dół.

Od przodu wołają: „Amunicja do piąta!...” Jurek, który ją właśnie niósł, pomknął w przód; Władek został sam; poszła nowa seria — padł, przytulając się do najbliższego kolegi; huk niesamowity i chrzęst idzie powietrzem; przyłgnął do tego drugiego — a to trup; pobiegł szukać plutonu — widzi — leży dowódca plutonu, ppor. Wariwoda, ten co mu obiecywał motocykl — ciężko ranny w głowę.

Władek jest sam. W takiej chwili dziecko albo się załamuje, albo w jednej chwili i bezpowrotnie — staje się żołnierzem. Siedemnastolatek — zrozumiał; zacisnął w garści karabin i poszedł... pod prąd.

Istotnie — pod prąd. Z góry już, rzekłbyś, chłusta szeroką







strugą krew żołnierzy 15. i 13. batalionów. Batalion 18. dwie godziny przedziera się na Widmo pod prąd ewakuowanych rannych. Bo ppłk Domoń, nie słysząc broni małokalibrowej, otrzymał od kpt. Pawulskiego (który doszedł do tyłów 15. baonu) meldunek, że jego patrol zameldował przekroczenie grzbietu Widma przez 15. baon, ocenił, że Widmo jest już definitywnie zajęte i ruszył. Między noszami z rannymi padają rażeni nowi ranni.

Zastępca dowódcy 18. baonu, mjr Osmakiewicz i dowódca 4. kompanii, por. Łokay, przylegli.

— A ja wszystko taki radzę do przodu, bo wyduszą.

Oglądają się, a to Giers, kucharz kompanijny, uważany za offermę, wziął się nieść elkaem i udziela rad strategicznych.

Ruszyli i zaraz potem por. Łokay został ranny w płuco.

— Do tyłu, poruczniku — mówi, mijając, dowódca baonu.

— Nie, panie pułkowniku — poleżę, odpocznę i dołączę do żołnierzy — mówi ranny, niespokojny o kompanię, którą dowodzi zastępczo por. Smółko, dowódca plutonu CKM., bo zastępca ppor. Znojek ruszył z patrolem do 15. baonu.

Ppłk Domoń z poczem ruszył dalej. Było już zupełnie jasno (g. 6,30) kiedy doszedł do miejsca, w którym znajdował się mjr Gnatowski.

— Mam około 60 ludzi — melduje mjr Gnatowski — ze szesnastu jest przy mnie, reszta przed grzbietem (to właśnie kompanie por. Miszkiela i por. Bednarskiego), 3. i 4. kompania pana pułkownika przeszła na lewo i jest na równej wysokości.

— A reszta baonu?

— Nie wiem, nie mam żadnej łączności.



*Ppor. Smółko*



*Ppor. Bednarski*



## (70) „KONSOLIDACJA” I WALKA

Kiedy mjr Gnatowski melduje, że jego żołnierze są przed grzbietem, kompania por. Miszkiela, w wykonaniu otrzymanego rozkazu wycofując się, jest blisko punktu konsolidacji. Wycofanie się idzie wolno, bo przecie między nimi i mjr Gnatowskim jest mnóstwo Niemców. Ich strzelcy wyborowi, dywersanci, przeznaczeni dla kierowania ogniem (strzelali na dany obiekt smugowymi pociskami wysoko z dwu różnych miejsc i niebawem ich moździerze waliły w kął przecinania się serii) — poumieszczali się na drzewach w ubraniach płamionych maskowniczo.

Rzykanci, którzy próbowali przeczłgiwać się otwartą przestrzenią, jaką należało przebyć, padali rażeni ich rzadkim, lecz celnym ogniem. Tak poległo 4 szeregowców.

Teraz poczęło się polowanie naszych strzelców wyborowych na Niemców, którzy lecieli z drzew jak wielkie zielone gruszki, wiewając szmatami maskowniczymi.

Przybycie 18. narazie odwraca kartę.

3. kompania pod dowództwem kpt. Pawulskiego (również zestany 400 kilometrów za Kręgiem Polarnym) plutonami ppor. Greczanika \*) i ś. p. ppor. Chałupa zdobywa 3 schrony i bierze 9 jeńców.

Pchor. Gaża, przydzielony do regulacji ruchu 18. baonu, przyłączył się do natarcia bez niczyjej wiedzy. Zauważono go dopiero, gdy wraz z pchor. Janiszewskim atakował bunkier. Właśnie kiedy ręka jego robiła łuk dla wyrzucenia granatu — padł rażony w pierś, z ręką zaciskającą kurczowo odbezpieczony granat. Trupowi już wyjęło granat z martwej dłoni, zaciskającej łyżkę.

Jak płynna jest sytuacja, świadczy następujący fakt:

Kompania 2., przy której idzie dowódca baonu, natrafia na domek, którego obsadę wybił w nocy sierż. Kmitowicz i domek — znowu strzela.

Por. Przybylski odwraca się po piąty. Ppor. Kowalczyk,

\*) *Przypisek po bitwie:* Ranny w tej walce, ranny ponownie w akcji adriatyckiej.



Kpt. Pawulski



Por. Greczanik



Ppor. Chałupa





dowódca plutonu najbliższego domku, woła:

— Panie poruczniku, to moja robota!

Po czym na czele 5 ludzi z piątem atakuje domek. Strzel. Libera wrzuca granaty, Niemcy wystawiają białą chusteczkę. A kiedy ppor. Kowalczyk jako dowódca zbliża się — seria szmajsera przecina mu udo \*), wtedy strzel. Stachowiak \*\*) podczołguje się całkiem blisko i rzuca zza kamienia trzy granaty. Jeden Niemiec wyskakuje, tego kładzie strzałem z karabina por. Przybylski. Inni wpadają do domku. Jeszcze od ostatniego niemieckiego strzału ginie strzel. Libera.

Pięć trupów niemieckich świadczy, że domek zdobyliśmy powtórnie.

Natarcie przybyłych kompanii 18. baonu daje w ogóle jedenastu jeńców, kładzie trupem 30 Niemców, między innymi dwu kapitanów. Jeden z nich, kpt. Strohmajer, (jak się potem okazało z papierów), jest ranny i przyzywa gestem sanitariusza. Kiedy sanitariusz pochyla się nad nim, chcąc zrobić opatrunek, Niemiec przebija go nożem. Żołnierze postrzelali go na sito.

Zaciekłość walki wraca. Żołnierz, wstrząśnięty wiarołomnym ranieniem ppor. Kowalczyka i sanitariusza, zamierzył się na jeńców. Ppłk Domoń rzuca się, by przeszkodzić, zaczepia o drut potykacza, zostaje ranny. Opatrzony, dowodzi dalej.

Rzecz dzieje się 50 metrów w dół przeciwsłonu na S t. Angelo.

\*) Przepiski po bitwie: amputowany.

\*\*) poległ w akcji adriatyckiej.



Pchor. Gaża



Pchor. Janiszewski



Ppor. Kowalczyk



Jest ppłk Domoń, jest mjr Gnatowski i są dowódcy kompanii obu baonów.

Widać stąd piękną panoramę — St. Angelo z jednej, „Balkon” z drugiej strony. Patrole meldują słabą obsadę 575. Trzeba tylko zmontować nowy atak.

Łączność jednak z brygadą jest utrudniona. Radio przez górę nie działa, kable telefoniczne nie założone. Ppłk Domoń porozumiewa się radiem ze swymi mózdzierzami, jar naszych mózdzierzy przesyła przez gońca meldunek brygadzie i odsyła gońcem odpowiedź. Tą drogą przychodzi rozkaz — zmontować uderzenie na godzinę 15.

Dowódcy wracają do swoich oddziałów.

Kpt. Pawulski, dowódca 3. kompanii, otrzymuje rozkaz — ubezpieczyć lewe skrzydło baonu i oczyścić lewą zakrzaczoną część Widma, z której bez przerwy strzela szpandał. Pluton ppor. Szostaka szedł skłonem — zaś pluton ś. p. ppor. Chałupy posuwał się grzbietem i znikł w chaszczach. Wysłany przez niego z meldunkiem strzel. Pańkowiec poległ, wysyłani do niego gońcy byli zabici lub ranni.

Kpt. Pawulski usiłuje wobec tego dojść sam i zostaje zatrzymany ogniem dwu szpandałów, które przez dłuższy czas nie pozwalają mu ruszyć się do przodu, ani do tyłu. Dochodzi do przekonania, że szpandały te biją z niewykrytych bunkrów; były one jednak tak zamaskowane, że mógł się zorientować jedynie w rejonie skąd ten ogień pochodził.

Dalej cytuję relację pisemną kpt. Pawulskiego, którą był taskaw na moją prośbę napisać:

„Gdy mi się wreszcie udało wyczołgać do kompanii, zebrałem kilku najlepszych żołnierzy z zamiarem dojścia i zdobycia tych schronów. Wyszliśmy ze stanowisk II plutonu i maszerując



powoli pod górę, przetrząśliśmy krzaki splątane w tym miejscu koncertiną. Po drodze pełno pułapek, tak, że raczej musieliśmy patrzeć pod nogi, niż przed siebie. W pierwszej linii po prawej ręce szedł pchor. Rysiecki, po lewej plut. Gorgolewski. Nieprzyjaciel milczał, tylko ze zbocza wzgórza 593 odzywały się w naszym kierunku dwa szpadały. Nagle z bardzo bliska z lewej strony odezwała się seria szpadała i równocześnie usłyszałem krzyk plut. Gorgolewskiego i pchor. Rysieckiego. Obaj bardzo ciężko ranieni. Przestrzały przez obydwie nogi. Rany obydwu jednakowe. Zająłem się bliższym, pchor. Rysieckim, który mdleje z bólu. Krew bucha z obydwu nóg. Nie mając noża, ściągnąłem mu spodnie. Rany miał tak duże, że opatrunkiem osobistym mogłem mu zaopatrzyć tylko jedną nogę. Na drugą musiałem zużyć swój własny opatrunek. Tymczasem szpadały strzelają bez przerwy. Widzą mnie kłęczącego nad Rysieckim, ale nie mogą trafić. Mam tylko przestrzeloną torbę i ubranie w kilku miejscach nadszarpnięte. Gorgolewski leży spokojnie, czekając na sanitariusza, którego zawezwałem. W pewnym momencie mimo, że każdy ruch wywołuje strzały podnosi się na rękę, pokazuje mi kierunek skąd strzelają: „O tu, panie kapitanie, w krzakach 10 m., proszę się kryć”. Równocześnie celny pocisk strzelca wyborowego trafia go w pierś. Pada znowu z jękiem. Podczołgał się do mnie strz. Łotoczko z karabinem maszynowym. Rozkazuje mu ratować Gorgolewskiego, lecz ten nie pozwala na to, lecz woła: „Strzelaj tu — do tego s... syna”. Znowu z trudem się unosi i wskazuje ręką. Pojedyńczy strzał z karabina — po raz trzeci dostał w głowę. „O Jezu — trzeci raz” — krzyknął i głowa opadła na ziemię. A po chwili usłyszałem jeszcze dwukrotnie, coraz ciszej. „Niech żyje Polska” i skonał. Łotoczko zaciął się KM, kazałem mu się wycofać. Rysiecki, który się ocknął na chwilę, znowu zemdlął, myślałem, że także skonał. Sanitariusz Loga doczołgał się do mnie, ale za późno, musiałem się wycofać do kompanii. I znowu po każdym moim skoku, seria szpadała, ale o ułamek sekundy za późno” \*).

Pod ruinami domku, który znowu jest nasz, ppor. Szastok,

\*) Dalszy ciąg dziejów Rysieckiego w rozdziale p.t. „Gehenna”.





Pchor. Kadzikiewicz



Strz. Skopiec

Słazak, bada sierzanta niemieckiego. Niemiec odpowiada chętnie i, szeroko gestykulując, wskazuje kierunki, w których są założone miny.

Ciche puknięcia z „Burdabuta” i Niemiec pada zabity. Niech nie gada!

Następny suchy trzask i pada zabity nasz żołnierz.

A więc wróciła kompania por. Miszkiela pod złowrogiego bunkier, który jej zabił drugiego z rzędu dowódcę — por. Petryńskiego. S. p. strzel. pchor. Kadzikiewicz woła zrozpaczony:

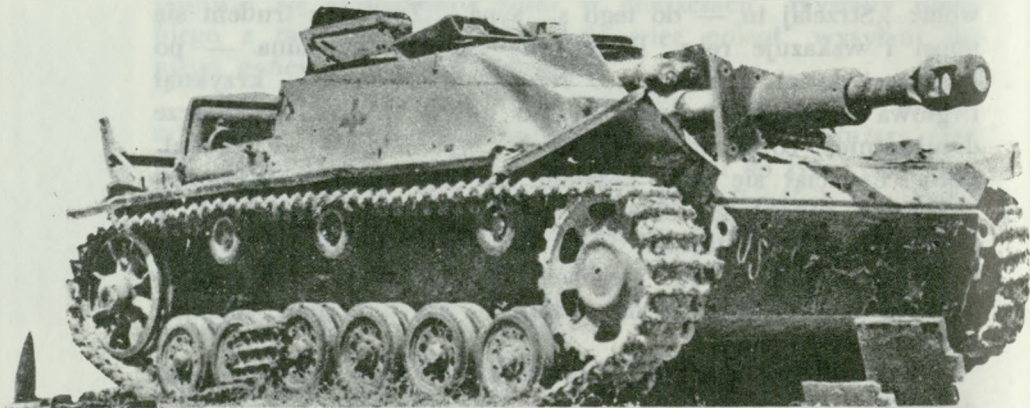
— Jak kaczki nas tu wystrzelają!...

„Burdabut” zije ogniem o 50 metrów. Strzel. Skopiec porywa tomigan, czołga się ku „Burdabutowi”.

— Wariacie, z czym do gościa! — krzyczą za nim.

Skopiec, podkradając się znajduje dwa naboje do piąta — skarb istny! Wciąż czołgając się, wraca po piat. Teraz sprawa przedstawia się poważniej: jeśli dotrze — rozbije krwawego „Burdabuta”.

Chłopak zaległ między porucznikami Wszelakim i Miszkielem. Nie można łąba podnieść — „Burdabut” jest niesłychanie czujny. Kombinują ze 30 minut, a tu zaczyna się „naparzanie”. Biją ciężkie działa — z tyłu, od naszej strony, co strasznie dezorientuje żołnierzy. Jak się potem okazało, było 58 dział 105 milimetrowych na gąsienicach z rejonu Belmonte-Attina. „Burdabut” ocalał.



Niemiecka 105 m/m na gąsienicach



## (71) O D W R Ó T 18. B A O N U

Sprawdzają się obawy dowódcy brygady Wileńskiej płk Kurka, zagęszczenie przez 18. baon powoduje niezmierne straty. Morderczy walec artyleryjski wędruje Widmo — Droga Saperów, Droga Saperów — Widmo. Zabici między innymi: zastępca dowódcy 2. kompanii 18. ppor. Kujawa, sierż. Mystkowski, sierż. Osoby, sierż. Tyara, ranni między innymi: dowódca plutonu CKM por. Smółko, por. Pućkowski, por. Solarczyk, ppor. Greczanik, ppor. Kowalczyk, ppor. Pustkowski. Po raz drugi zostaje ranny dowódca 4. kompanii 18. baonu por. Łokay, który dalej zostaje na stanowisku. Dowódca 3. kompanii 18. melduje, że w ciągu tej ostatniej godziny utracił 18 ludzi. Rozlega się chór jęków. Jakiś ranny w szoku klęczy, wyciąga ręce do siniejących wierzchołków, skąd przypuszcza, że idzie ogień i woła błagalnie:

— Czemu strzelacie? Przecie widzicie: nic wam już nie zrobimy.

Sanitariuszowi, st. strzel. Falbowskiemu, który przez cały czas walki na Widmie założył 50 opatrunków, ręce mdleją od roboty.

Patrol z lewa melduje, że Karpacka cofa się z 593 na Głowę Węża; potwierdza to niebawem ogień, który teraz i z 593 idzie na nieszczęsne Widmo. Patrol z prawa melduje, że z pomiędzy 706 i St. Angelo wysunął się wóz pancerny. Obserwator melduje, że i z Albanety ruszyły niemieckie czołgi. „Ja je widzę dokładnie — pisze w meldunku ppłk Domoń — część ich kieruje się na Gardziel pomiędzy 593 i Widmem, a część — wprost na mój batalion”. \*)

Na lewym skrzydle wychodzi natarcie nieprzyjacielskiej

\*) W pewnej chwili ppłk Domoń obserwuje jakiś niezwykły zielony kolor wybuchów, a równocześnie brygada radiuje: „Przygotować się na atak pe-gaz”.

Płk Domoniowi mróz poszedł po kościach: na własną odpowiedzialność, wbrew rozkazowi, kazał nie zabierać masek, a teraz mu żołnierzy wytrują...

Na szczęście się przestraszył tylko, brygada ostrzegła przed atakiem z „Degas” (kryptonim St. Angelo).



Ppor. Kujawa



Sierż. Tyara



Por. Pućkowski



Ppor. Pustkowski



St.strz. Falbowski



piechoty z miotaczami ognia. A tu czekaemy batalionu zniszczone, obsługi wybite.

Prawda, że rozkaz dowódcy Kresowej dywizji kazał dowódcom operującym na miejscu liczyć się z możliwością spotkania czołgów („Nie wykluczam działania pojedynczych czołgów z Albanety”). Ale też prawdą jest, że nigdy tam żadnych czołgów niemieckich nie było, stały natomiast wraki rozbitych czołgów amerykańskich jeszcze z poprzedniego natarcia. Wiemy, że często na wycieczkach w górach, kiedy ciągną ku nam mgły, mamy złudzenie, że to my płyniemy na pokrywie śnieżnej, poczynamy się niepokoić, że płyniemy w dół z lawiną.

Mgły wprawdzie nie było (stało samo słoneczne południe 12 maja), ale może przemęczenie sprzyjało powstaniu mirażu, może pod jego wpływem wydało się, że nieruchome wraki się posuwają. Zwłaszcza, że słychać było huk motorów, zalający zapewne z drogi Nr 6, której nie widać było z pozycyj na Widmie.

Wówczas — ppłk Domoń nakazuje odwrót.

Mjr Osmakiewicz, ranny (po raz trzeci) por. Łokay, ranny ppor. Rodziewicz i ppor. Łukaszyk \*) — zbierają wycofujących się żołnierzy. Sierż. Słezak — bez hełmu w tym ogniu, spokojnie bierze każdego zszokowanego chłopaka za rękę, doprowadza za jakiś załomek i mówi: „Tu ci będzie bezpiecznie” \*\*).

\*) Przepiski po bitwie: ranny w akcji adriatyckiej.

\*\*\*) Sierż. Słezak, osadnik na Wołyniu, został ciężko ranny w akcji adriatyckiej. Gdy go jego żołnierze chcieli wynosić, zabronił „próżnego wysiłku”, przekazał komendę i dokumenty i został, by umrzeć.



Szkoda tych siedemnastolatków. Ranny Łokay jednego chociaż chce mieć pod swoim okiem. Nazywa się Siwicki, dopiero przed pięciu dniami przybył na uzupełnienie. Nieodświadczony — postawił karabin lufą do góry i odłamek go uszkodził.

Wystraszony — na tym polu zastanym bronią — melduje por. Łokayowi o zniszczeniu karabina.

I por. Łokay — (co znaczą lata wychowania w poszaniu broni!) — odpowiada:

— Odsiedzisz i zapłacisz.

— To ja znajdę drugi, panie poruczniku.

Trudno to mu nie poszło.

Makabryczne jest to schodzenie 18. baonu. Członki oderwane walają się po ścieżce. Jęki węglą się po jej uboczach.

Ktoś taki jęk narzucił płaszczem przeciwiperytowym. Inni schodzący uchylił płaszcz — widzą zachodzące śmiercią oczy czterdziestoletniego Zawisłaka.

— Ciesz się, że was jeszcze widzę. Zostawcie mnie — mówi Zawisłak.

— Tatu, weź mnie!... — jęczy ranny z przestrzelonymi obu rękami do schodzącego ze swymi żołnierzami dowódcy 2. kompanii por. Przybylskiego.

I por. Przybylski \*) (walczył pod Hżą, uciekł z Oflagu, walczył w powstaniu czortkowskim przeciw bolszewikom) — bierze rannego na plecy, niesie, aż obaj zemdleli.

Gdy się ocknął, stoi nad nim ppor. Znojek.

— Władek... to przecie znów 1939. Czy nie należy sobie strzelić w łeb?

— Daj spokój, chłopie.

Znojek dał spokój... i zachował się pięć dni do drugiego natarcia, w którym został ciężko ranny.

Obaj oficerowie przez lornetkę widzą, jak kpt. Pawulski sprawnie swoich i dołączają do niego. Jest tam ś. p. por. Kujawa (który teraz dopiero poległ), ś. p. ppor. Chałupa (który poległ za 5 dni w drugim natarciu), ppor. Zajdziński (którego za 9 dni — nie wiadomo żywego, czy umarłego — tyt. 180 — w Piedimonte ogarną Niemcy).



Por. Łokay



Por. Przybylski

\*) Przepisek po bitwie: ranny w akcji adriatyckiej.



Kpt. Kordas

Bezładna masa żołnierzy sływa w różnych odstępach czasu na pozycje 14. baonu. Wielu rozkazu nie słyszy — dopiero potem się orientują, że batalion się wycofał i schodzą na własną rękę.

Dowódca dywizji, zawiadomiony o schodzeniu z linii 18., telefonuje: „Kurek — osobiście na miejsce. Za wszelką cenę zawrócić!” Ale już zawrócić 18. baonu nie ma sposobu.

Dowódca Władka Mackiewicza, kpt. Kordas, ranny zostaje w głowę przy schodzeniu z Widma. Dowództwo obejmuje ppor. Łukaszyk, ranny w późniejszej akcji. Władek się od niego odbił. Szpandał już koło 11 g. przebił manierkę, w której była herbata z rumem. Chłopakowi język wysechł na wiór, trzyma się sierż. Pietrzaka.

— Rozkazu wycofania się nie było — krzyczy sierż. Pietrzak przez kamień, który pono go skrywa — możemy zginąć, ale nikt się nie wycofa; trzeba iść naprzód.

Ale i oni cofają się wreszcie. Władzio dostaje w plecy trzy kule ze szpandała. Chłopak stara się biec, by nie dostać się Niemcom. Kpr. Kuzia łapie go w ramiona, kiedy miał polecieć na głazy. Kpr. Kuzia węzłowatymi palcami rozluźnia ubranie, zakłada opatrunek, przyaresztowuje sanitariusza, wracającego na miejsce bitwy z pustymi noszami, który upiera się iść dalej — do swojej kompanii. Wolno, odpoczywając, znoszą żołnierze rannego Władka.

Tymczasem ppłk Domoń dochodzi do linii, którą zalega 14. baon. Spotyka tam ppłk Stoczkowskiego, dowódcę 15. baonu, który nic nie wie o swoim zastępcy mjr Gnatowskim i który z całego baonu ma przy sobie — 6 ludzi.

Dochodzą wieści — że od niemieckich patroli roją się już zalesione stoki 706. A więc obeszlą pozycje 14., a więc są na skrzydle!...



Sierż. Pietrzak



Kpr. Kuzia





## (72) ODWODOWY 16. IDZIE DO AKCJI

W wyniku tego wszystkiego, starając się opanować sytuację, dowództwo Kresowej dywizji, uruchamia swój jedyny odwód — 16. baon.

Batalion był trzymany daleko — w rejonie Portella, bo na miniaturowym terenie walki wykorzystany był do ostateczności każdy jar. Według rozkładu czasu spodziewano się, że gdy baony 15. i 13. przejdą Widmo, 18. baon ruszy za nimi w zasiedziany jar C. O g. 22.30, a więc na pół godziny przed rozpoczęciem nawały, baon 16. otrzymał rozkaz wyruszenia.

Baon szedł 5 kilometrów doliną Rapido, szykiem „Pelot”, co 10 kroków żołnierz od żołnierza. Dolina była z rzadka obkładana nękającym ogniem. Baon szedł biegiem. Starsi poprzystawali. Strz. Ginko, który wówczas nie nadążył, nie odnalazł się już nigdy. Łączność się rwała — kiedy tak gnali w grzmotach artyleryjskiej nawały.

Dopadli jaru C, ciepłego jeszcze po 18. baonie, zanim artyleria nieprzyjaciela poczęła odpowiadać na dobre.

Taki jar C był na wagę złota. A mimo to baon 16. stojąc w nim na wyczekiwaniu, stracił 2 zabitych i dwu rannych (m. in. ppor. Bogucki).

Dowodzi baonem mjr Stańczyk — twardy góral. Uczestnik kampanii wrześniowej.

O 12. baon wchodzi na 706 — gdzie już mieli być Niemcy. Żadnych Niemców nie ma ale ich ogień zabija siedmiu i rani 23 żołnierzy (m. in. ppor. Grzenia).

O 13 m. 15. Korpus ma już wiadomość, że 593 przy ósmym przeciwnatarciu padło (tyt. 60).

O 15 m. 15. mjr Stańczyk wchodzi na pozycje 14. baonu. U nikogo nie może się dopytać, gdzie jest dowódca baonu, nikt mu nie może dać szkicu sytuacyjnego, nie dają mu przewodników dla zaprowadzenia kompanii w rejon punktu oporu.

„W tym samym czasie — relacjonuje mjr Stańczyk — przewalały się tłumy przestraszonych żołnierzy, uciekających z pola bitwy. Od nikogo żadnej konkretnej wiadomości nie



Mjr Stańczyk  
/ w środku /



«...pokrwawieni  
poszarpani  
makabryczni...»

otrzymałem. Jako przykład podaję: zatrzymany oficer 15. baonu, zapytany o sytuację, odpowiedział: „cały 15. wileński baon strzelców wybity, pozostał jedynie dowódca z trzema żołnierzami, z czego jeden młody i zdolny do walki, drugi ranny, a trzeci pilnuje rannego by nie umarł”. Coś podobnego bajął



ppor. 13. wileńskiego baonu strzelców. Żaden żołnierz 13. 14. 15. i 18. baonów nie wiedział, gdzie są dowódcy tych baonów”.

Krępy kpt. Biegański, zastępca mjr Stańczyka, rozwija się dwoma kompaniami, wstrzymuje spływających żołnierzy.

Ppłk Domoń otrzymuje rozkaz — czekać na pozycjach 14. aż nadciągnie 16. po czym jego baon pójdzie do tyłu. Melduje na to, że ze względu na stan fizyczny i wygląd zewnętrzny jego żołnierzy nie jest wskazanym, by się oni pokazywali 16. baonowi — są pokrwawieni, poszarpani, makabryczni. „Zdołałem uratować się z 60 ludźmi” — mówi do mjr Stańczyka ppłk Domoń.

Wszystkie cyfry rzucane wówczas na gorąco zawodzą. Bo i cóż może wiedzieć dowódca o baonie, który rozciągnął się od Widma po jar C. Jeszcze tu, jeszcze na „tyłach” (które, zaiste, wydają się „głębokimi” w porównaniu z piekłem na Widmie), już przemięszani z żołnierzami 16., idącymi w przeciwnym kierunku, jeszcze mają straty w niemieckim ogniu. Nie ma siły ludzkiej, która mogłaby utrzymać porządek w chwili odptywania odpartego natarcia, które, straciwszy większość dowódców, cofa się w ogień, mając 50% rannych. Tu po raz trzeci ranny zostaje kpt. Wojniusz.



Kpt. Biegański

## (73) LOSY SIEDEMNASTOLATKÓW

Władek leży na WPO (wysuniętym punkcie opatrunkowym). Ciasniutki pseudo-schron jest przepiętny — ranni leżą pod ogniem. Przez WPO wycofuje się jego przyjaciel Jurek. „Nie mów głupstw, jeszcze razem będziemy na froncie!” — pociesza.

Ale nie zgadł Jurek Jasiński, prymus z Barbary, któremu nie dano czasu na małą maturę: poległ w natarciu 17. baonu (tyt. 136).

Władek uciekł ze szpitala, gdy poczęła się operacja pod Anconą i istotnie znalazł się na froncie, ale na krótko: omłdł z osłabienia i znowu pojechał do szpitala. — Tymczasem...

## (74) DWIE KOMPANIE 13. BAONU UDERZAJĄ NA ŚRODKOWE WIDMO



Kpt. Kotator



Por. Domański

Kiedy 15. i 18. bataliony krwawiły się na lewej, południowej stronie Widma, dodawała im brygada odwagi, że już maluczko, a zmontuje się ponowne natarcie, że już maluczko, a na prawo skonsolidują się „Rysie” — 13. batalion.

„Rysiami” dowodził ś. p. ppłk Władysław Kamiński, jedyny dowódca baonu w Korpusie, który był oficerem rezerwy, kawaler „Virtuti” (po śmierci przyznano mu Virtuti IV kl.), Krzyża Niepodległości z mieczami i czterokrotnego Krzyża Walecznych. Oficer ten nigdy nie był oficerem służby stałej, ale dokształcał się ciągle w rzemiośle wojskowym.

S. p. ppłk Kamiński zorganizował swój batalion do natarcia kilkoma grupami szturmowymi, które miały posuwać się po czterech równoległych ścieżkach.

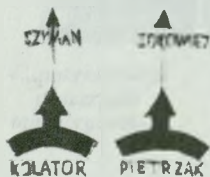
Po dwóch ścieżkach na prawo rzucił 1. i 2. kompanię, po dwóch na lewo — 3. i 4.

Te oto — 3. i 4. kompanie stanowiły bezpośrednie sąsiedztwo 15. baonu i nimi przede wszystkim się zajmiemy.

Ponieważ 13. baon miał uderzyć równocześnie z 15. na Widmo, a stał bliżej w swoim rejonie wyczekiwania w jarze G, więc, według rozkazu, pierwszy rzut baonu na tych dwóch osiach natarcia ruszył o 23,20. na linię startu, tzn. o 20 minut później, niż baon 15.

W pierwszym rzucie natarcia szła, po dwóch osiach, kompania 3. kpt. Kotatora, uformowana w dwóch grupach szturmowych, odległych od siebie o jakie 70 metrów. Grupę szturmową na lewo prowadził sam kpt. Kotator, grupę szturmową na prawo — jego zastępca, por. Pietrzak.

Dopiero po dwóch godzinach po pierwszym rzucie ruszył, według rozkazu, rzut drugi, który stanowiła kompania 4. ś. p. Domańskiego. S. p. ppłk Kamiński liczył, że w ciągu tych dwu godzin pierwszy rzut rozczyści ścieżki, zajmie Widmo, St. Angelo, a wówczas mniej skrwawiony rzut drugi minie go i pójdzie zajmować „Winnicę” wiszącą nad drogą Nr 6, gdzie miało nastąpić spotkanie z aliantami, oskrzydłającymi od strony rzeki Liri.



328





Po pierwszym nieudanym naszym natarciu na Widmo głowiono się na różne sposoby nad przyczyną naszego niepowodzenia. Jednym z dosyć powszechnie wyrażanych poglądów był ten, że Widmo jest terenem tak wystawionym na ogień ze wszystkich stron, że nie należy na nim robić zbyt dużego zmasowania wojska, że trzeba na nim bawić jak najkrócej, że nie można pozwolić pierwszym rzutom dawać zbyt długo bawić się zdobywaniem bunkrów, że rozstrzygać powinna była szybkość należycie uposażonego uderzenia i rozporządzalność drugim, świeżym i niezużytym rzutem, który przejmie atak.

Te wszystkie przesłanki zdawał się przewidywać ś. p. ppłk Kamiński. Robiąc jednak atak mniej licznym, wyposażył go może nadmiernie w środki walki (zwłaszcza rury Bengalora), co, jak zobaczymy na prawej osi natarcia, miało i swoje ujemne strony. Pierwszy więc rzut miał trasować drogę. Dlatego obie jego grupy miały silnie rozwinięte rzuchwy, czy raczej macki trasownicze pod dowództwem oficerów. Patrol ścieżkowy grupy Kolatora prowadził por. Szyman, grupy Pietrzaka — ppor. Sołowiej.

Przy podchodzeniu do Widma dziwią się, że artyleria własna nie przesuwa ognia. A to — Niemcy przedłużają nasz ogień torujący.

Zanim doszli do Widma — obaj ścieżkowcy, Szyman i Sołowiej, padają ranni. Pada ranny dowódca prawej grupy, por. Pietrzak. Dowództwo obejmuje ś. p. por. Majewicz, dowódca miotaczy płomieni. Trzy miotacze już rozbiły pociski — pozostał mu tylko jeden.

Dalej — cytuję częściowo opowiadanie kpt. Kolatora, którego mi udzielił:

„ Z „Widma” wyskoczyły na nas dwa węże ogniste; jeden skierował się wprost na nas, drugi przeciął nam drogę. To strzelały szpandafy amunicją świetlną z jakiegoś bunkra. Widziałem wysoki łuk pocisków smugowych i zdecydowałem się przejść pod nim. Udało mi się to bez żadnych strat. Jesteśmy na linii schronów. Saperzy — zostać, grupa szturmowa — naprzód; ppor. Bieniasz — małymi moździerzami ostrzelać strzelający schron. Wykonanie: 3 minuty. Po wykonaniu ognia dołączyć do mnie. Piat — do przodu.



Por. Szyman



Ppor. Sołowiej



Ppor. Bieniasz



W momencie osiągnięcia grzbietu „Widma”, gdy się rozglądałem, by się zorientować w sytuacji, dostałem serię ze szmajsera z odległości kilkunastu kroków. Pocisk drasnął mi lekko szyję i oparzył prawe ucho. Zakląłem szpetnie i chwyciłem granat. Niestety, zamiast przetyczki, wyciągnęło się kółko od przetyczki. Pchor. Węgrzyn oddał serię z tomsona, ja przygotowywałem drugi granat. W międzyczasie plut. Zinkiewicz, wyzyskując murek, podbiegł do strzelających Niemców i sprowadził ich do nas. Było ich dwóch, krzyczeli okropnie. Może o trzy kroki w lewo spostrzegłem schron, rzuciliśmy się we czterech doń, usuwając się przed otworu strzelnicy (ci czterej: ja, pchor. Węgrzyn, strzel. Lebiatowski i strzel. Nowakowski Stanisław). W momencie „obmacywania” schronu, szukania otworów, pchor. Węgrzyn został ranny w rękę. Strzel. Nowakowski skoczył za schron, ale zaraz wrócił z piśkiem, natknął się na pułapkę, został ranny w rękę. Wkrótce spostrzegłem, że schron poza jedną strzelnicą nie posiada żadnych otworów, a strzały padają z poza schronu. Wsunąłem łaskę do strzelnicy, była płytka. Zrozumiałem, że atakujemy pozorny schron, po prostu kupę kamieni, a Niemcy tymczasem strzelają do nas z innych stanowisk. Dochodziła godzina 3 w nocy, miałem 3 lekko rannych i 2 jeńców. Sierż. Patyk dowiedział się (od jeńca), że w prawo od nas jest 30 Niemców po chwili zameldowano mi, że zlikwidowano w prawo ode mnie jeden duży i jeden mały schron. Pomyślałem sobie, że dobrze będzie, jeśli przeskoczę przez grzbiet „Widma”, to Niemcy, mając mnie z tyłu, źle się poczują, a tam przecież naciera kpt. Czechowski, a poza nim idzie jeszcze drugi rzut. Pora jest tymczasem późna, o 3.30. powinieniem być na St. Angelo. Z lewej strony widziałem i słyszałem działanie baonu „Wilków”, już są na grzbiecie „Widma”, a nawet przekraczają je (sądzę po czerwonych rakietach, bo ludzi w ciemności nie widzę). Zatem naprzód. Skoczyliśmy ze 100 metrów i przypadliśmy do murków i tarasów, na szerokości ponad 100 metrów. Dotychczas miałem ogień artylerii z przodu, teraz dostałem go z tyłu. Przesunąłem kompanię jeszcze ze 100 metrów do przodu i umieściłem za wysokim tarasem. Widziałem ze wzgórza 593 serie świetlnych pocisków w kierunku nieprzyjaciela, zatem Karpacka dywizja opanowała to



Pchor. Węgrzyn



wzgórze i wyzyskuje broń zdobyczną. Z przeciwstoku wzgórza 593 ukazały się jakieś sygnały świetlne, dawane zielonym światłem. Po chwili zostaliśmy oświetleni rakieta i na nas i na 15. baon poleciał grad pocisków moździerzowych. Miałem dwóch zabitych i około 8 rannych, sam zostałem ranny po raz drugi (znowu lekko).

Zbliżała się godzina 4, nie mogłem ruszyć, bo przede mną wyrosła po prostu ściana ognia. Stok wzgórza St. Angelo kurzył się formalnie. Dołączyła do mnie 18 (radio-stacja), która dotychczas była przy moim prawym plutonie (ja byłem przy lewym). Skomunikowałem się z batalionem, prosiłem o przerwanie ognia artyleryjskiego, bo nie mogę wejść na St. Angelo. Narazie odpowiedzi nie było. Zaczynało świtać. Dołączył do mnie por. Olkowski z plutonem i drużyną.”

Por. Olkowski prowadził lewą grupę ś. p. por. Domańskiego.

Dwie godziny z zegarkiem w ręku czeka kompania por. Domańskiego, po czym ruszają.

Prawą grupę prowadzi sam por. Domański.

Ścieżki się wiją, taśmy, i tak trudne do odszukania w ciemności, giną z oczu.

Podmuchy wybuchów pozrywały jednym dmuchnięciem po 50 metrów taśmy, uwieszonej na krzakach. Grupy błądzą.







Kpr. Okapiec

Grupa por. Olkowskiego poszła mylną ścieżką, która doprowadziła do jakiegoś stanowiska cekaemów.

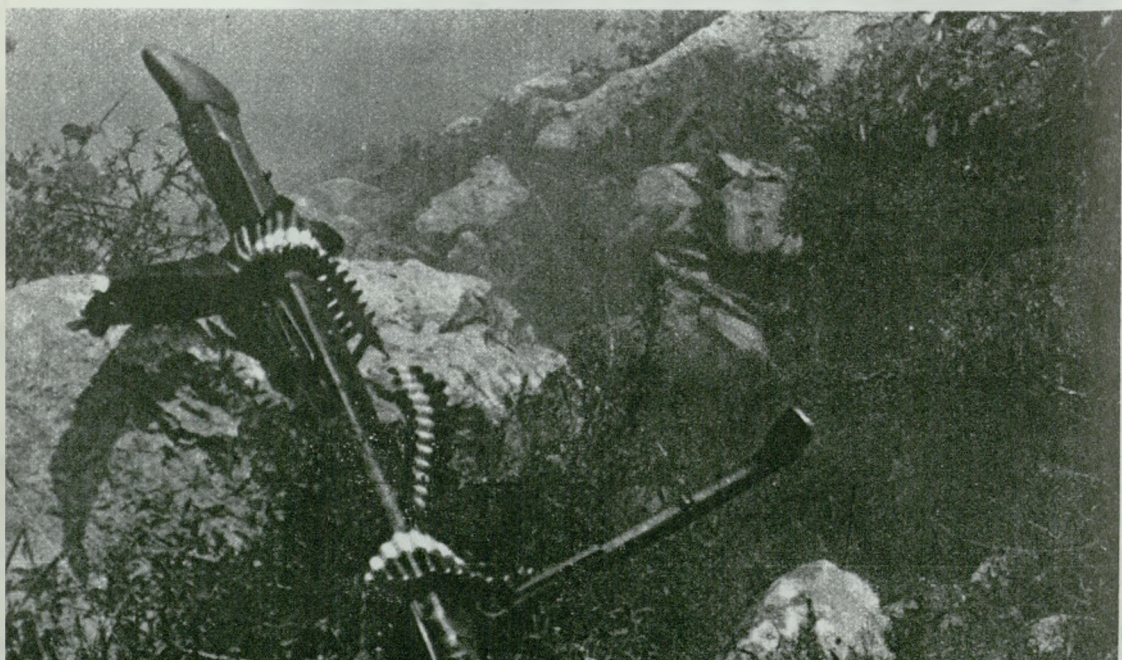
Nawrócił por. Olkowski, bierze azymut 215 i posuwa się na Widmo, prowadzony przez nieocenionego dowódcę patrolu trasowniczego, plut. Wasilewskiego. Z dalekich stanowisk Niemcy poczynają strzelać w kierunku jego grupy czerwonymi smugami świetlnych pocisków. Pamiętni pouczeń — kto marudzi, ten ginie — prą dalej.

Dopadają grzbietu i tam — spotykają pierwszy rzut. Kpt. Kolator ranny w szyję, por. Majewicz, spaliwszy bunkier niemiecki z ostatniego miotacza płomieni — poległ.

— Gdzie por. Szyman? — pada pierwsze pytanie Kolatora do por. Olkowskiego.

Nikt nie wie. A ścieżkowiec, por. Szyman, popularny „Ignas” — pogwizdujący i sypiący dowcipami przy ruszaniu — ranny jeszcze u podnóża Widma. Ciemno, kamienisto, zarosło — gdy odejdiesz o 10 metrów, toś wsiąkł.

Biegają po szczycie — nie ma Niemców, milczą Niemcy. Przez Widmo idzie nisko ogień naszej artylerii; Niemcy siedzą przytłumieni jak trusie; obawiając się, że pociski będą zaczeptać o szczyt — obie grupy — kompania Kolatora i grupa por. Olkowskiego kierują się na przeciwstok. O 40 metrów od ścieżki odzywa się bunkier — zabija strzel. Osterweila i dwóch rani. Okapiec, kapral zawodowy KOPU, biegnie na bunkier, ranią go, biegnie dalej, zabił jednego Niemca, dwu się poddało. Pobrał im szpadał, dwa szmajsery, chwije się na no-





gach, chce iść z natarciem, na surowy rozkaz daje się odpro-  
wadzić w dół, ale szpadał i szmajser niesie — aż do G.P.O.  
(głównego punktu opatrunkowego).

Trudno zdecydować się wejść na sam grzbiet — tak nisko  
idzie nasz ogień. Wywalają dwanaście czerwonych rakiet o  
przedłużeniu ognia. U Niemców czerwona rakietka jest znakiem  
wzywającym pomocy artylerii i niebawem czerwone rakietki  
sprowadzają niemiecką nawagę.

Jest godzina 5.

Dnieje.

Równocześnie z tyłu z kierunku, na który szedł prawy  
sąsiad, poczynają strzelać w nich jakieś cekaemy. Sądzą, że to  
grupa por. Domańskiego dociąga i bierze ich za Niemców.

— Prześciancie strzelać, s-syny! — machają hełmami do  
„swoich”. A to bunkry niemieckie pobudziły się.

A od prawdziwego por. Domańskiego z tyłu przybiega  
kpr. Szpara: „W prawo — niezdobyte bunkry!”

Nie ma co powiadamiać — czują to na własnej skórze.  
Z prawa, bliźutko pod szczytem, zieje ogniem jakiś wielki  
bunkier i jeszcze drugi.

— Ty — mówi por. Olkowski do ppor. Kopyścia — pój-  
dziesz na ten bunkier z drużyną, a ja z resztą idę na szczyt  
St. Angelo — z Kolatorem.

Ppor. Kopyść z drużyną rusza na bunkier. Wloką mio-  
tacz — 36 kilowy miotacz zawlekli aż na szczyt, padając z nim  
pod ogniem na skaliste stoki, osuwając się, drapiąc się po-  
nownie.

Nie wytrzymał tych perypetyj miotacz ognia — zaciął się,  
tryska mięszanką, która nie wytwarza ognia. Nagle bezradnie  
stała drużyna przed bunkrem z głazów, dostawszy ogień  
także z innego bunkra. Trzech padło. Kopyść z resztą musiał  
dołączyć do swoich z powrotem.

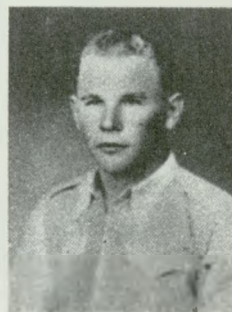
W międzyczasie por. Olkowski, mając przejść grzbiet, nad  
którym idzie ogień, widząc, że dwunastu strzelonych rakiet  
postuchała — tylko artyleria niemiecka — posyła strz. Juszkiewicza do baonu z żądaniem wydłużenia ognia.

Odbiegł Juszkiewicz kilkadziesiąt kroków — widzi por.  
Olkowski, że go dostali — padł.

Jest godzina szоста.



Kpr. Szpara



Strz. Juszkiewicz

Wysyła sierż. Iwanowskiego.

Sierż. Iwanowski prosi o meldunek pisemny — inaczej pomyślał w haonie, że sam sobie sfigował doniesienie, aby się wycofać.

Przykucnięty za głazem, pisze por. Olkowski:

„ Połową plutonu ruszam na St. Angelo. Kopyś z drugą połową oczyszcza Widmo. Należy przenieść ogień artylerii. Mam straty. Konieczna pomoc ”.

Sierż. Iwanowski idzie w dół, spotyka por. Domańskiego, idącego z trzema ludźmi w przedzie swojej grupy. Por. Domański stawia swój podpis na meldunku. Sierż. Iwanowski idzie w dół, a por. Domański w kierunku St. Angelo.

Zginął już w jego grupie dowódca plutonu ppor. Łoziczonek. Dowódca drugiego plutonu, ppor. Mundziakiewicz przyłącza resztki plutonu poległego Łoziczonka, wysyła kpr. Goca z miotaczem płomieni na bunkier, ciężko ranny pada kpr. Goc, miotacz podchwytuje kpr. Zuba, skierowuje na bunkier; wyskakuje z niego czterech Niemców, którzy padają zabici.

Ale inny schron strzela. Ppor. Mundziakiewicz, stojąc między celowniczymi Łabyniczem i Żywolewskim, kieruje ogniem na ten schron; pocisk moździerzowy wyrwa Łabyniczowi łufę elkaemu, która uderza w pierś ppor. Mundziakiewicza; ostatni z dowódców plutonów traci przytomność i stacza się w dół; następny pocisk zabija Żywolewskiego.

Kompania por. Domańskiego, pozbawiona oficerów, załęgła. Jej dowódca, mając dwu oficerów za sobą i zaalarmowany meldunkiem swojej drugiej grupy por. Olkowskiego, idzie w przód, pewny, że Łoziczonek i Mundziakiewicz dociągną.

Jest g. 6,30, kiedy por. Olkowski otrzymał jako pomoc... por. Domańskiego z trzema żołnierzami. Ale jeden z nich — st. strzel. Kuźniar, niesie radiostację.

Por. Domański obejmuje komendę. Melduje przez radio położenie własne. „Skonsolidować się” — rozkazuje ppłk Kamiński.

Żołnierze poczynają sypać sobie szańczyki. Jeden tylko Kuźniar nie ma na to czasu. Klęcząc ze swoją radiostacją na otwartej przestrzeni — nadaje, łapie, nadaje.



Kpr. Goc



Strz. Kuźniar



Jest godzina 7. Ogień z tyłu się wzmacnia. Słychać w przedzie głos kpt. Kolatora:

— Trzecia kompania do mnie! Do natarcia!...

Poszli w tył na schrony i znikli za tarasami. Trzask niemieckiej broni maszynowej się wzmacnia. Po chwili widać jak niosą rannego, poszarpanego przy braniu bunkra kpt. Kolatora. Większość jego żołnierzy już nie wraca, tylko splywa na tyły.

Co stało się z kpt. Kolatorem, podajemy dalej za jego opowiadaniem:

„Moi lżej ranni (kpr. Łaszcz) oświadczyli, że dadzą mi osłonę z elkaemu. Ustawiłem elkaem, moździerz i sam pod ich osłoną z ochotnikami ruszyłem od tyłu i z boku na bunkry niemieckie. Wkrótce zlikwidowaliśmy jeden bunkier i posuwaliśmy się do następnego, gdy nagle padł strzał i trafił strzel. Kłymiuka w brodę. Uskoczyłem w bok i dojrzałem wejście do schronu, było ode mnie o jakieś 10 kroków, rzuciłem odbezpieczony granat. Padł w samym wejściu. Krzyknąłem: „Hände hoch!” Nie było odpowiedzi. Ktoś z tyłu podał mi granat odbezpieczony, podszedłem ze dwa kroki i rzuciłem granat do wnętrza schronu. Po wybuchu granatu dobyłem rewolweru i strzelając skierowałem się do wejścia. W pewnym momencie usłyszałem wybuch i uczułem ból w lewej pięcie i pod kolanem. Zrozumiałem, że nastąpiłem na pułapkę. Zrobiłem w tył zwrot i cofnąłem się kilka kroków, następnie upadłem i zemdlałem. St. strzel. Nowakowski Jan chwycił mnie i odniósł na miejsce, skąd wyruszyłem na schrony. Gdy doszedłem do przytomności, zleciłem dowództwo kompanii obecnemu przy mnie sierż. Wójtowi, poleciłem wykonywać dalej zadanie kompanii i mną się nie zajmować.”

Zostaje już grupka, której trzpieniem jest pluton ppor. Kopyścia. Siedzą w dolinie między Widmem a St. Angelo. Wał ognia naszej artylerii, stojący burym kurzem na St. Angelo, przeniósł się dalej. Gołym okiem widać bunkry na St. Angelo. Bunkry milczą. Ci z tyłu przestali strzelać na chwilę.



Kpr. Łaszcz



Słońce już wysoko — jasne i życzliwe — nad tym krwawym Widmem. Żołnierze śmielej podczołgują się do rannych, by ich opatrzyć. Sięgają do manierek. Niektórzy otwierają porcje „comp” (wypadowe).

Tę krótką idyllę przerywa nagle — piekło, które rozwarło się nad głowami żołnierzy. Jest 7 m. 30. Biją w nich chyba wszystkie środki ogniowe, jakie Niemcy mają. A równocześnie...

Por. Olkowski spostrzega między krzakami o jakie 15 metrów dwie grupki po trzech Niemców.

— O i tam... I tam... — sygnalizują żołnierze.

Idzie przeciwuderzenie. „Heraus! Zurück!” — krzyczą Niemcy.

Grupa Domańskiego liczy 28.

Mają dwucalowy moździerz piechoty, cztery elkaemy, tomsony. Odezwały się i zmiłkły.



Dwucalowy moździerz  
na stanowisku

— Strzelaj z garłacza — woła por. Olkowski.

— A czym tu strzelisz do jego?... — odpowiada flegmatyczny celowniczy-kresowiec.

Nie ma granatów...

— Elkaemy do mnie! — woła por. Domański.

St. strzel. Rodyna, celowniczy elkaemu, który wyskoczył





na otwarte stanowisko i zaczął strzelać do Niemców, dostaje serię po rękach; został kaleką. Każdy wychylony — trafiony zostaje natychmiast celnym strzałem. Np. strzel. Raczkowskiemu, w chwili, gdy celuje z karabinu, kula przebija usta, gardło i wychodzi ramieniem.

Przywiera wszystko do ziemi. Niemcy — nigdy nie decydują się podejść do starcia wręcz. Krzyczą tylko swoje „Heraus!... Zurück!...” aby powyraszać ze stanowisk i wystrzelać.

Nagle z innej strony, tam, gdzie krzaki podchodzą pod naszych żołnierzy na 60 metrów, rozlegają się inne „Zurück!...” To Niemcy obesli. Od tej strony są nieosłonięci żołnierze.

— Bagnet na broń! — podrywa por. Domański swoją garstkę.

Ale Niemcy zamiast uciekać, zalegają i otwierają wielką siłę ognia. Z licznych garłaczy, postana fala granatów-patyków z małą brzechwą widać jak faluje w powietrzu jak ławica ryb.

— Bić s... nów — woła, podbiegając za Domańskim ppor. Kopyś, który patrzył w swego dowódcę jak w bóstwo.

Mała garstka zostaje skoszona na pierwszych zaraz metrach. Pada por. Domański z przestrzelonym gardłem; krew mu na odsłoniętej szyi bije obficie; pada sierż. Ratajczak; pada — Kopyś i kilku innych; por. Olkowski zostaje ranny w czoło; kto żyw przylega w terenie.



St. strz. Rodyna



Ppor. Kopyś

Kopyś, utalentowany grafik, leży przewieszony przez głaz. W jednodniówce swego baonu dał trzy piękne drzeworyty: „Wczoraj” — młodzieniec konający przy taczkach w niewoli rosyjskiej.

„Dziś” — rycerz walczący z bestią.

„Jutro” — robotnik, który zaparł się na uchwycie dźwigu.

Słońce, wstałe od Drogi Polskich Saperów ostrym blaskiem pada na ciało — wczoraj przywarte do nadamurskich taczek, dziś poległe w walce z bestią — o jutro.

W takich chwilach — przede wszystkim padają oficerowie. „Nosili te same mundury co my — z goryczą mówili żołnierze — te same hełmy na głowach, te same spinacze u stóp; w rękę — jak i my — mieli tomigany; cóż, kiedy podrywali się pierwsi, dowodzili, stojąc.”

Por. Olkowski, jedyny pozostały oficer, ranny w czoło lekko, ale bardzo krwawi. Krew mu zalewa oczy, kiedy bandażuje straszliwie rannego Raczkowskiego; nagle odczuł uderzenie w głowę, świeczki mu w oczach stanęły; podbiegli, zdjęli hełm — był przedziurawiony kulą szmajsera, która raniła poważnie głowę.

Są teraz w tym słońcu obnażeni w swojej bezsile ślepiom bunkrów, bez dowództwa. Niemcy nie wykorzystują zwycięstwa, nie podchodzą, ale wracają do swoich bunkrów i z nich strzelają. Nierówna to walka w biały dzień odstąpionych ludzi z bunkrami.

Tylko st. strzel. Kuźniar, nie bacząc na nic, waruje jak pies przy swojej stacji.

Nie sam... Już znowu klęczy przy nim... por. Olkowski, ostatni dowódca.

— W lewo od was „Wilki” — pociesza radio batalionowe głosem por. Jaźwińskiego.

— W lewo... „Wilki”... — powtarza krwawa głowa por. Olkowskiego.

I kiedy założono mu opatrunek, chwiejąc ogromną obandażowaną głową, na której leży poduszka opatrunku, wydaje rozkaz wycofania się, ostatni w tym dniu rozkaz 13. baonu, jaki padł za Widmem.

Schodzą...

Z wyjątkiem st. strzel. Jewszela wszyscy są ranni.



Por. Olkowski



## (75) DWIE KOMPANIE 13. BAONU UDERZAJĄ NA PÓŁNOCNE WIDMO

Druga część baonu, idąca do natarcia północnym skłonem Widma, uległa jeszcze cięższemu losowi.

Ruszyła po dwu osiach natarcia. Pierwsza posuwała się rozdzielona na dwie grupy szturmowe kompania 2. kpt. Czechowskiego: po prawej osi grupa szturmowa ppor. Alwingera, po lewej ś. p. por. Karge.

Za kompanią 2. posuwała się kompania 1. kpt. Buyki po tych samych ścieżkach, też w dwu grupach: tę za por. Karge prowadził ppor. Giermek, tę za ppor. Alwingerem — sam kpt. Buyko.

Ruszyli, obciążeni ciężko, obciążeni ponad wszelką miarę. Ta czołowa kompania kpt. Czechowskiego ma miotacz płomieni, 9 elkaemów, 15 tomsonów, 2 piaty, 2 moździerze i amunicję do nich, porozdzielaną między wszystkich żołnierzy. Każdy żołnierz prócz tego ma swój indywidualny ekwipunek, do którego dodano po 3 — 4 granaty. Ale to wszystko nic. Najgorsze są rury Bengalora. Są to półtorametrowe siedmiokilo-



*Kpt. Czechowski*



*Ppor. Alwinger*

gramowe rury, służące do wysadzania zagród z drutu kolczaste-go, ale mogące też służyć do czyszczenia pola z gęsto położonych min. Skoro artyleria miała przyłoczyć nieprzyjacielską piechotę, pola minowe mogły się wydawać główną przeszkodą



*Sierż. Zaiaczkowski*



*Ppor. Giermek*



*Kpt. Buyko*



*Por. Karge*





Por. Gajdaczek



Ppor. Bugaj



Ppor. Skarbek-Kruszewski

Kalkulowano, że tylko te Bengalory dowlec przez 706 i z 706 na dolinkę, gdzie poczyna wznosić się Widmo i droga stanie otworem i żołnierz pójdzie dalej nieobciążony.

Dlatego — kompania dźwigała 65 Bengalorów, dlatego na każdego żołnierza wjuczono, poza tym wszystkim, po 14 kilogramów materiałów wybuchowych.

Kpr. Czechowski z Bielska, mimo tego obciążenia, mimo, że kazano mu zabrać 12 magazynków (po 25 naboji) do elkaemu, bierze jeszcze sześć magazynków.

— Panie szefie — mówi do sierż. Jezierskiego — ja mogę nie wrócić — ale te magazynki przedtem wystrzelam.

I, tak objuczonych, chwycił ich na szczycie 706 morderczy ogień niemieckiej artylerii.

Rury Bengalora w rękach żołnierzy poczęły eksplodować, rażąc idących z przodu i z tyłu. Rozległy się wrzaski pełne przerażenia. W ciągu kilku chwil strzaskana została kompania — zabity został por. Karge i 19 żołnierzy, ranni padli porucznicy Gajdaczek, Bugaj, Cygan, Skarbek-Kruszewski, Alwinger, st. sierż. Jezierski, sierż. Zajączkowski i 43 żołnierzy.

Drzazgi zostały z obu cekaemów, miotacza płomieni, obu aparatów telefonicznych, kompanijnej stacji radiowej, obu stacyj radiowych obserwatora artyleryjskiego.

— Na miłość Boską — przytłumcie ten ogień! — woła do obserwatora dowódca kompanii.

— Tej maszyny nic nie wstrzyma! — odkrzykuje przez huk artylerzysta, któremu pozostała już tylko rola eksperta — jedyny ratunek — iść w przód, wyrwać się spod tego ognia.

A żołnierz jest młody — nie wie, że można się ratować — idąc w przód. A żołnierz jest nieostrzelany i noc i głazy, pod którymi może zalec...

Nawała na 706







Wyrwali jednak w przód — patrole saperskie na przedzie. Już zbiegają z 706, już są pod wznoszącym się Widmem. Pełno pułapek. Zostało trochę rur Bengalora. Istotnie — działają świetnie. Jeden patrol rwie Bengalorem, drugi tymczasem wraca po następny ładunek. Przechodzą przez zwoje concertiny jak nóż przez masło.

Ale Widmo tu — to nie połogie Widmo kompanij Kolarora i Domańskiego. Z głębokiej doliny wznosi się jako potężny masyw przed zdyszana piersią. Już nie został ani jeden saper cały — czyszczą drogę sami piechurzy. Pchor. M... improwuje drużynę saperską.

Strz. Bułak, prosty prawosławny chłopak z Wileńszczyzny, idzie pierwszy — mina naciskowa odrywa mu stopę. Podnosi się na jednej nodze, staje... Patrzą na niego ze zdumieniem, bo odwraca się od kierunku nieprzyjaciela, podnosi ręce jakby chciał uciszyć ten huk. Chwieje się — wygląda jakiś ogromny i krwawy:

— Koledzy, robię wam drogę...

Nim się spostrzegli — runął całą długością na ścieżkę w przód. Mina eksplodowała. Przeszli przez niego \*).

\*) Kiedy pytałem, nie wierząc, po bitwie dowódcę jego kpt. Czechowskiego, porwał się na nogi i wołał: „Na wszystko przysięgam!...”

Pytałem oficera, dowodzącego patrolom ścieżkowym. Poinformował, że w pewnych miejscach, polykacze leżały gęsto i że wypadek taki mógł się zdarzyć.

*Przypisek po bitwie:* Długo uważano go za poległego. Dopiero po upadku Niemiec przyszła wiadomość: Niemcy zabrali go z pobojo-wiska; jest ciężkim inwalidą bez oka, ręki i nogi.

Tak, tracąc na tym czyszczeniu z min ciężko rannego pchor. Matujzo, 2 kaprali, strzelca, wpadli na pierwsze schrony. Zataiły się do ostatniej chwili. (Bułak zginął o dwa kroki od pierwszego schronu, który widać miał polecone znaleźć się na tyle).

Otwiera się broń małokalibrowa, najstraszniejsza. Mówi żołnierzowi: „Widzę Ciebie!”.

Wybijają w tym bunkrze załogę, wybijają z trzech następnych. Wtykają w strzelnice tomigany. Czasem schrony — przeznaczone do ogni krzyżowych, albo jak ten pierwszy — do ognia wstecz — nie mają wziernika od strony natarcia. Nie mogąc otworu w bunkrze wymacać, kpr. P... włożył na niego z rurą Bengalora i odpalił. Ale to szukanie pod ogniem małokalibrowym pięty achillesowej każdego bunkra powoduje straty.

Ginie kpr. Orłowski, kpr. Czechowski, ranny kpr. W. Franciszek, D. Jerzy, strzel. K. Andrzej, strzel. P. Władysław. Pracująca bez wytchnienia obsługa granatnika — st. strzel. Ch. i st. strzel. M. — ranni. Granatnik milknie.

Kpr. Czechowski dotrzymał słowa: z rozbitymi nogami, leżąc, strzela aż póki nie wystrzelał ostatniego magazynka, jak poprzysiągł. Wówczas — dobija go seria szpadała.

Kompania liczy już tylko dwudziestu. Spieszącymi się rękami garną rozsypiska, nakruszone z gładów artyleryjską nawałą.

Wtedy — ich metodą — na „zrobionych” — krótkie uderzenie niemieckiego plutonu (czy może tylko drużyny?) o wielkiej sile ognia. Nasz żołnierz nie zna tej taktyki — można przypuszczać, że cała kompania naciera.

*Jakże tu wyluskiwać Niemców zatajonych po bunkrach  
wrosłych w głąb na szczycie Widma?*







Tym niemniej poderwali się — z granatami w ręku.

Stojąc strzelają. Rozgorzała zażarta walka wręcz na granaty ręczne i pistolety maszynowe, przykładane wprost do piersi. Odparli.

Od tyłu, przez ogień zaporowy, koło skrzyni z palącą się amunicją 2. kompanii (a wąska jest otaśmowana ścieżka) dochodzi wraz ze zdziesiątkowanym w drodze patrolem saper-skim ś. p. kpt. Buyko, dowódca kompanii 1. Dociągający czołowy pluton jego kompanii, liczący już tylko 12 ludzi, przechodzi w przód, dostaje ogień 2 szpadałów z frontu i jednego z prawej. Otwiera ogień i posuwa się; dochodzi do Niemców o 4-7 metrów, są tuż, przez głaz, przez krzak; Niemcy rzucają granaty za daleko, ale granaty zaczepiają o gałęzie i spadają między pluton, szpadały szyją — zostaje raniony dowódca patrolu ścieżkowego i dwu jego ludzi, drużynowy 3. drużyny, zastępca drużynowego 2. drużyny, celowniczy 3. drużyny i dwu innych strzelców.

Dowódca plutonu, ppor. Poseł, zostaje z czterema ludźmi; osłaniając się ogniem z dwu pozostałych elkaemów, tomsona i dwóch karabinów — wycofują się...



Por. Poseł



*Płk. Kamiński*

Płk Kamiński, dowódca wyrznanego batalionu, siedzi na schronie. W tym piekle ognia nie robi nic, by się skryć.

— Kryj się!... — woła kolega, dowódca 14. baonu, mjr Ziobrowski. Kamiński coś odpowiada.

— Co takiego? — pochyla się do niego przez huk.

— Nie wiem, co z moim batalionem — głucho mówi Kamiński.

Wstaje świt. Niemieckie flagi z Czerwonym Krzyżem na przedpolu. Kiedy po pięciu dniach znów tę krwawą drogę robili „Rysie”, znaleźli jeszcze przy świeżo zabitych — 10 trupów niemieckich z pierwszego szturmu.

S. p. kpt. Buyko daje rozkaz definitywnego wycofania się. Pod ogniem. Pada st. strz. Wilczyński. Na ścieżkach leżą zabici pchor. Zegrze, plut. Bakunowski.

Wycofują się do swego piekielnego wężoziku z moździerzami. Koce — zostawili w Inferno. Pobici i poobtłukiwani — bez strawy gorącej pięć dni, trwają przez pięć dni strzałów, rozprysków, huku i dymu, mięśni zdrętwiałych w skulonej drzemocie — aż do nowego natarcia.





## (76) A JEDNAK GNATOWSKI ŻYJE - I WALCZY

Po wycofaniu się z Widma ppłk Domoń, uważano, że na tym wzgórzu nie ma już naszych żołnierzy. Rzeczywistość była inna. Jak podaje ppłk Domoń — podał rozkaz wycofania się mjr Gnatowskiemu głosowo na odległość. Jak stwierdza mjr Gnatowski — rozkazu nie słyszał.

Tak czy owak — mjr Gnatowski został na Widmie z grupą swoich żołnierzy i 10 żołnierzami 17. baonu pod dowództwem ppor. Zajdzińskiego, do którego rozkaz wycofania się nie doszedł.

Ostatnia łączność była zerwana, już od 3. w nocy nawiązywać jej nie było komu, bo patrole telefoniczne zostały wybite. Wybite też zostały trzy kolejno do brygady wysłane patrole.

Mjr Gnatowski, mazur, twardy chłop, ranny w 1920, ranny dwukrotnie w kampanii wrześniowej, kawaler Virtuti \*), pamięta o rozkazie nadesłanym z brygady: uderzenie ogólne montuje się na 15 godzinę.

Mjr Gnatowski czeka. Mjr Gnatowski posyła patrole we wszystkie strony. Wysyła do tyłu sierż. Pawlika w celu ściągnięcia kompanii kpt. Bartosika, którą dał do odwodu. Pawlik nie wraca. Wysyła więc chor. Matczaka — Matczak melduje, że Widmo w tyle jest puste... 18. baon znikł, ściągając ze sobą i kompanię Bartosika. Wysyła ppor. Domiechowskiego na prawo — ppor. Domiechowski konstatuje, że tam są sami zabici lub ranni. Tę samą wiadomość przynosi goniec wysłany na lewo — żywego ducha nie ma, tylko zabici i ranni. Poczynają prosić mjr Gnatowskiego, by ich nie rozsyłał dalej na wywiady. Przecie to jasne... Zostali sami... A tam, gdzie wysyła gońców nie mają się oni gdzie kryć. Każdy zasłaniający głaz, każdy składak zajęty przez rannego lub zagwożdżony przez trupa.

Mjr Gnatowski nie chce wierzyć. Jako — przecie o 15 g. ma pójść nasz atak. Jeśli pusto przed atakiem, to tylko dlatego zapewne, że robią przegrupowania. Trzeba się utrzymać.

\*) *Przypisek po bitwie*: Nagrodzony za Monte Cassino Krzyżem Virtuti 4 stopnia i awansowany na pułkownika.



Mjr Gnatowski



Strz. Magiera



Strz. Oczkowicz

Mjr Gnatowski nie wie, że na lewo właśnie o tej godzinie ś.p. por. Bereś, ostatni oficer kompanii kpt. Kromkaya Karpackiej dywizji (tyt. 82) wycofuje swoich ludzi.

Mjr Gnatowski nie wie, że na prawo właśnie o tej godzinie por. Domański, tragiczny komendant resztek dwu kompanii 13., atakuje bunkier i ginie (tyt. 74).

Mjr Gnatowski nie wie, że w tyle za nim nie ma nic, bo 18. spłynął. Nie wie, że dowódca Korpusu o godzinie 14 nakazał opuszczenie Widma wszystkim, znajdującym się na nim oddziałom.

Wie tylko, że ma trwać. Wiedzą o tym jego żołnierze.

Cekaemiarze por. Domiechowskiego walą z dwu cekaemów. Dobry to żołnierz — młody, dobrany, wytrzymały... Mają trzeci cekaem, ale obsługa milczy, cierpi, rezerwuje się... Por. Domiechowski kazał stanowiska tego cekaemu nie zdradzać. Ale strzel. Magiera wyciąga ustną harmonijkę i poczyną wygrywać kujawiaczka... Wpada pocisk, rozbija grającemu organki, rani go w twarz. Magiera porywa i przenosi przede wszystkim CKM, bo ani chybi, wymacawszy miejsce, go rozbija, a potem dopiero siada i ociera twarz.

Natarcie odparte, posuwają się nawet za Niemcami. Strz. Oczkowicz, nie będący piacistą, nadybał jeden jedyny pocisk do piata. Wrywa piat strzelcowi, biegnie pod ogniem szpadałów do schronu niemieckiego, spala schron.

Po odparciu ataku podniecenie opada. Pociski niemieckie wyją. Głucha cisza panuje poza tym na Widmie. Czas płynie...





Przychodzi godzina 15 i wraz z nią rozpoczyna się wściekły ogień naszej artylerii na Widmo. Przecież brygada nie wie, że na nim tkwią nasi żołnierze.

Może oni powtarzają plan z nocy? — zachodzi w maziurską głowę mjr Gnatowski. No, to trzeba będzie wytrzymać 45 minut, bo według tego planu po 45 minutach dopiero ogień przenosił się dalej.

Zresztą i niemiecka artyleria nie przestaje strzelać na Widmo. Od tego zgodnego ognia obu artylerij jest wielu rannych. Sanitariusz Radziszewski, wyzbywszy się już wszelkich opatrunków, zdejmuje własną koszulę, drze ją i opatruje rannych. Sanitariusz Radziszewski nie może sobie pozwolić na szukanie zakrycia. Jest ciągle w ruchu. Już jest ranny. Opatruje dalej. Nagi do pasa, drze teraz koszule opatrywanych rannych.

Żołnierz poczyna się denerwować. Gdzie nasze dowództwo? Gdzie inne bataliony? Jesteśmy otoczeni!

Czas płynie... Może posiłki idą, może dojdą koło 15. Mjr Gnatowski robi jeszcze jedną próbę — wysyła do brygady por. Konopackiego po ustalenie. Kontuzjowany por. Konopacki \*) nie doszedł.

Z Corno, o kilometr, pokazuje się dwu Niemców z podniesionymi rękami. Widocznie mają nadzieję sprowokować ogień do siebie i ustalić nasze stanowiska. Tego popołudnia 12 maja takie zamieszanie panuje w górach, że widać nawet oni, mający całkowity wgląd w nasze pozycje, tracą orientację.

Teraz staje się rzecz, której trudno zapomnieć. Na „zdemoralizowanych” i osłabłych żołnierzy — wychodzi z przeciwnostoku niemieckie uderzenie, które ma ich dobić.

Jakże się wszystko porwało! Wolna część cekaemiarzy chwyciła za karabiny ręczne i leca w przód. Strz. Adamowicz szoruje z wielkim kamieniem w rękę. Niemcy, żołnierz doskonały w bunkrze, takiej zabawy nie lubią. Cofają się.

Mjr Gnatowski rozumie, że żadnego polskiego natarcia nie będzie. Mjr Gnatowski jest weteranem września — we wrześniu też żołnierz czekał na dobroczynną noc. Jest maj i dobrze ciemno robi się dopiero o 21.

\*) Zginął w akcji adriatyckiej, ratując rannego żołnierza.



Ppor. Konopacki



Strz. Adamowicz





*Ostatnich dwudziestu sześciu / por. Matulewicz — przy mjr Gnatowskim — już dociągnął; sanitariusz opatruje /*

Wówczas zarządza :

1. Ppor. Bartoszak sprowadza wszystkich żołnierzy na ścieżkę i prowadzi do podstawy wyjściowej, ubezpieczając od czoła.

2. Ppor. Meksuła — ma poszukać w rejonie Gardzieli oddziałów Karpackiej i zameldować, że 15. schodzi z pozycji.

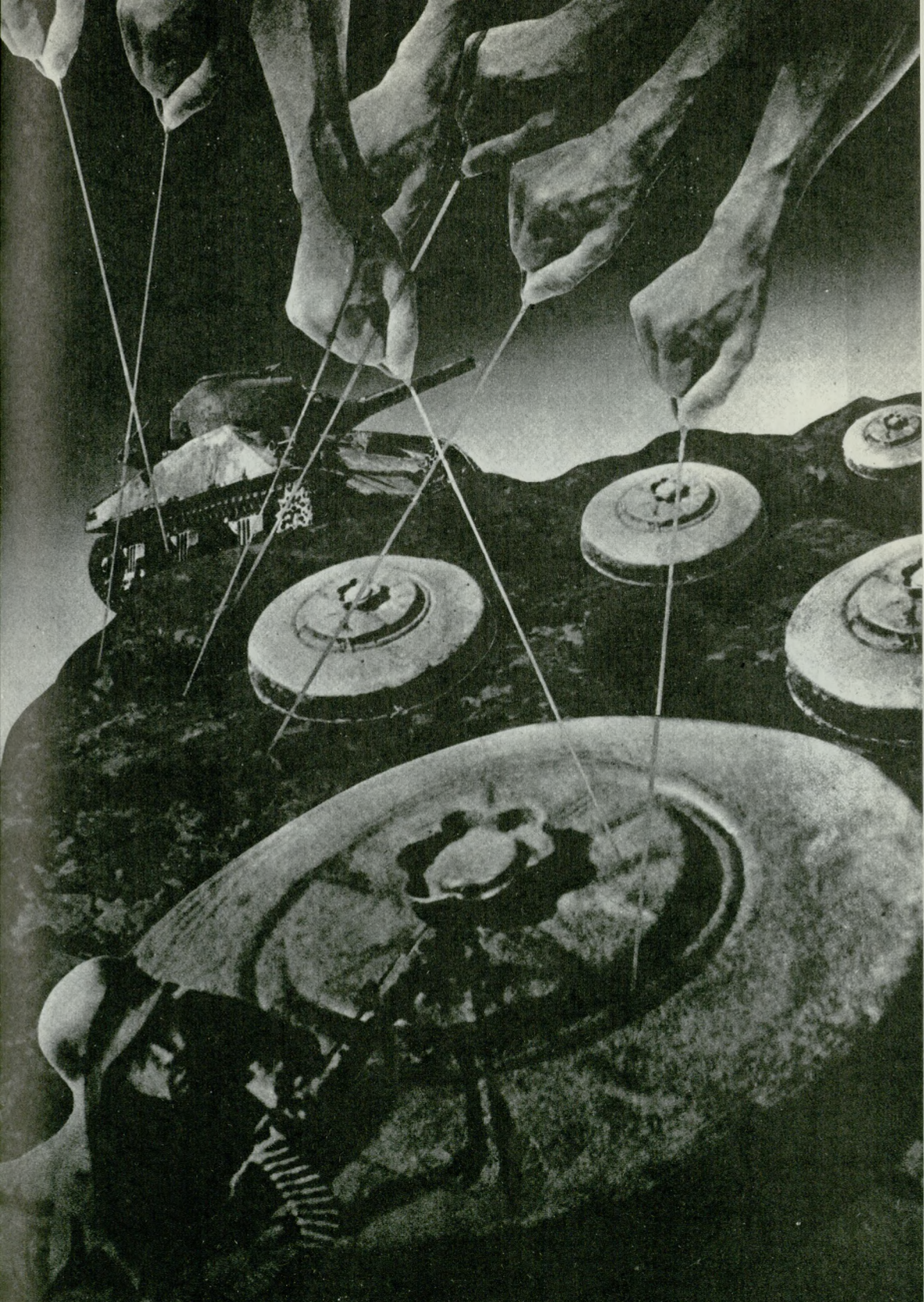
3. Por. Matulewicz ubezpiecza od tyłu i zbiera rannych. Niosąc na karabinach swych rannych, schodzi ostatnich 26. Nikt ich nie czeka.

Toteż przed liniami 14., wiecznego strażnika, wołają: „Wilki idą!...”.

Jeszcze na linii 14. zostawiają świetnego swego ścieżkowca, ostatniego już z czwórki ścieżkowców ppor. Bartoszaka, który ginie...

O g. 22 brygada z linii 14. haonu otrzymuje meldunek... od zmartwychwstałego mjr Gnatowskiego.





**PIERWSZA WALKA O GARDZIEL**



Kiedy 2. batalion Karpackiej uderzał na 593, a 13. 15. 18. bataliony Kresowej na Widmo — w środek między tymi dwoma natarciami poszło uderzenie na Gardziel — punkt spięcia dwóch kół koncentrycznych obrony niemieckiej.

Koło będące przedmiotem natarcia Karpackiej — wzgórze 593, 569 i stoki Albanety — raziło nie tylko swoich przeciwników, ale nadto miało świetny obstrzał nacierającej na prawo Kresowej.

Koło będące przedmiotem natarcia Kresowej — wzgórze 575, Widmo i St. Angelo — raziło również nie tylko swoich przeciwników, ale nadto miało świetny obstrzał nacierającej na lewo Karpackiej.

Te koła dzieliła Gardziel wlewająca się w płaskowyż Albanety. Na środku tego płaskowyzu stały ruiny zabudowania gospodarczego (massaria) — skąd — idąc za skrótem mapy, przyjął się u nas termin „Mas Albaneta” a naokoło wznosiły się pełne bunkrów niemieckich zbocza, mające za sobą jar z niemieckimi moździerzami.

Należało sforsować Gardziel, wdrzeć się na Albanety i przełamać ten szczyt pacieryowy, o który zaczepione były dwa kręgi obrony, którym poświęcone były dwa poprzedzające rozdziały.

Albanety i Gardziel miał sforsować z Dużej i Małej Miska przez Główne Wezła 1. bnan Karpackiej, a od Drogi Polskich Saperów — omijać przez zaprzęski współudział.





## (77) 1. BATALION KARPATCZYKÓW W Y R U S Z A Z D. M I S K I



*Domek d-twa 1 BS.  
na skłonie D. Miski*

Cztery tygodnie żołnierze 1. batalionu siedzieli w Dużej Misce.

Na prawo od nich wznosił się grzbiet — Głowa Węża, który przeciwsłonecznie schodził ku Gardzieli. Na tym przeciwsłonecznie siedzieli Niemcy. Grzbiet był niczyj. Czternastu obserwatorów po kolei postradali na nim nasi poprzednicy, aż poniechano obsadzania jego.

O godzinie 21 ruszyli kolejno — co pięć minut pluton po plutonie.

Każdy ma pięć granatów (dwa obronne, dwa zaczepne, jeden fosforowy), cztery worki próżne i łopatkę, których tak nie lubili na ćwiczeniach.

Na kompanię dwa miotacze i dwa piaty.

Saperzy ścieżkowi trójkami — kotwiczki do pułapek, ładunki wysadzające, bębny z taśmą.

Saperzy szturmowi po 14 funtów bawełny strzelniczej, miny ulowe (przyczepione do ściany schronu, mają potężną siłę kruszącą), tyczki 3-metrowe (do wrażania z ładunkiem wybuchowym we wzierniki bunkrów).

Przeszli trzy dęby, które oddzielają Dużą Miskę od Małej Miski.



*Żołnierz  
z piatem*



*Mina ulowa*





Ppłk Raczkowski

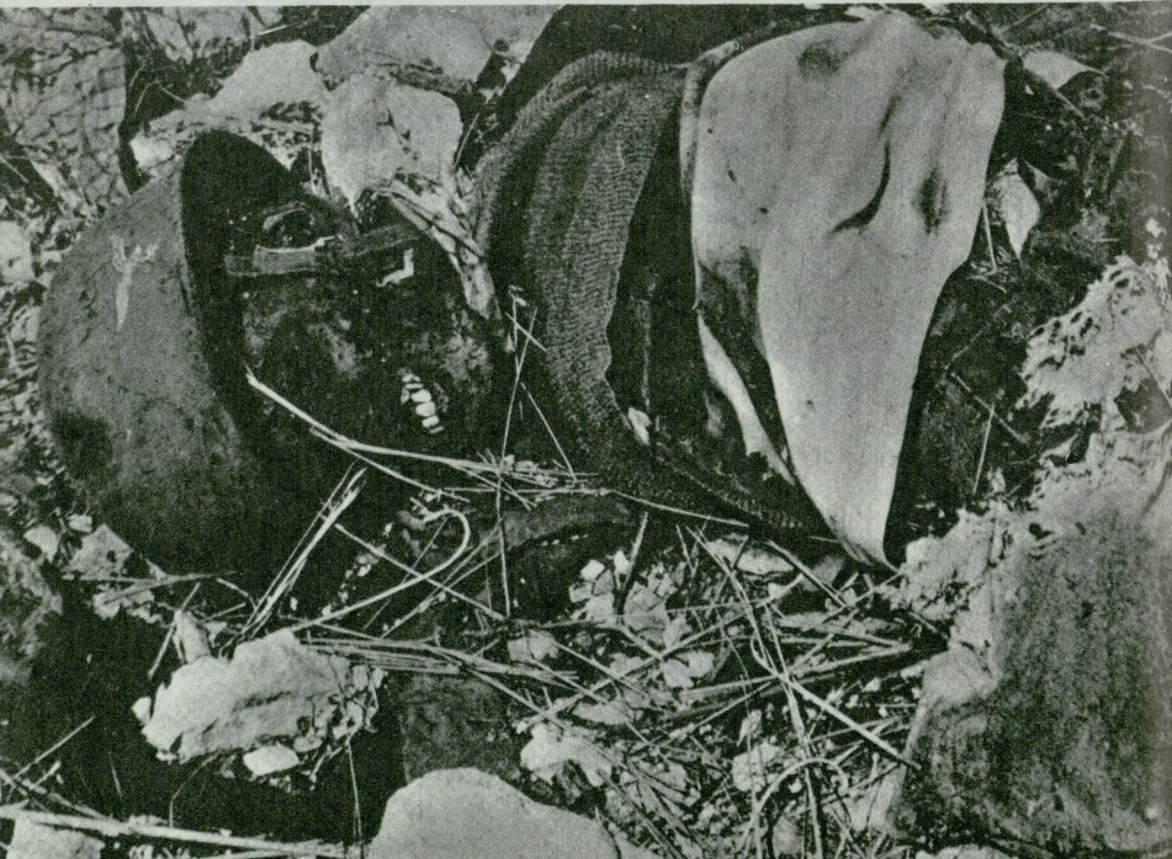
Przeszli „Ucho” — tam jeszcze zawsze czuwała nasza placówka.

Kiedy są już w Małej Misce, rozpoczyna się nasza nawała. Nie mogą sobie wyobrazić, by z Niemców zostało coś więcej, niż miazga. „Tylko pójść z palicą” i zająć pozycje, gdzie leżą niemieckie trupy. Pilno im do tego, bo w Małej Misce straszliwie cuchną ciała poprzedników.

I nagle — pierwsza niespodzianka: obudziła się ciężka artyleria niemiecka i straszliwie obkłada rejon obu Misek. Przede wszystkim ostrzeliwują dowództwo baonu w M. Misce, bo mieści się w dobrze im znanym byłym schronie niemieckiego generała. Dla Niemców nasz teren nie ma tajemnic. Pali się maskowanie. Schron dowództwa goreje jak pochodnia. Rzucają się gasić.

Obserwuje ten ogień dowódca batalionu, ppłk Raczkowski. Jako młody żołnierz w czasie tamtej wojny przeżywał piekło Verdun. Granicę węgierską przeszedł zbrojną grupą i ostrzeliwując się dopiero 24 października. Walczył pod Tobrukiem, walczył pod Gazalą. Patrzą — jak też wytrzymają ten ogień jego chłopaki?

Ci, którzy znaleźli dawne składaki — przytulili się do







Grupa wsparcia por. Popielasa z moździerzem dwucalowym, dwoma cekaemami i piątem ruszyła przed wszystkimi, aby sięść na siodelku między Głową Węża i 593 i osłaniać lewe skrzydło każdej kolejno atakującej kompanii.

1. kompania — jest przeznaczona do noszenia amunicji i przypdzielana plutonami do kompanii nacierających. Stoją z nosidłami na plecach — żywe torpedy — doświadczeni próbą biernego męstwa.

A jak się przygotowuje tymczasem natarcie czołgów od Drogi Saperów?





## (78) SAPERZY EGZORCYZMU JĄ DIABELSKĄ GARDZIEL

Dowódca czołgów amerykańskich w natarciu w lutym, który miał wjechać między dwa systemy obronne wzgórz omawianych, opukiwanych, rozpoznawanych — między 593 z jednej, 575 z drugiej strony — aby ogniem swoich dział rozerwać, stłumić ten splot ogni i pozwolić swojej piechocie wlać się w dolinę Alhanety — natknął się na gardziel wąską między tzw. Głową Węża i wzgórzem obłym, połym, nieznacznie z północy ku tej gardzieli spływającym, które na zdjęciach lotniczych nie zdawało się przeszkodą.

Wzgórze leniwym i niezdarnym cielskiem przyparło jednak do małej gardzieli, przedzielonej garbkiem, który powinien być być nic nie znaczącą zabawką. Garbek ten jednak — to był jeden skład min, nad tym wzgórzem błyskały ognie niosące śmierć każdemu, kto po te miny sięgnie.



Nietrasobliwy boy, przed dwoma jeszcze laty uprawiający *baskett-ball* i wołający wraz z kolegami urągliwie na widok munduru — „patrzcie, to taki, któremu nie chce się pracować”, niefrasobliwy boy generacji, której bomby leciały kilometr w tę, kilometr w efitę na postrach wrogom — miał teraz zapłacić za długie lata *good time' u*.

— Wyrośło przede mną Wzgórze-Widmo (*Fantom-Ridge*) radiował do swych przełożonych.

Po czym z hojnością „explorera” płacąc za niefrasobliwość ruszył na gardziel wzdłuż podnóża tego Widma, którego nazwa odtąd się utrzymała i zginął. Ze wszystkimi swymi czołgami...



O stojących między pierwszą i drugą Gardzielą wrakach amerykańskich czołgów głucho tylko krążyły wieści. Widziały je fotografujące samoloty, rozróżniali je spece, patrząc przez stereoskopy na lotnicze zdjęcia, widzieć ich nie mogły nasze patrole, bo wszak w ciszy i w bezruchu leżeliśmy zapadli przez te dni, poprzedzające Wielki Porachunek.

Teraz nasze czołgi miały pójść pod wzgórze - Widmo, między szeregi czołgów-widm.

Ale krew czołgistów krąży czerwona i gorąca i szkoda ich na odstawianie duchów. Przyzwano egzorcyzmy saperskie. Na teller-miny najlepsze to zaklęcie.

Dowódca 3. kompanii 10. baonu saperów korpuśnych, mjr Witkowski, Mińczuk z drobnych ziemian nieefektownego i

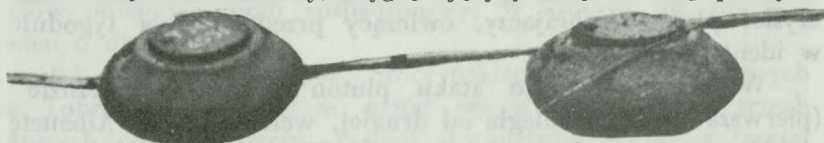


smutnego kraju o sapowatej ziemi, w którym cierpliwością tylko a nie żadnym hochszpilem wydrapiesz, człowieku, co innym darmo Pan Bóg daje — od kilku już dni siedział na szczycie Drogi Saperów, tuż za pozycjami 14. baonu i deliberował, deliberował i egzorcyzmował ziemię włoską, którą tknęła Germańska Siła Nieczysta.

Droga, którą rozminowywać wypadało, była pod obstrzałem. Nam strzelać nie wolno było, Niemcy strzelali z cekaemów do dębujących saperów.

Istne polowanie na kaczki. Saperzy, idący na ochotnika, w różnołatych ubraniach maskowniczych, posuwali się po pięciu w rząd na klęczkach, jak ich na ćwiczeniach uczono, gdzie nawet taką piątkę łączono sznurkiem, aby zaś trzymała równanie.

Klęcząc tak wyglądali jak siewki w polu, albo jak szereg pielących bab. W rękę trzymali metrowe szpilki saperskie, którymi leciuchno zrychlali teren. Dopieroż, zdziaławszy wielki ciężki blin miny, wyglądający jakoby kto tęgopokrywe



dwie michy stalowe ku sobie rantami złożył — zlekka naga-bywali to złośliwstwo knykciem i wskazującym palcem z góry, szukając zakrętki. Wykręciwszy spłonkę, mieli się na baczności dalej; bowiem talerzówki nadto były zaopatrzone z boku i z tyłu w zapalniki, do których przymocowany bywał potykacz.





Wykręciwszy tedy zapalnik, zaczepiał saper kotwiczkę na pięćdziesięciometrowym sznurze za ucho miny, odpełzali całym patrolem na jej długość i przyciągali. O ile okazało się, że była umocowana na potykaczu, to wybuchła, szkody im nie czyniąc.

Tak rozczyścili w ciągu kilku nocy pas szesnastometrowej szerokości na długość 250 metrów, rozbroiwszy 59 min. Dalej iść nie mogli bez osłony. Bo cóż saper — pływa sobie spokojnie jak ta kaczuszka nurkując za minami, nie walczy, bo go wystrzelają. Trzeba go ochronić. A chronić gośmy nie mogli, bośmy nie wojowali i siedzieliśmy cicho jak myszy.

I tak zostało. „Te ostatnie metry” na garbku w Gardzieli rozbroi się jak się pocznie wojowanie. Zdławi się Niemców artylerią, przyskoczy się, póki będą odurniali, rozbroi się, czołgi wjadą, bunkry przytłamszą, piechota za nimi się wleje, powybiera z bunkrów Niemców jak chłopaki wybierają raki spod szkarpy.

Tak myślały sobie proste i gorące serca żołnierskie. Tak myślał pluton rozbrajaczy, ćwiczący przedtem dwa tygodnie w identycznym terenie.

W noc pierwszego ataku pluton był na „gnieździe” (pierwsza gardziel, odległa od drugiej, wchodzącej na Albanetę o 500 metrów) jeden z pierwszych. Wycisnąwszy się ku tej gardzieli Drogą Polskich Saperów, która grzmiała jak pułko basetli hukiem motorów, eksplozjami pocisków, zgrzytem hamulców, nawoływaniem słoczzonej masy ludzkiej, rozwinęli się pięknie w kaczuszki nurkujące po wodzie i ruszyli: siedmiu rozbrajaczy rzędzikiem w przedzie; za nimi dwu rozbrajaczy; za nimi zastęp odwodowy — tabliczki wskaźnikowe, znaki ostrzegawcze, latarki żółte do pól minowych, taśmy 6-calowe.

Niech pracują. Zanim powiemy, co dzieje się z czołgami, dla których przygotowują drogę, zobaczymy, co się dzieje z kompaniami 1. baonu.





## (79) KOMPANIA POR. MAŚLONY JUŻ WISI NAD GARDZIELĄ I CZEKA

Jako czołowa rusza kompania 3. por. Maślony, odznaczono-  
nego Krzyżem Walecznych za Tobruk.

Przed Gardzielą pocisk niszczy całą drużynę. Jeszcze nie  
doszli do Gardzieli, gdy mają trzech zabitych, czternastu  
rannych. Zapadają — zresztą ku Gardzieli podejść nie mogą,  
bo nasza artyleria bije przed nimi.

01,10. Nasza artyleria przenosi się na dalsze cele. Kom-  
pania rusza. Zółwim krokiem (teren... obciążenie... ogień  
moździerzy nieprzyjacielskich... nieświadomość, że trzeba  
przelatywać jak gazalczycy. Ciemność, brak kontroli i magnes  
ziemi).

A przecież do przedmiotu natarcia tylko 300 metrów!

Zastępca dowódcy kompanii ś. p. por. Wagner pilnuje  
tyłów obiegając teren rozpadlinowy, w którym nic nie wie  
jeden o drugim.

01,45. pluton ppor. Sroczyńskiego (Krzyż Walecznych  
za Tobruk) przemknął w przód bez walki!... Tylko trzech  
rannych od moździerzy. Zasiadł sto metrów w dół z tamtej  
już strony skłonu Głowy Węża, odstawiającej widok na  
Albanetę. Skłon jest pełen niemieckich bunkrów. Serca biją  
tuż obok z wmięszanymi niemieckimi.

Sam dowódca kompanii por. Maślona schodzi przy  
następnym plutonie ppor. Grażyńskiego nad drogę przed  
Gardzielą. (Miał wyjść na samą Gardziel).

Drużyna kpr. Bryka zesła w przód i wisi nad Gardzielą.  
Słychać z prawa czołgi. Nadzieja.



## (80) CZOŁGI OD DROGI SAPERÓW NIE MOGĄ SFORSOWAĆ GARDZIELI



Por. Trejdosiewicz

Podczas, kiedy 1. baon miał zejść wschodnim stokiem w dolinę Albanety, dowódca kompanii dowodzenia baonu, kpt. Orłowski, mając pod swoją komendą pluton por. Trejdosiewicza (3 czołgi), pluton S-P (*self-propelled*, tzn. opancerzone działa na gąsienicach) i dwa sześciopuntowe działka przeciwpancerne — miał wejść w dolinę przez Gardziel, na której rozminowanie przez saperów właśnie czekamy.

Od kilku już dni stała ta grupa u podnóża Drogi Saperów Polskich w tzw. *Car-Parc*. Pociski na *Car-Parc* padały równie gęsto, jak na cały teren koncentracji naszych wojsk,



ale żołnierze pokopali sobie pod czołgami i ciągnikami schrony, w których czuli się bezpiecznie.

Wieczorem dnia 11 maja kpt. Orłowski miał ostateczną odprawę z dowódcami, zakończoną tradycyjnym „złam nogę”.

Niezwłocznie po rozpoczęciu naszej nawały grupa rozpoczęła wspinaczkę po Drodze Polskich Saperów, korzystając z tego, że niesamowity grzmot kanonady słumi huk motorów.

Na Drogę Saperów padają niemieckie pociski, należy dwa uszkodzone łożyski zrzucić w przepaść, należy bardzo uważać, aby gąsienicami nie zrywać drutów łączności.

Już z góry płyną ranni. Pod górę pchają się żołnierze



Por. Szikier



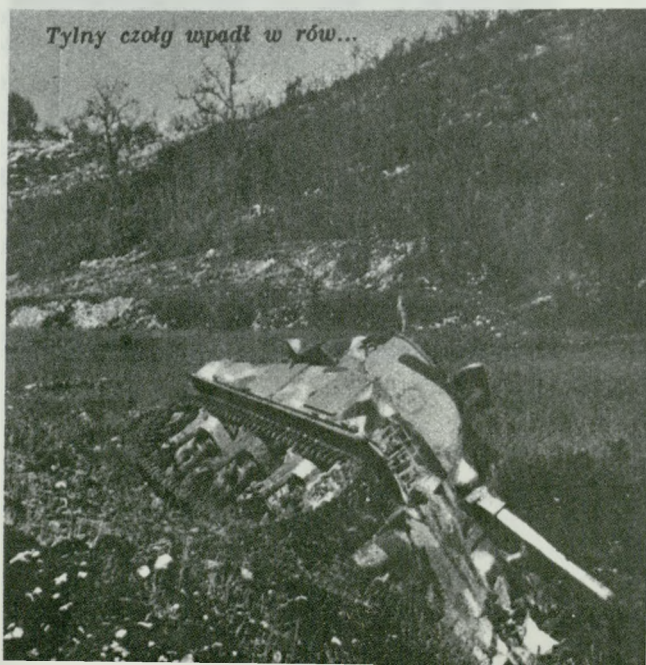
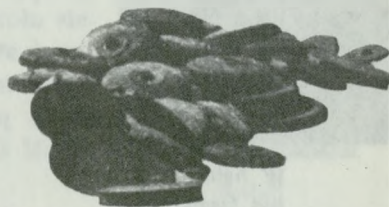
18. baonu idącego na Widmo. Przeszli oni już ogień, który zresztą nie przestaje nękać Drogi Saperów, niektórzy są tak pomęczeni, tak objuczeni, tak zszokowani, że nie usuwają się jadącym czołgom. Zabity dowódca 3. kompanii 15. baonu, por. Jurkowski (tyt. 83) leży na drodze. Czołg go miażdży. Nie ma czasu usuwać z drogi rannych i zmęczonych, kiedy każda minuta opóźnienia decyduje o życiu zdrowych i walczących. Potęgą ognia idzie w grupie kpt. Orłowskiego. Siedem dział rozbijających bunkry wejdzie tam, gdzie ani jednego działa nie ma, gdzie przeciw bunkrom stoją bezbronne piersi ludzkie.

O godzinie 2 minut 20, zamiast o godzinie 1 minut 30, jak przewidywał plan — stanęła grupa u pierwszej Gardzieli. Niekompletna. Bo już w dole dział przeciwpancernych nie puszczono z powodu natłoku. Jedną ze stojących bezczynnie sześćofuntówek rozbił pocisk. No, ale ma pięć dział — 3 na czołgach, 2 na ciągnikach.

...U pierwszej gardzieli do słuchawki na wozie dowodzenia podchodzi saper, plut. Biesiada i melduje, że droga jest zaminowana.

Mjr Witkowski, dowódca 3. kompanii, informuje: piechota 1. baonu się spóźniła, saperzy nie otrzymali osłony. Rozminowali dalsze sto metrów. Ranny por. Sziker i dwu saperów. Ciężko idzie... Nie ma mowy, aby przed świtem rozminowali drogę do drugiej gardzieli.

W tej chwili tylny czołg melduje, że wpadł w rów i jest unieruchomiony. W drugi czołg trafia pocisk artyleryjski i



Tylny czołg wpadł w rów...



rozbija mu silnik. Straciwszy działka przeciwpancerne, straciwszy dwa czołgi, nie mając rozminowanej drogi, kpt. Orłowski chce coś począć — rusza ostatnim czołgiem w przód i mina rozrywa mu gąsienicę.

Ostatni czołg por. Trejdosiewicza unieruchomiony... Załogi czołgów schodzą w dół Drogą Saperów, którą kryje gwałtowny ogień. „Czemu nie macie hełmów?” — „To nie fason, żeby czołgista w hełmie chodził”.

Zostały dwa niebożęta działa S-P. Bez osłony piechoty, na nierozminowanej drodze, mając pancierz tylko z boku, a górę otwartą, nie mając obstrzału, z zerwaną łącznością radiową — cóż zrobią? Garną się potulnie do boku i stoją.

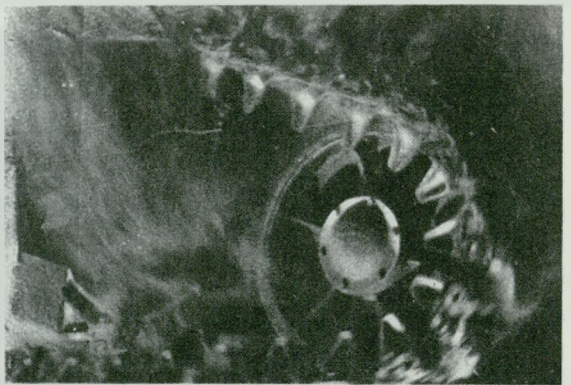
Kpt. Orłowski też schodzi w dół — szukać swoich p-panców.

Na wzgórzach naokoło już rozpoczyna się rzeź naszej piechoty...

Obyż prędzej przybyły nowe czołgi!



W hełmie  
nie fason!...





## (81) KOMPANIA POR. MUSIAŁA NIE MOŻE SFORSOWAĆ GARDZIELI

Kompania 4. rusza po trzeciej. Kompania postradała przed dziesięciu dniami przy luzowaniu por. Błaszczaka, a przedwczoraj został raniony jej dowódca kpt. Lenard (w D. Misce).

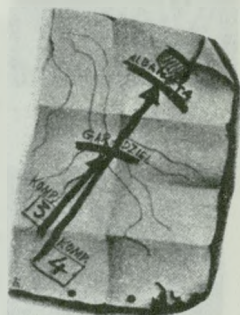
Dowództwo obejmuje por. Musiał. Odznaczony Krzyżem Walecznych za Tobruk. Słazak, inżynier łąkarz w cywilu. Wszystkim prowincjom Polski, wszystkim stanom i wszystkim zawodom zejść przyszło na krwawe rzemiosło.

Kompania miała zadanie przekroczyć kompanię 3. po opanowaniu przez nią „Gardzieli” i zdobyć M. Albanetę. Ma duży kawał drogi od linii startu — 500 metrów skałą i chaszczami. I ma mały stan — 77 żołnierzy. I rusza w czasie późniejszym od 3. kompanii, kiedy bestia niemiecka, zdreptała pod nawałą artyleryjską — już się zbudziła. Ledwo bowiem zdążyli zejść w dół i poczęli wspinać się na Głową Węża, złapała ich nawała zaporowa. Pada dwóch zabitych i dwunastu rannych. Żołnierz nie rozróżnia gwizdów dowódcy. Jedni zbyt często przypadają, inni wrywają naprzód. Odrywa się czoło około 20 ludzi, robi się luka około 50 metrów.

— Czoło, stać! — woła por. Musiał.

Ppor. Bernaś, przeskakując rannych na wąskiej ścieżce, biegnie do tyłu, aby podciągnąć 2. pluton.

Pocisk rozwała stację radiową, zabija niosącego kabel, rani radiotę i telefonistę. Por. Musiał nazajutrz mi mówił, że nie późniejsza krwawa kąpiel, nie późniejsze jego ranienie, nie rozbicie ostateczne kompanii, ale ta chwila była najcięższym przejściem. Kiedy młody dowódca nagle zostaje sam, bez łączności z batalionem, bez rozkazów, bez żadnej wiadomości, co dzieje się z białnymi kompaniami, z batalionem, brygadą, dywizją, Korpusem, z całą bitwą, kiedy jedynie ma w koło siebie ciemność, chaszczę, jęki i pociski. Zdawałoby się, że kompania już jest unicestwiona psychicznie. Według planu mieli wyjść na skłon, kiedy 593 z lewa i Widmo z prawa będą zajęte i te krzyżowe ognie zostaną stłumione. A tymczasem... O Matko Boża, jakież to ogień nieludzki!



Por. Musiał



Pchor. Sidorowicz



Strz. Bednarz



Strz. Hendzel



Kpr. Niemir



kpr. Regner

Znowu pada zabity i dalszych ośmiu rannych.

Por. Musiał dąży uparcie ku Gardzieli. Gardziel stoi milcząca pod dachem huków — orientują się, że nikogo w niej nie ma. Gwiazdy świecą ostro i natrętnie. Por. Musiał wie, że jest rozkaz wyraźny: kompania ma przejść Gardziel i zdobyć Albanetę. Więc kompania w składzie 55 ludzi podrapanych, pokaleczonych i szokowanych schodzi na ów garbek, który przedziela Gardziel od doliny Albanety, o który przez cały czas następnych walk będą się krwawić nasze czołgi i nasi saperzy. W czole idzie pluton ppor. Bernasia, po czym dowódca z pocztem.

Przeszli — już są na tamtej stronie — kiedy o 10 metrów przed sobą postyszeli *Hände hoch!* Mignęło w głowie, że to żołnierze Maślony. Przydzielony do kompanii 4. pionier Matjasik widzi wychylającą się zza krzaka o 20 kroków sylwetkę żołnierza. Waha się — może to swoi. Któryś z naszych rzuca granat świetlny. Granat padł za krótko, ale w jego świetle Matjasik rozróżnił Niemca. Strzela — Niemiec potoczył się w dół.

Ze strony niemieckiej poleciały granaty i poszła seria ze szmajsera. Pada zabity pchor. Sidorowicz i strzel. Bednarz, padają ranni strzelcy Szymański, Strumidło, Kopersztyński, Hendzel. Na placu pozostaje też dwóch zabitych i jeden ranny Niemiec.

Artyleria niemiecka niezwłocznie kładzie ogień zagradzający. W tym ogniu zostaje ranny por. Musiał pięciu odłamkami granatu. Ppor. Bernas opatruje dowódcę. Ranny por. Musiał wydaje rozkaz „w tył w lewo w skos”. Tam, na tym zboczu wąwozu Albanety będzie można doczekać się zapowiedzianych od Gardzieli czołgów, zajęcia na lewo 593 przez atakujący 2. baon, a na prawo wprost wzgórza 575 przez nacierającą Kresową dywizję. Cofają się grupkami. Prowadzi ś. p. kpr. Niemir.

Ppor. Bernas z dwoma strzelcami pomagają wspinać się rannemu dowódcy, półwspierając go, półciągnąc.

Ostatnia grupa ciągnie ciężko ranne go w nogę kpr. Regnera; wpada w pole potykaczy łączonych drucikami i godzinę kołuje.



Żałosny pochód natrafia na leżących rannych strzelców Maćkowa i Haruta. Są to żołnierze z plutonu ppor. Sroczyńskiego. A więc weszli na oś marszu 3. kompanii?

Kiedy ppor. Switalski (Krzyż Walecznych i *Military Med.* za Tobruk) dociąga — cicho już jest na pobojowisku i ciemno. Jest godzina trzecia po północy. Widzi sylwetkę leżącego w pozycji jak do strzału pchor. Sidorowicza.

— Czemu zatrzymaliście się? — pyta.

Ale Sidorowicz milczy. Ppor. Switalski pochyla się nad nim, dotyka — trup!... Przed nim tylko zabici Polacy i Niemcy (ranni się zwlekli). Łączność utracona. Wysyła więc pchor. Żurakowskiego z kpr. Biernatem i strzel. Maliszewskim. Ranny Maliszewski wraca sam, melduje, że Żurakowski i Biernat zabici — padli na leżące trupy czterech kolegów z kompanii Musiała, która przesunęła się tędy.

A więc jednak ci czterej zmarli są nitką do kłębka — ppor. Switalski wysyła po tej nitce patrol pod dowództwem ś. p. pchor. Braszczyńskiego.

Pchor. Braszczyński, jak się okazało, zboczył od linii marszu kompanii, z jakiegoś bunkra Niemiec rzucił w patrol granatem, zastrzelili go z tomsona. Wokół słychać jęki, przed jednym z bunkrów leżą dwa niemieckie trupy, w prawo jeszcze jeden Niemiec dogorywujący. Pchor. Braszczyński odszukuje trupy Żurakowskiego i Biernata, potwierdza się meldunek ранego Maliszewskiego — leżą przy zabitych kolegach, w których identyfikuje Bagińskiego, Rasińskiego i Dąbkowskiego. Polegli są zwęgleni, tleją na nich jeszcze mundury — zapewne zabił ich miotacz płomieni.

Pchor. Braszczyński wraca, zachrypłym głosem melduje, że w przodzie tylko jatk, że nie ma śladu ich kompanii, a natomiast drogę przegradzają czynne bunkry niemieckie.



Pchor. Żurakowski



kpr. Biernat



Pchor. Braszczyński



Strz. Rosiński



Por. Bernas

A więc to nie placówka, tylko linia nieprzyjacielska. Potwierdza to ogień — znów pada jeden zabity i jeden ranny.

Wówczas ppor. Switalski — nie wiedząc, że jego kompania poszła w lewo w skos i wymięła bunkry — decyduje — cofać się.

Ranny por. Musiał bierze trzech szeregowych, chce, odchodząc do lekarza, po drodze odszukać Maślone oraz swój pluton ppor. Switalskiego, który jako odwodowy szedł o 50 metrów z tyłu i stracił łączność.

Nad 14 ludźmi, którzy pozostali, por. Musiał oddaje komendę ppor. Bernasiowi, każe im wkopać się, a sam zamierza ewakuując się jako ranny, natrafić na Switalskiego i podciągnąć go.

Ale uszedłszy kilka kroków, ranny dowódca ślania się — nie może iść; to on tu zostanie dowodzić, niech Bernas (ranny pod Gazalą i odznaczony za tę bitwę Krzyżem Walecznych) pójdzie do tyłu ścigać Switalskiego.

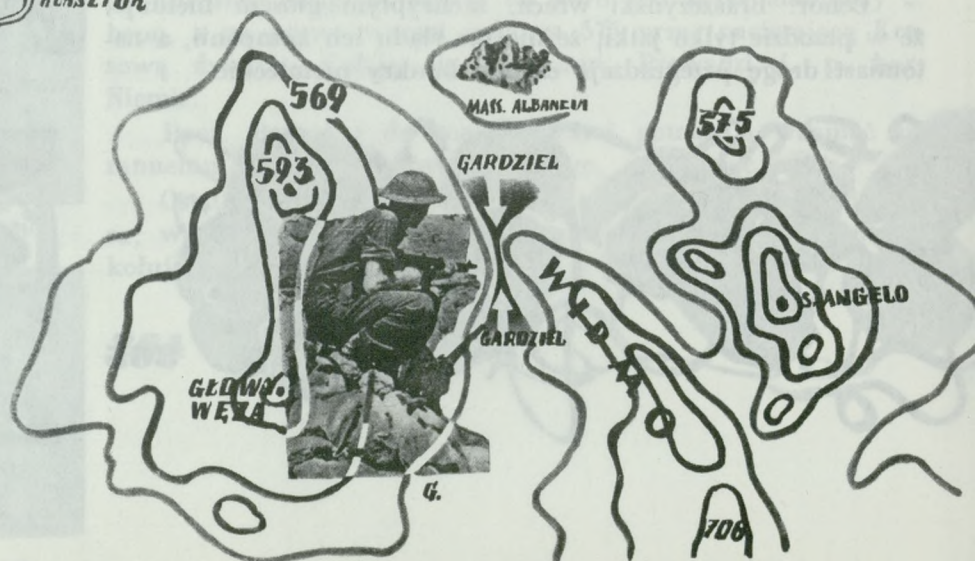
Uszedłszy kilkanaście kroków, ppor. Bernas natyka się na por. Szylińskiego, dowódcę plutonu odwodowego kompanii Maślony, od którego dowiaduje się, że Maślona jest przed nimi w górze na lewo w skos.

Dalej natyka się na pnącego się po ścieżce pchor. Marksa, który podąża za swoim plutonem por. Szylińskiego. Marks mówi, że słyszał klnącego ppor. Switalskiego, posuwającego się ze swymi ludźmi wzdłuż łaśmy w tył.

Ppor. Bernas idzie więc dalej, aż wychodzi na kpt. Kromkaya z resztkami jego kompanii.



KLASZTOR





## (82) TRAGICZNE DZIEJE KOMPANII KAPITANA KROMKAYA

A losy tej kompanii kpt. Kromkaya, do której przedziera się odbity od kompanii Musiała pluton ppor. Switalskiego, były krótkie i tragiczne.

Zanim kompanie Musiała i Maślony wyruszyły, obudzona nawała niemiecka przysłała na samo miejsce wyczekiwania. Trzy pociski padły w jedno miejsce. Krzyki „sanitariusz!” zmięsały się z jękami. Z punktu mieli dwóch zabitych i 18 rannych, z punktu ruszyli bez łączności między plutonami. Mimo to wszystko, mimo, że i radio i telefon zostały rozbite, kpt. Kromkay ponownie łączność radiową nawiązał i otrzymał rozkaz pozostać na Głowie Węża i zorganizować się obronnie.

Teren, w którym pozostaje kompania, są to niskie cierniste krzaki, nie mogące ukryć przesuwanego się żołnierza, rzucone skąpo na ogromne skaliste łysiny. Każdy ruch powoduje falę ognia. Kiedy ppor. Switalski dochodzi wreszcie, wszystkie najlepsze miejsca są już zajęte — z trudem znajduje dwa kamienie chroniące głowę.

Leżą jak przywarowani Huk armat sobie, a cisza sobie — każde słowo słysząc o 200 metrów. Leżą przysiękli do ziemi,



*kpt. Kromkay*





Strz. Miśka



Strz. Jaje



Strz. Babisz



Strz. Bilski



Strz. Sliwa



w ciszy. Z owych dwunastu Switalskiego, którzy doszli, do godziny 16 w ciągu długiego dnia bezsilnego przywierania się do ziemi zostaje zabity pchor. Braszczyński, strzel. Miśka (z Legii Cudzoziemskiej, odznaczony Krzyżem Walecznych), ranni strzelcy Jaje, Topolski, Babisz, Bilski. Z ludźmi Kromkaya jest najlepiej, w ciągu tych siedmiu bezsilnych godzin zabitych zostaje pięciu i 24 rannych.

A ogień trwa...

Nad ppor. Switalskim na wysokości 2 metrów siedzi wdrażony w skałę kpt. Kromkay. Radiotelegrafista przy nim. Na skale nad nim żołnierz ppor. Switalskiego, Sliwa. Na lewo o kilka kroków strzel. Chomiuk.

Pocisk trafia w skałę pod Sliwą nad głową kpt. Kromkaya. Sliwa, wielkim łukiem wyrzucony w górę, spada zabity. Chomiukowi wyrwało elkaem z łożyska.

Rozszedł się dym — na miejscu, gdzie leżał Kromkay — ogromny zwal kamieni. Obok wije się ranny radiotelegrafista. Z gruzów sterczy wyciągnięta dłoń Kromkaya — jakaś ostatnia komenda.

Tak zginął urodzony w Stanach Zjednoczonych, pchor. służby stałej — z tych, których rozkaz nominacyjny z 1 września nie doszedł — kpt. Kromkay. Węgry. Tobruk — Krzyż Walecznych. Szkoła Wojenna w Haifie. Narzeczona w Polsce. Testamentem kazał listy spalić, rzeczy rozdać kolegom, ubrania — gońcowi. Nic po nim nie ma — tylko ręka, która sterczy z gruzów.

Ppor. Switalski woła do ś. p. ppor. Beresia:

— Wacuś, obejmij dowództwo.

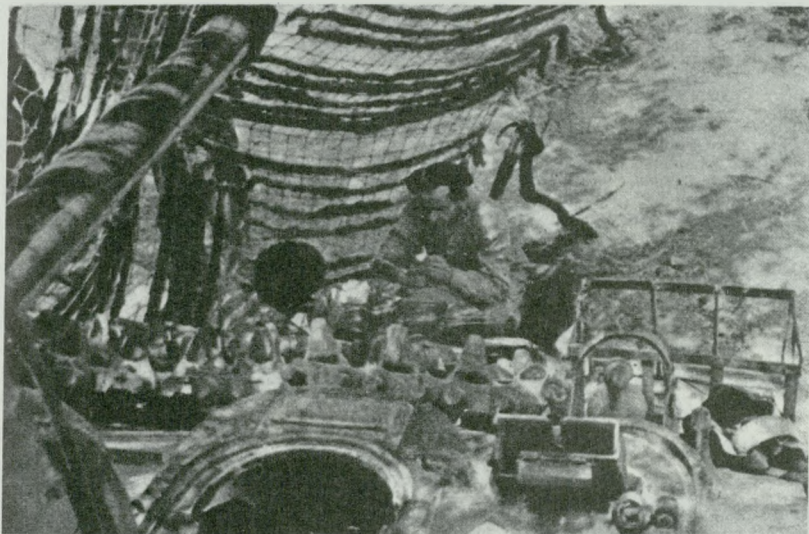
Ppor. Beres (nagrodzony jako pchor. Krzyżem Walecznych w Tobruku) — ostatni oficer 2. kompanii Kromkaya — obejmuje komendę (następnego dnia zostaje zabity w D. Misce).

Nowy dowódca usiłuje połączyć się z baonem. Ranny radiotelegrafista usiłuje wykonać rozkaz na próżno — radiostacja uszkodzona. Trzeba by wysłać gońca do schronu dowódcy. Ale to śmiertelne ryzyko poderwać kogokolwiek na tej łysinie.

Ppor. Czulk, dowódca pionierów baonowych, podejmuje się tego zadania, prowadząc równocześnie rannego radiotelegrafistę.



## (83) ŚWIEŻE CZOŁGI DAŻĄ Z POMOCĄ



*Dca Pułku 4. Panc.  
pptk Gliński*

Czołgi stacjonowały w St. Michele, o 9 kilometrów od wjazdu na Drogę Polskich Saperów. Na tej wąskiej przestrzeni walki, gdzie każdy skrywający załomek terenu był wykorzystany — udało się zamagazynować tylko owe trzy czołgi grupy kpt. Orłowskiego w Car-Parcu, które wiemy już, że są zniszczone. Dalej była płaszczyna rzeki Rapido pod ciągłym ogniem, tak, że dopiero za postój obrano St. Michele.

*Czołgi w St. Michele,  
maskowane tylko  
od strony Klasztoru*



*Pchor. Dzieciotowski, popularny „Kuba”, dwójcy się i trojcy przy wprowadzaniu czołgów*



Z St. Michele nie pchnięto czołgów wcześniej aż się poczęła nawalać artyleryjska — w jej huku spodziewano się zgłuszyć warkot motorów.

A jednak ledwo się ruszyli, spotyka ich piekło ognia. Pociski biją przed czołgami, za czołgami, spod czołgów. Swiece dymne kopcą ze wszystkich sił, ale co to pomaga — Niemcy wszak tu długie czasy byli gospodarzami, znają każdy zakątek, wstrzelani są w każdy cal drogi.

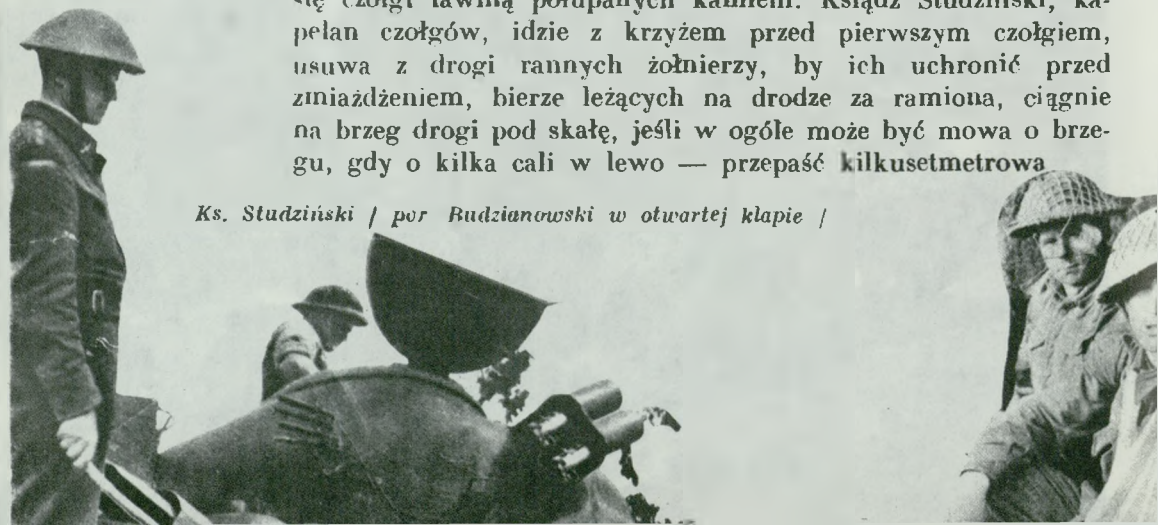
Wiele tam pociski czołgom zrobić nie mogą — ale trzeba się strzec lejów i osunąć drogi. A tu dym, noc i słupy gęstego pyłu, wznoszącego się spod taśm, każą jechać absolutnie po omacku

Nie bacząc na własne niebezpieczeństwo dowódcy czołgów pootwierali kłapy, wysunęli się z wieżyc, usiłując prowadzić. Mimo to dwa czołgi zawalają się do rowów i zostają — jak żółwie położone na pancierzach.

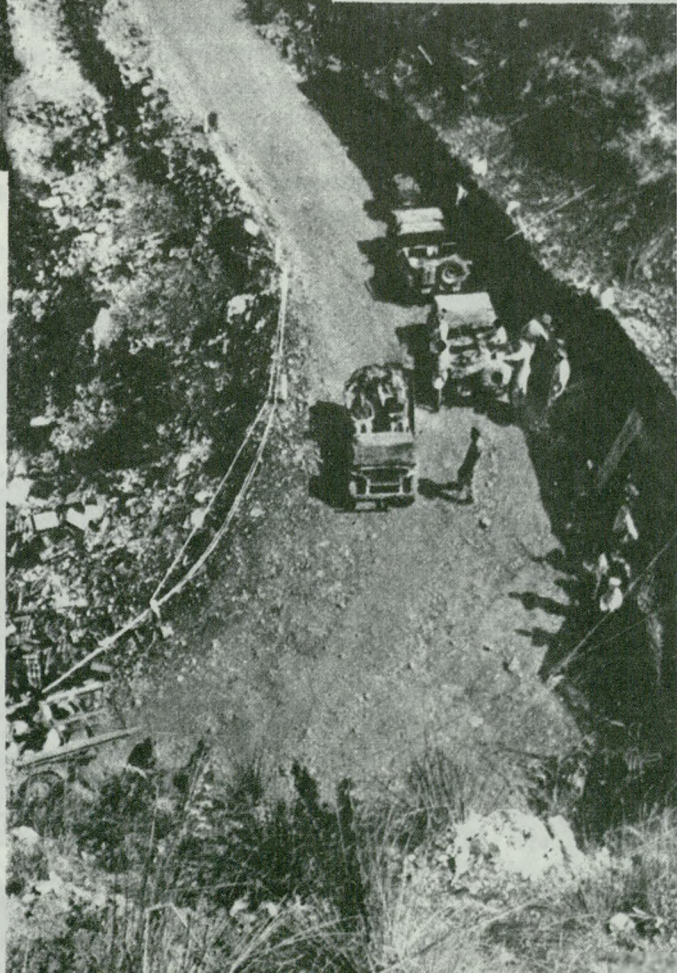
Idący w czole 3. szwadron wydziela pluton ppor. Kochanowskiego do dyspozycji Kresowej dywizji, pluton ś. p. ppor. Bessera do dyspozycji 6. brygady. W ten sposób odeszło 6 czołgów, dwa zostały w rowie — cztery pozostałe czołgi szwadronu poczynają się piąć Drogą Polskich Saperów.

Wiedzą Niemcy, że jest to jedyna arteria, którą płyną wojska. Droga Polskich Saperów jest przetłoczona ponad wszelką możliwość — mimo powykuwane w ścianie skalnej mijanki mimo skrzętnie wypracowany plan ruchu i posterunki, mimo napięcie dobrej woli, koleżeństwa i pomocy jakie w chwili niebezpieczeństwa tak wspaniale łączy ludzi. Na mijankach stoją w trzy rzędy — czołg-muł-łazik. Telefony z punktów kontrolnych chrypią, starając się wstrzymać ruch na posterunku wyżej lub niżej. Pociski armatnie wałają w tę drogę — dobijają znośnych i zwożonych rannych, obsypują windujące się czołgi lawiną potupanych kamieni. Ksiądz Studziński, kapelan czołgów, idzie z krzyżem przed pierwszym czołgiem, usuwa z drogi rannych żołnierzy, by ich uchronić przed zniażdżeniem, bierze leżących na drodze za ramiona, ciągnie na brzeg drogi pod skałę, jeśli w ogóle może być mowa o brzegu, gdy o kilka cali w lewo — przepaść kilkusetmetrowa

*Ks. Studziński / por Budzianowski w otwartej klapie /*







DROGA  
CA VENDISH





Strz. Juchniewicz



Ppor. Kranas

Sapiące czołgi windują się jak dobre ciężkie zwierzęta. Żołnierze patrzą na nie z otuchą. Kierowcy — są cali w słuchu, we wzroku, w refleksach nerwów. Głośniki są otwarte i czujne. Słychać w nich nagle: — „Nie jedźcie! Za późno!...” Czy ulegają przywidzeniu, jak legendarni bohaterowie posuwający się w noc św. Jana w gąszcz puszczy? Akurat — świełiki — wielkie jarzące, zataczają elipsy dookoła. Ale to nie złudzenie — to Niemcy wdarli się w sieć.

Część wozów szwadronu 2., podążającego za 3., w pyłe, w gwałcie, w dymie, w strzałach, przeoczyła posterunek R. R. u wjazdu na Drogę Saperów i wparta się — wąską drogą. wraz z przeciwpancernymi siedemnastofuntówkami — aż pod miasteczko Cairo, gdzie rozpoczynały się stanowiska ubezpieczających prawe skrzydło polskiego natarcia Nowozelandczyków. Wycofywanie zabrało długie godziny.

Pozostałe czołgi 2. szwadronu szły w ślad za trzecim. Droga Saperów była coraz makabryczniejsza. Każdy czołg włókł za sobą jakby drugi czołg — a to była góra pozrywanych kabli, bezlitosne niszczenie pracy naszych łącznościowców.

Nerwy załóg napięte są do ostateczności; posuwanie się graniczy z akrobatyką; strzel. Juchniewicz wyskoczył, aby prowadzić wóz i padł ranny.

Czołg por. Kranasa wpartł się w ścianę na ostrym zakręcie, nie wycyrklowawszy wirażu wykuwanego raczej na łąziki; przecież nawet lekkie półciężarówki 10 C. W. T. tu nie chodziły.







Czołg cofać się nie może — zleci w przepaść. Posterunek R.R. u góry wstrzymuje ewakuację rannych. Gdzieś w górze pęcznieje coraz bardziej krwawa masa. Idą kwadranse — bezradne... Ręce kierowcy drżą, trzymając wysiłkiem czołg na hamulcach nad przepaścią. Posterunek dzwoni wyżej — o pozwolenie zrzucenia w przepaść. Brygada, a potem nawet dywizja — się nie zgadza. Oni tam w sztabie wiedzą, jak ginie piechota, że Niemcy ostali się w bunkrach, że je może rozbić tylko czołg; oni tam w sztabie znają tę siłę ognia, którą im chce strącić w przepaść posterunek R. R.

Odmierzają się kwadranse i półgodziny; drżą ręce zaparte na hamulcach; pęcznieje krwawym tłumem góra drogi; chrzęści bezsilnie zatamowanym dopływem posiłków dół.

Po dwu godzinach załoga dostaje rozkaz — zwalić czołg w przepaść.

Przepaść tuż; zwolnić hamulce — i czołg niezwłocznie runie; ażeby zwolnić hamulce, należy być w czołgu...

Kierowca Nowak drży z wysiłku — odmawia.

Kpr. Zarnowiecki, jego pomocnik — też.

Strzel. Rodziewicz przymierzał się — nie daje rady.

Wówczas zgłasza się radiooperator Jankowski.

Na dnie niezgłębionym — trzysta metrów w dół — uprzedzeni moździerzowcy chowają się gdzie kto może; ruszył Jankowski hamulce, posunął się czołg, zaparli obecni dech, wy-



*Kpr. Zarnowiecki*



*Strz. Rodziewicz*



*Strz. Jankowski*





□ □ - stracone czołgi  
○ - odłupana wieża



skoczył chłopak na samym skraju, poleciał koziotkując czołg w dół, o dwieście metrów niżej odłupała się od niego wieżyca, jak kiedy odłupie się w samochodziku z papier maché karoseria — zleciał sam czołg dalej — na samo dno i latami go pewno, wielkiego jak pudełko od zapalek, będą oglądać ciekawo turyści.

Dowódca szwadronu, kpt. Drelicharz, zasałował spadający czołg:

— Zapłać za wszystko te s... syny — powiedział przez zaciśnięte zęby.

Zagrały znów moździerze w jamę, ruszył krwawy pochód w dół, ruszył chrząstny — w górę.

Ostatni czołg strącił przed strumieniem w przepaść ciągnik siedemnastofuntówki — przejechało pancerne bractwo; daj im Boże!

A tymczasem tam w górze, szwadron 3., a raczej jego cztery czołgi, które się wdrapały, szedł do akcji.

Jadą co 50 metrów — pierwszy — czołg ppor. Białeckiego, drugi — plut. Usłowski, trzeci — dowódca szwadronu, kpt. Dzieńciołowski, czwarty — ppor. Fajta.

Daj im Boże!...



## (84) W SCHRONIE DOWÓDCY BATALIONU

Tymczasem ppłk Raczkowski, dowodzący w schronie, którego maskowanie paliło się w czasie akcji (w tym byłym schronie niemieckiego generała) — nie może sobie w ciągu całej tej nocy wyrobić pojęcia o walce swego batalionu i o stanie, w jakim znajdują się poszczególne kompanie.



*Dea 1 BS., ppłk Raczkowski, i mjr Hac przed schronem dowodzenia*

Dowódca baonu początkowo dowodzi w schronie — tam jest miejsce postoju, po zdobyciu Gardzieli ma przejść na przygotowany punkt obserwacyjny — w pobliże Gardzieli, skąd widać Albanetę.

Kompanie dołączyły swoje telefony, bo tam jest również centrala telefoniczna — czekają na podstawach wyjściowych na swoją godzinę, ustaloną do wyruszenia. Do godziny 23.00 względna cisza. Schron ten w poprzednich walkach był schronem generała niemieckiego. Miał opinię dobrego schronu — kiedy mu się dobrze przypatrzone, stwierdzono, że w niektórych miejscach prześwitywał na wylot, a więc nie był zbyt silnym schronem — zresztą, jak się po paru dniach okazało, jeden pocisk celny zawałił go. Zaświecono dwie lampy,



bo światła były potrzebne — nie wiedząc o tym, że w niektórych miejscach prześwituje i nieprzyjaciel doskonale go widzi.

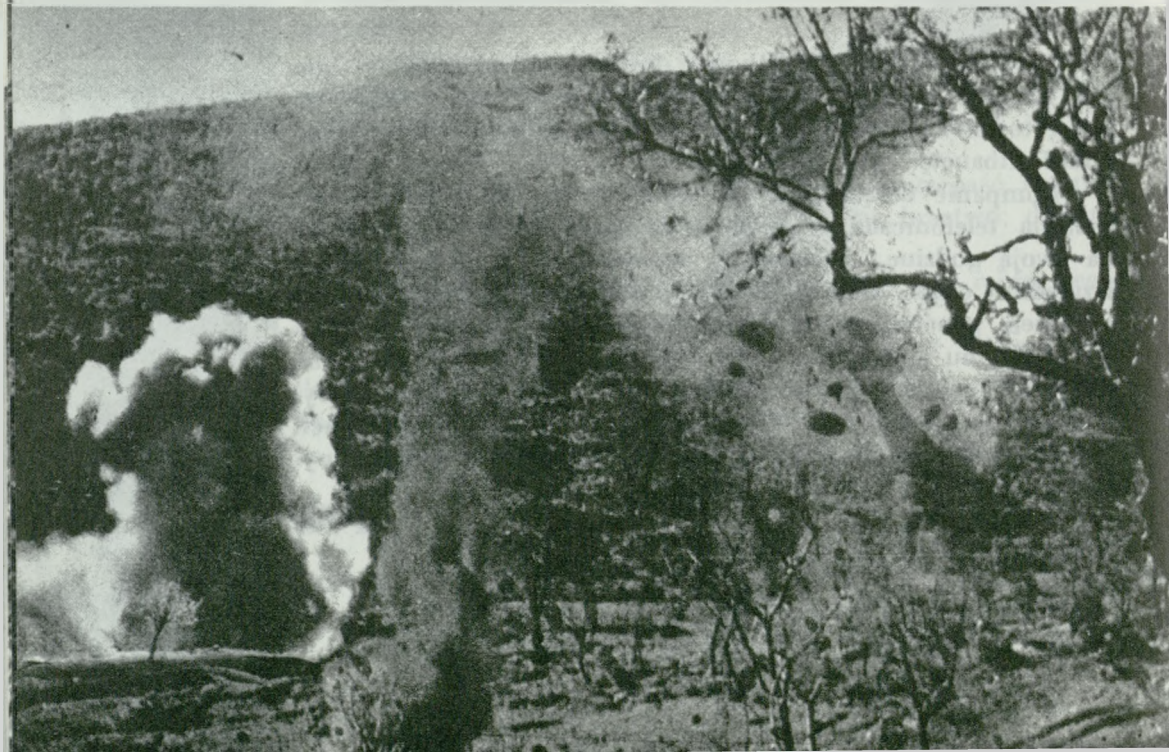
O godzinie 23.00 rozpoczął się huraganowy ogień własnej artylerii i zdawało się, że Niemcy w ogóle się nie odezwą.

Dowódca baonu, choć doświadczony żołnierz, nie spodziewał się takiej reakcji artylerii nieprzyjaciela, z jaką się spotkało po 30 minutach, tj. o godzinie 23.30.

Zrobiło się piekło — trudne do opisania — Mała Miska może być do piekła porównana — nie było w niej jedynie smoty — ogień był. Rozmowa w schronie była niemożliwa — należało krzyczeć. Pierwsze meldunki dochodzą do dowódcy baonu — kompanie ponoszą straty od ognia artylerii ciężkiej nieprzyjaciela — stany topnieją — kompania trzecia rusza — kompania 4. rusza, kompania 2. posuwa się na zbocza Głowy Węża — kompania 2. ma duże straty — dwóch dowódców plutonu rannych — są zabici. „Łączność się rwie” — meldują dowódcy kompanii — przechodząc obok schronu dowódcy baonu.

Według z góry ułożonego planu wszystko rusza — brak dotychczas wiadomości o 4. kompanii.

Ogień nieprzyjaciela przechodzi w huragan — nie słychać pojedynczych wybuchów. Łączność naprawiona rwie się





ponownie — dowódca plutonu łączności wysłała nowe patrole do naprawy łączności — naprawiają na chwilę — łączności znów nie ma — coraz to inni łącznościowcy wracają z meldunkami zbroczeni krwią — ranni — kolega zabity — idą następni — w końcu pluton łączności wyczerpał się, nie ma ludzi zdolnych do pracy — pozostał dowódca plutonu łączności, który nadludzkim wysiłkiem uzyskuje od czasu do czasu na krótko łączność. Łączność, która jest podstawą — bez niej nie można walki przeprowadzić — poświęciła się — poniosła 60% strat w ludziach i 90% w sprzęcie. Pomagają w nawiązaniu łączności artylerzyści i moździerzyści — jednak bez większych skutków — pozostał jedynie ten najwięcej prymitywny środek łączności, goniec pieszy. Tym środkiem posługuje się dowódca baonu — dowódcy kompanii — najlepszy i najodważniejszy goniec w baonie zostaje ciężko ranny w nogę — pełnią służbę gońców również oficerowie.

Napięcie walki przechodzi wszystko — dowódcy i żołnierze w tym piekle dają z siebie największy wysiłek — na jaki stać człowieka — człowieka o wybitnej odwadze i poświęceniu — nawet ranni pozostają na miejscu, by czymś do końca przyczynić się do zwycięstwa.

W schronie rozmawiać nie można — trzeba krzyczeć, bo obok kotłowniska pocisków artylerii nieprzyjaciela — nieprzyjaciel chce zniszczyć schron, ten nerw walki — przypuszcza, jest prawie pewny, że tam jest dowództwo. Lamy od wybuchu pocisków pogasły — jest ciemno i teraz wszyscy stwierdzają, że schron rzeczywiście prześwieca i nie jest taki mocny, jak się zdawało.

Dowódca baonu zdaje sobie sprawę z tego, że położenie jest ciężkie — że kompanie poniosły duże straty, że wprowadzić część bunkrów nieprzyjaciela zdobyto — jednak nie ma siły do dalszego natarcia — wie, że czołgi doszły do Gardzieli i tam zostały unieruchomione — jeden się spalił — jeden wyleciał na minie, a jeden się wyrócił. Wie poza tym, że brak styczności z natarciem sąsiada na Widmo. Decyzja jest ciężka — nakazuje pozostać na miejscu — okopać się i utrzymać zdobyte stanowiska do dalszych rozkazów. Dowódca baonu melduje dowódcy brygady, a właściwie zastępcy, gdyż dowódca brygady został ranny — że położenie jest ciężkie — że są



poważne straty, że zadania wykonać nie można — że Gardziel częściowo opanowana — dalsze natarcie niemożliwe — nie ma z czym. Baon pozostaje jednak na dotychczasowych stanowiskach — okopuje się — kompania 3. w lewo od Gardzieli, 100 metrów na jej wysokości — kompania 4., w prawo w tyle od kompanii 3. grupa wsparcia por. Popielasa, na lewo od kompanii 3. — kompania 2. w tyle w odwodzie na zboczach Głowy Weża.

Przeżycia dowódcy baonu w okresie tej walki są bardzo ciężkie. Nie idzie wszystko gładko, jak przewidywały plany — wymaga się od niego dużej wytrzymałości nerwowej i samozaparcia.

Plut. Choma, w cywili inspektor szkolny, tak opowiadał w kilka dni po pierwszym natarciu o tym, co się działo w schronie:

„Minęła straszna, koszmarna noc z 11 na 12 maja 1944.



Plut. Choma



Ciężkie moździerze i artyleria niemiecka poza ogniem nę-  
kającym zasypywała nas częstymi nawałami. Znajdowaliśmy  
się obok ścieżki, którą mogły dochodzić do nas posiłki i  
dlatego byliśmy pod ciągłym ogniem. Zdawało się, że każdy  
następny pocisk trafi nasz marny schron i aż dziwnie nam  
było, że to jeszcze nie nastąpiło. Rozbili schron sąsiedni, nasz  
zapalili, ale przecież jeszcze trwaliśmy.

Z nastaniem dnia odchyłono zastłonę u wejścia i w ten  
sposób zwiększono dopływ powietrza, ale i tak warunki pod  
tym względem były okropne. W pomieszczeniu przewidzianym  
dla 8 ludzi przebywało 12 zdrowych, a na ziemi jęczało  
8 rannych. Wszyscy zdawali sobie sprawę z powagi sytuacji.  
Myślano zapewne i o własnym bezpieczeństwie, ale przecież  
na pierwszy plan wysuwała się troska o powodzenie akcji  
bojowej baonu.

Najważniejszym było to, że nie zdołano nawiązać stałego  
połączenia z nacierającymi kompaniami. Wiadomości otrzy-  
mywane pośrednio były nieścisłe, a czasami sprzeczne.  
Łączność drutowa została zerwana jeszcze około godziny 1  
w nocy i mimo krwawych wysiłków naszego plutonu łączności,  
nie zdołano jej przywrócić. Łączność radiowa z niektórymi  
kompaniami nie istniała z powodu rozbicia radiostacji kom-  
panijnych, wysyłani gońcy nie wracali, a bezpośrednia obserwa-  
cja była bardzo utrudniona, ponieważ teren był zarośnięty  
krzakami. Uniemożliwiał ją również nieustanny ogień.

Dowódca postanowił znowu wysłać gońca, choć rozumiał,  
że przy świetle dziennym, w trudnym terenie małe są szanse  
by gońcowi udało się dotrzeć do poszczególnych kompanii.  
Nie było jednak innego wyjścia i nawet w tej sytuacji nie  
można było trwać bezczynnie. Goniec musiał pójść,  
chodziło tylko o to, kto nim będzie i którądy winien zdążyć,  
aby nie być za szybko spostrzeżonym przez nieprzyjaciela.

Taka była sytuacja w schronie dowódcy baonu, gdy w  
pewnym momencie, wśród trzasku i huku usłyszeliśmy  
wołanie człowieka. W pierwszej chwili sądziliśmy, że to któryś  
z rannych wzywa pomocy, ale wkrótce doszło nas wyraźne  
wołanie: „goniec do dowódcy baonu, goniec do dowódcy  
baonu”.

Zapomnieliśmy o wszystkim, ucho nasze nastawione na



uchwycenie słowa, z którego treścią tyle wiązaliśmy nadziei, nie rozróżniało już innych dźwięków. Z bijącym sercem wycieżaliśmy słuch, czy między jednym a drugim wybuchem dojdzie nas jeszcze wołanie gońca. Czy dojdzie? Za dobrą odpowiedź dalibyśmy wiele, bardzo wiele. Chodziło nie tylko o życie człowieka, ale i o to, że ten goniec przyniesie na pewno tak oczekiwane wiadomości. Na ich podstawie dowódca baonu będzie mógł powziąć decyzję dalszego postępowania.

Każdy trzask, każda chwila ciszy wzmagała lub niweczyła nasze nadzieje. Sekundy wydawały się godzinami. Wreszcie wołanie: „Goniec do dowódcy 1. baonu” rozległo się tuż obok schronu i młody strzelec spocony i zaczerwieniony ze zmęczenia wszedł do jego wnętrza. W sposób regulaminowy zameldował, że przychodzi jako goniec od dowódcy 4. kompanii por. Musiała. Nigdy nie zapomnę momentu, gdy z zapartym oddechem słuchałem przerywanych słów meldunku: „Panie pułkowniku, strzelec Nosarzewski melduje się jako goniec por. Musiała. Por. Musiał znajduje się... — na zbo... zboczu... naprzeciw „Gniazda”... tam my jesteśmy... Chce... posuwać... się znowu do... Gardzieli..., ale... silny ogień... Czy... tam jest por. Maślona bo o tym... nie wiemy dokładnie... Biją na... nas moździerz... tak moździerz i artyleria... i szpadały także. Przyczailiśmy się w kamieniach, może wytrzymamy... Por. Musiał prosi o rozkazy... co dalej i co tu słysać”.

Czy potrzeba opisywać co działo się w naszych myślach, w sercu w tej chwili. Po złożeniu meldunku goniec wyjaśnia, że właściwie jest z innego baonu, ale ich placówka znajduje się obok stanowisk 4. kompanii. Wobec tego, że dwóch wystanych przez por. Musiała gońców dotychczas nie powróciło on, jako dobrze znający drogę, postanowił pójść.

Chłopak mówił i opowiadał zupełnie przytomnie, choć widać było po nim wielkie zmęczenie fizyczne. Swój meldunek powtórzył jeszcze raz i czekał na dalsze rozkazy. Podsunęto mu bańkę od wody, na której usiadł. Patrzyliśmy na niego z podziwem i wdzięcznością. Przyniósł nam przecież oczekiwane wiadomości. Dowiedzieliśmy się, że kompania, choć mocno wyszczerbiona, istnieje, zajęła stanowiska i pozostaje w obronie, nie opuszcza tego, co z takim trudem zdobyła.



Oczekują pomocy i mają nadzieję, że będą mogli dalej nacierać.

Były jeszcze inne powody naszej wdzięczności. Oto od wczorajszej nocy nikt jeszcze tak przytomnie nie odpowiadał. Po błędnych oczach rannych, którzy ostatkiem sił przywlekli się do naszego schronu, po widoku ludzi opanowanych szokiem nerwowym — z jaką przyjemnością, z jaką rozkoszą patrzyliśmy na te spokojne, ba, uśmiechnięte oczy. Nie mówił o strasznych rzeczach, które przeszedł i widział. Wiedzieliśmy, jak ciężką przebył drogę, słyszeliśmy serie moździerzy, których pociski wybuchały na jego drodze, zdawaliśmy sobie sprawę, jak ogromnym dystansem jest w tych warunkach odległość 800 metrów. Ten chłopak ani słowem więcej, niż było konieczne, nie mówił o tym, jak do niego strzelano.

Patrzyliśmy na niego bez słowa. Młody i czerstwy, typowy, dorodny, polski piechur. Wyglądał jak na ćwiczeniach, w całkowitym oporządzeniu i uzbrojeniu. Niczego nie uronił dla ulżenia sobie. W tej chwili był dla nas pod każdym względem najlepszy. Nawet smugi brudnego potu zdawały się dodawać piękna jego twarzy. Zdawało mi się wtedy, że na żadnym obrazie nie widziałem niczego doskonalszego. Rozumiem swój ówczesny stan, ale wtedy, gdy patrzyłem, takim go widziałem i takim pozostanie na zawsze w mojej pamięci.

Siedział na bańce i wyjmował papierosa. Dziwne, że miał „V” bo przecież otrzymaliśmy już lepsze sorty tytoniowe. Za późno zorientowaliśmy się, że wypadało go ugościć lepszym papierosem, czy choć łykiem wody. Chcieliśmy to uczynić teraz. Goniec podziękował. Przecie już pali, wody zaś ma jeszcze trochę w mianierce, a przecież tu są ranni. Nigdy nie daruję sobie tego, że nie pomyślałem o papierosach, miałem przecież w kieszeni paczkę amerykańskich „Chesterfield'ów”. Proszono, aby wziął dodatkowo. Po co, przecież ma, a potem nie wiadomo.

Prowadzimy półgłosem rozmowę. Chłopak ucieszył się, poznając w jednym z obecnych oficerów swego byłego dowódcę kompanii. Dowiaduję się, że pochodzi z Łomży, nazywa się Noszarzewski. Dyskretnie stawianymi pytaniami staramy się wydobyć z niego, w jaki sposób zdołał cało do nas dotrzeć. Mówi, że był na placówce od wczorajszego wieczoru, więc

nie bardzo się zmęczył. Teraz po drodze był właściwie przez całą trasę ostrzeliwany. Widocznie obserwator nieprzyjacielski go zauważył, bo prowadził go przez całe zbocze i „Małą Miskę”. Na szczęście w czas padał w naturalnych zagłębieniach, strzały były niecelne i jakoś nic mu się nie stało. Teraz układa sobie jak będzie wracał. W planie ustala długość skoków, chce wykorzystać ile się tylko da nierówności terenu. Nieco wypoczął i widać, że jest zadowolony; cieszy go uznanie obecnych.

Przygotowano rozkaz.

Dowódca patrzy na gońca z widocznym wzruszeniem. Zwraca mu uwagę, że gdyby nawet co przydarzyło się w drodze, rozkaz nie może dostać się do rąk nieprzyjaciela. Dla pewności zapoznaje go z treścią rozkazu, aby wiedział co ewentualnie ma powtórzyć por. Musiałowi, w wypadku gdyby przedtem zmuszony był rozkaz pisemny zniszczyć. Goniec zapewnia dowódcę, że rozkaz doniesie, chyba by nie doszedł, ale i tak nigdy go nie odda nikomu niepowołanemu. Dlaczego jednak nie miałyby dojść? Przecież drogę zna doskonale, a siebie nie pożałuje. Wie, że tam na niego czekają.

— Panie pułkowniku, strzelec Nosarzewski melduje swoje odejście.

Trzeba było jednak przeczekać, aż nastąpi chwila względnego spokoju lub ogień przeniesie się na przeciwny brzeg „Miski”, aby goniec mógł wyskoczyć i nie był przychwycony zaraz na samym początku. Dalej było już nieco bezpieczniej. Gdy taka chwila nastąpiła goniec szybko wyskoczył ze schronu. Nie widzieliśmy go, bo przestoniły go krzaki. Wstrzymaliśmy oddech. Zauważyli go, czy też udało mu się wyjść niespostrzeżenie? Żeby mógł ubiec od nas choć kilkadziesiąt kroków. Mijają sekundy, może już minuta upłynęła, gdy seria pocisków moździerzowych padła koło nas. Goniec mógł być w tej chwili o jakie 150 metrów dalej. Rzuciło na nas kamieniami, ale po raz pierwszy od wczoraj przyjęliśmy to jako coś dobrego, prawie pożądanego. Lepiej, że padły koło nas, niż miałyby paść dalej, ale na gońca.

Skoro tym razem uszedł może i dalej będzie miał szczęście. Mamy prawo mieć nadzieję, że dotrze do kompanii, doniesie rozkaz, a przez to poprawi się nasza sytuacja. Tu przyznać



trzeba, że choć leżała nam na sercu przede wszystkim sytuacja baonu, to jednak radowała nas myśl, że chłopak jeszcze żyje, a jego brawurowy wyczyn do tej pory udaje się. Była wtedy godzina 8 minut 55.

Od tego czasu odnieśliśmy wiele potężnych wrażeń. Były momenty, że zdawało się nam, iż wszystko kończy się, ale i wtedy nie opuszczała nas troska, co dzieje się z gońcem, czy żyje, czy doręczył rozkaz.

Tak minęła jedna godzina, a następna dobiegała końca, gdy zameldował się Czer., kapral z 4. kompanii.

Czułem, że wszystka krew ucieka mi do serca. Zrobiło mi się zimno. Kpr. Czer. trzymał w rękę papieraek, który przedtem dano gońcowi Nosarzewskiemu. Ten sam zwitek, charakterystycznie ściśnięty palcami po zwinięciu na ołówku. Tak dziwnie cicho zrobiło się. Rozkaz nie dotarł, goniec zapewne zabity.

— Co to znaczy? — pytał zmienionym głosem ppłk R.

Już kilka początkowych zdań kpr. Czer. uspokoiło nas. Goniec Nosarzewski nie zginął, żyje. Z napięciem słuchamy, co mówi Czer. Widział, że od strony, gdzie przed godziną była kompania biegnie jakiś żołnierz, kryjąc się przed pociskami. W pewnej chwili padł i nie podnosił się. Kapral przyczołgał się do leżącego i tu stwierdził, że żołnierz ten nie jest ani zabity ani ranny, lecz zemdłał. Przywrócony do przytomności, powiedział, że z rozkazem dotarł tam, gdzie rano zostawił 4. kompanię, ale już jej na dawnym miejscu nie zastał. Leżało tam ośmiu rannych i jeden zabity. Ranni powiedzieli mu, że por. Musiał przesunął kompanię dalej, aby nie być celem moździerzy i szpandałów niemieckich. Nosarzewski czynił starania, aby odszukać kompanię, a widząc, że mu się to nie udaje, postanowił przynajmniej zawiadomić dowódcę baonu o tym. Te poszukiwania w piekielnych warunkach spowodowały, że Nosarzewski nie miał już sił, a goniąc ich ostatkiem — zemdłał. Rozkaz jednak trzymał w zaciśniętej kurczowo ręce.

Tą drogą doszedł rozkaz do por. Musiała, a kpr. Czer. przynosząc dalsze wiadomości meldował otrzymanie poprzedniego rozkazu.

Odetchnęliśmy z ulgą. W chwili, gdy się to wszystko

działo, nie było czasu i warunków na analizowanie i ocenianie czynu gońca Nosarzewskiego. Nie można było dłużej o tym mówić, czy myśleć, ale w bardzo ciężkich chwilach człowiek myśli dziwnie jasnymi skrótami. Wtedy myśli są zdecydowane, bez wątpliwości. Mnie przyszła na myśl postać gońca z „Warszawianki”. Tamten to wyidealizowany symbol, ten to żywy i prawdziwy żołnierz.

Olszynka — Monte Cassino \*).

Około godziny 10.00 — 11.00 dwóch strzelców gońców z kompanii 3. przyniosło meldunek pisemny — w którym dowódca kompanii podaje swoje położenie. Gdy wracali z powrotem z rozkazem pisemnym dowódcy baonu, nakazującym okopać się na tych stanowiskach — jeden z nich został ranny; zaopatrzywszy rannego kolegę, pozostawił go na miejscu. meldunek odniósł do dowódcy kompanii, po czym wrócił do rannego i wywakuował go dalej do punktu opatrunkowego; wszystko to w silnym ogniu artylerii i moździerzy.

Kiedy brakło gońców, kiedy walka stawała się niemożliwością, a trwanie nonsensem, po nocy z 11 na 12 maja i po straszliwej połowie dnia 12 maja — poczynają napływać do schronu — dowódcy oddziałów.

O godzinie 14,30 dobrnął ppor. Bernas. Jest tak wyczerpany, że plut. Choma obciera mu pot z czoła.

Dowódca baonu usiłuje wiązać zerwane nici:

— Zabierz Switalskiego od Kromkaya, doprowadź do Musiała.

— Tak jest! — odpowiada głucho ppor. Bernas, któremu każą wracać do beznadziejnej walki w ogień i między trupy.

Dowódca baonu rzucił okiem na prężącego się oficera i dodał miększym głosem:

— Niech pan wypali papierosa.

W tej chwili wchodzi... Sroczyński. Wygląda jakoś pokracznie w maskowniczym płaszczu:

— Zadanie wykonałem — melduje

\*) *Przypisek po bitwie*: Strzel. Nosarzewski zginął w akcji adriatyckiej nad rzeką Chienti 22.VI.44.





Dowódca baonu, ppłk Raczkowski, podnosi pytający wzrok.

— Wycofałem się, bo mi zostało sześciu ludzi — wyjaśnia flegmatycznie Sroczyński.

Do schronu wślizguje się por. Popielas, dowódca grupy wsparcia.

Wyszedłszy pierwszy, przed wszystkimi kompaniami, osiągnął nakazany rejon w całości bez żadnych strat, ciągnąc za sobą białą taśmę. Wszystkimi rozporządzalnymi środkami ogniowymi starał się zniszczyć nieprzyjacielski cekaem, który go ostrzeliwał, przez co ściągnął na siebie ogień. Od 02.30. był pod bezustannym ostrzałem artylerii i moździerzy. Nie miał łączności z baonem. Na godzinę 14,00 z szesnastu szeregowców czterech mu pozostało żywych i nieranionych. Oцениwszy pozostałą grupę jako całkowicie niezdolną do przedsięwzięcia jakiegokolwiek akcji, wycofał się, o czym melduje.

Meldunek ten jednak wychodzi nieskładnie, dowódca baonu huknął na nie umiejącego się wygadać porucznika. To niesłychane!... Trzeci z rzędu przychodzi tutaj z jakimiś hiobowymi wieściami.

Zanim skończył, zjawia się czwarty. To ppor. Czulak dowindował rannego radiotelegrafistę.

— Panie pułkowniku! — mówi energicznie — kpl. Kromkay zabity, kompania wybita, sytuacja niemożliwa — proszę o rozkazy.

Dowódca baonu przedstawia sytuację brygadzie, z którą rozmawia radiem.

— Wycofać się — pozostawić ubezpieczenia na „Uchu” i „Gnieździe” — mówi dowódca brygady.





## (85) GINA CZOŁGI, GINA SAPERZY

Wiemy, że piechota, która miała wspomóc czołgi i saperów — zaległa.

Jak kiedy lava, wylawszy się z krateru żartkim strumieniem, zostaje coraz bardziej między głazami po drodze, tak l. baon, mający zająć Albanetę, dotoczył się do jej skłonu kompanią Maślony, przetoczył się za skłon plutonem Sroczyńskiego i spłynął nad sam garbek, broniący minami wejścia do doliny — nikłym strumyczkiem drużyny kpr. Bryka.

Siedział kpr. Bryk ze swymi ludźmi o 50 metrów za garbkiem i kombinował. Noc była, ale wiejskie serce nieomylnie po nieuchwytnych objawach przeczuwa zjawienie się świtu. Taki czas był właśnie. Zdała na prawo od Drogi Saperów huczały ciągle motory czołgów, ale radosne napięcie, z którym spotkał ten dźwięk, kiedy wypadli za skłon, zaczęło ustępować. Bryk nic nie wiedział o czołgach spadających w przepaść, o pękających taśmach, rozbitych silnikach, o plutonie por. Trejdosiewicza całkowicie unieruchomionym, o p-pancach rozbitych i zatrzymanych, o stratach saperskich, o nierozminowaniu. Po prostu — przywykł do tego dalekiego huku motorów, przestał naczekiwać, ochłonął z bitewnego podniecenia, serce zaczęło bić mu równiej, oddech stawał się spokojny — oglądał się za coraz sposobniejszą skałką.

Kiedy oddziałek żołnierzy zapadnie w ziemię pod ogniem, niewprawne oko na razie nie ujrzy nic; dopiero po chwili widzi się a tu pod kamyczkiem, a tu tam pod skarpą — nieosłonięte ciała — jak odwłoki larw mrówczych wyniesione na światło. I w miarę czasu te członki wciągają się, nikną po sobie wiadomych skrytkach, wplastychniają się w rozpadliny.

*Bunkier*







*Plut. Ostrowski*

Tuż obok Bryka — naokoło — tały się istnienia niemieckie po wrostych w ziemię bunkrach. I stamtąd zapewne nasłuchiowano dźwięku polskich motorów z napięciem i tam wreszcie przyzwyczajano się do tego, że nic się nie dzieje.

Gdy nagle — huk 380 konnego silnika począł narastać.

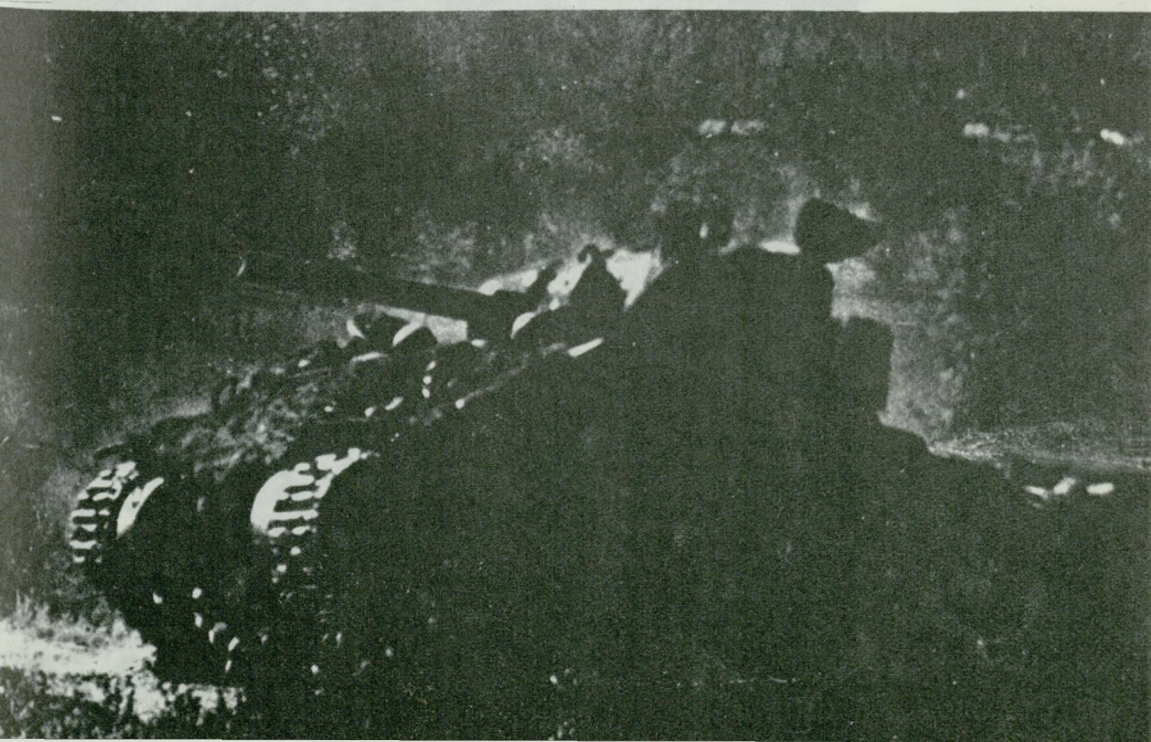
Ani chybi — idzie czołg. (To — Białecki).

Ucho zupełnie już wyraźnie poczęło rozróżniać dalsze war-koty. (To były czołgi Ostrowskiego, Dzieciołowskiego, Foita).

Człowiek-poczwarka wychylił się ze skorupy głazów do połowy. Patrzy chciwie. Tam, tuż pod nim — już widać — ciemna sylweta wspaniałego szermana. Niesie przed sobą 75-centymetrową lufę działa jak stoń idący przez dżunglę do ataku niesie w górę podniesiona trabe.



*Ppor. Fajt*







General [Name]



General [Name]



Płomień nagły wybucha pod czołgiem. Huk. Z wieży tryska płonąca ludzka rakieta; gorejący człowiek biegnie w noc. Za nim z wieży czołgu powoli wygramala się drugi człowiek-pochodnia; skula się o kilka kroków pod szkarpą, tarza się, gaśnie na nim, ciemnieje wszystko; z czołgu nie wychodzi nikt więcej...

Dlaczego polegli, dlaczego! Przecie mina talerzowa załogom stalowych potworów nie szkodzi, przecie tylko gąsienicę zerwie, czołg unieruchomi i tyle. Dlaczego?...

Czołg Białeckiego trafił na słupek kilku min, przemysłnie wkopanych jedna pod drugą.

Spadochroniarze po hunkrach mocniej ujmują szmajsery; bezbronną poczwarką czuje się drużyna Bryka; znowu przytulają się do głazów; ma świtać.

Dowódca 3. kompanii saperów, mjr Witkowski, powiadomiwszy kpt. Orłowskiego, że Gardziel nie będzie rozminowana przed świtem, kiedy 2. i 3. szwadrony dobrnęły na górę, ujrzał nowych dwanaście czołgów. Dowiedział się, że baon 15. zajął Widmo i znajduje się pod niszczącym ogniem moździerzowym i z Albanety. Ciężyła na wszystkich jak cała ta noc grzmiąca po pagórach salwami szpandałów i szmajserów, spływająca na Drogę Saperów biednymi poranionymi ludźmi. A tu — taka siła ognia! — bezsilna.

Mjr Witkowski postanawia spenetrować: jeśli Gardziel tak zaminowana i ostrzeliwana — czy nie można dać się od niej w prawo na już zajęte Widmo i zjechać czołgami Widmem na Albanetę znienacka?

Idzie mu naprzeciw człowiek nagi do pasa, spodnie się palą; to Nickowski, ten który pierwszy z czołgu wyskoczył; kpr. rezerwy; ślusarz; lat 25; kampania wrześniowa; niewola bolszewicka.

Przygasił major rękami na półżywym spodnie; poszedł Nickowski, by umrzeć; siedem dni się męczył; trzymano go transfuzjami; spalona skóra wzdęła się na całym ciele jak pancerz; w jednym tylko miejscu pod kolanem było nie spalone ciało — tam tylko można było robić zastrzyki; karmiono go przez rurkę, wstawioną w zwęgloną twarz; czy skarżył się? Raz tylko przez 7 dni walki o życie powiedział: „Piecze jak



Kpr. Nickowski



Dr. Bierzyński

cholera''; umarł w dniu, kiedy jego szwadron wszedł wreszcie na Albanetę.

Mjr Witkowski szedł dalej; przy spalonym czołgu siedział nagi zwęglony człowiek; to — ppor. Białecki, dowódca spalonego czołgu, który wyskoczył drugi; wrzesień — Węgry — Francja — Krzyż Walecznych w Narviku — podchorążówka w Szkocji — od dwu miesięcy podporucznikiem.

— Kolego, pomóżcie!... Oliwy... — mówi słabym głosem spalony; swąd spalonego ciała chwytła za gardło; mjr Witkowski nie ma oliwy; wlewa do ust rannego parę łyków herbaty z manierki; rozzuwa go; przesuwają na plandekę.

Mjr Witkowski poszedł dalej, a zwęglony podniósł się, poszedł. Walczyć o życie; szukać ratunku.



St. panc. Majewski

Za ciemną przyszli doktorzy pancerniaków; nie siedzieli w punktach opatrunkowych, czekając, aż im rannych zniosą; dojeżdżali sanitarnym *Whitem*, biegali między stalowymi pudłami z opatrunkiem. Kolejno dosyłani, kolejno ranni: dr Różycki ze złamaną ręką opatrywał kolegów; dr Bierzyński, który z upływu własnej krwi zemdlął w czasie pracy; sanitariusz st. strzel. Majewski z najwyższym poświęceniem pod ogniem spełniający swój obowiązek; repista plut. Wasiatko — dodany jako fachowiec, który ma najprostsze sposoby wydobycia rannych lub zabitych z czołgu.

Pochylili się nad czołgiem, który w międzyczasie się dopalił; rozróżnili jakąś czaszkę; jakąś nogę... To były szczątki kpr. rez. Ambrożęja, pancerniaka jeszcze z Polski; dwudziestoletniego st. strzel. Karczewicza, który całą rodzinę pozostawił w Rosji; st. strzel. Bogdajewicza pancerniaka z Polski.

Za jasna, po bitwie — przyszli koledzy; ale dowódcy czołgu znaleźć nie mogli; dopiero o trzysta aż kroków, w krzakach, znalazł ciało ojciec Studziński, kapelan 4. pułku czołgów, dominikanin cichy i pokornego serca, czytający swój brewiarz pod ogniem nieprzyjaciela i nieustępliwie wyszukujący rannych i zabitych.

Mjr Witkowski śpieszył tym szlakiem gasnących żyć, szukając środka skutecznej walki.

Kiedy dochodzi, mijają go nosze z ciężko rannym w bok st. sap. Kępińskim, mijają go nosze z sap. Cieślukiem.



Plut. Wasiatko

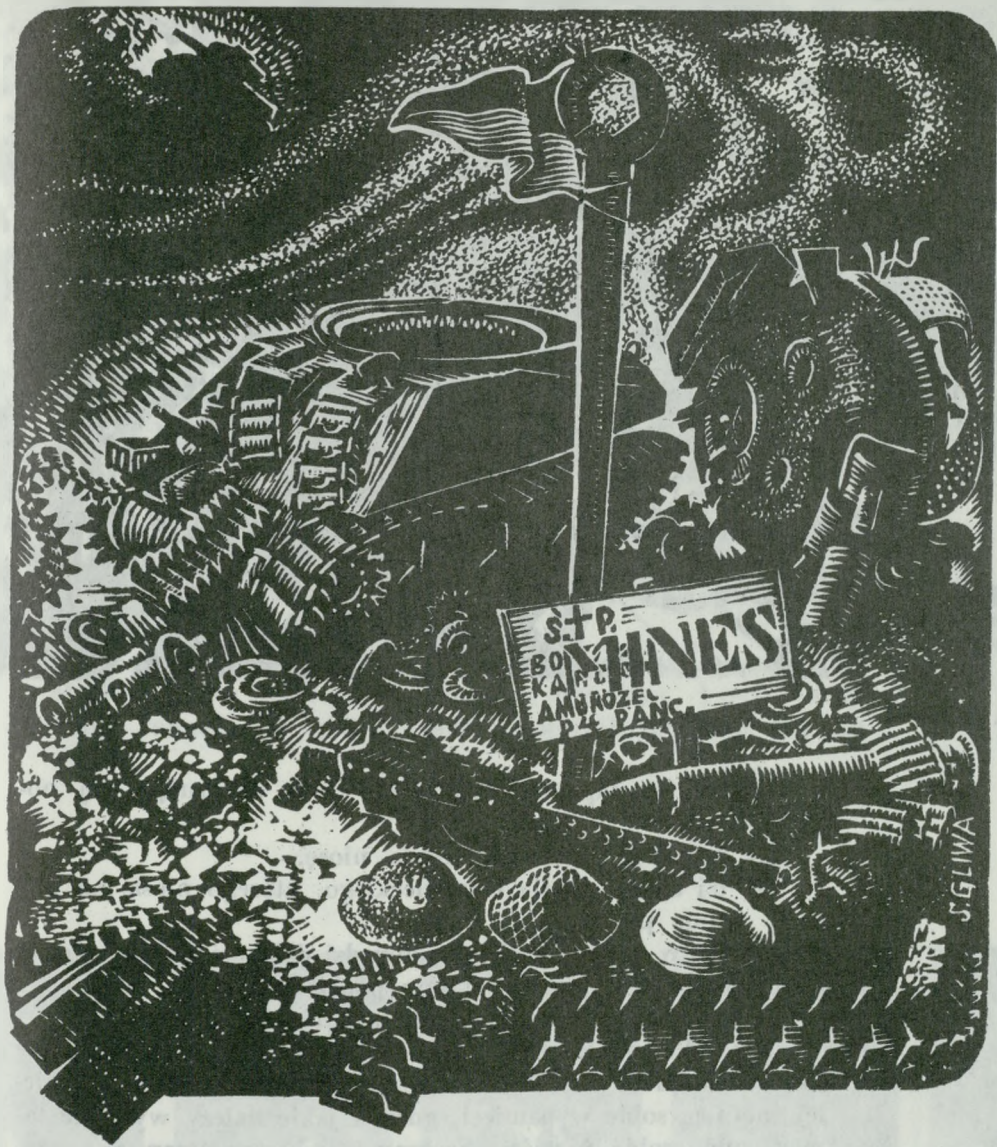


St. panc. Bogdajewicz



Ks. Studziński





Pchor. broni panc., St. Gliwa, bezpośrednio po bitwie przetransponował z natury widok mogiły załogi czołgn por. Biateckiego. Zamiast krzyża kołedzy ustawili wielki czołgowy klucz; nazwiska poległych Bogdajewicza, Karczewicza i Ambrożęja wypisano na tablicy z pola minowego





sanit. Kozłowski

Sanitariusz saperów Kozłowski, cuda dokazujący tej nocy \*)<sup>\*)</sup>; woła:

— Koledzy, pomóżcie, Czesia niosę.

W tej chwili Czesia Chmieleckiego, którego niesie na plecach dobija pocisk.

Ranny w nogę por Sziker dowodzi dalej, siedząc podczołgiem, pozostawionym w natarciu poprzedników.

Właściwie — nic tu nie można robić bez osłony.

Mjr Witkowski wysyła patrol 6 saperów na pono zajęte całkowicie przez nas Widmo. Jest już widno. Idą więc śmiało, notując sobie w pamięci, gdzie i jakie należy wysadzić tarasy, aby zrobić przejście czołgom, czyszcząc teren z „potykaczy”. Są to pułapki na ludzi. Min przeciwczołgowych nie ma: widać Niemcy tak się nie liczą z szarżą okrażającą po tych stromiznach, jak Hiszpanie przed stu laty w górach Guadarammy.

\*) Przepisek po bitwie: Dekorowany Virtuti Militari.



Nagle, już pod szczytem wzgórza, ukazuje się zza bunkra Niemiec do połowy postaci, ze szmajserem w rękę.

Saper — cóż — spokojna kaczuszka nurkująca za minami; sap. Narcyz Sawicki, idący z potężnym bębniem taśmy, którym szlakował drogę, smyrnął nim w Niemca, ten widać zbarał, podejrzewając jakiś nowy oręż, a Narcyz zwiął i trzej z nim koledzy.

Po piętnastu minutach znalazł się i dowódca patrolu, kpr. pchor. Grinberg, schodząc wraz z sap. Wojnarskim. Idą za nimi strzały. Eks-kłusownik, plut. Szyszko, zasiadł się w wieży rozbitego czołgu i samotnie odstrzeliwuje się Niemcom.

— Juchy, coraz to się migną, panie podchorąży — woła z podnieceniem do schodzących — to jest lepsze strzelanie jak do zasiadanego na dzika.

Grinberg — student chemii na Politechnice Warszawskiej, dochodzi do czołgu, siada na nim, poczyna strzelać do celów, wskazywanych przez Szyszkę. W tym czasie kula przebija mu gardło.

Szyszko, klnąc, opuszcza stanowisko. Już mu zbrzydło słuchać jęków leżącego w krzakach Skupiaka. I wwalwszy sobie rannego na plecy, stary kłusownik wycofuje się ku swoim.



Sap. Cieśluk



Sap. Sawicki



Pchor. Grinberg



plut. Szyszko



Sap. Skuplak

## (86) OSTATNI AKORD NATARCIA KORPUSU: KOMP. POR. MAŚLONY SCHODZI PO 39 GODZ.

O godzinie 13 dnia 12 maja por. Maślona czuje się zupełnie związany ogniem artylerii.

Jego pierwszy pluton, który wyszedł naprzód pod dowództwem ppor. Sroczyńskiego, zeszedł już z pozycji, ale por. Maślona o tym nic nie wie. Goniec wysłany przez ppor. Sroczyńskiego, by powiadomić o tym, dopełnia te 120 metrów dzielących pluton od kompanii dopiero na wieczór. Zostaje odesłany z rozkazem, aby Sroczyński dociągnął.

Por. Maślona każe wszystkim podczołgać się na samą Gardziel (o 8-10 metrów od pobojowiska 4. kompanii), skąd ma wgląd na Albanetę.

Nieźnośnie cierpią ciężko ranni plut. Pastoła i kpr. Ciepłik. Mimo ich jęków, nie można ich za dnia ewakuować — pod drążącymi ślepiami Cairra, oczami St. Angelo, 575, 593, Widma, Albanety.

Grupki polskie spływają z Widma!... Ale może to tylko ranni schodzą?

Goniec wysłany do ppor. Sroczyńskiego wraca z wiadomością, że jego plutonu już nie zastał.

Noc dla kompanii Maślony minęła „spokojnie”.

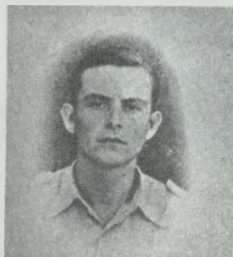
Maślona wysyła strzel. Ostrowskiego z meldunkiem do baonu i łącznościowców do nawiązania łączności.

Kiedy goniec dociera, baon ma zerwaną łączność z brygadą. Wobec czego dowódca baonu melduje gołębiem: „Łączność z 3. kompanią nawiązana. Kompania jest na stanowiskach na wschodnich stokach Gardzieli”.

Jest to meldunek sensacyjny. Przecież jest to już dzień 13 maja, kiedy wszystkie oddziały zarówno Karpackiej, jak Kresowej dywizji wycofały się, a kompanię Maślony miano za zgubioną.

Trwać do otrzymania rozkazów — odpowiada brygada.

Zapewne szło jej o utrzymanie zdarzonej przez Boga kompanii jako ubezpieczenia przy ewakuacji rannych, zabitych i sprzętu.



Strz. Ostrowski





Dowódca baonu organizuje ekipę z wodą i żywnością dla 3. kompanii. S. p. por. Wagner podrywa się — „Panie pułkowniku — proszę mnie postać z ubezpieczeniem”.

Jako zastępca por. Maślony pilnował tyłów swojej kompanii, teraz chce osłaniać jej odwrót.

Zebrawszy pewną ilość żołnierzy, idzie do czoła. W pewnym załamie — odkrywa drużynę trupów. Dziewiąty i jedyny żywy — strzel. Sanojca, osiemnastolatek (syn byłego posła na Sejm), ze zdartym serią szpandała wierzchem munduru, tkwi przy swym cekaemie.

— Zbysiu, co ty tu robisz?

— Czekam na rozkazy — odpowiada Sanojca, który jako kilkonastolatek uciekł do Tobruku, gdzie, kiedy wybito obsługę, objął elkaem i strzelał.

Kompania Maślony jest dobrze ukryta. Jeśli Maślona ze Sroczyńskim z odległości 120 metrów nie mogli się zobaczyć,



Strz. Sanojca

to nie mogą kompanii zobaczyć i niemieccy obserwatorzy. Panuje cisza.

A na przeciwległym Widmie widać Niemców, wsiąkających z powrotem na to wzgórze. Koło godziny 13 już i stamtąd idzie ich ogień maszynowy.

W dookolnych krzakach na Albanecie słychać szelesty, jakby zwierzyna szła. Zapewne podsuwa się atak. Ale kompania Maślony tkwi cicho i Niemcy nie znają jej położenia.

Wówczas z jaru od Albanety, z tego właśnie Mortar - Wadi, który tyle krwi polskiej przelał, idzie flegmatycznie żołnierz angielski.

Przycupnięci żołnierze kompanii 3. zdębieli. Anglik najwyraźniej posuwa się, nie zachowując żadnych środków ostrożności, w kierunku strasznego 575 najezonego bunkrami. Ale ze strony niemieckiej trwa cisza.

Anglik doszedłszy o jakie 250 metrów do polskich pozycji przysiadł — zdejmując but, widać go coś uwiera.

— Ty.... — jak siedzisz! — nie wytrzymał strzel. Fogel. Anglik targnął się i pyrgnął w krzaki na stronę niemiecką.

— Taki on i Anglik — domyślają się po niewczasie żołnierze — wycygnął z nas, gdzie siedzimy.

I istotnie — po chwili Niemcy otwierają silny ogień ze szpadałów i moździerzy.

Żołnierz jest już tak wypompowany, że tylko kuli się martwo pod tym ogniem. Jeden z owych „żywych torped” 1. kompanii, strzel. Kniaziuk, całą noc pełniący pod ogniem nie ludzką pracę noszowego amunicji — śpi pod ogniem — zostaje ranny w trzech miejscach granatem. Jeden z odłamków przebił mu hełm, twarz zalana krwią, ale Kniaziuk nie rusza się. Koledzy ze strachem patrzą: czyżby sen był silniejszy od rany? W następstwie w szpitalu Kniaziukowi wyjęto oko. Wówczas — jest to godzina 14,30 dnia 13 maja, trzydziesta dziewiąta godzina od rozpoczęcia polskiego natarcia — por. Maślona decyduje się wycofywać drużynami.



strz. Fogel



Por. Maślona









## (87) Z A B I J A N Y N A R A T Y

Przypasła bitwa Karpackiej aż zgasła.

O 19,30. wycofał się ze swoim oddziałkiem ostatni obrońca 593 — ppor. Romański (tyt. 60).

O godzinie 21 wyszło na 12. pułk ułanów natarcie niemieckie. Po godzinie odpłynęło — odparte.

Zacichła broń małokalibrowa.



Między zetłętymi trupami amerykańskiego natarcia, między rozkładającymi się ciałami natarcia hinduskiego — leżały, ciała zabitych tej doby, leżeli ranni Polacy i Niemcy.



*Pchor. Tereszczuk*

St. strzel. pchor. Tereszczuk leży ranny już całą noc i cały dzień i znowu całą noc.

Przydzielony z 4. baonu jako ogniomiotacz do grupy ciężkiego wsparcia ppor. Romańskiego (tyt. 53), wyręczył przy wspinaczkę zasapanego sierż. Dębickiego — wziął od niego 34-kilowy miotacz płomieni, oddając do niesienia lżejszą butlę i tomsona.

Krzyczano: „Biegiem, bo artyleria przedłuża” i biegli w przód, wypierając z siebie ostatni dech.



Krzyczano: „Cofać się — bije własna!” i cofali się śpiesznie, potykając się o głowy, lecąc z ostrych przechyłów.

Objuczony — wpadł na concertinę (tyt. 53), nie mógł się wyplątać. Tam go trzasło. Poleciał w dół. Gdy oprzytomiał, zobaczył, że leży w drutach. Potem — poczuł ból w lewej nodze. Spojrzał na nią i przez chwilę nie rozumiał: leżał na wznak, a noga sterczała piętą w górę. Pojął, że widać uległa gruntownemu zgruchotaniu i przekręciła się na sflaczałym mięsie. Trudno było wiedzieć co jest — noga była masą miazgi sukiennej i jakiejś krwawej kaszanki. Wielkimi wysiłkami obrócił się na brzuch, aby być w zgodzie z piętą. Znieruchomiał i czekał.

*Krwi dużo spłynęło — ciśnienie się obniżyło. Lepkość krwi przebijała coraz trudniej jej słabnący strumień. Zmiażdżone na wielkiej przestrzeni ścianki naczyń krwionośnych sprzyjały zakrzepowi. Po kilku godzinach rana się zaczerpowała w potwornie narosły strup. Dalsza utrata krwi była zahamowana.*

Miejsce, w którym leżał Tereszczuk, nie było najlepsze. Wokoło szła walka i biło w stok bez opamiętania. Po dwóch godzinach leżenia objęło warem plecy, — seria szpadała pojechała po nich i posiekała — gęsto, ale nie uszkadzając kości.

Kiedy już było dobrze światło, walka na chwilę przycichła.

Niestrudzony sanitariusz Brzeziński (tyt. 54) wraz z wyszukany pośród jeńców niemieckich sanitariuszem usztynił mu nogę karabinem, włożył na nosze i poniósł pod górę — do wnęki, która leżała w obrębie zajęтым przez Polaków. Tam leżał, patrząc biernie, jak koledzy walczą.

Porucznik, strzelający do końca z tomsona, gdy zginął mjr Rojek, otrzymawszy tę wieść, usiadł przy rannym. A potem zaczęli schodzić, a on znów został — sam. Leżał ciągle na brzuchu, unosząc głowę. Zobaczył Niemców, którzy krzyczeli, aby nie rzucać granatów. Ale granatów rzucać już nie było komu. Niemcy pozbiierali swoich rannych i poszli. Inny ranny Polak doczołgał się. Był to sanitariusz. Miał sprzęt potrzebny i założył szynę, ale rany w tym stanie opatrzyć nie mógł.

Tymczasem w tej ranie rozgorzała zawzięta walka. Skrzep spełnił jedyne swoje zadanie — wstrzymał upływ krwi i obumarł; jako martwa już tkanka nie mógł przeszkodzić przenikaniu w głąb zarazków, które olbrzymia siła ssąca pocisku wciągnęła wraz ze szrępcami munduru, zanieczyszczonej skóry i ziemi.

Pierwsze na tęp ruszyły beztlenowce. Przewodzą ataku, mając gotową broń — egzotoksynę, którą wydzielają, same nie umierając. To one powodują zgorzel gazową (gangrenę), porywającą tłumy ofiar w przedpenicillinowych czasach. Bakterie gnilne są beztlenowce — dążą, by jak najszybciej zaszyć się w tkankę podskórną, tkankę zmiążdżenia, gdzie żaden pęcherzyk tlenu nie stanie na ich drodze.

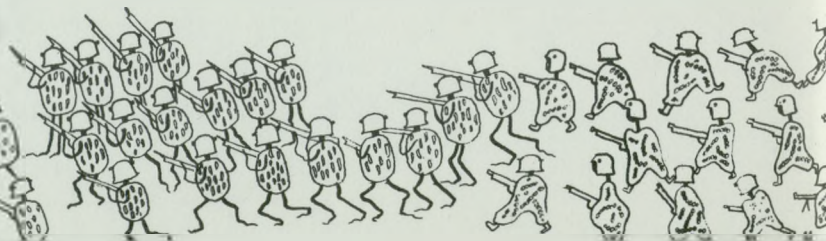
Przeciw nim organizm Tereszczuka postawił specjalnie ćwiczone oddziały przeciwjadów, antitoksyny wrodzone i nabyte w ciągu życia, czynniki bakteriologiczne.

Za bakteriami beztlenowymi poszedł zgietkliwy tłum — zbieranina bakterij ropotwórczych. Bytujące sobie na skórze Tereszczuka, okazały się niecjojalną mniejszością, która, jak tylko powstał wyłom w ciele, jak tylko obcy czynnik przełamał granicę, rzuciły się na osłabiony organizm, który był ich domem.

Szły esowatymi zagonami łańcuszkowce, szły grupami szturmowymi — po cztery, po sześć, po osiem — paciorkowce. Szły liczne ich szczepy, niektóre wspierając się, inne współwalcząc ze sobą. Szedł licznym klanem najczęstszy — gronkowiec złocisty.

Na ośrodek oddechowy! Na ośrodek naczyniowy! Na wątrobę! Na obie nerki! Na wszystko, co utrzymuje życie...

Gęstym murem przeciwko nim zbiły się tuż za strupem zmobilizowane leukocyty — białe ciałka krwi. Wypuściły macki, grożą, ale same są w strachu. Dopadnięty przez większą ilość przeciwników, poszczególny leukocyt, dostawszy się w wydzieliny bakterij, obumiera. O ile jednak przeciwwaga sił nie jest rażąca, leukocyt obejmuje mackami, na podobieństwo ameby, bakterię, trawi ją, ale sam obumiera.



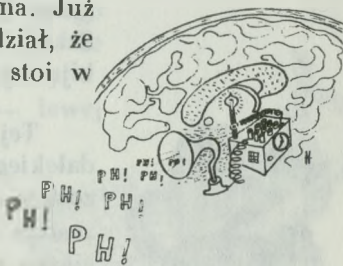


Straszna walka rozgrywa się w ciele Tereszczuka. Jeśli bakterie pokonają leukocyty, zatrują najpierw swymi jadami organizm, a potem go zabiją. Niewiadomy jeszcze wynik tej walki.



Leżał tak do wieczora i znowuż całą noc — do rana. Już półtorej doby. Co było w dole ciała nie wiedział. Wiedział, że usta mu chrzęszczą zeszłym oddechem, żar piekielny stoi w ciele.

Specjalna komórka sygnalizacyjna w mózgu na gwałt alarmowała, uprzedzała o wzrastającym zakwaszeniu organizmu, które sprzyja rozwojowi bakteryj. Cierpiął z pragnienia strasznie.



Rano 13 maja zabrał go patrol niemieckich sanitariuszy i zniósł w dół o jakie 3 klm, do niemieckiego wysuniętego punktu opatrunkowego, który mieścił się w jaskini. Niemcy sami nie mieli ani wody ani nie dali jeść. Było jeszcze czterech innych naszych rannych.

Leżał tak cały drugi dzień i całą trzecią noc — bez jedzenia, bez wody, bez opatrunku. Zmiażdżona noga broniła się tam, urządzała się jak umiała: coś tam wypuchło, pokrzępło, wybuczyło się.

To organizm przystąpił do robót saperskich na granicy części zdrowych i zmiżdżonych, nie nadających się do życia tkanek.


Saperzy — naczynia poczynają pączkować, wał wznoszony urasta z nowoutworzonej tkanki, zaopatrzonej w gęstą sieć naczyń krwionośnych. Bakterie atakujące mur są brane do niewoli, pędzone za wał, ewakuowane w głąb tymi krwionośnymi naczyniami — a tam już nie obserwuje się względem nich Konwencji Haskiej — są one w odpowiednich narządach likwidowane. Na miejsce prowizorycznego strupa narasta ziarnina — jak cegły muru. Z tego powstaje blizna.



Za to poszarpane przez szpandał plecy broczyły, pękały, bolały nieznośnie. Kiedy rankiem trzeciego dnia — był to już


14 maj — przenoszono ich do ruin jakiegoś domku — czuł jakby na nim żywcem eksplodowało ciało do pasa; od pasa był bezwład.

Ciągle bez opatrunku. Ciągle bez wody. Położyli go na wznak — nie wie, czy piętę uzgodnili, czy leży w dół, czy też do góry. Patrzy w poszarpany pułap. W pułapie raz po raz błyski. Szkielet domku raz po raz napętnia się blaskiem. Nasi mocno biją tej nocy.



Tej czwartej nocy — z 14 na 15 maja Tereszczuk i to coś dalekiego, co wciąż jeszcze rości pretensje być jego nogą — zostaje wyniesione, zostaje niesione jakimś labiryntem skał, zostaje władowane na ciężarowiec razem z pozostałymi trzema ciężko rannymi Polakami. Widać pojedą na niemieckie G.P.O. — gdzie pewno mają wodę... Tereszczuk myśli tylko o wodzie, stara się nie myśleć o tym, że mu rozwiną miazgę, która jest na miejscu lewej nogi.

Cieżarowiec kryty brezentem — rozbłysnął pod budą raz i drugi od bliskich rozrywów. Niemcy uciekli. I zaraz potem trzasnęło w samochód, zawaliła się buda. Tereszczuk poczuł ból — zdrowa noga, prawa, została trafiona. Śwąd spalenizny pod zwaloną budą przygniótł go jak poduszka, którą doduszają umierającego. Następny zapalający pocisk zapalił budę. Człowiek zabijany na raty skulgnął się przez burtę i padł jak krwawy wór na ziemię. Z wozu słyszał było krzyki żywcem palonych. Bańki na wozie poczęły się palić, ogień padał na niego zagwiałymi soplami, jakaś amunicja na ciężarowcu poczęła eksplodować. Zasłaniał twarz jak mógł, wreszcie, zdjęty zwierzęcym strachem, podciągnął korpus rękami; tak próbuje się ratować owad o zgniecionym odwłoku.



Jęki ścichły, wóz się dopalał. Człowiek, który chciał żyć, leżał na wznak — ku niebu straszliwie popaloną twarzą. Niebo, jak zwykle od lat milionów — mrugało do niego głupekowato gwiazdkami. Szyna, założona na nogę, odpadła przy upadku z wozu — pięta znowu stanęła palcami w dół.

W pewnej chwili — Tereszczuk już przestaje wyznawać się w biegu czasu — zachrząścił szuter, pokazał się cień. I zaraz ogień armatni ponownie się rozhuczał — cień przylgnał przy popalonym.

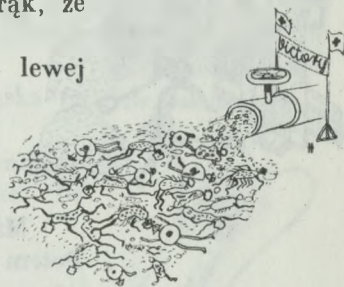


— Gdzie domek? pyta Tereszczuk; tam pewno pochowali się sanitariusze; tam poślą powiedzieć, że jeden z ładunku spalonego ciężarowca jest żyw.

Przeszedł nad ich głowami pocisk z wyciem i cień ludzki się przypłaszczył. Podbiegł drugi. Teraz widzi — Niemcy. Ale nie sanitariusze. Nie wiedzą gdzie domek. Ciągną go do swego stanowiska. Skóra przy tym obdziera się ze spalonych rąk, ze spalonej twarzy.

W krytym bunkrze opatrzili jego prawą nogę — lewej ruszać nie śmieli.

*Walka leukocytów z bakteriami zakończyła się dla organizmu pomyślnie, ale miriady ciał pomordowanych bakterij i leukocytów unosiły się w limfie krwi i utworzyły ropę. Ropa bujnie sączyła się i krzepła. —*



Wody nie mieli. Trwali w tym bunkrze, aż — mogła to być trzecia nad ranem — dał się słyszeć chrzęst kamyków.

Do schronu wczułgał się oficer niemiecki. Ranny zrozumiał, że daje rozkaz żołnierzom opuszczenia schronu za godzinę.

— A co z tym? — żołnierze robią gest w stronę Polaka.

— Opuszczając schron dostrzelić — decyduje oficer.

Podchorąży nie pokazał po sobie, że rozumie.

Oficer wypełzł, jeden z żołnierzy spojrzął na zegarek na ręku. W schronie tlił się zapalony kaganek ze spirytusu skondensowanego. Gdzieś na ręku niemieckiego żołnierza odmierzał się czas.

Wreszcie — wstali, zgarnęli oporządzenie. Wyczołgali się. Ranny w czasie tego — przetoczył się, czy przekulgnął — zdmuchnął kaganek. Leżał teraz pod inną ścianą. Przez otwór schronu wstawiono szmajser i na dawne jego miejsce poszła seria. Poczem kroki zacięły.

Dobijany człowiek nie chciał umierać. Nie chciał umierać — nieopatrzony i nienapojony przez całych długich siedem dni.

Bo cały dzień 15 maja biła dookoła artyleria — nawet w schronie, mającym wąski wylot pełno było kurzu, dymu i gazów spalinowych. Strop był jednak umocniony z dwu grubych stalowych belek z podwozia ciężarowca, na tym siatka, dalej skrzynie z piaskiem.



W nocy z 15 na 16 maja poczyna tracić przytomność.

Organizm jego już w pierwszej dobie, zaniepokojony produktami rozpadu zmiądzonych tkanek, rozpałił piec gorączki resorpcyjnej — zorganizował zakład spalania śmieci, których by nie spalił w normalnej temperaturze.

Ale w drugiej dobie pojawiły się zwały trupów bakteriowych i leukocytowych.

Trzeba je rezorbować, trzeba rezorbować nagromadzone jady, zwiększyć należy temperaturę.

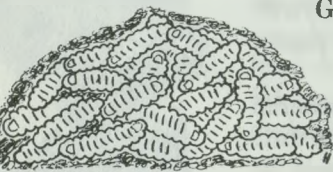
Centrum termoregulacyjne w mózgu wskazuje maksymalny nacisk, Tereszczuk gorączkuje.

Majaczy mu się, że koledzy przyszli, że chcą go wynieść. Potem cuci go przeszywający ból nogi i wtedy wie, że go nikt nie woła. Może bitwa przetoczy się, a do tej dziury zajrzy jaki pastuszek dopiero za pół roku?

Majaczy, ocyka się, szarpany bólem, jęczy, znowu zapada w majaczenie, przez całą noc z piętnastego na szesnasty, przez całe przedpołudnie szesnastego, przez całe popołudnie szesnastego, przez noc z szesnastego na siedemnasty, przez świt, przez ranek, przez południe, przez przedwieczorną chwilę, przez wieczór siedemnastego, przez północ przechodzącą na osiemnasty, przez czarność nocy osiemnastego, która zapada się w nicość.

18 maja rano budzi go warkot motoru i głośy. Angielskie głośy. Chce krzyżeć, ale nie wie, czy wydaje jakiś głoś. Pewno jęknął. Bo przez otwór wpełza — nie ze szmajserem, z manierką! — Anglik!

Głowa, ręce — strupy. Od pasa — wiją się białe robaki.



(Czytałem „przebieg”: „między ścięgniemi mięśniowymi kłębowiska robaków”. Te robaki-larwy much, to przyjaciele, zjadają tylko części obumarłe, a ich wydzieliny zabijają wszystkie bakterie).

(Widziałem go — leżał z językiem wysuniętym ze spalonych warg, z głową spaloną, obwiniętymi kikutami, już po amputacji; opowiedział mi tę sprawę między śmiercią i życiem).

Anglik nie dotykał niczego, tylko lał delikatnie w spalone



rozwarłe usta wodę z manierki. Dojrzał błysk w oczach tylokrotnie zabijanego. Pomyślał. Krzyknął do kolegów na zewnątrz, Wsunęli mu drugą manierkę, którą wsączył.

Potem... wyciągali go.

Potem... układali go na łaziku sanitarnym.

Potem... dwa kilometry pchali łazik do drogi polem, nie zapuszczając motoru — aby nie trzęsło.

Mijał patrol z 5. batalionu. Kolega ze szkoły. Nie poznał, przeszedł, nie będzie przez kogo wieści dać.

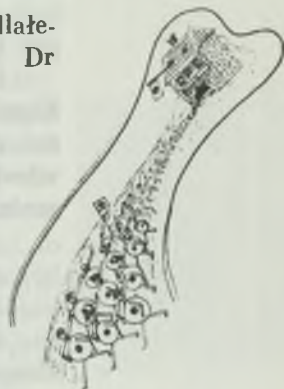
Na W.P.O. angielskim — zastrzyk, jakiś napój, maska na spaloną twarz.

Dopiero w 5. polskim C. C. S. zdjęli ubranie omdlałemu. Docucili. Ksiądz wypowiadał w krótkiej drodze. Dr Jakubowski wziął go zaraz na operacyjny stół.

*Organizm — na miejsce poległych zorganizował nowe odwoły leukocytów. W K. U. organizmu, tzn. w szpiku kostnym, nastąpiły wzmożone procesy twórcze ciałek białych. Odpowiednio do potrzeby — tworzone młode wojsko, lub też bardziej wyspecjalizowane. Obronił się organizm zabijany na raty...*



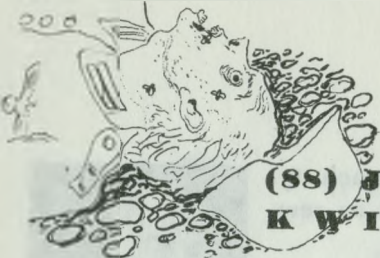
Dr Jakubowski



I Tereszczuk-

żyje!...\*)

\*) Przepiszek po bitwie: Żyje!... Ale ze Szkoły przysłał list: „Przed 14 dniami przechodziłem trzecią amputację. Stałe ucinają po kawałku”.



(88) JUŻ NIE ZOBACZY „SIEGMONDEK”  
KWITNĄCYCH „STROMÓW”

Przygasła bitwa Kresowej, aż zgasła.

O 21. wycofał się ostatni obrońca — mjr Gnatowski z resztkami 15. baonu. Zwlókł się por. Mundziakiewicz, który z rozbitą nogą przeleżał do ciemna pod niemieckim bunkrem. Zeszedł z ostatnią grupką 18. baonu ppor. Chałupa.

Jest przed księżycem i nic nie widać na Widmie. Cała męczeńska góra jęczy cicho.

— Królowo męczenników!... — gasną życia ludzkie w pół litanii.

Leżą w polskich, leżą w niemieckich mundurach. Młody Niemiec odrzucił konopiastą czuprynę i leży — zeszywniały na zawsze. Kiedy po drugim natarciu robotnicy kompanii włoskiej znosili jego rozkładające się już ciało, w portfelu jego znaleziono dwa listy:

REDULTOWY 7. V. 44.

„Mein Geliebter Sohn

Mój Kochany Synie,

Siadam do stołu i hea Ci pary słów napisać ale siem nei-samprzut ciem pozdrawiam ty słowy n.b.p. Je Ch.

Synoczku dzisiaj jest niedziela i mom troszka czasu to ci hea pora słów napisać ale ciem najsamprzut pisza że my som wszyscy zdrowi co ciebie tego samego życzymy coby ciem ty pora moich słów przy neilepszym zdrowiu zastało. Siegmondku dzisiaj jest troszka cieplej i stromy \*) siem poczynajom rozwijać trczesnie kwitnom kiebyś beł doma to heś siem cieszeł mój Synie kohany bo mię Serce boli że tak cierpieć musisz niewinnie a orok Reimundek ten tam dopiro cierpi na tej Rusej jeśli tam żyje bo jo was dziennie optukuja bo ty tam niewiem jeśli przewidzieć nawet ale Boga prosza o pomoc bo żoden mi nie pomoże telko Bóg jedny a najświętszo Panienska Maryja nas zaś pocieszy bo inny żoden ciem nie pocieszy. Mój Synoczku posełom ci papior napisani i Kuferty to mi zaś odpisz co tam nowego moje dziecko kohany bo mi jest weselej jak ot ciebie pismo dostanę a jak dwa albo tedzień

\*) Zbocza.



pisma niema to ani siem mi robić niechce a jeno czekam co-  
bych was jeszcze ros widziała póka żyja a tera jusz ty pismo  
kończą a stobom siem oncza (?) bo idą na nieszpór do widze-  
nia twoja zasmucona Synoczku mój Matka''.

Następny list brzmiał:

REDUŁTOWY dn. 5. V. 44

„Kochane Braciszku

Jo ten twój list otczymala i ci hea zaroz otpisać ale naj-  
pszot siem pozdrawiamie wszeiscy temi słowami N.b.p.J.K.  
Kochane Bracie te mi piszesz żeś już jest na froncie to wiesz  
sze to nima nic nowego jeno smutek bo tego Reimundka me  
straceli wruse a te wtej italji co to sa straszno los nas spotkał  
ale Sigmundze nie troć nadzieje bo jo mešla sze nas bog tak  
strasznie nie opuści szebeś i te tam musiał zostać bo me jusz jedno-  
go straceli to ja mešla sze bog nie bedze tak na nas zagniewa-  
ne szebeś i te tam zostół se nie starej bo wiesz jak Reimundek  
detko \*) piśoł sze on se zboga nie spuści to gotesz bog nie  
opuści bo mosze tam jeszcze kaj szed to nie wieme a te se  
Sigmundze nie staraj a jak bedzesz miół pszilesze (?) toć to  
se nom dei za wajaka odebrać \*\*) bo ni mame żodnej fotograwki  
ot ciebie czamuś se nie doł we franceji odebrać keś tam miół  
pszilesze toć jo mešlała sze tesz przyjedziesz na urlop za wojaka  
te se Siegmundzie tak tego do głowe nic bier bo ta wojna se  
latoś skończe i se musi skoczeć bo jak tak owas meśle to jedna-  
ko płacza Siegmundzie bo nie dawno beli me wszesce doma a  
teraz nima żodnego co me tak pszeżeli że nas tak bog opuścił  
sze was tak wszestkich sdomu pozabierał ale niechse dzieje  
wola hoga z bogiem zostań bo ci renki dać nimogem cało  
familio Bruno Aliza Walter Anton i jo i Anna...

Jo ci kuwerte i papier postala''.

Nie zobaczy więc czereśni kwitnących po zboczach rodzinnej  
wsi ani Rajmundek, który z Rosji pisał, że się „z Boga nie spu-  
ści” i tam w Rosji poległ (o czym, jak widać z listów, wie sio-  
stra, ale co jest trzymane w tajemnicy przed matką), ani ten  
Zygmunt, który na Widmie leży. Stara matka będzie czekała  
dwa tygodnie, będzie się łudziła „sze nas Bóg tak strasznie nie  
opuści, żebeś i te tam musiał zostać”.

\*) Zawsze.

\*\*) Sfotografować.



## (89) SPŁYWAJĄ Z POBOJOWISKA

Ale na pobojowisku nie same trupy, nie sami ranni jeszcze. Pięciu ich z 13. baonu leżało dotąd z zaciśniętymi granatami w rękę:

Sierż. Czajkowski, plut. Wasilewski, ranni kpr. Szpara, ranny st. strzel. Kuźniar, st. strzel. Szkuta.

Kiedy wycofywał się por. Olkowski, nie postyszeli rozkazu odejścia i zostali. Niemców mieli tuż przed sobą. Strzelali oni ciągle, ale przeważnie do dobrze widocznych trupów. Wreszcie ocenili, że już widać nikogo żywego nie ma na Widmie i już tylko ogień moździerzowy nękał wzgórze

Jeden z tej piątki, plut. Wasilewski, wszedł na Widmo jako dowódca plutonu trasującego ścieżkę. W momentach najcięższych słycać było jego głos: „Chłopcy, nie bójcie się! Wytrzymamy, tylko się okopcie”. W czasie gdy ogień cichł nieco, wyczołgiwał się opatrywać rannych.

Teraz, w ciszy głębokiej nocy, chce robić to samo. Ostrożnie ciągnie się po obszernym pobojowisku. Wyczekuje na pierwszy, najpierwszy rąbek księżyca. Ta ciemna masa przed nim — tak — miał rację — to nie głaz, ale człowiek. Podczołgał się — ależ tak, to Malczak.

Malczak, wątlý, cichy chłopak — ani tchnie.

— Malczak! — to ja... co ci?...

Okazuje się, że chłopak nie jest nawet ranny, tylko myślał, że to Niemiec pełźnie.

Wówczas — odzywać się poczynają inni.

— P s s t! P s s t!... —

Wszystko dzieje się pod niemieckimi stanowiskami.

Napytuje plut. Małkiewicza. Plut. Małkiewicz również nie jest ranny.

Napytuje celowniczego Badynę — ten ma zgruchotaną rękę.

Ranny w głowę i nieprzytomny strzelec kompanii 3. kiedy Wasilewski go dotknął, krzychał. Wasilewski wtyka mu do ust pośpiesznie ukrecony knebel. Nie może przecie nieść krzyczącego.

Zebrał jedenastu. Wracają gęsiego przejściami między głazami, niosąc agonizującego rannego w głowę (zmarł, gdy go



Plut. Małkiewicz



zniesli), podpierając innych rannych. Ranny Kuźniar, radio-  
wiec, do ostatniej chwili boju warujący przy swojej stacji, nie  
chce jej i teraz porzucić, spęta z nią razem.

Nie wiedzą, że naszych na Widmie nie ma. Szepczą żarliwie  
do każdej nocnej ciemności: „Tu „Rysie”!... nie strzelajcie!...”  
Ale czarność ich spotyka głuchą ciszą.

W pewnej tylko chwili na te ich allokucje i meldowania  
się nieistniejącym swoim, spod dużego głązu dobiegł jęk:

— Koledzy...

To — kpt. Swieściak (tyt. 66).

— Od tamtej nocy tu leżę...

Ma rozwalone udo i bok. Jakże tu — bez nosz...

Kleczą nosze z rur Bengalora i płaszcz przeciw-iperytowego.

Ale wszystko to drze się i łamie.

Plut. Wasilewski wwała go sobie na plecy. Krew bluzga,  
ranny jęczy — nie zniesie tej męki. Zostawili go pod krzakiem  
— na zawsze \*).

I jeszcze to nie byli ostatni schodzący. St. strzel T.... Michał  
z 13. baonu ukrył się w szczelinie skalnej razem z ciężko rannym  
sierż. Uberną.... Nie chciał go rzucić, a wynosić pod ogniem nie  
mógł. Nie miał go nawet czym opatrzyć. Jedyne ocalały opatru-  
nek osobisty był przestrzelony. Na drugi dzień sierżant dostał  
gorączki. Wyskoczył na wystający kamień i obłąkanym głosem

---

\*) W czasie kampanii adriatyckiej plut. Wasilewski w dniu 4 lipca  
pod Filtotrano z trzema śmiałkami (kpr. Matuszyk, st. strzel. Jele-  
niewski, strz. Frącek) dwukrotnie w ciągu nocy wkrada się w środek  
silnych pozycji nieprzyjacielskich, za drugim razem urządza Niemcom  
zasadzkę na ich własnych śmieciach, masakrując ich z tomsonów.

Następnego dnia ci sami żołnierze robią w biały dzień wypad pod  
dowództwem starego weterana (Virtuti z tamtej wojny) chor. Plewki.  
Gdy, wypenetrowawszy wszystko, wracają, ukryty w niepozornym kur-  
niczku szwab rąbnął ze szpandą idącego przodem Wasilewskiego. Wa-  
silewski, któremu kula przeszła perś na wylot, przebiegł bez opatrunku  
do swoich 400 metrów. Nasi gruchotali jak wściekli z czego kto mógł,  
pragnąc osłonić ten odwrót. Plewko padł zabity, Wasilewski dobiegł.  
Cały purpurowy od własnej krwi, tylko błądy śmiertelnie, o zapadniętych  
policzkach, uszły z krwi, powiedział, kiedy go koledzy podchwycili na  
ręce:

— Będę ze śmiechem umierał — trzech własnoręcznie i na pewno  
ustrzeliłem.

Ale nie umarł. I może nawet dotąd żyje.

krzyczy: „Niemcy, zabijcie mnie!”. T... ściągnął sierżanta, przyniósł go na swych barkach po trzech dniach na punkt opatrunkowy. Dowlóktszy się, zemdlął.

Nocy tej (jak później się dowiedziałem) walczył o swoje życie pchor. Rysiecki z obu nogami potrzaskanymi przez serię szpadała, którego omdlonego na pobojowisku pozostawił kpt. Pawulski, przypuszczając, że zmarł (tyt. 70).

Przytaczam opowiadanie kpt. Pawulskiego:

„Tymczasem pchor. Rysiecki ocknął się ponownie z omdlenia. Widząc, że jest sam, zaczął powoli na rękach ciągnąć się w dół. Jak mi potem w szpitalu opowiadał, bał się, że przyjdą Niemcy i zabiorą go. To mu dodało sił. Tak natrafił na stanowisko, w którym leżeli pchor. Szaroleta i sanitariusz Loga. Ci zaopiekowali się nim. Postanowili czekać do wieczora, bo ciągły ogień KM nie pozwolił im wyjść ze schronu, a gdy zapadł zmrok, wzięli rannego i udali się w kierunku ścieżki. Po zejściu do podnóża Widma rozpoczął się ogień artylerii nieprzyjaciela. Po chwili sanitariusz Loga został ranny. Pchor. Szaroleta widząc, że nie da sobie rady z dwoma rannymi, sam wyczerpany zupełnie, ułożył Rysieckiego w dość bezpiecznym miejscu, pozostawiając mu swoją czekoladę, następnie udał się do 14 baonu, prowadząc pod rękę Logę, by ściągnąć pomoc. Niestety, rannych na polu leżało jeszcze tylu, że trudno było znaleźć ochotników, którzy by chcieli z nim wracać aż pod Widmo. Gdy wreszcie po kilku godzinach dwóch znajomych żołnierzy zgodziło się z nim iść po rannego, nie zastał go już w tym miejscu. Pomimo poszukiwań aż do świtu, powrócił do 14. baonu bez kolegi. Tymczasem Rysiecki po odejściu Szarolety zasnął na chwilę. Gdy się obudził i nie zastał nikogo koło siebie, począł się czołgać doliną w kierunku Gardzieli. Tak czołgał się całą noc i następnego dnia aż do popołudnia. W pewnej chwili natrafił na leżącego jakiegoś żołnierza, który utracił wzrok i twarz miał zmasakrowaną. Chodzić wprawdzie mógł, ale nie widział i nie wiedząc w którą stronę się udać, czekał. Po krótkiej naradzie ślepy wziął rannego na plecy i tak, pomagając sobie nawzajem, doszli o zmroku do pierwszych naszych czołgów. Pancerniacy szybko zaopiekowali się nimi tak, że w nocy 13-14. V. 44 r. obaj otrzymali pierwszą pomoc lekarską”



## (90) W. P. O. I SANITARIUSZE

W. P. O. — wysunięte punkty opatrunkowe obu dywizyj, do których ściągnęły te niedobitki z gór, pracowały tu u wejścia na arenę — za stokiem góry Majola, tam, gdzie do wznoszącego się terenu dobiega dolina Rapid o.

Kierownik W. P. O. Karpackiej dywizji lek. por. Dehnel, tkwi tu na posterunku od początku, kiedy przed trzema tygodniami obejmowaliśmy teren. Przybywającego — niegościinnie powitała ta groźna dolina — trzema przestrzelinami w sanitarce.

Sióstr tu nie ma — jak w ogóle w całym „przyczółku desantowym”. A dolina — aż goreje kwiatami. Ale to kwiaty przeklęte — nie dadzą się wplatać we włosy. Saper poszedł narwać maków i został na minie.

WPO przywarował w rozbitym domku, w którym już mieścił się punkt opatrunkowy poprzedników. Okrył się wielką płachtą Czerwonego Krzyża — ale cóż znaczy płachta w tej zadymionej i ostrzeliwanej dolinie.

Pracowali — drobnicą. Klientów dawały baony przestonowe, saperzy, łącznościowcy, kierowcy. W ciche noce słychać było z pozycji niemieckich *achtung*, przytłumiane przez kapele słowicze.

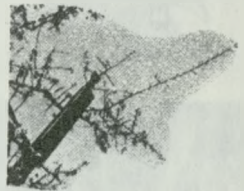
Detonacje i słowiki, maki i miny, primavera i wojna.

Kiedy zaczęliśmy natarcie, wzmoenił WPO swój łańcuch 14 posterunków po 8-10 noszowych, rozstawionych co 150 metrów — aż do lekarza baonowego, który tkwił 400 metrów od linii.

Znosili z gór swych rannych kolegów — pod ogniem nie-



Por. lek. Dehnel





Strz. Iwaszkiewicz

przyjaciela wśród własnych stanowisk moździerzy i drogo płacili krwią: zginął st. sanit. Ostrowski z 1. komp. sanit., odniósł rany noszowy Iwaszkiewicz z 1. komp. sanit., zginął na 13. posterunku noszowy Trusiło z 2. komp. sanit.

Sanitariusz! — kiedy piszę o nim, piszę imieniem masy żołnierskiej, która stale prosi: „napisz pan o łapiduchach!...”.

Kiedy dowódca saperów Korpusu, płk Skąpski, spotkał na Drodze Polskich Saperów w dniu wczorajszym schodzących z walki żołnierzy bohaterskiej 3. kompanii saperów (tyt. 85) przystanęli — brudni, obdarci, pokrwawieni, poobtłukiwani, łapiąc powietrze w piersi:

— To nie nam dziękować, panie pułkowniku, to temu sanitariuszowi. I wzruszony d-ca saperów uściśnął człowieka w krwi, sanitariusza Kozłowskiego, który wyciągnął spod ognia tyłu jego żołnierzy.

Piechota — ma lekkie oporządzenie, pozwalające na wykonywanie lekkich przeskoków.

Saper — kryje się w nierównościach gruntu.

Rozpoznawca — kryje się za pancernem *carrier*.

Czołgiste — chronią ściany czołga.

Łącznościowiec — może wybierać chwile względnej ciszy, kiedy doskoczy do naprawy.

Sanitariusz, wzięwszy rannego na nosze, nie może go rzucić. Dla innych walka, okrzyki, uniesienie bitewne, zadawanie ciosów — ten cały *panache blanc* wojny. Sanitariusz jest skazany na męstwo pasywne, wymagające największego poświęcenia.

Noszowy Hryniowicz, 45-letni gospodarz spod Lidy, z drugiej kompanii sanitarnej, któremu dokonano laparatomii (otwarcia jamy brzusznej), prosto mi określił swój obowiązek:

— Trzymali my łańcuch noszowych pod Klasztorem a ta żelaza grzmiała, penkała bez przerwy. Wszystkie byli bite. Tak ja myślą sobie: tak cóż, wszystko równo ranne nie bendo leżeć. Jak tylko ruchnął się — aż tu jak dała... Ja sobie te kiszki zakrecił i myślą — nie już umierać przyjdzie się. Kolegi mnie znieśli — ależ zawalona było narodu — komu czas jednym





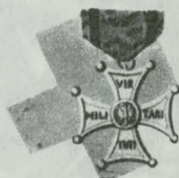
brzuchem bawić się — wszystkie myśleli co ze mnie nic nie bendzie. —

„Wszystko równo ranne nie bendo leżeć” — mówili sobie sanitariusze — ów Brzeziński, 2. BS., odznaczony Virtuti, który założył 37 opatrunków (tyt. 54), ów Radziszewski, 2. BS. (tyt. 76), odznaczony Virtuti Militari, półnagi, bo koszulę podał na bandaże, ranny, krwawy — wciąż opatrujący rannych, ów Kozłowski, saper (Virt. Mil.), zwijający się w zaminowanej Gardzieli, na którym kula dobija niesionego rannego (tyt. 85), ów Wroński, sam ranny (tyt. 59), podczołgujący się do umierającego, ów Falbowski, który założył opatrunki 50 rannym (tyt. 71), ów kpr. Jeżewski, który nie wycofał się z ppor. Romańskim, pozostając ze swymi rannymi w grocie i idąc do niewoli, te dwa patrole kolejne, które wyruszyły, jeden po drugim, na 593, by znieść samych siebie (tyt. 59).

Udzielali w równej mierze pomocy rannym Niemcom. Czytałem list. „Prawdopodobnie zobaczysz mnie gdzie w gazecie lub ilustracji. Zdjęcie było zrobione w czasie mojej pracy, w czasie, kiedy bandażowałem rannego jeńca. Wierz mi, że wolałbym go zabić niż udzielać pomocy, lecz trudno, to mój obowiązek, bez względu na to, czy on nasz, czy wróg”.



sanit. Kozłowski







Siedzą teraz pod ścianą WPO, nad którym łopoczą strzępki porwanej pociskami flagi Czerwonego Krzyża, szyje ich odcisnięte pręgami od noszy, oczy zaczerwienione z bezsenności. Jeden został zabity w progu wnosząc rannego, inny poległ o 50 metrów od WPO, dziesięciu zostało rannych.

Kpr. Sliwiński, od samego początku w brygadzie, tobruczanie, ze swoim patrolem noszowych cyrkulował nieustannie, pracując nieprzerwanie dwie noce i dzień (jest ranek 13 maja), dochodząc w każdym ogniu do każdego jęku.

Kpr. Jeżowski dostał się wraz z trzema sanitariuszami do niewoli.

WPO przeewakuował do tej chwili 500 rannych i teraz jeszcze nie przestają sączyć się tacy, jak plut. Wasilewski ze swymi jedenastu, jak st. strzel. T. z sierż. Uberną, jak ów ślepiec, który zniósł Rysieckiego z potrzaskanymi nogami.

Schodzą i inni, którzy byli — nieco dalej...



kpr. Sliwiński



## (91) U C I E C Z K A Z N I E W O L I

Oto —chłopak ledwo wlokący się, ale najwidoczniej nie ranny. Twarz — szerniała. Wszyscy ci ludzie wracający „stamtąd” mają szerniałe twarze i nienaturalnie błyszczące oczy.

Wyciągnął ręce po kubek — ręce jak mapa terenowa: fioletowe enklawy na nich, strupy, opuchlizny pęczniejące białą materią, nawbijane zastrzemy i drzazgi.

— Ktoście?

— Strzelec 4. kompanii 1. baonu, Kiszulko Włodzimierz.

— Ranniście?

— N-nie...

— Gdzieście chodzili?

— Ja od Niemców...

Dopieroż zaczyna opowiadać. Jest spod Parafianowa w województwie wileńskim.

— Ja chwila tylko co zabawił sie opatrunek zakładając jednemu co jemu kość wyszedzsy była z ciała; a tu patrza — nie ma jakbyśc już naszych. Tak ja tego rannego zaciągnął do jamy i sam — chodu... Ale nie wiem gdzie iść i na mina trafić bojazno. Tak ja ida po taśmie ale musi nie całkiem w ta strona, bo w ta pora z bunkra coś krzyczco. Myśla: nasze przecie byli odszedzsy, to tak ono i jest, że tam Niemcy bendo. A tu jak raz czołg stał — nic nie warty już, musi, bo pusty. Tak ja wskoczył do niego, a oni już leco do niego. Tak coż ty zrobisz — miał ja ze sobo karabin i strzelił. Jak widzi — jeden nogami nakrywszy sień, a inne nazad do bunkra pochowali sie. Tylko czuja ja, a tu po tej czołdze — brryś — ze szmajsera musi szmorgneli.

— I nie trafili?

— A ci ja głupi na wierzchu w czołgu siedzieć? Ja był schowawszy sień...

— No i co dalej było?

— A co — miał ja ci nie 150 nabo. Tak co oni wysuno sie, to ja strzelam. Wszystko równo — ich śmierć albo moja. Złuli sie \*) straszennie na mnie i dawaj atakować. Tak co

\*) Gniewali się.

było robić — ja strzelał. Ci może ich tam nie dwadzieścia sztuk zostało. Ależ na koniec patrza — a tu ładownicy pusty. Ja znaczy sień pomalutku, oszczędzam amunicji, ale co tu oszczędzisz, kiedy lazo. Pod wieczór ja został bez naboi, ze dwie godziny przeszła, póki ośmielili sie, a potem mnie jak parszuka z tej wieżycy wyciongneli i po mordzie dali. O — tego zemba nie ma. A te dwa ruchajoń sie. I kolbo po plecach przyłożyli.

— Nie chcieli was zabić?

— A chto jego wie... Oficer pytał sie, gdzie moździerzy postawione. Nu tak czepi sie — powiedz jemu i powiedz. A ja mówia: „A ci ja ich stawił? Nie ja ich stawił, to i nie wiem, gdzie stojo”. On pochyliwszy sie był do tłumacza znowu coś pytać, a ja w ta pora — w krzaki. Oni — dawaj strzelać za mno — tyłkoż ja nie dureń — oni strzelajo wprost, a ja zaraz dał sie w bok.

Bojąc się min i nowych spotkań, przedzierał się najgorszymi ostrokrzewami, licząc na to, że nikt tam min nie kładł, ani nikt tam na placówce nie siądzie i że łatwo w nich w razie czego, ująć pogoni. Pełził niezmiernie wolno. Stąd te napuchłe ręce i stąd dopiero na rano wychynał do swoich.

Ciężki to los — zbierać materiał. Ci co kłamią świadomie — to mniejsza. Gorszi, są tacy, którzy kłamią w pełnym przekonaniu, sami w to wierzą. Był jeden taki, który, sam w to wierzył, że zestrzelił jednego po drugim — czterdziestu lądujących spadochroniarzy. Ciężki to los — robić to, co nie wypada: odstąpić twarz trupa, pytać ciężko rannego, który potrzebuje spoczynku, pytać jeńca, który się boi i słania się na nogach, przeszkadzać w dowodzeniu, nie wierzyć...

Więc i teraz mówię:

— No jakże — toś cały dzień strzelał z tej wieżyczki, wychylałeś się z niej 150 razy i Niemcy nie mogli ciebie zdjąć ze szmajsera?

— Zdejm, bracie, koszulę — mówi lekarz.

Kiszulko zdejmuję koszulę. Niemcy mu zawizowali prawdę słów: na plecach fioletowieje niestychanie wyraziste odbicie piętki kolby karabinowej; w piętce dwie śrubki; w śrubce dolnej widać rowek; to od żłobka dla zakrętki \*).

\*) Pytałem następnie kolegów i przełożonych Kiszulki w jego kom-



## (92) R A N N Y D O W Ó D C A

— A może panu redaktorowi kanapczkę? — zaprasza uprzejmie lekarz. Przez próg stoją — umieszczone na krzyżakach stoły operacyjny i infuzyjny, a pod ścianami nosze z rannymi. Przez drugi próg — leżą trupy jak pnie obkorowane, przycięte. przygotowane do spławu.

— Z boczkiem, czy z serem?

— Czy mógłbym też co dostać? Trzeci dzień nie jem.

Rzuciliśmy od apetycznych kanapek wstecz za siebie trwożliwe spojrzenie — skąd szedł głos. Przybysz, który wszedł nieznacznie i siadł na zydłu, był czarny, brudny, obdarty i obandażowany. I tak samo mu oczy gorzały gorączką, jak im wszystkim w te dni.

Zakrzętały się koło por. Musiała — on to był bowiem — dowódca 4. kompanii 1. baonu (tyt. 81). Odniośszy pięć ran, poszarpany na concertinie, leżał pół nocy i dzień na placu boju, potem całą noc szedł półtora kilometra, aż doszedł tu.

— Ale przynajmniej pić miał pan co — wskazuję na przytroczoną manierkę.

Odpiął:

— Niech pan spróbuje.

Przechyliłem manierkę. Nieraz zdarzało mi się pić wodę trącącają naftą. Ale to, czego się napiłem, to była oleista ciecz. Brakło baniek do wody, bo oddziały nieporządnie zwracały i część zapasu wody wysłano w blaszankach po benzynie.

Porucznik mówi nam o tym, jak rozbito jego kompanię, a lekarze opowiadają co widział WPO: rannego płk Peszka, dowódcę 1. brygady, który mówił, że ogień pod Medaurem w Tobruku jest niczym w porównaniu z ogniem na 593; smutne resztki 2. baonu, schodzącego w dwunastu ludzi, którzy nieśli chorążego — sam sobie przeciął skórę, na której wisiła oderwana noga. Twardy chłop!

panii. Mówili, że to będzie dzielnym żołnierzem, że w czasie walk poprzednich porwał wrzucony na nasze pozycje granat ręczny niemiecki i odrzucił, zanim granat zdążył eksplodować. Człowiek, do którego się schował, to był jeden z porażonych żołnierzy, który z czasu amerykańskiego natarcia.

No, a czy tam natarcie... się bronili i dwudziestu Niemców utruki... to już inna sprawa.





(93) A ŚWIATŁO WIEKUISTE  
NIECHAJ IM ŚWIECI!



Blask pełny już wszedł i gra na dolinie. Pewno tam na Widmo, na 593 ruszyły patrole sanitarne z obu stron i przykładają do ust manierki z wodą. Czas oderwać się od gehenny konających, trzeba widzieć co robią żywi.

Wychodzę za próg, mijając zmarłych. Zyli jeszcze w nocy i kurtuazyjnie ustępowali sobie wzajemnie: „Niech doktor jego wpierw opatrzy, on ciężej ranny...”.

Teraz leżą z nogami powiązanymi drutem — tak wygodniej będzie — tak wiciną wiążą splewiane drzewo.







W drodze mijają mnie łożyska z dorobionymi szynami, którym można ewakuować dwu rannych. Ranni są pokryci z głowami kocami. Kiedy mnie minęli, widzę, że noga spadła z ramy i zwisa. Wołam, by zatrzymali. Ale okazuje się, że i łożyskami ewakuują trupy, że to jednemu rozplótł się drut.

Pomagam coś tam wiązać te nogi. Ale kiedy łożysko znów ruszył czuję, nagle, dławiący żal, dławiącą krzywdę, której nie czułem, widząc tyle śmierci, słysząc o tylu śmierciach.

Stoję na drodze polnej, w blasku słońca, w zapachach ziół i maków. Taką drogą u nas wieźli na wiejski cmentarzyk ciało, a przed trumną szedł ksiądz, a za trumną szli ludzie i płakali. A potem ciało spuszczały w grób na tym miejscu, na którym od dzieciństwa wiedział, że spocznie, a potem długo



mówiono o jego ostatnich chwilach, wieszano fotografie, przeglądano pamiątki, rozdzielano zapisy i rzeczy po nim krewnym i przyjaciółom, dawano na msze w pierwszą oktawę i w rocznicę, przez rok noszono żałobę — i tak tłała pamięć ludzka na ziemi, jak równocześnie tłało ciało w ziemi, przetwarzając się w siły twórcze gleby.

Czułem potrzebę klęknąć przy drodze i zmówić „Wieczne Odpocznienie” i prosić o Swiałość Wiekuistą tym spętanym nogom i wiem, że prosiłbym o zadośćuczynienie całemu memu narodowi.

Zawarczał następny łazik. Poszedłem — do odległego o 200 metrów wylotu Drogi Polskich Saperów. —







D G I N A N I E S I E





To tu, na Drodze Polskich Saperów, przedwczorajszej nocy (tyt. 83), wczorajszego dnia... Zatory, strącane czołgi i działa, miażdżeni ranni, idące do ataku bataliony, zabijani...

Teraz Droga — pusta. Czasem przemknie łazik — mignie błąda twarz pod nasuniętym hełmem, kresa zaciętych ust — opętaniec. Bo w Drogię — biją.

Dopiero po chwili pełznący pod górę człowiek wyznawać się poczyna w życiu Drogi. Na prawo ukleccili sobie schron żandarmi i... regulują ruch. Bo Droga — w tej minucie pusta — w następnej może spęcznieć w nieprawdopodobne wehikuły





i nieprawdopodobnych turystów. Ci żandarmi, którzy na niej regulowali ruch w te dni — przeszli *stage* regulacji ruchu w piekle na imieniny Belzebuba.

Na lewo, w *car-pareu*, aż roi się pod siatkami maskowniczymi, pod każdym kamyczkiem.





Na prawo, gdzie wejście do jarów A. i B. pnie się pod strome pęknięcie ziemi ciepła przytulność zasiedzenia ludzkiego; tak myśliwy, pochyliwszy ucho do nory, czuje puszystość zatajonego zwierzęcia i jego szybkie bicie serca.

Jak spojrzeć w oczy tym ludziom, którzy wszystko z siebie dali? Do jakich słów, do jakiej postawy psychicznej, do jakich umocnień na duchu, do jakich pocieszeń jestem uprawniony, — człowiek siedzący w miejscach spokojnych, kiedy oni się tu krwawili?

Pocisk rąbnął — za blisko. „Przypikowałem” pod ścianę i nagle za workami odkryłem ciepłe gniazdo ludzi. Podnieśli na mnie nosy czarne od jakiejś sadzy. Wyglądali nieco jak pisklęta, które otwierają dzioby.

— Czy Klasztor już zajęty?

Wstała we mnie żałość, której goryczy i teraz, kiedy wiem, że z niczego nie rezygnujemy, nic nie może usunąć Żałość wrzeźnia. Kiedy na drogach ucieczki pytali ludzie, czy prawda, że przyleciało sześćset samolotów angielskich, czy prawda, że pancerna dywizja niemiecka wyleciała na naszych polach minowych.

Na tej Drodze, pełnej zaduchu trupiego i swądu spalenizny





— panowała czysta i rześka atmosfera wierzących i walczących pierwszych dni wrześnieowych

Kilka twarzy z plamami sady na nosach, podniesionych ku mnie z nad worków — dziwnie przypominały rozwarte dzioby piskląt.

Jeśli gdzie są i żyją, jeśli trafi im do rąk ta książka — niechże ją przyjmą ode mnie jako nawiązkę za wiadomości zbyt nikłe, za pokrzepienie zbyt małe, jakie mogłem dać wówczas.

Droga się wypiętrza. Tu jest punkt, w którym na hamulcach ręcznych wisiał trzymany mdlejącymi rękami czołg, nim po dwóch godzinach runął w przepaść. W lewo w dół z tej przepaści teraz dochodzi huk — to moździerze Karpackiej. Cenne to pociski — dostawiane samochodem ciężkim, potem lekkim, wreszcie znoszone przez noszowych tą ścieżką przemysłnie przeprowadoną przez saperów (tyt. 38).

W noc wczorajszą — z 11 na 12 maja specjalny obserwator moździerzowców siedział pod drogą i alarmował, gdy z drogi leci głąz — a wówczas wszystko się chowało. Dwóch ludzi spadło tej nocy i potłukli się, ppor. Burzyńskiemu przyniozło biodro bantamem.

Moździerze Kresowej dywizji mają stanowiska od Drogi



w prawo, a więc w górę. Jest to jar A, w którym gnieździ się również 13. baon. Jar pnie się stromizną 60 stopni. Żołnierze — resztki 13. baonu, siedzący w nim po wczorajszej masakrze, z trudnością znajdują załamki o tyle, o ile płaskie, by się nie zsuwać. Trzeba podbierać nogi — środkiem przepycha się charkot i rżenie krwawego trudu noszowych amunicji dźwigających do 54 kilogramów — zwłaszcza tych z 18. baonu, którego moździerze stoją najwyżej.

Jest rozpacz z załatwianiem potrzeb fizjologicznych. Pouczano żołnierzy, żeby posiłkować się blaszankami po konserwach, ale blaszanki nie ma gdzie wyrzucić. „Pocisk się rozerwał” — opowiada jeden z żołnierzy — „co poleciało na głowę — myślę, że mnie trzaśnie odłamek, ale to na szczęście było g... od tych wyżej”.

Chłopak z p-panców, które w tej bitwie nie miały zastosowania i poszły do służb pomocniczych, zsuwa się właśnie z jaru. Z podkoszulka, który był białym, wyrasta prosta łodyga szyi opalonej na brąz, konary ramion powiązanych węzłami mięśni.

Chłopak ładuje w nosidła, które ma na plecach 6 naboji do ciężkiego 4,2 moździerza każdy nabój — 9 kilogramów. Pójdzie teraz — dwudziesty raz z takim ciężarem.

— Nie odpoczniesz?

Łokciem startł pot spływający na oczy. Oczy wyjrzały — dobre i mocne. Uśmiechnął się szeroko:

— Tydzień już tak nosimy — pogładził opakowanie — to najlepsza odpowiedź „Wandzie”.

Kto był w te dni między żołnierzami, będzie na całe życie wiedział więcej coś o Polakach, niż inni\*); będzie się czuł z nimi bliżej — tak blisko jak w tym jarze, w którym ze wszystkich stron wyciągały się do przybysza manierki — z ich nędzarskimi racjami wody.

\*) *Przypisek po bitwie:* Czytałem listy wysyłane w tych dniach — po odparciu naszego ataku, w tych dniach, kiedy oczy żołnierza widziały tylko nieskończone szeregi sanitarek i kiedy żołnierz orientował się już — że nie poszliśmy naprzód. Zabawny naród Polacy! — wybuchła, wtedy, w dni klęski, — istna gaskonada listów. „Albo wszyscy przepadniemy, albo pójdziemy naprzód!...” „Wszystko równo ich dostano — nie może inaczej być” (list do żony w Afryce). „To cóż, że były straty; nie można ciągle wierzyć w cuda; a zresztą za cuda trzeba też płacić”.

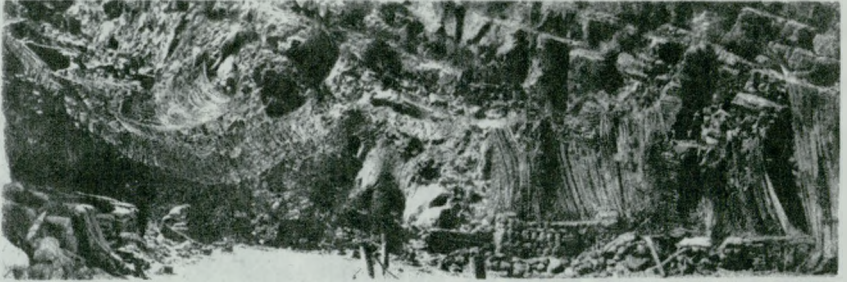








## (95) JAK WYGLĄDA NOWA SYTUACJA?



Tuż przy jarze moździerzowym Kresowej mieści się dowództwo Wileńskiej brygady, w którym kwaterę sobie obrał pułkownik Rudnicki, dowodzący całością.

Ta „kwatera” — to grotka kuta w skale, obłożona workami.

M. p. dowódcy brygady Lwowskiej jest pałacem wobec tego schronu. Ale bo też inaczej nie można by dowodzić z punktu na tej Drodze Saperów, dzień i noc obkładanego ogniem.

Kiedy przybył wczoraj płk. Rudnicki, zastał w dowództwie brygady przy całkowitym opanowaniu duże przygnębienie.

Z pozycyj 14. batalionu meldują się dowódcy batalionów, które były na Widmie:

Ppłk Domoń — 18. baon — ma przy sobie 30 ludzi.

Ppłk Stoczkowski — 15. baon — ma przy sobie 7 ludzi.

Ppłk Kamiński — 13. baon — ma przy sobie 3 ludzi.

Jaka sytuacja? — Nikt się nie orientuje. Ogień szalony. Ze zbroczy sphywa masa ludzi — pokrwawionych.

Niemieckie patrole podobno weszły na 706. To już na tyłach tego czegoś, co się trzyma wątlą tkanką jako przestonowy 14. baon. Do nieubezpieczonych gniazd naszych moździerzy podsuwali się Niemcy na 100 metrów. Moździerze zanościły się, jak zanoszą się szczekaniem wiejskie psy, kiedy podchodzi obcy. Strzelały już całą noc — lufy były tak rozpalone, że dodatkowe ładunki, mające wzmoćnić pocisk, zapalały się i pocisk nie miał siły. Widziałem dziewiętnastolatka, bomb. Wójcika, który rozbroił 17 niewypałów. Kiedy pocisk zostawał w lufie, wypadał z workiem, przez który chwycił rozpaloną lufę, wyjmował ją z obsady, przechylał i wytrząchał niewypał.







Chłopcy wylewali na lufy z manierek swoje skromne porcje wody, a kiedy jej nie stało, mocz zbierano do puszek jak skarb.

To wtedy poszedł — przeciw fali uciekających, przeciw fali rannych, przeciw fali tatarskich wieści — batalion szesnasty, to wtedy pękaty kpt. Bieganowski rozstawił kordon zatrzymujący, a mjr Stańczyk obsadził linię 14., nie wiadomo bowiem było, czy Niemcy nie pójdą za odwrotem.

Gen. Anders począł formułować ocenę sytuacji.

Jest jasne, że Niemcy postanowili postawić tu główny opór. XIII korpus w dolinie Liri miał 3,000 strat na przeprawie i niemal nie ruszył się naprzód. Gdzieś ten główny opór przełamać należy. Uderzenie Korpusu było niezbędne dla całości operacyjnej — wiązało siły niemieckie, trzy bataliony mogli zadysponować zaledwie przeciw XIII korpusowi. Jeśli tu, na liniach Gustawa i Hitlera główny opór przełamać, to nieprzyjaciel nie zdąży się umocnić na północy na linii Gotów, to tu rozstrzygnie się los kampanii włoskiej.

Ale trzeba natychmiast uderzać, nie dać się opamiętać nieprzyjacielowi. Żołnierze się pozbierają, straty nasze — z każdą chwilą to się staje coraz oczywistsze — nie są tak absolutne, jak wnosić można z meldunków.

429





*Chodź, bracie! — wyciągnął przed obiektyw gen. Bohusz-Szyszko  
st. sapersa. / Droga Saperów 14.V. /*

Niemcy też ponieśli ogromne straty, jeńcy to potwierdzają jednoznacznie.

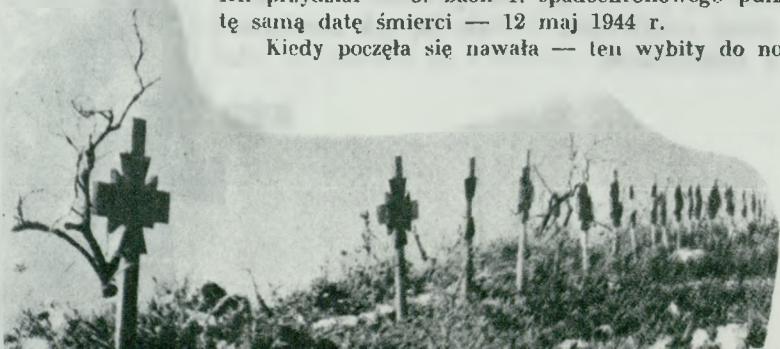
Poszły więc rozkazy od dowódcy Korpusu w dół, przyjechał z nimi do Kresowej dywizji zastępca gen. Andersa, gen. Bohusz-Szyszko, przyszedł wraz z nim i tu, na Drogę Polskich Saperów.

I dowódca natarcia Kresowej, płk Rudnicki, wypełniając te rozkazy, włożył cały wysiłek nie w obronę a w przygotowanie nowego natarcia.

---

Na równinie pod St. Lucia widnieje oryginalny cmentarz niemiecki. Świeczko ustawione krzyże noszą pod nazwiskami poległych ten sam ich przydział — 3. baon 1. spadochronowego pułku i na każdym krzyżu tę samą datę śmierci — 12 maj 1944 r.

Kiedy poczęła się nawała — ten wybitny do nogi batalion wspiął się





Każe pościagać i zreorganizować bataliony, podciąga baon 17., otrzymuje komandosów i oddział szturmowy 15. pułku ułanów.

Dzisiaj rano Niemcy ruszyli wprawdzie do natarcia. Nasza artyleria pomarudziła chwilę dla skoncentrowania jak największej baterij — i jak plunie!... Z czystym sercem — swoich na przedpolu nie było. Nici wyszły z natarcia.

W ogóle artyleria tyle ma jeszcze zapasów na stanowiskach, w porcjach „R” w jaszczach i wozach amunicyjnych, w 2. linii i w dywizyjnych punktach amunicyjnych, że do drugiego natarcia jest gotowa choćby dzisiaj.

Lotnictwo też dzisiaj sprawia się dobrze. Od godziny 9 minut 30 do samego wieczora szła co pół godziny fala za falą. 149 lotów na tę dokuczliwą ciężką artylerię niemiecką w rejonie Attina - Belmonte; zaobserwowano cztery wybuchy amunicji i artyleria zmiłkła. Na moździerz na Passo Gorno 39 lotów, na ruchy podejrzane w rejonie St. Lucia, gdzie Niemcy coś starali się ukryć zadymianiem — 20 lotów, na Klasztor 30 lotów.

220 lotów dla nas, gdy dla całej 8. armii 203, dla całej 5. armii 318.

Alianci widzą nasz wysiłek, doceniają zadanie, współczują stratom.

Nie, nie ma mowy o załamaniu. Jest mowa — o marszu w przód.

I płk Rudnicki każe artylerii wstrzeliwać się do bunkrów, piechocie wytyczać ścieżki i organizować patrole szturmowe.

od St. Lucia po zboczu St. Angelo, aby złuzować 2. batalion 100. wysokogórskiego pułku 5. dywizji niemieckiej.

Przy przystrzeliwaniu się przed godziną „H” na St. Angelo nasz PAC wydłużał coraz bardziej ogień na prośby naszej piechoty, siedzącej na wyższym od St. Angelo 706, piechota bowiem skarżyła się, że pułap jest za niski. Artylerzyści sarkali „Panu Bogu w okno mamy strzelać...”, ale celowniki przedłużone pozostały i zniszczyły ów drapiący się pod górę batalion natarcia.



## (96) U CZOŁGÓW „NA JEŻA”

Z dowództwa Wileńskiej brygady już nie tak daleko do Gardzieli — miejsca wczorajszej bitwy o nią. Nie bardzo daleko, ale b. stromo. Pod ścianą, nakryte kocem, leży ciało zmiażdżonego przez czołg por. Jurkowskiego.

Czołgi zmasowały się na tzw. Żbiku — *plateau* na prawo, tuż przy pozycjach 14. baonu.

*Plateau* — to plac rudej porytej gąsienicami i pociskami ziemi. Czołgi na tym placu przypominają mi jakiś film fantastyczny, widziany przed laty: zachowała się wyspa z fauną z czasów przedpotopowych. Zbłąkany na nią turysta widzi polankę z pasącymi się ichtiozaurusami. Kiedy które z monster zbliża się w jego stronę, ogarnia go przerażenie.

Czołgi stoją spokojnie, ale przeraża coś innego, hulającego po polanie — wybuchy. Chodzą stadkami. Właśnie ryją grunt między drogą, z której się idzie a czołgami. Potem seria się przemosła za czołgi. Można więc iść.

Bractwo pancerne porobiło sobie dołki pod czołgami i siedzi względnie bezpiecznie.

Czołgi na Żbiku





Ppor. Żołnierczyk i ppor. Piłatowicz \*) robią honory domu. Przeszli tu całą noc po akcji i są niespokojni, bo nie czują przed sobą piechoty.

Ppor. Żołnierczyk wskazuje głową odzianą w hełm, w którym pocisk zostawił wgłębienie, na domek, w którym dawniej było dowództwo 14. baonu, odległy o jakie 200 metrów — stamtąd dziś ostrzelał ich świetlnymi pociskami patrol niemiecki.

Kolejna seria kładzie się między nami i domkiem, wyrzucając żółte fontanny gliny.

— Tak ciągle — mówi ppor. Piłatowicz — ale nie to jest najgorsze — to można przeczekiwać pod czołgiem; najgorsze dla czołgów to jest brak osłony \*\*). Czołg jest w nocy ślepy. A tu nie wiadomo, gdzie jest nieprzyjaciel. Całą noc pukali szmajserowcy świetlnymi pociskami po naszej stronie, kierując ogniem swoich moździerzy. Podobno szukają ich po krzawkach, ale bezskutecznie.

— W ogóle teren jest dziki i niczyj — mówi ppor. Żołnierczyk; dziś w nocy widzimy o tam, o kilkaset metrów — ktoś idzie; zbliża się — macha chustką; okazało się, że nasz chłopak, który uciekł z niewoli.

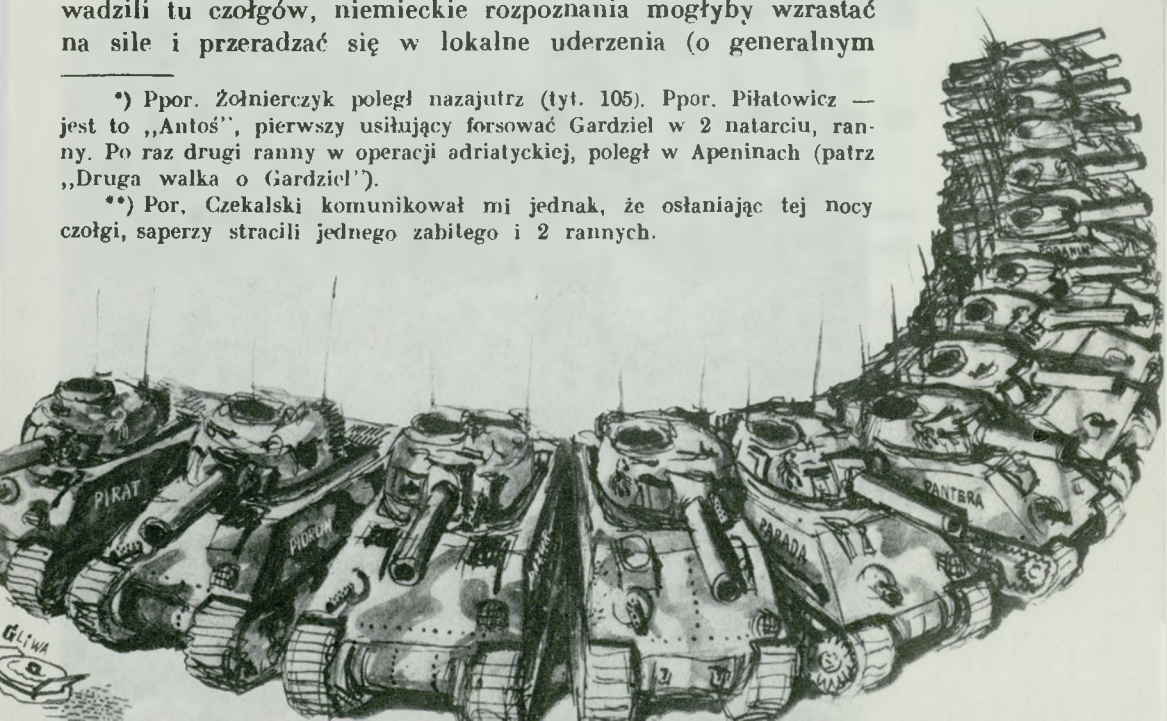
I tak tu tkwią, ubezpieczając się sami jak mogą. Mają tę świadomość, że razem z dwoma bateriami na gąsienicach, które również się wwindowały i również nie zeszły, reprezentują siłę ognia trzydziestu dział i 60 cekaemów. Żeby nie wprowadzili tu czołgów, niemieckie rozpoznania mogłyby wzrastać na sile i przeradzać się w lokalne uderzenia (o generalnym

\*) Ppor. Żołnierczyk poległ nazajutrz (tyt. 105). Ppor. Piłatowicz — jest to „Antoś”, pierwszy usiłujący forsować Gardziel w 2 natarciu, ranny. Po raz drugi ranny w operacji adriatyckiej, poległ w Apeninach (patrz „Długa walka o Gardziel”).

\*\* ) Por. Czekalski komunikował mi jednak, że oślaniając tej nocy czołgi, saperzy stracili jednego zabitego i 2 rannych.



Ppor. Piłatowicz



natarciu mowy być nie może: te siły, które z nami walczyły, były ograniczone ilościowo linią bunkrów; wszystko nieosłonięte byłoby bez pardonu zniszczone; siły te ledwo zipią, a nowych doprowadzić nie dopuści nasza artyleria).

Żegnam się, bo i im pilno zapewne podczołg i ja chciałbym za górkę. Leje tak wielkie, że całyczołg w nich się skryć może, które tu zostawia ciężka artyleria, bijąca o 12 kilometrów z Attiny oraz z rejonu Roccasecca, mówią, że nie ma co tu pozaczołgiem wystawać. Nocą ciężki pocisk pechnąłczołgdowódcy — dowódca obudził się i wymyślał — „co tam za bałwan najeżdża”.

— A może pan chce się widzieć z dowódcą?

Ale ja wolę być za górką. I nie poznałem kpt. Iwanowskiego, który w drugim natarciu poległ.

Kiedy odchodzę z godnością — że to niby późno, muszę być za światła w dywizji, bo się tam beze mnie nie obejdą i naturalnie tylko dlatego nie przedłużam tego przyjemnego pikniku na polance — nowe serie idą na „Żbika”. Czołgi już mają kilka chłodnic rozbitych; może teraz znowu trzasnęło którą. Na szczęścieczołgistów nie trzasnie — siedzą sobie pewno podczołgiem i są radzi, że nie potrzebują świadczyć honorów domu ciekawskim — niech ich szlag trafi!

*Gość poszedł — mogą wracać „do siebie”*





Kiedy schodzę w dół ku dowództwu Wileńskiej brygady, płk Rudnicki, który kiedy odchodziłem, położył się zdrzemnąć, już czuwa.

Już częściowo rozpoznał teren — odkryły się źródła ogni nieprzyjacielskich.



Czołgi stoją na górze — strzegą.

Jest to niewątpliwy zysk — następne natarcie będzie już miało te elementy gotowe od pierwszej chwili.

16. baon się wgrzyźł.

Ma też płk Rudnicki zgrupowane, gotowe, częściowo nietknięte odwody — atut w starciu dwóch przeciwstawnych wól.

Chwila jest przedwieczorna. Dają mi łazika do powrotu. Żegnając się z płk Rudnickim patrzę chciwie — tak się nigdy nie patrzy na ludzi, jak w bitwie. A może to tylko ja tak patrzę — z obowiązku sprawozdawcy. Zawsze myślę, że może już nie zobaczę tego człowieka nigdy — jak pożeganego

przed chwilą ppor. Żołnierczyka. I staram się odgadnąć — co myśli ten człowiek.

Przypominam sobie, co mówił — o ostatniej odprawie swego pułku w dzień kapitulacji Warszawy. Konie stały posiadłane, a rtm. Ksyk i por. Koziebrodzki przeżyli się przed nim meldując, że nie usłuchają rozkazu, że zaszarżują.

Wówczas im przypomniat słowa Piłsudskiego:

**„KTO NIE UMIE PRZETRWAĆ  
KŁESKI,  
TEN NIE JEST WART  
ZWYCIĘSTWA”**

**PIŁSUDSKI**

i młodzi oficerowie usłuchali.

Teraz — słowa te były znów pełne wagi i czas ciężki, ale inny.

I wiem, że ten oparty o skałę człowiek — zaszarżuje.

Dali mi w brygadzie łazika — jednego z tych — z kresą ściągniętych brwi pod okapem hełmu. Pociski biją przez jar w stok — ale kierowca jedzie; widać ma jakieś poczucie nieokreślonego bezpieczeństwa — że to „z tamtej strony” — tak jakby pociskom potrzebny był most Bailey'a.

Bo kiedy przeniosło się na tę stronę — stanął przy skale.

— Czy tak bezpieczniej? — pytam (może rządzi nim jakieś doświadczenie nabyte).

— K... wa mać — machnął rozpaczliwie ręką i pojechał. Był to więc tylko odruch, impuls. Jeśli przez taki impuls się ginie, to nikt nic nie mówi. Ale jeśli przez taki impuls uniknie czego, to się bzdurzy o intuicji i wycuciu niebezpieczeństwa.

W dowództwie 5. dywizji znajdują gen. Bohusza-Szyszko, zastępcę dowódcy Korpusu i nowe wiadomości.

O godzinie 16 przyjechał do Korpusu dowódca 8. armii, gen. Leese, uśmiechnięty, pogodny, dziękujący za odciążenie sił niemieckich, pełen myśli o nowym natarciu. Dowódca armii ujął serca żołnierskie uczciwym i koleżeńskim stosunkiem.



Plk Rudnicki



W czasie kolacji — wypróbowanym systemem — pożartuski — muszą być w dniu chwile odprężenia. Gen. Bohusz-Sziszko opowiada, że leczy się tylko u ginekologów. Ginekolog go w tamtej wojnie ustrzegł od amputacji ręki, ginekolog teraz w Teheranie, kiedy odświeżyła się rana, postawił na nogi.

W czasie kolacji wchodzi oficer:

— Panie Generale, czy można podać wiadomość? Kwatera Kesselringa — zbombardowana. Kwatera X armii niemieckiej



Gen. Bohusz-Sziszko



też (p. m. każdy z tych celów bombardowało 65 ciężkich bombowców). U nas bomba z samolotu niemieckiego rzucona na Gdańsk raniła Hindusa.

— No, skoro Hindusi są w Gdańsku, to znaczy, że inwazja się zaczęła — żartuje gen. Bohusz-Szyszko.

I chociaż przygotowane na świt dnia dzisiejszego ponowne natarcie Korpusu dowódca 8. armii odłożył ze względu na wolne postępy XIII korpusu, najprzód na świt dnia dzisiejszego, potem na jutro, a obecnie — na pojutrze, chociaż trwanie po rejonach wyczekiwania męczy żołnierza i niszczy nerwowo — udajemy się na spoczynek odgięci psychicznie, przygotowani do nowych zadań.

U nieprzyjaciela stwierdzono ruchy z St. Lucii na Piedimonte i w kierunku południowym do szosy Nr 6 i zadymianie St. Angelo \*).

Oni też się przygotowują.

Trudno jest zasnąć w jaskini zbójców... Z tyłu na prawo

\*) *Przypisek po bitwie:* Po pierwszym natarciu, naciskani z doliny Liri, której, jak już wspomniałem, broniły przeciw XIII korpusowi tylko trzy baony niemieckie, Niemcy zdjęli z Corneo 1. baon 1. pułku spadochronowego i to właśnie oznaczały te ruchy. Miejsce opróżnione zajął 4. samodzielny batalion alpejski, podczas pierwszego naszego natarcia raczej biernie trzymający Cairo.



*Ukończyli zadanie.*

strzela ciężka p-łot. Na spanie nie ma gorszej cholery jak ciężka p-łot. Chłopcy nie są pozbawieni humoru. Po zakończonym strzelaniu telefonują do dowódcy:

— Meldujemy, panie pułkowniku, że ukończyliśmy zadanie.

— A wiem — mruczy markotny pułkownik, któremu całą noc nie dali spać.

Zresztą — wszystko jest względne. Opowiadał mi Kanaadyjczyk, że spali pokotem pod baterią ciężkich pelotek doskonale. W środku nocy jakiś kocur poszedł wzdłuż rzędu śpiących pomiaukując; pobudzili się wszyscy — rzucał w kocura kto w Boga wierzy — czym kto miał.

Może i mybyśmy się przyzwyczaili do tej ciężkiej pelot (nb. strzelającej poziomo do celów ziemnych), gdyby nie ciężka bateria umieszczona nad głową, która dawała salwę — co kwadrans.

Gdyby strzelała ciągle — człowiek by spał; gdyby strzelała nieregularnie — człowiek by spał. Ale wiedziało się — że dom

**438**







zatrzęsie się w posadach za kwadrans. Starato się zasnąć prędko. prędziutko — w ciągu tego — kwadransa i właśnie rrrrymmm... Człowiek się ocykał z urazą, z najświętszym przekonaniem, że właśnie mu brak do zaśnięcia było — tylko ułamka minuty, którego nie zechciało im się zaczekać.

I wówczas, w tym kwadransie za kwadransiem przymusowego czuwania, wysłuchiwało się przez ścianę „jaskini zbójców” fajnego *speechu*:

— Podstawy pan zechciał? Panie poruczniku, ja tam przyjadę do was i taką panu spuszczę podstawę, że trzy tygodnie pan na niej nie siądzie...

Po chwili — nowe wywołanie telefoniczne i ciurkot monotony: transporty, załadowania, regulacja ruchu. tabele przesunąć... siekiera-motyka - piłka - kleszcze i mrrrr-mrrrr i mrrrr-mrrrr... Nagle raca:

— Na piśmie pan chce zapotrzebowania? Na piśmie za potrzebuję pana, ale do domu wariatów. Rozumie pan? Wojna jest, ma to być natychmiast zrobione!...

I znowu zasypiam i znowu mrrr-mrrr-mrrr — to jednooki



mjr Jedziniak odprawia swoje kwatermistrzowskie godzinki, kiedy śpią inni, kiedy akcja — w przygotowaniu \*).

\*) *Przypisek po bitwie*: Mjr Jedziniak, o którego walce z czołgami daje relację książka Łużyca „Wrześniowym Szlakiem”, w czasie akcji adriatyckiej został trafiony, raz po raz, dwoma pociskami artylerii ciężkiej. Pierwszy urwał mu kiść prawej ręki, drugi rozplątał udo i bok. Myślano, że nie wyżyje... nie pozostała w nim częśćka krwi własnej — wlano w niego jej tyle ile sam posiadał. Jedna z operacyj trwała cztery godziny.

A przecież — żyje. Bez oka — które stracił we wrześniu, bez prawej dłoni, którą stracił w kampanii włoskiej — jest między nami, wraca, będzie służył w wojsku.

**KONIEC TOMU PIERWSZEGO**



# S P I S R Z E C Z Y

## I. WCHODZĄC NA RING — POZDRAWIAMY PO- PRZEDNIKÓW

1. W amerykańskiej kwaterze prasowej . . . . .	— 12
2. 36. Dywizja załamuje się nad Rapido . . . . .	— 14
3. Sukcesy Francuzów i 34. dywizji amerykańskiej . . . . .	— 20
4. 133. pułk wdziera się do miasta Cassino . . . . .	— 27
5. Kęści 135. pułku zostały na wzgórzu 593 . . . . .	— 32
6. Hotel „York” się bawi . . . . .	— 36
7. Drugie wielkie natarcie — Klasztor zburzony . . . . .	— 38
8. Royal Sussex zaściela trupem 593 . . . . .	— 41
9. Hindusi składają krwawe ofiary nienasyconemu 593 . . . . .	— 42
10. Maorisi kładą się jak łan zboża . . . . .	— 49
11. Trzecie generalne uderzenie i generalna rzeź . . . . .	— 50
12. Ave Maria! . . . . .	— 61

## II. NA POZYCJACH

13. Wjazd w wojnę . . . . .	— 64
14. Kolumna „diabłów” . . . . .	— 68
15. Melodeklamacja: jeden fortepian, jedno skrzypce, dwie baterie . . . . .	— 72
16. W wozie Inferno . . . . .	— 74
17. Trzej muszkietierowie . . . . .	— 81
18. „Drole de guerre!” . . . . .	— 83
19. 14. batalion na stanowiskach . . . . .	— 85
20. Wojna pozycyjna Karpackiej . . . . .	— 92
21. Wesoly „Melsyt” . . . . .	— 103
22. Patrolowanie przedpoła . . . . .	— 108
23. Baon 17. wypoczywa . . . . .	— 110
24. Bo taki już jest nasz obyczaj . . . . .	— 114

## III. GRACZE ROZSTAWIAJĄ FIGURY

25. Teren naciągającej bitwy . . . . .	— 127
26. Już rozstawiają się: od morza Tyrreńskiego po Monte Cassino . . . . .	— 129
27. Korpus waży koncepcje . . . . .	— 131
28. W dywizjach . . . . .	— 135
29. Wellington czy Mierostawski . . . . .	— 140

30. Bożek — kwatermistrzostwo . . . . .	— 143
31. Diabelskie transporty . . . . .	— 147
32. Jak nie dojrzyś zwierza przed sobą skokiem, (maskowanie) . . . . .	— 154
33. Saperzy — termity wojny . . . . .	— 157
34. Łączność — unierwienie Korpusu . . . . .	— 162
35. Masaż przed boksem . . . . .	— 171
36. Wywiad i przeciwnicy . . . . .	— 173
37. Zaglądamy Niemcom do garnka . . . . .	— 175
38. Z ciężkich p-panców — kozice skalne, z lekkich — „żydowska artyleria” . . . . .	— 179
39. Ostatnia odprawa w brygadzie . . . . .	— 190
40. Karpacki pułk czuwa . . . . .	— 196
41. W artyleryjskiej spiżarni . . . . .	— 199
42. Samolotowy „postój dorożek” . . . . .	— 204
43. Przewidywania i nastroje . . . . .	— 207
44. Głosy . . . . .	— 213

#### IV. GODZINA „H” NADESZŁA

45. Na punktach obserwacyjnych dywizji i Korpusu . . . . .	— 218
46. Na punkcie dowodzenia dywizji . . . . .	— 226
47. Na głównym punkcie opatrunkowym . . . . .	— 234
48. Jeńcy . . . . .	— 242
49. A więc i polskie natarcie — odparte . . . . .	— 244

#### V. NATARCIE NA 593

50. Pierwsza brygada uderza . . . . .	— 250
51. Zadanie 2. baonu . . . . .	— 252
52. Hannibal umarł! — 593 zajęte . . . . .	— 255
53. Walka 3. kompanii za skłonom 593 . . . . .	— 259
54. Sanitariusz . . . . .	— 262
56. Śmierć por. Scazighino . . . . .	— 268
55. Pierwsza kompania na siodle między 593 i 569 . . . . .	— 265
57. Druga kompania dociaga . . . . .	— 270
58. Ciężkie p-pance . . . . .	— 273
59. Przeciwuderzenia . . . . .	— 274
60. Ostatni walczący pluton . . . . .	— 282

#### VI. WALKA O WIDMO

61. Kresowa dywizja . . . . .	— 288
62. Role rozdane — ścieżkowcy naprzód! . . . . .	— 292
63. 3. kompania 15. baonu ginie . . . . .	— 295
64. 2. kompania bierze pomstę . . . . .	— 297
65. 4. kompania wśród bunkrów . . . . .	— 300
66. 1. kompania podziela los trzeciej . . . . .	— 307
67. Wysiunięci najdalej . . . . .	— 309
68. Marzenia siedemnastolatków . . . . .	— 311
69. 18. batalion rusza . . . . .	— 313
70. „Konsolidacja” i walka . . . . .	— 316
71. Odwrót 18. baonu . . . . .	— 321
72. Odwodowy szesnasty idzie do akcji . . . . .	— 325
73. Losy siedemnastolatków . . . . .	— 327
74. Dwie kompanie 13. baonu uderzają na środkowe Widmo . . . . .	— 328
75. Dwie kompanie 13. baonu uderzają na północne Widmo . . . . .	— 339
76. A jednak Gnatowski żyje — i walczy . . . . .	— 345



## VII. PIERWSZA WALKA O GARDZIEL

77. 1. batalion Karpatczyków wyrusza z M. Miski . . . . .	— 351
78. Saperzy egzorcyzmują diabelską Gardziel . . . . .	— 355
79. Kompania por. Maślony już wisi nad Gardziela i czeka . . . . .	— 359
80. Czołgi od Drogi Saperów nie mogą sforsować Gardzieli . . . . .	— 360
81. Kompania Musiała nie może sforsować Gardzieli . . . . .	— 363
82. Tragiczne dzieje kompanii kpt. Kromkaya . . . . .	— 367
83. Świeże czołgi dążą z pomocą . . . . .	— 369
84. W schronie dowódcy batalionu . . . . .	— 375
85. Gina czołgi, gina saperzy . . . . .	— 386
86. Ostatni akord natarcia Korpusu: komp. por. Maślony schodzi po 39 godzinach . . . . .	— 392

## VIII. GEHENNA

87. Zabijany na raty . . . . .	— 396
88. Już nie zobaczy „Siegmondek” kwitnących „stromów” . . . . .	— 404
89. Spływają z pobojowiska . . . . .	— 406
90. W. P. Ó. i sanitariusze . . . . .	— 409
91. Ucieczka z niewoli . . . . .	— 413
92. Ranny dowódca . . . . .	— 415
93. A światło wiekuiste niechaj im świeci! . . . . .	— 416

## IX. ODGINANIE SIĘ

94. Katharzis — wśród fetoru . . . . .	— 420
95. Jak wygląda nowa sytuacja? . . . . .	— 425
96. U czołgów „na jeża” . . . . .	— 430
97. Wojujemy dalej . . . . .	— 433

# INDEX NAZWISK I TOMU

Adamowicz	<i>strz.</i>	347	Bulka	<i>ppor.</i>	146
Adanus	<i>plut.</i>	260, 285	Burzyński	<i>ppor.</i>	425
Aittanienf	<i>sierz.</i>	34	Buyko	<i>kpt.</i>	339, 343
Alexander	<i>gen.</i>	213	Carlomano	<i>brat benedyktyn</i>	45
Alter	<i>dezert. niem.</i>	194	Cegowski	<i>ppor.</i>	97
Alwinger	<i>ppor.</i>	339	Chachulski	<i>ppor.</i>	97
Ambrożej	<i>kpr.</i>	300, 391	Chałupa	<i>ppor.</i>	316, 323, 406
Anders	<i>gen.</i>	66, 131, 135, 138, 172, 199, 208, 215, 220, 247, 290, 429	Chmielecki	<i>szer.</i>	392
Aston	<i>czot. teatr.</i>	72	Chod ko	<i>mjr</i>	72
Babisz	<i>strz.</i>	368	Choma	<i>plut.</i>	378, 384
Bachleda	<i>ppor.</i>	114	Chomiński	<i>mjr</i>	240
Baczkowski	<i>mjr</i>	110, 241	Chomniak	<i>strz.</i>	368
Badya	<i>celown.</i>	406	Choroszewski	<i>mjr</i>	179
Bagiński	<i>strz.</i>	365	Cieplik	<i>kpr.</i>	394
Bak	<i>kpr. pchor.</i>	100	Ciesiński	<i>strz.</i>	98
Bakunowski	<i>plut.</i>	344	Cie luk	<i>sap.</i>	390, 393
Bargiewicz	<i>pchor.</i>	283, 284	Cygan	<i>ppor.</i>	340
Barkowski	<i>kpr.</i>	263	Czajkowski	<i>sterz.</i>	408
Bartman	<i>strz.</i>	271, 280	Czechowski	<i>kpt.</i>	330, 339, 341
Bartosik	<i>kpt.</i>	292, 304, 306, 345	Czechowski	<i>kpr.</i>	340, 342
Bartoszak	<i>ppor.</i>	108, 293, 294, 348	Czekalski	<i>por.</i>	433
Będkowski	<i>por.</i>	255, 265	Czerny	<i>żołn.-poeta</i>	309
Bednarz	<i>strz.</i>	364	Czop	<i>ppor.</i>	300
Bereś	<i>ppor.</i>	346, 368	Czulak	<i>ppor.</i>	368, 385
Bernaś	<i>ppor.</i>	100, 363, 366, 384	Dabkowski	<i>strz.</i>	260, 263, 264 365
Białecki	<i>ppor.</i>	374, 387, 390, 391	Dębicki	<i>por.</i>	106, 208
Bieganowski	<i>kpt.</i>	327, 429	Dębicki	<i>sterz.</i>	398
Bieniasz	<i>ppor.</i>	329	Dębski	<i>strz.</i>	274
Biernat	<i>kpr.</i>	365	Dehnel	<i>por. lekarz</i>	411
Bierzyński	<i>por. dr</i>	390	Demidowicz	<i>strz.</i>	259
Biesiada	<i>plut.</i>	361	Denis	<i>lekarz franc.</i>	235
Bilski	<i>strz.</i>	368	Diamare	<i>opat</i>	41
Błaszczak	<i>ppor.</i>	363	Dietmar	<i>gen.</i>	128
Bogdajewicz	<i>st. strz.</i>	390, 391	Dietrich	<i>ptk dr</i>	235, 237
Bogucki	<i>ppor.</i>	325	Domański	<i>por.</i>	331, 337, 346
Booth	<i>por.</i>	33	Domiechowski	<i>ppor.</i>	310, 345, 346
Borkowski	<i>kpr.</i>	214	Domoń	<i>ppłk</i>	310, 313, 318 321, 327, 345 428
Boukkas	<i>por.</i>	21	Drelich	<i>pchor.</i>	188
Bowsza	<i>sterz.</i>	297	Drelicharz	<i>kpt.</i>	374
Braszczyński	<i>plut. pchor.</i>	365, 368	Duch	<i>gen.</i>	135, 232, 251
Bronceł	<i>poeta</i>	289	Duda	<i>mjr</i>	146
Brown	<i>lt.</i>	35	Dzieciotowski	<i>kpt.</i>	374, 387
Bryk	<i>kpr.</i>	359, 386	Dziedzicki	<i>por.</i>	240
Brzeżański	<i>chor.</i>	105	Falt	<i>ppor.</i>	374, 387
Brzeziński	<i>sanlt.</i>	262, 264, 283, 399, 413	Fajbusiak	<i>por.</i>	89
Brzósko	<i>ppłk</i>	285, 286	Falowski	<i>st. strz.</i>	321, 413
Buder	<i>sierz.</i>	298	Fenski	<i>wachm.</i>	264
Bugaj	<i>ppor.</i>	340	Fidelis	<i>Prymas bened.</i>	40
Butak	<i>strz.</i>	341	Florkowski	<i>mjr</i>	191
			Fogiel	<i>strz.</i>	396
			Frącek	<i>strz.</i>	409
			Frasior	<i>mjr</i>	17, 19
			v. Fritsh	<i>gen.</i>	178



Gajdaczek *ppor.* 340  
 Gajewski *strz.* 35  
 Gancarz *kpr.* 256, 257  
 Gawlina *biskup polowy* 196  
 Gaża *pchor.* 316  
 Gerwel *por.* 308  
 Gierlik *ppor.* 295  
 Giermek *ppor.* 339  
 Giers *strz.* 315  
 Glnko *strz.* 325  
 Giwończuk *strz.* 259  
 Gnatowski *mjr* 285, 308, 310, 315, 318, 345, 348, 406  
 Goc *kpr.* 334  
 Golonka *sierz.* 267, 280, 283  
 Gorgolewski *plut.* 319  
 Górski *sanit.* 280  
 Grabarczyk *plut.* 261, 263, 283  
 Graber *por. lekarz* 75, 77, 237  
 Grażyński *ppor.* 359  
 Greczanik *ppor.* 316, 321  
 Grinberg *kpr. pchor.* 391  
 Gudanowski *celown.* 297  
 Gurewski *ogniom.* 271  
 Gwóźdź *ppor.* 97  
 Hankiewicz *ppor.* 97  
 Harut *strz.* 365  
 Helcia *czot. teatr.* 72  
 Hempel *pptk* 74, 157  
 Hendzel *strz.* 364  
 Hess *por.* 186  
 Heydrich *gen.* 173  
 Hirszfild *prof.* 236  
 Holzer *gefreiter* 243  
 Hopkins *sierz.* 30  
 Hryniewicz *sanit.* 412  
 Huczyński *kapelan* 75, 77, 237  
 Hudson *sierz.* 34  
 Huszcza *strz.* 310  
 Iwaniec *strz.* 271  
 Iwanowski *kpt.* 434  
 Iwanowski *sierz.* 334  
 Iwaszkiewicz *szer.* 412  
 Jachimowicz *ppor.* 308  
 Jagiełło *ppor.* 96, 97, 253  
 Jaje *strz.* 368  
 Jakubowski *mjr dr* 405  
 Jakubowski *kan.* 185  
 Janda *kpr.* 98  
 Jandziś *kpt.* 188  
 Janicki *kpt.* 89, 240  
 Janiszewski *pchor.* 316  
 Jankowski *strz.* 373, 374  
 Janusz *kpt.* 88  
 Jasiński *kpt.* 311, 314, 327  
 Jastrzębski *ptk dypl.* 106, 203  
 Jaworski *goniec* 82  
 Jazurek *kpr.* 98  
 Jąźwiński *por.* 338  
 Jeczalik *por.* 158  
 Jedziniak *mjr* 74, 151, 228  
 Jeleniewski *st. strz.* 409  
 Jewszel *strz.* 338  
 Jeżewski *kpr.* 262, 264, 285, 413, 414

Jeziński *st. sierż.* 340  
 Joniec *st. kapel.* 144  
 Juchniewicz *panc.* 372  
 Juin *gen. franc.* 129, 213  
 Jurkowski *por.* 190, 295, 361, 432  
 Juszkiewicz *strz.* 333  
 Kachnowicz *strz.* 262, 264  
 Kaczanowski *mjr* 235  
 Kadzikiewicz *st. strz. pchor* 320  
 Kamieniecki *plut.* 146  
 Kamiński *pptk* 228, 230, 292, 328, 334, 344, 428  
 Kania *kpt.* 188  
 Karczewicz *st. strz.* 389  
 Karge *por.* 339, 340  
 Karpowicz *strz.* 304  
 Kawalec *pchor.* 196  
 Kazuro *pchor.* 98  
 Kempinski *st. sap.*  
 Kendall *brygadier ang.* 17  
 Kesselring *gen.* 174, 213, 437  
 Kessner *pptk* 32  
 Kica *por.* 255, 266, 280  
 Kiedacz *mjr* 195, 246  
 Kijowski *por.* 211  
 Kimelman *strz. celown.* 256, 275  
 Kiszulko *strz.* 415, 416, 417  
 Kiwak *san.* 262  
 Klajber *st. strz.* 116  
 Klus *serż. sap.* 154  
 Kłopotowski *b. jun.* 165  
 Kiymluk *strz.* 335  
 Kmiotowicz *sierz.* 304, 305  
 Kniazuk *strz.* 396  
 Knutson *sierz.* 34  
 Kobrzyński *ppor.* 188  
 Kocaj *strz.* 238  
 Koczyrkiewicz *ppor.* 97, 283  
 Kolas *(comand.)* 116  
 Kolator *kpt.* 307, 328, 335  
 Kolendo *sanit.* 80  
 Kołodko *por.* 92, 268  
 Komolibus *kpt.* 166  
 Konopacki *ppor.* 97, 347  
 Kopa ski *gen.* 250  
 Kordas *kpt.* 311, 324  
 Kotas *kpr.* 116  
 Kowalczyk *ppor.* 316, 317, 321  
 Kozakiewicz *strz.* 294  
 Kozłowski *sanit., st. sap.* 392, 412, 413  
 Kranas *ppor.* 372  
 Koperstyński *strz.* 364  
 Kopysć *ppor.* 333, 338  
 Król *ppor.* 109  
 Król *por.* 97  
 Kromkay *kpt.* 366, 368  
 Kruszewski - Skarbek *por.* 340  
 Kruszyński *sierz.* 308  
 Krzepkowski *(comand.)* 116  
 Krzysiak *kpr.* 259, 261  
 Krzyżak *sierz.* 280  
 Krzyżtoporski *ppor.* 188  
 Kubicki *strz.* 262  
 Kujawa *ppor.* 321, 323

Kurau	por.	240	Mast	żona fr. rez.	
Kurek	ptk	232, 246		w Tunisie	136
Kusiak	ppor.	97	Matczak	chor.	345
Kuzba	kpt.	240	Matecki	ppłk dypl.	281
Kuzia	kpr.	324	Matjasik	strz.	364
Kuźniar	strz.	334, 338, 408, 409	Matujzo	pchor.	342
Kwaśnik	plut.	279	Matulewicz	ppor.	348
Kwiatkowski	kpr.	259	Matuszyk	kpr.	409
Kytleka	strz.	34	Mazanowski	por. lek.	75, 78, 237
Landau	mjr	33	Meath	mjr amer.	19
Landsteiner	uczony		Meksuła	ppor.	109, 348
	sziedeński	236	Międzyrzeczki	żołnierz-poeta	76
Lassota	por.	108, 293, 295	Miłosny	kpr.	271
Lebiatowski	strz.	330	Miska	strz.	368
Leese	gen.	131, 139, 212, 213, 434	Miszkiel	ppor.	298, 299, 306, 309, 320
Legan	strz.	98	Morris	por.	30
Lenart	kpt.	100, 363	Mozes	por. lek	75, 237
Lewiński	mjr	151	Mucha	kier.	
Libera	strz.	317		kol. transp.	70
Liberman	pchor.	260, 283, 285	Mundziakiewicz	ppor.	334, 406
Lilien			Muro	sterż.	34
Brzozdowiecki	por.	143	Musiak	por.	363, 380, 417
Lipnicki	st. strz.	297	Muttermilch	ppor.	108, 293, 294, 300
Lisek	kpt.	82			321
Listwan	plut.	280	Mystkowski	sierż.	75, 77, 237
Litwak	strz.	285	Napora	por. lek.	285
Loga	san.	319, 410	Natkaniec	strz.	285
Long	kpt. amer.	27, 31	Nickowski	kpr.	388
ks. Lubomirski	ppor.	139	Niedziółka	ppor.	97
Luft	obergefreiter	243	Niemir	kpr.	364
Luks	pchor.	115	Nienartowicz	pchor.	185
Łabynicz	st. strz. celow	334	Niewiadomska		72
Łakiński	ptk	144, 208	Nosarzewski	strz.	380, 384
Łaszcz	kpr.	335	Nowak	ppor.	373
Łokaj	por.	315, 321, 323	Nowakowski	st. strz.	335
Łosakiewicz	ppor.	313	Nowakowski	strz.	330
Łotoczko	strz.	319	Nowina-Sawicki	ptk	192
Łoziczonek	por.	334	Nunex	por.	17
Łuhowy	strz.	271	Ochęduszo	kpr. pchor.	297
Łukaszyk	ppor	322, 324	Oczkowicz	strz.	346
Łukawiecki	strz.	304	Okapiec	kpr.	332
Machnowski	ptk	109	Olechowski	pchor.	210
Maciejewski	por.	268	Oleszkowicz	kpr.	275
Mackiewicz	strz.	311, 312, 324, 327	Olkowski	por.	331, 338
			Orłowski	kpt.	353, 360
Maćkow	st. strz.	365	Orłowski	kpr.	342
Maculewicz	mjr	158	Orski	ptk	74, 218, 230, 234
Magiera	strz.	346			97
Main	strz.	271	Ościk	por.	306
Majewicz	por.	329, 332	Osetek	strz.	315, 322
Majewski	lek.	95	Osmakiewicz	mjr	321
Majewski	st. panc.	390	Osoby	sierż.	332
Malczak	strz.	408	Osterwell	strz.	412
Maliszewski	ppłk dypl.	74, 135, 204, 211, 227, 228, 229, 230, 231, 232, 233, 245	Ostrowski	st. strz.	392
			Ostrowski	strz.	374, 387
Malinowski	kapelan	196	Osuch	por.	68
Malinowski	plut.	259	Paliświat	por.	110
Maliszewski	strz.	365	Pancer	por. lek.	75, 237
Małkiewicz	plut.	408	Pańczyszyn	por.	98, 255, 267, 268, 270, 278
Marcipilewicz	strz.	282			318
Marjański	plut.	391	Pankowicz	strz.	283, 285
Markowski	strz.	271	Paramosz	pchor.	135
Marks	pchor.	366	Pardes	ptk	392
Maślona	por.	359, 366, 394, 395, 396	Pastota	plut.	135
			Pastor	strz.	97



Pasturczak	<i>strz.</i>	294	Szczaghino	<i>por.</i>	268, 269
Patyk	<i>sierz.</i>	330	Sidorowicz	<i>kpr. pchor.</i>	364, 365
Pawlak	<i>kpt.</i>	81, 227	Siemek	<i>ppor.</i>	261, 264, 274, 277, 282, 283
Pawlik	<i>sierz.</i>	345	Siemienuk	<i>kan.</i>	276
Pawulski	<i>kpt.</i>	315, 320, 323, 410	hr. Sissy		173
Pest	<i>st. sierż.</i>	306	v. Koenigsmar		
Peszek	<i>ptk</i>	179, 246, 251, 266, 277, 281, 417	Siwicki	<i>szer.</i>	323.
Petryk	<i>strz.</i>	306	Skapski	<i>ptk</i>	161, 410
Peteryński	<i>por.</i>	296, 298	Skopiec	<i>strz.</i>	320
Pietronik	<i>kpr. pchor.</i>	98	Skorczyński	<i>por. dr</i>	238
Pietrzak	<i>por.</i>	328	Skowroński	<i>ptk</i>	151
Pietrzak	<i>sierz.</i>	324	Skrzyński	<i>strz. celown.</i>	280
Pilch	<i>ppor.</i>	265, 274, 278	Skupiuk	<i>sap.</i>	391
Piłatowicz	<i>ppor.</i>	433	Skwara	<i>ppor.</i>	256, 259, 265. 272
Plewko	<i>chor.</i>	409	Słżak	<i>sierz.</i>	322
Płachciński	<i>ppor.</i>	98, 97	Śliwa	<i>strz.</i>	368
Polkowski	<i>kpt.</i>	296	Śliwiński	<i>kpr.</i>	414
Popielas	<i>por.</i>	354, 378, 385	Śluczanowski	<i>por.</i>	240
Poplawski	<i>kpr.</i>	301, 304	Smereczyński	<i>kpt.</i>	313
Poraszka	<i>plut.</i>	300	Smółko	<i>por.</i>	315, 320
Poset	<i>ppor.</i>	343	Smrokowski	<i>mjr</i>	114
Potocki	<i>ppor.</i>	271, 280	Sniechowski	<i>ppor.</i>	264
Próchniewicz	<i>sierz.</i>	270, 279, 280	Sobolewski	<i>ppor.</i>	97, 296
Pruski	<i>kpt.</i>	188	Sokol	<i>pptk</i>	95, 281
Przybylski	<i>ppor.</i>	313, 316, 317, 323	Sokołowski	<i>pchor.</i>	283, 285
Pśnik	<i>ppor.</i>	100	Solarczyk	<i>por.</i>	321
Ptasznik	<i>por.</i>	181, 276	Sołowiej	<i>ppor.</i>	329
Pućkowski	<i>por.</i>	321	Sommer	<i>por.</i>	300, 304
Pustkowski	<i>ppor.</i>	321	Sopłak	<i>st. sierż.</i>	97
Pustut	<i>kan.</i>	183	Sosnkowski	<i>gen.</i>	75, 137
Raciński	<i>mjr</i>	187	Spellman	<i>sierz.</i>	34
Raczkowski	<i>pptk</i>	292, 352, 375, 385	Sroczyński	<i>ppor.</i>	260, 359, 384, 385, 386 394, 395
Raczkowski	<i>strz.</i>	337	Stachowiak	<i>strz.</i>	317
Radkiewicz	<i>strz.</i>	262	Stańczyk	<i>mjr</i>	325, 429
Radwański	<i>kpt.</i>	97, 283, 284	Stankiewicz	<i>por.</i>	275
Radyna	<i>st. strz.</i>	336	Staszkiwicz	<i>plut.</i>	273
Radziśzewski	<i>san.</i>	347, 413	Steffen	<i>kpt.</i>	17
Rakowski	<i>pptk</i>	144	Stoczkowski	<i>pptk</i>	231, 324, 428
Rasiński	<i>strz.</i>	365	Strohmajer	<i>kpt. niem.</i>	317
Ratajczak	<i>sierz.</i>	337	Strojnowski	<i>ppor.</i>	308
Rawicz - Rojckmir	<i>mjr</i>	266, 268, 272, 274, 281	Strumidto	<i>strz.</i>	364
Rea	<i>Opat klasztoru</i>	40	Styplński	<i>por.</i>	314
Regner	<i>kpr.</i>	364	Studziski	<i>kapelan</i>	370, 390
Rodziewicz	<i>ppor.</i>	322	Sullik	<i>gen.</i>	74, 114, 135. 216, 229, 232. 246, 288, 291
Rodziewicz	<i>panc.</i>	373	Swenson	<i>sierz.</i>	34
Rolland	<i>pptk</i>	143, 146	Świeściak	<i>kpt.</i>	240, 292, 308. 409
Romańczuk	<i>kpr. san.</i>	78	Świtalski	<i>ppor.</i>	365
Romański	<i>ppor.</i>	259, 261, 274, 282, 285, 396	Szałajko	<i>strz.</i>	271
Roux	<i>ptk franc.</i>	20	Szałwiński	<i>pchor.</i>	302, 304
Różański	<i>kpt.</i>	179, 188, 276	Szatyga		280
Różycki	<i>ppor. dr</i>	390	Szarecki	<i>gen. dr</i>	237
Rudnicki	<i>ptk</i>	74, 115, 244, 247, 428, 430, 431, 435,	Szaroleta	<i>pchor.</i>	410
Rymkiewicz	<i>kpt. dr</i>	77, 110, 237	Szastok	<i>ppor.</i>	319
Rysiecki	<i>kpr. pchor.</i>	319, 410, 414	Szawara	<i>st. strz.</i>	285
Samołyk	<i>ppor.</i>	97	Szemraj	<i>ppor.</i>	97
Sanojca	<i>strz.</i>	395	Szkubacz	<i>kpr.</i>	259
Sapieha	<i>kardynał</i>	245	Szkuta	<i>st. strz.</i>	408
Sawicki	<i>sap.</i>	393	Szłamp	<i>por.</i>	96, 97, 253 285
			Szmaro	<i>sierz.</i>	294
			Szpara	<i>kpr.</i>	333, 408

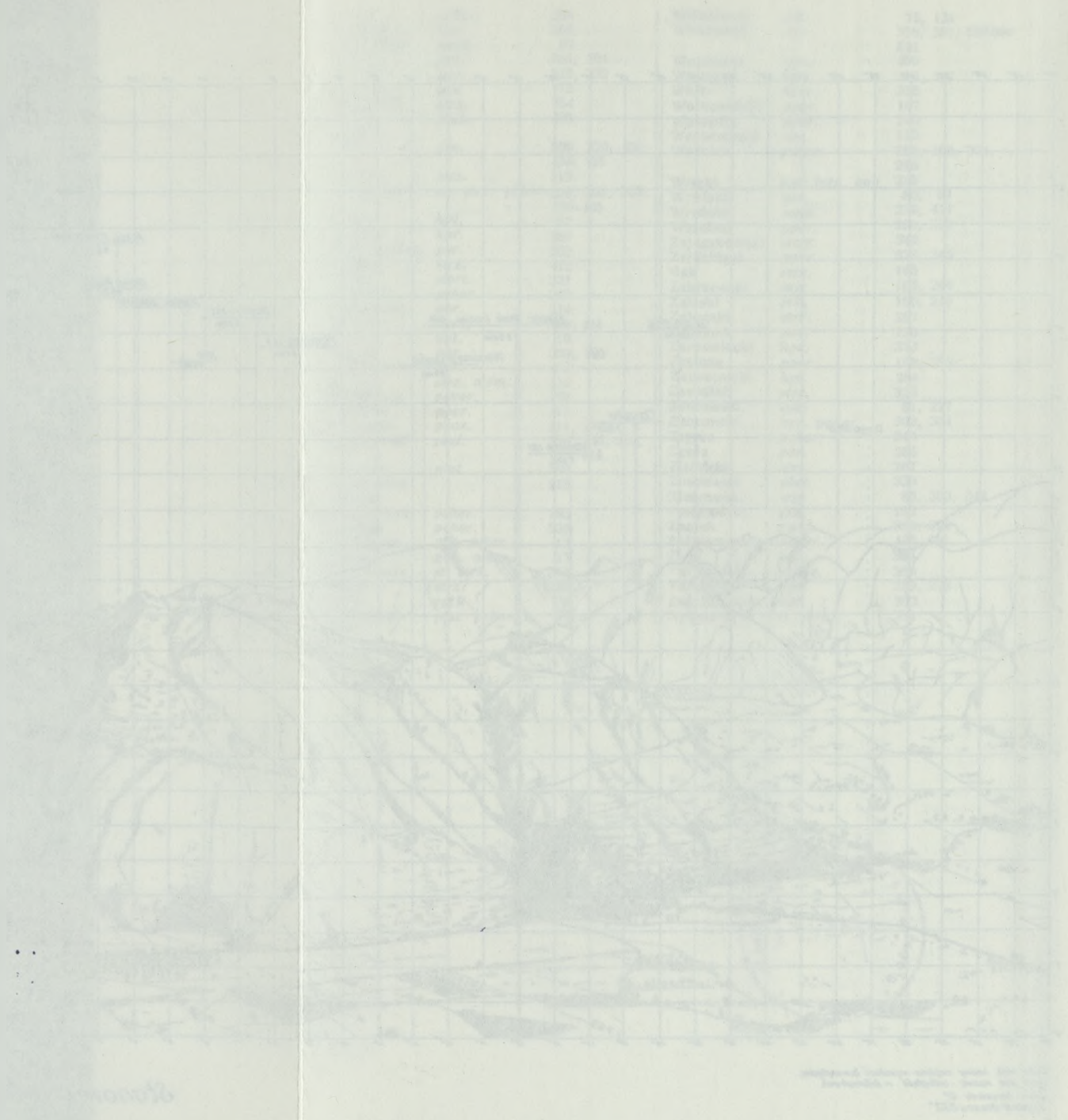
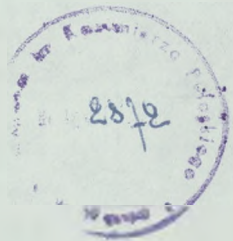
Sztern	<i>pchor.</i>	264	Wiśniowski	<i>ptk.</i>	75, 131
Sztyliński	<i>por.</i>	366	Witkowski	<i>mjr</i>	356, 361, 389-392
Szwejkowski	<i>ppor.</i>	97			291
Szykier	<i>por.</i>	361, 391	Wojnarski	<i>kpr.</i>	398
Szyman	<i>por.</i>	329, 332	Wojniusz	<i>kpt.</i>	314, 327
Szymański	<i>ptk</i>	172	Wójt	<i>sierż.</i>	335
Szymański	<i>strz.</i>	364	Wołkowiński	<i>ppor.</i>	107
Szyszek	<i>plut.</i>	393	Wotowicz	<i>ppor.</i>	270
Szyszek -			Wotoszewski	<i>rtm.</i>	115
Bohusz	<i>gen.</i>	209, 220, 430, 436, 437	Woźniak	<i>pchor.</i>	256, 265, 274, 278
Tambor	<i>strz.</i>	112			212
Tereszczuk	<i>st. strz. pchor.</i>	259, 261, 263, 398-405	Wright	<i>kpt. lotn. ang.</i>	212
			Wroński	<i>por.</i>	80, 84
Tixier	<i>kpt.</i>	22	Wroński	<i>sanit.</i>	279, 411
Topolski	<i>kpr.</i>	368	Wszelaki	<i>ppor.</i>	298, 320
Trejdosiewicz	<i>por.</i>	362	Zajączkowski	<i>sierż.</i>	340
Trusiło	<i>strz.</i>	412	Zajdziński	<i>ppor.</i>	323, 345
Tyjara	<i>sierż.</i>	321	Żak	<i>strz.</i>	165
Tylawski	<i>pchor.</i>	259	Zakrzewski	<i>mjr</i>	195, 246
Tyszkowski	<i>por.</i>	314	Zaleski	<i>ptk.</i>	166, 219
Uberna	<i>sierż.</i>	409, 414	Zalewski	<i>strz.</i>	297
Volheim	<i>kpt.</i>	19	Zapaśnik	<i>por.</i>	158
Wagner	<i>por.</i>	359, 395	Zarnowiecki	<i>kpr.</i>	373
Walter	<i>por.</i>	113	Zasłona	<i>ppor.</i>	108, 293
Wangen	<i>strz. niem.</i>	112	Zatwarnicki	<i>kpr.</i>	284
Wańkiewicz	<i>pchor.</i>	188	Zawiślak	<i>strz.</i>	323
Wargocki	<i>ppor.</i>	112	Żebrowski	<i>kpt.</i>	81, 227
Wariwoda	<i>ppor.</i>	311, 314	Żebrowski	<i>kpr. pchor.</i>	302, 304
Wasielewski	<i>plut.</i>	308, 332, 405, 409, 414	Zegrze	<i>pchor.</i>	344
			Zgoła	<i>por.</i>	286
Wasiatko	<i>plut.</i>	390	Zieliński	<i>strz.</i>	267
Wasilewska		215	Ziukiewicz	<i>plut.</i>	330
Wanda			Ziobrowski	<i>mjr</i>	85, 303, 344
Wawrzyniak	<i>pchor.</i>	183	Żmigrodzki	<i>ptk.</i>	162
Węgrzyn	<i>pchor.</i>	330	Znajek	<i>ppor.</i>	315, 323
Whittimore	<i>ptk. amer.</i>	13	Żołnierczyk	<i>ppor.</i>	433, 436
Wilbur	<i>gen. amer.</i>	17	Zuba	<i>kpr.</i>	334
Wilczyński	<i>st. strz.</i>	344	Żurakowski	<i>pchor.</i>	365
Wilusz	<i>strz.</i>	285	Żurawski	<i>kpr.</i>	259, 278
Wirth	<i>pptk</i>	79	Zwickenplug	<i>kpt.</i>	303
Wiśniewski	<i>plut. pchor.</i>	97	Żywoleski	<i>st. strz.</i>	334







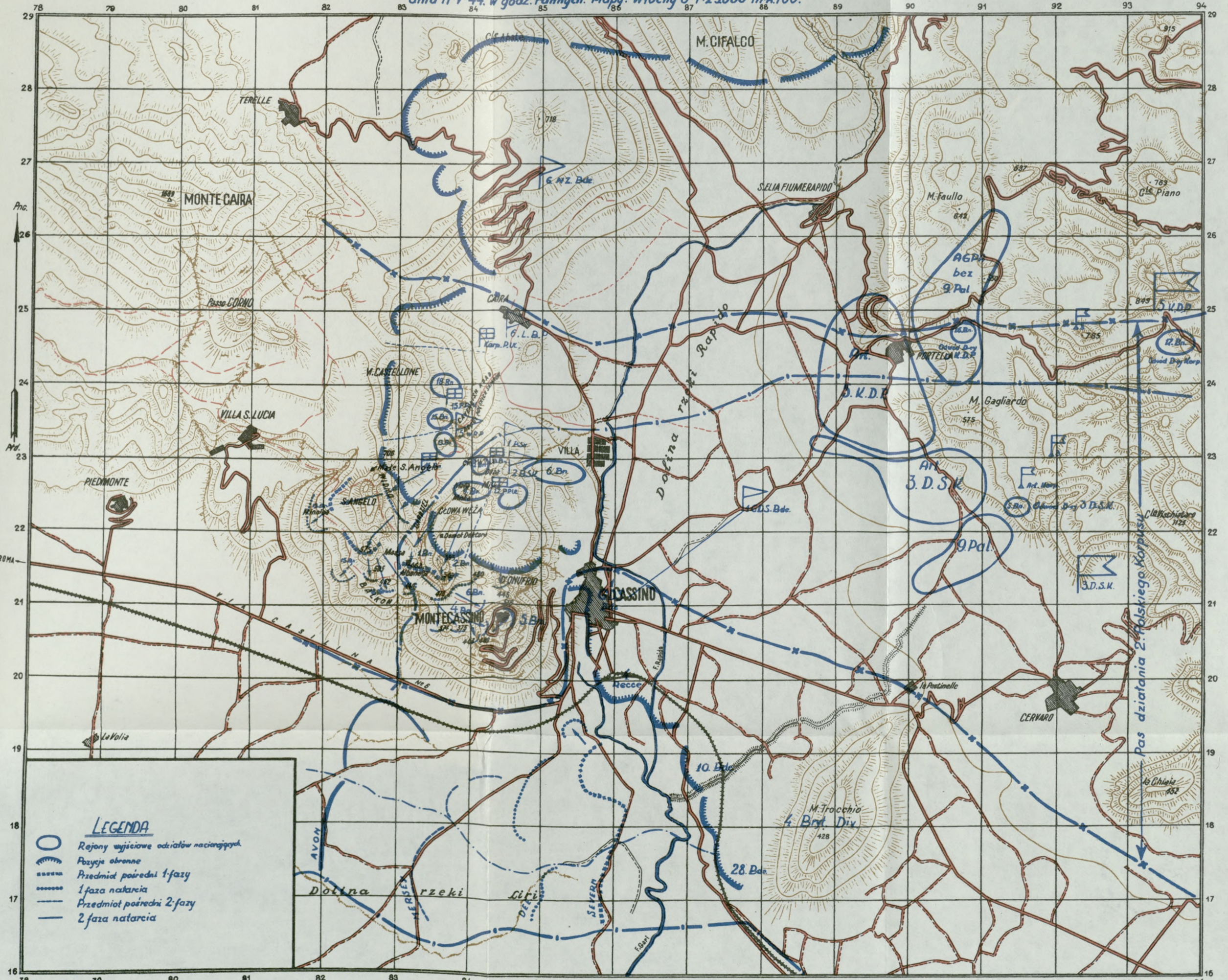






# SZKIC Nr. 3

Ugrupowanie 2 Polskiego Korpusu  
dnia 11-V-44. w godz. rannych. Mapy: Włochy G-1:25000 Ark.160.



### LEGENDA

- Rejonny wyjściowe oddziałów naciągających
- Pozycje obronne
- Przedmiot pośredni 1-fazy
- 1 faza natarcia
- Przedmiot pośredni 2-fazy
- 2 faza natarcia





Mapa 2 Państwa  
1982



nomicznego, wojennym i charakteru narodowego.

Idąc za nurtem polskiego życia, trafia na jego wir najgłębszy — na bitwę o Monte Cassino.

Książki o wojnie bywają operacyjne, „samosierskie” i „remarkowskie”.

*Książka Wańkowicza zawiera wszystkie trzy elementy.*

Nie jest to powieść, a przecież książka ma pasjonującą „intrygę” — intrygę bitwy. Dramat bitwy stopniowo w niej narasta, osiąga punkty kulminacyjne i przebywa kryzysy. Dlatego nie należy książki czytać na wrywki.

Autor, odznaczony za tę bitwę Krzyżem Walecznych, przeżył te dwa tygodnie bezpośrednio z walczącym żołnierzem. Ogromna ilość relacji, które następnie zebrał, sprawia, że *książka jest niejako wspólnym dziełem wszystkich uczestników bitwy*. Jest to rzadki, jeżeli nie *jedyny wypadek w literaturze*, gdzie postaci dramatu biorą udział w twórczości.

Pomimo wielkiej dokumentarnej wartości książki nie należy zapominać, że jest ona dziełem literackim, a nie sprawozdaniem specjalnie powołanej komisji. To daje autorowi *przywilej pisanja obszerniej o momentach, które go specjalnie uderzyły* i nieopisywania np. wszystkich szpitali czy wszystkich kantin, skoro czytelnikowi wystarczy jeden opis. Tak samo, rzecz prosta, opis działań wielu uczestników bitwy może nie być proporcjonalny do ich zasług.

\*

Doceniając wagę książki, Oddział Kultury i Prasy dołożył wszelkich wysiłków, aby, pokonywując anormalne warunki i walcząc z nieprawdopodobnymi trudnościami, dać *największe dzieło graficzne, jakie ukazało się w ciągu sześciu lat naszej emigracji* i które, bez wątpienia, stanowiłoby ewenement bibliofilski nawet w normalnych przedwojennych warunkach.



